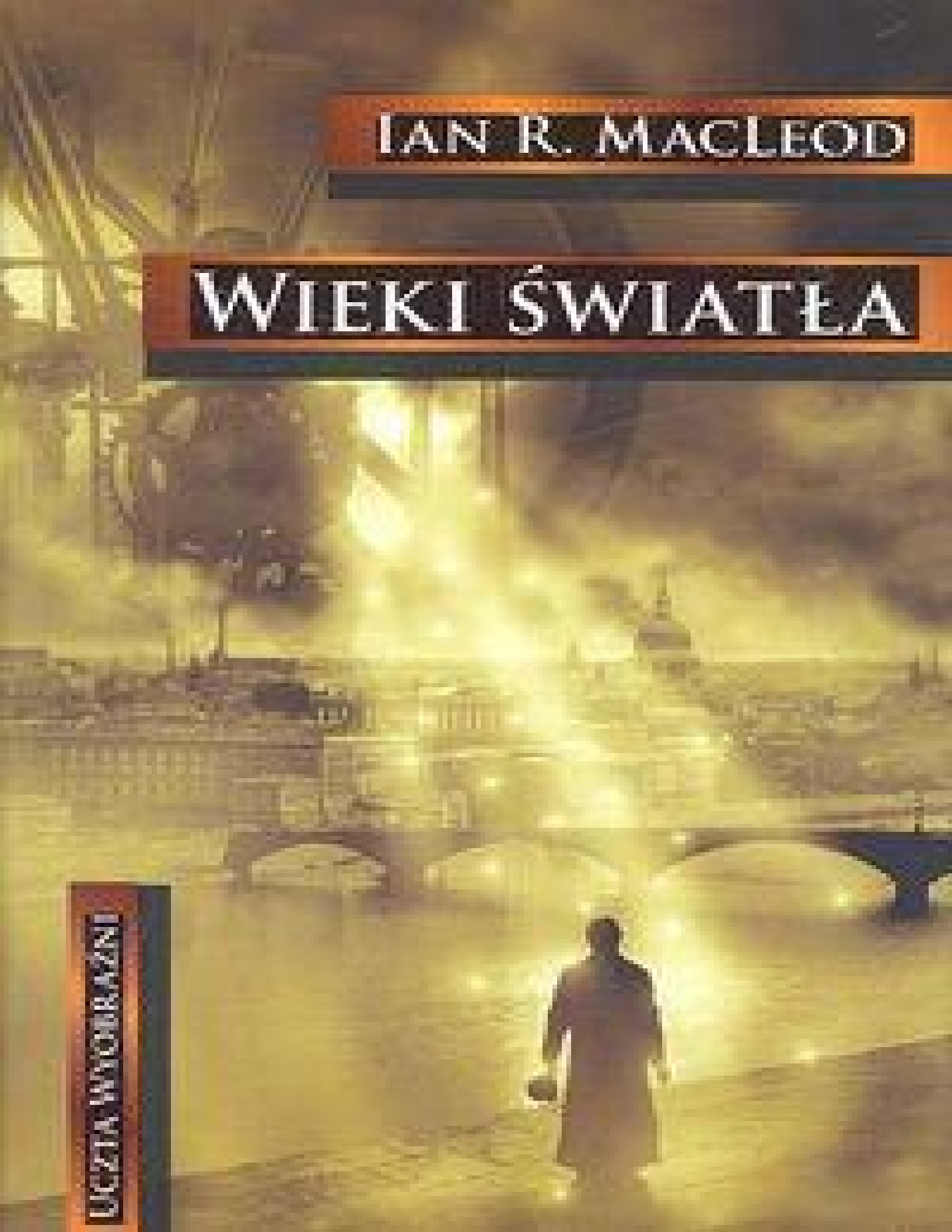


IAN R. MACLEOD

WIEKI ŚWIATEŁA

LICZBA WYOBRAZNI



IAN R. MACLEOD

WIEKI ŚWIATŁA

Tytuł oryginału: *The Light Ages*

Wydawnictwo MAG 2006

ISBN 83-7480-023-2

Wydanie I

*Mojej wspaniałej córce Emily,
która pomogła mi na chwilę stanąć na szczycie Obrotowej Wieży.*

CZEŚĆ I

WIELKI MISTRZ CECHOWY

Cały czas mam ją przed oczyma. W najuboższych dzielnicach Londynu. Pod nowymi, żelaznymi mostami, po których mkną tramwaje, a niżej, tam gdzie Tamiza przeczesuje palcami błoto, płyną promy. Widzę ją tam, gdzie kończą się nawet najbardziej obskurne rudery Easterlies, których i tak nie znajdzie się na żadnej mapie. Od nich, rojących się od much i smoczowszy, latem cuchnących miejskimi ściekami, zimą poszarzałych od smogu i lodu, odwracają się plecami nawet najbrudniejsze fabryki.

Właśnie tam, wśród ruder i wysypisk, wyobrażam sobie mojego odmieńca.

Mam ją przed oczyma, oddalając się ulicami od mojego eleganckiego domu w północnym śródmieściu. Widzę ją, kiedy się denerwuję, kiedy nie mogę się skupić, kiedy terażniejszość wydaje mi się krucha i ulotna. Gdy mijam wysokie domy wokół Hyde. Gdy mijam eleganckie cechmistrzynie wyprowadzające psy, które, na chudych nóżkach, z nietotnymi skrzydełkami, okryte gadzimi łuskami lub omszone tęczowym futerkiem, w ogóle mi nie przypominają psów. Gdy przechodzę obok ogromnych sklepów na Oxford Road, niesamowitych drzew Parku Westminsterkiego, wśród których jak papierowe łódki dryfują dziecięce wózki i parasolki, przez Cheapside, gdzie ulice zwężają się i ciemnieją, podobnie jak kurczy się i ciemnieje niebo nad nimi, w miarę zapadającego zmroku okrywając cieniem dachy i kominy. Clerkenwell i Houndsfleet. Whitechapel i Ashington. Tu pachnie gumą i psami, teraz już brzydkimi i pospolitymi. Słysząc ich szczekanie. Nie można tego jeszcze nazwać dzielnicą ubóstwa i hańby, choć widać sporą różnicę w porównaniu z okolicą, w której zacząłem wędrówkę. W tej części Easterlies wciąż jednak mieszkają cechmistrzowie, a nie bezcechowi partacze. Mają pracę, którą zawdzięczają swemu cechowi; mają należycie umeblowane domy.

Wreszcie, gdy Cheapside już dawno zmieniła się w Doxy Street, daleko za pętlą tramwajową na Stepney, błotniste ulice zaczynają falować, a domy sterczą wzdłuż nich jak szczerbate uzębienie. Tu nie ośmiela się zamieszkać żaden cechowy rzemieślnik. Zerkam na ludzi pospiesznie podążających ulicą, w krajobrazie wyglądającym, jakby dłonie olbrzyma ścisnęły go jak harmonię – kobiety okutane brudnymi szalami, mężczyźni owiani piwiarnianym odorem, dzieci blade, zwinne i nieuchwytnie groźne. Czy od tego zaczyna się prawdziwa nędza?

Na moje długie wędrówki chyba zawsze wybieram sobie pochmurne dni, późne popołudnia, skwarne, martwe letnie wieczory czy zimowe niedziele. A przynajmniej kiedy tylko oddalę się od jasnego śródmieścia, dzień właśnie taki się staje. Kolejne warstwy londyńskiego dymu i mroku oddalają mnie od porządných dzielnic. Większość cechmistrzów zrezygnowałaby już z dalszej wędrówki, nawet gdyby nagły kaprys kazał im dojść aż tutaj. Patrząc na twarze o nieokreślonym wieku, zerkające z ukosa, podglądające mnie przez szczeliny między cegłami, czuję, że powinienem zacząć się bać. Lecz jednak tu też mieszkają ludzie; i sam tu żyłem, choć było to w innym Wieku. Idę więc dalej, wzdłuż wysokich murów doków Tidesmeet, gdzie niegdyś przepracowałem szczęśliwe lato. Tupot dzieci ucicha. Podobne gargulcom twarze już mnie nie obserwują. Ktoś odziany tak jak ja – praktycznie i skromnie, w ciemny płaszcz oraz wysokie buty, którym niestraszne błoto – jednak mimo woli bije w oczy bogactwem, ktoś taki z pewnością ma pieniądze. Ale przecież nie miałby ich przy sobie, prawda? Wyobrażam sobie, że coś takiego poszeptują między sobą szare jak duchy dzieciaki w zaułkach. I to na pewno jest wielki mistrz cechowy. Konsekwencje, jakie spadłyby na nich ze strony bezlitosnej policji, sprawiają, że morderstwo i rabunek wydają się bez sensu. Nie mam ani laski z ukrytym ostrzem, ani pałki, żadnej widocznej broni, nawet parasola od deszczu, którym grozi zaciągnięte niebo, ale czy zacai się na mnie tam dalej, gdzie domy marszczą brwi...? Kto wie, jakie tajemne cechowe zaklęcia mogę mieć w zanadrzu?

Zatopiony w myślach, zagubiony, choć jednocześnie pewien swego, podążam cuchnącymi

ulicami, nienagabywany przez nikogo. Mógłbym dostać się na miejsce inaczej, omijając peryferie Easterlies, jednak muszę przyznać, że mam wobec tej dzielnicy dług. Na Riverside, na wałach, wzdłuż kei czekają przewoźnicy, czekają małe promy, które za dyskretną, acz niemałą opłatą zabiorą cię tutaj. Ale ich ładunek to na ogół pijani mężczyźni, którzy o północy wytaczają się z klubów i domów cechowych, by odetchnąć ciężkim od dymu powietrzem, zapomnieć o domach, oczekujących żonach, a nawet zamtuzach i domach snów, wybrać inny sposób na zakończenie dnia. Idą w dół, nad brzeg stęchłej Tamizy, gdzie cechmistrzowie w czarnych pelerynach i cylindrach targują się i rzucają wyzwiskami, aż w końcu gramolą się jak wstawione nietoperze na przeciekające pokłady promów.

Chyba wszystkie dzielnice nędzy spowija ta atmosfera oczekiwania, ale tutaj szczególnie się to czuje, domy coraz bardziej marnieją, aż w pewnym nieokreślonym momencie, przypominającym nagły zwrot akcji we śnie, w ogóle przestają być domami, stają się niechlujnymi szopami z kradzionej cegły, tektury i cementu. Przywodzą na myśl dekoracje do sztuki teatralnej, której prawdziwy sens, pomimo wszystko, nadal mi umyka. A ich mieszkańcy, nienależący do cechu i zwani przez nas partaczami, znajdują się w porównaniu ze mną tak głęboko na dnie studni fortuny, że aż mnie zaskakuje, kiedy słyszę echo ich głosów. Mówią wprawdzie zdławionym, ale nadal angielskim. W ten szary, mroczny i senny dzień wzbudzam tu nieskrywane zainteresowanie. Najdziwniejsze, że dzieciaki, teraz jeszcze młodsze, z łagodnymi oczyma szczeniaków w bielejących jak kość twarzach, podbiegają do mnie i proponują mi... pieniądze. Naprawdę widzę pieniądze w wyciągniętych wątych paluszkach. Mnóstwo połyskujących pensówek, ćwierćpensówek i funtów.

– Pan weźmie, proszę pana. Pens w zamian za pensa...

– Porządnie zrobione, najlepsze czary... – dodaje nieco starsza współniczka, dziewczynka o włosach tak przerzedzonych przez parchy, że prześwieca między nimi goła skóra. Wyciąga ku mnie w swych gołębih łapkach coś, co wygląda jak garść diamentów. – Wytrzymają cały Wiek. Wytrzymają do końca życia...

Kiedy wyczuwają moje wahanie, zbiera się ich więcej; woń zgnilizny się wzmaga. Błyskając białkami, unoszą na mnie wzrok. Ubrane są w strzępy starych zasłon, plandek z barek, worków, a także w poszarzałe falbany ze starych koszul, przypominające kłęby brudnej morskiej piany. Groźbę zasadzki, groźbę noża mogę znieść, ale taka prosta propozycja... Oczywiście monety zaraz bledną. Stają się lekkie, rzadkie, ziarniste, gdy tylko wezmę którąś w dłoń, by się jej przyjrzeć. Dzieci przyglądają się temu bez słowa skargi.

Ciekawe, kto się jeszcze łapie na tę sztuczkę. Czy nocni goście są aż tak pijani, a może aż tak zdesperowani? Ale i sam ulegam. Wybieram dziecko, które było na tyle bystre, by stworzyć coś bardziej wartościowego z wyglądu – ani pieniądze, ani kamienie, lecz pomięte świadectwa cechowe, obligacje i weksle. Chwytam papiery, w dotyku przypominające zimową mgłę, zgniatam je w pięści, a w zamian rzucam wszystkie znalezione w kieszeni monety. Ruszam dalej, ciskając jeszcze trochę monet za siebie.

W tej okolicy Tamiza w ogóle nie przypomina rzeki, którą znam. Brzeg jest płaski, a woda lśni, opływając zdewastowane nabrzeże. Jeśli się zastanowić, jest dziwnie czysta, a jednocześnie czarna – i z wyglądu twarda – jak polerowany gagat. Promy, dalekie drobne kształty na cynowym tle wieczornego nieba, nie odważają się zapuścić w tutejsze prądy. Należą do innego świata, razem z lśniącymi dziwożarem wzgórzami Krańca Świata. Dzieciaki już gdzieś zniknęły. Zbliżam się teraz do upstrzonego śmieciami przesmyku odległego od wszystkiego oprócz rzeki. Otaczają mnie inne dźwięki, a mewy kołują i wznoszą się w dziwnej ciszy. Tutaj, jak powiedziałyby nigdy niezapisana historia, zakotwiczone między wysypiskami a odpływami ścieków, ocienione kukułczym bluszczem strzelają w niebo ruiny niedokończonego mostu kolejowego, który w poprzednim Wiekusiałował

przedostać się przez rzekę do Ropewalk Reach. Most wciąż unosi się nad zwałami miejskich śmieci niczym przekrzywiona korona. Urywa się w miejscu, gdzie drugie przeszło kotwiczy w rzece, wymachując belkami jak tonący owad. Idę w cieniu żeber mostu, wspinam się na betonowe piramidy i pełne cechowych znaków, mosiężne zielonkawe tuleje. Tu widnieje tarcza herbowa budowniczego, pordzewiała i obrośnięta małżami, choć wciąż leciutko żarząca się eterową wołą sprawczą. Rękawica nurka. Kółko od bloczka. I wszelkie śmiecie, jakie naniosiła rzeka: puszki, zelówki butów, węgorze lin i prezerwatywy, pstrokate mozaiki z kafli i rur.

Wchodzę w górę po łuku przeszła, uważając, by nie zahaczyć płaszczem o żadną z kolumn. Poda mną pojawiają się kłębki mgły ledwie widoczne nad bystrą czarną wodą. Wiją się pomiędzy fundamentami, przypominają ręce, nogi, twarze. Sam most zdaje się rosnąć, belki i dźwigary wirują wokół mnie. Już tu kiedyś byłem, wiem co nieco o tym, jak chronią się odmieńcy. Choć serce mi wali, a dłonie się ślizgają, nie przystaję; i wkrótce po raz kolejny gramolę się na pomost ograniczony jedynie wodą, ziemią i moją rozpaczliwą potrzebą.

Niemal na moim poziomie, blisko miejsca, gdzie balustrada mostu raptownie się urywa, do przeszła przyczepiona jest płatanina martwego metalu, szkła i wyrzuconego przez rzekę drewna. Dalej leży cały Londyn: życie, promy, piękne drzewa i eleganckie budowle. Wspinam się na platformę i przykucnięty przeciskam się drucianą klatką galeryjki, w którą ktoś powtykał odłamki szkła i porcelany. Żeby ozdobić albo żeby grozić. Jeśli zważyć, gdzie się znalazłem, powietrze jest tu zadziwiająco świeże. Pachnie przede wszystkim rdzą.

Odmieniec, który zwie się Niana, mieszka w cieniach na końcu tego tunelu i zdaje się zawsze na mnie czekać w swoim przypominającym tipi lokum. Wstrząsa się, kiedy podchodzę, i przyzywa mnie ręką wyciągniętą spomiędzy zwojów złachmanionej sukni ślubnej.

– Mistrz... – Widzi mnie w świetle miski z kradzionym dziwoblaskiem. Przysiada w najdalszym, najciemniejszym kącie. – W końcu postanowił pan przyjść...

Jej głos, choć brzmi tylko w mojej głowie, jest nijaki, bezbarwny, pozbawiony intonacji.

Przedzieram się przez warstwy wilgotnych kurtyn, niezręcznie uświadamiając sobie, jakich cudów tworzenia trzeba było dokonać, by uwić sobie to wciśnięte między umierające belki gniazdo. Przekrzywione deski, o które się opieram, łapiąc oddech, były pewnie niegdyś paletą pod ładunek, przytroczoną do kołyszącego się pokładu parowca z Mórz Borealnych. A ściana naprzeciwko, usiana punkcikami światła wpadającego przez tysiące otworów po nitach, z pewnością stanowiła część jakiejś wielkiej maszyny. Z eterycznym blaskiem miesza się blade światło dzienne, wpadające przez zmętniałe oko starego iluminatora, poprzez płataninę szklanych rur, których zastosowanie – przecież wciąż ledwie liznałem prawdziwych cechowych tajemnic – jest dla mnie całkiem niewiadome. Próbuję wyobrazić sobie, co się dzieje na wysypiskach, ilekroć ziemiostwory wyrzucą jakiś cenny eksponat, jakie walki toczą kłótniwe mewy, nerwowe smoczowszy, podskakujące dzieciaki. I wszystko to o złamany trzonek, worek wygotowanych kości, urwany kawał żelaza, stare, pogruchothane lampy...

Wzruszam ramionami i uśmiecham się do Niany, jak zawsze rozdarty między zdumieniem, ciekawością a litością. Obok niej leży długa poducha z wyłazającym włosiem. Podzwaniem zasłonką z wiszących na sznurkach zakrętek od butelek i sadowię się na końcu, który wygląda na solidniejszy. Stalowa podłoga zakrzywia się, wisząc dziesięć metrów nad gładką wodą. Ludzie mojego stanu nie powinni siadać w taki sposób. Jednak cieszę się, że znów tu jestem. Czy często spotykam odmieńców, czy rzadko, zawsze mam to dojmujące uczucie, że zaraz odkryje się przede mną jakiś nadzwyczajny, dawno zapomniany sekret.

Teraz Niana wstaje, stopy ma jak zawsze białe i brudne. Przechadza się po tej norze, na pół

dziecko, na pół starucha, nucąc pod nosem i grzebiąc w starych skrzynkach po herbacie. Wyjmuje figurę szachową, białego gońca wyrzeźbionego z poźółkłej kości słoniowej i unosi go do ust.

– Niana, co robisz, kiedy nikogo tu nie ma?

Jej chichot świdruje jak pisk owada.

– Ile razy wy ludzie musicie zadać to pytanie?

– Aż dostaniemy odpowiedź.

– A jaką chce pan dostać? Proszę powiedzieć, to ja takiej udzielę.

– To nieprawdopodobne – mruczę – że jesteście sobą nawzajem zafascynowani...

– Co właściwie nas fascynuje, mistrzu? – Bawełna sukni ślubnej chrzęści jak piasek, kiedy

Niana przysuwa się do mnie. – Chcę to zrozumieć. Co chciałby pan wiedzieć? Mogę spełnić każde pana życzenie – dodaje kokieteryjnie. Jej twarz to rzucony przez szkło cień twarzy. Oczy ma czarniejsze niż u ptaka. – To chyba nie jest kłopotliwa propozycja?

– I oczywiście niczego mi nie obiecasz?

– Naturalnie. Obietnice są zbyt stanowcze. Zna pan zasady.

Wzdycham. Chciałbym, żeby mnie tak nie traktowała, chciałbym poczuć na skórze jej oddech, a nie ową pustkę. Wyczuwa moje spięcie, może nawet jest tym urażona. Wstaje i oddala się ode mnie. Jej rozwarłe nozdrza zieją ciemnością, jak mówią kapłani.

– Masz coś dla mnie?

– Niewykluczone, panie. Zależy, co pan jest gotów mi dać.

– Niana, ostatnio mi mówiłaś...

– Proszę wysilić wyobraźnię, panie. Jest pan człowiekiem bogatym. Co zwykle pan rzuca na szalę?

Trudne pytanie. Zapewne potęgę mego cechu. Oraz siłę mej woli, umiejętności ciała i umysłu, które dzięki niej nabyłem. A może chodzi jej o coś bardziej subtelnego. Wpływy, które muszę mieć, skoro osiągnąłem taką rangę. Myślę o letnich bankietach i zimowych zgromadzeniach wokół stołów z polerowanego cedru kamiennego, w wyłożonych drewnem salach; dyskretny szmer głosów, brzęk kryształów, potężne przyływy i odpływy władzy, pieniędzy, gdy czyjeś zaufanie idzie o lepsze z czyjąś zdradą.

– Proszę, panie. Na pewno to coś, co się u pana najbardziej rzuca w oczy. Coś, co przyciąga do pana ludzi...

– ...Chyba nie chodzi o moje spojrzenie...

– Więc może poudawajmy przez chwilę zwykłych ludzi i dokonajmy tej wymiany? – ciągnie, wchodząc mi w słowo. – Mistrzu, niech mi pan da trochę pieniędzy.

Powstrzymuję się od ściągnięcia brwi. Niana jest jak dziecko. Dam jej pieniądze, a ona udekoruje nimi tę norę, kupi za nie eter i będzie pokpiwać ze mnie tak jak teraz...

– *Proszę zapomnieć o swoich uprzedzeniach* – odpowiada, prawie nie poruszając ustami. – *My naprawdę nie jesteśmy trollami. A już na pewno nie potworami.*

Wiercę się na poduszce, grzebię po kieszeniach, aby pokazać jej, że są puste. Wymacuję jednak coś chłodnego. Przypominam sobie, wydaję, patrzę, jak rozkwita na mej dłoni lekkie niby mgła. Tandetnie wyczarowany weksel, który dostałem od tej biednej dziewczynki. Słowa i pieczęcie iskrzą się i bledną.

– *Widzi pan?*

Wyrywa mi z ręki papier i staje się bezcielesna jak wiatr, choć powietrze ani drgnie. Potem odpływa, przytykając go do nosa, jakby to rzeczywiście był kwiat, wciągając powietrze, jak robił to chyba każdy, wcześniej czy później, próbując sprawdzić, czy rzeczywiście istnieje zapach bogactwa,

władzy, aromat pieniędzy. Zapach, który w istocie składa się z potu, dymu, otępiającego alkoholu i niczego więcej. Ten sam nieświeży odór, którym cuchną ubrania po balu, choćby w najelegantszym z domów.

Niana wchłania wszystko, co pozostało z niknącej materii dokumentu. Zaczyna się ściemniać, popołudnie nasycza się mrokiem, Niana też. Charakterystyczny dziwoblask bijący z mosiężnej misy z eterem wzmaga się w odpowiedzi, Niana zaś płynnie przesuwają się między wiszącymi puszkami, butelkami i zasłonami. Obawiam się jednak, że to wciąż jakiś odgrywany przede mną żart. Przez nieskromne rozdarcia i dziury w przedwiecznej ślubnej sukni widzę ziejącą czarną pustkę. Boję się, że każe mi czekać bez końca.

– Wiem, panie, że między nami ziele przepaść, pustka. Ale proszę pomyśleć o swoim dzisiejszym spacerze przez Easterlies. Nieważne, czy pójdzie się w dobrą, czy złą stronę, do wymarzonego miejsca nigdy nie jest zbyt daleko. Kto wie, gdzie tak naprawdę kończy się ta granica albo gdzie zaczyna? Pan jednak zauważył zwykłych ludzi. Panu podobni często świadomie ich ignorują. Partacze z Easterlies. Wie pan jak otępiali mogą się stać, mimo że ciało w ogóle im się nie zmienia... – Jej chichot dźwięczy mi w czaszce. – *Gdyby tylko pan mógł się zobaczyć, w tej mrocznej pelerynie, w ciemnych butach, z dziurami zamiast oczu, obwisłą szczęką, z nocnym zapachem starości i śmierci, który trzyma się pana nawet teraz...*

Przez mętny iluminator już prawie nie wpada światło. Całkiem jakbym tu był sam, jeśli nie liczyć jej szeptu jak szmer morza. Nawet stara suknia ślubna zlała się z cieniami. Niana, obłoczek mgły, zagląda do skrzynki po herbacie. Kiedy wyciąga z niej grzechoczące oszczepy ze starych karniszy, kłęby szmat i wiórów, staram się zapanować nad podnieceniem, które zawsze ogarnia mnie w takich momentach.

– Gdzieś tu było, na pewno... – mruczy prozaicznie.

Bezwiednie wzdycham. Dziwne, ale w tej chwili chcę stąd uciec, pędzić ulicami do mego eleganckiego domu na Linden Avenue, z powrotem do roli wielkiego mistrza cechowego. To uczucie pozostaje stłumione, w końcu całkiem zanika, gdy Niana podpływa ku mnie, lśni, zmienia się, jest wszystkimi stworzeniami naraz, dziwami, które strach sobie wyobrazić, uśmiecha się coraz szerzej. Lepiej zostać tutaj – czekać, aż dokona się wymiana.

– Powiedz, Niano, nie tęskni ci się za...

– *Zapachem świeżej trawy na wiosnę, panie. Dotykem klejnotów z lodu na Boże Narodzenie. Żukami połyskującymi jak brosze. Chmurami bez końca zmieniającymi ubrania. Biegiem z góry, kiedy zaśmiewasz się i nie możesz przestać. A ja zadawałam się moją miseczką gwiazd. I cieszę się, że tu przychodzicie – pan i panu podobni, nawet jeśli wasze drobne prośby, wasze życzenia budzą we mnie litość. Dlaczego wy, cechowi, po wszystkim co musicie przejść, chcecie jeszcze być nawiedzani przez trolle, odmieńców, półtrzczywiste wiedźmy, wampiry, syreny stare jak Matuzalem?*

– To nie tak. Ja nie chcę...

– *A czego pan chce, mistrzu?*

– Wiedzieć...

– *Obdarzyłam już pana, kiedy wzięłam, co pan mi proponował. Zrobiłam wszystko, o co pan prosił. Teraz pana kolej. Aby wziąć, co mam, musi pan również coś dać.*

Otóż to – typowe, śmiechu warte targi z odmieńcem. Jestem na pustym moście, ponad bystrą rzeką, a Niana rysuje w powietrzu symbole, których nie zna żaden cechmistrz. Rozlewają się wokół mnie srebrem. Zakwitają letnią burzą. Czuję, jak stalowa budowla napręża się i rośnie, ruina mostu wraca do życia, którego nie dane jej było zaznać przez upadek poprzedniego Wieku, nabiera kształtu

i olbrzymieje nad wodą. Całe miasto się przeobraża, wysypiska śmieci znikają. Dochodzi do tego napawający dreszczem pomruk zbliżającej się maszyny. Łoskocze nad belkami i dźwigarami, sypiąc dym i iskry.

Niana przysiada przede mną; głębokie otwory jej oczu widzę tuż przed twarzą. Mruga raz, drugi. Uśmiecha się.

– *Więc proszę mi powiedzieć, mistrzu...* – Jej palce wiją się wokół mnie jak dym. – *Jak to było, że stał się pan człowiekiem...*

CZEŚĆ II

ROBERT BORROWS

To było największe rozczarowanie mojego życia. W dojrzałym wieku ośmiu lat, w mroźny, jak zawsze, październikowy piątek, zabrano mi wszystkie marzenia. Stałem potem u stóp schodów Miejskiej Szkoły, i patrzyłem na kolegów z klasy wymieniających piskliwe szczeknięcia ulgi i wesołości pośród dymu i mgły. Dla nas wszystkich był to dzień szczególny, Dzień Próby. Na dowód tego wszyscy mieliśmy na nadgarstkach Znak, stygmat, wzdęty krwawiący pęcherz jak po przypaleniu papierosem.

Parowy ciągnik zagwizdał i potoczył się, turkocząc po bruku ciężkimi kołami. Twarz paromistrza przypominała czarną maskę. Przejęte matki przepychały się przez tłum, wykrzykując imiona swoich potomków. „Widzisz, nie mówiłam, że nie ma się czego bać?”. Mojej matki jednak tu nie było. Cieszyłem się, że nie przyszła, uniknąłem całowania w czoło, czyszczenia twarzy poślinionym palcem, emocjonowania się czymś, co przecież, jak nam w kółko powtarzano, było zwykłe, normalne, powszednie. Inne matki zaraz wdały się w plotki albo pobiegły z powrotem do prania, dzieci zaś zbiły się we wrogie gromadki, przypominając sobie cechy i patronów swoich ojców. Wymieniono spojrzenia, kuksańce, pchnięto tego i owego. Wiedziałem, że zaraz sam się w to wmieszam, więc odwróciłem się i wszedłem na hałdę ziemi przed szkołą, skąd miałbym dobry widok na cmentarz i dolinę, gdyby tylko nie przesłaniała ich mgła.

Podwinałem lewy rękaw. Była tutaj. Blizna, którą miał każdy, kto osiągał mój wiek, wciąż świeże wspomnienie bólu. Blizna, która zostawała na całe życie, stanowiąc niezmarywalny dowód pełnego człowieczeństwa. Znak Starszych, jeśli wierzyć ojcu Francisowi, był najwyższym boskim błogosławieństwem. Pierścienie zaczerwienionej skóry wokół niego wciąż lśniły drobnymi kryształkami maszynowego lodu. Oczywiście, nigdy się w pełni nie zagoi. I o to chodzi. Zawsze pozostanie leciutko lśniący strup, który można, dla swego rodzaju pocieszenia, macać i badać w ciemności.

Cieszyłem się na przyjazd trollowego, mimo że zwiastował cierpienie. Najpierw rozeszły się plotki, że przybędzie. Później pojawili się policjanci – ich listy nazwisk w skórzanych notesach, tupot buciorów w zaułkach, łomot pałek o drzwi. To... i plotki. Kalekie dzieci ukrywane w lochach i na strychach; sześćdziesięcioletni lub starsi pasterze z Brownheath, którzy w jakiś sposób uniknęli tego przez całe życie. Oraz trolle, odmieńcy – tak wielu, że można by spodziewać się kilku na każdym rogu ulicy, a nie tylko na obrzeżach marzeń sennych. Te opowieści pojawiały się z taką samą regularnością co pan trollowy, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem.

Nazywał się zwyczajnie, Tatlow, do tego był zaledwie zwykłym mistrzem Cechu Zbieraczy. Aby zarobić w swój dziwny sposób na życie, musiał zjeździć całe Brownheath z torbą podróżną i małą mahoniową skrzyneczką z narzędziami, błyskając przepustką każdego wieczoru w innym zajeździe. Następnego ranka budził go turkot wozów, przesuwał palcem po pracowicie spisanej liście spraw na dany dzień, aż w końcu, jak sobie wyobrażałem, zatrzymywał krótki, gruby paluch nad moim nazwiskiem: Robert Borrowss...

– Wejdz, chłopcze. Co się tak gapisz? I zamknij te cholerne drzwi... Posłuchałem, wszedłem do gabinetu dyrektora.

– I czemu się tak trzęsiesz? Chyba nie jest zimno?

W kominku trzaskał ogień. Czuję jego ciepło na policzku.

– Nazwisko, chłopcze? Adres...?

Oczywiście musiał już je znać. Wierzyłem w mądrość cechów.

– No?

– Ro... Robert Borrows – wyjąkałem. – Brickyard Row trzy.

– Borrows... Brickyard Row. Przyjdź na tę stronę biurka, dobrze?

Zrobiłem, co kazał trollowy. Zauważyłem, że spodnie miał wyświecone, pogniecione, wypchane na kolanach. Jego twarz też była błyszcząca, pomarszczona, znoszona.

– Kalectwa? Osobliwe zachowania? Czy wiadomo ci, byś ty lub ktokolwiek z twojej rodziny był kiedykolwiek narażony na kontakt z surowym eterem? Jakies narośle, znamiona?

Miałem na ciele kilka małych kropek i pieprzyków, o których chętnie bym mu powiedział, lecz mistrz Tatlow odczytywał listę z wyświechtanej kartki i już przeszedł do następnego punktu. Otarł nos.

– No, chłopcze, podwiń rękaw.

Moje palce zaczęły zмагаć się niezdarnie z guzikiem prawego mankietu, aż powstrzymało mnie westchnienie trollowego. Czerwieniąc się jak burak, podwinąłem lewy rękaw. Nadgarstek był chudy i blady jak obdarta z kory gałązka. Mistrz Tatlow odpiął pokrywę zszarganej skórzanej torby, wyciągnął mały słoik i zwitek waty. Kiedy ją zwilżał, powietrze wypełnił intensywny, ostry zapach. Zdziwiłem się, kiedy podał mi watkę.

– Potrzymaj tym nadgarstek.

Smarując rękę, poczułem ogarniający mnie zimny powiew przeznaczenia. Tego się spodziewałem. Ale nie bolała, nawet skóra się nie zaczerwieniła. Ukazał się jeszcze bielszy skrawek skóry, z błękitnymi żyłkami.

Mistrz Tatlow pozostał niewzruszony.

– Wyrzuć to do kosza.

– Czy to...?

Żle mnie zrozumiał i uśmiechnął się sztucznie.

– Pewnie słyszałeś od kolegów, że Próba boli. Nie wierz w takie rzeczy. To musi przejść każdy. Nawet ja... – Wyciągnął z tej samej skórzanej torby następny pojemniczek, mniejszy. Przez chwilę wydawał się pusty, ale zaraz nappełnił go srebrny blask. Poczulem dziwne dźwięczenie w uszach, ucisk za oczami. Teraz słoiczek już mocno świecił charakterystycznym eterycznym dziwoświatłem, jaskrawym w półmroku, rzucającym cienie w świetle. Gdy mistrz Tatlow rozkładał urządzenie będące skrzyżowaniem bransolety i końskiej uzdy, a potem wsunął mi je na rękę, zapadła taka cisza, że wyraźniej niż kiedykolwiek słyszałem dudnienie eterowych maszyn Bracebridge – szum, bum, szum, bum...

Pojemniczek z eterem, kielich, miał gwint, który łączył się z mosiężną wypustką skórzanej opaski na moim przegubie. Mistrz Tatlow mocno przytrzymał mnie za ramię.

– No, chłopcze, wiesz, co masz powiedzieć?

Przez ostatnie dwa pracokresy nic innego nie ćwiczyliśmy.

– Pan mój Bóg Najstarszy w swej Mocy przyznał mi Błogosławieństwo, za które dziękuję Mu całym sercem i które czcić będę i uświęcać swym trudem. Uroczyście przyrzekam szacunek dla wszystkich cechów, a zwłaszcza dla własnego cechu, cechu mojego ojca, jego ojca i wszystkich jego przodków. Nie będę mówił złego świadectwa przeciwko mistrzom, u których pobieram nauki. Nie będę handlował z demonami, odmieńcami, skrzatami ani wiedźmami. Będę chwalił Boga Najstarszego i wszystkie Jego dzieła. Będę święcił Jego imię w każdą niedzielę... i... i będę... i przyjmuję to znamie jako znak błogosławieństwa płynącego z nieskończonej Bożej miłości oraz jako stygmat mojej ludzkiej duszy.

Mistrz Tatlow, wciąż trzymając mnie za ramię, pokręcił kielichem.

Przez chwilę nie działo się nic. Ale jego uwaga była tak skupiona na mnie, że aż zatchnąłem się ze zdumienia. Jakby przebijał mnie lodowaty gwóźdź. Pędził ku moim ustom krwawym, bolesnym ostrzem, szum, bum... A potem wszystko się uspokoiło i znów stałem przed biurkiem, twarzą w twarz z mistrzem Tatlowem, który błyskawicznie szczęknął zaciskami i zabrał z mojej ręki narzędzie tortur.

– No widzisz – mruknął – wcale nie było tak źle, prawda? Teraz jesteś taki sam jak my wszyscy. Gotów wstąpić do cechu ojca.

Wyszedłem ze szkoły i ruszyłem przez zimną, szybko gęstniejącą jesienną mgłę, zatrzymując się tylko, by zerknąć na spatynowany pomnik Joshui Washstaffe'a, Wielkiego Mistrza z Painswick, który, tak samo jak we wszystkich angielskich miastach, przedstawiony był w niezdecydowanej pozie, w pół gestu. Nie, nie winiłem go za odkrycie eteru. Jeśli nie on, zrobiłby to ktoś inny, prawda? – myślałem sobie. A jeśli eteru nikt by nie odkrył, to jaki byłby świat? Podobno nawet Francuzi z ogonami i kozioocy ludzie z Kitaju też mają swoje zaklęcia i swoje cechy. Mgła wokół mnie zawirowała, przeobrażając ludzi w duchy, a drzewa i domy w wizje krain, których nigdy nie odwiedzę. Kiedy dotarłem na Brickyard Row, do domu, kopniakiem otworzyłem kuchenne drzwi i wpadłem do kuchni, robiąc ślady na podłodze.

– A, jesteś... – Matka nasączoną octem szmatką polerowała garnki. – Zastanawiałam się, co to za rumor.

Opadłem na trójnożny zydel koło pieca i ściągnąłem buty. Nagle poczułem złość na nią: że nie przyszła przed szkołę, żeby martwić się o mnie.

– No i...? Pokaż!

Wyciągnąłem rękę. Później na pewno będę ją jeszcze pokazywał ojcu i Beth. Rana w porównaniu z tymi, które miewałem na kolanach i łokciach była niewielka, a jednak matka oglądała ją dziwnie długo. Wcześniej cały czas mówiła, że to wiele hałasu o nic, a teraz naprawdę była zainteresowana. W półmroku naszej ciemnej kuchni eter wciąż się żarzył. Wreszcie matka wyprostowała się, oparła dłońmi o zimną płytę pieca i wydała przeciągłe, zaskakujące sapnięcie, jak wynurzający się pływak.

– Wiesz, to ważny krok. Teraz jesteś jak my wszyscy.

– Kto my? – pisałem.

Matka znów się nade mną pochyliła. Położyła mi na kolanach ciepłe, poczerwiałe dłonie, aż w końcu uniosłem na nią wzrok. Uśmiechnęła się do mnie tajemniczo.

– Robercie, powinieneś być zadowolony, a nie rozczarowany. To dowód, że...

– Że co?!

Krzyczałem i byłem bliski płaczu. Normalnie dostałbym natychmiast klapsa i siedział przez długą godzinę na górze, zastanawiając się nad swoim zachowaniem, ale dziś matka zdawała się rozumieć, że to coś poważniejszego i – mimo pozorów – nie tak całkiem bezsensownego.

– Próba to część naszej tożsamości, w Anglii, w Bracebridge. Pokazuje, że nadajesz się na cechowego, tak jak twój ojciec. On jest cechowy, ja jestem panią cechową. To pokazuje, że... – Już powoli odwracała ode mnie wzrok. Przycmiony blask ognia za moimi plecami rysował w jej tęczówkach dwie czerwone iskierki. – Pokazuje, że... – Cofnęła się trochę i otarła kącik ust wierzchem dłoni, bo palce miała brudne od śniedzi. – Że dorastasz.

– A te wszystkie historie, które mi opowiadałaś?

– To historie na letnie wieczory. Wyjrzyj przez okno, idzie zima.

*

A potem przyszła niedziela i ojciec Francis stał przed wejściem do kościoła Świętego Wilfreda, witając się z parafianami i rozdając nam, obślinionym dzieciakom, białe szarfy. Stłoczeni

w przednich ławkach, poszturchiwaliśmy się łokciami i oglądaliśmy nawzajem swoje świeże rany. Przed nami stała, niechlujnie wyrzeźbiona z marmuru przez miejscowego rzemieślnika, figura Boga Najstarszego, największego mistrza wśród cechmistrzów. Spoglądała w dół na nas. Gdy zaczęły się śpiewy, gapiałem się na złocone sklepienie i sceny przedstawione na witrażach. Znudzony Jerzy niechętnie zabijał smoka. Inni święci cierpieli potworne tortury w imię swoich cechów.

Ojciec Francis musiał wygłaszać to kazanie w każdy Dzień Próby, a jego monotony głos płynął nad ławkami, dobrze znany jak kołysanka. I wtedy zaczął nas przywoływać do ołtarza. Gdy przyszła na mnie kolej, precisiłem się wzdłuż ławki, cudem nie zahaczyłem szarfą o krawędź ołtarza, ale kiedy po raz pierwszy trzymałem w dłoniach kielich z hymnicznym winem, a ojciec recytował niebiańskie obietnice, myślami byłem daleko. Czułem na sobie wzrok wszystkich wiernych i drżenie ziemi pod stopami. Widziałem smugi, które usta innych dzieciaków zostawiły na srebrnym brzegu kielicha. Zastanawiałem się, co by się stało, gdybym to wypłuł. Jednak wzdrygnąłem się i przełknąłem cierpki czerwony płyn. I było dokładnie tak, jak wszyscy zawsze powtarzali: ujrzałem niebo, gdzie istnieje tylko jeden wielki cech i nie trzeba pracować, gdzie pociągi z czystego srebra pędzą przez nieskończone łąny zbóż, a wśród chmur żeglują uskrzydłone statki. Zdawałem sobie sprawę, jak łatwo uzależnić się od chodzenia do kościoła, ale nawet doświadczając tych wizji, wiedziałem, że je wywołuje domieszka eteru w winie.

Urodziłem się jako Robert Borrows w Bracebridge, w hrabstwie Brownheath w zachodnim Yorkshire, pewnego późnego szóstkowego popołudnia w siedemdziesiątym siódmym roku trzeciego Wieku Przemysłu, jako drugie dziecko i jedyny syn młodszego mistrza w Niższym Cechu Ślusarzy. Bracebridge było wtedy średniej wielkości miastem nad rzeką Withy. Prosperowało na swój sposób, dla podróżnych z ekspresowych dylizansów, które mijały naszą stację bez zatrzymywania, było zapewne nieodróżnialne od wielu innych przemysłowych miast północnej Anglii. A jednak przynajmniej pod jednym względem było niezwykle. Derbyshire miało kopalnie, Lancashire młyny, Dudley fabryki, a Oxford profesorów w powiewnych pelerynach, lecz w tym zakątku Anglii naszym życiem rządził eter. Każdego, kto przybywał wtedy do Bracebridge, uderzała jedna rzecz nie do przeoczenia: dźwięk-niedźwięk przenikający całe miasto. Przenikał wszystkich mieszkańców, stawał się rytmem naszego życia.

Szum, bum, szum, bum...

Odgłos eterowych maszyn.

Koła wodne, które napędzały pierwsze eterowe maszyny na Rainharrow, już dawno stały beczynne; tłoki i pierścienie rdzewiały, zlewnie były puste, okna maszynowni z powybijanymi szybami gapiły się na fabryki, które zajęły ich miejsce. Dolinę zawsze wypełniał dym, hałas i łuna od pieców. W budynkach firmy Mawdingly & Clawtson zarządcy kręcili się jak derwisze, syczały wielokrążki, szczękały łańcuchy. Z Pokładu Maszynowego wbijała się w ziemię potężna pionowa oś, długości stu metrów, nieskalana jak klejnot, choć gruba jak maszt żaglowca i dziesięć razy od niego cięższa. Kręcąc się, przekazywała siłę napędową na Pokład Środkowy w dole, gdzie uszy i płuca robotników stale atakował basowy, szalony rytm potrójnych ramion maszyn eterowych. I oni, i fabryka – a w ten czy inny sposób całe Bracebridge – istnieli po to, by im służyć.

Rozchodząc się promieniście, trzy stalowo-granitowe tłoki z dudnieniem poruszały się wte i wewte – szum, bum, szum, bum... – ekstrahując ze skały eter. Z tłokami łączyły się cienkie jak pajęczyna nici maszynowego jedwabiu wynoszące substancję na górę, gdzie energia rozpraszała się w mętnej wodzie pierwszej z wielu kadzi studzących. Potem eter mieszano, filtrowano, na koniec gotowe fiolki pakowano do wyłożonych ołowiem skrzyń i ładowano na powolne pociągi jadące na wschód, zachód i północ, a przede wszystkim na południe. Tam eter zostanie użyty na dziesięć tysięcy możliwych sposobów, z których, co zawsze mnie uderzało, właściwie nie korzystało samo Bracebridge.

Oczywiście, mówiło się wtedy, że eter jest dla nas czymś naturalnym, ale w Bracebridge dla nas czymś naturalnym było to wydobywanie eteru – łoskot żelaza, wycie syren zmianowych, ciężki tupot buciorów, zgrzyt maszyn, sadza na suszącym się praniu, a ponad wszystko podziemne dudnienie maszyn. Ubijało mąkę w spizarni, przekrzywiało kamienie posadzki w holu. Pękały od niego doniczki i wyszczerbiała się porcelana. Kurz układał się w faliste wzory, a oka tłuszczu w śmietanie tańczyły tęczowymi wzorami. Porcelanowe pieski nad kominkiem potajemnie zamieniały się miejscami, aż w końcu spadały na podłogę. Szum, bum, szum, bum... Ten dźwięk mieliśmy we krwi. Nawet gdy opuszczaliśmy Bracebridge, on zabierał się z nami.

*

Dom, w którym mieszkałem – trzeci z kolei wzdłuż Brickyard Row, tarasowo opadającej w stronę przedmieść, poprzez gęste brzożowe zagajniki, z wieloma innymi uliczkami nazwanymi Row, Back czy też Way, pnącymi się na wzgórze Coney Mound powyżej – stał przez większość

trzeciego Wieku Przemysłu, zanim wprowadzili się do niego moi rodzice. Bracebridge było wtedy na etapie gwałtownego rozrostu, a takie tarasowo ustawione domy, przedzielone podwórkami, zaułkami i blaszanymi dachami zewnętrznych toalet, uważało się za najwydajniejszy sposób ulokowania robotników niezbędnych do obsługi nowych, podziemnych maszyn eterowych, które właśnie budowano, żeby dostać się do głębszych żył eteru. Poza moja klitkę na górze były po dwa pokoje na parterze i na piętrze i mnóstwo dziwnych zakamarków, alków, kredensów i powyginanych przewodów kominowych. Najważniejsza była kuchnia, z której ciepło, dźwięki i zapachy unosiły się na mój stryszek. W niej z kolei najważniejszy był czarny żelazny piec. Ponad nim wisiały na ogół szmaty, buty związane sznurowadłami, pęki szałwii i gałązek iwy, kawałki szynki i słoniny, obwisłe pęcherze wodnych jabłek, mokre płaszcze i co tylko wymagało suszenia. Z drugiego, ciemniejszego kąta niechętnie popatrywał dębowy stół – rywal i pomniejsze bóstwo.

Na piętrze mieliśmy sypialnię od frontu, gdzie spali rodzice, i pokój od tyłu, zajmowany przez Beth, moją starszą siostrę. Tył domu wychodził na północ, wąskie okienka dawały widok tylko na ściany, śmietniki i zaułki. Ja naprawdę miałem szczęście, bo mogłem zająć pokój na poddaszu od frontu. Moje własne, osobiste terytorium. Na Brickyard Row ludzie tłoczyli się ciasno. Ściany były cienkie, a przez cegły przenikał dym, zapachy, głosy. Gdzieś w oddali zawsze płakało dziecko, gdzie indziej krzyczał mężczyzna albo szlochała kobieta.

Moi rodzice – tak jak wielu innych ludzi mieszkających na stokach Coney Mound, w ściśniętych dolnych warstwach wciąż górującej nad Anglią niebotycznej hierarchii klasowej, powyżej nieszczęsnych, bezcechowych partaczy, ale niewiele ponad to – przez lata zmagali się z pracą i życiem codziennym. Nad kominkiem we frontowym pokoju wisiało stare zdjęcie zrobione w dniu ich ślubu. Było tak zniszczone przez dym i wilgoć, że wyglądało, jakby byli pod wodą. I rzeczywiście wydawali się wstrzymywać oddech, sztywno pozując w cieniu brzozy obok kościoła Świętego Wilfreda. Ale to było dawno, zanim urodziła się Beth, zanim urodziłem się ja. Ojciec nie miał wtedy wąsów, a dziarsko uniesiony łokieć i sposób, w jaki obejmował moją matkę, sugerował, że mają przed sobą ciekawe życie. Matka nosiła wianek ze świetlików i piękną koronkową suknię spływającą na trawę pianistymi falami. Bardzo piękna para, nawet dla moich dziecięcych oczu oboje wyglądali zbyt młodo, by brać ślub. Poznali się w firmie Mawdingly & Clawtson, wielkiej kopalni eteru na Withybrook Road. Matka przeniosła się tutaj z podupadającej rodzinnej farmy w Brownheath, a ojciec wstąpił, za przykładem swojego ojca, do Trzeciego Niższego Oddziału Niższego Cechu Ślusarzy. Jeśli wierzyć matce, ich ścieżki skrzyżowały się wiele razy, zanim w ogóle się zauważyli, a w bardziej marzycielskiej wersji ojca spojrzeli sobie w oczy poprzez stół w malarni, gdzie on przyszedł z jakąś sprawą, i natychmiast się zakochali.

Choć brzmi to śmiesznie, nadal wolę opowieść ojca. Widzę matkę wśród wielu innych młodych kobiet, w długiej źle oświetlonej sali, pracującą nad drobnymi przekaźnikami, zanurzającą pędzle w miseczkach z eterem, włosy wysoko upięte, głowa opuszczona. Wymalowuje linie i zwoje, które napełnią wolą sprawczą cechmistrza jakieś narzędzie czy maszynę. Dla ojca, wpadającego tu wprost z hałaśliwej odlewni po drugiej stronie placu, musiał to być cienisty ogród. A matka była podówczas ładna, może nawet piękna, z połyskującymi ciemnymi włosami, łagodnymi niebieskimi oczyma, białą cerą, drobną, zgrabną figurą i małymi, nerwowymi dłońmi. Jeśli pominąć koneksje cechowe jej rodziny, pracę w malarni dostała zapewne dlatego, że z wyglądu nadawała się do takich precyzyjnych zadań; naprawdę jednak była niezręczna, robiła szybkie, gwałtowne ruchy, o których jej umysł zdawał dowiadywać się dopiero po fakcie. W dzieciństwie Beth i ja nauczyliśmy się trzymać z daleka od jej ruchliwych łokci. Ale i tak musiała błyszczeć, w każdym sensie, pośród kapiących eterem zużytych pędzli, gdy dzień zmieniał się w wieczór.

I tak oto moi rodzice spotkali się, zaręczyli w Noc Świętojańską, po czym miały pracokresy i lata. W moich najwcześniejszych wspomnieniach oboje wciąż są dużo za młodzi, by być rodzicami; i dużo za starzy, bo matka ma przygarbione plecy i siwe włosy. Oboje znużyło Bracebridge i potężne ciśnienie angielskiej hierarchii cechowej. Ojciec miał niestały charakter, skłonny do gniewu i słomianego zapału, do rozpoczynania nowych przedsięwzięć, interesów, które zaraz porzucał na rzecz czegoś innego. Kiedy odkrył, że sztywne, tajne struktury Niższego Cechu Ślusarzy nie pozwolą mu na spełnienie ambicji, zatracił ową energię i inteligencję, które zapewne przyciągnęły matkę do niego. Prawie każdego dnia po drodze do domu z fabryki zachodził do „Bacton Arms” na jednego szybkiego, który łatwo przeobrażał się w kilka dużych piw, a w dziesiątek, półdziesiąt i dni świąteczne zataczał się po ulicy, z rumorem wpadał do domu i chwiejnie laź na górę, ze śmiechem krążąc wokół matki, leżącej w łóżku i starającej się nie zwracać uwagi, żartując o tym, co któryś kolega powiedział albo zrobił. W końcu tracił humor i wycofywał się na zydel przed piec, gdzie spędzał noc, gapiąc się na żar w palenisku i zionąc alkoholem. W powszednie wieczory, sposobiąc się do łóżka, rozmawiali ze sobą skrzeknięciami, chrząknięciami, pomrukami, jak dwie pustułki nawołujące się na bagnach – wszystkimi tymi zdaniem, których małżeństwa nigdy nie potrzebują kończyć. Ojciec wieszał spodnie za szelki na oparciu krzesła, ziewał, przeciągał się i drapał przez podkoszulek po piersi, zanim wgramolił się do pościeli.

Widzę ich teraz. Lampa naftowa na komodzie, zabrana przez ojca z dołu, wciąż się żarzy. Matka nie kładzie się od razu, jeszcze chodzi boso po domu, szarpie i targa włosy wielką srebrną szczotką, potem przegląda się w wyblakłym lustrze i na moment zamiera, jakby zdziwiona, że widzi siebie po drugiej stronie. Ojciec trzepie poduszkę, kładzie się i mruczy. Matka odkłada szczotkę i zdejmuje z wieszaka koszulę nocną, wkłada ją na siebie, strzepując szarymi falami, zanim spod spodu wyciągnie bieliznę. Wreszcie gasi lampę i gramoli się do łóżka.

I leżą tak, dwie sylwetki do połowy przykryte ciemnymi kocami i brzemieniem kolejnego pracowitego dnia, oni, którzy kiedyś trzymali się za ręce, wiosną chodzili na spacer, ze śmiechem chowali się pod estradą przed deszczem. Zapadła cisza, na Brickyard Row zmęczone rodziny śpią w komplecie, bezpieczne w swych łóżkach, gdy gwiazdy oświetlają dachy, a od strony podwórza wschodzi księżyc w nowiu. Nie zaszczeka pies. Podwórza są puste. Ostatni pociąg dawno odjechał. Gęsta, aż sycząca cisza opada śnieżnymi falami. A potem, gdy ojciec westchnie, chrząknie i zacznie chrapać, słyszalny staje się głębszy dźwięk. Matka leży na wznak, nieruchomo, lśniąco w ciemności oczyma wpatrując się w sufit. Palcem lewej ręki pociera bliznę we wnętrzu prawej dłoni, w rytm tego nieskończonego dudnienia, przed którym nie ma ucieczki.

Szum, bum, szum, bum...

Przypuszczam, że zawsze byłem trochę inni niż wszyscy – albo wmówiłem to sobie. Marzyłem. Sięgałem wzrokiem ponad dachy, liczyłem gwiazdy, bujałem w obłokach.

Spójrzcie tylko na mnie: mały Robert Borrowś wędruje z matką przez Rainharrow w jeden z tych nielicznych dni roboczych, kiedy nie było nic pilniejszego do zrobienia. Wspinam się na pokopalniane rumowiska, by przysiąść na samej górze, rwać listki i pohukiwać jak sowa, podczas gdy ona zbiera polne kwiatki. Siedząc z plecami opartymi o jeden z ustawionych w koło głazów, które umieścili w tym miejscu ludzie podobni i niepodobni mnie, głazów pokrytych teraz warstwą sadzy i popstrzonych napisami, widzę rozpościerające się pode mną prawie całe Brownheath, wznoszące się i opadające szarościami i zieleniami, z miasteczkami i lasami wyrastającymi tu i tam jak włosy na ciele, aż po szczyty gór Pennine. W pogodne letnie dni jest tu ciepło. W dole, o wiele bliżej, widzę matkę. W czarnym płaszczu i czepku pochyla się pośród jeżyn.

Wreszcie coś znajduje i woła mnie. Złazę na dół i razem przyglądamy się jakiejś maleńkiej roślince, która wychynęła z szarej węglowej gleby. Schylamy się, wrywamy ją i zawijamy w strzęp gazety, zapewniając się nawzajem, że w domu będzie jej lepiej niż tutaj. Nazywamy ją miejscowym mianem, którego nie zaaprobowałby żaden cechowy znawca obłożony łacińskimi księgami. Dla nas jednak wystarcza. Rdest, bylica, świetlik, wrotycz – te nazwy w ustach mojej matki brzmią jak muzyka.

Zabieramy więc roślinkę do domu, wkładamy do doniczki i co rano ustawiamy w najśłoneczniejszym miejscu na parapecie, a wieczorem zabieramy z powrotem, by nie skrzywdziły jej przymrozki. Matka ugniata ziemię palcami, podlewa ją i szepcze listkom zachęcające słowa. A potem, pewnego ranka, budząc się, oprócz smrodu dymu, wilgoci i ludzi, czuję słaby, choć wyraźny, nieznanym zapach. Schodzę, potykając się, po schodach i widzę, że matka puszy się z dumy przed maleńkim kwiatuszkiem, pod którego ciężarem ugina się łodyżka. Jego kolor jest czysty jak farby w pudełku, takich barw nie ma w Bracebridge chyba nic. Kwiaty nigdy nie przetrwały długo, ale te poranki spędzone na zerkaniu co chwila na barwne płatki, na wdychaniu aromatu, od którego aż bolało za oczami jak od bieli pierwszego śniegu, te poranki były naprawdę niezwykle.

Raz czy dwa razy pomyliła się i wróciliśmy do domu z kukułczakiem. W Bracebridge pełno było takich chwastów, tak jak pełno było smoczowszy w fabrykach i wielkoszczurów w norach na brzegu rzeki, gdzie stały stare barki. Nawet dzieciaki wiedziały, że trzeba dokładnie obejrzeć krzaki, nim zaczniesz zbierać maliny czy jeżyny, mogły bowiem sprowadzić nocne koszmary. I nie wkładać nóg w czarno ubarwione pokrzywy wykwitające wzdłuż ścieżek nad złożami eteru, bo powodowały wysypkę, która nie goiła się i krwawiła przez całe pracokresy. Nasi ojcowie wiedzieli też, że trzeba wrywać pędy krwiobluszczu wyrastającego ze ścieków, matki zaś nigdy nie zbierały grzybów rosnących na nadrzecznych łąkach. Lecz łatwo się było pomylić. Gałązka prostych żółtych kwiatów, przypominających duże jaskry, pachnących słodko i śmietankowo, czy wyrastająca spomiędzy paproci niewielka naparstnica, choć już był koniec lata, gnijącym odorem mogła przeniknąć cały dom, jak zepsuta kapusta, a wyziewami zniszczyć najlepszy wazon lub popalić, jak kwas, półkę nad kominkiem. Ale i tak wszystkie starania, owijanie w gazety, otwieranie okien, znoszenie narzekań ojca, były warte świeczki, owego poczucia niespodzianki, odkrywania czegoś nowego, kiedy matka wołała na mnie z podnóża hałdy, rozdzielając łodygi traw i ujmując w palce doskonały kwiat.

Wtedy tyle rzeczy było dla mnie tajemnicą. Szkoła Miejska nie nauczyła mnie niczego poza czytaniem i pisanem, co i tak już pokazała mi matka, a cechowi, jak mój ojciec, zachowywali swe

trudy i sekrety fachu dla siebie i swych kufla z piwem. Mawdingly & Clawtson – to była nazwa, dźwięk, wrażenie i instytucja. Naszym przeznaczeniem była fabryka. Eter był naszym bogiem. Całkiem jakbyśmy wszyscy próbowali odwrócić wzrok od czegoś istotnego i położyć się z głową na dudniącej ziemi, usypiając na całe życie, pełne niekończącego się trudu i rozczarowania.

Od czasu do czasu ryzykowałem kontakt z kukułczymi pokrzywami i zerkaniem przez płot na odstojniki, w których eter katalizował się i wiązał ze zwykłą materią, gęstniejąc aż do czerni w słoneczne letnie dni, natomiast w zimowe świecąc łuną ku górze, jakby odwrócił się fundament nieba. Niekiedy, czy to z nudów, czy z potrzeby ucieczki, schowawszy się w kredensie pod schodami, grzebałem w szmatach, które trzymała tam matka. Były to stare ubrania robocze ojca. Jeszcze lawendowo pachniały pastą do polerowania. W niektórych, przyczepione do szwów, lśniły cząsteczki pyłu eterowego, jak ślady kreślone na niebie przez maleńkie rakiety. A każdej jesieni, jak w zegarku, zaraz po wizycie trollowego, nauczyciele wyjmowali skrzynkę, stawiali ją na katedrze i wywoływali – bądź wyciągali z ławki – któregoś ucznia, aby mógł (bo niemal niezmiennie był to chłopiec) doświadczyć prawdziwej potęgi eteru.

– Kto odkrył eter, chłopcze?

– Wielki Mistrz z Painswick, Joshua Wagstaffe, proszę pana.

– Kiedy?

– Na początku pierwszego Wieku Przemysłu, proszę pana. W roku 1678 według dawnego świętego kalendarza.

To jeszcze było łatwe. Drewniana skrzynka, stara, odrapana, miała zamek ze stalowego skobla na sprężynie, niedawno wymienianego; blokowała go przechodząca z przodu przez otwór grawerowana zasuwa, także na sprężynie. Grawerunek, choć miniaturowy, kojarzył się z cechami, z tajemnicą, z pracą i z prawdziwym światem dorosłych. Nie były to ani litery, ani rysunki, choć ich kształty przywodziły na myśl wijących się tancerzy. Podobne hieroglify widywało się na tabliczkach maszyn, belkach mostów, a nawet, byle jak odbite, na ceglach wielu domów. Symbole były różne w każdym cechu, lecz ja zawsze odnosiłem wrażenie, że stanowią jeden nieskończony tekst, który pewnego dnia będę umiał odczytać.

Tu, w klasie, owe tańczące linie mówiły nam, że zasuwa jest nasączona mocą eteru. Kiedy ją wytwarzano pod wysokim sklepieniem fabryki w jakimś północnym mieście, do gorącego metalu wprowadzono maleńkie drobiny tej substancji. Potem, dzięki cechowym sekretom, metal został obrobiony, wykuty i odlany w kształt, który widzieliśmy przed sobą. Nałożono na zasuwę ochronne zakłęcie, podobnie jak na skobel i przytrzymującą go sprężynę, a potem całość zapakowano w pudła, kartony i wysłano w świat. Jeden egzemplarz wylądował na biurku mistrza Hinktona w klasie C w Szkole Miejskiej w Bracebridge.

Drętwiejąc, wierząc się i ziewając w niezmiennym szkolnym zaduchu, wszyscy oczywiście myśleliśmy, że doskonale wiemy, co to jest eter. Byliśmy w końcu synami i córkami cechowych i mieszkaliśmy w Bracebridge, w cieniu Rainharrow, gdzie tyle tego się wydobywało. Przez ławki czuliśmy głuche, bolesne dudnienie maszyn. Ale eter jest niepodobny do innych pierwiastków i nie dotyczą go prawa fizyki. Jest nieważki i bardzo trudny do okiełznania. W postaci oczyszczonej rozświetla dziwoblaskiem ciemność, ale w jasnym świetle rzuca cień. Co najdziwniejsze i jednocześnie najważniejsze dla wszystkich gałęzi przemysłu i bytów ludzkich, które pomaga utrzymać, eter reaguje na ludzką wolę. Cechowy, po wielu latach terminowania, może za jego pomocą kontrolować procesy przemysłowe w swym fachu. Wielkie maszyny parowe napędzające angielskie fabryki, przewożące produkty młynów i kopalni, bez eteru by stanęły albo eksplodowały od wewnętrznego ciśnienia. Bez eteru zamilkłyby przetykające pola i lasy świecące dziwożarem

telegrafy przekazujące komunikaty, które telegrafisci prześpiewują sobie nawzajem z umysłu do umysłu. Bez eteru zawaliłyby się ekstrawaganckie budowle wielkich miast i mosty spinające brzegi rzek. Lecz za jego pomocą można było wszystko zrobić szybciej, taniej, z gorszych materiałów i – trzeba to przyznać – często mniej starannie, niż wymagają prawa natury. Kotły, które inaczej by wybuchły, tłoki, które by się zatarły, budynki, belki, łożyska, które by popękały i się rozpadły, rodzą się w powietrzu z napędzanych eterem bąbli cechowych zakłęb. Dzięki eterowi Anglia się bogaci, cechy rozkwitają, wyją zmianowe syreny, kominy plują dymem, bogacze żyją w niewyobrażalnie wyuzdanym luksusie, a reszta nas pracuje, kłóci się i walczy o okruchy, które ostały. Nawet inne kraje, złapawszy się we własne dziwożarowe macki eteru i śmiechu warte mity o odkryciu go przez innego wielkiego mistrza niż angielski, dymem i stukiem młotów spełniają marzenia o cechowym przemyśle, a dzikie ziemie pozostają niezbadane. Dzięki eterowi świat obraca się powolnymi, mrocznymi wirami Wieków, ponad wojnami i konfliktami. Bez niego... ale to nie do pomyślenia!

– No, dalej – rzekł mistrz Hinkton.

Rudowłosy chłopak zerknął na zasuwę, potem na tablicę, gdzie widniał fonetyczny zapis tego, co miał wypowiedzieć, dotykając zasuwy, choć tu nawet normalne litery alfabetu wyglądały jak język z Księżyca, do tego zapisany z błędami.

– Trzymaj palec pośrodku, tumanie, bo sprężyna ci go utnie! I czym będziesz wtedy dłubał w nosie, co?

Nerwowe chichoty rozniosły się po klasie.

– Śmiało. Jeszcze będzie z ciebie cechmajster.

W końcu chłopak spróbował. A może tylko odchrząkiwał. Nic się nie stało. Ziemia pod nami zadźwięczała.

– Jeszcze raz, tylko głośniej. Każdy cechowy, który jest coś wart, by to zaśpiewał.

Chłopiec spróbował znowu. Głośny trzask i zamek się otworzył.

– No, podnieś wieko. Zajrzyj do środka.

Mistrz Hinkton miał swój dyżurny żart, polegający na opuszczeniu wieka na głowę chłopca, który zaglądał do skrzynki. Teraz też to zrobił.

– Pusta, prawda? Tak jak twoja głowa.

I wszyscy zaśmialiśmy się z figla tego żałosnego durnia, mimo że go nienawidziliśmy.

*

– Spójrz na to.

Ojciec podwinął rękaw, by pokazać mi splot tatuazu, znak jego eterowego fachu. Ojciec Matty'ego Brady'ego, mieszkającego nieopodal, pracował przy wielkich samozsypnych wagonach do węgla i miał taki na całych plecach, jakby wąż zwinął się tam do snu. Na przedmieściu była też cała ulica cechmistrzów, którym z kciuków wystawały niebieskawe narośle, jakby kolce metalowych róż. Nikt dokładnie nie wiedział, czym się zajmowali, poza tym, że pracowali głęboko w trzewiach ziemi, blisko dudniących maszyn, byli dobrze opłacani i nie żyli długo. Traktowaliśmy te stygmaty – blizny, łuski, ozdobne siniaki, zwane przez nas znakami głowni – z lękiem, zawiścią, podziwem.

Wszyscy mieliśmy poczucie, że gdzieś poza zasięgiem naszego zwyczajnego życia czai się inność – jak zimny mrok kryjący się za księżycowym połyskiem basenu z eterem. Bardziej niż zwolnień z pracy, odciętych kończyn i cechowych sądów dyscyplinarnych baliśmy się, że nadmiar eteru zagoi Znak na naszych nadgarstkach. Wtedy czekał cię straszny los. Stawałeś się trollem, odmieńcem. Oczywiście cechy zajęłyby się tobą i twoją rodziną, tak jak zawsze dbały o swoich członków, ale po ciebie przybywał ciemnozielony furgon trollowego i wywoził do Northallerton, owego legendarnego zakładu, gdzie troszczyliby się o ciebie – i wykorzystywali – do końca życia.

– Wczoraj na Pokład Zachodni sprowadzili jednego z tych trolli – oznajmił pewnego wieczoru ojciec przy herbacie.

– Wiesz co... – Matka upuściła parę groszków z widelca. – Nie powinieneś używać takich słów.

– A co za różnica? W każdym razie był to odmieniec. Sprowadzili go na pomoc, bo uszkodzili młot dźwigniowy do tego stopnia, że rozhartowało się żelazo. Próbowali wszystkich zakłęb i na nic. Ale to typowe dla preserów, wiecie. Z tego co słyszałem, nadal nie działa.

– Udało ci się to zobaczyć? – zapytałem.

– Nie. – Ojciec obracał w ustach zabłąkany kawałek chrząstki. – Ale chłopcy z kuźni prętów przysięgali, że wyglądało jak metalowa jaszczurka i że pozieleniał im chleb w kanapkach.

– Frank, nie opowiadaj swojemu synowi takich rzeczy. To głupie zabobony. Poza tym, Robercie, to nie jest „to”. To są ludzie jak wszyscy inni.

Ale nie byli ludźmi – w tym cała rzecz. Poszarzała skóra, wyłupiaste oczy, kolce jak u jeża, owe ofiary fabryk w naszej dziecięcej wyobraźni nawiedzały zimą ślepe zaułki między domami.

„Idzie Kartoflarz, idzie Kartoflarz, Kartoflany Nos! Idzie Kartoflarz, la la la la la...” – krzyczeliśmy.

Właśnie dlatego że był odmieńcem, że uważaliśmy go za odmieńca, my dzieciaki naśmiewaliśmy się z niego bardziej niż z innych włóczęgów, bezcechowych partaczy, którzy wędrowali po Brownheath, zebrząc, sprzedając bezużyteczne rupiecie, czasem kradnąc. Większość z nich w ogóle nie była trollami. Byli kalekami od urodzenia lub na skutek wypadku, lub po prostu trochę pomyleni. Ale Kartoflarz był przedziwną postacią. Ubierał się w łachmany z kapturem, ciągnął za sobą mały wózek i zdawał się pojawiać w Bracebridge tylko w siwe od dymu zimowe wieczory. Najpierw wiatr pędzący uliczkami przynosił skrzypienie kółek. A potem zjawiał się on sam, wyłaniał z zapadającego zmierzchu. Jego twarz w świetle ulicznych latarni była bardzo zniszczona, a dłonie miał jak rozgotowane kielbasy, tłuste, ropiejące, jak poparzone. Kimkolwiek był wcześniej, teraz jego odmienność przekraczała wszelkie granice.

Matka należała do nielicznych pań cechowych, które zostawiały tym nieszczęśnikom jałmużnę na progu. Stare buty, wygotowane kości w papierowej torbie, czerstwy chleb, okrawki boczku. Czasem, leżąc już w łóżku, słyszałem skrzypnięcie furtki i obserwowałem przez małe okienko sylwetkę człapiącą ku drzwiom i wózek pozostawiony na chodniku. A czasem – co niewiarygodne – ktoś otwierał mu drzwi. Leżałem w ciemności i wyraźnie słyszałem cichutki szmer głosu matki oraz gardłowy pomruk, który mógł należeć tylko do niego. Rankiem sama myśl, że Kartoflarz mógł wchodzić do naszego domu, wydawała się absurdalna.

*

W spokojniejsze wieczory nasłuchiwałem dobrze znanych odgłosów krzątania z dołu: trzaśnięcia szuflady, do której matka odłożyła kuchenne noże, zgrzytnięcia bloczków, gdy podciągała pod sufit suszarkę pełną ociekającego prania, stęknienia i skrzypnięcia schodów, gdy szła na górę. Chwila ciszy. „Robercie, śpisz?”. Nigdy nie spałem. Kolejna pauza – matka zastanawiała się, czy strome stopnie prowadzące na mój stryszek potraktować jak schody, czy jak drabinę. Gdy w końcu wspinała się pod skos dachu, jej rozpuszczone włosy otaczał obłoczek rozproszonego światła świecy. Przygarbiona pod niskim stropem, przytulając się do mnie przez pofałdowane kapy i koce, łapała oddech.

– Dawno, dawno temu była sobie ładna dziewczyna. Nazywała się Kopciuszek. Mieszkała sama w wielkim starym domu, z macochą i trzema brzydkimi przyrodnimi siostrami.

– Czyli nie była taka całkiem sama, prawda?

– Poczekaj, zobaczysz...

I tak każdej nocy; mity i baśnie z całej Anglii przemieszane z jej i moimi wyobrażeniami. Opowiadała mi historie o założycielach naszego cechu, te z nich, które wolno było poznać kobietom. A potem o Wiekach Królów, kiedy nie było cechów i wszystkie ludy bezsensownie walczyły ze sobą, rządzone z pałaców złych monarchów, których później sprawiedliwie osądziliśmy i ścięliśmy, o groźnych rycerzach zakutych w stal, o Arturze, szalonej królowej Elżbiecie i Boadicei, co walczyła z Rzymianami. I zdawało mi się, że jeszcze wcześniej, przed Wiekami Przemysłu, kiedy nauczono się wysysać z ziemi magię, nawet przed Wiekami Królów cały świat wypełniały cuda większe, niż mogłem sobie wyobrazić. Wspaniałe zwierzęta pojawiające się jak spod ziemi, wyniosłe białe pałace, każde wzgórze porośnięte pięknymi roślinami...

– I wtedy Kopciuszkowi ukazała się Dobra Wróżka.

– Była odmieńcem? Chwila przejmującej ciszy.

– Robercie, to tylko bajka.

– To opowiedz mi coś prawdziwego. Opowiedz mi o Złotobiałej.

– Dobrze. Posłuchaj...

Kiedy w moim pokoiku na poddaszu opowiadała mi o Złotobiałej, zawsze robiła to z uśmiechem i lekkim wahaniem. Jak większość klasy pracującej, w głębi duszy czuła sympatię dla kobiety urodzonej na samym dole cechowej hierarchii, która stała się tak potężna, że zagroziła, choćby na chwilę, wszechwładzy cechów. Jednakże matka była także panią cechową i musiała odczuwać pewne rozdarcie na myśl o tej kobiecie. Złotobiała, której magia przychodziła równie naturalnie jak oddychanie, stanęła na czele powstańców i podeszła z nimi pod mury Londynu. Jeśli jednak wystarczająco długo wstrzymywałem oddech, krzyżując pod kołdrą palce rąk i wywijając palce nóg w moim własnym dziecięcym zaklęciu, w końcu przyjemność opowiedzenia ciekawej historii brała górę.

– Złotobiała... to nie było jej prawdziwe imię. Ale nikt nie wie, jak się naprawdę nazywała, z której części Anglii przybyła, choć wiele miast chce zawłaszczyć tę legendę. Nawet ci głupcy z Flinton, gdzie w ziemi leży tylko węgiel, a przy drodze wyrasta potężna hałda żużlu, nawet oni zapewnijają, że urodziła się tam – uwierzyłbyś w to? Ale słuchaj dalej. Kiedy ludzie zauważyli, że Złotobiała jest odmieńcem, miała szesnaście lat. Sama na pewno wiedziała to od dawna. Widzisz, z wyglądu była całkiem normalna, choć bardzo ładna, a w owych czasach nie było Dnia Próby...

Złotobiała uciekła więc do lasu, który w tamtych czasach pokrywał większość naszego kraju. Tam rozmawiała ze zwierzętami, brodziła przez strumienie i poznała osobliwych ludzi, odmieńców, szaleńców, porzuconych, okaleczonych, partaczy wszelkiej maści – w zasadzie wszystkich, którym eter oraz cechy wyrządziły krzywdę i wyrzekły się ich. I tak, wędrując pośród mglistych drzew, z początku nieśmiała, potem potężniej i piękniej od wewnętrznego czaru, skupiła wokół siebie bohaterów wszystkich legend. Robin Hooda, Lancelota i Panią Jeziora; Królową Śnieżkę, Kopciuszka, Raszpunkę, Króla Głupców i Zielonego Rycerza. Wszystkich.

Obiecała swoim ludziom królestwo, które było jednocześnie nowe i stare. W niektórych podaniach nazywa się je Avalonem, inni mówią o Albionie, chociaż to jest tylko inna nazwa naszego kraju. Ale w najlepszych wersjach baśni, tych, które opowiada się tutaj, jest mowa o Einfeld. Einfeld leży tuż obok naszego świata, a Złotobiałej udało się je odwiedzić, kiedy była mała. Wracając, zabrała ze sobą trochę jego blasku. Einfeld promieniało z jej uśmiechu i właśnie dlatego ludzie się ku niej garnęli, by usłyszeć jej głos i poczuć jej wzrok, który był jak blask słońca...

Potem chciałem, by matka opowiedziała o kolejach tak zwanego Bezbożnego Powstania pod wodzą Złotobiałej – o tym, jak jej obdarta armia wędrowała na południe, aż w końcu ujrzała mury

Londynu ze swego obozu na Wzgórzach Latawcowych.

– Wtedy już poznała Starzyka Jacka. On również był odmieńcem. Miał na rękach ślady tortur, dziury przypominające sęki, i zawsze otaczała go ciemność. Jednak zdawał się pasować do towarzystwa, które skupiło się wokół Złotobiałej, więc chętnie go przyjęła. Starzyk Jack został jej generałem, a zwycięstwa w bitwach były jego zasługą...

Była to najkrwawsza i najmroczniejsza z historii opowiadanych mi przez matkę. Zabrakło w niej jednak ostatecznej bitwy pod murami Londynu, kiedy to Starzyk Jack zdradził Złotobiała i oddał ją, skutą łańcuchami, w ręce cechmistrzów. W naszej opowieści Złotobiała nigdy nie spłonęła na stosie na Clerkenwell. Była to natomiast pełna radości podróż, obfitująca we wspaniałe przygody i niespodzianki, a uzdrowienia i inne cuda zdarzały się niemal przy każdym kamieniu milowym. Wiewiórki skakały z drzewa na drzewo, a ptaki śpiewały ponad wspaniałym pochodem Złotobiałej przez nieskończony las. Jego miękki półmrok przetykany był złotem i cieniami. Już zaraz, za następnym zakrętem, a najpóźniej wieczorem dojdą do miejsca, które im obiecała. Wcale nie był to Londyn, nawet nie Anglia czy Albion, lecz Einfell...

Gdy milkły ostatnie słowa baśni, matka siedziała jeszcze przez dłuższą chwilę, palcami lewej dłoni delikatnie uciskając małą szarą szramę we wnętrzu prawej, którą czasem zauważałem, lecz jej pochodzenia nigdy mi nie wyjawiała. Świeca filowała i błyskała. Śpiewy i las powoli bledły. Gdzieś w oddali szczekał pies, płakało dziecko. Wiatr szeptał w dachówkach, delikatnie falując pajęczynami na poddaszu. A z głębin pod miastem wznosił się ponad drewno i cegły Brickyard Row jeszcze jeden dźwięk. Szum, bum, szum, bum...

– Opowiedz mi coś jeszcze.

Pocałowała mnie w czoło i uciszyła, kładąc palce na ustach. Ich czubki delikatnie pachniały dymem z kominka.

– Robercie, już dosyć cudów jak na jedną noc. Ale ja nigdy nie miałem dosyć.

*

I nadszedł czas świętojańskiego jarmarku na nadrzecznych łąkach. Tego długo oczekiwanego ranka siedziałem w parnej kuchni przy stole, spoglądając na matkę uwijającą się w fartuchu, zastanawiając się, czy naprawdę dotrzyma obietnicy i zabierze mnie tam, żebym mógł zobaczyć prawdziwego, żywego smoka. A potem wyszliśmy na dwór, pod przymglone słońce, ruszyliśmy przez bruk i most z żywostali, któremu miasto zawdzięczało nazwę – i dotarliśmy na łąkę. Był cichy dziesiątek, przed półdzielą, tego dnia jarmark miał rozkwitnąć w całej swej glorii. Stały tu połatane, wyblakłe od słońca pasiaste namioty. Wężę rur maszynowych wiły się między krowimi plackami jak kawałki zgubionych jelit. Dobiegały nas krzyki, stuk młotków. Wszędzie pełno było wozów. Maszyny, które będą napędzać karuzele, niewielkie jak na standardy Bracebridge, drzemały, jałowo klekocąc i ledwo dymiąc, opuszczone przez swoich mistrzów. Czulo się, że przyszliśmy za wcześnie, że nic jeszcze nie jest gotowe. Człowiek w fartuchu jednak wziął od nas pieniądze. Lewą ręką ściskając dłoń matki, w prawej dzierząc lepką kulę anyżkowego lizaka, ruszyłem przez zwiędłą trawę na poszukiwanie smoka.

Stanęliśmy z matką przed sporą, podpartą ceglami budą na skraju pola, wśród ciernistych krzaków, czując zapach gnoju i fajerwerków. Ze ściółki z wilgotnych gazet dziwne stworzenie spojrzało na nas przez drewniane pręty. Jedno oko miało przesłonięte srebrnym bielmem, ale drugim, zielonozłotym, ze szczeliną źrenicy jak u kozła, obserwowało nas. Paszczą wydało ostry, trzaskający dźwięk. Zęby miało popsute. Kiedy rozpostarło przykurczone kikuty skrzydeł, zerwał się rój much, zaraz siadając z powrotem. Na skórze nie miało łusek, była szara, gdzieniegdzie porośnięta kępkami ostrej szczeciny.

To miał być smok? Niepocieszony powlokłem się do domu. Ojciec jeszcze nie wrócił, a Beth była w szkole, dom wydał mi się pusty i zatechły, gdy matka zatrzasnęła za sobą drzwi. W moich ustach i sercu, z gorzkim, smutnym smakiem anyżku łączyło się odległe dudnienie.

Szum, bum, szum, bum...

– No wiesz, Robercie, wcale nie było tak źle, prawda? Przynajmniej zobaczyłeś smoka. Jutro nie dalibyśmy rady przecisnąć się przez tłum.

Wzruszyłem ramionami, wpatrując się w rysy na blacie stołu. Nie wiedziałem wówczas, jak powstają takie stwory: że było to, na swój sposób, wielkie osiągnięcie jakiegoś zwierzmistrza – tak odmienić ciało kota, świni, psa czy kury, by nie dało się rozpoznać, czym było pierwotnie. Czułem jednak, że kłała się w ten sposób świat, bo pobudki, z jakich się to robi, są dokładnym przeciwieństwem ognistego natchnienia, z którego dawno temu, w miejscu zwanym Einfeld, powstawały wszelkie stworzenia zrodzone przez naturalną magię.

– Świat jest pełen niespodzianek. – Matka oparła się biodrem o moje krzesło, położyła łokcie na stole, palcami obrysowując szarawą bliznę we wnętrzu prawej dłoni. – Tylko że niektóre nie są... aż taką niespodzianką, jakiej byś się spodziewał.

Mijały noce, aż nadeszła jesień, kiedy wszyscy cechowi Bracebridge paradowali z bębnami i piszczałkami, w cylindrach i szarfach, a pomniejsze domy cechowe otwierały swe podwoje, by dzieci mogły podziwiać wysadzone drogimi kamieniami księgi i zdobione relikwiarze. Potem od Coney Mound zawiął mroźny wiatr, ogołacając brzozy z liści i skłębiając chmury nad Rainharrow. Ja każdej nocy uśmiechałem się do siebie, gdy matka, niezręcznie jak zwykle, rakiem, schodziła po drabinie z mojego stryszku, z pełgającą, blednącą świecą w dłoni. Wszystkie marzenia, nadzieje, niewyraźne słowa nadal pozostawały ze mną. Wciskałem palce stóp głębiej w wygrzaną przez matkę pościel i starałem się zapomnieć o szumie wiatru na Coney Mound i nieustającym basowym dudnieniu, liczącym miesiące, pracokresy i dni, aż w końcu poszybowałem między księżyc i gwiazdy, patrząc z góry na dymiące kominy miasta Bracebridge i nocny dziwoblask kadzi studzących eter.

Stamtąd, z krawędzi snu, na początku leciutko jak trawa muśnięta wiatrem, potem coraz szybciej, z piskiem, z doliny zabierał mnie nocny ekspres. Stałem na pomoście z paromistrzem, doglądając wielkiej lokomotywy przelatującej przez nędzną stacyjkę naszego nędznego miasteczka. Bracebridge – rozmazane działki, wysypiska śmieci, pola, podwórza, domy, fabryki. Potem wzgórze, dzikie, odludne wzgórze z błędnymi ognikami, dziwnymi odgłosami i chłodnym zapachem torfu i wrzосу ścielącym się wzdłuż połyskujących eterem torów. Pociąg sunął pod konarami lasów, pędził przez Oxford i Slough, przez dymiące miasta przemysłowe, z turkotem przejeżdżał przez potężne łuki ponad wielkimi rzekami i nienazwanymi rozlewiskami, wagony połyskujące bursztynowymi koralikami okien mijały łachy piasku, łodzie żaglowe, porośnięte sitowiem mokradła. Zawoził mnie gdzieś daleko od Bracebridge, a jednak bliżej jakiejś głębszej życiowej prawdy, która zawsze mi się wymykała. I pewien byłem, że prawda ta okaże się czymś wspaniałym.

– Robercie, wstawaj!

Obudziłem się zeszywniały i zmarznięty, w niewygodnej pozycji. Pozbierałem stare płaszcze, które pozsuwały się ze mnie, i uniosłem wzrok ku trójkątnemu okienku poddasza.

– Prędeż! – W kuchni zachrobotła suszarka do ubrań. – Już późno! Była to sama końcówka lata. Nierówne szkło mego okienka po raz pierwszy w tym roku pokryło się zamrozem, białe wzory pulsowały i zmieniały się od ciepła mojego oddechu. Wyplątałem ręce spod przykrycia, żeby dotknąć szybki, narysowałem na niej kółka. Pod brzożami przepływała zniekształcona wersja miasta Bracebridge, przysłonięta kłębam dymu i pary.

– Wychodzimy! – Matka stała teraz u podnóża schodów. – Nie zdążysz zjeść śniadania!

Hałasując, by pokazać, że wstaję, naciągnąłem kraciaste spodnie, koszulę i sweter. Przyszło mi do głowy, że choć jest późno, matka pewnie się spodziewa, że pójdę do szkoły. A więc dzisiejszy dzień był czymś nieznanym, białą plamą na mapie. Słyszało się to w samym tonie jej głosu.

Jedząc śniadanie, przyglądałem się jej bystro przez kuchenny stół. Mieliśmy cały dom dla siebie – Beth już rozdawała uczniom tabliczki w szkole Harmanthorpe, gdzie terminowała jako pomocnik nauczyciela, a ojciec był w pracy, w fabryce Mawdingly & Clawtson. Matka miała pod fartuchem ciemnoniebieską spódnicę i świeżą białą bluzkę. Inaczej, a może po prostu staranniej upięła włosy. Przeszawiiała i układała naczynia kuchenne, jeszcze bardziej niż zwykle sprawiając wrażenie, że myśli zupełnie o czymś innym. Kiedy się krzątała, zauważyłem, że ostatnio schudła, boki jej fartucha stykały się na plecach.

– Dokąd idziemy?

– Daleko.

– A po co?

– Zobaczysz.

Zsunąłem się z krzesła i poszedłem do toalety. Niebo nad podwórzem miało nijaki szary kolor, a powietrze smakowało mdło i pyliście. Zasiadłszy na lodowatej desce, zacząłem studiować strzępy gazet, odrywając je jeden za drugim z gwoździa, na którym wisiały. Najbardziej podobały mi się kawałki tytułów. PROCES. CHWAŁA. TRAGEDIA. Mogłem udawać, że przepowiadają mój przyszły los.

Gdy w końcu wróciłem, matka czekała na mnie w przedpokoju, już ubrana w płaszcz i buty, z parasolką przewieszoną przez jedną rękę i wiklinowym koszykiem nakrytym kraciastą serwetą w drugiej. Westchnęła, kiedy mozoliłem się ze sznurowadłami, potem chwyciła mnie za rękę i wyciągnęła na ulicę, piętą zamykając drzwi frontowe.

Kiedy dzieci były w szkole, a mężczyźni i kobiety w pracy, ulica Brickyard Row była niemal pusta. Rzednące kłębki mgły zbierały się wokół balustrad i żywopłotów, tworząc mętną poświatę, w której nieliczne bielsze ściany i nowe dachówki lśniły jak naczynia w zlewie. Wyleniały szary koń gmerał nosem w worku z obrokiem. Otulona szalem stara kobieta siedziała na schodkach i robiła na drutach. Minał nas, pogwizdując, przysadzisty kominiarz, z nieodłącznym towarzyszem – obłokiem sadzy. Nieco dalej przy drodze jacyś członkowie niższego cechu budowali tanie domy, o ścianach z pojedynczej cegły, powszechnych w okolicach Coney Mound, swymi cechowymi gestami i szeptami wiążąc lichą zaprawę. Nawet w nieco lepszych miejscach Bracebridge nie miało czym błyszczeć. Zimy tu były srogie, a lata krótkie, zdarzały się wichury, powodzie i susze. Miasto wyrosło razem z potęgą cechów. Wielcy mistrzowie znaleźli sposób, by dorobić się na prądzie rzeki Withy, potem

na węglu, parze i żelazie, wreszcie na drogocennym eterze, którego złoża kryły się pod wilgotną, żółtawą ziemią Rainharrow. Zatrudnili bezrolnych chłopów w hutach i fabrykach, potem zmienili starożytny siedmiodniowy tydzień o pogańskich nazwach dni w nowoczesny, dwunastodniowy pracokres, składający się z dziesięciu i pół dnia roboczego i odrobiny czasu na odpoczynek. Ale też zbudowali w Bracebridge nową wieżę z zegarem, parę gospód, które ochrzcili swoimi nazwiskami i ciągnęli z nich niezłe zyski, oraz wielki i brzydki kościół Świętego Wilfreda, z którego w niedzielę wychodzili wierni, promieniejąc wizjami hymnicznego wina; reszta zaś odwiedzała świątynię nieczęsto, z niejasnym przeczuciem czegoś złego.

Tak więc w ów czwartkowy poranek spieszyliśmy z matką do miasta. Wprawdzie marzyłem o podróżach na pomostach nocnych pociągów, lecz miejska krzątania na głównej ulicy nadal mnie fascynowała. W powietrzu unosił się zapach gorącego chleba, gnoju, kapusty, błota. O miejsce na bruku walczyły taczki, powozy, furgony konne i parowe, perszerony i nieskończona liczba pieszych. Górowała nad nimi pobielająca od ptasich odchodów statua Wielkiego Mistrza z Painswick. Uniesione prawe kolano posągu wypolerowały ręce wielu ludzi proszących o błogosławieństwo. A tutaj, dla tych, co mogli sobie na to pozwolić, pewniejsze sposoby na złagodzenie życiowych cierpień. Na wysłanej poduszkami wystawie sklepowej spoczywały nakrapiane cierpniki, które czasem widywałem w artretycznych dłoniach starych i bogatych dam cechowych. Niekończąca się rozkosz (jak sobie wówczas wyobrażałem), płynąca z granitowego jajka potraktowanego eterem albo z czekolad w sąsiedniej witrynie, ustrojonych w pióra jak dzikusy z Thule. W zwykły dzień pociągnąłbym matkę za rękę, żeby zwolniła, dziś jednak jej zdecydowana mina sprawiła, że chłonałem tyle wrażeń, ile zdążyłem, potykając się i rozdziawiając usta. Z góry patrzyło na nas Rainharrow. Tutaj, gdzie ulice zbiegały się, tworząc centrum, stały domy cechowe lepszych cechów, opatrzone ich godłami jak gospody i ogrodzone spiczastymi, lśniącymi, czarnymi parkami. Zauważyłem, jak otwierają się jedne z wypolerowanych drzwi i wychodzi z nich wysoki mężczyzna z obfitymi bokobrodami, wyglądający całkiem zwyczajnie, jeśli nie liczyć brązowego garnituru jak spod igły. Kiedy spojrzał w dół, matka uniosła ku niemu wzrok. Wydało mi się, że oboje drgnęli, rozpoznawszy się nawzajem.

Teraz schodziliśmy w dół wśród fabryk i placów, oddalając się od centrum. Mimo że wyszło słońce, powietrze gęstniało od smolistego dymu. Czułem bliskość maszyn eterowych pod ziemią. Mijaliśmy magazyny oraz odkryty plac, na którym trzymano ziemniostwory. Matka wygrzebała kawałki węgla z pobliskiej hałdy i wsunęła je przez kraty. Poznaczone bliznami, podobne do kretów potwory uniosły się na rdzawych łapach przypominających łopaty, poruszyły ryjami i z zadziwiającą delikatnością pochłonęły czarne orzechy, ziejąc ciepłym oddechem jak z wnętrza pieca.

Zbliżaliśmy się do stacji kolejowej, gdzie na nabrzeża wspinały się słupy telegraficzne. Dziś linie były obciążone, odcinając się dziwoczernią od jaśniejącego nieba. Matka zaczęła studiować wyciągnięty z kieszeni płaszcz rozkład jazdy, jednocześnie oblizując palce z pyłu węglowego, potem, jakby nie doszła do żadnego wniosku, raptownie wepchnęła mnie do wyłożonej ciemną boazerią poczekalni, pełnej długich szeregów pustych, cierpliwych ławek. Przez łukowate okienko widać było jasną salę pełną krzątania. Matka zastukała w szybką rączką parasolki. Sięgając oczyma do blatu, uniosłem wzrok, by podziwiać obfitość włosów w nosie mistrza z Cechu Kolarzy, który przewertowawszy wiele stron, wydał nam dwa grube dziurkowane kartoniki pachnące świeżym atramentem rozmazującym się przy dotyku; wydawały się kryć w sobie kwintesencję sinej dali, choć domyślałem się, że pojedziemy podmiejskim pociągiem na jakąś stacyjkę, o której mało kto słyszał.

Wspięliśmy się na brzęczącą, krętą żelazną kładkę. Stacja kolejowa Bracebridge była zaskakująco okazała, znak ambicji miasta, ambicji, która pozostała niespełniona pomimo obfitości

eteru. Usiedliśmy na ławce na ostatnim peronie. Obok na bocznicę syczało kilka lokomotyw. Słońce zaświeciło jaśniej. Gruchały gołębie. Odstojniki z eterem lśniły czernią na horyzoncie, tuż powyżej pierwszej linii dachów. Puste szyny pusto połyskiwały. Matka postukiwała końcem parasolki w płyty chodnika. Stuk, puk, stuk, puk.

– Gdzie jedziemy?

– Zobaczysz.

Wreszcie zasyczały druty, a semafony skinęły głowami. Na peron wtoczył się pociąg, trzy niskie drewniane wagony zaklekotały, na wprost nas zatrzymała się pchająca je lokomotywa. Pomalowana na czerwono, mała, pordzewiała i stara, z syczącym, ledwo dyszącym kotłem, oszroniona przypominającym sól maszynowym lodem, kryształkami, które wydziela eter, kiedy wyczerpie się jego moc. Bliżej jej było do złomowiska niż fabryki i w niczym nie przypominała opływowych ekspresów z mych snów. Bagażowi zaczęli wynosić worki i wózki. Lokomotywa czknęła i wzdrygnęła się. Wspięliśmy się do pustego wagonu, usiedliśmy na twardych ławkach. Gdy rozległ się gwizd, a stacja w kłębach pary poczęła odjeżdżać, cały w środku zadygotałem. Byłbym szczęśliwy, mogąc tak jechać bez końca, patrzeć, jak Bracebridge znika, ustępując miejsca kolczastym żywopłotom. Patrzeć, jak zbiega unoszą się, a matka spogląda w okno, wymyślać sobie coraz bardziej skomplikowane wersje historii, w której uciekamy razem przed jakimś bezlitosnym wrogiem, opuszczamy miasto na zawsze.

Pola uprawne się przerzedziły. Wzgórza urosły, były zwieńczone skalistymi koronami, jak Rainharrow. Scarside, potem Fareden i Hallowfell. Nasza podróż zdawała się dopiero rozpoczynać... i wtem linia kolejowa zwęziła się do jednego toru, pociąg zwolnił, a widok za oknem przesłoniła zardzewiała tablica z napisem TATTON HALT.

Kiedy stanęliśmy na pustym peronie, pociąg zasapał i ruszył w dolinę, wiejąc mi chłodem po nogach. Nad wzgórzami przesuwaly się rzadkie chmurki. Jedyne śladem ludzkiej obecności była szemrząca pojedyncza linia telegraficzna idąca wzdłuż torów, znikająca w oddali przy wyszczerbionych ruinach starego kamieniołomu.

Nasze stopy zagrzechotały na kamiennej drodze. Matka ruszyła szybko, wymachując energicznie koszykiem i parasolką, ja wlokłem się z tyłu, nieprzyzwyczajony do tak rozległego widoku, w którym dalekie góry niemal się nie przesuwaly. Poza tym coś się zmieniło, coś było nie tak. Nawet sama ziemia wydawała się... Gdy łąka wygięła się w łuk, zmieniając ścieżkę w coś w rodzaju osłoniętego parowu, zaczęło do mnie docierać, że zostawiliśmy za sobą dudnienie eterowych maszyn. Tutaj, wśród olbrzymich głazów, dębów i ostrokrzewów, rozbrzmiewało tylko odległe wycie wiatru. Gdy osłoniły nas zielone i złote gałęzie, powietrze stało się cieplejsze. Tchnęło przedwieczną czystością – i osobliwym bezmaszynowym spokojem. W zaroślach lśniły pomarańczowe, czerwone i złote jagody. Doszliśmy do polany, gdzie nad rzeką garbiły się wierzby. Matka rozścieliła pasiasty ręcznik i usiedliśmy na nim, by zjeść. Odwinąłem z pergaminu kanapki z jajkami i wdychałem ich swojski zapach – kuchni i puszcanych bąków, potem sięgnąłem po eklery, spłaszczone na dnie koszyka jak zepsute ostrygi, wydzielające bokami waniliowy krem. Rzeka pobłyskiwała. Matka przyglądała się, jak jem.

Dalej szliśmy wzdłuż wody. Za zakrętem, cały czas idąc po tej samej ścieżce, natrafiliśmy na porośnięty mchem mur. Musiał mieć wieleset lat, obrosły go już drzewa, przesłaniając u nasady płataniną liści. Rosły tu dęby i brzozy. Zbite masy ostrokrzewu. Rosły spóźnione mleczce, wrotycz, brązowe pokrzywy i ostre kolce jeżyn z owocami przypominającymi owadzie oczy. Gdy skręciliśmy wzdłuż krzywizny muru, las zgęstniał i zrobiło się ciemniej. Dotarliśmy do zniszczonej, porośniętej bluszczem stróżówki i otwartej bramy z kutego żelaza. Przez zachwaszczoną murawę przelewały się

ienie drzew. Zawahaliśmy się oboje. Mieliśmy poczucie, że nie wolno nam tu wchodzić. Uniosłem wzrok na matkę. Minę miała zdecydowaną.

Ruszyliśmy więc i przed nami pojawił się stary dom. Dymniki sterczały z kominów jak palce. Dachy zapadały się i wspinały. Okna lśniły diamentowo. Budynek był na wpół zrujnowany, ale czuło się, że jest na swoim miejscu, jakby wyrósł z ziemi kamień po kamieniu, a teraz z równą łatwością się w nią zapadał. Dopiero po chwili zauważyłem w nim coś bardzo dziwnego. Wzdłuż pogarbionych dachów biegły potężne strumienie i żyły białawego kryształu, połyskując w słońcu jak bańki mydlane. Na lewym skrzydle domu substancja zbrylała się i gromadziła w wielkie narośle, przelewające się przez okapy. Zbliżywszy się, zauważyłem, że również wiele ścian i okien przesłoniętych jest tęczowym bielmem, białym z wierzchu, lecz w głębi opalizującym czernią, wyrastającym w zwoje i ząbkowane kształty przypominające szyszki. Oczywiście rozpoznałem je – to był lód maszynowy, ten sam produkt uboczny zużywającego się eteru, który zauważyłem na kotle lokomotywy. Ale w takiej ilości jeszcze go nie widziałem.

Wspięliśmy się do wejścia po wyszczerbionych półkolistych schodach, które zdawały się wyjęte spod władzy kryształków. Matka zastukała. Powietrze jakby drgnęło, choć ze środka nie dobiegł żaden dźwięk. W końcu rozległ się stłumiony odgłos kroków i szczęk zamka. Osoba, która otworzyła, mogła być w wieku mojej matki, była jednak niższa; nosiła zgrzebną szarą sukienkę i wielkie, okrągłe okulary w srebrnych oprawkach. Przez chwilę, gdy się jej przyglądałem, wydawała się zwyczajna. A potem, gdy zrozumiałem, że zwyczajna nie jest, całe złudzenie jej człowieczeństwa zanikło. Choć nie przypominała w niczym postaci z mojej wyobraźni, od razu wiedziałem, że jest odmieńcem.

– Nie wiem, czy pani pamięta... – zaczęła matka.

– Oczywiście. Oczywiście. Mary... pani Borrow's! Bardzo proszę wejść.

Pod wieloma względami była całkiem zwyczajna; stara, chuda, ogorzała skóra. Niezbyt przypominała trolle i wiźmy z moich nocnych koszmarów i wyobrażeń, a jednocześnie miała w sobie coś, czego nigdy u nikogo nie widziałem. Ta aura, ta chudość, starość i brązowa cera. To oraz wszystko inne, nienazwane, nieświadomione, upewniało mnie, że jestem świadkiem czegoś wykraczającego poza cechy, poza moje życie, poza Bracebridge.

Usłyszałem „ciach!” i zobaczyłem, że gospodyni ściska w chudych palcach sekator. Tak, była stara, a jednak kiedy prowadziła nas przez ogromny, pusty hall, cały czas szczękając sekatorem, można było się spodziewać, że zaraz pofrunie. Na głowie miała słomkowy kapelusz, który mogłaby nosić także moja matka, gdyby akurat nie włożyła czepka. Spod niego uciekały pajęczne nitki siwych włosów. Uszy zaś miała zwyczajne, wcale nie spiczaste. Mrugnij raz, wyda ci się zwyczajna. Mrugnij raz jeszcze, gdy akurat wejdzie w cień, a zniknie. Matka stuknęła obcasami i parasolką. Lśniące strugi lodu maszynowego w plamach słonecznego światła mieniły się blaskiem jak brudny śnieg. Moje buty zaczęły się i tupotały na chybotliwych kamieniach posadzki. Czemu przyjechaliśmy do tego cudacznego, starożytnego domu, niezapowiedziani, choć jakby nie do końca niespodziewani?

– Mary, u ciebie wszystko w porządku? – Gospodyni zrobiła niemal marsową minę. – Pewnie chcesz porozmawiać ze mną w cztery oczy?

– Tak. Jeśli tylko... by się dało. Z uśmiechem skinęła głową.

– A ty jesteś Robert, naturalnie. – Moje imię w jej ustach zabrzmiało magicznie. – Któż by inny? A ja jestem pani Summerton, choć twoja matka, kiedy była w moim wieku, mówiła na mnie Missy...

Bardziej podobało mi się „Pani Summerton”. Dźwięk tego nazwiska wydał mi się ładny,

przyjemnie łechcący wargi i język. Właściwie i sama pani Summerton była prawie że ładna, chociaż stara, przywidła i odmieniona. Ramiona miała chude, sękaty jak łodygi starego bluszczu, a lewy nadgarstek nieskalany Znakiem, ale właśnie tak być powinno. Rozejrzałem się po ciemnych zakamarkach za innymi stworzeniami z mitów i opowieści, spojrzałem także na splekane, zapadające się sufity, parapety okien z wybitymi szybami i przeciskające się przez nie gałęzie pobliskich drzew – na wypadek gdyby inni odmieńcy wisieli tam jak stado nietoperzy. Na oko mieszkała sama – w kącie korytarza wisiała dziecięca skakanka, ale takich osobliwości należało się tu spodziewać. Potem weszliśmy w skrzydło domu, do którego przeniknęły podobne zjawom kłęby nasion dmuchawca. Pani Summerton otworzyła drzwi. Pokój zagracały doniczki z kwiatami, na wpół uschłe łodygi i szczepki, korytka z nasionami, mętne butelki i zielone gąsiorzy oraz coś co wyglądało i pachniało jak worek z końskim nawozem, choć zasypane papierami biurko i wysiedziane krzesła kojarzyły się także z czymś w rodzaju gabinetu. Półkole wysokich okien ponad biurkiem, wychodzących na rozświetlony ogród, nasycalo powietrze barwną mgiełką. Moje zdumienie jeszcze wzrosło, gdy pani Summerton zagęściła tę mgiełkę, zapalając glinianą fajkę.

– Chodzi o to, że... – zaczęła matka, wciąż stojąc, z parasolką i koszykiem sterczącymi po bokach. – Rozumie pani...

– Annalise za chwilę przyjdzie. Wtedy będziemy mogły porozmawiać. – Pani Summerton podeszła do mnie, ściskając fajkę w zwiędłych ustach. Przyjrzała mi się. Byłem z nią niemal równy wzrostem. – Tak pięknie wyrosłeś, Robercie... To wciąż Robert, prawda? Teraz wyglądasz mi na Roberta, choć nie musi tak być przez całe życie... – Wokół niej kłębił się biały dym. Zdawała się przenikać z nim, znikać, nawet kiedy podchodziła całkiem blisko i kładła mi na ramieniu gorącą nieważką rękę. A potem zdjęła okulary. Oczy miała brązowe i błyszczące. Były najzwyklejsze, choć błyszczały zbyt mocno. Wielkie źrenice lśniły jak guziki z polerowanego gagatu. Białka miały połysk wilgotnej porcelany.

Wtem za moimi plecami otworzyły się drzwi.

– Annalise! No wreszcie! Mam dla ciebie zajęcie.

Odwróciłem się z wolna. Po tym wszystkim, co widziałem, zastanawiałem się, jakież to skrzat mógłby mieć tak egzaltowane imię. I rozczarowałem się: Annalise wyglądała zupełnie jak zwykła dziewczynka, mniej więcej w moim wieku. Ubrana była w sukienkę z krótkimi rękawami, z przybrudzonej białej bawełny i jeszcze brudniejsze, krótkie białe skarpetki, zwinięte w wałki nad znoszonymi sandałami, które musiały mieć już parę lat. Włosy miała jasnoblonde, związane skrawkami aksamitu, wysokie czoło, cerę, która byłaby blada, gdyby ją umyć, i oczy zieleńsze niż rozświetlona słońcem trawa na zewnątrz. Kiedy tak obserwowaliśmy się jak dwa obce sobie koty, skrzywiła się ze znudzenia. Wyglądała trochę jak lalka, którą ktoś niegdyś kochał, ale pozostawił na deszczu.

– Zajęcie, Annalise, czyli zadanie – ciągnęła pani Summerton. – Mam nadzieję, że przyjemne. To jest Robert Borrow. Myślałam sobie, hm, zastanawiałam się, może byście... – Popchnęła mnie ku drzwiom. Annalise cofnęła się. Chwilę później staliśmy oboje w długim korytarzu.

– Czy ty w ogóle wiesz, gdzie się znalazłeś? – zapytała wreszcie. Pokręciłem głową. Spojrzała na mnie pogardliwie.

– Ten dom nazywa się Redhouse. Jeśli cię to interesuje. Bo pewnie nie. Odwróciła się i ruszyła korytarzem. Jeden jej sandał miał obłuzowaną sprzączkę, która podzwaniała cichutko przy każdym kroku. Nie przyszło mi do głowy nic lepszego, więc poszedłem za nią.

– Ty też jesteś odmieńcem, tak?

– A jak myślisz, Roberciku? – Ręce przyciskała do boków, chyba umyślnie. Nie było widać

przegubu. – Co, wyglądam jak odmieniec?

– Nie wiem, to znaczy nie, oczywiście, że nie wyglądasz. Ale mieszkasz tutaj... – Szedłem obok niej, usilnie starając się dotrzymać kroku. – Chociaż wyglądasz całkiem zwyczajnie.

– Czy mnie obchodzi, co sobie myślisz? – mruknęła.

Zareagowałem, zanim zdążyłem pomyśleć. Zatrzymałem się, chwyciłem Annalise za rękę i odwróciłem ją. Powietrze rozdarł cieniutki, niemal niesłyszalny pisk.

– Posłuchaj... – Spojrzałem jej w oczy. Zabrakło mi tchu. Nagle wydało mi się, że zrujnowany korytarz ciągnie się w nieskończoność. – Ze mną jest zupełnie tak samo. Nikt mnie nie pytał o zdanie, czy chcę tu dzisiaj przyjechać. Mogę pójść gdzieś, posiedzieć sobie sam i poczekać na matkę albo mogę zostać z tobą. Właściwie to...

– No dobra...

Wciąż trzymałem ją za lewą rękę tuż powyżej nadgarstka. W palcach poczułem igiełki. Pod brudem, jeśli nie liczyć czerwonych śladów po moim uścisku, nie było żadnego znaku. Niewiarygodne.

– Ale nie myśl sobie, że z tobą jest tak samo jak ze mną – dodała. – Bo nie jest.

Wydała mi się niezwykła. Zapewne ja na swój sposób również byłem dla niej osobliwością: zwykły chłopak, ze zwykłego świata, który rzekomo wcale jej nie interesował. Czulem jednak, nawet wtedy, gdy ruszyła dalej, że nasze przeciwieństwa pasują do siebie. Gdy mijaliśmy pokoje, niegdyś będące prywatnymi sypialniami, teraz zaś pełne gruzu z zawałonych sufitów i złuszczonych ozdobnych tynków, widać było coraz więcej kryształków. Najpierw zniszczoną podłogę przyprószały drobne ziarenka maszynowego lodu. Potem z nielicznych ocalałych belek stropu zaczęły zwisać wielkie, przypominające kandelabry sople.

– Kiedyś mieszkało tu wielu ludzi – rzuciła bez emocji Annalise. – Ale musieli się wyprowadzić. Pracowali przy maszynach eterowych, tak samo jak w Bracebridge.

Więc słyszała o Bracebridge! Lecz nowe pytania i nowe cuda pojawiały się zbyt szybko. Weszliśmy do sali, która sięgała aż po dach domu, przykrytej potężną, owalną, i w cudowny sposób nienaruszoną kopułą świetlika. Z półek, które stały pod wszystkimi ścianami, wysypywały się książki. Sala ta daleko wykraczała poza moje wyobrażenie biblioteki, choć z pewnością pełniła kiedyś taką funkcję. Przenikały się tutaj dwie twarze domu toczące ze sobą cichą wojnę. Poznaczone ciemnymi żyłkami, żarzące się narośle lodu przerastały półki, spływały po schodach połyskującą pianą, tworzyły na posadzce zamrożone fale. Nawet szklana kopuła była w połowie przykryta, jak przymrużone oko. Dotknąłem kawałka lodu. Kryształek był chłodny i kruchy. Pękł z cichutkim chrzęstem. Poczulem na policzku oddech Annalise.

– Lubię tu czytać – powiedziała.

– Ja też lubię czytać, a przynajmniej...

– ...oglądać obrazki, co nie? Jedyne problem to – dodała, zanim zdążyłem zaprzeczyć – że ta biblioteka jest strasznie stara. Książki się rozpadają.

Podniosłem tom z wierzchu wysypanej na podłogę sterty. Strony rozpadły się w pył, jak śnieg. Napawało to smutkiem; tyle ginącej wiedzy.

– Pobawmy się! – zawołała Annalise.

Wdrapała się na regał, wyciągnęła z półki książkę i rzuciła nią we mnie. Przysiadłem. Książka upadła na posadzkę. Grzbiet miała porośnięty kryształkami.

– Lubisz oglądać obrazki? Pewnie nawet nie umiesz czytać! – Kolejna książka świsnęła mi koło ucha.

Trochę zły, a trochę rozbawiony zacząłem wspinać się do Annalise, która uciekała przede

mną, wciąż kpiąc i rzucając książkami. Drewno trzeszczało i sypało drzazgami. Lód maszynowy osypywał się z sykiem.

– A o Platonie słyszałeś?! – zawołała, rzucając z półki nade mną księgę, która rąbnęła o posadzkę głucho jak cegła. – Był to człowiek taki jak ty, tylko że dużo mądrzejszy. Odkrył eter na długo przed Wielkim Mistrzem z Painswick, choć tak naprawdę tylko go wymyślił. To piąty żywioł i porusza się po okręgu, a wszystkie inne po liniach prostych.

Minęła mnie kolejna księga, koziółkując w słupach słonecznego światła, trzepocząc zdobnymi w kamienie okładkami. Przelatywało ich coraz więcej, furkotały kartkami jak ptaki, błyskały barwnymi planszami. Wzlatywały dokoła mnie, potem ślizgały się po szachownicy podłogi daleko w dół. Sam też zacząłem wyrzucać książki, wspinając się z półki na półkę. Wreszcie nastąpiło zawieszenie broni, zesłiśmy z regału i zdyszani położyliśmy się na podłodze wśród pobojuwiska. Podrapane dłonie i kolana miałem przyprószone srebrnobiałym pyłem. Olbrzymia, nieziemska biblioteka cała się nim żarzyła.

– Nie oberwie ci się za ten bałagan? Annalise zachichotała.

– Missy to nie obchodzi. Ona taka jest, pozwala mi robić, co zechcę. – Z bliska miała słonawy, ziemny zapach, jak każde inne dziecko. – Nikt już nie dba o Redhouse. Nikt oprócz nas go nie chce.

Sięgnąłem po najbliższą palców rozpostartą książkę. Annalise oczywiście miała rację, przyciągały mnie głównie obrazki, nie słowa. Tutaj widziałem starożytne drzeworyty z Wieku Królów, ciemne i poplątane jak dym ze wszystkich kominów Bracebridge w środku zimy. Ludzie o psich głowach pożerali trupy. Stwory z obwisłymi piersiami i twarzami jak nadtopione latarnie latały w powietrzu na miotłach. Druk pod spodem był gęsty, pełen dziwacznych „f” i „s”. Na jednej ze stron zobaczyłem coś, co z początku wziąłem za kwiat, dopóki nie zauważyłem, że to, co wydawało mi się słupkiem, było człowiekiem wijącym się na stosie pośród czarnych płatków płomieni.

– Na co patrzysz? – Annalise błyskawicznym ruchem wyrwała mi księgę. Przyjrzała się tytułowi na grzbiecie. – *Compendium maleficarum...* To takie staroświeckie! – Zamachnęła się i gruby tom poleciał tak daleko, że zdawał się znikać w zapyłonym powietrzu. Potem wstała, na moment pokazując mi swoje szare majtki. – Idziesz?

Poszedłem. Annalise otworzyła okno i zeskoczyła w gęstwinę ogrodu. Wśród grządek również piętrzyły się kryształki, gęsta piana, pośród której kwitły róże, a chryzantemy kiwały wielkimi głowami. Annalise zerwała brzoskwinię z gałęzi drzewa przypominającego błyszczącą białą parasolkę. Rozbiła białą skorupę owocu o ścianę z czerwonej cegły i rzuciła go mnie. Kiedy ugryzłem brzoskwinię, dłonie zalał mi sok.

– Z książek możesz się dowiedzieć wszystkiego co ciekawe, nigdzie się nie ruszając – powiedziała beznamiętnie Annalise, kiedy usiedliśmy na trawie obok srebrnej bryły fontanny. – Pewnie mogłabym ci więcej powiedzieć o tym mieście, gdzie mieszkasz, jak mu tam...

– ...Bracebridge...

– ...z książek, niż ty wiesz, choć tam mieszkasz. Wzruszyłem ramionami, skubiąc przetykaną stokrotkami trawę.

– No i w książkach jest też o tych innych rzeczach, które robią ludzie. – Annalise objęła kolana dłońmi. – No wiesz, mężczyźni i kobiety. Kiedy tak się o siebie pocierają i robią dzieci.

– O tym wiem bardzo dużo... jak chcesz, możesz mi opowiedzieć. Podparła się łokciami i wpatrzyła w niebo. Włosy miała teraz bladozłote, niemal jak kryształki wokoło, sukienka mogła niemal uchodzić za białą. Nie była zakłopotana tematem rozmowy, lecz jednocześnie rozumiała, że

to, co wie, jest warte opowiedzenia. Przypuszczałem, że nie może być tu tak całkiem odcięta od świata. Trawa połyskiwała w słońcu, żarzyły się okna dziobatego domu. Jej objaśnienia dotyczące ludzkiego rozmnażania zawędrowały na osobliwe, skomplikowane terytorium języka, który przyswoiła sobie z książek.

– I wtedy wargi mniejsze... W ten sposób wypełniają się ciała jamiste... Łączy się z mięśniami gładkimi...

Słuchałem jej, naprawdę pochłonięty dźwiękiem tych długich, pięknych, niezrozumiałych słów, kojarzących się ze znacznie bardziej egzotycznymi rytuałami niż te, które mogłem sobie wyobrazić, uprawiane przez dorosłych z Bracebridge – już nie mówiąc o moich rodzicach.

– Naturalnie, zygota...

Gdy tak opowiadała, wyciągnięta w słońcu obok fontanny iskrzącej i plującej zamrożonymi falami, białawe ramiączko sukni zsunęło się jej z ramienia. Skóra w tym miejscu była prawie całkiem czysta i porośnięta złotym puszkim. Annalise przestała mówić. Przez chwilę patrzyła na mnie, zamrugała i podciągnęła sukienkę. Zerwała się na nogi i pobiegła w dół pochyłego ogrodu, gdzie podniszczone balustrady otaczały jeszcze większą stromiznę. Pospieszyłem za nią, chwytając się gałęzi, skacząc po kamieniach i korzeniach.

– Nie zawsze tak tutaj było – oznajmiła, kiedy wylądowałem z rumorem obok niej. – Kiedyś mieszkało tu naprawdę mnóstwo ludzi. Pewnie dużo więcej niż w Bracebridge.

Istotnie, nad brzegiem rzeki, u podnóża wielkiego domu, niegdyś stała wioska, teraz do połowy pogrążona w lodzie maszynowym, obrastającym zapadnięte lub zawalone dachy, ozdabiającym draperiami drzwi i okna, kłębiącym się pianą na ścieżkach. Pod stopami kruszył się i chrzęścił. Wspięliśmy się ku ruinom kościoła. Upadła wieża, jak długi grzebieniasty ogon, lśniący i porośnięty łuskami, leżała wśród pochylonych nagrobków. Wydawało się, że jest tu ciemniej i zimniej, czuło się pierwsze powiewy zimy. Ale kiedy Annalise, błyskając białymi łydkami, wspinała się na coś, co dawniej było murem kościoła, w dziwnym przecuciu stwierdziłem, że będzie dobrze, jeśli Bracebridge też spotka taki los – zamrożenie w czasie wśród lodowych ornamentów.

– Nie boisz się, co? – zapytała.

– Pewnie, że nie. Dlaczego miałbym się bać?

Na samym brzegu, tuż przy rzece kryształki urastały w fantastyczne pętle i szpony, woda przepływała przez misterne kurtyny wyrastające z brzegu jak zamrożone wodorosty. Dotarliśmy do znieruchomiałego koła wodnego dawnego młyna. Po splekanych belkach przeszliśmy przez rozlewisko. Osobliwy lodospad przy milczącym kole młyńskim bardzo mi przypominał stare maszyny eterowe na Rainharrow. Zielsko tworzyło gęste, ciemne fale w szklistej wodzie. Bardzo czuło się tu historię. W czasach Drugiego Wieku Przemysłu, kiedy ów młyn pracował, eter wciąż można było znaleźć tuż pod powierzchnią, dlatego maszyny eterowe, jak wszystkie inne, umieszczano po prostu na ziemi, w budynkach. Przez osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt lat wioski takie jak ta prosperowały, rosnąc kamień po kamieniu, dach za dachem, chowając zmarłych i wychowując dzieci, zanim stały się zbyt odległe, by dotarły do nich nowe trasy kolejowe, i położone zbyt wysoko, by dotrzeć tu siecią kanałów. A potem eter zaczął się wyczerpywać. Koło młyńskie kręciło się jeszcze przez pewien czas, dzieci wyjeżdżały za pracą do wielkich miast, jak Sheffield i Preston, a cechowi walczyli, by łożyska przestarzałej maszynierii obracały się nadal, zużywając coraz więcej wydobywanego eteru, tak że coraz mniej pozostawało na sprzedaż.

Ruszyliśmy z powrotem na górę przez zagajnik, gramoląc się przez szeleszczące lawiny kryształu, potem przez ruiny wioski, aż wreszcie dotarliśmy do pełnych blasku ogrodów wielkiego

domu. Widziany od tej strony, od zamrożonej, spienionej fontanny, wydawał się jeszcze bardziej zniszczony. Weszliśmy do środka, ślizgając się bez entuzjazmu po podłogach, dzwoniąc gongami w pustych korytarzach i zbijając stalaktyty lodu, które rozsypywały się, napełniając powietrze słabym blaskiem. Annalise zaprowadziła mnie przez tajemnicze korytarze do wielkiej, mrocznej sali. Okna przysłaniały kurtyny lodu maszynowego, a odrobina światła, którą wpuszczały, lśniła leciutko na jedynym meblu, tak pobielającym i bezkształtnym, aż przez chwilę myślałem, że składa się wyłącznie z grudek lodu. Lecz kiedy Annalise uniosła wieko fortepianu, ustąpiło zadziwiająco łatwo, a klawisze pod spodem nie były zniszczone.

– Umiesz grać? – zapytałem. Odpowiedziała paroma chaotycznymi nutami.

– Robercie, powiedz mi... – Kolejne dźwięki. – Jak tam jest, w Bracebridge?

Oblizalem usta. Od czego zacząć? Na czym skończyć?

– Wiesz... Jest ten dźwięk, czuje się go. Rozumiesz, dźwięk maszyn eterowych. I mieszkamy w szeregowym domku. Jest bardzo dużo takich domków. Moja mama... to znaczy, mój ojciec, jest...

Fortepian znów zadzwęczał.. – Nie o to mi chodzi. Jak tobie tam jest?

Zastanowiłem się chwilę. Pokój wypełniła cisza.

– Jest... – Wzruszyłem ramionami.

– Czy wolałbyś mieszkać tutaj, z Missy? – Ledwie widoczna w mroku, wyglądała jak skulony cień. – Wolałbyś być mną?

– Annalise, ja prawie w ogóle nie wiem, kim ty jesteś. Zachichotała cicho i gorzko jak starucha. Palcami jeszcze raz uderzyła

w klawiaturę. Z potrąconych strun uniósł się kurz.

– Naprawdę cieszę się, że przyjechałem tutaj – dodałem.

– Hm... – Annalise nuciła i chyba nie słuchała.

– Teraz już wiem, że tacy ludzie jak ty nie idą po prostu do Northallerton.

Z hukiem zamknęła wieko.

– Myślę, że powinieneś już wracać do matki.

Pędziłem za nią korytarzami i schodami. W gabinecie pani Summerton dym tytoniowy unosił się znużonymi kłębami wokół roślin. Wydawało się, że obie z matką od dawna siedzą w milczeniu.

– Naprawdę musimy już iść. – Matka powoli podniosła się z krzesła. Po połyskliwych strużkach na jej twarzy poznałem, że płakała. – Rozumie pani, zaraz będzie ostatni pociąg...

– Oczywiście, oczywiście... – Pani Summerton również wstała, uśmiechając się i pobłyskując okularami. Wyszliśmy do olbrzymiego hallu, gdzie maszynowy lód nadal lśnił słabiutkimi iskierkami wewnętrznego blasku. Rozejrzałem się za Annalise, ale zniknęła.

Dwie postacie, matka przygarbiona, a mała pani Summerton równie przedziwna i żywa jak jej dom, popatrzyły na siebie jakby z oddali. A potem, w geście, który w owych czasach był rzadkością nawet wśród członków rodziny, pani Summerton objęła matkę swymi chudymi, brązowymi ramionami. Wstrząsnęło mną to niemal tak samo jak wszystkie cuda, które widziałem w ów magiczny czwartek. Zdawało mi się, że obie zlewają się, a właściwie to pani Summerton stawiała się nimi obiema, urastała na cały hall, na moment olbrzymiejąc w trzepocie skrzydeł.

– Już, już... – Pani Summerton cofnęła się, wyciągnęła rękę i dotknęła nią czoła matki, mamrotała niezrozumiałe słowa, szybko, ostro i wyraźnie, jak zaklęcie cechmistrza. Potem zwróciła się ku mnie, przeszła wzrokiem przez okulary, w których wirami odbijało się światło. – Musisz się troszczyć o matkę – powiedziała, choć prawie nie poruszając wargami. – *Czuję w tobie siłę. I nadzieję, Robercie. Pielęgnuj tę nadzieję. Zachowaj ją jak najdłużej... Zrobisz to dla mnie?*

Potaknałem.

Pani Summerton uśmiechnęła się. Jej dziwny wzrok przewiercał mnie na wylot.

– Do widzenia.

Idąc z matką po białym podjeździe, obejrzałem się jeszcze na dom. Narośle kryształu wyglądały teraz jak miodowy poblask świtu. A ponad nimi błyskały gwiazdy. Jedna, nisko przed nami, na zachodzie, mrugała głęboką, ciemną czerwienią.

Matka chwyciła mnie za rękę.

– Ojcu ani Beth nic nie mów – mruknęła. – Wiesz, jaki on jest... Skinąłem głową, rozmyślając nad słowami pani Summerton.

– I weź ten koszyk. Nie rozumiem, dlaczego przez cały czas ja mam go taszczyć!

Zatem kiedy spiesziliśmy się na ostatni powrotny pociąg z Tatton Hak, niosłem jej pusty kosz piknikowy.

Na Coney Mound jak zawsze toczyło się ciężkie, powszednie życie, a ja byłem rozdarty między cudami z przeszłości i przyszłości. Matka wcale nie musiała mnie prosić, bym nikomu nie mówił o wizycie w Redhouse. Sam z siebie pragnąłem mieć jakiś znany tylko sobie wycinek świata, zwłaszcza zaś coś spoza Bracebridge. Dźwigałem więc ten ciężar w milczeniu, razem z miłymi wspomnieniami owego dnia. Myślałem o Annalise i pani Summerton, a kiedy wędrowałem po mieście, głowę wypełniały mi pytania, których wcześniej sobie nie zadawałem.

Na rynku w Bracebridge znalazłem popękany i wytarty kamienny postument, gdzie niegdyś stały dyby i gdzie jeszcze wcześniej, w chaosie Pierwszego Wieku, być może palono odmieńców – zanim nauczyliśmy się ich łapać i poskramiać. Buszując po miejskiej bibliotece, pociągając nosem nad wilgotnymi stronicami, szukałem pod Z jak Złotobiała, B jak bezbożna, R jak rebelia i O jak odmieniec. Ale kto to właściwie jest odmieniec? Całe to gadanie o zielonych furgonach, trollach, kwaśniejącym mleku i pożeraniu niemowląt wydało mi się zaledwie plotką, podawaną szeptem z ust do ust przez płoty dzielące podwórka na Coney Mound. Lecz w pewnym zakamarku biblioteki, tak mrocznym, wilgotnym i zapomnianym, że same cienie zdawały się stawiać opór, na półce pod sufitem znalazłem tom opatrzony literą C z krzyżem w środku i otworzyłem go.

Wyglądał prawie jak książki w Redhouse, ale w środku zawierał rozmyte zdjęcia koloru nikotynowych plam pośród długich szpalt tekstu. Pomarszczone ciała, skóra podobna ślimaczej albo biała, pokryta wykwitami. Twarze popękane jak łuszcząca się farba. Kończyny porośnięte falbaniastymi błonami.

– Co tam se patrzysz?

Był to Kitchum, mistrz bibliotekarz, półślepy i tak prymitywny, że trudno było sobie wyobrazić, by zatrudniono go tutaj nie w ramach jakiegoś żartu. Klnąc, zabrał mi księgę i wygonił na deszcz.

Lecz ja chciałem się jeszcze tyle dowiedzieć. Zatem trzy dni później, w szary, beznadziejnie powszedni dziewiątek, wyruszyłem jeszcze raz do Redhouse. Wyszedłem z domu o zwykłej porze, ze szkolnym workiem, okrążyłem miasto opłotkami, podeptałem kapustę na zaniebanych działkach, przekroczyłem Withybrook Road i ruszyłem wzdłuż torów kolejowych po zboczu Rainharrow do miejsca, gdzie pojedynczy tor wcinął się w mokradła. Smagany wiatrem, idąc wzdłuż martwej linii telegraficznej, dowlokłem się do ścieżki odchodzącej w bok, poprzez szarzące wrzosa przy starym kamieniołomie. Minęło już południe. Gdy wszedłem do zagajnika, w którym wtedy na polanie rozłożyliśmy się na piknik, późnojesienne słońce znalazło się już rozpaczliwie nisko. Ścieżka była coraz mniej widoczna. Brodząc wśród krzaków i opadłych liści, niepewny, czy nie zgubiłem drogi, wpadłem w popłoch. Ruszyłem biegiem, bez tchu. I gdy już uznałem, że zgubiłem się kompletnie, las zniecka ustąpił i stwierdziłem, że znów stoję na brzegu mokradła. Zapadał zmrok, szarawa ścieżka wiła się w kierunku pustego peronu stacyjki Tatton Halt. Pobiegłem nią, wdzięczny losowi, i pognałem do domu wzdłuż torów, zatrzymując się tylko, by uspokoić klucie w boku. Nade mną telegraf żarzył się słabiutko, przekazując wiadomości, a dużo wyżej zaczynały się skrzyć ułożone w grona i łańcuchy gwiazdy. Jedna, wskazująca kierunek na Coney Mound, była czerwona.

Zmęczony, wystraszony i rozczarowany, szedłem drogą oświetloną gazowymi latarniami i mlecznym poblaskiem kadzi studzących, wspinając się dobrze znanymi ulicami powyżej kościoła Świętego Wilfreda. W każdym kamieniu mokrego bruku odbijała się iskierką ta czerwona gwiazda. Domy były czarne. Wieczór cichy. Wtem usłyszałem wrzask, od którego krew ścięła mi się w żyłach.

Brzmiał, jakby ktoś rozdarł pazurami powierzchnię nocy. Potem w zaułku naprzeciw mnie coś zaszemrało. Zobaczyłem ciemną postać. Jej oczy, tak jak kamienie, płonęły dwiema iskierkami czerwonego światła, a powietrze wokół zdawało się szarzeć i drgać. Noc kurczyła się i pulsowała. W owej chwili pewien byłem, że to sam diabeł postanowił przejść się po Coney Mound, a przynajmniej Starzyk Jack, zgrzybiały i cierpiący ponad wszelką miarę, a wciąż jednak żywy, przyszedł się o mnie upomnieć. Szum, bum, szum, bum... Rozpościerając łachmany, stwór ruszył ku mnie. A ja uciekłem. Dopiero kiedy opierałem się o furtkę od podwórza i z jękiem łapałem powietrze, zdałem sobie sprawę, że właśnie widziałem Kartoflarza. W końcu była to jego pora roku.

*

– Spóźniłeś się na obiad.

Moja siostra Beth ledwo uniosła na mnie wzrok, kiedy opadłem ciężko na zydel koło pieca. Gdy ściągałem buty, z brzękiem postawiła przede mną wyszczerbiony talerz. Przyjrzałem się. Plaster przywiedłego bekonu, parę włóknistych bryłek morskich ziemniaków, żelaznego składnika posiłków biedoty. Ani kawałka chleba.

– Gdzie matka?

– Na górze.

Beth spojrzała tak, że nie pytałem o nic więcej. Nie miała na sobie ciemnego fartucha, w którym zwykle chodziła w domu. Dziobiąc jedzenie, próbowałem sobie przypomnieć, czy dzisiejszy ranek wyróżnia się czymś szczególnym poza tym, że głowę miałem zaprzątniętą swoimi tajnymi planami.

– Mogę pójść do niej?

Beth zagryzła wargę. Jej szeroką, rumianą twarz okalały czarne, lśniące, niedbale przycięte włosy.

– Jak skończysz jeść.

Zaraz potem ojciec wrócił z pracy i poszedł od razu na górę, odpuściwszy sobie mycie. Podkute buty zatupały po suficie, zazgrzytało przesuwane krzesło, zabrzmiał jego głos uniesiony w pytającym tonie, potem pomruk, który mógł być odpowiedzią matki.

Ogień w piecu trząskał i skwierczał. Z sąsiednich domów dobiegał przez cienkie ściany szcęk garnków, trzaskanie otwieranych i zamykanych drzwi, rozmowy. Redhouse wydał mi się bardzo odległy. Ojciec zszedł na dół. Pokręcił głową, gdy Beth zaproponowała mu wystygłe jedzenie, zgarbił się w krzesle, zapalił papierosa i gapił się na niego, aż robak popiołu spadł na podłogę. Na górze było teraz całkiem cicho. Nadchodził wieczór. Zmyłem po sobie talerz, potem na pokrytych bąblami palcach skradałem się po schodach, choć stopnie trzeszczały i skrzypiały jak zawsze. Podest na piętrze zakołysał się w świetle lampy z pokoju matki. Przekradłem się obok drzwi. Nie chciałem tam wchodzić, chciałem iść na strych, położyć się do łóżka i mieć już ten dzień za sobą.

– Robert?

Zawahałem się. Podłoga znów skrzypnęła.

– To ty, Robercie? Wejdz...

Matka podparta dodatkową poduszką, ubrana w lepszą koszulę nocną, wyglądała całkiem normalnie. Jej oczy pobiegły ku cieniom wypełniającym kąty pokoju, potem wróciły do mnie.

– Robercie, wyglądasz na zmęczonego. Masz podrapany policzek. I pachniesz inaczej. Gdzie byłeś?

Wzruszyłem ramionami.

– Tam gdzie zwykle...

Jej ręce spoczywały na kocu, chude i delikatne jak ptasie nóżki. Prawa ścisnęła materiał,

powoli kurcząc się i rozluźniając. Szum, bum... Rytmiczny ruch ustał, kiedy zorientowała się, że patrzę. Przeszedł mnie dreszcz.

– W każdym razie powinieneś iść do łóżka.

Przechyliła lekko głowę, nadstawiając mi policzek. Jej skóra była w dotyku krucha i gorąca.

Kiedy nastąpiła kolejna zima, matka była już bardzo chora. Zrezygnowała ze swych dorywczych prac. Zaczęło brakować pieniędzy, a Beth, na którą spadły dodatkowe obowiązki, oblała egzamin do Cechu Młodszych Nauczycieli. Po wielu godzinach zimnej złości ojcu udało się wreszcie wypełnić formularz podania o zapomogę z Cechu Ślusarzy i dostaliśmy czek. Suma, chociaż skromna, pozwoliła opłacić sporadyczne wizyty odzianego w czarną pelerynę zwiastuna śmierci i niepewności, mistrza z Cechu Lekarzy. Przyglądałem się, jak grzebie w połyskliwej zawartości sakwojaża, brzękając fiołkami, błyskając stalową oprawką okularów i łysiną wśród blasku swych nieskutecznych lekarstw, bezużytecznych zaklęć, nim zaaplikował matce puszczenie krwi i okłady, po których zawsze była nerwowa i gorzej się czuła.

Czasami jednak, kiedy wracałem do domu, nie leżała w łóżku. Siedziała przy ogniu w pokoju, jednym kocem okrywając nogi, drugim ramiona, które wydawały się teraz zbyt wąskie i zbyt strome. Od czasu do czasu nawet wstawiała i puszczać mimo uszu protesty Beth, próbowała coś sprzątnąć lub ugotować. Niezręczna była zawsze, nawet w najlepszych dniach. Któregoś wieczoru zaraz po pierwszych śniegach, wszedłem do domu i zobaczyłem, jak stoi nad stołem kuchennym, usiłując wbić jajka do miski. Wokół niej walały się odłamki skorupki, z palców ściekały białka i żółtka, lśnią w obłoku ciemności, który ostatnio zdawał się cały czas ją otaczać, jakby powoli stawiała się snem. W następnym wieczór włóczyłem się do późna. Tamtego roku, tamtej zimy, wiele razy włóczyłem się do późna.

Coraz częściej padał śnieg albo szklista marznąca mżawka, a pewnej zimnej grudniowej półdzieli ojciec zabrał mnie ze sobą do fabryki. Gdy szliśmy między hałdami węgla i bocznicami, dołączali do nas inni cechowi, których trochę znałem z widzenia, wymachujący skórzanymi torbami na narzędzia, kruszący butami zamarznięte w nocy błoto. Tylne wejście do fabryki było całkiem różne od frontowego, ozdobionego ceramicznymi figurami Opatrzności i Miłosierdzia. Tam czasem przychodziłem po pobory ojca. „To twój chłopak, ta? Opiekujesz się bidną mamusią, ta?”. Wciąż zadawali pytania, na które właściwie nie chcieli usłyszeć odpowiedzi. „Ojciec przyprowadził cię pokazać, ta?”. A potem, na boku: „Coś mało mówi ten twój łobuziak, nie?”.

W hali zwanej Wschodnim Pokładem pracowali wspólnie mężczyźni z rozmaitych cechów. Byli tu żeliwomistrze, dawniej zwani kowalami, metalurdzy, galwanizerzy i stalmistrze, często z poczerniałymi, pokrytymi strupami dłońmi, maszynomistrze i wykończalnicy, z brakującymi palcami, powiązani procesami produkcyjnymi, które starali się nadzorować brygadziści i kierownicy, sami należący do innych cechów albo wyższych izb tych samych. Była to skomplikowana, zawiła struktura, z uświęconymi godzinami spotkań, nagrodami o nic niemówiących nazwach, miejscami pomiędzy pomostami maszyn, gdzie jeden czy drugi gatunek mógł spożywać drugie śniadanie lub wieszać ubrania, ale kiedy ojciec podwinął rękawy i pokręcił trybami napędzającymi maszynę z chropowatego żelaza, uderzyło mnie, że na pierwszy rzut oka jest to miejsce jeszcze bardziej chaotyczne i groźne niż dziedziniec mojej szkoły. Głosy potężniały, intonowane zaklęcia i pospolite przekleństwa przebijały się przez łoskot i wycie maszynierii. Wydawało się, że mężczyźni jednocześnie czują dumę i pogardę dla swej roboty, chlapiąc na prawo i lewo brudnym olejem z puszek, czyniąc dziwne znaki władzy, kiedy bloczek kołysał się zbyt luźno czy groziła złamaniem metalowa rozporoka. Na kilku bezcechowych partaczy, którzy zamiatali podłogi i tłukli smoczowszy, pluło się tutaj, bryzgało smarem.

Stropcock, szef mojego ojca, starszy mistrz o spiczastej szczurzej twarzy, z wielką wiązką piór wypychającą mu górną kieszeń brązowego kombinezonu, podszedł do nas i coś powiedział. Poprzez hałas zrozumiałem z ruchu warg, że zamierza mnie oprowadzić. Popchnął mnie poprzez zaśmiecone korytarze, gdzie miały biura rozmaite niższe cechy, wciągnął mnie do gabinetu zastawionego półotwartymi szafkami na papiery, zwiniętymi rysunkami technicznymi, pozieleniałymi kubkami i zmatowiałymi statuetkami nagród.

– Więc będziesz tu teraz dużo częściej przychodził, chłopcze? – powiedział jakby bez tchu.

Wzruszyłem ramionami.

– Bezczelny mały szczeniak z ciebie. Ponownie wzruszyłem ramionami.

Zapalił papierosa i pstryknął zapalką ponad moją głowę.

– Czemu myślisz, że nadajesz się do Niższego Cechu Ślusarzy? Twój ojciec się nie nadawał.

Po mojemu, miał kurewsko dużo szczęścia, że się tu dostał.

Ja tylko gapiłem się na niego. To, co mówił, tak naprawdę mnie nie wzruszyło. Gdybym był bardziej wyszczekany, pewnie coś bym odpowiedział i na zawsze przekreślił swoje szanse na dostanie się do Niższych Ślusarzy. Mali ludzie, na małych stołkach, z małą władzą, zawsze są najgorsi. Odkasznął flegmę, przez chwilę zastanawiałem się, czy plunie na mnie, lecz ją połknął, zdeptał papierosa i przeszedł naokoło biurka do miejsca, gdzie poplamiona oliwą płachta przykrywała jakiś przedmiot o wielu wierzchołkach. Ściągnął ją. Pod nią był rogaty, nasycony eterem mosiądz głowni. Słyszałem o tych rzeczach, oglądałem je na wystawach w domach cechowych, ale

nigdy jeszcze z tak bliska. Wysoka na pół metra, wyhodowana z naeteryzowanego mosiądzu, wyglądała na coś więcej niż tylko miniaturowy pień i konary wysmaganego wiatrem drzewa. Starszy mistrz Stropcock pogładził żółtymi od tytoniu palcami jeden z wystających rogów. Zamrugał. Przez chwilę, nim doszedł do siebie, błyskał białkami.

– Wiesz, co to takiego? Skinąłem głową.

– To są, synek, moje oczy i uszy. Później, kiedy już wsiąkniesz tu na dobre, kiedy plecy rozbolą cię od schylania, dostaniesz pęcherzy na rękach i hemoroidów w tyłku, a w głowie będzie ci dudniło od hałasu, kiedy zobaczysz, jak chłopaki z jakiegoś podłego cechu kryją się po kątach, żeby zjeść kanapkę, wspomnisz mnie. Synek, oczy i uszy, zapamiętaj to sobie. Oczy i uszy. To nie jest szkółka, a my nie jesteśmy twoimi żalonymi belframi...

Cofnął się. To śmieszne, chyba zapraszał mnie do dotknięcia głowni.

– To jedyna okazja, chłopcze. Więc korzystaj, ile się da...

Wślizgując się pomiędzy starszego mistrza Stropcocka a biurko, dotknąłem jednej z mosiężnych gałęzi, zanim zdążył się rozmyślić. W dotyku była gładka, ciepła i lekko śliska, jak często używana klamka. Potem jakbym się przykleił, zlał z nią w całość. Wpłynęła we mnie fabryka poprzez oplatające ją kable i telegrafy; poczułem cały hałas, trud, wszystkie związane z nią ludzkie istnienia. Mawdingly & Clawtson. Szum, bum, szum, bum... Wielkie zwanie sił, które wydobywały z ziemi eter. Wciągało mnie. Przez druty, telegrafy, szyny. Czulem naraz radość i zawroty głowy. Jak w moich sennych podróżach. Pędziłem po całej okolicy. Wzgórza i doliny, fabryki, fabryki i fabryki. Cegła na cegle, kamień na kamieniu, zbrojone, związane zaprawą, pokryte blachą. Ciało na ciełe. Wielka góra ludzkiego trudu. Kość trąca o kość, dzień o dzień w nieskończonym pochodzie Wieków. I coś ponadto. Coś mroczniejszego niż mrok, mocniejszego niż moc, ale jeszcze rosnącego, rosnącego...

Wypowiedziane szeptem polecenie błyskawicznie oderwało moją rękę.

– Wystarczy już, chłopcze. Nie bądź zachłanny... – Poplamiona oliwą płachta opadła. – Nie zapomnij tego, co? – Podciągnął rękawy bluzy, rozpiął brudny mankiet koszuli. – Widzisz to, nie? – Wewnętrzne strony przedramion i dłoni ozdabiały siniaki w kolorze zachodzącego słońca, wijąc się aż po pęcherz stygmatu. – Widzisz to, chłopcze? Znak głowni. Nigdy, przenigdy masz ich, psiakrew, nie zapomnieć.

Z szumem w głowie ruszyłem za starszym mistrzem Stropcockiem z powrotem korytarzami, potem przez szeroki dziedziniec poprzecinany syczącymi od ciśnienia rurami. Gramoląc się tuż za nim po zewnętrznych schodach, wpadłem znienacka na zatłuszczone siedzenie jego spodni, gdy zatrzymał się w połowie drogi.

– Mistrzu Stropcock! – zawołał ktoś z góry. – Jak się mamy w ten niezbyt pogodny ranek?

– W miarę przyzwoicie, sir.

Stropcock cofnął się schodami, ciągnąc mnie za sobą.

– Dziękuję! Jestem wielce zobowiązany – kontynuował nieznajomy. – A kogóż tam mamy?

Stropcock dał krok w tył. Stał tam potężny mężczyzna z obfitymi bokobrodami, rudą czupryną, odziany w brązowy wełniany garnitur.

– To tylko chłopak jednego z robotników, oprowadzam go. – Stropcock pochylił się nade mną i dodał głośnym szeptem: – To jest, synek, wielki mistrz Harrat. – Najwyraźniej owa osobistość była zbyt ważna, by się sama przedstawić.

– I co sądzisz o naszej fabryce? – zapytał wielki mistrz Harrat.

– Jest... – Zerknąłem na plugawe budynki. – Duża. Starszy mistrz Stropcock sapnął.

– To tylko chłopak od Borrowsov. Lecz wielki mistrz Harrat się zaśmiał.

– Wiesz co, Ronald? Zabiorę ci młodego mistrza Borrowsa i sam go oprowadzę.

– Ale...

– Jeśli nie masz nic przeciwko. Rozumiem, że nie masz? – Wielki mistrz Harrat położył mi rękę na ramieniu i poprowadził przez plac, zanim starszy mistrz Stropcock zdążył cokolwiek odrzec.

– Jak masz na imię? – zapytał zaskakująco miłym, niemal pieszczotliwym tonem.

– Robert, sir.

– A do mnie mów po prostu Tom. Przecież jeszcze tutaj nie pracujesz, prawda? A może już zostałeś przyjęty do cechu? Więc nie ma potrzeby tytułować się oficjalnie, prawda? Możemy po prostu zostać przyjaciółmi... – Uścisnął mi lekko ramię.

Tom – co za niedorzeczna propozycja. Nigdy nie pomyślałem o nim „po prostu Tom”, zawsze był dla mnie wielkim mistrzem Harratem.

Weszliśmy przez kilka par drzwi do nieco lepiej wyglądającego korytarza, potem do sal, gdzie pracowali bardziej wyspecjalizowani robotnicy. Nadzorcy obiegali maszyny, by przywitać mistrza Harrata. Pochylając się nad warsztatami, przesuwając po mojej ręce obciążonymi jedwabiem guzikami kamizelki, zachęcał cechowych do dalszej pracy.

Porozmawiał z mistrzem-opiekunem chowańca na Pokładzie Zachodnim, który ściągając usta w niesłyszalny gwizd, przywołał stworzenie spomiędzy labiryntu wirujących kół zębatach. Futro nieszczęsnego zwierzaka pokrywał zaskorupiały olej, brakowało mu kilku palców. Chowaniec polizał się mimochodem, potem spojrzał na mnie mądrymi, smutnymi oczyma osadzonymi w niemal ludzkiej twarzy. Wydawał się zagubiony tutaj, tak samo jak ja, daleko od domu, od tropikalnej dżungli bajecznej Afryki.

– Twój ojciec pracuje na Pokładzie Wschodnim, prawda? – powiedział wielki mistrz Harrat, zamówiwszy mi wielki kawał czekoladowego ciasta w eleganckiej kantine dla starszych rangą zarządzających. – Jest ślusarzem... a twoja matka pracowała kiedyś w malarni?

Kiwnąłem głową, usta miałem pełne gąbczastej masy i śliny. Byłem zdumiony, że w ogóle słyszał o rodzinie Borrowsov. A potem zaryzykowałem i zapytałem go, czy naprawdę znał mistrzów Clawtsona i Mawdingly’ego. To go rozśmieszyło. Najwyraźniej obaj dawno leżeli na cmentarzu. Fabryka należała teraz do czegoś zwanego akcjonariatem – mogło to oznaczać osoby, choć przeważnie były to cechy albo banki, gdzie cechy trzymały swe pieniądze. Wsypując do herbaty kolejną łyżeczkę cukru, wielki mistrz Harrat wysunął dolną wargę jak dzieciak i ze smutkiem przyznał, że on sam, jako starszy cechowy w Izbie Metalurgów Wielkiego Cechu Uczonych, należy do tak zwanego Zarządu, który podejmuje decyzje wpływające na losy firmy Mawdingly & Clawtson, chociaż jeśli o niego chodzi, tego akurat aspektu swej pracy bardzo nie lubi. Przyglądając mu się zza srebrnych wież pojemników z przyprawami, zdałem sobie sprawę, że już go widziałem. Wtedy wyszedł z domu cechowego i spoglądał ze schodów na moją matkę, gdy szliśmy razem na stację.

Zabrał mnie na Pokład Maszyn, gdzie mieściły się silniki napędzające eterowe tłoki oraz inne ważne maszyny produkujące sprężoną parę i siłę napędową. Spojrzeliśmy w dół, gdzie bulgotały i pulsowały potężne żelazne kotły. Ich naeteryzowane szwy w gorącym półmroku promieniały mocą, którą pomagały opanować i kontrolować. Stałem przed największą i najstarszą z tych maszyn, „zostałem przedstawiony”, jak to określono, jej wielki, przeciekający, stalowy korpus był upstrzony przypominającymi pąkle naroślami lodu maszynowego i rdzy. Spojrzeliśmy w dół z galeryjki. Pracował tam stalmistrz, był tak chudy i blady, jak jego podopieczna wielka i czarna. Nagi do pasa, z dyndającymi szelkami, gładził i namawiał machineę, by znosiła niemożliwe ciśnienia.

– Ta maszyna jest starsza od nas wszystkich! – krzyknął mi do ucha wielki mistrz Harrat. – Kiedyś miała bliźniaczkę, ale to już zupełnie inna historia...

Pośrodku Pokładu Maszynowego znajdował się wał napędzający maszyny eterowe pod ziemią. Był grubszy, potężniejszy i czarniejszy, niż sobie kiedykolwiek wyobrażałem, do tego tak wypolerowany i naoliwiony, że ledwo było widać, iż się porusza. Wielki mistrz Harrat wprowadził mnie do windy i pociągnął dźwignię. Ziemia z łoskotem umknęła do góry. Przez chwilę, gdy opadaliśmy, mijając stemple i druciki telegrafów, było niemal cicho. Potem wszystko inne przytłoczył jeden dźwięk.

Szum, bum, szum, bum...

Kiedy wyszliśmy w tunel, powietrze dudniło mi w płucach. Wielki mistrz Harrat bez słowa wskazał mi kierunek w mokrym ceglany labiryncie ledwo oświetlonym osłoniętymi siatką lampami. Błysnęły mi opiłki żelaza i chropowata powierzchnia jakichś urządzeń. Czy naprawdę cały nasz eter wydobywa się z tej brudnej nory? Powietrze pulsowało, raniona skała wzdrygała się, ziemia wibrowała i jęczała. Każdy krok naprzód, każde mrugnięcie powiek, każdy wdech wymagał nadludzkiego wysiłku. Doszliśmy do czegoś w rodzaju jaskini. Tutaj, na Pokładzie Środkowym, nie było słychać żadnego dźwięku, jedynie nieskończone skurcze. Przynajmniej trzy potężne poziome kolumny maszyny eterowej uderzały w swe łoża ze stali i betonu. Wielki mistrz Harrat przeprowadził mnie tuż obok ich błyskających tłoków, do miejsca gdzie olbrzymim żelaznym czopem wielkości domu, przyśrubowanym do lica skały łączyły się z ziemią Bracebridge. Nazywano to okowami. Stamtąd, opleciona cieniem przedzą jedwabiu maszynowego, łączyła się z maszyną eterową długa na metr, skomplikowanym kształtem podobna do metalowej poczwarki, część zwana jarzmem. Ale moje zmysły już były tym wszystkim przytłoczone. Chyba byłem bliski omdlenia. Wielki mistrz Harrat zauważył pewnie, że zbladłem, i wyprowadził mnie z powrotem przez tunel, który teraz wydał się niemal cichy. Oczekaliśmy przy bramce windy, aż bloczki z łańcuchami zaczną się kręcić. Wciąż było mi niedobrze, czułem zawroty głowy, kiedy patrzyłem w tył wzdłuż wilgotnych ścian. W równych odstępach wystawały z nich guzy lodu maszynowego jak wyciągnięte błagalnie ręce. Potem przyjechała winda.

Z powrotem na powierzchni przeszliśmy przez parę dziedzińców, parę drzwi, do obszernej, wysokiej sali, gdzie zniemacka cichł cały hałas fabryki. Stałem niepewnie, oszołomiony chłodnym półmrokiem. Siedziały tutaj w rzędach młode kobiety, zapracowane pośród zielonkawych obłoków eterycznego blasku. Dziewczyny z malarni – bo były to głównie dziewczyny, wypełniające sobie czas pomiędzy szkołą a macierzyństwem, dopóki ich dłonie i oczy nadawały się do tej niezwykle precyzyjnej pracy. Poszturchiwały się łokciami. Chichotały.

– Tu kiedyś pracowała twoja matka.

Wyobrażałem sobie, jak ojciec pod jakimś pretekstem idzie w kierunku malarni – a zanim wejdzie, przygląda włosy ręką i sprawdza swe odbicie w beczce z deszczówką. W końcu spogląda w twarz matki, oświetloną od dołu dziwoblaskiem trybiku czy zaworka, nad którym akurat pracuje.

Następnie wielki mistrz Harrat zabrał mnie do swojego gabinetu, którego okna wychodziły na zapomniany świat drzew, gazowych latarń i koni pociągowych. W kominku trzaskał ogień. Pachniało wierzbowym drewnem i skórą.

– No jak, Robercie – powiedział, zapalając cygaro i wypuszczając kółko dymu – dalej uważasz, że firma Mawdingly & Clawtson jest duża?

Gapiałem się na książki, wazon i obrazy. Syrena na skale czesała włosy.

– A co myślisz o maszynach eterowych?

– Były takie... – Co mogłem powiedzieć? Wtem uderzyła mnie pewna myśl. – Ze ścian sypie się lód maszynowy, czy to nie oznacza, że eter się kończy?

Wielki mistrz przez chwilę milczał.

– Robercie, wydaje mi się, że powinieneś zaczekać, aż zostaniesz cechowym, nim zaczniesz spekulować na taki temat. Ale tu mam.. – Odłożył cygaro do kryształowej popielniczki i otworzył stojące na biurku drewniane pudełeczko. Wydało mi się piękne w swej prostocie. Wyjął zeń stalową szpulkę i wbił ją, wbijając się końcami w opuszki jego grubych, miękkich palców. Miała bezbarwny połysk i pogrubiała się pośrodku. – To jest, Robercie, jedwab maszynowy. Nad nim trzuci się całe życie twój ojciec, a dokładniej nad budową maszyn do tworzenia maszyn, które produkują maszynowy jedwab. I ja tak samo, mój Cech Uczonych troszczy się, by proces ekstrakcji eteru był wydajny i dokładny...

Chwycił coś niewidocznego i rozciągnął to. Powietrze przeciął leciutki pobłysk dziwoświatła.

– Dotknij go, ale ostrożnie. O tak. Jakbyś głaskał kota... Jedwab, lekki jak wiatr, zaszeleścił mi w palcach.

– Zdziwiająca, prawda, że eter łatwiej przenosi się po czymś tak delikatnym i czystym; przez okowy, przez jarzmo, do góry przez wał maszyny i całe metry skał na powierzchnię? Oczywiście i w samym jedwabiu jest eter. Eter, Robercie, do przenoszenia eteru. Widzisz, jak lśni? Właśnie nad tym naprawdę trzucił się Wielki Mistrz z Painswick przez całe życie. Reszta... – objął okrągłym gestem wszystko poza wyłożonymi drewnem ścianami gabinetu – ...to tylko siła napędowa, ciśnienie. Tak, splot jedwabiu maszynowego w jarzmie jest kluczem... Kiwnąłem głową.

– Oczywiście, ta szpulka jest zanieczyszczona i bezużyteczna. – Delikatnie wyplątał mi nić spomiędzy palców i zwinął ją. – To tylko próbka handlowa... – Włożył szpulkę z powrotem do pudełka i podniósł cygaro, ze smutkiem patrząc na jego wystygły, poczerniały koniec. – No tak, twój ojciec, naturalnie. Twój ojciec... – W tym momencie powietrze rozdarł znajomy ryk syren zmianowych. Była półdziela, więc na powierzchni pracę kończono w południe. – I twoja matka. Lepiej się czuje?

– Lepiej? Ja...

– Musisz przekazać jej moje pozdrowienia. Wszyscy... – Wielki mistrz Harrat zadumał się, sznurując grube wargi, wodząc kciukiem po eleganckiej kamizelce, patrząc gdzieś daleko. – Wszyscy żałujemy, że sprawy nie potoczyły się inaczej. Powtórzysz jej to ode mnie? Że wszyscy żałujemy, że sprawy nie potoczyły się inaczej? – Ponownie położył mi swe miękkie dłonie na ramionach. – Powtórzysz jej to ode mnie, prawda?

W wigilię Bożego Narodzenia spadło jeszcze więcej śniegu. Skrzepy chmur wiły się nad doliną. Mężczyźni wcześniej powlekli się do domów, zgarbieni jak negatywy duchów na tle kłębiącej się bieli. Kominy się zatykały, a podwórza zasypywał biały puch. Sklepy pozamykano, drogi i tory były nieprzejezdne. Bracebridge zostało odcięte od świata. Nawet syrenom zmianowym nie chciało się zawyć. Trzęsąc się z zimna na moim poddaszu, patrząc, jak okienko zawiewa śnieg, słyszałem jeden jedyny odgłos: gęsty, nieskończony szum.

Zszedłem do kuchni, zeszywniały, zmarznięty, z sinymi palcami, szczękając zębami, i okazało się, że piec wygaśł. Ojciec spał przed nim, jak to miał w zwyczaju, odkąd matka zachorowała. Obudził się, chrząkając, gniewny i zły usiłował splukać wodą z zamrożonego wiadra wczorajsze ekscesy w „Bacton Arms”. W końcu zabrał się do rozpalania ognia, podczas gdy Beth próbowała wykombinować coś na śniadanie. Lecz i tak wdzięczni byliśmy losowi za dzień wolny od pracy.

Parę godzin później wyszedłem na zamieć, żeby przedostać się do piekarni na drugim końcu ulicy; stanąłem w suchym, wspaniałym ciepłe bijącym z kafli starego pieca. Nieopodal plotkowali sąsiedzi, a młodsze dzieci biegały po śniegu, od czasu do czasu wpadając z płaczem po jakimś wypadku, niemal nie do poznania pod śniegową skorupą. Wyprawa po pieczyście w niedzielę i święta przeważnie należała do mnie – i nawet to lubiłem, choć raz ciesząc się z towarzystwa, jakie żyło na Coney Mound. Dzisiaj ludzie uśmiechali się do mnie i zadawali współczujące pytania. Kiedy z pieca wyłoniły się pięknie pachnące brytfanny, zauważyłem, że do naszej ktoś dorzucił parę kawałków mięsa, pasternaku, kielbasy i prawdziwego ziemniaka. Przekopałem się przez zaspy do domu, gorący metal przywierał mi do piersi, jak ośrodek mojego gniewu.

Beth nakryła stół kuchenny świeżym obrusem, rozłożyła na komodzie gałązki ostrokrzewu i jeżyn. Ogień w końcu zapłonął, choć trząskał i syczał gniewnie po nocnym zlekceważeniu, a ojciec wpatrywał się we wczorajszą lub przedwczorajszą gazetę złożoną w równy, elegancki kwadrat. Policzyłem nakrycia.

– A co z matką?

– Hm, myślę, że ona...

Wtem przez cienki sufit dobiegł głuchy stuk, potem szuranie. Przerwa. Kolejne szuranie. Wszyscy troje zawstydziliśmy się, bo siedzieliśmy beczynn timer, gdy matka zsuwała się i gramoliła ze schodów. W końcu weszła do kuchni, chwiejnie, z poszarzałą skórą, twarzą lśniącą od potu, obwisłymi włosami i płonącymi niebieskimi oczyma. Jej ręce wydawały się dłuższe i cieńsze, ześlizgiwały się po ścianach, gdy próbowała się podeprzeć.

– Pomyślałam, że może wysię się trochę, skoro dziś jest taki dzień... Ojciec i Beth – rychło w czas! – wzięli ją pod łokcie, podprowadzili do stołu i usadzili, podpierając poduszkami jak lalkę, przed dodatkowym nakryciem, które tymczasem rozłożyłem. Gdy ojciec, syjąc czarnobiałymi iskrami, ostrzył kuchenny nóż z rączką z kamiennego cedru, zauważyłem, że matka ma bose stopy, sinoczarne paznokcie, a Znak na jej lewym nadgarstku jest ledwie widoczną skazą. Szczęknęła chochła, gdy Beth rozkładała na talerze warzywa, każde inaczej pokrojone, w innym domu. Zasyczało, gdy ojciec otworzył butelkę piwa. Kiedy rozkroił mięso, z jego wnętrza pociekła cieniutka strużka krwi.

– Wiecie co – odezwała się matka – zastanawiałam się, czy naprawdę musimy kupować Robertowi nową kurtkę. Dobrze pamiętam, pani Groves powiedziała mi latem, że ma jedną, której jej dzieci prawie wcale nie nosiły. – Mówiła szybko, słabym głosem; przypominało to ostrzenie noża.

– Miałam ryle czasu na myślenie – ciągnęła. – To zadziwiające, co potrafi przyjść do głowy... Pamiętacie, jak parę lat temu zapytałam...? Nie żebym chciała wam mówić, jak macie żyć...

Nic nie jadła, a kiedy próbowała napić się rozmrożonej wody, jej ręka trzęsła się rytmicznie. Potem zaczęła kaszleć, zakrywając usta dłońmi jak żabie łapki. Z palców zwisały długie sople flegmy. Gdy zaczęło zmierzchać, to chorowite, obrzydliwe stworzenie zdawało się promieniować własnym, mrocznym żarem spod skóry przejrzystej jak zaparowane szkło. Nie była to już moja matka i nienawidziłem jej za to. Ze złości chciałem coś rozwalić, połamać jakiś mebel, rozedrzeć kłamliwe ściany tego świata.

Kiedy tylko mogłem, od razu wybiegłem na dwór. Śnieg, szary, burzliwy, piętrzył się pod ciemniejącym niebem. W mieście panowała cisza, śmiertelna cisza, pogrzebowa cisza, bożonarodzeniowa cisza; jej brzegi podwijały się i rozprostowywały, domy marszczyły brwi jak starsi panowie, drzewa i krzewy ugiwały się pod ciężarem olbrzymich śniegowych gąsienic. Wlokłem się dalej, z rękoma w kieszeniach, wydychając kłęby pary, nieświadomie idąc do centrum tą samą drogą, którą szliśmy z matką tak niewiele – tak dużo – pracokresów temu. Oto kościół Świętego Wilfreda, wielki, przysadzisty i brzydki, wryty w ziemię przyporami jak pazurami, za nim rzędy nagrobków płynących przez falujące morze błękitnawej bieli; równe szeregi cierpliwie czekających na zmartwychwstanie trupów, rozróżnialnych jedynie po datach urodzenia i śmierci oraz przynależności do takiego czy innego cechu. Główna ulica była pusta. Poniżej i powyżej, w dół zbocza, gdzie śnieg piętrzył się w potężne fale pod niechętnym spojrzeniem Rainharrow, brakowało codziennej krzątaniny i hałasu. Brama zagrody z ziemiostrworami była zamknięta na łańcuch, potężne zwierzaki leżały cicho i spokojnie na ściółce.

Główne wejście do fabryki Mawdlingly & Clawtson było ciemne i puste, ale dalej w dół, gdzie Withybrook Road zakręcała na północ, znajdowało się inne, dziś pokryte śniegową breją i zaśmiecone kawałkami węgla, błyszczące w świetle latarni, lśniące dziwożarem eterowych kadzi i smutną pustką świeżego śniegu. Gdzieś w oddali zaczął wyc psotwór. Ścisnęło mi się serce, nogi zadrżały. Czuję, jak rośnie we mnie, przenikając przez ziemię, przez wszystko – szum, bum, szum, bum... – to tępe, niekończące się dudnienie.

Wracałem inną drogą, wzdłuż brzegu Withy na tyłach domów, potem wspinając się przez ulice na skraju Górnego Miasta, gdzie mieszkali członkowie lepszych niższych cechów oraz cechów zwykłych, w solidnych domach zbudowanych z grubych warstw porządnej cegły. Przez okna widziałem dzieci bawiące się w blasku kominka, rodziny skupione wokół fortepianów. Doszedłem do głównej ulicy i uniosłem wzrok na wielkie domy cechowe, pnące się w górę pod wygładzonymi śniegiem liniami balustrad, z rozświetlonymi oknami. Nie bardzo wiedząc, co czynię, odnalazłem sztyld Wielkiego Połączonego Cechu Uczonych i pociągnąłem za lodowaty miedziany łańcuszek dzwonek, który niemal zdarł mi skórę z dłoni.

Mężczyzna o beczkowatej klatce piersiowej zmarszczył się na mój widok. Był to kamerdyner, o tym gatunku bardzo niewiele wiedziałem.

– Chciałbym się zobaczyć z wielkim mistrzem Harratem. Widziałem w jego twarzy, jak kalkuluje. Wpuścić tego brudnego ulicznika czy wykopać na mróz i wiatr?

– Proszę poczekać. I wytrzeć nogi.

Zostawiając błotniste ślady, wszedłem do środka i rozglądałem się z niedowierzaniem. Kamerdyner sunął po parkiecie hallu oświetlonego miękkim światłem i ozdobionego niewiarygodnymi ornamentami.

– Robert! I to właśnie dzisiaj! – Wielki mistrz Harrat wypadł przez drzwi. Ramiona miał rozpostarte, jakby chciał mnie objąć. Jego twarz była niemal równie czerwona jak kamizelka. – Cóż

za miła niespodzianka!

– Przepraszam...

– Nie, nie, Robercie! Bardzo mi miło, że podjąłeś trud, żeby tu do mnie zajrzeć. Naprawdę było mi przyjemnie z tobą porozmawiać tamtego – co to był za dzień? – tamtego ranka, nie tak dawno. Czas leci... – Podprowadził mnie do sofy w kształcie muszli. Stąd przez wielkie drzwi, z których wyszedł, zobaczyłem jeszcze większe pomieszczenie, gdzie na de srebrnych tac, kryształowych karafek i na wpół zniszczonych ozdób z cukierków i kwiatów uszeregowane było mnóstwo twarzy, tłustych, szczupłych, starych, młodych, tak różnorodnych jak w scenie zbiorowej na jakimś obrazie. Rozpoznałem jedną z nich, spiczastą, zgorzkniałą, nie do pomylenia. To był starszy mistrz Stropcock, który po chwili usiadł i zniknął mi w zamieszaniu.

– Mamy taką tradycję, że spotykamy się tu popołudniami we wszystkie święta. Członkowie cechu i kilku wybranych przyjaciół, chociaż w tym roku, przy takiej pogodzie, sporo miejsc pozostało pustych. – Wielki mistrz Harrat zatarł ręce. Rozmowy w sąsiedniej sali klekotały jak deszcz. – Robercie, jak w domu?

Spojrzałem na niego pusto, siedząc na skraju sofy ze śliskiego jedwabiu. Po dzisiejszej wędrówce przepych tego domu – to było już dla mnie za wiele. Lecz brwi wielkiego mistrza Harrata pozostały uniesione w oczekiwaniu odpowiedzi na to pozornie proste pytanie. Jego wilgotne policzki niemal drżały. W domu... Co miałem powiedzieć – że matka staje się odmieńcem? Poczulem, jak wzbiera we mnie mroczna złość. Zwalczyłem ją. Moje oczy pozostały suche. Wytrzymałem jego wzrok, aż go odwrócił.

– Wszystko w porządku – odparłem.

– Cieszę się, Robercie. Wiesz, co ci powiem? Jesteś bystrym chłopcem i podziwiam, że miałeś śmiałość tu przyjść. Nawet w taki dzień. Chciałbym, żebyśmy spotkali się znów, kiedy będę miał trochę więcej czasu. Mieszkam niedaleko, na Ulmester Street. Tuż za rogiem. – Wstał i zaczął szperać po kieszeniach. – Oto moja wizytówka.

Wziąłem do ręki kartonik. Zdobiły go godła cechu. Atrament się nie rozmazywał.

– Może w następnym pracokresie... w półdziele po południu. Jak ci to pasuje? Moglibyśmy się trochę lepiej poznać, mielibyśmy wspólną tajemnicę.

Nie wiedziałem co powiedzieć, co zrobić, więc tylko skinąłem głową.

– Zanim pójdziesz, Robercie... Zanim pójdziesz... – Wielki mistrz Harrat nadął policzki. Podszedł do wysokiego, ukwieconego słoja wymalowanego w kitajskie smoki, uniósł pokrywkę i wyjął ze środka coś okrągłego. – Poczęstuj się. To nic takiego, zwykła czekolada. I zobaczymy się, prawda? Tak jak się umówiliśmy, dobrze?

Znów pojawił się kamerdyner i zostałem wyprowadzony z domu cechowego, w jednej dłoni dzierżąc ciężką kulę, w drugiej – kartę wizytową wielkiego mistrza. Odwinąłem złotą folię i nadgryzłem czekoladę, zanim zorientowałem się, że widnieją na niej kontury wybrzeży, rzeki i góry. Ale byłem bardzo głodny, szybko zjadłem cały świat i docierając na Brickyard Row, czułem sytość i bez troskę. W otoczeniu innych domów nasz wydawał się ciemny i pusty. Kopnięciem otworzyłem furtkę od zaułka i wszedłem przez kuchenne drzwi, otwierając je, jak zwykle, pchnięciem i szarpnięciem. Lampa była nakryta, poluzowane kafle podłogi brzękały pod stopami. Jedyne światło w kuchni pochodziło z wnętrza pieca. Ojciec na wpół drzemał obok długiego szeregu butelek po piwie.

– Gdzie, do cholery, byłeś przez tyle czasu?

– Nigdzie. Na podwórku.

– Tak mówić do ojca! Jak śmiesz...

Był jednak zbyt zmęczony i pijany, by wstać z krzesła. Ściągnąłem buty i poszedłem na górę. Noc zgęstniała, kiedy mijałem pokój matki. Słyszałem jej oddech, rytmiczny dźwięk, jakby wciąż się czemuś dziwiła. Czułem, że nasłuchuje, mimo że jeszcze mnie nie zawołała. Żołądek skurczył mi się, kiedy zamiast przejść obok i wejść na górę jak zwykle, mimo woli skręciłem w rżące drzwi.

– Gdzie byłeś? Słyszałam jakiś krzyk...

– Na dworze, spacerowałem trochę.

– Pachniesz czekoladą.

Złoty papierek wciąż szeleścił mi w kieszeni.

– Znalazłem.

Chociaż noc była bezwietrzna, ogień na ruszcie kiepsko się palił, jakby dusił go wiatr. Napełniał pokój pyłem sadzy. Wszystko było za wielkie, za ciemne, powietrze cuchnęło nocnikami, węglowym dymem, wodą różaną. Matka, owinięta w czyste prześcieradła, plecy miała podparte poduszkami.

– Przepraszam za ten obiad, Robercie. Że tak zaczęłam...

– Nie przepraszaj.

– Chciałam, żeby to był szczególny dzień. Wiem, że ostatnio ciężko nam się żyje. Nie tak, jak byśmy chcieli...

– Naprawdę wszystko w porządku.

– Pachniesz ciepłymi pokojami, Robercie. – Jej nozdrza zadrgały. – Dobrym jedzeniem, owocami, ogniem w kominku, dobrym towarzystwem... Prawie jak latem. Podejdź bliżej.

Starając się opanować panikę, obszedłem łóżko.

– Nie zaglądasz już do mnie tak często jak kiedyś...

Jej blade ręce wypełzły spod kołdry, poczułem, jak gładzi mnie po włosach. Ich naciskowi nie sposób się było oprzeć. Schyliłem głowę, zdawało mi się, że otaczają mnie zwoje brudnego dymu.

– Robercie, jesteś teraz obcym człowiekiem. – Gdy ciągnęła mnie ku sobie, jej głos stał się cichszy niż szept. – *Niech to się tak nie skończy...* Cuchnęła przepoconymi kocami, nieumytymi włosami i była gorąca, bardzo gorąca.

W końcu puściła mnie, prosząc, bym usiadł obok. Zapytała, co słyhać tam, jak to zaczęła określać, „na dole”: jak radzi sobie ojciec; czy Beth naprawdę idzie tak dobrze, jak mówi. Rozmowa, w której próbowaliśmy się nawzajem pocieszyć, a ja wpatrywałem się przy tym w pulsowanie wielkiej żyły, która pojawiła się na jej skroni, unikając spojrzenia odmienionych oczu, ta rozmowa była zdawkowa i przewidywalna. Mogłem uzupełnić jej słowa, zanim je wypowiedziała. Ona również nie potrzebowała moich odpowiedzi.

Skubałem nadpruty szew prześcieradła. Materiał, niegdyś porządny, zapewne prezent ślubny, przetarł się niemal na wylot, prany przez nią tyle razy w cynkowej balii. Palce, zauważyłem teraz, patrząc na nie bezradnie, miała poznaczone czarnymi smugami. Spojrzałem w ogień, w blaszany kosz napełniony przez Beth tanim, brudnym węglem. Kilka bryłek wypadło z paleniska, leżały pokruszone, połuszczone na szmacianym chodniku przed łóżkiem. Z rogu, ze ściany, dobiegł mnie odgłos skrobania. Uniosłem wzrok, spodziewając się szczura lub myszy. Ale stwór, który zniknął w szczelinie pod boazerią, miał wiele nóg. Upasiony obłędem eteru ponad rozmiary zwykłego owada, miał długi lśniący grzbiet. Smoczowesz.

– Wtedy... – zacząłem i urwałem.

– Kiedy? – Matka uniosła rękę, by zetrzeć z twarzy jakiś wymaginowany brud. – Masz na myśli dzień Świętego Jana? Pamiętasz, był upał, poszliśmy na jeszcze zamknięty jarmark nad rzeką,

żeby zobaczyć tego biednego starego smoka? Byłeś taki...

– Mamo, wtedy, kiedy pojechaliśmy pociągiem! Był czwartek, widziałem, jak z jednego z domów cechowych wychodzi człowiek. Uniosłaś wzrok i... A potem spotkałem go, kiedy ojciec zabrał mnie do fabryki w półdziele. Nazywa się wielki mistrz Harrat i należy do wyższego cechu. On ciągle... Pytał mnie, jak się czujesz. Chyba cię zna.

Matka zamknęła oczy na dłuższą chwilę, w końcu pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

Ogień plunął kilkoma gniewnymi iskierkami. Zawiał dym. Zaczął mnie szczypać w oczy. – A może moglibyśmy...?

– Co moglibyśmy, Robercie? – Wydawała się odległa i zła, coraz bardziej obca. – Zawołać trollowego, żeby zabrał mnie do tego upiornego domu? Sprzedać mnie do jakiegoś cechu, w charakterze żywego okazu?

– Cokolwiek to było – powiedziałem – cokolwiek się stało, musiało to być w fabryce. Powinni za to zapłacić. Albo mogłabyś uciec z panią Summerton i zamieszkać z nią i tą dziewczynką, Annalise. Nie musi być tak, prawda? Mogłabyś?

Westchnęła. Widziałem, że wkroczyłem na jałową ziemię, dawno opuszczoną, wyschlą i kamienistą.

– A co z pracą twojego ojca, Robercie? Jeśli zaczniemy się skarżyć, jak myślisz, nie pozbędą się go pod pierwszym lepszym pretekstem? On bez pracy, ja tu na górze, Beth uwiązana do terminu, a ty, Robercie, za młody, by robić cokolwiek poza wyciąganiem głupich wniosków. Co by się z nami stało, jak myślisz? Żałuję, że w ogóle zabrałam cię do Redhouse, do Annalise i Missy.

Wzruszyłem ramionami, zraniony tym nagłym wybuchem.

– Nic się nie da odmienić – dodała. – Będzie, co ma być. Przykro mi, czuję to samo co ty. Co wszyscy. Wszyscy żałujemy, że sprawy nie potoczyły się inaczej. Żałuję, że w ogóle zobaczyłam na oczy to przekłete jarzmo i ten kamień... Ale proszę cię, daj mi spokój. – Choć starała się zmiękczyć głos, wciąż pozostawał szorstki. Tak jakby udzieliła się jej plugawość powietrza w pokoju. – A teraz jest mi tak dziwnie. Nienawidzę się. Nienawidzę tego pokoju. Nic, tylko leżę tu, na materacu, w łóżku. Ale wiem już, jak ty się czujesz, co o mnie myślisz. To jest...

Pokręciła głową nad niemożnością znalezienia odpowiedniego słowa. Usłyszałem przy tym, jak jej kości skrzypią i strzykają, tak jakby ona, jak wszystko tutaj, była tandetnie wykonana i pociągnięta magią po wierzchu. Rytmiczny ruch trwał. Zaciskałem zęby, pięści i zwieracz, żeby tylko przestała mówić.

– Pamiętam, Robercie, jak byłam młoda... Uwielbiałam swoje łóżko i sny, które mi sprowadzało! Czasem widzę naszą dolinę z czasów, kiedy z jej skał jeszcze nie wykradzono magii. Może ci głupcy z Flinton mają rację. Może Einfell nie było wcale tak daleko stąd. Prawie je widzę, wiesz? Zaczarowani książęta wędrują pomiędzy naszymi murami tanecznym krokiem i ze śmiechem. Żłotobiała, w orszaku jednorożców i delikatnych powietrznych stworzeń. Wciąż słyszę, jak między drzewami rozbrzmiewa jej straszny śmiech...

Zrobiła powolny, zgrzytliwy i bulgocący wdech.

– Tak jakby otaczał mnie ten drugi świat, Robercie. Oddziela mnie od niego zaledwie cienka warstewka złego powietrza, prawie nic. Czuję blask słońca, prawie namacalnie...

Ścisnęła narzutę skurczonymi palcami. Puściła ją i znów ścisnęła w znajomym rytmie. Widziałem ścięgnięta przesuwające się jak sznury pod niemal przezroczystą skórą.

– Tak, Robercie, kiedy byłam dzieckiem, uwielbiałam swoje łóżko. I swoje sny. Chciałam wtedy móc w nim zostać cały dzień, nie wstawać. Dasz wiarę? Nigdy tak naprawdę nie chciałam

zacząć żyć. Ale wiesz, zawsze byłam zajęta, nigdy nie miałam czasu, zawsze trzeba było doglądać kur albo krów. Kochałam swoje łóżko, bo nigdy nie mogłam się w nim do woli wyleżeć. Było wielkie, stare, z solidnego, porządnego drewna, moja kraina, cała moja, białe doliny i szczyty gór. Myślałam, że jak będę duża, jak urosnę, to będę mogła przycisnąć głowę do wezglowia, z drugiego końca wystawić nogi i zawłaszczyć całe łóżko dla siebie. To zabawne, teraz mogę to zrobić. Ale dopiero tutaj, w tym łóżku i dopiero od niedawna. Chcesz zobaczyć, jak bardzo potrafię się wyciągnąć?

Mimo że się cofałam, rozepchnęła poduszki i koce, które Beth tak ładnie ułożyła. Gdy jej kości zaczęły się wyciągać i przesuwać, słychać było strzykanie i trzaskanie. Jej ciało zaczęło się wydłużać, a prześcieradła spływały z niej jak mleko po kamiennej stągwi.

Dni przetaczały się jeden za drugim; czekał cały nowy rok. Aby odśnieżyć tory kolejowe wiodące wokół Rainharrow na południe, wyprowadzono z zagrody ziemniostwory, a my, dzieciaki w czapkach z pomponami, przyszliśmy popatrzeć, jak wśród pokrzykiwań olbrzymie zwierzęta o lśniących siwo bokach i przedwiecznym mroku połyskującym w małych oczkach wiezie się na drewnianych sankach i wciąga w głąb doliny, jak daleko dadzą radę perszerony. Powoli zapadała noc, a tory, jak to często bywało w Bracebridge zimą, pozostały nieprzejezdne, zasypane śniegiem. Lecz cechowi wyglądali na zadowolonych – a my, dzieciaki, ze zgrabiałymi stopami, zmęczone, rozbawione i zmarznięte, staczałyśmy się ze wzgórza jak kule śniegowe. O tej porze światło dzienne i blask eteru osiągały coś w rodzaju równowagi, o tej porze zapalano latarnie, a całe Bracebridge zdawało się syczeć i drzeć, dematerializując się powoli i unosząc wśród zmierzchu.

Przez kolejne dni spadło jeszcze więcej śniegu, chociaż już nigdy nie był tak niebieskawobiały, lecz brudny i pociemniały od sadz wypływanych przez fabryki naszego odciętego od świata miasta. W szkole, kiedy rozmrożono rury, zmyto podłogi, a nieliczne książki rozwieszono do wyschnięcia jak znużone nietoperze, zacząłem wyrabiać sobie reputację boiskowego zabijaki. „Jego matka to troll... Matka to odmieniec...”. Nauczyłem się bić, mojej wściekłości bali się wszyscy oprócz tych największych i najgłupszych.

I tak właśnie, naładowany złością, poszedłem odwiedzić wielkiego mistrza Harrata w jego domu – wszedłem w obcą krainę najelegantszej dzielnicy, pełnej małych parków i rzeźb, z widokiem na rzekę, chwyciłem mosiężną kołatkę na frontowych drzwiach i bez wahania uderzyłem nią we własne przyciemnione odbicie w polakierowanych drzwiach, choć wyczuwałem, że trochę ryzykuję. Mistrz Harrat był tu jeszcze bardziej sobą niż w fabryce Mawdingly & Clawtson, bardziej nawet niż w swym domu cechowym. Zniknęła gdzieś aura odgrywania roli, którą tak często otaczają się ludzie niezadowoleni ze swej pracy. Zachichotał, ściągnął usta, mlasnął i szybko ruszył przed siebie. Był w szlafroku, jego haftowane ranne pantofle w podnieceniu popiskiwały na gładkiej podłodze. Sam dom był dość anonimowy mimo swej widocznej solidności i elegancji, brakowało życia wśród niezbyt ozdobnych ozdób i wypchanych zwierząt pod szklanymi kloszami, odkurzanych przez pokojówki, których nigdy nie widziałem, bo w półdzielnie popołudnie zawsze miały wychodne. Najbardziej wrył mi się w pamięć zapach. Muskał mnie, gdy wchodziłem do hallu, otaczał, kiedy wsypywałem do herbaty zbyt duże ilości cukru i opychałem się marcepanowym ciastem w pokoju gościnnym. Były w nim nuty ciepła, miedziane, gładkie, ale również słodki, wybijały aromat gnijących kwiatów. Najpierw myślałem, że dobywa się z żarników lamp gazowych, bo wówczas wydawały mi się czymś nieznanym, ale miał jakiś ciemniejszy posmak, posmak burzy.

– Elektryczność! – wykrzyknął mistrz Harrat, wstając. Nie tknął ani ciasta, ani herbaty. – Do niej należy przyszłość, Robercie. Pozwól, że ci pokażę...

Z tyłu domu, za ogromną, pustą kuchnią, miał długą i wąską pracownię, oświetloną kilkoma omszonymi świetlikami. Ze wszystkich stron połyskiwały fiołki, słoje i soczewki.

– Elektryczność jest niewidzialna, naturalnie, i w zasadzie niegroźna... Jeśli traktuje się ją jak każdą inną lotną substancję. Choć nie jest substancją. – Stał niezdecydowanie, patrząc na swe przyrządy, jakby jego również zadziwiały. – Gazowe światło to przeszłość, Robercie. Nigdy nie było bezpieczne ani doskonałe, a wymagania wyższych cechów wciąż rosną. Tak, Robercie, to przyszłość. Przyszłość...!

Kolejny element naszego rytuału w owe półdzielnie popołudnia: wielki mistrz Harrat robił

miejsce na którymś ze stołów, a potem, obiecując, że potrwa to chwilę zaledwie, mruczał i pochrząkiwał całymi godzinami, skręcając i wyginając miedziane druty, wyciągając bańki z kwasem, kręcąc maszynkami, które wyglądały jak miedziana wersja wyzmaczki mojej matki, aż odór wydobywający się z jego wynalazków mieszał się z innymi zapachami wypełniającymi długą salę. Na koniec stykał ze sobą dwa kawałki metalu.

– Elektryczność, Robercie – sapał.

Na blacie stołu kawałeczek włókna ściśnięty w zaciskach jak jaszczurcze szczęki rozjarzał się słabiutko, pomarańczowo, aż w końcu gasł, iskrząc niespokojnie, niemal eterycznie. Ja, przyzwyczajony do słomianego zapachu mego ojca, okazywałem należyty podziw. Lecz wielki mistrz Harrat widział już domy, ulice, miasta i miasteczka oświetlone tym słabiutkim, żółtym blaskiem.

– Wyobraź sobie, Robercie, co by było, gdyby tramwaje w Londynie napędzała elektryczność. Gdyby pociągi między miastami i maszyny w fabrykach były tak napędzane! Pomyśl, jak czyste byłoby powietrze! Pomyśl, jak czyste byłyby rzeki!

Gorliwie skinąłem głową.

– Przez ostatnie trzysta lat utknęliśmy na dobre w Epoce Pary i Przemysłu – perorował. – A gdzie dalszy postęp?

Rozkręcił się już na dobre. Wystarczyło ledwie wzruszać ramionami, żeby ciągnął:

– Powiem ci, gdzie on jest. Tutaj. – Poklepał się po głowie. – I w takich właśnie pracowniach, których cechy nie ośmielają się finansować. A dlaczego, Robercie? Powiem ci. Bo cechy nie widzą świata poza eterem. Przez eter wszystko jest zbyt łatwe. Po co nam postęp, skoro ludziom dzierżącym władzę jest dobrze? Ale przyszłość zawsze czeka przed nami, Robercie, na ruinach roztrwonionej przeszłości. Roztrwonionej na gaz. Roztrwonionej na węgiel i parę. A przede wszystkim na kapryśność i nieskuteczność eteru...

Pomyśl o naszej krainie, pomyśl, że dzisiejszego kształtu nabrała trzysta lat temu, kiedy Wielki Mistrz z Painswick dokonał swego odkrycia. Tak, mieliśmy pewien postęp, można tak to nazwać. Umiemy wykorzystywać energię węgla, gazu i pary, umiemy wypuszczać z fabryki dziesięć tysięcy egzemplarzy takiego samego tandetnego przedmiotu. Naturalnie, przede wszystkim umiemy wykorzystywać eter. Tylko najbiedniejsi głodują, a słyszałem także, że dziś nawet najślabsi, najbardziej zdeprawowani i nieudacznicy dostają pracę. Tak, większość z nas ma dostęp do czystej wody, w nieco lepszych domach przeważnie jest wodociąg i kanalizacja, a epidemie na ogół ograniczają się do najpodlejszych dzielnic wielkich miast. Mogę wsiąść tutaj do pociągu i za parę godzin znaleźć się w Dudley czy w Bristolu. Mogę kazać wysłać telegrafem wiadomość, która dotrze na miejsce niemal natychmiast. Ale to samo mógłbym powiedzieć sto lat temu! Za grosz postępu, Robercie! Oczywiście, pojawiają się nowe produkty, nowe przelotne mody, nowe style i kroje ubrań, nawet od czasu do czasu nowa idea, jeśli ktoś odważy się ją wydać drukiem, ale wszystko to jest powielaniem setny raz tego samego. Nasza Anglia, podobnie jak inne tak zwane rozwinięte kraje Europy, jest skamieliną, podobnie jak dziwne morskie stwory, które czasem widuje się w bryłach węgla. Nie ulega zmianom, nie oczekuje ich. A wiesz dlaczego? Przez eter. Przez lenistwo konstruktorów. Skoro możesz sprawić, że coś zadziała, pokrywając to dziwoblaskiem i rzucając zaklęcie, po co w ogóle zaprzętać sobie głowę jakimiś ulepszeniami, co?

Wielki mistrz Harrat zawsze wygłaszał podobne monologi. Wydawał się rozdarty między nadzieją a rozgoryczeniem – i gorycz z reguły brała górę. Pod spodem wyczuwało się jednak głębszy smutek. Wiedziałem, że stało się coś nieodwracalnego, coś, czego nie można cofnąć. Jakiś robak nieustannie toczył go od środka. I miał związek ze mną, z Bracebridge, z eterem i moją matką.

Tamtej zimy oraz wczesnej, wilgotnej wiosny 85 roku Trzeciego Wieku Przemysłu zacząłem wypuszczać się na coraz dłuższe wędrówki wokół Bracebridge. Czułem się, jakbym zawłaszczwał to miejsce, sporządzał jego mapę, zanim na dobre je opuszczę. Wspinałem się na poskręcane, brudne liny mostu drogowego, który przebiegał nad torami kolejowymi skręcającymi na południe za fabrykami. Poda mną lokomotywy buchały siarczanym żarem. Gdy mijały mnie turkoczące wagony, zwłaszcza te z eterem, bo ich słomiana wyściółka wyglądała na wystarczająco miękką, by zamortyzować skok, myślałem, kiedy nadejdzie właściwy moment na jego wykonanie, a także – dokąd mnie ów skok zanieśie.

Opuszczałem wtedy sporo lekcji; nauczyciele akceptowali to bez słowa, wiedząc, jak wszyscy, o pogarszającym się stanie zdrowia matki, a zapewne także ciesząc się z jednej mniej ponurej twarzy w ostatniej ławce. „Matka to troll... Zabiorą ją do Northyton...” – gadali ludzie. W szóstek na targu podkradałem jabłka oraz puszki z pastą i ciskałem je bezsensownie o ścianę, próbowałem zebrać odwagę do skoku z podrygującego mostu, paliłem kradzione papierosy, patrząc na psotwory przyskakujące do płotu, brodziłem bezmyślnie w kukułczych pokrzywach, a nocą pocilem się w męczącym śnie – całe życie wydawało się wypełnione przełamywaniem wielu drobnych, niewidzialnych barier. Za każdym rogiem ulicy spodziewałem się zobaczyć czekającego trollowego, i to nie mistrza Tatlowa, ale kogoś strasznego, wysokiego, w szerokiej czarnej pelerynie – tak sobie go wyobrażałem, twarz miał zawsze w cieniu. Postanowiłem nosić ze sobą nóż, ale był tępy, tandetny, nienaeteryzowany i wkrótce złamał mi się w kieszeni. Byłem jak jeden z drucików wielkiego mistrza Harrata: naładowany i gotowy buchnąć skwierczącym płomieniem.

Wielki mistrz Harrat wstał, by ściągnąć rolety osłaniające świetliki pracowni.

- Zanieczyszczenia, Robercie! – wykrzyknął. – I niedokładności! Z tym trzeba walczyć... Pomyśl o błyskawicy! Dawno temu, jak była burza, patrzyłem ponad dachy Northcentral z okna mego pokoju dzieciennego i modliłem się, żeby uderzyła w wieżę Hallam. Patrzyłem, Robercie, patrzyłem, podziwiałem. Nie ma nawet cienia wątpliwości. Już wtedy widziałem początek nowego, całkiem innego Wieku. Może pewnego dnia będę umiał wyjaśnić...

Nachylił się nad bańką z kwasem, z podbródka skapnęła mu kropla potu. Dziś wszystkie druty, wszystkie starania, wszystkie rozlane dymiące chemikalia zawiodły, nie dając choćby najśłabszego światełka. Ale nie było się czym przejmować. Pracokres za pracokresem, moje wizyty nabrały uspokajającej przewidywalności, a jego niepowodzenia należały do nich tak samo jak smak marcepana. Nauczyłem się już odsuwać w kluczowych momentach od iskier, palonej gumy i wielkich słoików z odczynnikami. Elektryczność wydawała się niebezpieczna – doświadczenia mistrza Harrata przekonywały mnie tylko, że to się nigdy nie sprawdzi. W końcu kto ryzykowałby puszczenie sobie po domu czegoś takiego, kiedy może polegać na sprawdzonym gazie ziemnym, lampach naftowych czy świecach? Jednakże cieszyłem się na każde kolejne półdzienne popołudnie, nieczęstą chwilę ucieczki i spokoju.

Mogłem sobie wyobrazić, co dzieje się w domu, w tej chwili albo w dowolnej innej. Od kilku praco kresów matka zapadała w malignę i śpiączkę, rzucała się na łóżku, wiła, przewracając oczyma, boleśnie wyciągając chude ręce i nogi, otwierając usta, by z trudem złapać oddech. Beth właśnie się nią zajmuje, tak jak każdego dnia i każdej nocy. Nie boi się niepokojącej czerni i niknących ścian pokoju. Wyciera matce twarz i ciało, podgrzewa kamionkowe butelki, dogląda ognia, wygładza zmięte prześcieradła, trzyma ją za te długie ręce – nikt więcej nie mógł się przemóc, by ich dotknąć. Kilka wieczorów temu, ostatni raz kiedy odważyłem się tam zajrzeć, matka wbijała paznokcie w zanikający Znak na lewym nadgarstku. Ściana nad łóżkiem, choć Beth dopiero ją wytarła, wciąż poznaczona była cienkimi hieroglifami krwi.

– Robercie, naprawdę myślałem, że tym razem się uda... – Głos mistrza Harrata i szczęk butelek przelatywały gdzieś ponad moją głową. – Czasem zastanawiam się, czy to w ogóle może zadziałać...

Spojrzał na mnie. Tym razem zdawało się, że chyba faktycznie spodziewa się odpowiedzi. Lśniący górna warga przez moment zadrgała, oczy spoważniały. Czasem zdarzało mu się tak właśnie na mnie spojrzeć. Domyśliłem się już, że nie byłem pierwszym chłopcem, którego zapraszał, by jadł jego babeczki z kremem i obserwował, jak męczy się przy doświadczeniach. Ale było w tym coś jeszcze.

Wielki mistrz Harrat przytaknął sam sobie, jakby doszedł do końcowego wniosku. W milczeniu podszedł do małych, ciężkich drzwiczek osadzonych w ścianie pomiędzy gazowymi lampami i pokręcił tarczą z cyframi. Już samo milczenie było niezwykle, nie wiedziałem, czego się spodziewać, gdy nagle, po uchyleniu naoliwionych zawiasów, cały pokój zachwiał się od blasku. Przyniósł do stołu świecąca tacę, a cienie się wyostrzały. Stojące na tacy fiołki wyglądały jak pomniejszona wersja zbiorniczków, których używały kobiety w malarni, ale ich dziwoblask był o wiele silniejszy, właściwie zupełnie nie blask, raczej krzyk światła, rozlewający się po pozostałych zmysłach. Pracownia rozbłysła i pociemniała, gdy postawił tacę na stole. Zerkając mu zza ramienia, zobaczyłem, że każda z fiołek opatrzona jest małą pieczęcią.

– Eter, Robercie! Oczywiście, pracuję z nim codziennie, by zarobić na te wygody. Muszę udawać przed udziałowcami, że wiem o jego właściwościach wystarczająco dużo, by firma Mawdingly & Clawtson mogła nadal słynąć w świecie z eteru o najwyższej czystości. Ale ja go nie wykorzystuję, Robercie. To on mnie wykorzystuje. Rzuciłbym go choćby zaraz i zajął się elektrycznością – to czysta, prosta matematyka. A jednak wszyscy musimy żyć z eterem. Jesteśmy od niego zależni, przenika cały ten kraj. Kto wie, może tak będzie zawsze, mimo że poświęciłem tyle lat na studiowanie prostej, nieskrępowanej logiki kryjącej się w fizyce i mechanice...

Ciągnął w tym stylu, bez tchu, znacznie dłużej niż zwykle. Dla mnie, urodzonego w Bracebridge przy dudniącym dźwięku eterowych maszyn, to jego rozróżnienie pomiędzy rzekomą logiką elektryczności i logiką eteru było całkowicie mętne. Ja widziałem w tym drugą stronę tego samego medalu. Eter pozwolił nam okiełznać materię: utwardzić żelazo, sprawić, by stal była wytrzymalsza, a miedź elastyczniejsza, pozwolił nam budować większe i szersze mosty, a nawet przesyłać wiadomości na wielką odległość, z jednego umysłu telegrafisty do drugiego. Bez eteru wciąż bylibyśmy jak wymalowane, wojownicze dzikusy z Thule. Rozumiałem jednak, że jest to szczytowy moment w walce wielkiego mistrza Harrata z medium, które jednocześnie przyciągało go i zniechęcało – doświadczenie, w którym użycie się jednocześnie eteru i elektryczności, przeprowadzane w myślach tyle razy, że fizyczne jego wykonanie wydawało się czymś niesłychanie przewidywalnym, jak to bywa z dogłębnie przemyślanymi sprawami – kolejne chwile powinny pasować do siebie jak elementy układanki. A ja po prostu gapilem się na świecące fiołki. Przez tyle czasu udawało mu się powstrzymać od użycia ich w doświadczeniu. Szum, bum, szum, bum... Serce mi waliło. Nigdy w życiu, nawet podczas Dnia Próby, nie widziałem z bliska eteru o choćby zbliżonej czystości.

– Eter jest prosty, Robercie, jak najprostsza z bajek. Wypowiadamy życzenie, a eter je spełnia, chociaż, całkiem jak w bajkach, nie zawsze dokładnie wedle naszej woli. Jednak powstają lepsze maszyny, ostrzejsze narzędzia, wykonane byle jak kotły wytrzymują o wiele większe ciśnienia, niż powinny, gospodarka rozkwita, na wpół mityczne bestie w rodzaju potworów czy ziemiostrorów pomagają nam w różnych zadaniach. Eter daje nam to wszystko. No i teraz... sprawdzimy. Zdziała?

I znów łączył przewody, wycinał kleszczykami nowy kawałek drucika i mocował go między zaciskami. Gotowy był już cały obwód z wyjątkiem ostatniego mostka pomiędzy blaszkami, które zwał anodami, zanurzonymi w zlewkach z odczynnikami. Podniesiona miedziana zwora, którą wiele razy przy mnie opuszczał dramatycznym gestem, a potem przeważnie niewiele się działo. Mrużąc coś, czego nie rozumiałem, zerwał pieczęć z eterowej fiołki i ścisnął gumkę zakraplacza, aż w rurce pojawiła się połyskująca ciecz. Przeniósł pipetkę nad wiszący w powietrzu żarnik. Na jej końcu zebrała się świecąca kropla, drżała, zaiskrzyła, w końcu spadła powolnym ruchem, niezależnym od grawitacji. Każda odległość wydawała się zwiększać, rozciągał się także czas, zanim połączyły się żywioły. Eter musnął powierzchnię żarnika i jakby zniknął.

– On oczywiście już wie, czego od niego chcę. Idealnego obwodu...

Wielki mistrz Harrat zachichotał. Zabrzmiało to jednak ponuro. Na powrót zakorkował fiołkę, zdjął skórzaną rękawicę. Ręka mu drżała, gdy przesuwając ją ku przełącznikowi zwierającemu obwód. Ja też drżałem. Nigdy jeszcze tak na coś nie czekałem... Eter o takiej mocy, czystości, tak piękny – ten eter wiedział również, czego ja chcę, nawet jeśli ja sam tego nie wiedziałem. Nie wątpiłem, że za chwilę ujrzę coś wstrząsającego i nowego, gdy wielki mistrz Harrat z przeciągłym westchnieniem, oznaką zbliżającej się raczej klęski niż zwycięstwa, zamknął ostatnią zworką zbudowany przez siebie układ.

I zadziało.

Chwila triumfu.

Żarnik żarzył się i buczał.

A właściwie świecił niezwykle jasno, jak słońce na pogodnym niebie, przyćmiewające wszystko inne... Gdy blask jeszcze się wzmógł, aż westchnąłem. Cały świat wokół mnie zadrżał i zawirował. Spienione rzeki, dudniące fabryki, sklepy pękające w szwach od towarów, posyające telegrafy i nieskończone, nieskończone dni pracy. Jak to się czasem zdarza, kiedy w danej chwili dokładnie rozumiesz, co robisz, a później nie możesz się w tym doszukać ani krzty logiki, wyciągnąłem rękę, by dotknąć tego oślepiającego światła. Przesuwałem ją powoli, widząc prześwitujące przez skórę kości, ale pragnąłem tego bardziej niż czegokolwiek.

Błysnęło potężnie. Potem zadymiło, wściekle zasyczało i zaśmierdziało spalenizną. Upadłem na plecy, widząc powolną reakcję wielkiego mistrza Harrata usiłującego mnie złapać, jego otwarte usta. Kiedy uderzałem głową w podłogę, usłyszałem tępy huk. Lecz wszystko to zdawało się dziać w pewnym oddaleniu. Unosiło mnie w górę, w tył. Sufit zafalował, odpłynął, owiało mnie powietrze. Szybując pośród gwiazd, patrzyłem z góry na Bracebridge.

Wtem noc się zakłębiła. Po niebie przeplynał księżyc. Pociągi rozmazały się w smugi światła. Niebo rozbłyskiwało – jasno, ciemno, jasno, ciemno – a słońce uciekało do tyłu. Na stokach Rainharrow błysnął śnieg, pola zapulsowały zmianami pór roku. Nie miałem pojęcia, co się dzieje, wiedziałem tylko, że najwyraźniej lecę głową naprzód w przeszłość. Czy tak właśnie wygląda śmierć? – zastanawiałem się. Potem słońce wspięło się na nieboskłon i zatrzymało na zachodzie, nad łąkami, a na błękitnie wokół niego usadowiło się kilka obłoków. Ich cienie płatami przykrywały miasto, rozbręczane krzątaniem letniego poranka. W tym pędzie poprzez lata niewiele się tu zmieniło. Prawda, stare magazyny na tyłach szpitala, wzdłuż Withybrook Road, wciąż stały, a hałdy popiołów z cegielni jeszcze nie zaczęły się wspinać w górę Coney Mound. Ale wciąż było to znajome Bracebridge. Gdy poczułem ciepło słońca i usłyszałem huk maszyn, zacząłem opadać, zbliżając się do smołowanych i falistych dachów fabryki Mawdingly & Clawtson. Zawirowały wokół mnie place fabryczne i umorusane cegły, potem mech na pewnym dachu, przez który bezgłośnie przeniknąłem i zawisłem w chłodnym, drżącym świetle wielkiej sali. Rozpoznałem ją natychmiast. Malarnia. Scena prawie identyczna jak ta, którą ujrzałem parę pracokresów temu wraz z wielkim mistrzem Harratem, lecz nieznacznie zmieniona – tak jak wszystko zmienia czas. I była tam moja matka, choć młodsza. Siedziała przy długim warsztatowym stole, z żarzącym się pędzelkiem w dłoni.

Gdy otworzyły się drzwi od podwórza, spodziewałem się, że stanie w nich mój ojciec, był to jednak wielki mistrz Harrat, szczuplejszy i bez bokobrodów. Brygadzystka, falując obfitym biustem, zerwała się, by go przywitać. Już wtedy był osobą, z którą się liczone, słyhać to było w łagodnym głosie, którym wyraził swą prośbę, w tonie, którym otrzymał zgodę. Czy mógłby ewentualnie pożyczyć sobie parę dziewczyn z malarni? Była to drobna przysługa. Pokręcił głową, kiedy brygadzystka podpowiedziała, że być może te, które wybrał, nie są najlepsze, choć rzeczywiście najładniejsze. Jego wybór był nie do podważenia. Matka i siedząca obok niej blondynka skłoniły się na dźwięk swych nazwisk i odłożyły malowane trybiki; matka strąciła przy rym, jak zwykle, słój z pędzlami. Brygadzystka wzniosła oczy do nieba.

Popłynąłem jak duch za dwiema młodymi damami cechowymi i mistrzem Harratem. Dziwna to była grupa, składająca się z dwóch różnych ludzkich gatunków. Wielki mistrz Harrat ubrany elegancko, matka i jej koleżanka, którą nazywała Kate, kiedy poszeptywały do siebie, w chodakach i donaszanych po kimś łąkach. Jasne było, że nie wiedzą, o czym rozmawiać, choć matka i Kate

wymieniały między sobą kpiące uśmiešky. Wtem usłyszałem syrenę zmianową i gdy z budynków wysypali się robotnicy, zrozumiałem, że musi to być półdziela. To dość dziwny moment na „specjalce” – wiedziałem, że dziewczyny z malarni właśnie tak nazywają specjalne zadania poza miejscem pracy; place wkrótce opustoszały, jedynie na Pokładach Środkowym i Maszynowym pozostało paru niezbędnych pracowników zajmujących się utrzymaniem w ruchu eterowych maszyn. Nawet między murami fabryki ciepłe letnie powietrze obiecywało popołudniowe mecze piłki i spacerów nad rzeką. Matka i Kate z pewnością dostaną półtorej zwykłej stawki, a przecież w fabryce niechętnie tym szafowano.

Syreny zamilkły. Bramy opustoszały. Zagruchały gołębie. Wielki mistrz Harrat zmierzał przez podwórze do pobielonej ceglanej ściany okalającej metalową bramkę o pordzewiałych prętach. Matka i Kate przyglądały się ciekawie, jak otwiera kłódkę. Przez chwilę się zastanawiał, potem powiedział coś, co spowodowało, że kłódka odskoczyła. Kate klasnęła w ręce zachwycona, matka zaś przyglądała się z rezerwą otwierającej się ze skrzypieniem bramce. Wielki mistrz Harrat błysnął krzesiwem, pomajstrował przy wysuszonym knocie starej latarni, która zapłonęła kulą słabego światła. Zeszli po betonowych stopniach, wśród murowanych ścian, oddychając zatęchłym powietrzem, przy akompaniamencie wycia i dudnienia eterowych maszyn. Korytarz wyrównał bieg. Przeciąg w nim był na tyle silny, że zatrzepotał rąbkami spódnic. Ściany i podłoga, dotąd równiutko wymurowane i wyłożone kaflami, wyglądały teraz całkiem inaczej – były z prastarych, kruszących się cegiełek. Kate i matka szły za latarnią mistrza Harrata, garbiąc się, gdy obniżał się strop, wyciągając ręce dla równowagi, tupiąc chodakami po pochyłej podłodze. Na ścianach widniały znaki cechowe i napisy. A także drobne reliefy, spiralne wiry kojarzące mi się z omszonymi kształtami pokrywającymi głazy na szczycie Rainharrow. Dudnienie maszyn narastało i narastało.

Dotarli do drzwi. Małe pomieszczenie za nimi było niegdyś do połowy wykafelkowane, teraz wiele z nich odpadło i trzaskało pod podszewkami chodaków. Ze ścian pochyło zwisały stare półki. Wśród gruzu walały się cechowe obwieszczenia, dawno nieczytelne od wilgoci. Rozczarowanie na koniec tak obiecującej wycieczki; jedynym przedmiotem, który nie wyglądał na zapomniany przez stulecia, była skrzynka z szorstkiego drewna. Na wieku miała namalowany od szablonu czerwony napis: UWAGA! ŁADUNEK NIEBEZPIECZNY. Wielki mistrz Harrat wyciągnął z kieszeni nóż i przeciął sznur zawiązany wokół skobla. Zaskrzypiały zawiasy. Zdawało się, że kufer zawiera tylko poźółkłe gazety, ale mistrz Harrat uśmiechał się do siebie, szperając w nim jak dziecko w pudle ze słodyczami.

To, co znalazł, było wyraźnie ciężkie. Pulsujące dudnienie ucichło, gdy uniósł to coś w obu rękach. Coś błyszczącego, wielkości mniej więcej ludzkiej głowy. Położył ową rzecz na zaśmieconej podłodze obok skrzyni. Odkąd weszli do tego pomieszczenia, chyba nikt się nie odezwał. Choć na zewnątrz była pełnia lata, tu powietrze nagle zgęstniało i powiało chłodem. Znalezisko połyskiwało delikatnie opalizującymi smużkami. A wielki mistrz Harrat miał minę jak mały chłopczyk na Gwiazdkę. Przemykały mu po twarzy fale oczekiwania, radości i strachu. Przedmiot był zdumiewający – dziwojasny, a jednocześnie czarny w tym mrocznym podziemiu. Przepływał ku niemu, naśladował z przesadą owe zmiany wyrazu twarzy, wypełniał pustką jego oczy, roztopiał ciało. Fasetki chwytaly i odbijały światło. Przypominał wielki klejnot, a może raczej – jak pomyślałem wtedy, niewiele wiedząc o takich rzeczach – dużą, lśniącą głowę cukru. Lecz tak naprawdę blask był wewnątrz dziwnego kamienia. Wił się, skupiał i rozpraszał, wylewał. Cienie cofały się, prześwietlane sylwetki przykucniętego mężczyzny i dwóch stojących kobiet stawały się bezkształtne, bezosobowe, symboliczne. Gdy światło zaczęło pulsować rytmem, który od zawsze przenikał Bracebridge, scena ta zaczęła przypominać jakiś skomplikowany, zmienny cechowy

hieroglif. Wielki mistrz Harrat, Kate, moja matka – nie byli już sobą, byli akolitami tego kamienia, prostackimi machinami, wykonawcami jego woli. Ich cienie, na przemian ciemne i jasne, gięły się w ukłonach na rozświetlonych ścianach, zgodnie z rytmem maszyn. Mną również to zawładnęło. Światło urosło, wyciągając się w ciemną sylwetkę ze zgęstniałego dymu sięgającą ku mnie swymi czerniejącymi ramionami.

Musiałem wtedy wrzasnąć. Coś jakby pękło, wizja zaczęła się zacinać i rwać. I nagle znalazłem się z powrotem w pracowni wielkiego mistrza Harrata, z bolącą potylicą, wśród syku i dymu kolejnego nieudanego eksperymentu. Leżałem na podłodze, a nade mną pochylał się wielki mistrz, który przybrał na wadze i powadze przez lata, jakie minęły, odkąd miał coś wspólnego z moją matką, cokolwiek to było. Blask lampy gazowej, który oświetlał mu twarz, odbity od rozlanej cieczy, był miękki, żółty i najzwyczajniejszy w świecie.

– Robert! Robert! Słyszysz mnie? Przez chwilę myślałem... – Ręce mu się trzęsły. – Przez chwilę...

Usiadłem i skrzywiłem się, bo zaboląła mnie głowa. Guz. Nic takiego. Gdy wstawałem, wielki mistrz Harrat przytrzymał mnie za ramiona. Strząsnąłem jego ręce. Żarnik, cały doświadczalny obwód rozłożony na stole był jedną dymiącą ruiną. A mistrz Harrat patrzył na mnie smutnym, niezmiennym wzrokiem.

– Ale...

– Co, Robercie?

Pokręciłem głową.

Opuściłem dom wielkiego mistrza Harrata i poszedłem do siebie, z pełnym brzuchem i szczypiącymi oczyma, jak w co drugie półdzielne popołudnie.

Wracając co wieczór na Brickyard Row, unosiłem wzrok na chmury kłębiące się ponad szczytem dachu i żałowałem, że nasz dom nie należy do kogoś innego. Musiałem się zmuszać, by wejść do środka. W drodze do łóżka pospiesznie mijałem pokój matki. Bałem się gorzkiego odoru choroby i pulsującego mroku, który triumfalnie wirował, dławiąc ogień, kołysząc wątłym światłem, zmieniając nas wszystkich w potwory.

Zima toczyła ostatni pojedynek z wiosną, zawiewając ze wzgórz marznącym, oblepiającym szyby deszczem. Wiatr wbijał szpony w dachówki, wdzierał się we wszystkie szczeliny i szarpał mnie swymi strasznymi palcami.

Nadszedł wieczór, kiedy Beth nie było w domu, ojciec wyszedł się napić, a wicher nagle ustał, jakby zamarł. Siedziałem przy kuchennym stole, unosząc i opuszczając pokrywkę lampy naftowej, tak że krąg światła rozjarzał się i przygasał. Sąsiadów też nie było w domu – ostatnio często wychodzili, płoszeni dochodzącymi stąd hałasami i plotkami. Całe Bracebridge wydawało się puste i bezлюдne. Powietrze jednak wciąż pulsowało, naprzemiennymi falami światła i ciemności, podzwaniając odświętną porcelaną w kredensie. Szum, bum, szum, bum... Usłyszałem jakieś skrobanie, uniosłem wzrok. Z wąskiego pęknięcia w suficie wypęzła coś wielkiego i obrzydliwego. Dyndało przez chwilę, próbując wgramolić się między belki, potem z głuchym plaśnięciem spadło na stół i oszołomione, na chwilę zamarło. Smoczowesz. W porównaniu z poczwarami zamieszkującymi fabrykę niezbyt duży okaz, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego z bliska. Niebieskawy pancerz grzbietu pokrywały zawijasy jak niechlujna parodia pieczęci cechmistrza, ciało pod spodem było różowobłękitne, jak pożyczkowana, niemal przezroczysta skóra niemowlęcia. Odwróciłem smoczowesz na grzbiet, jak to robili końcem buta partacze na Pokładzie Wschodnim. Pisnęła, a potem cicho chrupnęła, gdy kilkakrotnie przygniotłem ją podstawą lampy, i trysnęła obrzydliwą posoką. Wytarłem plamę gazetami, wrzuciłem je do ognia.

Gdy wchodziłem na górę, ciemność spadała na mnie całymi płatami. Szum, bum, szum, bum... Świat zamarł w długiej chwili oczekiwania, gdy przemykałem za drzwiami do pokoju matki, czując dziwny opór, jakby ciśnienie samego czasu. Zauważyłem, że mam w ręku duży nóż kuchenny. Oprawny w porządny kamienny cedr, z naeteryzowaną klingą tyle razy ostrzoną przez ojca, że starła się w sierpowaty łuk, był to jeden z tych drogocennych produktów prawdziwie cechowego rzemiosła, które każda rodzina pielęgnowała i szanowała. Najpierw mi ciążył, później stał się lekki. Zapewne kiedy wytarłem ręce po rozgnieceniu smoczowszy, wyciągnąłem go z szuflady, choć taki ruch, taka decyzja wydawały mi się teraz równie niemożliwe jak sam fakt, że trzymam go w dłoni.

Sypialnia matki się zakołysała. Na ruszcie płonął słaby ogień, drżące sine płomyki na rozrzuconych węglach. Nie dawał ciepła, jednak matka kuciała przed nim w długiej, brudnej koszuli nocnej spowijającej kolana. Poczułem ukłucie nadziei, radości niemal. Wstała! Lepiej się czuje! Obróciła się ku mnie, strzykając stawami. W dłoniach ścisnęła bryłkę węgla, jak wiewiórka orzech. Czarne okruchy oblepiały jej wargi, zęby i język. Ujrzałem spłaszczony nos, oczy zapadnięte i prawie okrągłe, błyszczące. Na ramionach miała błękitnawe narośle. Wokół kłębił się cały dywan smoczowszy.

– To ty, prawda, Robercie?

Czułem, że z trudem mnie poznaje. W inny sposób wymawiała teraz moje imię.

– Co tu robisz? Czemu mi przeszkadzasz? – Błony zniszczonych nozdrzy zadrgały. – I co tam trzymasz?

Podniosła się powoli, z trzaskiem kości. Była wysoka, bardzo wysoka. Do rozrośniętej kopuły czaszki przywierało parę wątłych pasemek włosów. Klatka piersiowa sterczała z rozpiętej koszuli. Wewnątrz pulsowały i kłębiły się szarozielonkawe organy. Poczulem smród rozżarzonych węgli. Chciałem użyć noża, ale nie miałem pojęcia jak. Nawet rozumiałem, że właśnie tego pragnęłaby moja matka. Uniosłem ostrze, zatańczyło w nikłym blasku płomieni, jakby znało swój cel. Ale zaraz powietrze stężało mi wokół serca, ściskając je lodowatymi szponami. Stwór przechylił głowę i wywrócił ociekającymi eterem białkami. Rozpościerając ramiona, nachylił się ku mnie i rozwarł szczęki, wydając smrodliwe, ogniste beknięcia.

Przetoczyłem się do tyłu, na podest schodów. Cienkie drzwi wejściowe zdawały się same otwierać przede mną, napędzane tą samą siłą, która pchała mnie, aż znalazłem się na bruku Brickyard Row, sam, zgięty wpół i bez tchu. Gdzieś zgrzytał szpadeł, grała muzyka, czekał pies. Na skrawku ziemi schodzącym w dół w stronę śródmieścia i tępego łoskotu cegielni rosły powiewające gałązkami brzozy. Robiłem wdech za wdechem, a powietrze wokół mnie drgało i falowało. Zdałem sobie sprawę, że wciąż ściskam nóż z cedrową rączką. Cisnąłem go z całej siły ponad drzewa, dachy, pełną światełek nieckę doliny, w kierunku czerwonej gwiazdy, która wciąż się żarzyła – nisko nad horyzontem, na zachodzie.

*

Następnego ranka ciemnozielony furgon rozchlapywał kałuże na stromym podejździe od śródmieścia ku Coney Mound. Miał wysokie boki, ciągnęły go dwa ogromne perszerony o płaskich pyskach. Młodsze dzieciaki wyległy z domów, biegly obok, ja zaś obserwowałem z okienka poddasza, jak błyszcząca buda zatrzymuje się na Brickyard Row. Zgarbiony na koźle człowiek zerknął najpierw w dół, na dzieciaki, potem w górę, na chmury grożące deszczem. Wtedy zobaczyłem, że jest to mistrz Tatlow. Ściągnął usta, jakby chciał gwizdnąć, zerknął na wyciągniętą z kieszeni kartkę i zsiadł. Spętał perszerony, poklepał je, potem otworzył zasuwkę naszej furtki i energicznie zapukał do drzwi. W korytarzu zaskrzypiały kroki ojca. Usłyszałem charakterystyczne nerwowe odchrząkiwanie i westchnienie drzwi szorujących o wycieraczkę z sitowia. Słów nie rozumiałem, ale drzwi się zamknęły, głosy przeniosły do wewnątrz, gdzie dołączył do nich głos Beth. Mimo wszystko brzmiało to tak zwyczajnie.

Dzieciaki na ulicy wciąż otaczały furgon. Nie miał oznak żadnej firmy ani cechu. Już samo to było niezwykle. Na Brickyard Row bez wątplenia zadrgały zasłony. Sąsiedzi będą w roztargnieniu myć okna i schodki, zerkając w naszą stronę. Zacząłem się ubierać.

– *Prędzej! Już późno!*

Nagle zabiło mi serce, zamarłem ze skarpetką zwisającą ze stopy. Przysiągłbym, że usłyszałem chrobot suszarki do prania i głos matki wołającej mnie z kuchni.

– *Wychodzimy! Nie zdążysz zjeść śniadania!*

Popatrzyłem na pochyłe ściany mego poddasza, marząc, by powrócił ów odległy czwartkowy poranek u schyłku lata, kiedy odwiedziliśmy Redhouse. Ale z dołu wciąż dochodziły głosy.

Ostatniej nocy, skulony w łóżku, po powrocie Beth nasłuchiwałem jej sapania, gdy dźwigała na górę węgiel, wiadra i pościel. Cały dom cuchnął dymem. Leżąc w półmroku, słyszałem także skrzypienie sprężyn, strzykanie stawów, głośny oddech jakiegoś potwornego stworzenia, a także drapanie i skrobanie, które ostatnio zdawało się wypełniać wszystkie ściany. Tu, wśród moich starych płaszczy i koców, oddzielał mnie od niego tylko gips i deski.

Nasłuchując, jak krząta się moja siostra, zastanawiałem się, czy wciąż udało się jej zachować odrobinę nadziei, czy pozostało tylko ślepe przyzwyczajenie. Ciekawiło mnie, na ile uświadamia sobie, jak bardzo matka się zmieniła. Długo przewracałem się z boku na bok, wreszcie zapadłem

w sen, w którym zobaczyłem matkę, wyglądającą jak dawniej, wciąż w fartuchu, przywiązana łańcuchami do rur na Pokładzie Maszynowym w fabryce. Potem usłyszałem głos ojca, jakby powstrzymywał krzyk, co znaczyło, że wrócił pijany. Beth zaś płakała, w moim śnie czy na jawie, mówiła, że to już koniec, że już dłużej tak nie można. Słyszałem szcęk skrzynki z narzędziami ojca, melodyjne klekotanie desek. Uderzenia młotka.

Poranek był szary. Zszedłem po drabinie i ujrzałem, że drzwi do sypialni matki zostały zabite krzyżującymi się na skos starymi deskami podłogowymi; wyjątkowo niechlujna robota, której ojciec normalnie by się wstydził. Na nich grubymi krechami brązowej farby wymalowano ochronne koła i zawijasy; cienka powłoka jego cechowego dziedzictwa. Ze szczelin wypływały strużki dymu. Bił stamtąd żar i moc.

– *Robercie? Czy to ty? To ty...? Ty...?*

Niknące echo jej głosu, nic więcej. Zawahałem się ledwie na moment i poczłapałem na dół. Gdy zszedłem z ostatniego stopnia, odwróciły się ku mnie trzy twarze – ojca, Beth i mistrza Tatłowa.

– To jest mistrz Tatlow – zaczął ojciec, lekko unosząc się z krzesła. – On jest...

– Wiem kim on jest!

Przez chwilę przyglądali mi się badawczo. Mistrz Tatlow miał przyklejony do jednego z podbródków zakrwawiony strzępek gazy. Zaciął się przy goleniu.

– To zawsze jest trudne. Zawsze jest trudne. – Jego kolana zadrgały niespokojnie. – Widziałem różne przypadki, bogatych, biednych, w całym Yorkshire. Proszę mi uwierzyć, mistrzu Borrows, to najlepsze wyjście. Tacy jak ona... oni nie wiedzą, co się dzieje. Tak po prostu jest. To nie omija członków żadnego cechu, niech mi pan uwierzy...

Włosy Beth zwisały tłustymi strąkami, jej ubranie wyglądało, jakby w nim spała. Twarz ojca była poszarzała, postarzała i zimna. Mistrz Tatlow wyciągnął gruby notatnik.

– Pańska żona, klientka, pracowała w malarni w wielkiej fabryce? – Tak.

– Proszę wybaczyć, że pytam. Ale takie rzeczy dobrze wiedzieć.

– Oczywiście.

Mistrz Tatlow odsunął gumkę, przekartkował notatnik, kiwnął głową i polizał ołówek. Zapisał coś.

– Oczywiście, to może się przydarzyć niemal w każdej pracy, choć zdaję sobie sprawę, że w tej chwili to dla pana żadne pocieszenie. Lecz z tego co pan mówi, z tego co widziałem w meldunku, wygląda mi, że zmiany są nieco bardziej, hm, szczególne, niż spodziewałbym się po samej pracy w malarni. Może mi pan dokładniej powiedzieć, jakie są objawy?

– Najlepiej niech pan idzie na górę i sam zobaczy – odparł ojciec, przeczesując palcami włosy.

Na piętrze coś się zakotłowało, zaszurało, załomotało. Mistrz Tatlow zerknął w okno. Skrzywił wargi.

– Gdzie policja? Obiecali w telegramie, że będą tu równo na dziewiątą. Ja tu jadę całą noc z naszej stajni w Northallerton, a oni nie mogą przejść tych paru jardów? Więc, pan wybaczy... mógłbym dostać herbaty?

Beth wstała, by nastawić czajnik. Za oknem zaczęło padać. Zerknąłem w górę schodów. Podest na piętrze wypełniała przerażająca ciemność, fetor dymu, czuło się, słyszało, że coś tam czeka. Potem na długi czas, dopóki nie zagwizdał czajnik, zapanowała cisza, zmacona tylko uspokajającym bębnieniem deszczu. Ojciec sztywno siedział na krześle. Widziałem drgające liny jego mięśni, węzlaste żyły i znaki głowni na spracowanych rękach. Mistrz Tatlow otworzył i zamknął swą księgę, z okładką opatrzoną złotym krzyżem wpisanym w literę C. Ponownie zerknął w okno.

Gdy Beth podawała mu herbatę, łyżeczka zadzwoniła na spodku.

– O, dzięki pięknie! – Głośno siorbnął herbatę.

– Tato? Czy tacie też zrobić? Ojciec pokręcił głową. Beth podeszła do mnie.

– Matka tak właśnie by chciała. Żeby przyszedł ktoś taki jak mistrz Tatlow, kiedy tak... jej się pogorszy. Trzeba się nią zająć, a my nie możemy tego tutaj zrobić. Ja nie mogę...

– Mama jest trollem.

Zesztywniała. W kącikach ust miała zajady.

– Robercie, nie trzeba używać takich słów w tym domu.

– To prawda, ale to wcale nie musi być źle. Pamiętasz Złotobiałą? Zebrała wokół siebie odmienionych, stworzyła armię. Matka mogłaby...

Znów uniosłem wzrok na Beth. W jej zaspanych oczach nie było zrozumienia.

– Robercie, wyjdź sobie na trochę – powiedziała. – Idź do Nan Calaghan. Zapukaj do niej. Ona zrozumie. Wpuści cię.

Przebiegłem przez kuchnię i wypadłem w zaułek. Całe Bracebridge rozpląnęło się jak przysłonięte szarą płachtą. Furgon mistrza Tatlowa czekał, połyskując zielenią pozbawionej okien budy. Brzozy na wzgórzu gięły się jak bicze. Nawet najstarsze, najmocniejsze z drzew w tym rachitycznym zagajniku, to, w które wiele pokoleń wbijało gwoździe i ryło w nim swe imiona, ugięło się niczym maszt miotanego sztormem statku, kiedy się na nie wspinałem.

Darłem się w górę, buty ślizgały mi się na korze, aż dotarłem na taką wysokość, że ziemia pode mną niemal zniknęła w deszczu. Brickyard Row widziałem jednak wyraźnie, mogłem zajrzeć przez okno do sypialni matki. Nie wiedziałem, czego się spodziewać, na początku wypatrzyłem jedynie starą szafę i zdziwiłem się, bo powinna stać po drugiej stronie pokoju, a tymczasem zastawiała drzwi. Rozległy się głosy, stukot podków, skrzyp kół. Kolejny wóz. Był większy i cięższy niż furgon mistrza Tatlowa – paru jadących w nim policjantów musiało wysiąść i popchnąć go na szczyt wzgórza, pod nasz dom. Nosili błyszczące nieprzemakalne płaszcze i czapki z daszkiem. Gdy wchodzili przez furtkę od frontu, przypominali wędrownie stado parasoli.

Drzewo pode mną zatrzeszczało. Trudno było sobie wyobrazić ich wszystkich stłoczonych w domu, ociekających wodą. Znajoma sypialnia z przesuniętą pod drzwi szafą miała w sobie spokój, bezruch, jak drogocenny kamień wypatrzony na dnie morza w czasie sztormu. Zdawało się to przeczyć wszystkiemu, co wydarzyło się tego dnia. Potem przed domem pojawił się mistrz Tatlow, skulony przebiegł po deszczu, otworzył tylne drzwi furgonu i wytaszczył ze środka dziwaczny zbiór lewarów, obręczy i łańcuchów. Drzwi frontowe ponownie się zamknęły. Omiótł mnie wiatr. Gdy odzyskałem równowagę na gałęzi, zobaczyłem, że zastawiająca drzwi sypialni szafa się trzęsie. W końcu rozleciała się, eksplodując odłamkami cienkich desek. Do sypialni wdarło się mnóstwo umundurowanych sylwetek, całkiem wypełniając ją rozgardiaszem. Deszcz chyba się wzmaczał. Wyobraziłem sobie silne ramiona unoszące moją matkę, przytłaczający ciężar łańcuchów. Drzewo ugięło się pode mną. Zacząłem się ześlizgiwać – ale wtedy znów dostrzegłem ruch w pokoju.

Pojawiła się postać, wysoka, rozedrgana jak dym, unosząca się nad wszystkim, co próbowało ją schwytać. Co jeszcze... wydało mi się, że słyszę grzmot – może był to szum wiatru, może prawdziwy grom, a może odgłos łamanych szczeblin w oknie, które zdawało się wybrzuszać od nacisku z wewnątrz. Prysły szyby. Siedząc na drzewie, miałem to okno prawie na wysokości oczu; przez moment zdawało mi się, że kształt, który się w nim ukazał, wśród wiru odłamków szkła, strzępów białej pościeli, leci wprost ku mnie. Na moment w miejsce odmienionego eterem potwora ujrzałem moją matkę, uśmiechniętą, frunącą w moją stronę z rozpostartymi ramionami, by mnie objąć. Witem wizja zbladła, splątana sylwetka upadła, ciągnąc za sobą lśniące szkłem prześcieradła. Spadła

na kamienny stopień przed wejściem. Wyraźnie słyszałem trzask.

Szum, bum, szum, bum...

Deszcz jeszcze się nasilił. Krzyki. Walka z drzwiami frontowymi. Nerwowa bieganina policji i dużo spokojniejszy głos mistrza Tatłowa. Bładoróżowe strumyczki spływające po ścieżce i niknące wirem w rynsztoku. Ostrożne poszturchiwania, podnoszenie ciała. Gromadzący się wokół szlochający, zaciekawieni, obojętni sąsiedzi z rękoma założonymi na piersi. Odmienione ręce i nogi matki zwisają do ziemi z zaimprovizowanych noszy, wystają z nich ciernie rogów. Wszystko to widziałem i nie widziałem, zsuwając się z drzewa w gęste krzaki. Ostatni skok. Wśród migotu deszczu rozciąga się przede mną całe śródmieście, a za nim Rainharrow. Kamienie na jego szczycie szyderczo błyszczą w promieniach słońca. Wiatr, szary na szarym tle, zerwał się na nowo; spienione fale wiosny załamujące się na opoce zimy. Wtem usłyszałem kolejny odgłos – z doliny pode mną dobiegło niespokojne wycie, do którego zaraz dołączyło następne i następne. Była półdziela, syreny zmianowe odzywały się dziś w południe.

*

– Robert! – wielki mistrz Harrat, jak zwykle w fularze, szlafroku, z cygarniczką, wypełnił sobą otwarte drzwi. Wokół mnie bębnił deszcz. – Wchodź, szybko! Taki parszywy dzień! Obawiałem się, że zrezygnujesz...

Stałem przemoknięty w hallu, wdychając kwiatowy aromat gazowych lamp, przemieszany z wodą kolońską, pastą do podłóg i potpourri.

– Proszę! – Wielki biały ręcznik, a za nim wielki mistrz Harrat. – Wytrzymaj się... – Owinał mnie puszystym ciepłem. – Jesteś kompletnie przemoczony. Zdejmij z siebie wszystko. Na pewno coś się znajdzie...

Spojrzał mi w oczy i natychmiast zamilkł. Czekałem w salonie, podczas gdy on znosił piętrowe tace z ciastkami, przygotowane przez wiecznie nieobecne służące. Wreszcie zasiadł w tym krześle co zwykle, a ja usiadłem na brzeżku mojego. W kominku strzelał ogień. W zalanym deszczem oknie mignęło moje odbicie – postać owinięta w biały ręcznik wśród połysku drewna i mosiądzu. Sam się zdziwiłem, kiedy rzuciłem się łapczywie na słodkie, absurdalnie ozdobne ciastka, napychając nimi usta, aż zaboląły mnie policzki. Potem przyszedł czas na zapalenie lamp, kolejne skrzypnięcia drobniutko rowkowanych kraników z sykiem wznagały zapach gazu przywodzący na myśl nadpsute kwiaty.

Gdy przechodziliśmy przez pokoje, zdawało mi się, że ciągną za nami całe szeregi wielkich mistrzów Harratów i Robertów – zagubione cienie naszych minionych półdział – a światło w pracowni miało fakturę nasiąkniętej wodą wełny. Wielki mistrz nie zapalił lamp, zaczął szczekać tacami i zwojami drutu. Stoły, na których przeprowadzał teraz doświadczenia, były puste. Co stało się z kwasami, z przewodami, elektrycznymi świętojańskimi robaczkami?

– Wiesz, Robercie, na razie z tym skończyłem – powiedział z wymuszoną wesołością. – Wczoraj, właściwie całą wczorajszą noc pracowałem tutaj. Ale nic mi nie wychodziło... – Zamilkł na chwilę. – Owładnęły mną dziwaczne myśli, dziwaczne problemy, ale też prawdziwe przeszkody, których nigdy nie wziąłem pod uwagę. Nic nie chciało zadziałać i w końcu zrozumiałem dlaczego. Powód jest najprostszy, jaki można sobie wyobrazić. – Zmarszczył twarz w uśmiechu. – Rozumiesz, Robercie, to jest niemożliwe. Nigdy nie będzie elektrycznego światła, przynajmniej nie w Anglii... Taki wniosek płynie z naszego doświadczenia w zesłą półdział. Pozostaje nam tylko eter...

Cofnął się, wciąż na mnie patrząc. Jego szyja i podbródek zadrgały, jakby toczył wewnętrzną walkę. Wreszcie wypowiedział pytanie, którego nie zadawał mi od wielu pracokresów.

– A jak się czuje twoja matka?

– Nie żyje. Dzisiaj rano rzuciła się z okna, jak przyszedł trollowy. Zapadła cisza, tylko deszcz szumiał za oknami.

– Co za nieszczęście, Robercie! – Wielki mistrz Harrat zaczął przesuwać różne przedmioty i odkładać je na bok. Brzękały słoje i zakrętki, wypełniając powietrze paletą zapachów. – Ale może coś z tego przyda się mojemu cechowi. Wstyd by mi było po prostu tak to zostawić, żeby obrastało kurzem... – Pokręcił tarczą sejfu na ścianie i wyjął zeń podzwaniające fiołki z eterem. – A co mam zrobić z tym wszystkim? Ta przeklęta rzecz rządzi całym naszym życiem. – Postawił tacę na pustym stole. Twarz mu pobladła, cień na ścianie zolbrzymiał. – Eter jest wszystkim, Robercie. Eter jest niczym...

Załkał i machnięciem ręki zrzucił tacę na podłogę. Drogocenne fiole rozbiły się, ich zawartość wylała się ze skorup, gęsta jak syrop i lśniąco palcami zaczęła badać zakurzoną podłogę. Zachodziłem w głowę, ileż to maszyn można by tym wzmocnić i zasilić. Wielki mistrz Harrat stał pośrodku świecącej kałuży w swych komicznych rannych pantoflach. Krople eteru miał także na spodniach, twarzy i rękach. Rozejrzał się po pracowni, jego podświetloną od dołu twarz wykrzywił nagły grymas niesmaku. Z rykiem rzucił się w stronę najbliższego balonu z kwasem. Baniak kołysał się przez chwilę, jakby namyślając się, czy ma upaść. W końcu się przewrócił. Z jego ust wylała się dymiąca kałuża. Zmieszała się z eterem. Jakby tego nie było dosyć, wielki mistrz Harrat zaczął wywracać kolejne bańki z cennymi odczynnikami, aż powstała kłębiąca się warstwa piany. W powietrzu wiły się smużki dymu i gazu.

– To zadanie dali mi...

Bez żadnego wstępu zaczął mówić, chodząc po pracowni. Ślady, które zostawiał, świeciły dziwooblaskiem.

– Robercie, musisz zrozumieć. To zadanie dano mi, kiedy otrzymałem pierwsze wysokie stanowisko w firmie Mawdingly & Clawtson. Przyszedł tu do mnie pewien cechmistrz. Któregoś wieczoru czekał na mnie w hallu, chociaż pokojówki twierdziły, że go nie wpuszczały. Dlatego od razu wiedziałem, że ma władzę. Wyglądało, że już drzemie w nim ta moc, choć jeszcze nie rzucił zaklęcia. A twarz miał taką... taką, że w ogóle jej nie zapamiętałem, mimo że stał tuż przede mną; czułem nawet, jak jego peleryna pachnie deszczem. Wymówił słowa mojego cechu, Robercie, słowa tajemnego polecenia. Wiedziałem, że jest jednym z tych ludzi, którzy rządzą mną, tak jak księżyc rządzi przyływami. Ale oczywiście byłem podekscytowany, podniecony. Któż by nie był? Nie zapamiętałem jego twarzy, pelerynę miał czarną i pachniała deszczem, jakby przyniosła go do mnie burza...

Usiedliśmy, Robercie, i zaczęliśmy rozmawiać. Spokojnym głosem wyjaśnił mi, na czym polega problem, czego ode mnie chce, potem wyciągnął rysunki i fotografie, w które trudno mi było uwierzyć. Rozłożyliśmy je na stole i przycisnęliśmy porcelanowymi pieskami. Zapaliliśmy lampy i rozmawialiśmy, był grzeczny, jak zwykle ludzie posiadający taką władzę. Cieszyłem się, że ktoś taki obdarza mnie zaufaniem...

Wokół wielkiego mistrza Harrata wiły się kłęby gryzącego dymu. Stopy w rannych pantoflach miażdżyły odłamki szkła. Jego potężna sylwetka przypominała zbyt kontrastową fotografię – jaskrawa biel na tle czerni.

– Nie zdradził mi swojego nazwiska ani nawet macierzystego cechu. Jednak byłem już zbyt pochłonięty szczegółami jego planu, planu wykorzystania siły chalcedonu, aby zastanawiać się, czy to jest właściwe, czy nie. Na długo przed otwarciem skrzynki wszystko sobie wyraźnie wyobraziłem: i konstrukcję, którą zaplanował, i jak ów żarzący się kamień może zmienić Bracebridge, a niewykluczone, że całą Anglię. Ręce dosłownie mi tańczyły, szkice rysowały się prawie same.

W końcu co złego może być w ulepszeniu procesu ekstrakowania eteru? Co złego w tym, że starasz się jak najlepiej? Czyż nie to właśnie jesteśmy winni my, cechmistrze, udziałowcom firmy Mawdingly & Clawtson? Skąd miałem wiedzieć, że maszyny staną, a ta rzecz się wzbudzi?

Ostatnie słowa wielkiego mistrza stłumił szloch. Jego twarz lśniła od łez i eteru.

– Lecz, Robercie, gdzieś głęboko w sercu wiedziałem, że to jest złe. Wiedziałem i nie wiedziałem, jakbym sam przed sobą trzymał to w tajemnicy. Zapewne mogłem zapytać, domagać się odpowiedzi, poskarżyć się. Ale komu? I po co? W istocie nie było takiej potrzeby – ja zaś nie miałem pojęcia, że zdarzenia potoczą się właśnie tak, a ich skutki będą prześladować nas aż do tej pory... Robercie, musisz zrozumieć. Musisz mi wybaczyć...

Mistrz Harrat głośno załkał i ruszył ku mnie, wielki, płomiennobiały. Odsunąłem się. Poczulem na piersi i ramionach dotyk jego rąk. Uchyliłem się. Lecz on wciąż szedł ku mnie, przewracając półki. Na chwilę zatrzymał się pośrodku pracowni, zatoczył się, jakby stojąc na krawędzi urwiska, w końcu obsunęła mu się stopa i upadł na twarz i brzuch, prosto w świecąca kałużę eteru i kwasu.

Wydał bulgotliwe westchnienie i usiłował wstać. Lecz dłonie już mu dymiły, twarz się rozpuszczała. Deszcz zalał świetliki w dachu, odbijające żar i dziwoblask. Mistrz Harrat z rykiem wiał się w spienionej kałuży. Ujrzałem kikut ręki lśniący odłamkami naeteryzowanego szkła. Ujrzałem obnażone wnętrze klatki piersiowej, jak rysunek anatomiczny. Tonął, umierał. Nieskazitelnie białe kości wciąż poruszały się, próbując coś chwycić, choć ciało wokół już się rozpuszczało.

Wycofałem się pod ścianę. Z podłogi unosiły się mgliste smużki światła. Stopy oblepiały mi odłamki naeteryzowanego szkła. Piekły mnie dłonie i oczy. Burza nadal szalała. Śliskimi od krwi palcami odkręciłem kurki lamp gazowych. Wdarłem się do kuchni, popędziłem w górę i w dół schodami, wpadając do wszystkich pokojów, rozbijając ozdoby i odkręcając kolejne gazowe kurki. Byłem cały mokry, oszołomiony i na wpół zatruty, ale mrok zdawał się mnie popychać do czynu. W końcu, gdy stanąłem zdyszany, ujrzałem przed sobą ślady moich ubłoconych butów prowadzące do wejścia. Otworzyłem ciężkie drzwi. Niewidzialne, potężne ręce zatrzasnęły je za mną z hukiem.

Ulmester Street była pusta, wymieciona przez deszcz i mrok, pozastłaniane okna spoglądały bez zainteresowania, jak biegnę w dół, w poprzepalanym kwasem ubraniu. A potem z tyłu dobiegło mnie basowe, głębokie dudnienie, jakby burza jeszcze się wzmogła. Zatrzymałem się i obejrzałem. Nad dachami rozpostarła się intensywna łuna, kłębiące się chmury zamarły. Wszystko, co symbolizował sobą wielki mistrz Harrat – syczące lampy gazowe, odbłaski ognia w eleganckich lustrach, dziwoblask eteru, walka z kaprysmi elektryczności – oślepiło mnie potężną falą, po której usłyszałem tylko trzask, wycie płomieni i łoskot walących się ścian.

Trumna matki aż lśniła. Porządne drewno, kupione za cechowe pieniądze – te same, które sfinansowały świeżo wyszlifowany kamień nagrobny, w szeregu innych Niższych Ślusarzy na przykościelnym cmentarzu. Gdy opuszczano ją w mokrą ziemię, ojciec Francis czynił znaki swego cechu i mrucał coś o tym, że matka jest już zaproszona do nieba, gdzie będzie wolna od trudów i ciężarów życia kobiety cechowej – wolna, by zająć się wszystkimi tymi nieokreślonymi, radosnymi zajęciami pośród eleganckich domów i pól pszenicy, a ja wiedziałem, że uważałaby je za puste i bezsensowne.

Znudzony, jak to dziecko, przedłużającą się ceremonią, nadałem policzki, spojrzałem w pochmurne niebo, a potem w dół, na szeregi domów. Hymniczne wino, którego dziś próbowałem, było stare i skwaśniałe. Nie zobaczyłem po nim nic poza zimnymi, wilgotnymi i stęchłymi stronicami nieprzeczytanych tomów Biblii. I nic się nie zmieniło. W Bracebridge nigdy nic się nie zmieniło. Krzywe kominy fabryki nadal dymiły. Po Withybrook Road turkotał wózek, kołysały się na nim puste beczki. Ziemia dalej dudniła. Beth walczyła z porywistym wiatrem, przytrzymując pożyczony czarny kapelusz. Kilka sąsiadek szlochało. Mężczyźni mieli twarze jak wyrzeźbione z kamienia; nawet przy takiej okazji nie było po nich widać emocji. Spod muru przyglądała się wszystkiemu gromadka dzieci. Sam tak obserwowałem inne pogrzeby, zastanawiając się, jak to jest stać przed dziurą wykopaną w ziemi. Teraz też wciąż się nad tym zastanawiałem. Robotnicy już oczyszczali fundamenty domu wielkiego mistrza Harrata na Ulmester Street, w bogatej dzielnicy. Choć był solidny, wybuch gazu zrujnował go tak, że nadawał się tylko do rozbiórki. Podobno jego śmierć zaskoczyła ludzi nie bardziej niż śmierć mojej matki, zresztą nikt nie podejrzewał związku między nimi. W Bracebridge gazowe oświetlenie w domach było rzadkością i powszechnie uważało się je za tak zdradliwe, że gdyby mistrz Harrat to wiedział, plan przekonania nas kiedykolwiek do zalet czegoś tak dziwnego i nowego, jak elektryczność z pewnością uznałby za beznadziejny. Ale on nie pochodził z Yorkshire, tylko z Londynu i nie był żonaty. Choć wątpię, by wiele osób w Bracebridge znało takie słowo, unosiła się wokół niego lekka aura homoseksualizmu, obok zapachu wody kolońskiej i kwasu z akumulatorów. Przy tym wszystkim fakt, że w półdzielnie popołudnia zapraszał do siebie młodych chłopców, nikogo by nie zdziwił – gdyby ktokolwiek o tym wiedział. A teraz nie żył, wszystko się skończyło. Może właśnie w tej chwili gdzieś daleko chowali go w krypcie jakiejś wielkiej kaplicy cechowej. Niewiele mnie to wtedy obchodziło.

Ojciec Francis skończył przemowę, ludzie powoli zaczęli odchodzić, kierując się w stronę sali na Grove Street, która tak naprawdę była podłużną szopą. Będą tam półmiski wędlin, piwo imbirowe dla dzieci, słodkie sherry dla kobiet i mocne brązowe piwo dla mężczyzn. Ja zostałem wśród ostatnich żałobników – nie chciałem, by ta pusta chwila prześliznęła mi się między palcami. Cisy po przeciwnej stronie cmentarza były wysokie, ciemne, przypominały obserwujących nas ludzi. Wtem jeden, gdy zatrzymałem na nim wzrok, zmienił się i stał się człowiekiem, owiniętym w płaszcz, ukrytym pod kapeluszem z szerokim rondem. Pani Summerton podeszła do mnie, lawirując między grobami.

– Czułam, że muszę przyjść, ale wiedziałam, zwłaszcza po tym, co się stało, że nie mogę dać się zobaczyć.

– Oni pewnie już zapomnieli – powiedziałem. – Albo zapomną, jak wypiją kilka szklaneczek na stypie.

– Robercie, nie powinieneś być taki cyniczny.

Ostatni żałobnicy wychodzili przez kościelną bramę. Żaden nie zauważył pani Summerton ani mnie. Może, pomyślałem, teraz oboje wyglądamy jak cisy. Ruszyliśmy w przeciwną stronę, ku śródmieściu i rynkowi, który dzisiaj – był szóstek – wypełniał główny plac. Przez dłuższą chwilę po prostu wędrowaliśmy w milczeniu wśród straganów. Po niebie pędziły chmury, markizy łopotały na wietrze. Pani Summerton, choć ubrana w ciężki płaszcz, miała na nogach delikatne buciki, z wyglądu niewiele solidniejsze od rannych pantofli wielkiego mistrza Harrata, choć ubłocone znacznie mniej niż tupiące wokół nas ciężkie buciory i chodaki. Nosila eleganckie długie rękawiczki z cielejącej skórki, a jej okulary błyskały w słońcu. W ten szary dzień nikt by nie pomyślał, że nie jest starą damą cechową. Eter działa w obie strony – rozumiałem to, kiedy pani Summerton wachała i obmacywała pory, by sprawdzić, czy są świeże. Tak jak dziwoblask, może być ciemny lub jasny. Potrafi tworzyć wspaniałe maszyny, przekazywać wiadomości telegrafami i powstrzymywać od zawalenia się wszystkie mosty Anglii. I potrafi być smoczowszą, cuchnącą, parzącą kukułczą pokrzywą, potwornym trollem, który zamieszkał w pokoju mojej matki. Może być tym wszystkim. Pani Summerton wzięła mnie za rękę i przeprowadziła pomiędzy kubłami pełnymi guzików z Dudley, górami cukru sprowadzonego aż z Wysp Szczęśliwych i stertami plamiastych wodnych jabłek przywiezionych z Harmanthorpe. Podziwialiśmy pęki wysuszonej iwy i świetlika na rogu placu, gdzie straganiarz, w całkiem niespotykanym geście, dał pani Summerton w prezencie kwiatek do wpięcia w klapę. Były to miłe chwile po tym wszystkim, co się zdarzyło.

Poszliśmy nad rzekę, pani Summerton oparła się na chropowatej balustradzie mostu, od którego miasto wzięło nazwę. Wiatr wiał od wzgórz Pennine, omiatał Rainharrow, wył i odbijał się echem w łukach mostu, marszczył powierzchnię wartkiej wody, unosił uschłe liście i gałęzie, zapach węgla i błota. Suche płatki kwiatka drżały i szeleściły.

– Szkoda, że nie ma jakiegoś lepszego słowa niż „współczuję” – powiedziała pani Summerton.

– Nie obchodzi mnie to. Nieważne. Wszystko jest nieważne.

– Mów sobie, Robercie, co chcesz, ale nie zrób sobie krzywdy i nie myśl tak.

Przełknąłem to w milczeniu. Oczy piekły mnie od wiatru. Pani Summerton objęła mnie ramionami. Gdy zanurzyłem się w jej pachnącym skórą płaszczu, zdawała się rosnać. Otoczyła mnie ciepłem, odizolowała od świata. Płynąłem uzdrowiony nad inną Anglią, cisza w samo południe, cudowne tarasy, białe wieże... Cofnąłem się i zdziwiłem, że znów jestem tutaj, na moście nad rzeką w porywach wiatru.

– Gdyby dało się uczynić ten kraj lepszym – powiedziała z uśmiechem – nie sądzisz, że po tylu Wiekach już byśmy to zrobili? – Wyciągnęła z kieszeni glinianą fajkę. Długo starała się zapalić, odwracając się plecami do wiatru, jak to robili mężczyźni wracający z fabryki. Zużywała jedną zapałkę za drugą, w końcu główka fajki się rozżarzyła. Ta scena trochę pozbawiła mnie złudzeń. Jeśli pani Summerton nie umie zrobić czegoś tak prostego, to nie jest nikim nadzwyczajnym. Nic dziwnego, że nie mogła uratować mojej matki.

Przeszliśmy przez most i ruszyliśmy drugim brzegiem, wzdłuż na wpół zalanej łąki. Nad wartkim nurtem Withy krążyły białe ptaki, które nazywaliśmy lądowymi mewami.

– Wie pani co – zacząłem – zawsze wierzyłem, że istniejecie. Nie wierzyłem natomiast w Northallerton. Ale czy moja matka naprawdę była odmieńcem?

– Robercie, nie lubię tego słowa. Zaraz mnie też tak nazwiesz. Albo wiedźmą, trollicą czy skrzatem.

– Przecież skrzatów nie ma, a pani tu jest.

Uśmiechnęła się, potem zmarszczyła, z cieni na twarzy wychynęły brązowe zmarszczki.

– Czasem i w to zdarza mi się wątpić. Popatrz tylko, jak w Bracebridge wznoszą się i wałają budynki, jak z porami roku zmieniają się pola uprawne, wsłuchaj się w to dudnienie. Jaka pasja, energia! A moje życie jest rozproszone, Robercie. Dla mnie rzeczywistość jest czymś ulotnym. Cała jestem tym przesiąknięta. Żyję jak stary pies w opuszczonym domu, warczę i szczekam na cienie...

– To musi być straszne.

– Może czasami. Ale uwierz, mimo wszystko ten Wiek jest lepszy do życia niż którykolwiek poprzedni. Nie ukamienowano mnie, nie spalono na stosie i mam swoje skrawki wolności...

Szliśmy pod gnącymi się od wiatru drzewami, obok pędzących fal Withy, a pani Summerton opowiadała mi swoje życie. Urodziła się, na ile można to było ustalić, około stu lat temu, u zarania obecnego Wieku, choć dokładnych okoliczności wciąż nie znała. Stanęliśmy pod wielkim drzewem, zdjęła okulary. W tym słabym świetle jej oczy wydawały się bardzo jasne. Łagodne brązowe tęczęwki lśniły blaskiem, źrenice zaś były czarnymi otworami, za którymi ziała nieskończoność. Pozwoliła mi nawet dotknąć swojej twarzy i rąk. W dotyku były jak cienka skórka, suchy papier.

– Teraz, kiedy jestem stara, chyba wcale tak dziwnie nie wyglądam. Ludzie patrzą na mnie i wyobrażają sobie, że jestem wiekowa i sterana życiem. Lecz kiedy byłam młoda, wyglądałam niewiele inaczej. Właściwie, o ile pamiętam, zawsze taka byłam. Musiało się to stać przed moim urodzeniem albo zaraz potem. Cech Zbieraczy ma na to jakąś łacińską nazwę, tak jak mają na prawie wszystko, i zdaje się, że takie akurat zmiany są dość częste. Choć węglarze z lasów na pograniczu Walii, którzy produkują opał dla pieców Dudley, nie powiedzieliby „częste”. To nie to słowo. Tworzą pozory, że do tego nie trzeba używać eteru, prawda? Ani nawet być członkiem cechu. Ale tak bywa, zaklęcie zawsze może obrócić się przeciwko temu, kto je rzuca.

– Przecież pani była dzieckiem.

– Więc może zrobiła to moja matka. W tamtych czasach cechy dobrze płaciły za kogoś takiego jak ja, na tyle młodego, że da się go wyuczyć i wykorzystać. Słyszałam, że niektóre rodziny były na tyle zdesperowane, by... spowodować wypadek. Ale nie wiem na pewno. Przynajmniej nie spalili mnie w piecu ani nie zostawili zimą w śniegu. Więc pewnie i tak powinnam być wdzięczna...

We wspomnieniach z dzieciństwa pani Summerton zamiast rodzinnego ogniska pojawiał się dziwny dom, w którym ją wychowywano. Właściwie było to więzienie, choć nieliczne osoby mijające go ulicą z pewnością by się nie domyśliły. Znajdował się, co potem odkryła, na zadrzewionym przedmieściu wielkiego miasta Oxford, zbudowano go w którymś z poprzednich Wieków, by badać odmieńców. Miał kraty w oknach, zasuwę na drzwiach, ukryte przejścia, klapy i judasze w ścianach. Kiedy przywieziono doń panią Summerton, od dawna stał pusty. Jej pierwsze wspomnienia to zapach wilgoci i stłumiony szmer głosów zza ścian.

– Nie wiem, Robercie, czy słyszałeś teorię, że odmienione dziecko, jak ja, jeśli zostawi się je samo, zacznie mówić prawdziwym językiem eteru...

Kobiety, które się nią tam zajmowały, nosiły wykrochmalone ubrania i rękawiczki, a nawet maski, bały się bowiem, że wyrządzi im jakąś krzywdę. Kiedy podrosła, całymi pracokresami nie widywała niemal nikogo. Jedzenie pojawiało się co rano na stole. Tajemnicze ręce zmieniały pościel na łóżku. Dziwne – zwykli ludzie jej wydawali się obdarzeni magią.

– Ale i ja byłam osobliwą, dziką istotą – ciągnęła – bo niewielka moc, jaką posiadam, jest trochę jak szaleństwo. Ciągłe targają mną wichry niemożliwości, jakieś myśli, idee, uczucia. Obsesyjnie fascynują mnie drobiazgi, a codzienne sprawy wydają się ulotne jak dym... – Wytrząsnęła zgasałą fajkę, przesuwając patykowatymi palcami po poplamionej kości słoniowej. Wciąż była bez okularów, a jej oczy, kiedy spoglądała na mnie, błyszczały jak słońce na ośnieżonych polach. – Robercie, co mam powiedzieć, żebyś zrozumiał?

Rozumiałem. Idąc wzdłuż Withy, słyszałem stłumione głosy za ścianami domu-więzienia w Oxfordzie wyraźniej niż szum rzeki. W nocy pani Summerton gryzła drewniane wezłowie albo siedziała w kucki, kołysząc się, jęcząc i wyjąc. Jadła palcami, choć tyle razy jej pokazywano, jak należy jeść, lubiła potrawy surowe i krwiste, i nauczyła się brzydkich wyrazów, słysząc, jak opiekunki mruczą do siebie pod maskami.

Musiało to być niezwykle dziwne życie. Gdy cechowi oglądali ją przez judasze, czuła ich wspomnienia, ich myśli, słyszała zgiełk, bicie dzwonów na strzelistych wieżach miasta. Czasem był to także odgłos pędzącego na północ pociągu, pokrzykiwania wozaków, turkot wózków. Nie wiedziała, co to wszystko oznacza, poza tym, że to właśnie jest prawdziwe życie, od którego z jakiegoś dziwnego powodu ją izolują. Nawet kiedy już nauczyła się mówić, przez jakiś czas milczeli w jej obecności – mieli nadzieję, że wypowie jakieś nowe, nieznane zaklęcie. Jednak gdy czytała im na głos w myślach, bili ją. Jeśli coś przesunęła, nie używając rąk, parzono jej palce na szkle lampy. Badano ją sondami i kuksańcami. Pewien mężczyzna, nucąc, przyglądał się, jak wysysają ją pijawki. Inni pokazywali jej zamknięte koperty i kazali odczytywać, co jest napisane na kartce w środku, albo przypinali ją do krzesła przed piórkami i odważnikami w szklanych kloszach i kazali nimi poruszać, jednocześnie dyskutując, czy pozbawienie jej wzroku nie wzmocniłoby tych zdolności. Kiedy robiła takie rzeczy sama z siebie, dostawała po głowie, dlatego nigdy nie wiedziała, czego naprawdę chcą.

Pani Summerton przez chwilę szła w milczeniu, bo skończyła opowieść. Zatechłe echa przerażającego więzienia ucichły. Drzewa przestały bić gałęziami o okratowane okna, powietrze na powrót zapachniało sadzą, błotem, latrynami i kapustą. W którymś momencie zawróciliśmy. Za mostem znów czekało na nas Bracebridge, szare w szarzejącym świetle.

– Uciekła pani? – zapytałem.

Zatrzymała się, odwróciła ku mnie i rozchyliła płaszcz. Zaczęła rozpinąć guziki i rozwiązywać troczki na przodzie fartucha. Dziwaczny gest, mimo woli cofnąłem się i przeszedł mnie ciarki. Kim ona właściwie jest? Stałem na mrocznym brzegu rzeki ze stworzeniem, które... ale wtedy zobaczyłem. Na żyłastej, płaskiej chudej piersi widniał tatuaż. W półświatle żarzyła się litera C i krzyż.

– Nigdy nie uciekłam – odpowiedziała pani Summerton i zapięła guziki. – Anglia jest jaka jest, Robercie, cechy władają mną tak samo jak tobą, twoim ojcem i twoją nieszczęsną matką. Tak, odsłużyłam całe życie i teraz jestem wolna od codziennej pracy. Cech Zbieraczy nie wszystkich więzi w takich miejscach jak Northallerton. Sądzę nawet, że zapomnieli o mnie, kiedy skryłam się w Redhouse, a taki głupiec jak Tatlow mnie drugi raz nie znajdzie...

Wyobraziłem sobie, jak pani Summerton wraca dziś do Redhouse. Nawet po wszystkim, co usłyszałem i zobaczyłem pośród ponurego zimowego popołudnia, tamten dom był dla mnie wypełniony blaskiem i radością. I będzie tam Annalise. Widziałem ją w tej samej sukience co kiedyś, choć we wspomnieniach stała się bielsza i czystsza...

– Robercie, niestety, Annalise wyjechała. Musiała... no wiesz, musiała zacząć własne życie. Nie mogła bez końca mieszkać z taką staruchą jak ja, i do tego w ukryciu. Mam tylko nadzieję, że zapewniłam jej takie życie, jakiego pragnęła. Oczywiście tęsknię za nią, a wy dwoje rzeczywiście pasowaliście do siebie... Nie było jej lekko. Mówiła ci, jak zaczęło się jej życie? Czego się dowiedziałeś? A może stało się coś jeszcze? – Zatrzymaliśmy się nagle. Szła pani Summerton odbijały czarny nurt rzeki. Wyciągnęła szyję do przodu. Jej ciało zdawało się wydłużać. Potem się pomarszczyło, wyciągnęło, zmieniło. Powtórnie obejrzałem, chcąc nie chcąc, śmierć wielkiego mistrza Harratę, usłyszałem huk płomieni i tąpnięcia zawałającego się domu.

– Stało się tak, że...

– Nie, nie mów! – Skurczyła się z powrotem do swej zwykłej postaci; zdało mi się, że mnie odpycha. – Trzeba o tym zapomnieć i iść dalej. Oboje mamy na razie dość strachu i rozczarowania...

Pogładziła mnie po ramieniu kruchą ręką, opróżniając mój umysł ze wszystkich wizji, wszystkich pytań. Miała rację. Annalise wyjechała z Redhouse. Matka nie żyje, wielki mistrz Harrat też nie żyje. Wciąż czułem, że oba tragiczne zdarzenia są jakoś ze sobą powiązane, ale ta tajemnica wydawała mi się zaledwie cieniem z przeszłości – wierzyłem wtedy, że przyszłość jest czymś zupełnie oddzielnym, czymś, co można zmienić, ukształtować. Wróciliśmy brzegiem rzeki do miasta. Przewoźnicy na nabrzeżu przestawali zwijać liny i rzucać wiatrowe zaklęcia, żeby na nas popatrzeć: jakiś chłopak i niska, elegancka pani w długim płaszczu. Może sądzą, że to moja matka, pomyślałem.

– Któregoś dnia powiem ci więcej – obiecała, gdy wspinaliśmy się brukowanymi schodami obok opustoszałego rynku. – Ale ja również niedługo muszę opuścić Redhouse i Bracebridge. A ty musisz żyć swoim życiem. Być może nasze ścieżki się zejdą...

Odeszła, lawirując wśród śmieci na rynku. Przystanęła przed oświetlonym frontonem sklepu, obejrzała się i uniosła dłoń w pożegnalnym geście, po czym skręciła w boczną uliczkę i zmieniła się w ciemny obłoczek. Wiatr był coraz silniejszy, darł chmury na niebie, gdy zmierzałem w stronę Coney Mound. Zwolniłem kroku, spojrzałem na niebo. Teraz nawet twarz na księżycu zdawała się uśmiechać, choć czerwona gwiazda na zachodzie zniknęła.

Przez następne dni, pracokresy, pory roku, lata żyłem najzupełniej zwyczajnym życiem. Ojciec wrócił do pracy na Pokładzie Wschodnim fabryki Mawdingly & Clawtson. Pił dalej. Beth, pomimo dwukrotnego obłania egzaminów, zdołała wyblagać sobie pracę asystentki w szkole w Harmanthorpe. Myślę, że zacząłem bardziej regularnie chodzić do Szkoły Miejskiej; możliwe także, że mniej tłukłem kolegów. Jednak nie bardzo sobie przypominam, żebym się czegokolwiek nauczył albo z kimś zaprzyjaźnił. Życie na pozór wróciło do normy, choć nasi sąsiedzi z obu stron się wyprowadzili, a ojciec nigdy już nie spał w sypialni od frontu, mimo że z jej ścian zniknęły smoczowszy. Zadowalał się krzesłem przed kuchennym piecem, warcząc na wszystkich i wszystko, co stało mu w poprzek jego drobnych kaprysów. Włosy mu siwiały i stawał się coraz bardziej odpychający. Sypialnia pozostała pusta i zimna, z wypuczonymi drzwiami nieustannie uchylonymi na pordzewiałych zawiasach, z rozwaloną szafą wciąż piętrzącą się w kącie.

Tak minęło pięć lat. W moim dojrzewającym ciele, wyrastającym z donaszanych po kimś ubrań, zachodziły zmiany. Patrząc na siebie, macając szczecinę na moim brzuchu i podbródku, przypominałem sobie czasem odległą melodię słów Annalise w ogrodach Redhouse, czułem rozbawienie i rozczarowanie powodowane utratą czegoś trudnego do określenia. Ale w zapominaniu byłem stanowczy. W owym czasie przyjemność czerpałem z wędrowania po szczycie Rainharrow, bezmyślnej, samotnej łące aż do wyczerpania, albo z rąbania drewna na podwórzu w zimowe wieczory. Czasem bawiłem się pomysłem pójścia wzdłuż torów kolejowych do Tatton Hak. Jednak gdy docierałem do granic Bracebridge, zawsze zwalniałem kroku. Pode mną leżały szare, dymiące fabryki i rozlegało się dudnienie, które miałem we krwi. Dość już mi było utraconych marzeń, w głębi duszy wiedziałem, że dom Redhouse będzie pusty.

Wciąż byłem sprawnym, ruchliwym chłopakiem, pełnym gniewnej energii, niewysłowionych rozczarowań. Ale jednocześnie, choć od dawna powinienem był się skupić na cechowych egzaminach albo popalać papierosy na rogu ulicy i flirtować z dziewczynami, wciąż byłem rycerzem z Wieku Królów, jadącym w wyobraźni na pięknym srebrnobiałym rumaku w dziewicze dalekie krainy. Nawet tam byłem samotny, odmawiałem dworskich tańców, woląc od nich ścieżki w leśnej dżicy i strome góry. Wśród kłębiących się liści albo w strudze księżycowego światła widywałem przez moment jedyną osobę, która jeszcze coś dla mnie znaczyła – matkę. Coraz mniej obecną, choć wciąż wyczuwalną. Pewnego razu, w kaprysie, który nie przetrwałby, gdybym dał sobie czas na zastanowienie, pojechałem otwartym omnibusem parowym do Flinton. Przez całą drogę, wytrzęsiony, obolały, powtarzałem sobie, że to będzie zwyczajne, takie tam sąsiednie miasteczko, słynne tylko z brzydoty i kopalni węgla. A i tak, kiedy zobaczyłem kręcące się koła wyciągów i hałdy żużlu, poczułem zimny prysznic rozczarowania. To nie było Einfell.

Mijały kolejne lata i kolejne zimy. Usłyszałem – jak człowiek podrośnie, dochodzą go takie opowieści – że pewnej półdzieli, w latach siedemdziesiątych naszego Wieku, wydarzyło się niewyobrażalne: maszyny eterowe Bracebridge przestały dudnić. Od wstrząsu zaważyło się parę budynków, ale już dawno je odbudowano. Wypadek ten dzisiaj wydawał się na w pół mityczny. Nie żeby mnie to obchodziło. Nie żebym chciał wiedzieć. W całym mieście, nawet w jego plotkach i snach było coś, co napawało mnie obrzydzeniem i choć wszyscy z pewnością nadal zakładali, że zostanę ślusarzem, ojciec nie był chętny, by ponownie zabrać mnie do fabryki. Utracił złudzenia co do nędznych tajemnic swego niższego cechu. Przyszedł jednak pewien piątek, kiedy tego zadania już nie dało się uniknąć. Idąc do tylnej bramy wiodącej na Pokład Wschodni, wlekliśmy się noga za

nogą. Był upalny letni poranek. Powietrze smakowało kurzem, popiołem i metalem, jeszcze zanim zawyły syreny, a maszyny zaczęły się obracać. Nie mogłem przypadkiem spotkać nieszczęsnego wielkiego mistrza Harrata, lecz wkrótce znudziło mi się stanie koło ojca i zacząłem rozglądać się po zadymionej, zalanej słońcem hali w oczekiwaniu, że niedługo będę musiał odnowić znajomość ze wstrętnym Stropcockiem. Jednak starszy mistrz, który po nas przyszedł, był grubszy i nazywał się Chatterton. Był miły, w nieprzekonujący sposób, jak to osoby, które chcą być lubiane. Zamiast do gabinetu na piętrze z mosiężną głownią zabrał mnie do pustej kantyny, gdzie czyścił paznokcie i przeglądał karty pracy. Wyglądało na to, że Stropcocka już nie ma: Nie tylko na Pokładzie Wschodnim – w całej fabryce, w całym Bracebridge.

Później oprowadzono mnie po innych pokładach, poziomach i magazynach, w towarzystwie innego chłopca z mojej szkoły, któremu nieustannie ciekło z nosa. Malarnia wydała mi się mniejsza. Dziewczyny bardziej przypominały owe nadęte, pryszczate stworzenia, z którymi flirtowali moi rówieśnicy, niż księżniczki z moich dziecięcych wyobrażeń. Wszystko poza tym było pełne niezrozumiałej bieganiny i zgiełku. Na chwilę zostałem sam na placu, kiedy mojego przyszłego kolegę z pracy, z glutem zwisającym z nosa, wśród tłumionych śmiechów, posłano gdzieś po śrubokręt dla leworęcznych. Oddychałem powoli w gorącym, dudniącym skwarze, ze wszystkich sił starając się nie wierzyć w to życie, które mnie wciągało bezpowrotnie. Jednak ten plac wydał mi się znajomy, a kiedy odwróciłem się i ujrzałem na jego drugim końcu pobieloną wapnem ścianę, zrozumiałem dlaczego. Stara żelazna bramka dźwigała teraz nie tylko ciężką kłódkę, ale i przyspawany łańcuch. Kiedy podchodziłem do niej, serce mi zabiło. Łuk za bramką został zamurowany, ściana była nowsza i niechlujniej zbudowana niż reszta, ociekała zaprawą jak gąbka wodą. Usiłowałem wcisnąć rękę między kraty, żeby jej dotknąć, lecz była za daleko. Poczulem nagle, że ktoś mnie obserwuje, odwróciłem się, pocierając otarte knykcie. Nic – tylko ślepe czarne okna, popękane rynsztoki, cechowe napisy na ścianach, łuszcząca się farba. Szum, bum, szum, bum... Ziemia pode mną drżała. Trochę chciałem, żeby stało się co innego, ale w zasadzie poczułem ulgę, kiedy chłopak z glutem wrócił z narzędziowni, zaczerwieniony, z pustymi rękami.

W następnych pracokresach chadzałem na żelazny wiadukt na łuku Withybrook Road, nad główną linią kolejową wiodącą na południe od Bracebridge. Wspinałem się na drgające liny i przypory, i czekałem na ryczącym, wyczekującym wietrze. Gdy pode mną przejeżdżały pociągi, już czułem, że każdy turkocący wagon zabiera mnie stąd. Wiedziałem, że w końcu skoczę, i obserwowałem swoje życie z ciekawością kogoś obcego, zastanawiając się, kiedy nadejdzie chwila, w której wykonam ten ostateczny skok i dokąd mnie on zanieśie.

Wydarzyło się to w wiosenny wtorkowy wieczór, pod koniec marca 90 roku. Puste szyny lśniły pod bezksiężycowym, rozgwieżdżonym niebem, zbiegając się w oddali jak brzegi rzeki. Siedziałem z nogami przewieszonymi za krawędź, ubrany jak zawsze w łachy z drugiej ręki, teraz już nie chłopiec, nawet nie młodzieniec, ale prawie mężczyzna. Nic ze sobą nie wziąłem, choć chyba zawsze wiedziałem, że tak właśnie będzie. Było ciepło, miasto za plecami świeciło równym, pełnym celowości blaskiem spod dachów, rosnących od Coney Mound po ostry, ponury wierzchołek Rainharrow. Położywszy dłoń na pomalowanej pasiasto, naoliwionej kolumnie, pod brudem wymacując wygrawerowane cechowe zaklęcia, czułem delikatne drżenie, które zawsze przechodziło tę wątłą budowlę w cichych chwilach pomiędzy przejazdami pociągów.

Miasto Bracebridge w tym momencie wydało mi się piękne. Światła, dym, kominy; wszystko nagle zlało się i stało czymś innym, czymś więcej: duchem, zjawą zagubioną i lśniącą w świetle gwiazd. Może właśnie to w końcu mnie popchnęło, gdy usłyszałem szum nadjeżdżającego pociągu – poczucie, że miałbym zostać na zawsze w tej otchłani zapomnienia, marząc o dalekich krainach. Ryk

lokomotywy zaraz uniósł się w powietrze, a szyny przede mną załśniły wyczekująco. Pociąg przeleciał pod wiaduktem. Żar paleniska, falujący obłok dymu, a za nim pierwsza z wielu odkrytych platform z eterem. Słoma opatulająca skrzynie wydawała się miękka jak puch. Wyliczałem moment na skok: z rytmu stukoczących kół, z własnego pulsu, a w ostatniej chwili, zanim się zsunąłem, także z rytmu przenikającego całe Bracebridge.

Szum, bum, szum, bum...

I poleciałem.

CZEŚĆ III

ROBBIE

Leżałem i patrzyłem w górę na gwiazdy prześlizgujące się między drzewami, poganiając pociąg, by jechał szybciej. Koła stukały. Wagon kołysał się i skrzypiał. Od czasu do czasu przywiewało strzępek pary z dalekiej lokomotywy. Słoma klująca mnie w szyję pełna była sennego, letniego aromatu. Chropowata skrzynia z eterem, objęta żelaznymi okuciami i skoblami, wyglądała zdumiewająco tandetnie. Wśród szarawego mroku, leżąc na wznak w słomie, z głową odchyloną do tyłu, zapadłem w sen tak łatwo, jak nie udało mi się od lat.

Gdy się obudziłem, podpełzłem do burty wagonu i patrzyłem na krajobraz powleczoney mgłą, upstrzony kreszczkami krów. Czasem mijaliśmy stacje, ale ich tablice migwały zbyt szybko, bym coś przeczytał. Sprawdziwszy na niewyraźnej mapie, którą miałem w głowie, stwierdziłem, że jestem już gdzieś w Midlands. Gór tu nie było, tylko łagodne wzgórza przepływające jedno w drugie jak zielone fale. Domy, o ile mogłem ocenić, zobaczywszy zaledwie kilka, były tu bardziej przysadziste, a czerwień ich cegieł bardziej jaskrawa. Niektóre miały słomiane dachy przysłaniające okna. Nawet drzewa były tu inne, olbrzymie dęby zupełnie niepodobne do skarłowaciałych odmian z okolic Bracebridge, oraz wiele krzewów, których zupełnie nie umiałem nazwać. Niektóre już kwitły. Nic nie wyglądało znajomo, ale też nic nie było do końca obce, a ja uwielbiałem każdy mostek, płotek i kałużę za to, że nie jest z Bracebridge.

W czasie mojej długiej podróży pajęczne sieci wiaduktów rzucały zapierające dech cienie, pociąg turkotał poprzez tunele, gdzie przez hałas i dym przebijał się blask telegrafów. Gdy słońce wzeszło wyżej, koła zaczęły częściej stukać na zwrotnicach – w tej okolicy było dużo małych miasteczek. Na polach i drogach pojawili się ludzie w wozach, dwukółkach i furgonach. Obejrzałem sobie dokładniej skrzynię z eterem, jej szorstkie drewno, metalowe pasy i okucia. Przycisnąłem do niej ucho, mając słabą nadzieję, że usłyszę coś poza nieustannym turkotem kół. Skrzynia miała półtora metra-jarda wysokości i mniej więcej taką samą szerokość i głębokość. Dorosły człowiek mógłby ją podnieść, bo coś mgliście pamiętałem, że eter sam w sobie jest nieważki. Zupełnie jednak nie miałem pojęcia, dlaczego każdy z kufrów musi być otulony słomą i umieszczony w długim, oddzielnym wagonie, kiedy można by je poustawiać jeden na drugim. Szare bryłki umieszczone na skoblach okuć spinających boki skrzyni, które wcześniej w ciemności wziąłem za kłódki, były tak naprawdę glinianymi pieczęciami. Każde złącze oblepiono mniej więcej garścią gliny i ostemplowano. Zawijasy i rysunki przypominały mi mniejsze, woskowe, przypięte do fiolek z eterem u wielkiego mistrza Harrata. W roztargnieniu zacząłem odłupywać glinę paznokciami, aż przeszył mnie nagły, tępy wstrząs – poraziło mnie zakłęcie ochronne. Odskoczyłem, czując, jak puszcza mi pęcherz, a spodnie nasiakają moczem. Skulony, drżący w najdalszym kącie wagonu, ściskając rękoma kolana, gapiłem się na skrzynkę, aż mgła całkiem się rozproszyła.

Mijał dzień. Krajobraz zmienił się w płaskie, rozległe równiny, migwały pobrużdżone pola uprawne. Powietrze nasyciło się intensywnymi zapachami. Mijałem olbrzymie sady, pełne wodnych jabłoni o mszystych liściach, wznoszące w słońcu nagie gałęzie. Zaczęły pojawiać się dziwne, wysokie budowle, z potężnymi, żaglowymi ramionami obracającymi się na tle nieba. Każda z nich stała na wzniesieniu, a pod nimi błyszczały stawy i bajorka, niektóre połyskiwały mleczną poświatą, inne rzucały cień, jak obłok dymu. Odstojniki z eterem – nie do pomylenia z niczym innym, a te wieże nad nimi to wiatraki wyciągające eter z menhirów pod fundamentem.

Szyny zafalowały, stukot kół stał się mniej regularny. Zbliżał się wieczór, zapachy w powietrzu znów się zmieniały. Obok turkotały inne pociągi, migając nade mną czarnymi

sylwetkami lokomotyw. Co się stanie, kiedy ten pociąg się zatrzyma? Jak się wytłumaczę, gdy mnie znajdą? Ale wagony pruły dalej. Niebo ciemniało; węglowa czerń zakrywała bezgwiezdne, bezksiężycowe niebo. Ponownie wyjrzałem z wagonu. Najpierw dostrzegłem tylko ściany, dachy, domy – strzępki scenerii tak mrocznej i nieciekawej, że niemal przestraszyłem się, że pociąg zawrócił i przywiózł mnie z powrotem do Bracebridge. Lecz dalej, na krawędziach czarnego nieba, lśniły niesamowite aureole świateł. To musiał być Londyn. Nawet taki prowincjusz jak ja wiedział, że w całej Anglii nie ma drugiego miasta tak przytłaczającego wielkością, pięknem i brzydotą. Wagony podskoczyły, potem zatrzymały się jednym gigantycznym szarpnięciem. Stanęliśmy pośrodku morza torów oświetlonych gazowymi latarniami. Przykucnąłem, usłyszawszy chrzęst butów.

– ...Pewny, że poczułem coś tam z tyłu parę godzin temu. Chyba powinniśmy... – Buty przystanąły. Usłyszałem splunięcie.

– Nie da się, kurwa, sprawdzić wszystkich. – Drugi, wyższy głos. Właśnie mijali mój wagon. Czuję pot i tytoń.

– Zawsze można wypuścić kolegów, co nie? Niech sobie chłopaki powęszą...

Gdy chrzęst butów się oddalił, zaryzykowałem wysunięcie głowy. Palacz był wysoki i chudy, paromistrz niski i gruby. Tor zakrzywiał się nieco w tę stronę, widziałem, jak idą w kierunku krytego wagonu na samym końcu pociągu. Usłyszałem stłumione ujadanie, potem szurgot i łoskot odsuwanych drzwi. Przedarłem się przez słomę do drugiej burty i wyskoczyłem na szyny, pozwalając, by impet poniósł mnie w poprzek torów, w dół po zboczu nasypu. W końcu brodziłem w śmieciach z zeszłego Wieku, parzących kukułczych pokrzywach, pędząc w stronę płotu, a powarkiwanie-szczekanie wypuszczonych psotworów za plecami wciąż narastało. Gdy moje palce zwały się na pordzewiałych łańcuchach, bestie niemal łapały mnie za nogi. Gramoliłem się w górę, przełaziłem na drugą stronę, spadałem, aż uderzyła mnie ziemia, i biegłem dalej.

Ciemny grunt co chwila to się wznosił, to opadał, trudno było biec. Zagłębienia zmieniały się w pagórki, w wykrotach wpadałem w błoto. Powoli zacząłem zauważać przed sobą punkciki światła na tle mroku. Brudna ziemia stwardniała, powietrze, chwilami tak nieświeże, że ciężko się oddychało, zapachniało mgłą i dymem. Wbiegłem pomiędzy jakieś budynki, w jakieś uliczki. Zaułki stawały się coraz bardziej strome, ale ja, obrzydzony błotem, przerażony psotworami, oszołomiony, obolały od oparzeń pokrzyw, instynktownie wybrałem kierunek pod górę. Nawet w najuboższych dzielnicach Bracebridge domy były przeważnie murowane, tymczasem te tutaj zbudowano z drewna i oblepionej gliną wikliny, wielokroć wzmacnianej, łątanej i podpieranej, w miarę jak zaczynała przeciekać, pochylać się i walić. Okna na ogół miały tylko okiennice albo były przesłonięte pergaminem, a fronty domów nachylały się ku sobie, jakby ściągając brwi w starczej zadumie. Przytłaczające poczucie zamkniętej w środku zgnilizny, stęchlizny i starości.

Ludzie też chyba byli tu inni. W oknach migwały twarze. Głosy coś wołały. Czuję, że jestem obserwowany, śledzony, że przede mną i za mną cały czas otwiera się przestrzeń, gdy potykam się na stopniach i brodę w cuchnących strumieniach ścieków. Odgarniałem mokre kurtyny rozwieszonego prania. Raz, jestem pewien, ktoś chwycił mnie za ramiona.

Wybuch dzikiego śmiechu. Lecz cudze dłonie ześliznęły się ze mnie i pobiegłem dalej.

W końcu znalazłem się, skulony, zdyszany, na jakimś placu. Okalały go krzywe domki żarzące się punkcikami świateł. Dolatywały stamtąd okrzyki, szczęk wiader, zapach przypalanego tłuszczu, smażonych ryb i zastałych ścieków. Mieszkali tu ludzie, tak samo jak wszędzie. Czując się bardzo samotny, podszedłem do kapiącej pompy. Poruszyłem rączką, zanurzyłem dłonie i twarz w strugach wody o dziwnym smaku. Mokry, z zawrotami głowy, ponownie rozejrzałem się po placu i owych ścianach, nierównych jak połamane zęby, i pełgających w nich światełkach. Potem ruszył ku mnie

cień o ludzkim kształcie, zaszurał buciorami po bruku. Coś trafiło mnie w ramię. Zawyłem. Coś innego uderzyło mnie w plecy. Coś ostrego przeorało mi policzek.

– Słuchajcie... – wyjąkałem, rozkładając ręce, gdy przysadziste budynki zaczęły wokół mnie swój przedwieczny, ociążały taniec. – Jestem nowy. Czy to Londyn?

Trafił mnie większy kamień.

– Ja tylko próbowałem...

I znów. Zachręściły buty.

– Jak myślicie, obywatelu, czyja jest ta woda? – Co?

– Mówię przecież. Oddawaj!

Gdy kolejny kamień trafił mnie w głowę, zamazał się świat. Ktoś nachylił się nade mną. Objął mnie za szyję i uderzył w twarz czymś twardym, pięścią albo jeszcze jednym kamieniem.

*

Leżałem na czymś kanciastym, powieki miałem posklejane i zaskorupiałe, przykryty byłem czymś szorstkim. Wciąż to traciłem przytomność, to ją odzyskiwałem. Nade mną majaczyło nowe Bracebridge, odmienione i straszne. Budynki tańczyły, błyskając światełkami na obrzeżach pola widzenia. Zewsząd dochodziły głosy i hałasy. Znalazłem się z powrotem na moim stryszku, matka w kuchni podnosiła bloczkiem suszarkę do prania. Potem była na schodach, potem na drabinie, nachylała się nade mną, wrzeszczała wśród cuchnącego dymu, że już późno...

Chlusnęła mi w twarz woda z tej samej pompy, z której próbowałem się napić. Natychmiast rozpoznałem jej pleśniowy posmak. Ktoś mnie ciągnął, ciągnął, aż posadził. Kucał przede mną chłopak... nie, chudy młody mężczyzna. Trzymał blaszany kubek i świecę, a za nim falowała błękitną mgłą jakaś otwarta przestrzeń.

– Jak się nazywasz?

– Robert Borrows.

Przekrzywił głowę.

– Jeszcze raz, obywatelu? – Miał dziwny akcent.

– Robert Borrows. Z Bracebridge.

– Gdzie to jest?

– W Brownheath. Na północy. Czyli nie słyszałeś o nim?

– A powinienem? To coś szczególnego, pięknego, czyżby? Więc jesteś Robbie, tak? A ja jestem Saul.

Przyglądałem się twarzy Saula w tym ciemnym pokoju. Była brązowa, grubo ciosana i koścista. Oczy miał jasne, bladoniebieskie, ubranie postrzępione, choć było w nim coś zawadiackiego, w blasku świecy i światła z zewnątrz dostrzegałem to jakieś barwne skrawki, to lamówki. Takie rzeczy mógł nosić wielki cechmistrz, dawno temu, zanim je wyrzucił.

– To Londyn, prawda?

Zaśmiał się. Głos miał chropowaty.

– Naprawdę zeście się zgubili, obywatelu, co? Biedaku. Robbie z... jak to było? Broombridge?

Nie chciało mi się go poprawiać. Nic mnie nie obchodziło, jak ktoś teraz przeżywa Bracebridge. Moje nowe, nieco inne imię, całkiem mi się podobało. Robbie...

– Czemu mnie biłeś?

Saul znów zachichotał. Sięgnął do kieszeni po zgiętego papierosa.

– A dlaczego ty piłeś wodę z pompy? Oczywiście ona nie jest moja. Jasne, że woda nie może należeć do jednej osoby. Spada z nieba, prawda, tak jak zboże wyrasta z ziemi. Ale tak to jest tutaj

urządzone, w obecnym Wieku, jasne jak słońce, że nie możesz sobie przyjść i tak po prostu się napić... – Nachylił się nad świecą w słoiku po marmoladzie i wypuścił z ust kłęb dymu, ja zaś usiłowałam bezskutecznie ogarnąć jego rozumowanie. W rozbłysku światła dostrzegłem, że na lewym nadgarstku ma pomarszczoną bliznę i poczułem drobną ulgę. Wokół niego, przypinane do belek, ścian i dziwacznych ruin mebli, wisiały setki kartek papieru. – A w ogóle to po co przyjeżdżać akurat do Easterlies?

– Mówiłeś, że to Londyn?

– Ja? – Zaśmiał się. – Nie mówiłem.

– Ale to Londyn czy nie?

– Może sam pójdziesz i się rozejrzysz?

Podniósł mnie na nogi. W głowie mi wirowało, a on ciągnął mnie przez długie pomieszczenie poprzecinane więźbą dachu, w kątach wypełnione zakurzonymi rupieciami, w stronę potężnego, poszarpanego otworu w ścianie, większego niż jakiegokolwiek drzwi.

Stałem chwiejnie na krawędzi.

– I co? – zapytał Saul. – Tu chciałeś trafić?

Pod nami były budowle, hałas. I światła, wszędzie światła.

Tego pierwszego lata nie mogłem się napatrzeć na ów widok z góry, spod dachu. Zmieniał się co chwila, co godzina. Oświetlone latarniami tory boczniczy na Stepney, dymiąca masa Easterlies, za nią kopuły i iglice Northcentral, zielona mgiełka Parku Westminsterkiego, wysoka, niesamowicie delikatna kratownica wieży Hallam, dziwoblask jej naeteryzowanego paleniska, ciemny, to znów płonący biały, kołyszający się na tle londyńskiego nieba.

O świcie z doków Tidesmeet zaczynał wołać do siebie chór okrętowych syren i gwizdków. Niebawem dołączały się statki z dalszych kanałów, których piloci oczekiwali na przyptyw. Od piętrzących się dźwięków aż drżało powietrze. Potem z gniazd z trzepotem wlatywały gołębie, zaczynały pisać koguty, świnie pokwikiwały w chlewikach, a mewy zaczynały krążyć nad turkocącymi pociągami z mlekiem z Kentu.

Otwierałem oczy i natychmiast wiedziałem, gdzie jestem, skopywałem z siebie przykrycie z worków i zerkąłem, czy Saul już nie śpi. Potem balansowaliśmy na poduszkach stóp nad ziejącym urwiskiem i sprawdzaliśmy, komu się uda dalej siknąć. Gdy ześlizgiwaliśmy się po drabinie na główną klatkę schodową, płosząc psy, koty i śpiących pijaków, budziły się już całe rodziny. Chyłkiem przebiegaliśmy pod drzwiami mieszkań, schodząc na sam dół, na zasnuty dymem plac Caris Yard, gdzie już brzękała pompa. Psy szczekały, wołali sprzedawcy chleba, ostryg i smażonych dorszy, pokrzykiwali gazeciarze, klekotały wózki przekupniów. W słonecznym blasku, w zgiełku nic naprawdę nie mogło być brzydkie, nawet w osławionych londyńskich Easterlies. A teraz, gdy lato przyszło na dobre, ku słońcu przebiła się zadziwiająca liczba drzew, pnączy, kwiatów i chwastów. W tamtych czasach, w tamtym Wieku, w mojej pamięci całe Easterlies były ciepłe, zielone i ukwiecone.

Poniżej placu biegła Doxy Street. Tam tramwaje, auta i wozy zaprzężone w perszerony niosły cechowych wszelkiej maści do ich codziennych zajęć w dokach Tidesmeet. Były tam również bary, podłe hotele i pozacechowe noclegownie, lombardy i handlarze towarami rozmaitego pochodzenia, młodociane prostytutki co rano wygrzewające się na schodach, odziane w ciuchy z wczorajszego wieczoru, w fascynującym nieładzie. Był to czas prosperity, na błotnistym brzegu Ropewalk Reach wznoszono nowy, olbrzymi most kolejowy. Londyn starał się zaanektować podmokłe tereny na południowym brzegu rzeki. Widziało się wielkie pogłębiarki tnące lśniąca brązową wodę, słyszało wykrzykiwane zaklęcia, gdy w fundamenty wbijały się kolejne pale. Kiedy ranek się ocieplił, a tysiące rozmaitych cechów rozpoczęło pracę, całe Easterlies rozbrzmiewały chórem cechowych inkantacji. Cały Londyn śpiewał.

Chłopak, który nazywał siebie Saulem, a mnie obywatelem, pierwszego dnia zabrał mnie na plac Smithfield, na obrzeżu Easterlies. Zamiast jednego straganu rzeźnika były tu ich całe rzędy. Można było się zgubić na tym rozległym placu, pomiędzy wiszącymi białoczerwonymi wołowymi i baraniami tuszami. Wokół mnie kłębił się tłum, mieszanka londyńskich klas. Kucharki z wielkich domów Northcentral falowały biustami pod pasiastymi niebieskimi fartuchami, za nimi posługaczki dźwigały wiklinowe kosze. Mistrzowie z fabryk Clerkenwell, każdy odziany w strój swego cechu, spacerowali, palili, jedli i pili, podczas przerwy w pracy. Ciche kobiety z niższych cechów, przyjeżdżające tu tramwajem z Chiswick na Westerlies albo z ogrodów Wzgórz Latawcowych, nie tak całkiem różne od mojej matki, ubrane na ciemno, w czepkach, wolno przechodziły od straganu do straganu, macały miękkie wodne jabłka, pęta suchej kiełbasy, grzebały w portmonetkach, namyślając się, na co je stać.

– Robbie, powiedz mi jeszcze raz, żebym był pewien, czy dobrze zrozumiałem – mówił Saul ochryplym głosem. – Jesteś z jakiegoś miasta w Brownheath, które leży w Yorkshire, z jakiegoś Broombridge? I przyjechałeś tutaj, bo chciałeś uciec? Mimo że nikt cię nie gonił?

– Przyjechałem do Londynu.

– Londynu...? – Słowo to wymówił z niedowierzaniem. Tak jakby Saul, mieszkając na Easterlies, w skupisku brudnych budynków, które nazywał Caris Rookery, w istocie nie wierzył, że jest w Londynie. – A twój ojciec jest cechowym?

– Tak... – Wiedziałem, że muszę być ostrożny. Głowę wciąż miałem obolałą i opuchniętą po tym, jak mnie pobił. – A twój nie?

Saul spojrział na mnie, potem pokręcił głową, raczej niedowierzająco niż przecząco. Było już dla mnie oczywiste, że nigdy nie został wprowadzony do żadnego cechu. Nie wyglądało też, żeby miał jakąkolwiek pracę – dziwne, bo był ode mnie co najmniej dwa lata starszy i najwyraźniej utrzymywał się sam.

– Może zgłosisz się tutaj do swojego cechu – powiedział. – Zastukasz mosiężną kołatką, przedstawisz się... Musi być tu twój dom cechowy. Uwierz mi, tu od wszystkiego jest jakiś cholerny dom cechowy. Pewnie nawet by cię wpuścili. Czy nie tak działacie wy, cechowi – trzymacie się razem, ramię przy ramieniu, żeby reszta świata nie mogła wcisnąć się między was?

– Tu nie ma mojego cechu i wcale mnie do nich nie ciągnie – odparłem. Zdumienie Saula nawet sprawiło mi frajdę.

– Więc przyjechałeś dla... dla tego miasta? Co się tak uśmiechasz, Robbie? Co się tak cieszysz? Powinieneś zobaczyć, jak tu jest zimą. Nie ma pracy, nic nie ma, tylko wielkoszczury i wszy. Powinieneś się nacieszyć, a potem wrócić do domu, obywatelu, zanim skończy się lato. Z powrotem do mamy i taty.

– Moja matka nie żyje. Wzruszył ramionami.

– Pożyjesz parę pracokresów, zobaczysz, że każdy ma swoje nieszczęścia...

Szliśmy dalej przez tłum. Saul, jak zauważyłem, miał charakterystyczny chód, trochę zamaszysty, a trochę jakby się skradał. Kiedy przemykaliśmy pod pękami ziół, mijaliśmy parujące tygły z maściami, jego zaczerwienione oczy na niczym nie spoczęły na dłużej, a jednocześnie zdawały się widzieć wszystko. Zagapiałem się i potykałem, kiedy tak szliśmy wśród zapachów smażenia i pieczenia, wśród przypraw i marynat, wilgotnych gór masła i sera... I twarzy o najrozmaitszych kształtach i kolorach, których nigdy nie widziałem w marzeniach, a tutaj ci ludzie mijali mnie naprawdę, nosili dziwne ubrania i mówili dziwnymi językami. Wytatuowani marynarze, którzy z pewnością opłynęli oba przylądki Horn – Afryki i Thule; Francuzi, którzy, jak ze zdziwieniem zauważyłem, wcale nie mieli ogonów; nawet Murzyni. I wielu śniadych barczystych mężczyzn mówiących językiem, który właściwie mógł być angielskim z bardzo dziwnym akcentem. Widziałem dziwaczne owoce, niektóre wielkie, długie, wyglądające nieprzyzwoicie, inne we wszystkich kolorach tęczy, inne zaś dziwnie pachnące – mogły powstać w wyobraźni jakiegoś cechmistrza, mogły przypląć z Antypodów. Widziałem też zwierzęta. Jaskrawy, czerwonozielony gadający ptak. Wężę pływające w zbiornikach. Paskudne stworzenia, pół jaszczurki, pół kury, syczące na ciebie ze swych klatek, a wokół nich rozdyskutowany, robiący zakłady tłumek. Smutny, smrodliwy tańczący niedźwiedź. Wszystko mnie zdumiewało. Posiniaczony, oszołomiony ze zmęczenia i od ciągłych nowych wrażeń, w pewnej chwili zwęszyłem zapachy wędzonej szynki i świeżego chleba. Poczulem wilczy głód. Saul zdawał się nieporuszony, ręce w kieszeniach, ściągnięte usta. Cichutko pogwizdywał. Tylko oczy miał czujne, rozbiegane.

Wtem szturchnął mnie łokciem w zębra.

– Bierz to – syknął. Wziąłem.

– I to. Nie tutaj! Wsuń pod koszulę, tępaku. Schowaj, tak jak ja... Posłuchałem. Ukryłem jabłka, bułki i coś, co nazywał pomarańczami.

Pęto kiełbasy. Nie rozumiałem, przecież trzeba je zważyć i zapłacić...

– A teraz biegiem! – krzyknął Saul i popędził przed siebie. Mogłem tylko pobiec za nim. Ze spuszczoną głową przedzierałem się między łokciami i torsami, wpadałem na drewniane kozły. Kosze wywracały się, ludzie krzyczeli, stragany z owocami skrzyły się tęczowo ponad chodnikami. Przede mną, tak że niemal traciłem ją z oczu, trzepotała brudna poła jego haftowanej koszuli. Pośliznąłem się na liściach kapusty, przedarłem przez palety. Krótkie zamieszanie. Krzyki, wrzaski. Saul skręcił i znowu biegł, lawirując między płaszczami i wyciągniętymi dłońmi. Był szybki, rozpaczliwie starałem się dotrzymać mu kroku. Pędził przez zaułek, kluczył między zbiornikami na deszczówkę, skręcał i skakał, dla popisu, dla samej frajdy ucieczki; wśród echa tupotu naszych stóp słyszałem, że obaj się zaśmiewamy.

Dopadł do drabiny przyczepionej do ściany budynku. Obaj wspięliśmy się na górę i wśród śmiechu, wyczerpani, rozłożyliśmy się na nasmołowanym, omszonym dachu. Londyńskie niebo, zachmurzone, gdzieś przecięte promieniami słońca, wisiało nisko, ciepłe, wilgotne i zadymione. Zdawało się patrzeć na mnie z aprobatą. Saul wysypał dobra, które miał za pazuchą, ja zrobiłem to samo. Ciekła mi ślinka.

Angielska hierarchia klasowa w Londynie wznosi się o wiele wyżej, a ci, którzy zmagają się z życiem na jej dnie, są ściśnięci jak dolne warstwy ziemi. Skręć w jedną stronę, a zapyziała uliczka rozszerzy się w plac ozdobiony śnieżnobiałą marmurową fontanną. Skręć w drugą, a chodnik zapadnie się pod tobą i przemoczysz buty w ściekach. Mieszkańcami Caris Rookery byli włamywacze i kieszonkowcy, młodociane prostytutki, pracownicy sezonowi, marynarze, którzy stracili swe statki, starcy, szaleńcy, chorzy i bezdomni, dzieciaki o dzikich oczach, niesamowicie wychudzone i drapieżne. Dużo więcej niż w Bracebridge było tutaj partaczy, którzy należeli kiedyś do cechu – recesja lub nieszczęście zmiotły do Easterlies czasem jedną rodzinę, a czasem cały cech. Ci wydawali mi się najbardziej zagubieni, owe damy cechowe w strojach niegdyś eleganckich, ciągnące za sobą dzieci w podartych marynarskich ubrankach gdzieś po obrzeżach placu targowego w dziesiątkowe popołudnie.

Saul i ja tego lata mieliśmy szczęście. Wędrowaliśmy daleko, od Smith – field po półdzielny targ na Stepney, od wystaw sklepowych wzdłuż Cheapside po nabrzeża Riverside, gdzie zbieraliśmy towary, które wypadły z wagonów, potem z powrotem wzdłuż Strandu. Ryzykowaliśmy, lecz byliśmy młodzi i szybcy w nogach. Wracaliśmy Doxy Street na peryferie Easterlies, gdzie mogliśmy sprzedać wszystko, co wpadło w nasze niewinne ręce, albowiem – jak zaczynałem się uczyć od Saula – cała idea posiadania czegoś przez kogoś jest fundamentalnie błędna. Niezależnie od tego, czy posiadaliśmy rzeczy, które jedliśmy, nosiliśmy i w których spaliśmy, czy też nie, było to lato obfitości. Bogactwo całego Londynu zdawało się spływać do Easterlies lśniącym, opalizującym deszczem pożyczonych szalików, wyniesionych w kieszeniach owoców, zgubionych zegarków z dewizką, leciutkich wachlarzy i eleganckich hebanowych lasek. W najgorszym wypadku zawsze można było znaleźć płatną pracę w dokach Tidesmeet. Spędziliśmy tam z Saulem wiele leniwych dni roboczych w składzie celnym przy starym nabrzeżu, łażąc po herbacianych skrzynkach z wiaderkiem atramentu i szablonem, malując na nich cechowy symbol, podobny do trójki z wielkim brzuchem. Skrzynki, ustawione w piramidy wyższe niż domy, były oznaczone pięknymi kitajskimi ideogramami. Ci żółtoskórzy ludzie z daleka widocznie też mieli swoje cechy. Lecz niebawem nauczyłem się od Saula, że nikt się nie przejmie, jeśli ochłapię skrzynki atramentem albo narysuję na nich buzie – a już najmniej nadzorca składu drzemiący w swym pachnącym kantorku. Mogliśmy zasiąść sobie na dachu i obserwować przepływające kominy parowców i żagle kliprów. Liczyło się tylko to, że pewnego ranka przyjdzie do składu celnego mistrz z cechu nadzorującego ściąganie akcyzy i wyda odpowiednie papiery. Dzięki naszym szablonom zawartość składu będzie mogła zostać sprzedana tak jakby opłacono za nią cło. A funkcjonariusz od akcyzy znajdzie w niespodziewanym miejscu grubą kopertę, anuluje mu się jakiś dług albo puści w niepamięć coś kompromitującego.

Doki Tidesmeet były miastem w mieście, stale zmieniającym swój zapach. Codziennie przywożono coś nowego, węgiel z Newcastle, wózki saletry z Indii, pachnące wiązki tytoniu z Wysp Szczęśliwych, beczki muszkatelu, niezliczone worki wszelakich owoców i warzyw; niektóre z nich, gnijąc, sprowadzały plagi owadów jeszcze paskudniejszych i bardziej dokuczliwych niż te, które lądowały na skórze każdego Londyńczyka w te długie, upalne dni robocze. Zanurzone w wodzie palce starych nabrzeży, teraz zbyt wąskich, by pomieścić przywożące większość towarów wielkie frachtowce parowe, porosły targowiskami. Ozdobne malowidła na starych budynkach pokryła gruba warstwa brudu. Leżąc na gorących dachówkach składu celnego, jedząc twardy, szary chleb z suszonym mięsem niewiadomego pochodzenia, patrzyliśmy z góry na świat, jakby cały do nas

należał. Uwielbiałem to miasto, choć niewiele jeszcze rozumiałem. Jakby otwierały się przede mną nieskończone warstwy skryte w magicznym pudełku, najpierw lśniące i zadymione, potem brudne i eleganckie, potem piękne i brzydkie – wszystko to zdawał się mieścić Londyn wśród swych pokrytych sadzą murów.

– Popatrz na nich – rzucił Saul, wskazując kanapką paru żurawmistrzów poniżej. Wszyscy mieli skórzane kamizelki włożone na gołe ciało, tak by widać było sploty znaków głowni na piersi, i byli tak umięśnieni, że wydawało się, że niemal mogliby sami przenosić ogromne ciężary. – Całe życie marnują, słuchając poleceń szefów i tych śmiechu wartych gestów, krzyków, szeptów...

Wzruszyłem ramionami. Wedle wszelkich standardów byli to dobrze sytuowani ludzie, a ja, obywatel czy nie, wciąż pamiętałem, że według norm tego Wieku byłem zaledwie bezcechowym partaczem w wielkim, obojętnym mieście. Ale i w tej sprawie, jak każdej, zdałem się na Saula.

– Widzisz to? – Narysował na papie wielki biały kwadrat. Pożyczył sobie – w nowym sensie, jaki nadaliśmy temu słowu – pudełko kredy, które niedbały magazynier położył zbyt blisko okna.

Kiwnąłem głową.

– No więc to my, ty i ja. A to... – Poprowadził od kwadratu strzałkę, narysował obok niej wielkie koło. – A to jest wszystko, co produkujemy.

– Tylko my?

Machnął ręką, płosząc kilka mew.

– Nie tylko ty i ja. Cała wielka masa pracujących obywateli Anglii.

Znów skinąłem głową. Już wiedziałem, że nie trzeba mieszkać w mieście, żeby być obywatelem. Że nic nie trzeba, wystarczy się urodzić, chociaż ta idea wciąż pozostawiała we mnie dziwny posmak, jak egzotyczne jedzenie.

– A to, ten drugi kwadrat, to są wysokie cechy. – Mniejsza figura, narysowana na lepkiej smole. – A to... – Domalował minimalnie mniejsze kółko. – To jest ilość naszej pracy, którą zabierają nam wysokie cechy...

Koła, kwadraty i strzałki mnożyły się na dachu, omiatane cieniami przelatujących mew, gdy Saul wyjaśniał mi zawłóści rynku pracy. Skwar, rozpalone niebo, strzępki cienia muskające twarz, zbyt ulotne, by je poczuć, i my wszyscy, obywatele, uwięzieni pod nim. Uwielbiałem Saula i jego mętne tłumaczenia. Wydawało mi się teraz, że dotychczas wszystko było dla mnie kompletną zagadką. Bracebridge. Sekrety cechów. Śmierć matki. Rozczarowania ojca. A tutaj, na gorącym dachu, wśród przefruwających cieni, cząstka za cząstką zaczynała się rysować odpowiedź.

W inne przerwy obiadowe Saul wyciągał ołówek i zestrugiwał nożem parę wiórków bladego drewna. Kilkoma kreskami na kartce pożyczanego papieru potrafił uchwycić cały rozciągający się przed nami widok na Tidesmeet. Zwinięte liny, niezliczone maszty i kominy, klatki żurawmistrzów, ośmiokątne twierdze hydraulicznych wież napędzających windy i wyciągi, wielka, podobna do pieprzniczki wieża Giełdy Dockland, budynki stłoczone w zachodniej części Londynu jak ptaki zbite w gromadkę na gałęzi. Unosił rysunek, uśmiechał się i darł go na strzępy. W końcu nic nie mogło naprawdę należeć do nikogo. Nie tutaj. Nie w tym Wieku.

– Opowiedz mi jeszcze o Brownheath. O życiu na wsi. Jak to naprawdę jest...

Saul wyobrażał sobie, że skoro nie urodziłem się w wielkim mieście, na pewno spędziłem dzieciństwo w słodko pachnącej stodole i na słonecznym pastwisku wśród krów; w miejscu gdzie życie jest miłsze i łatwiejsze niż wśród londyńskiej biedoty. Nie chciałem go rozczarować, a oddalenie wkrótce nadało pewien swoisty urok nawet Brownheath. Ambicją Saula, a wyjawiał mi ją znacznie chętniej niż konkretne fakty ze swego życia, było gospodarowanie na farmie – oczywiście nie byłby jej właścicielem! – a mnie łatwo było utwierdzać go w tych mętnych planach.

Opowiadałem historie z dzieciństwa mojej matki, ozdobione zagrodami, stogami siana, ukwieconymi łąkami, choć mnie zawsze się zdawało, że wiejskie życie to tylko gnojówka i ból w krzyżu.

Kolejny pożółkły kawałek pergaminu, na nowo zaostrzony ołówek i Saul żółtymi od tytoniu dłońmi wyczarowuje faliste pastwiska, wijące się rzeki, szpalery dystyngowanych drzew; wizje wiejskiego krajobrazu wyobrażone przez mieszczaucha, który z dumą mówi, że nigdy nie był dalej niż w ogródkach na Finsbury Fields. W tamtym czasie jego krowy wyglądały jak konie i umiał rysować tylko jeden rodzaj drzewa. Ale i tak robiło to wrażenie. W zadymionych, hałaśliwych dokach niemal słyszało się śpiew ptaków, czuło świeżo skoszoną trawę. Rysunki, z których najbardziej był zadowolony, przypinał do ścian naszego strychu w zrujnowanej kamienicy. Nocą, gdy na Easterlies spadał gorący wiatr, szeleściły wokół nas jak liście w lesie.

Pewnego wieczoru na Caris Yard zapłonął ogień, a uliczni muzykanci stworzyli niezgraną kapelę. Sztynne cechmistrzynie z Northcentral już dawno spakowały swe dobroczynne kramy i ulotki, i spiąwszy spódnice, poszły do domu. Prorocy zeszli ze skrzynek po mydle i wrócili do swych kaplic, zniknęli nawet ci wołający o prawach człowieka, w zamieci ulotek, bójek i oskarżeń. Ale zawsze przybywał ktoś nowy; dalekie Easterlies, dniem czy nocą, zdawało się dziwnie wabić resztę Londynu. Rozwrzeszczane stado młodych cechowych, w czapkach i wąskich w talii garniturach, z jednej ze szkół morskich, przybyło najwyraźniej bez powodu, poza takim, że byli pijani.

Siedziałem obok Saula, ale dziś nie byłem już głównym obiektem jego zainteresowania. Odwrócony plecami do mnie, przekomarzał się z Maud. Widywałem tę dziewczynę wcześniej. Niewiele starsza ode mnie, prowadziła, właściwie sama, ochronkę w podobnym do stodoły budynku po niższej stronie Caris Yard. Biedne kobiety z okolicy mogły zostawiać tam dzieci, kiedy szły patroszyć śledzie. Maud nie była ładna – chuda, z wyblakłymi włosami sterczącymi jak wysuszony mop, nawet kiedy spróbowała je przyczesać i poskromić wstążkami, tak jak dziś – ale była energiczna, szybka i bardzo niezależna. Uważałem ją za wyzywająco niekobiecą, dopóki nie pojawiła się na placu w sandałach z farbowanej słomy i nie zaczęła z Saulem tej zabawy w „prawda” i „nieprawda”.

– No, Robbie, powiedz jej...

– Nieprawda! – krzyknęła Maud.

– Prawda, co nie, Robbie?

– Wiecie co? Guzik mnie to obchodzi!

Rozczarowany nimi, rzuciłem Maud spojrzenie pełne, jak się zdaje, nienawiści i poszedłem za róg do baru. W Easterlies wszędzie, za każdym rogiem był bar pachnący ginem, szczynami i wymiocinami. Byłem dziś przy forsie – dopiero co pożyczyciśmy sobie całą wystawę breloków do kluczy – a poza tym odkryłem, że napicie się to dobry sposób na pozorne zapomnienie, w chwilach gdy tak jak teraz, w owo pierwsze, szczęśliwe londyńskie lato, i przeszłość, i terażniejszość zdają się spiskować przeciwko tobie.

Usiadłem w ciemnym kącie, trzymając w dłoni grubościenną szklanę-wywrotkę, która, zgodnie z nazwą, sama stać nie chciała. Obywatele wokół mnie pokastywali i gadali z tym dziwnym akcentem, który aż za dobrze było słyszeć u Saula. Zdolność rozumienia tej wymowy potrafiłem dowolnie włączać i wyłączać. Gdzieś na zewnątrz szczekała pompa, a świnia, czy jakieś inne zwierzę, wydawało ostatnie przedśmiertne kwiki. Mężczyźni z tej dzielnicy hodowali wielkoszczury do walk, jeden w klatce stał tu na barze, przed lampą. Popiskiwał i kłapał zębami, zamieniając całe pomieszczenie w krwawoczerwoną wizję jakiegoś pomniejszego piekiełka. Dyskusja o ostrości jego zębów przerodziła się w chaotyczną kłótnię, potem w jeszcze bardziej chaotyczną bójkę. Czasem

Londyn wydawał się niemal nieziemsko cichy; ziemia była tu nieruchoma, nie dudniła.

– Co sam tu tak siedzisz co no powiedz?

Odwrociłem się i zobaczyłem, że źródło owych zbitek sylab usiadło koło mnie.

– Wypiłeś już, wzięłabyś jeszcze po jednym dla nas, co? Dziewczyna miała czarne włosy, a twarz upudrowaną eteryczną bielą, jej ciemne oczy, usta i nozdrza wyglądały jak otwory wycięte w masce. Pachniała paczulą oraz nieumyciem. Siedzieliśmy tak sobie, trochę bez sensu, ona ze swoją szklanką, ja z moją. – *Doreen, znalazłaś sobie nowego?* – zapytał ktoś.

Warknęła ostro i skojarzyła mi się z wielkoszczurem. Piłem, ile chciałem, wydając pieniądze za breloki tak skutecznie, że barman podszedł do nas, żeby nalewać nam prosto z dzbana.

Doreen robiła rękoma jakieś ukradkowe ruchy na podołku – pomyślałem, że to tik nerwowy. Teraz widziałem, że ścisła cierpnik, a jego niemal do cna pościerane fasetki połyskują nieznacznie jak piasek na dnie studni. W Easterlies był na cierpniki spory popyt, jak zresztą na wszystko.

– Chroni mnie jak jakiś kłopot jest i takie historie jak się słyszy. – Mrugnęła obrysowanymi na czarno oczyma i wyciągnęła kamień ku mnie. – Chcesz spróbować to czemu nie?

Nigdy nie dotykałem cierpnika. Był gładki, ciepły i – tak – jakby trochę uspokajający. Jakby położyło się dłoń na głowie łagodnego psa. Ale szklanka była lepsza. Wróciłem do niej.

– Skądś jest?

Chyba jej powiedziałem. Mój akcent był dla niej prawdopodobnie tak nieprzenikniony, jak jej dla mnie, ale w odróżnieniu od Saula, którego obchodziły tylko moje wiejskie opowieści, Doreen chyba się zainteresowała, kiedy mówiłem o bagnach, fabrykach i dudniącej ziemi. W pewnym momencie stwierdziłem, że muszę się wysikać. Wytoczyłem się na zewnątrz, potracając stół, co wzbudziło burzę krzyków, oparłem się o ścianę, która wyglądała na najczęściej używaną do tego celu. Kiedy skończyłem i chwiejnym krokiem wszedłem z powrotem, zobaczyłem, że Doreen też wstała i właśnie rozprostowuje spódnicę.

– Teraz se pójdziemy co nie?

Gdy mijaliśmy oświetlone okna, ręka w rękę, zataczając się, rzucałem na nią ukradkowe spojrzenia. Trudno było ocenić, ile ma lat. Ubierała się poważnie, jak młoda kobieta próbująca wyglądać niczym stara. Podtrzymywała mnie, nie pozwalała upaść, kiedy gadałem w kółko o odmieńcach w kryształowych domach, a nad dachami płynął różowy letni księżyc.

– To straszne, nie opowiadaj mi takich rzeczy. Jak Starzyk Jack co wychodzi w nocy...

Chwiejnie odwróciłem się twarzą do niej.

– Powiedziałaś: „Starzyk Jack”? – Byliśmy sami w odludnym zaułku. Stłumiłem jałowcowe beknięcie i oparłem się o porośnięty mchem mur. – Co o nim wiesz?

Przywarła do mnie, jakby chciała zdławić moje pytania.

– Jak to lubisz no jak? – zagruchała.

Owionął mnie zapach tandetnego aksamitu, dzinu, potu, naftaliny, a moja błędząca ręka natrafiła na coś miękkiego. W uliczce było zbyt ciemno, by coś widzieć, ale zaczynałem rozumieć.

– Chciałabyś?

Poprowadziła moją dłoń w stronę fragmentu kobiecego ciała, który miałem okazję widzieć tylko na klasycznych rzeźbach i zupełnie się nie spodziewałem, że może być owłosiony albo mokry. Wciąż wychodziłem ze zdumienia, kiedy ręce Doreenabrały się za klamrę mojego paska i zanurkowały w środku, znajdując erekcję, której z pewnością by tam nie było, gdybym tylko miał trochę czasu do namysłu. Reszta spraw odbyła się szybko, Doreen z zadziwiającą biegłością odgarnęła niezbędne części swej garderoby. Nad jej ramieniem wisiał londyński księżyc w pełni, lamując różem i złotem dachówki domów falujących rzędami w poprzek Easterlies, w kierunku na

Ashington. Próbowałem ją pocałować, bo wyobraziłem sobie, że właśnie to się robi przy takich okazjach, ale moja szczęka została brutalnie odepchnięta. I zaraz skończyliśmy.

– To będzie dziewięć pensów jak zwykle.

We wszystkim, co teraz mówiła, wciąż wykrywałem aluzje do pieniędzy. Księżyc wydawał się rozbawiony, kiedy przesunął się nad kominy, a ja zacząłem trzeźwieć. Wiedziałem co robią prostytutki – na Easterlies nie można było tego uniknąć – ale do tej pory nie skojarzyłem ich z tym, co robiliśmy z Doreen. Ona zaś wzięła moje osłupienie za próbę targowania się. Wywiązała się jednostronna kłótnia. Wykrzykiwała na mnie różne słowa, nawet nie musiałem ich rozumieć, żeby pojąć, o co chodzi. Całe dziewięć pensów to więcej, niż zostało mi po wszystkich tych trunkach, ale chętnie oddałem jej wszystko, co miałem w kieszeniach, aby tylko się jej pozbyć. Pogodziłem się nawet z zadziwiająco mocnym ciosem w ramię, jaki wypłaciła mi na koniec.

Ruszyłem chwiejnie ku Caris Yard, potem drabinami i schodami wielkiej rudery. Gdy dotarłem na strych, Saula nie było w kącie. Przez chwilę stałem pod łukiem, czując dojmującą samotność. Londyn. Wieża Hallam wznosi się jak zawsze, błyskając zamglonym światłem. Cechmistrze śpią w swych domach. Bieda śpi w rudarach. Arcycechmistrze w swych pałacach. Doki Tidesmeet. Bocznicie Stepney. Giełda Dockland. Żurawie. Kominy. Dalekie, śnieżnobiałe wzgórza Krańca Świata. Pomrukujące, świszczące telegrafy. Iglice kościołów i nieskończone, niezliczone fabryki.

*

Pewnego ranka, gdy wędrowaliśmy przez cichy rynek przy Houndsfleet, Saul był niezwykle spokojny. Z ulgą wróciliśmy na dudniącą tramwajami Doxy Street, gdzie mijali nas w pośpiechu barczyści cechowi, ubrani zbyt ciepło w garnitury i kapelusze, pod krawatami. Nie zwracali na nas uwagi. Wtem Saul bez słowa skręcił w cichszą uliczkę. Na jej ślepym końcu, za rozrośniętymi krzewami ligustru, stał dom ze spadzistym dachem. Saul wszedł w przejście obok śmietników, otworzył sobie tylną furtkę, przysiadł, by przemknąć pod labiryntem suszących się halek, i wszedł do kuchni. Tam kobieta mająca na sobie niewiele poza pantalonami i kamizelką smażyła coś na bardzo spóźnione śniadanie.

– Zamknięte... – Zobaczyła Saula, krzyknęła i podbiegła, by go objąć. – Saul Duxbury! Gdzieś ty się podziewał? – Przyjrzała mu się z podziwem. – Ale urosłeś! Co robiłeś przez ten czas?

Ściskali się i poklepywali. Kobieta, nawet w tym nieciekawym stroju, była niezwykle piękna, z czarnymi falującymi włosami i delikatną białą cerą. Wykonałem oczywisty rachunek i stwierdziłem, że absolutnie nie może być jego matką.

– Pewnie chcesz zobaczyć mamuszkę – powiedziała w końcu, a ja w myślach rozważałem wszystkie możliwości. Kim ona była? Aktorką, dziewczką uliczną, tancerką? – Jest na górze. Tam gdzie zwykle...

Schody, podest. Powietrze stało się ciężkie od zapachu starych, zatłuszczonych dywanów i zastanej wody toaletowej – a pod tym wyczuwałem jeszcze ostry, gorzki odór spalenizny. Saul zapukał delikatnie do drzwi na samym końcu podestu na piętrze.

– Mówiłam przecież... – usłyszałem drżący głos.

– Mamuska, to ja... – Nieśmiało wszedł do środka. – Saul.

– Mój kochany! – Gruba kobieta w jaskrawym szlafroku poderwała się z sofy pod oknem i przebiegła przez zagracony pokój, by objąć Saula wśród zdyszanych chichotów. Przez moment wili się tak i mocowali, a ja czekałem w drzwiach. Potem twarz kobiety, okrągła jak księżyc w pełni i podobnie poznaczona plamami, zwróciła się w moją stronę ponad ramieniem Saula. – A to kto?

– Mój przyjaciel, Robbie.

– Skąd go wytrzasnąłeś? – Mamuśka wypuściła Saula. Pogrzebała na stoliku, szukając papierosów. Zapaliła i opadła z powrotem na oświetloną słońcem kanapę. – A gdzie ty teraz mieszkasz?

– Robbie jest z jakiegoś tam Bracebridge. Obaj mieszkamy koło Caris Yard.

Z końca papierosa mamuśki osypał się popiół. Przesuwne okno było półotwarte. Na zewnątrz gruchały gołębie. Gdy cisza się przedłużała, zauważyłem, że oczy mamuśki pod umalowanymi powiekami są bardzo rozbiegane. Całe jej ciało lekko dygotało, tak jak u tych gołębi.

– W Easterlies... – Saul urwał. Stał pośrodku wydeptanego dywanu, tam, gdzie mamuśka wypuściła go z objąć. – Na lato wystarczy.

Nastąpiła kolejna długa przerwa. Znowu poczułem ów gorzki zapach spalenizny, gdy mamuśka zgasiła papierosa w doniczce z kwiatem.

– O, na pewno całkiem wam wystarczy. A gdzie pracujecie, co w ogóle robicie?

– Tam, w dokach... zbieramy różne rzeczy. No wiesz, mamuśka, jak to jest, chodzi o pieniądze.

Mamuśka zapaliła kolejnego drżącego papierosa.

– Oczywiście, kochanie, zawsze chodzi o pieniądze – odparła, każde słowo akcentując kłębem dymu. – Zabawny przeżytek, co? Możesz sobie mówić te bzdury o obywatelach i tak dalej, ale forsa jest nam potrzebna jak powietrze... – Jej oczy zmętniały, opuściła wzrok, jakby w smutnej zadumie nad tym faktem. Potem znowu rozbłysły, gdy Saul zaczął sięgać do worka po różne pożyczone przedmioty, na które cały ranek polowaliśmy między straganami.

– Przynieśliśmy ci coś...

Teraz mamuśka trochę pochylała się do przodu, a trochę rozpierała na kanapie, jak ktoś, kogo zdjęcie uchwyciło w pół ruchu. Całe jej ciało się trzęsło. Coś było w niej niewyraźnego, pomimo jej potężnej postury. Tak jakby, żeby naprawdę do niej dotrzeć, trzeba było przebić się przez wiele fałd ciała i ubrania.

– Taki prezent zawsze jest miły... Zawsze się na niego czeka... – Mamuśka mruczała do siebie sapiącym szeptem, gdy Saul rozwijał nawoskowany papier, kryjący w środku kawałek brabanckiej koronki. – Niespodzianka, o którą wcale się nie prosi... – Wciąż mówiła, a drżenie przerodziło się w kołysanie, gdy pochylała się bardziej, aby zajrzeć do środka papierowego kwiatu, który Saul położył na stole. Dym z jej papierosa też podskakiwał w podnieceniu. – Bo mamuśka uwielbia prezenty, prawda? – I oto ukazała się przed nią piękna koronkowa obróżka, ozdobiona drobnymi perełkami gagatu i lapis-lazuli. – Wyobraź sobie, ile to pracy, kochanie. Ile godzin ze szpulką...

Wyrwała cacko z palców Saula, uniosła do szyi i pomajstrowała przy zapięciu.

– Pomożesz swojej mamuśce, kochanie? No, trochę ciasny. Ale to nieważne. Liczy się pamięć. Tak się mówi, prawda? – Prezent zniknął w fałdach jej podbródka. – A mamuśka tak się cieszy, że przyszedłeś. Tak, naprawdę. To bardzo miłe z twojej strony... Czy mówiłam ci, że...?

Znowu wzięła go w objęcia. Cały czas gadała, ale teraz, gdy gładziła go po lokach na karku, trudniej było rozróżnić słowa.

W końcu Saul wyprostował się i zerknął na mnie. Kaszlnął i przyglądził włosy.

Mamuśka przyglądała się końcówce następnego papierosa.

– Ach, wiem dobrze – powiedziała. – Nie dla mnie tutaj przyszedłeś. Wszystkie dziewczyny wciąż cię uwielbiają, Saul. Zawsze tak było, prawda? Więc idź sobie do nich, dziecinko, a mnie zostaw ze swoim przyjacielem. Jak mu tam? – Utkwiła we mnie wzrok. – Robbie z Bracebridge?

– Ależ, mamuśko, nie możesz...

– Kochanie, idź już! – Popiół zawirował wokół niej. – I mówisz mi, że ten chłopak jest twoim

najlepszym przyjacielem. Skoro tak, jak mamuśka ma się z nim zapoznać, jeśli nie...

Nim zamknął drzwi, rzuciłem mu jeszcze rozpaczliwe spojrzenie, potem przyglądałem się z suchością w ustach, jak mamuśka wstaje.

– Oczywiście – mruknęła, idąc kaczkowatym krokiem po dywanie. – On nie słyszał o Bracebridge, lecz ja słyszałam. – Jej dłonie zaskakująco uspokoiły się, kiedy nalewała czegoś gęstego, lepkiego z karafki do kieliszka wielkości naparstka. – Jakże mogłabym nie słyszeć, skoro prowadzę taki interes?

Odchrząknąłem.

– Mamuśko, właściwie to ja nie jestem pewien...

– Mój syn ci nic nie powiedział? – Opróżniła naparstek, powstrzymała wzdrygnięcie. – Ale jak na ciebie patrzę, to wątpię, czybyś zrozumiał... – Przysunęła się bliżej, pogładziła mój znoszony serdak, przesuwając lakierowanymi paznokciami wzdłuż szwów, aż zahaczyła o nitki. – Przynajmniej nie masz wszy. Prawie nie cuchniesz. A Saul ma rację, nie żyje wam się źle na Easterlies, chociaż jestem pewna, że niektórym innym ludziom żyje się przez to gorzej.

Położyła mi rękę na ramieniu. Teraz ja musiałem się powstrzymać przed wzdrygnięciem.

– Widzisz, Robbie, ten dom to nie jest nic z tych rzeczy, co sobie pewnie wyobrażasz. My nie jesteśmy jak młodociane dziwki na ulicy czy stare ladacznice w domach rozpusty... Ale przecież ty nic o takich nie wiesz, prawda? Posłuchaj mojej rady i zapomnij o miłości. My oferujemy coś znacznie cenniejszego. To jest dom snów, sprzedajemy sny. A sny pochodzą z Bracebridge, tak jak ty; przynajmniej niektóre z nich. Czy to nie uroczy zbieg okoliczności? – Znów napełniła naparstek i wypila. – Doprawdy, rozczarowana jestem, że Saul nie może zapamiętać nazwy tego miasta, skoro tyle lat znajdował się pod jego urokiem. Co prawda, potem bardzo starał się o wszystkim zapomnieć. Zlekceważył swoją mamuśkę, gada bzdury, że ludzie są równi, prawie nie przychodzi... Nie żeby mamuśce nie spodobał się prezent... – Przeciągnęła palcem po szyi. Coś głośno trzasnęło. Rzuciła koronkowy kołnierzyk na podłogę. – Na pewno takie nosi każda zdzira i każde babsko z tej dzielnicy. Szkoda, naprawdę, to wygląda całkiem jak nie z tego Wieku. Ale ty wciąż nie wiesz, co my tu robimy, prawda? Chciałbyś się dowiedzieć?

Delikatnie pogładziła mnie po ramionach, sadzając na fotelu w kącie. Miał wygodny podglówek i był przesiąknięty zapachem innych ludzi. Mamuśka zapaliła mały palnik spirytusowy. Gdy otwierała słoje i łyżkami o długich rączkach wybierała z nich zawartość, powiało gorzkim zapachem lekarstw. Niebawem zbulgotała mała retorta pełna ciemnobrązowego syropu. Powietrze wypełniły chmury dymu, żywicznego, woskowego; stąd się brał ten wszechobecny zapach spalenizny.

– Jesteś zdrów na ciele i umyśle, mój drogi? – zapytała. – Zdrowe serce?... Ależ oczywiście, że tak. – Błysnęła igła długa jak szpila do kapelusza. Mamuśka zamieszała jej końcem w bulgocącej retorcie, potem obracała lśniąca kropłą nad błękitnym spirytusowym płomieniem, aż poczerniała. – Parę słodkich nasion z nagranych słońcem tropików. Nic bardziej naturalnego. A eter pochodzi z ziemi. Wschodzi, rośnie i kwitnie. Ale tego nie muszę ci mówić, prawda? Zwłaszcza tobie, Robbie. Kiedyś będziesz musiał mi opowiedzieć, jak to jest w tym Bracebridge. Czy wszyscy latacie w powietrzu jak odmienione duchy, skoro tyle tam eteru?

Za oknem zagruchały gołębie.

– To naprawdę proste. Wszyscy mamy sny, prawda?

Mamuśka wzięła do ręki fajkę. Cybuch był długi i gruby, a główka na końcu maleńka. Potem schyliła się, szeleszcząc jedwabiem, i wyciągnęła z szafki wyściełaną szkatułkę. Dawno zapomniany Znak na mym przegubie zapiekł. Na długo, zanim uniosła wieczko, zanim rozlał się dziwomrok, wiedziałem, że w środku jest eter.

– Robbie, teraz musisz mi powiedzieć, czego pragniesz...

Zakręciła szpilą w fioli z eterem, potem kciukiem wepchnęła połyskującą ciemną perełkę do główki fajki. Gdy zapalała ją od płomienia, jedwabie zaszeleściły. Błysnęła czarnobiała iskierka, perełka zabulgotała i zapaliła się. Mamuśka wypuściła strugę szarawego dymu.

– Zdziwiłbyś się – mnie nic nie zdziwi – jakie życzenia wypowiadają ludzie w moim domu snów. Wy, mężczyźni, prawie nigdy nie pragniecie tych oczywistych rzeczy, jakie wyobraza sobie każda młoda dziewczyna poszukująca męża albo klienta. Prawie nigdy nie chodzi tylko o te sprawy, choć one są gdzieś tam w tle. Lecz jeśli masz dziewczynę, która cię lubi, a przynajmniej wpadła ci w oko, mogę ci ją dać, na wszystkie sposoby, jakie tylko możesz sobie wyobrazić. A może ciebie interesują pieniądze? Albo luksus? Albo coś jeszcze... – Cienie przygasły, gdy mamuśka powtórnie wypuściła dym. – A może podnieca cię strach? Odrobina bólu towarzysząca przyjemności? Takie potrzeby też rozumiem. Trochę gówna, by dodać pikanterii przyjęciu, trochę sików w winie...

Znów wypuściła dym.

– Otwórz usta.

Gdy nachyliła się, by przycisnąć swoje wargi do moich, w jej oczach pojawiła się czułość. Smakowała winem, papierosami, tłustą skórą i słodko-gorzkim dymem, który wlewał się we mnie. Poczułem, jak rozkwita we mnie błogość, żar, który wciąż się rozrasta, roztopiając granicę pomiędzy przyjemnością fizyczną a rozkoszą umysłu, pochłania razem z nią moją tożsamość, choć wciąż pozostałem świadomy tego pokoju, skrzącego się kurzu w powietrzu i powolnych fal przemieszanego z eterem dymu, wypełzających przez okno obok pijanych latem gołębi. A mamuśka wciąż była ze mną, dzieliła ze mną te nadzwyczajne nowe doznania. Nagle wszystko stało się śmiechu warte. I czegoż ja chcę? Czegoż ja pragnę?

Lekko jak duch uniosłem się z krzesła i przeniknąłem przez ścianę nad spirytusowym płomykiem. W wyścielonych dywanami korytarzach domu snów wszystkie okna były pootwierane. Znad Tamizy wiała świeża bryza, studząc popołudniowy skwar. Paprocie o ciężkich liściach falowały w donicach jak morskie wodorosty. Wietrzyk delikatnie, choć nieubłaganie popychał mnie, przepływałem przez obite ściany. Istotnie, był to bardzo skomplikowany i dziwny budynek. A tu, w kuchni, wśród lepów na muchy stał Saul, flirtował z dziewczkami z domu snów, które pamiętały go z czasów, kiedy tu dorastał; słodki pieśczocho, do całowania i łaskotania, dopóki nie urósł i głos mu się nie zmienił; to przestałoby podobać się klientom, więc musiał iść na ulicę.

Wyplątałem przez okno lekko jak nasiono ostu. Przedemną płynął Londyn, zielony, złoty. Śmiałem się i kręciłem spirale w strugach powietrza z sapiącej maszynowni, przyglądałem się wozom jak mrówki. Dachy pięły się niczym zbocza gór w stronę Northcentral, przedzielane iglicami, kopułami i chłodnymi nieckami dziedzińców. Ciemny pobłysk Wieży Hallam. Tutaj krajobraz był zaskakująco zielony, inkrustowany stawami i zawiłymi wzorami ogrodów na dachach otaczających wielki, nieregularny szmaragd Parku Westminsterskiego. Z przyjemnością bym zanurkował pomiędzy pasiaste dwukółki i piegowate parasolki, zatańczył z frunącymi ponad trawą latawcami, ale prąd londyńskiego powietrza niósł mnie wyżej i wyżej, aż niebo pociemniało. Zawirowałem, straciłem orientację. Wiatr był teraz chłodniejszy, z jego zapachu, z jego uporu wywnioskowałem, że niesie mnie na północ. Pode mną Anglia w pełnym rozkwicie; próbowałem z wiatrem walczyć, ale potęga eteru rozpostarła swe mroczne skrzydła i poniosła mnie dalej.

Szum, bum, szum, bum...

I oto przede mną rozpościera się Bracebridge. Leniwa, upalna, letnia półdziela. Hałdy popiołów dopiero co zaczęły wspinać się na Coney Mound, za działkami stały jeszcze stare magazyny. Cofnąłem się w przeszłość. Szum, bum... Nadrzeczne łąki. Skrząca się, brązowa woda.

Szarozielone zbocza Rainharrow, usiane ruinami i ścieżkami wydeptanymi przez owce. Szara kreska głównej ulicy. Zamazane gonty i cegły Coney Mound. A w centrum, wyraźna jak mapa, jak rysunek techniczny, jak wizja przemysłowego świata, leżała fabryka Mawdingly & Clawtson. Dachy i dziedzińce. Rozpostarte ramiona torów i ramp. Mroczny poblask kadzi studzących. Oto Pokład Wschodni, gdzie pracuje mój ojciec, a ten większy dach, z dumnymi kominami, to może być tylko Pokład Maszynowy, a pod nim Środkowy, głęboko w trzewiach ziemi, gdzie tłoki wciąż błyskały i łomotały, nawet w to półdzielne popołudnie, kiedy po dalekich łąkach uganiały się drobne figurki, a kwadraty piknikowych koców wyściełały brzeg rzeki. Szum, bum, szum, bum... Wtem coś się zmieniło. Zapadła cisza. Figurki na boisku futbolowym zamarły. Zdało się, że rzeka przestała płynąć, nawet słońce znieruchomiło. Potężny łoskot, potem głośnie, choć stłumione wybuchy, narastające, coraz potężniejsze, werbel za werblem wylewające się w złowróżbną ciszę nad miastem. A potem dach Pokładu Środkowego eksplodował dziwobiałym gejzerem gazu i ciśnienia. Uniosły się płomienie, ich blask ściemniał na tle strug pary i eteru. Chaos, chmury dymu. Fruwały belki, unosił się kurz. Ciemność zadrzała, niebo się zatrzęsło; koziołkując, poleciałem z powrotem w nicość, pchany pędem powietrza.

– Z ciebie to dopiero dziwny chłopak.

Poczułem fotel pod sobą, drapanie dymu w gardle. Wokół mnie powoli wyłaniały się meble i sprzęty domu snów. Słońce nadal świeciło, gołębie gruchały, byłem w Londynie, a mamuska trzepotała wokół mnie swym jaskrawym szlafrokiem jak latawiec, co spadł na ziemię. Oczy mnie piekły. Kręciło mi się w głowie, czułem mdłości.

– Chyba jeszcze nigdy nie byłam z klientem tak daleko. – Czyściła sprzęt, ze świstem przedmuchiwała fajkę. – I tak niewiele z tego miałam. O proszę, już... – Gdy tylko zacząłem się pochylać, a żołądek mi się skręcał, wprawnym ruchem chwyciła blaszane wiadro. – Może pieniądze tak wszystko zmieniają – ciągnęła, gładząc mnie po głowie, gdy wymiotowałem. – Może powinieneś być zapłacić... chociaż cię nie stać. Ale pomimo tych wszystkich bzdur, co Saul wygaduje, nic nie jest wielką atrakcją, kiedy dostaje się to za darmo, prawda?

Popatrzcie teraz na mnie. Robbie, nie Robert. Palce poplamione atramentem z magazynu, w kieszeniach pożyczone pieniądze, ubrany w kamizelkę prawie tak elegancką jak Saula. Popatrzcie na mnie, na Saula, a także na Maud, która skacze na palcach w niezwykle ozdobnej różowej spódnicy, podzwaniając bransoletami na nadgarstkach. Jest dzień Świętego Jana, skupiamy się wokół wspólnego papierosa, przy śmietnikach pomiędzy dwiema noclegowniami na Doxy Street, obserwujemy przejeżdżające tramwaje, próbując ustalić właściwą chwilę na szalony skok, który zanieś nas na festyn w Parku Westminsterskim.

– Wam, chłopakom, to łatwo. Ja nigdy tego nie robiłam. Popatrzcie na moją spódnice!

– Ja też nie. Skąd wiadomo, że to w ogóle działa?

– To już zależy od was. – Pasma słonecznego blasku oświetla uśmiech Saula. – Zawsze możemy wsiąść do tramwaju...

Ale to było nie do pomyślenia. Robię głęboki wdech przez wilgotne włókna tytoniu i podaję papierosa Maud. Oczywiście, muszę robić, co każe Saul. Maud też, chociaż trzęsą jej się ręce, kiedy dopala papierosa. Już choćby za to cieplej o niej myślę. Łoskocze kolejny tramwaj. Potem znika, pozostaje tylko rozświetlony zgiełk Doxy Street – i tor tramwajowy; głęboki, szeroki na piętnaście centymetrów rowek w jezdni, w którym, grzechocząc i bulgocząc, wiruje dziwojasna żelazna spirala.

Maud idzie pierwsza. Nurkuje w chwilową lukę w ruchu ulicznym jak falbaniasty pocisk i staje w rozkroku nad torem. Nachyla się, łokciami przytrzymując spódnice. Kiedy w podskokach wraca do nas, wciąż ma cudem ocalone palce. Lśni.

– Nic nie mówiłeś, że to będzie brudne.

– Szybko, Robbie, teraz twoja kolej.

Oszołomiony ruszam, omijając wózek i omal nie wywracając rowerzysty, staję w rozkroku nad torem, pośród rojącej się Doxy Street. Czuję napędzany metal, wirujące cząstki oleju i eteru syczą i grzechoczą pomiędzy sapiącymi maszynownikami, które punktują miasto wykrzyknikami z dymu. Ale chodzi o to, by nie myśleć, tylko poddać się wewnętrznej, nieokreślonej woli, która mną teraz powoduje, oraz pamiętać, że Saul i Maud na mnie patrzą. I już po wszystkim, biegnę z powrotem, przewracając kubły ze śmieciami. Na jezdnię wyskakuje Saul. Kiedy odważam się spojrzeć na dłonie, widzę, że są nietknięte, że są wszystkimi palcami, zamiast broczących kikutów.

– Jedzie!

Tramwaj przeciska się przez świętojański tłum, pod brzuchem błyskają mu czarne dziwopłomienie i białe iskry. Jeden, dwa, trzy wagony, we wszystkich jak śledzie tłoczą się spoceni, odświętni pasażerowie. Wreszcie ostatni. Teraz wrzeszczymy jak opętani, omijamy zagradzającą drogę furgony i wskakujemy na oddalający się tył wagonu, który jest co najmniej dwa razy wyższy i brudniejszy, niż się spodziewałem, i gładki, bez najmniejszego uchwytu. Przywieramy jednak do niego, pod nami zieje czeluść toru, pod nosem w kółko mruczemy dźwięk, który z niedowierzaniem ćwiczyliśmy przez cały ranek. Dłonie trzymają się metalu jak przyklejone, przyspawane do nitów, a gardło nie umie przestać śpiewać. Przyczepieni, z rozpostartymi ramionami, śpiewamy ponad wirującą spiralą toru, mijając świeżo wyszorowane chodniki Doxy Street, te same kamienie co zwykle, umyte i parujące, wśród świętojańskiego zgiełku. Wreszcie, bez najmniejszej zmiany kierunku, bez zatrzymywania, Doxy Street przestaje być Doxy Street i staje się Cheapside, a potem Oxford Road. Szyldy, domy, szczyty dachów ponad wysokimi oknami, samo niebo, wszystko zdaje się rozrastać pod wpływem bogactwa. Powietrze Northcentral, pachnące warzywami i owocami ze

sklepów oraz polerowanym mosiądzem, owiewa mnie, przywierającego do podskakującej rufy naszego plugawego tramwaju. Tutaj wznoszą się kaplice niższych cechów, szarobiałe lub złote, z iglicami i kopułami; starożytne kościoły, po Wieku Królów splądrowane i urządzone na nowo, wyposażone w naeteryzowane rzeźby i ciężkie, solidne drzwi, dla Boga, który, kiedy świat się zmienił, wraz ze wszystkimi Anglikami obrał jedynie słuszną drogę – został cechmistrzem.

Zeskakujemy na pętli w Northcentral, uciekając przed krzykami trammistrza. Wkrótce wbiegamy na trawę, wokół nas potężne, rozświetlone słońcem drzewa, stawy, rzeźby. Łapiemy oddech, a Maud ogląda pokaźne tłuste plamy na przodzie swej spódnicy. Potężne kopuły największych ze wszystkich cechowych domów, na Wagstaffe Mail, górują nad srebrno-białymi alejami niemożliwych drzew; pokryte miedzią, srebrem i szkłem, błyskają w promieniach słońca ponad rzekami cylindrów, słomkowych kapeluszy i niesionych na barana dzieci.

– No, Robbie, ruszaj się, na co się gapisz? – Saul ciągnie mnie przez tłum. – To tylko domy, na miłość boską! To tylko park. Przyjechaliśmy tu się zabawić, co nie?

Ale to było coś więcej. Lawirowaliśmy między straganami, drobnymi złodziejaskami, kieszonkowcami i pomniejszych ulicznikami, mnie jednak nawet w dzień jarmarku świętojańskiego najbardziej zachwyciły parkowe drzewa. Ich niezwykła natura. Na Easterlies, tak samo jak w Bracebridge, w koszykach kwiaciarzy czasem trafiały się kwiaty zbyt wielkie, zbyt rozrośnięte, by mogły być wyhodowane przez ogrodnika, mieliśmy też jabłka wodne i morskie ziemniaki, przypominające nam o cechowym rzemiośle, ale tutaj, potężne, rozświetlone, stały i szeleściły liśćmi żywe drzewa jak ze snu. Nibyliny, wysokie, srebrne, szmerzące listowiem. Cedry kamienne, przysadziste, o masywnym czerwonym pniu, sękatym i błyszczącym, z pięknym, skomplikowanym rysunkiem słoju przypominającym odbłaski słońca w wartkiej wodzie. Ogniocień, który w Brownheath był krzakiem o paskudnych kolcach, sadzonym jako żywopłot, tutaj obsypany był powodzią ornamentalnych kwiatów. Nawet pospolita wierzba stała się tu pięknym, potężnym drzewem o siwo-zielonym listowiu, pachniała gorzkim miodem. Orkiestry cechów grały dziarsko, a ja podziwiałem liście złote, liście czerwone, sercowate, wielkie jak tace; pnie z korą cynowej barwy; kwiaty jak odwrócone porcelanowe wazony. Postanowiłem, że kiedyś tu wrócę – a właściwie, że opuszczę Easterlies. Kiedyś, kiedy nastanie tu spokój, będę się przechadzał z duchem mojej matki. Może nawet przez całą wieczność. Lecz odpustowy rozgardiasz ciągnął mnie we wszystkie strony, obiecując niewiarygodne cuda, jeśli tylko przejdziesz bramkę, wejdiesz do namiotu, dotkniesz podrabianej główki; tylko najpierw zapłać, zapłać, zapłać. Usiedliśmy, krzyczeliśmy i klaskaliśmy, gdy białe króliki pojawiały się i znikły wśród chmur dymu i dźwięków gongu – wszystko to, jak zapewniał napis przed dusznym namiotem prestidigitatora, bez pomocy choćby jednej kropli eteru. Dzień był upalny. Mijaliśmy burleski, klaunów, chowańców przebranych w marynarskie ubranka, aktorów wygłaszających dziwne monologi, i dioramy przedstawiające dalekie kraje. Kupiłem zmrożony sorbet i ssałem go chciwie. Ocierając ścierpłe wargi, rozejrzałem się wokół za Maud i Saulem. Nigdzie ich nie było. Ustaliliśmy wcześniej, że spotkamy się przy fontannach Prettlewell o trzeciej po południu. Nie miałem zegarka ani pojęcia, gdzie są owe fontanny, ale mniejsza o to. Nie zgubiłem się – to się nie ma prawa zdarzyć, kiedy spacerujesz wśród niesamowitych drzew Parku Westminsterkiego, pośród sprzedawców balonów, tańczących chowańców i wirujących w piruetach akrobatów. Nie w taki dzień. Nie w Londynie. Nie, kiedy nazywasz się Robbie. Ten świętojański jarmark, pomyślałem, jest jak istota Londynu. Na przemian zuchwały i smutny, cichy i pełen zgiełku, cuchnący i brzydki albo piękny, że aż dech zapiera... I tak samo jak w Londynie, na niektóre rzeczy łatwiej tu trafić przypadkiem, niż świadomie je znaleźć.

Próbowałem szczęścia w strzelaniu do blaszanych ptaszków. Podziwiałem olbrzymie kości

potworów, które podobno urodziły się w jakimś odległym Wieku. Widziałem czerwonołuskie bestie i groźne psotwory. Widziałem niezwykłą gwizdzącą maszynę, przypominającą wariacki, ożywiony las, sporządzoną przez cechowych z Saksonii. Musiałem tak wędrować przez kilka bezmyślnych godzin, wydając wszystkie pieniądze, pozwalając tłumom wieść się i popychać, chłonąc wszystkie strachy, cuda i rozczarowania festynu. Wtem ujrzałem Annalise. Szła sama, w swej cichej, prywatnej przestrzeni, wśród grupki rozwrzeszczanych chłopców i zmęczonych rodzin. Zatrzymała się przy karuzeli, a ja stanąłem nieopodal w cieniu i wstrzymałem oddech, by uspokoić bicie serca. Ubrana była w cienką błękitną spódniczkę i bufiastą bluzkę marszczoną przy dekolcie i na rękawach. Kształty miała teraz już całkiem kobiece, a jasnoblond włosy, kręcone, plecione, ozdobione wstążkami, spływały jej na ramiona. Wszystko się w niej zmieniło, niewiarygodnie wypiękniało, aż po łuk rzęs, unoszący się i opadający, gdy przyglądała się dzieciom bujającym się na malowanych konikach, ale jednocześnie nie zmieniło się nic. Z rozkoszą stałbym tak przez wieczność, mogąc na nią patrzeć. Jeśli to możliwe, by czyjaś sylwetka widziana od tyłu, linia kości policzkowych, emanowała rozbawieniem, to właśnie z nią tak było. Wirowały kolory i twarzyczki dzieci wystraszone lub roześmiane. Uświadomiłem sobie, że ona zobaczyła mnie dużo wcześniej niż ja ją.

Karuzela zwolniła. Gdy kształty się wyostrzyły, Annalise odwróciła się do mnie.

– Więc to ty... Robbie. – Te zielone oczy. – Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek spotkam cię w Londynie.

Tyle powiedziała w paru słowach. „Robbie”. I „nie spodziewałam się” – tak jakby przez te wszystkie lata od czasu do czasu o mnie myślała.

– Ani ja. – Serce wciąż mi waliło. – To znaczy, ani siebie, ani ciebie. – Wiedziałem, że cokolwiek powiem, zabrzmi głupio. – Od niedawna tu jestem. Od początku lata.

– Więc oboje jesteśmy tu nowi. – Ironicznie skrzywiła usta. – Jakie to dziwne, że mnie rozpoznałeś.

– Annalise, aż tak bardzo się nie zmieniłaś. Jej zielone oczy lekko pociemniały.

To absurdalne – powiedzieć, że się nie zmieniła, podczas gdy różniła się każdym szczegółem poza tą jedną, kluczową cechą, która nie zmieni się nigdy.

– I co teraz robisz?

Wzruszyłem ramionami. Choć byłem zadowolony z mojego życia, dzień za dniem, godzina za godziną, chwila za chwilą, teraz, przy Annalise wszystko to zwiędło i zbladło. Co miałem powiedzieć? Mieszkam na Easterlies. Pracuję w dokach, fałszuję znaki na skrzynkach z herbatą. Czasem coś kradnę. Matka mojego najlepszego przyjaciela prowadzi dom snów. Ten przyjaciel do każdego mówi „obywatelu” i chodzi z dziewczyną, która ma czerwone ręce od ciągłego gotowania pieluch... Popatrz tylko, Annalise, na moje dłonie. Pełne strupów, poplamione atramentem, żółte od papierosów... Zorientowałem się, że bije ode mnie dojrzały, krzepki zapach, nie całkiem nieprzyjemny, ale niosący rozpoznawalną natychmiast nutę z Easterlies – smród węglowego dymu i śledzia.

Annalise obserwowała mnie, gdy plątałem się w wyjaśnieniach. Eleganckie ubranie, delikatny, słodki i nieokreślony zapach, klejnoty w uszach, gładka, pozbawiona porów cera, pewność siebie, wyniosłość; w tle kręciły się koniki karuzeli.

– Twoja matka oczywiście umarła, prawda? Tak mi przykro, Robbie... – Zielone oczy pociemniały i znów rozblęły. Blask księżycy nad morzem, przysłaniany letnim obłoczkiem. – Ale ty dobrze wyglądasz. Wyglądasz na zadowolonego.

– Jestem zadowolony. Bardzo – powiedziałem. – Dobrze mi się żyje. Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Mnie też, Robbie.

Cały festyn zawirował wokół nas. Tylko my staliśmy nieruchomo.

Odwrociła wzrok. Wiedziałem, że za chwilę powie, że to wspaniale, że tak przypadkiem wpadliśmy na siebie po tylu latach. Jeśli sprzyja mi szczęście, może jeszcze poda mi rękę, zanim odejdzie.

– Annalise, poczekaj. – Chwyciłem ją za obnażony łokieć. – Nie idź jeszcze...

Zesztywniała. Na festynie piszczały dudy. Faktura naszej skóry zdawała się teraz tak różna. Gdy cofałem rękę, zauważyłem jej lewy nadgarstek ze srebrną bransoletą. Powyżej niej miała czerwony, wypukły, lśniący w słońcu dziwoczernią Znak z Dnia Próby. Jestem pewien, że wcześniej go nie widziałem.

– Wiesz... – Wzruszyłem ramionami. – Chciałbym wiedzieć, jak ci się wiedzie. Jak sobie żyjesz.

– Naprawdę tego właśnie chcesz? – Uśmiech zdawał się powracać. Kiwnąłem głową.

– Najbardziej ze wszystkiego.

– No dobrze, Robbie. W końcu jest Świętego Jana... – I wreszcie się uśmiechnęła. Uśmiechnęliśmy się razem. Wspólnym uśmiechem. Przy takiej grze, w jaką zaraz zagramy, nie sposób się było nie uśmiechnąć. Byliśmy młodzi, zdawało się nam, że nagniemy ten świat, jak chcemy. – Pokażę ci.

Przeszliśmy przez tarasowy ogród, którego festyn nie objął w posiadanie. Tłumy, namioty, karuzele zostały w dole. A wokół nas, na pergolach i kratownicach rosły egzotyczne, niesamowicie piękne kwiaty. Oblężony przez zapachy, kolory, szedłem u boku Annalise, jakby przez inny świat. Przed nami wyłonił się szeroki, szary podjazd. Panowała tu cisza, tylko parskały czekające konie. Ponad tym wznosił się potężny klif fasady budynku, pełen identycznych okien w ryzalitach. W otwartych drzwiach pozdrowił nas mężczyzna w liberii. Gdy szliśmy przez oceany czerwonych dywanów, gdy windziarz odsuwał nam mosiężną kratę, zastanawiałem się: czy to takie łatwe, dostać się do tego innego świata?

– Ile to wszystko musi kosztować?

– Nie wyobrażaj sobie, że zawsze tak żyję – odparła Annalise, gdy pomruk dalekiego silnika holował nas do góry. W korytarzach, przez które przejeżdżaliśmy, rosły w donicach wielkie aspidistry, na mosiężnych szynach wisiały portrety. – Zaczekaj tutaj. – Zatrzymała się przed jednymi z niezliczonych numerowanych drzwi. – Chwilę. Nie możesz tak wyglądać, wiesz? Musimy cię trochę przebrać...

Błysk luster, kamiennego cedru, smuga słońca i drzwi się zamknęły. Stałem niepewnie, zerkając na obie strony korytarza. Było tu gorąco i niemal zupełnie cicho. Byłby to niezły żart z jej strony, zaciągnąć mnie w ten labirynt, a potem zniknąć jak biały królik w obłoczku dymu. Lecz zaraz znów się pojawiła, w świeżej spódnicy i bluzce, z wilgotno lśniącymi oczyma. Taka szybkość u kobiety to był prawdziwy cud – ale wtedy nie miałem o tym pojęcia.

– Chodź. Doprowadzę cię do porządku. – Popędziła korytarzem do bardziej niepozornych drzwi, bez numeru, obitych zielonym sukmem. – Chodź, szybko...

Ów wielki hotel składał się tak naprawdę z dwóch budynków wciśniętych w jeden; pierwszy, komfortowy i ospały, należał do gości, drugi zaś do pokojówek, posługaczek, praczek, kucharzy, stewardów, majstrów, stalmistrzów, sprzątaczy, pucybutów. Jednak nawet tu, w tych niskich korytarzach było cicho, tylko znacznie goręcej. Cienie pędziły wokół nas, gdy schodziliśmy spiralnymi schodkami, a potem białymi galeryjkami. Powietrze było sztywne od zapachu mydła i magła. Ale tutaj też nikogo nie było. Cały hotel stał opuszczony, uśpiony, zaklęty. Popchnęła mnie

kolejnym korytarzem ku następnym zielonym drzwiom.

Za nimi w wąłym świetle lśniły nieskończone rzędy ubrań. Szeleściły i podzwaniały wieszakami, gdy Annalise przechodziła między nimi.

– Ja jestem tu tylko gościem. Tego nigdy nie powinniśmy oglądać. Ale dotknij tylko, Robbie. Opalizujący jedwab, brabancka koronka, eteryzowany len, cekiny, guziki z kamiennego cedru, perełki z Thule i Kitaju... – Przesuwały się przede mną kaskady ubrań, Annalise tańczyła wśród nich, śmiejąc się, wirując, dygając żartobliwie. – Trzymają je tutaj, gdzie nie jest ani ciepło, ani zimno, ani jasno, ani ciemno, żeby nie wypływały... – Zebrała w dłonie materiał i uniosła do twarzy, wdychając zapach. – Powąchaj, Robbie. Tak pachnie bogactwo. To jest władza. To są pieniądze...

Ująłem obszyty cekinami rękaw i powąchałem. Najwyraźniej źle wybrałem, bo poczułem tylko skwaśniałe wino, pot, stare perfumy i tytoń. Z tyłu, na dalszych drążkach wisiały w szeregu męskie garnitury. Annalise wyciągnęła jeden z nich i przymierzyła do mnie, przekrzywiając głowę, gładząc materiał, wygładzając go na ramionach. Pomyślałem, że serce chyba przestanie mi bić.

– Nie, zupełnie nie... Całkiem nie ten fason... – Wyciągnęła następny. – Potrzebna ci będzie koszula, krawat, buty...

Gdy ja usiłowałem znaleźć swój rozmiar lakierków, ona tańczyła wśród szeleszczących mas sukien wieczorowych, bez przerwy komentując zaszewki, ściągacze i koronkowe obszycia. Znalazła sobie sukienkę blado-błękitną jak niebo wczesnym rankiem, na ramionach ozdobioną perłami jak ostatnimi gwiazdami, zwężoną w talii, a potem rozlewającą się kaskadą. Kiedy przyłożyła ją do siebie, wyglądała naprawdę przepięknie z tymi złotymi włosami w nieładzie.

– Jak myślisz, Robbie? Czy jakiejś bogatej, ponurej wdowie będzie tego brakowało?

Wróciliśmy tunelami korytarzy do części hotelowej, obarczeni szeleszczącymi i poskrzypującymi jedwabiami. Annalise wyszła na piętro i sprawdziła, czy droga wolna. Przemknęliśmy do pokoju.

– Tu jest łazienka dla gości. Możesz się tam przebrać.

– A co mam zrobić z moimi...

Lecz ona już wepchnęła mnie do pomieszczenia z błyszczącymi kurkami, białą porcelaną, śnieżnymi zaspami ręczników. Wydawało mi się, że brudzę wszystko, czego się dotykam, a moje ubranie, najlepsze jakie miałem w życiu, łuszczyło się i pękało, kiedy je zdejmowałem. Ale, całkiem jak we śnie, postanowiłem, że nacieszę się tą sytuacją, ile się da. Wepchnąłem stare łachy do czegoś, co wyglądało jak kosz na bieliznę, odkryłem gałki, które sprawiły, że z pysków delfinów trysnęła zimna i ciepła woda. Niebawem spowiły mnie aromaty i buchająca para. Moje nagie ciało unosiło się w spienionej wodzie, ciemno opalone tam, gdzie było wystawione na słońce, przeraźliwie białe w pozostałych miejscach i zadziwiająco mocno umięśnione. W końcu wylazłem z wanny. Zgadując zastosowanie guzików i haftek, przeskakując z nogi na nogę, naciągnąłem nowe ubranie i poszedłem przegrzanym korytarzem pod drzwi jej pokoju.

– Proszę! Otwarte...

Ledwo ją usłyszałem. Wszedłem nie do sypialni, lecz do oświetlonego słońcem salonu pełnego złoconych krzesel. Nie widziałem Annalise.

– Szybko się uwinąłeś, Robbie. – Jej głos przypląnął zza uchylonych dwuskrzydłowych drzwi. – Obawiam się, że będziesz musiał na mnie poczekać...

Zerknąłem w tamtą stronę. Sypialnia z łóżem tak wielkim, że pomieściłoby parę rodzin. Dobiegł mnie cichy szum rur z jeszcze dalszego pomieszczenia. Usiadłem, potem wstałem i obejrzałem się w lustrze. Annalise dobrze wybrała, garnitur na mnie pasował. Ale wszystko było w nim na bakier – kołnierzyk, mankiety, guziki... Włosy mi sterczały, twarz miałem zaczerwienioną.

Wyglądałem jak służący przymierzający ubranie swego pana.

Gdy medytowałem nad muszką, rozległo się pukanie.

– Anno, jesteś tam? – Damski głos o dziwnym akcencie. – Gdzie byłeś? Wszyscy cię szukają...

Do pokoju weszła dziewczyna.

– O! – Zaskoczona uniosła dłoń do szyi. Muszka, spinki i mankiety, z którymi walczyłem, spadły na podłogę. – Strasznie przepraszam. – Zerknęła na numer na drzwiach. – Ale to jest pokój Anny Winters, więc co...?

– Sadie, wszystko w porządku – odezwała się Annalise. – To Robert... Borrow. Dobry przyjaciel rodziny.

Wyciągnąłem dłoń do Sadie, z nikłą nadzieją, że tak właśnie się robi w takich sytuacjach. W odpowiedzi wdzięcznie dygnęła.

– Cechmistrzu Borrow...

– Miło mi panią poznać. Proszę mi mówić Robbie. – Zdania wyszły gładko, choć wydały mi się napuszone.

– Ja jestem wielka cechmistrzyni Sara Passington, ale wszyscy mówią po prostu Sadie. Musiał pan pomyśleć, że jestem strasznie niekulturalna, kiedy tak tu wpadłam.

Coraz bardziej mi się to podobało. Nikt nigdy nie nazwał mnie cechmistrzem. A brzmiało to lepiej niż „obywatel”.

– To moja wina. Nie mogłaś się mnie tu spodziewać. – Odważyłem się na uśmiech.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Wreszcie poznałam kogoś, kto zna Annę z dzieciństwa. Ja mam wrażenie, że znam ją całe życie, ale coś takiego zdarzyło się pierwszy raz. Nie, nie jest skryta, ale...

Daleko, w łazience, Annalise – czy też Anna Winters, jak się najwyraźniej teraz nazywała – nuciła cichą piosenkę zlewającą się ze szmerem wody, szumem drzew, ruchem ulicznym, odległymi odgłosami świętojańskiego festynu. Jej obecność, ciepła, łagodna, opływała nas oboje.

– Więc przypuszczam, że ty wiesz najlepiej, jaka jest Anna... – Sadie uśmiechnęła się ponownie, ale bardziej melancholijnie. Miała ciemne włosy ułożone w lśniące loki, białą cerę, kształtne czarne brwi. Dopiero teraz, kiedy doszedłem do siebie po jej nagłym wtargnięciu, zauważyłem, że ma na sobie najbardziej ekstrawagancką suknię, jaką w życiu widziałem. Niesamowita, nawet na tle tych, które zobaczyłem dziś na wieszakach. Biała, złota, w połowie jak budowla, w połowie jak tort weselny, zdawała się wychodzić mi naprzeciw jak oddzielna istota; a mimo to kończyła się na tyle poniżej ramion, że w Bracebridge, jak powiedziałyby moja matka, spowodowałyby wypadek uliczny.

– Wyglądasz, jakbyś się gdzieś wybierała – powiedziałem.

– I ty też, Robbie. Rozumiem, że Anna zabiera cię na bal? – Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. – Zawsze brakuje nowych męskich twarzy...

– Pewnie pójdę, jak poradzę sobie z tym... – Podniosłem muszkę i jedną ze spinek.

Lecz Sadie już była w swoim żywiole, krzątając się wokół mnie. Nagle wszystko zaczęło sprawnie działać jak w dobrze wyregulowanym mechanizmie. Muszka, mankiety, lustrzane odbicia Sadie pochylającej się nade mną, sporadyczne okrzyki i pytania Annalise – Anny... Wreszcie otworzyły się drzwi sypialni. Na progu stanęła Annalise, z inną fryzurą, z twarzą w cieniu, z błyszczącymi zielonymi oczyma, w tej szaroniebieskiej sukni, która pomimo pereł na ramionach imponowała prostotą, tak jak suknia Sadie – skomplikowaniem.

– Wszyscy gotowi?

W foyer hotelu zaroilo się od ludzi. Chłopcy w liberiach wozili tam i z powrotem kufry i walizy. Windy dzwoniły, otwierały się, zamykały. Sylwetki innych eleganckich hoteli w różowym zmierzchu wyglądały pusto jak morskie muszle. My, Annalise, Sadie i ja, szliśmy po marmurowych stopniach przez oświetlone ogrody. Niebawem poczułem zapach rzeki. Ale to nie była Tamiza, którą znałem z dolnego biegu, przy Tidesmeet, albo nawet trochę wyżej, na Riverside. Tutaj, powyżej wszystkich ściekowych odpływów Easterlies, woda była przezroczysta. Na nabrzeżu migotały światła. Nisko nad rzeką unosił się niebieskawy księżyc, z rozświetlonej sali balowej wznoszącej się nad wodą jak wielki jeżowiec płynęła muzyka. Kobiety z nagimi plecami, nagimi szyjami, nagimi rękami, ramionami i półnagimi biustami płynęły, jak unoszone wiatrem, w objęcia swych kawalerów i tanecznym krokiem frunęły w stronę sali. Annalise poklepała mnie po ramieniu.

– Umiesz tańczyć, prawda, Robbie?

Uśmiechnąłem się i wyciągnąłem do niej rękę. Splotłem je na jej plecach, czując tkaninę, perły, walcząc z przeciwstawnymi impulsami – by przycisnąć mocniej i by puścić. Nigdy bym się nie domyślił, że taniec – nie podskoki, jak na Caris Yard, przy akompaniamencie piskliwych skrzypek, ale taki jak się widzi na obrazach, w wykonaniu ludzi dobrze urodzonych – oznacza taką wstrząsająco intymną bliskość.

– Puść na chwilę. Patrz na moje stopy... – Annalise wysliznęła się z mojego uścisku. – Pokażemy mu, Sadie...? – I dwie piękne kobiety w szeleszczących sukniach zademonstrowały mi, jak się tańczy, splatając ręce i wirując wokół ławek nabrzeża; tak się to robi, płasa ręka w rękę, pierś w pierś pod przeglądającym się w rzece księżycem.

– Teraz ty spróbuj, Robbie... Połóż rękę tutaj. – Sadie ułożyła mi ramiona wokół Annalise. – Nie, trochę wyżej...

Powoli, z początku potykając się jak ranny perszeron, ruszyłem krokiem walca wzdłuż Tamizy, w stronę sali balowej. Zatańczyłem z Annalise, potem z Sadie, a przez jedną wspaniałą chwilę tańczyłem z obiema naraz. Gapie nas oklaskiwali, wykrzykiwali dobre rady. Pewnie pomyśleli, że jestem jakimś nudnym krewnym z zimnych i zadymionych regionów północnych lub zachodnich, zaciągniętym tutaj przez dwie przepiękne kuzynki. Ale poza moją oczywistą nieporadnością nic nie sugerowało, że jestem tu obcy.

W sali balowej wznosiły się kolumny. Z sufitu spływały kandelabry. Orkiestra grała teraz coś szybszego, w innym rytmie, ale tego wieczoru zatańczyłbym do wszystkiego. Coś we mnie przeskoczyło i poczułem dziwną pewność siebie. Annalise i ja, kręcąc się na parkiecie sali, stopiliśmy się z muzyką, a suknie wokół zmieniały barwy z różowych na zielone, na niebieskie, pulsowały jak ukwiały w przybrzeżnym zalewie. My, mężczyźni, elegancy, w ciemnych strojach, przemykaliśmy dokoła, przyciągani i odpychani, aż wreszcie, gdy melodia zwalniała tempo, zdyszani, ze śmiechem wpadaliśmy w pierzaste fałdy krynolin. Oczy Annalise błyszczały. Jej plecy i ramiona pod obszytym perłami jedwabiem sukni były wilgotne, ciepłe. Muzyka pognęła cwałem, a parkiet wraz z nią i znów zawirowałem w tańcu.

Żałuję, że nie mogę powiedzieć więcej, jak się czułem tego wieczoru z Annalise. Bywają jednak w życiu takie rzadkie chwile, kiedy szczęście przepływa koło ciebie tak gładko, że niemal go nie zauważasz i nie myślisz, że się kiedyś skończy. Byłem jak w transie. Wydawało się, że wielka piramida cechów, z której ciężarem walczyłem, stała się nagle lekka jak eter. I oczywiście byłem zakochany. Zakochany w księżycu, w nocy i we wszystkich tych bzdurach, o których ludzie wyśpiewują piosenki i piszą wiersze – a kiedyś wyobrażałem sobie, że to taka głupia literacka konwencja przyjęta wśród dobrze urodzonych. Kochałem także Sadie za to, jak śmiała się z moich kiepskich żartów, za głęboką czeluść jej dekoltu i słodki, mroczny zapach potu, którym mnie otaczała

w tańcu. Kochałem wszystkich ludzi dokoła, który przyjęli mnie tak chętnie, że od razu wiedziałem, że są moimi przyjaciółmi. Owe rzadkie, wyrafinowane okazy z najwyższych cechów były piękne i płochliwe jak ptaki, i równie radosne. Dotykali moich szorstkich dłoni i pytali, czy dużo żeglowałem w tym roku w Folkestone. Słyszeli, że przyjechałem z północy, z Yorkshire, i ciekawi byli, czy znam takiego a takiego, który ma tam posiadłość. Nalewali mi wina, współczuli, że nikogo nie znam, rozumieli, jak dziwny i trudny może wydawać się Londyn, szczególnie w letnim zgiełku. I jeszcze Annalise, Annalise, która teraz stała się Anną. Jej niebieska jak świt sukienka, jej błyszczące oczy, czerwonozłote włosy. Każdy wiersz, każda piosenka, każdy błysk gwiazdy na niebie, wszystko było prawdą. Wierzyłem w nie. Wierzyłem we wszystko.

Stoły ugięły się pod półmiskami z egzotycznym jedzeniem. Większość ludzi po prostu je ignorowała. Podsuwałem talerz uzbrojonym w szczypcę kelnerom, potem wyszedłem na okalający salę taras i napchałem się tłustymi garściami nieznanymi smaków. Zadowolony, syty, oszołomiony, czując lekki przyptyw mdłości, oparłem się o balustradę i chłodziłem twarz nocnym powietrzem.

– Trochę tajemniczy jesteś, Robbie. – Sadie oparła łokcie obok mnie. – Przyjeżdżasz, pojawiaasz się znienacka... wcale bym się nie dziwiła, gdybyś tak samo zniknął, kiedy skończy się świętojańska noc. – Zerknęła na moje buty. – Dobrze, że nie nosisz szklanych pantofelków.

W głowie mi falowało. Naprawdę nie wiedziałem, od czego zacząć.

– Ale powiedz mi, Robbie, skąd znasz Annę? Ona też jest trochę taka... tajemnicza... Chociaż zupełnie nie wiem dlaczego, tyle lat byliśmy razem u Świętego Judy. Musisz mi powiedzieć, jak się jej żyło w tym zimnym, szarym Brownheath, ze straszną ciotką, starą panną.

Kiedy Sadie wypowiadała te słowa, a ja gapiłem się na odbłaski księżyca na wodzie, stało się coś dziwnego. Zobaczyłem tę ciotkę i dom, w którym mieszkała Anna. Zupełnie niepodobny do Redhouse, ciemny, chaotyczny, z małymi okienkami. Stał w wilgotnym lesie, koło wodospadu. Ciotka była stara, zgarbiona i śmierdziała. Wędrowała po skrzypiącym domu, niechętnie tolerując młodą dziewczynę, która zamieszkała u niej, bo straciła oboje rodziców w tragicznym wypadku na łodzi. I ja tam byłem, jakiś inny Robert Borrows, wysiadałem z powozu w moim najlepszym marynarskim stroju i spoglądałem na chylące się szare mury. Słyszałem wodospad, czułem zapach zatłoczonych odpływów i wilgotnych tarasów, widziałem ciotkę, postukującą laską, gdy człapała po domu okutana w starą chustę. Gdy opowiadałem Sadie, jak siedziałem z Anną Winters w zielonym, pustym pokoju, wypełnionym garderobianym zapachem naftaliny, słowa po prostu same się składały. Było to raczej wspomnienie niż wizja, ów stary, mroczny, zimny dom był dla mnie czymś dobrze znanym.

– Więc to wszystko prawda? – mruknęła Sadie, gdy znów zawirowaliśmy na parkiecie niczym nakręcane zabawki. – Wszystko, co mi Anna przez lata opowiadała...

Ze świeżo nabytym znużeniem zauważyłem, że Sadie w pełni akceptuje swe pulchne, okrągłe kształty, tak różne od powietrznej lekkości Anny. W pewnym momencie zgaszono wszystkie światła, otwarto wszystkie drzwi; płynąc pośród mroku, zdałem sobie sprawę, że suknie wieczorowe były przetykane eterem. Wszystkie zaczęły się żarzyć. Przepiękna scena. Zdało mi się, że frunę wysoko ponad wszystkim, wśród rozgwieżdżonego mroku, patrząc na niemal niewidoczną w ciemności salę balową, a połyskujące, roztańczone sylwetki kobiet płyną ponad rzeką.

W końcu wieczór zaczął zamierać. Zmęczony, na obolałych stopach, mijałem ludzi wymiotujących do wody ponad balustradami, pary z rozłożonymi nogami w ukrytych wnękach. Starsi, bardziej ustatkowani balowicze udali się już do łóżek, a sala pachniała trochę jak owa suknia, której rękaw powąchałem w hotelu: potem, winem, zastałym dymem i perfumami. Orkiestra zakończyła ostatnią melodię ironicznym dysonansem. Parkiet zaścielały wstążki, kałuże wina, rozdeptane jedzenie i niedopałki papierosów. Wysoki, energiczny młodzieniec z wątym blond wąsikami ścisnął

mi rękę i przedstawił się jako wyższy mistrz taki czy owaki. Wpatrywał się we mnie przez kilka sekund, mrugając ze zdziwieniem, potem się wycofał.

– Masz dzisiaj powodzenie, Robbie. – Sadie zachichotała. – Ale nikt nie wie, kim jesteś. Mógłbyś być złodziejem, mordercą...

– Mogę być, jeśli zechcesz. – Powstrzymałem beknęcie. – Jeśli naprawdę chcesz się dowiedzieć...

– A, tu jesteście! – Podeszła do nas Annalise, wciąż świeża jak skowronek.

– Zdaje się, że Robbie właśnie miał zdradzić mi wszystkie twoje sekrety.

– Nigdy nie wierz w ani jedno czyjeś słowo, kiedy jest tak późno po północy. A już zwłaszcza nie wierz Robbiemu.

– Popatrz, a ja spodziewałam się, że on zniknie z pierwszym uderzeniem zegara.

Rozejrzałem się wokół. Kobiety machały butami zawieszonymi na palcach, by dać odpocząć stopom, mężczyźni mieli przekrzywione krawaty i rozpięte guziki żakietów. Wyglądali teraz całkiem zwyczajnie, po prostu ciała, przypadkiem odziane w brudne, choć kosztowne ubrania, którym poświęciły swój wzrok krojmistrom. Sadie usiadła na opuszczonym przez orkiestrę podwyższeniu przy fortepianie. Uderzyła beładnie kilka klawiszy.

– Anna, chodź! – rozległy się głosy wokół. – Ty grasz najlepiej z nas wszystkich...

Kiedy wstępowała na podium i unosiła suknię, wśród zebranych poniósł się szmer aprobaty. Najpierw ze zdziwieniem studiowała klawisze. Zastanawiałem się więc, czy rzeczywiście umie grać. A może to też jest częścią zabawy? Ale ta ponura ciotka z pewnością kazała jej uczyć się muzyki; wciąż słyszałem gamy rozbrzmiewające w wilgotnych korytarzach. Wtem zafalował akord, dziwnie łagodny, a po nim kolejny; rozproszone dźwięki, spływające mi chłodem po karku. Głosy zamilkły. Nuty zdawały się wahać, zatrzymywać, nigdy nie stając się spodziewaną melodią; piękne, ale oscylujące gdzieś na granicy chaosu i ciszy. Annalise oczywiście umiała grać – jak mogłem myśleć inaczej? Nawet wtedy, dawno temu w Redhouse grała dla mnie na oblodzonym fortepianie. To wspomnienie zdawało się drzeć i zanikać, wypierane nową, wyraźną wizją owej nieistniejącej ciotki i jej domu koło wodospadu.

Grupka młodych ludzi ciaśniej otaczała Annalise, a ja stałem samotnie, czując, jak się oddalam. W jaką to tajemniczą grę udało mi się zagrać? Kim są ci ludzie? Co o nich wiem? I co mnie to obchodzi? Oczywiście, łatwo jest zazdrościć im nonszalancji i wytworności, lecz przecież Saul mnie ostrzegwał właśnie przed taką pułapką zastawianą przez cechy na nas wszystkich. Pozwalają nam tylko zajrzeć przez drzwi domu cechowego czy przez wystawę sklepową do innego świata, który należy do garstki ludzi, pasożytów bogacących się krwią i potem innych. Zaciskając pięści, odwróciłem się, wyszedłem z sali i ruszyłem nabrzeżem na wschód.

Świt już spowijał horyzont mgłą. W powietrzu czuło się rześką bryzę znad morza, pachnącą słońcą, nie słodką wodą. Ujrzałem małą ceremonię, gdy dwóch cechowych w eleganckich zielonych mundurach Cechu Stalmistrzów dokonywało zmiany warty. Wyjrzałem przez poręcz i zobaczyłem, jak cienkie są filary nabrzeża; majstersztyk niemożliwej inżynierii. Eter był tutaj wszystkim. Wysysał z ludzi marzenia.

– Robbie, zaczekaj!

Odwróciłem się. Z sali balowej wybiegła Annalise. Jej suknia miała ten sam kolor-niekolor co unosząca się mgiełka i zdawała się tyle samo ważyć.

– Nie chciałam, żebyś tak poszedł, musimy jeszcze porozmawiać.

– No... – Wzruszyłem ramionami. – No to jestem.

– Zapytałeś przecież, prawda? Naprawdę chciałeś poznać moje życie.

– Tylu rzeczy mi nie powiedziałaś, Annalise... Anno. Począwszy od imienia. O tym starym domu. Ciotce. Ale skądś to wszystko wiedziałem. Czy to nie dziwne?

– Muszę się chronić.

– Przed czym?

– Przed prawdą. W każdym razie pewnym rodzajem prawdy. Jak myślisz, co powiedzieliby goście na balu, gdyby wiedzieli, kim jestem...?

Kiedy przełykała ślinę, na jej szyi utworzył się ciemny dołeczek, którego pragnąłem dotknąć. Za mną, szary we mgle, czaił się Londyn. Rzeka płynęła niezmordowanie, śmiejąc się i chichocząc pod nami. Poczulem dziwaczne pragnienie, by uciec od Annalise, zająć się własnym życiem, zmienić świat i odnaleźć przeznaczenie. A jednak serce mnie bolało. Wspomniałem tamten dzień w Redhouse, dwoje dzieciaków wędrujących po jego połyskujących korytarzach. Teraz, jak się zdaje, wędrowałem po posiadłości zupełnie innej natury: nieważne ile razy trafiałem w te same przejścia, skręcałem na tym samym rogu, cały czas się błąkałem.

Spojrzałem po sobie. Lakierki, spodnie lamowane jedwabiem, delikatne płótno koszuli.

– Straciłem moje najlepsze ubranie, zostało w tym hotelu, gdzie mnie zaciągnęłaś...

Annalise uśmiechnęła się i jakby nieznacznie przybliżyła do mnie wśród mgiełki, choć fizycznie się nie poruszyła. Jej ciało emanowało ciepłem jak słabiutki ogień. I wyglądała tak kobieco w świetle brzasku. To wgłębienie na szyi. Te dołeczki w policzkach. Przeleciała mewa, ubijając skrzydłami pierwsze prądy porannego wiatru. Oboje odprowadziliśmy ją wzrokiem, jakbyśmy się zastanawiali, co powiedzieć. Myślałem także o Saulu i Maud, o tym, że w Caris Rookery czekają na mnie z opowieściami, jak spędzili swój zwykły dzień, a ja nie będę mógł się zrewanżować swoją historią. Kto by mi uwierzył, nawet gdybym wrócił w tym komicznym ubraniu? Tak, zaszedłem wysoko, stoję o brzasku z piękną kobietą przed olbrzymim ukwiałem sali balowej, ale wiedziałem też, że ten awans jest najzupełniej złudny.

– Annalise, zastanawiałaś się kiedyś, co się stało w Bracebridge? Wtedy, kiedy maszyny na moment przestały dudnić. Niewykluczone, że oboje mamy z tym coś wspólnego...

Oboje... Bracebridge... Słowa powróciły do mnie jak echem. Miał to być swego rodzaju dar ode mnie, porcja wiedzy, która może doprowadzić do zrozumienia, lecz już kiedy je wypowiadałem, było oczywiste, że robię błąd.

– Przepraszam... – Ale i tak mówiłem dalej: – Annalise, ja widziałem różne rzeczy. Miałem, no nie wiem, takie wizje, sny...

Cała jej sylwetka, a szczególnie oczy zdawały się zmniejszać i ciemnieć. Jakby była czystym eterem, dziwopełomieniem, który zaraz zostanie ugaszony przez budzący się blask słońca.

– Robbie, dlaczego myślisz, że pochodzę z Bracebridge? – syknęła cicho. – Moje życie jest tutaj...

Zupełnie straciłem z nią kontakt. Oczy jej pociemniały jak u tej mewy, dyszała zwierzęcą wściekłością. Obca, straszna, dzikie zwierzę przebrane w suknię, która wirowała mrocznie, jakby zbiegły się ku niej wszystkie resztki nocy. Gdy słońce podnosiło się zza horyzontu, na wodzie pojawiły się różowawe iskierki. Coś rozblęzło tym samym kolorem w kąci jej oka, potem spłynęło. Przez chwilę ta łza była jedyną ludzką cechą. Potem Annalise zebrała się w sobie, skupiła na nowo. Była piękną, młodą kobietą w jedwabnej wieczorowej sukni.

– Jestem Anna Winters. Nie rozumiesz?

I wtedy zrozumiałem. Anna sama wierzyła w sieć kłamstw, którą się oplotła.

Cofnąłem się wstrząśnięty. Parę chwil później usłyszałem głosy, z wejścia do sali balowej wyłoniła się grupka osób. Młodzi ludzie, poluzowane krawaty, kołnierze, butelki w dłoniach. Wołali

rozpaczliwie:

– Gdzie jest Anna?! – Anna!

– Patrz, nie widzisz...? – Tam jest...!

– Muszę iść. – Wyciągnęła chusteczkę z jakiejś ukrytej w sukni kieszeni, musnęła nią oczy, lekko wydmuchała nos i uśmiechnęła się do mnie zawadiacko, jak to umieją dziewczyny tej klasy – jednocześnie z drwiną i aprobatą. Znów wyglądała tak jak jej przyjaciele, choć jeszcze lepiej, piękniej i bardziej realnie. Anna. Annalise. To ja, nie ona, byłem tutaj obcy. Zamachałem więc dłonią i napawałem się chwilą własnej tajemniczości, kiedy odwróciłem się i odszedłem wzdłuż brzegu. Wszystkie budowle Londynu wciąż spowijał drżący cień. Jednak, kiedy się ku nim zbliżałem, zaczęły połyskiwać i chwytać pierwsze promienie porannego słońca.

CZEŚĆ IV

OBYWATEL

Bum. Klap, bum, klap...

SILA FIZYCZNA CZY SIŁA MORALNA?

Niektórzy zapewne stwierdzą, że dyskusja, tocząca się od dawna pomiędzy tymi, którzy uważają, że zamieszki są nie tylko konieczne, lecz wręcz nieuniknione, a tymi, którzy utrzymują, że...

No właśnie, utrzymują, że co? Przewędrowałem wzrokiem z wilgotnych linii napisanych wodnistym atramentem na drukarnię w suterenie. Czarna Lucy klekotała i kręciła się, błyskając mokrymi wałkami, rodząc wydanie „Nowego Świtu” na następny pracokres. Była mniej więcej szósta rano. Światło szarego poranka, którego odrobina precyzyjnie się przez zakratowane, wysoko położone okienka, mieszało się z przykurzonym blaskiem bijącym od maszyny drukarskiej. Bum, klap, bum, klap... Hałas był potworny, a oświetlenie bardziej niż marne, ale ciągle zauważałem, że pisanie najlepiej mi idzie, kiedy balansuję na stołku przy odrapanym stole w drukarni. Bum, klap, bum, klap... Płodząc słowa, składane potem do druku przez Blissenhawk, odciskane na papierze między gumowymi i stalowymi płytami, czułem się, jakbym karmił Czarną Lucy. Potem wilgotne paczki były wiązane sznurkiem, wrzucane na furgony, sprzedawane, gubione, konfiskowane, pożyczane, sprzeczano się nad nimi, jadło z nich, przybijano do ścian latryn, a przede wszystkim czytano. Kiedy świeży numer szedł do druku, mieliśmy poczucie celu w życiu. Wtedy wydawało nam się, że jesteśmy najbliżej Nowego Wieku – kiedy Czarna Lucy, pracując na granicy wytrzymałości, a często i poza nią, groziła złamaniem wałka dociskowego, kiedy Blissenhawk najbardziej potrzebował mojej pomocy oraz kiedy cechy, policja albo właściciel już-już mieli do nas wpaść ze świeżym zakazem druku albo nakazem eksmisji.

Którzy utrzymują, że... Kartka przede mną, szarawa nawet w najlepszym świetle, wydawała się tylko odrobinę jaśniejsza niż ślady mego rozwodnionego atramentu. Zmarnuję sobie wzrok, jak mnie często ostrzegał Saul, ale lubiłem tę nierealność własnych słów i ból za oczyma, jakbym miał tam piasek. Nie żywiłem wielkich złudzeń co do moich pisarskich zdolności – Blissenhawk przed drukiem potajemnie tuszował co poważniejsze z moich przestępstw przeciwko językowi angielskiemu – i zauważyłem, że łatwiej mi się pisze, jeśli nie mam w głowie nazbyt precyzyjnego planu. Słowa przychodziły, ulatywały, a w następny pracokres będą musiały przyjść następne. Poza nimi, poza dyskusjami, walkami, lokautami, wezwaniami do broni, jaskrawymi transparentami, tupotem butów i nieskończonymi dysputami w wietrznych salach miałem pewność, że Nowy Wiek już czeka i będzie to Wiek, którego nie opisze się mdłymi określeniami rodem z Wieku obecnego.

Bum, klap, bum, klap...

Minęło pięć lat, odkąd przyjechałem do Londynu. Tak jak przewidział Saul, owe pierwsze lato, poczucie ciepła i sukcesu, okazało się złudzeniem. Londyn był wymagający, surowy. Przyszła zima, wiekowe budynki Caris Rookery zwilgotniały i szerniały. Uszło z nich życie wraz z wieloma mieszkańcami, którzy udali się na przezimowanie do domów pracy albo do krewnych na wsi. Dostałem gorączki i straciłem orientację w dniach i pracokresach, odmierzanych kapaniem deszczówki do blaszanej puszkii i trzepotaniem mokrych rysunków Saula. Maud przynosiła garnki

kleiku, a ja majaczyłem o nabrzeżach, hotelach i zdziwaczałych ciotkach mieszkających w starych zimnych domach. Gdy odzyskałem trochę przytomności, zauważyłem, że Maud jest samotna. Ta sama gorączka zabiła kilkoro dzieci z jej ochronki. Pogoda w końcu się poprawiła, a moje zdrowie wraz z nią. Londyn stał się mroźny i pełen bieli. Z rynsztoków wypełzały lodowate obłoki mgły, lód na Tamizie pękał i ponownie zamarzał, jak układanka, w której promy wycinały kanały wciąż na nowo, świecąc płonącymi na dziobie naeteryzowanymi paleniskami, przewożąc mniej licznych o tej porze roku pasażerów. W brzuchu mi burczało, kręciło się w głowie – głód i chłód upraszczają nawet sny, które obracają się wokół rozgrzanych pieców w piekarni, aż obudzisz się ze szronem na twarzy.

Saul zrobił dla mnie wiele, ale ocalił mnie Blissenhawk. Owej pierwszej zimy, w sali, którą odwiedziliśmy bardziej dla złudnego ciepła niż tego, co ogłaszał przybity do drzwi plakat, stał na piramidzie skrzynek, ponad smogiem oddechów i fajkowego dymu. W jego szorstkim głosie czuło się pasję górującą nad warknięciami złośliwych. Dla Saula było oczywiste, że świat skonstruowany jest źle, dla mnie jednak, który w sercu wciąż byłem cechowym, dla mnie, zaskoczonego, że wszystko jest nie tak, jak być powinno, nie wystarczały objaśnienia nakreślone kredą na dachu składu celnego. Potrzebowałem celu, organizacji, poczucia, że choć jestem partaczem, nie jestem śmieciem. Skończywszy przemowę, Blissenhawk zwinął swe plakaty, podrapał się po głowie i pochyliwszy się ocieżale, zaproponował, że postawi nam drinka, grzmiącym głosem, który, choć rodem z dalekiego Lancashire, na tyle pobrzmiwał północnym akcentem, że aż zakłuło mnie z tęsknoty za domem. Niegdyś był starszym cechowym, co wciąż było znać w jego wyglądzie i zachowaniu. Swym potężnym jak pęknięty dzwon głosem opowiedział nam o strajku, który zorganizował w firmie drukarskiej w Preston, gdzie pracował. On i jego współpracownicy chcieli zaledwie uzyskać taką samą pensję i warunki pracy, jak kopacze przydrożnych rowów. System był chory i Blissenhawk z niego wyleciał. Pojechał daleko, aż do Londynu. Londyn był dla całej Anglii źródłem wszelkiego zła, zatem tu należało zło zwyciężyć.

– Domy cechowe. Bogaci. Spotkania izb, gdzie przychodzą i nad kielichami świetnego wina, za którego cenę można by utrzymać piętnaście głodujących rodzin, burczą, jaki to przeciętny cechowy jest z natury leniwy... – powarkiwał Blissenhawk, mierzwiąc brodę, nadymając pierś, przebierając poplamionymi farbą palcami. – Więc zwalniamy paru nieszczęśników i biorą sobie innych, za mniejszą płacę. I nikt nie protestuje, bo partacze rozpaczliwie pragną się dostać do cechu, a ci, którzy w nim są, boją się, że wylecą...

Takie słowa nie były w Easterlies niczym niezwykłym – zwłaszcza od wykluczonego cechowego. Ale to było co innego.

– Wiecie, jak długo trwały poprzednie Wieki? Co najwyżej po sto lat. Więc czas już na Nowy Wiek. – Już wtedy, gdy to wypowiedział, słyszało się wielkie litery. – A będzie on niewyobrażalnie inny...

Bum, klap, bum, klap...

Blissenhawk umiał propagować ideę, miał też trochę pieniędzy. Jego misja nie dotyczyła niesprawiedliwości. Nie chodziło w niej o pożyczanie rzeczy, tytułowanie się obywatelami i sikanie z krawędzi dachu. Mówił, że świat może być, powinien być i będzie zmieniony. I że nie jest to jakaś mętna idea, lecz sprawa nieunikniona jak następny wschód słońca, ponieważ mądrzy ludzie, nie tylko w Anglii, także w innych cechowych państwach, europejskich i nie tylko, udowodnili katastrofalną niewydolność obecnego systemu monetarnego. Jesteśmy w mroku tuż przed nadejściem świtu. Jedyne pytanie, jakie pozostaje: w jaki sposób i kiedy przyjdzie ów Nowy Wiek? Były to emocjonujące czasy, koniec historii w dotychczasowym sensie tego słowa; ja, choć wciąż miałem trudności ze zrozumieniem ekonomicznych i politycznych teorii, na których opierały się mowy Blissenhawka,

cieszyłem się, że żyję właśnie teraz. Tego pierwszego wieczoru zakręciło mi się w głowie od jego słów oraz jedzenia i napojów, którymi nas uczył. On zaś szukał paru chłopaków, którzy pomogliby mu wydawać gazetę – którzy umieliby czytać i pisać więcej niż tylko własne imię, a w Easterlies było to rzadkością. Poza tym Blissenhawk wierzył. Nadal wierzył, mimo że minęło pięć lat, mimo że kolejne wcielenie Czarnej Lucy wciąż pracowało, choć w innej suterenie, mimo że nastał 99 rok wciąż tego samego Trzeciego Wieku Przemysłu. Ale widziało się znaki. Widziało się wszędzie. W ostatnim pracokresie dopiero co wydarzył się największy strajk w historii doków Tidesmeet, jednoczący członków nie dwóch czy trzech, ale piętnastu różnych cechów. Wypełnił całą pierwszą stronę „Nowego Świtu”. W zamieszkach, które nastąpiły, zginęło czterech obywateli...

Bum, klap, bum, klap...

Utrzymywaliby, że... Chciałem w jakiś sposób przekazać, że dyskusje nie są istotne. Że kwestia, czy uderzysz swego brygadzystę w głowę, czy ramię w ramię z nim ruszysz w manifestacji, jest bez znaczenia, ponieważ... Ponieważ Nowy Wiek przyjdzie tak czy inaczej. Ale w takim razie, skoro to nieuniknione, po co ja to w ogóle piszę?

– Zdaje się, że tego właśnie nam trzeba... – Blissenhawk nachylił się nade mną. Pachniał rozpuszczalnikiem i siemieniem lnianym, jego przypominające połcie szynki dłonie lśniły. Zdołał gdzieś wystarczającą ilość oleju eterowego, by aktualna wersja Czarnej Lucy mogła nadal klekotać i wirować wałkami, choć nawet przy jego umiejętnościach była to ciężka praca. W mętym świetle widziało się niezliczone litery wytatuowane na jego skórze farbą i dziesiątkami lat trudu. Stające na nasze wezwanie całe armie słów. – Spójrz na to... – Machnął blachą litografii, z których drukował teraz rysunki do „Nowego Świtu”. Przeciągnął po niej zamoczonym w farbie wałkiem. – Niezłe, co?

Zobaczyłem tylko rozmazany kształt, lecz dobrze wiedziałem, że będzie to gruby cechowy, pochylony, z wypiętym tyłkiem, łapczywie spoglądający na wystraszoną, choć ładnie narysowaną cechmistrzynię; zawsze tak było. Saul umiał rysować takie rzeczy nawet przez sen, z pewnością nie potrzebował wstawać o czwartej rano, by przygotować swe materiały do „Nowego Świtu”. Lecz obrazek potrafił przekazać ideę skuteczniej niż słowa, zwłaszcza że tak wielu mieszkańców Easterlies miało problemy z czytaniem.

Bum, klap, bum, klap...

– Która godzina?! – krzyknąłem.

Blissenhawk podrapał brodę i zerknął w zakratowane okienko.

– Pewnie dochodzi siódma. Jestem pewien, że poczułem, jak przejeżdżał poranny wóz z odpadkami.

Odłożyłem pióro.

– Zostawię to. Nic mi nie idzie. Ale przynajmniej Czarna Lucy chyba jest grzeczna...

– No jest... – Blissenhawk podszedł do niej, czule pogładził ciepłą osłonę tłoka, wyregulował dopływ farby. Widziałem, jak porusza wargami, lecz mówił zbyt cicho, bym coś usłyszał. Choć wyrzucony z cechu, zapamiętał czule słowa, którymi namawiał swą rozklekotaną maszynę do wydrukowania jeszcze jednego numeru.

Byłem niemal pewien, że trzy godziny temu, kiedy po ciemku trafiałem do drukarni, nie było mgły. Teraz Sheep Street w Ashington była spowita grubą jej warstwą. Odrapane budynki falowały, ruch uliczny był rozmazaną smugą. Typowa londyńska mgła. Jednak stałem się już londyńczykiem i umiałem rozróżnić jej rodzaje i odmiany, jak Eskimosi, którzy podobno odróżniają tysiąc rodzajów śniegu. Bywały brązowe mgły, w których się dusiłeś. Zimne i szare, które wpełzały ci pod ubranie. Letnie, upalne, które szczypały w oczy, i zielonkawe, które skradały się cichcem znad rzeki. Natomiast dzisiejsza mgła była bielutka jak mleko. Skraplała się na szwach mojego znoszonego

płaszczka i na mosiężnej sprzączce worka. Oblizatem wargi – smakowała niemal jak źródłana woda. Zdawała się odmieniać kolory, mury i twarze. Rozmywały się, raz były wyblakłe, raz nasycone. Na ścianie domu pracy szybkim, wyćwiczonym ruchem przykleiłem plakat informujący o niedzielnym spotkaniu Przymierza Ludowego. Na kolejnej zdarłem konkurencyjny, powieszony przez Nowy Ład Cechowy. Fabryki trąbiły syrenami. Tramwaje klekotały i błyskały, jasno i ciemno. Wszystko było nowe, mgliste i czyste. W taki poranek naprawdę się wydawało, że Nowy Wiek już świta. Budynki blade, nieskalane, jak sen młodego architekta. Przez ociekającą rosą żelazną bramę szkoły wbiegały roześmiane dzieci.

Tak, przez moment świat wydawał mi się czysty. Wspomniałem słowa wielkiego mistrza Harrata o stwarzanej przez eter pokusie lenistwa, sztywnym konserwatyźmie cechów, o wrodzonej niechęci Anglików do jakichkolwiek zmian, które zmusiłyby wysokich cechmistrzów choćby do lekkiego przesunięcia głowni władzy, nie mówiąc już o jej utracie. I nie tylko Anglików. W całej Europie był przemysł i był eter. Widziałem przecież ich produkty wyładowywane na wielkich nabrzeżach, zrodzone z takich samych tajemnych gestów i szeptów. Z rozpowszechnieniem się eteru Francja, Saksonia i Hiszpania – ba, nawet Kitaj i Indie – zatopiły się tak jak my w swych snach o przemysłowej potędze, tych samych Wiekach bez końca. A za mgłą czasu i dali kryły się krainy, prawie nieopisane na mapach i rażąco niewykorzystane – Thule, Antypody, nieznanne jądro Afryki, Lodowa Kolebka z mroźnych legend. Świat już czekał, czas był właściwy, byśmy my, obywatele, ruszyli z miejsca, zaczęli go zdobywać...

Lecz takie myśli nie mogły przetrwać. Mgła rozpląnęła się równie szybko, jak się pojawiła. Spod niej wyłonił się stary Londyn, cuchnący błotem i psimi gównami. Cechowi zwolnieni przez Biddle & Co., miejscowego producenta cewek i sprężyn, stali przed fabryką na Flummary Square, wciąż w roboczych ubraniach, mimo że na bramie od dwóch pracokresów wisiał łańcuch. Minąłem ich szybko. Odchrząkiwali, spluwali, zaciskali pięści. Dla nich byłem jakimś partaczem, który miał pracę, a oni nie mieli. Przyzwyczaiłem się już do takiej wrogości. Nie było sensu im wyjaśniać, że załamanie rynków przemysłowych świadczy o tym, iż cały ustrój jest zły. W takiej sytuacji powstrzymałby się nawet Blissenhawk czy inni mówcy, którzy wdrapywali się na skrzynki i spadali z nich w niedziele na Easterlies.

Przynajmniej robiło się cieplej. Przyszła już wiosna, niedługo będzie lato. Blissenhawk miał teorię, że Nowy Wiek musi przyjść latem. W zimnie, mroku i deszczu demonstracje zbyt łatwo się rozprasały. Kupiłem egzemplarz „Dziennika Cechowego” i nad śniadaniem przy stoliku w pobliskiej jadłodajni studiowałem jego płaskie kłamstwa. Za oknem rodzina w łachmanach ciągnęła wózek wyładowany meblami. Spadł z niego zegar i rozbił się, eksplodując sprężynami. Wyglądali na zagubionych i rozczarowanych. Ja natomiast miałem ciepłe piwo, zimne mięso, dach nad głową i łóżko, do którego mogłem wracać. Wiedziałem, że mi się poszczęściło, że ciężkie czasy były dla mnie łaskawe.

„Nowy Świt” sprzedawał się dobrze; zarabiał na sobie, a czasem nawet przynosił zysk. Ale wszystkie pieniądze wracały do Sprzymierzenia Ludowego, na wynajmowanie sal, przekupywanie policji i pomoc dla członków, którzy stracili pracę albo zostali ranni podczas zamieszek czy demonstracji. Saul i ja wciąż utrzymywaliśmy się głównie z różnych prostych prac, na które cechmistrzowie i ich uczniowie byli zbyt dumni albo zbyt leniwi. Zawsze znalazło się coś, co trzeba dostarczyć, przynieść na drugie śniadanie dzbanki z piwem i gorące paszteciki – które chcieliśmy wypić i zjeść po drodze. Można było tępić wielkoszczury; bestie umiały niesamowicie skakać i chyba zawsze celowały w palce, genitalia i oczy. Od czasu do czasu zdarzało się coś pożyczyc. Praca była nieodmiennie ciężka, niebezpieczna, bolały znużone stopy, a Londyn z mych dawnych

marzeń zredukował się do czekania na tramwaj, znoszonych butów i męczącego snu w noclegowniach dla gruźlików. Z rzadka, pchany sentymentem, posyłałem ojcu i Beth skromny czek i telegram zapewniający, że żyję, ale szczegóły zachowywałem dla siebie, jak każdy porządny obywatel, zwłaszcza kiedy korzysta z telegrafu. Teraz w Londynie trzymało mnie co innego – wizja inna niż ta, która mnie tu przywiodła, choć czasami, na przykład dziś rano, w połyskujących dachach kamienic i magazynów, w niemożliwej szpicy wieży Hallam, w dziwoblasku świtu nadal ją odnajdywałem. Lecz życie toczyło się dalej. Dla Saula, dla Maud i dla mnie lata mijały niepostrzeżenie. W dzień Świętego Jana co roku chodziliśmy na festyn w Parku Westminsterskim, ale nigdy już nie spotkałem Annalise – ani tam, ani nigdzie indziej.

Udało mi się. Wystarczało mi czasu i drobnych w kieszeni, żeby zjeść śniadanie, powyglądać przez okno jadłodajni i pokiwać głową nad bzdurami nie z tej ziemi, jakie wciąż wypisywano w „Dzienniku Cechowym”. Nie było mi łatwo, o nie. Nie byłem bogaty, w żadnym razie. Pomijając inne czynniki, nie miałem ambicji odnieść sukcesu w Wieku, który niebawem zostanie obalony, wykorzeniony. Gdy wychodziłem z jadłodajni, mgła całkiem zniknęła, niebo wisiało nisko nad dachami i delikatnie pulsowało. Zarzuciłem worek na ramię i ruszyłem w kierunku Houndsfleet, gdzie zajmowałem się pobieraniem czynszu. Pieniądze to zło, źródło wszelkich nieprawidłowości w naszym społeczeństwie. Rozumiałem to aż za dobrze. Jakżebym miał nie rozumieć, zajmując miejsce poborcy, któremu w zaułku kijem rozwalono głowę?

W Houndsfleet, za tarasowymi szeregami domów, nad maleńkimi gankami noszącymi tabliczki z nazwą – Pod Skowronkiem, Wierzbnik, Farma Freidy, Zielony Gaj – leżały zagrody, w których Londyński Cech Prac Publicznych trzymał swą armię ziemiostrwońców. W powietrzu wisiał ich osobliwy zapach. Co rano za siatkowymi firankami defilowała ponura cyrkowa karawana tych stworzeń, wiezionych na konnych platformach.

Były rogate i dzikie, jednakże ślepe i poznaczone bliznami, pomiędzy prętami klatek ściekały strugi odchodów, w które wdeptywali mieszkańcy Houndsfleet spieszący do swych cechowych spraw. Zbieranie czynszu nie było ciężką pracą. Skakałem przez rabaty z kwiatami. Nie zwracałem uwagi na krzyki rozgniewanych ogrodników i wagarujących dzieciaków. Z pompatycznymi i tchórzliwymi pieskami dogadywałem się czubkiem ciężkiego buta albo łapówką z ciasteczek. Przynajmniej nie trudniłem się łapaniem wielkoszczurów. „Ach, to pan...”. – Ledwo rozpoznawali moją twarz. Przyglądałem się, jak pantofle cechmistrzyń człapią do kuchni, nasłuchiwałem brzęku imbryka z utłuczonym dzióbkiem, gdzie naiwnie trzymały pieniądze. Potem przychodziłem jeszcze raz, wieczorem, do tych, którzy w dzień wychodzili albo udawali, że wychodzą. Do drzwi wysyłali najmłodsze dziecko. Cisza, potem podzwanianie i szurgot szuflad, w poszukiwaniu tego, co powinno tam być – gdybym tylko nie ożeniła się z tym łajdakiem...

Nauczyłem się dostrzegać sygnały ostrzegawcze zbliżającej się eksmisji. Nieco więcej napięcia w palcach cechmistrzyni przed oddaniem mi ostatniego, cennego szylinga, oślisły, nieświeży zapach gotującej się baraniej główizny, gdy reszta ulicy zajada się żeberkami, Spojrzenie na zewnątrz wzdłuż wyłożonej kamykami ściany, zrogowaciałe od pracy dłonie przeczesują włosy, potem sięgają ku mnie – właśnie wtedy przeważnie rozlega się szczekanie psa, płacz dziecka, śpiew czajnika i niewyraźna idea innej wymiany dóbr, która uporządkowałaby rubryczki w mojej książce czynszowej, pozostaje zaledwie cieniem możliwości. Te cechmistrzynie oferowały mi swe ciała jak poplamione łzami paczki smutku; odmowa nie wymagała nawet mojej wrodzonej ostrożności. Przez lata, które minęły od mojego spotkania z Doreen, nauczyłem się od czasu do czasu, skutecznie, beztrąsko, zaznawać ulgi u kobiet, które otwarcie uprawiały ów zawód. Pieniądze tu też przechodziły z ręki do ręki – ale w takiej wymianie było coś naturalnego, czystego, higienicznego, niemal

sterylnego.

Po obiedzie, którego nie było, dotarłem do Sunrise Crescent. Wszystkie ulice, aleje, zaułki i place o rozmaitych nazwach były ściśle podzielone pomiędzy cechy. Członkowie Cechu Kopistów mieli wspólną ślepa ścianę i śmietnik z Aktuariuszami i Niższymi Dyplomowanymi Księgowymi. Każdy z nich uważał się za kogoś lepszego od pozostałych, a już zwłaszcza od niecechowych (nie mogli się pogodzić z myślą, że ja jestem partaczem), którzy trudnili się pobieraniem czynszu. Dlatego zawsze zapamiętywałem tych, którzy traktowali mnie jak człowieka. I stąd moją uwagę zwrócił mistrz Mather, mieszkający samotnie pod numerem 19 na Sunrise Crescent, aż do eksmisji w ostatnią zimę.

Nieduży, okrągłutki, z puciołowatą twarzą obramowaną falbanką włosów jak forma do puddingu, z głosem wysokim, brzmiącym jak klarnet, miał w sobie coś niewinnego. Trzęsące się na nim warstwy tłuszczu z początku budziły we mnie chętkę, by przekłuć ten pogodny bąbel, wcisnąć weń palec, przebić mączyste fałdy i wypuścić radosny gaz, który musiał mieć w środku. Mistrz Mather mieszkał sam, bo pani Mather zostawiła go dawno temu. Nosił niebieski kombinezon, należał do Cechu Czyścicieli, Praczy i Resakratorów i kochał swoją pracę. Zeszłej jesieni, 98 roku obecnego Wieku, pewnego deszczowego dnia zaprosił mnie do środka, żeby mi pokazać, co robi.

Plamy z sadzy, z trawy, od grzybów i tytoniu; sos *bearnaise*, brązowe pierścienie potu – zagracony dom mistrza Mathera wypełniały pakunki, które potajemnie przemycał z pralni chemicznej Brandywood, Price & Harper, gdzie pracował. Żakiety z jaskółczymi ogonami, pasy do smokingów, pierzaste boa i strojne beciki do chrztu; mistrz potrafił wyczytać z zapachów i faktury tkaniny całą jej historię. A kiedy obmacywał poplamioną popiołem koronkę i wyjaśniał mi, w jakich mleczkach i mydłach będzie ją gotował, zrozumiałem, dlaczego zostawiła go żona. Większość cechowych nie widziała świata poza swoją pracą, ale u mistrza Mathera zapał osiągał poziom manii. Ja jednak, kiedy co rano szedłem jak lunatyk przez Houndsfleet, po kilkugodzinnym mocowaniu się z kolejnym artykułem do „Nowego Świtu”, unikając zaułków, wracając do domu na obolałych stopach, zbyt zmęczony, by śnić, polubiłem wizyty u niego. Raz nawet zawitałem do firmy Brandywood, Price & Harper i zadzwoniłem wypolerowanym dzwonkiem. Wzruszenie ramion, uśmieszek i przywołano go, jak zawsze rozpromienionego, zadowolonego, że może oprowadzić choćby takiego partacza, poborcę czynszu jak ja. Im głębiej wchodziło się w huczącą czeluść pracowni firmy, która od dwóch Wieków czyściła wszystkie szaty londyńskich arcybiskupów, tym elegantsze rzeczy się widziało. Przypalenie od ognia na bluzce tak misternie obszytej perłami, że przypominała zbroję z bajki. Atrament rozlany na śnieżnobiałej sukni panny młodej, która omal się nie zabiła z rozpaczy. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Cech Czyścicieli znajdzie użytek dla eteru, ale po umiejętnym zaintonowaniu właściwego zaklęcia nawet takie koszmary dawało się odczyścić. Widziałem otwarte księgi i wypisane kredą znaki, z pewnością przeznaczone nie dla moich oczu. Śpiewając wibrującym głosem, mistrz Mather zawirował dłońmi nad miedzianym kotłem, wabiąc bystre ławice damskich pantalonów, by podpływały ku niemu poprzez połyskliwą toń. Jego pulchne ramiona, twarz i podbródki były w półmroku dziwnie przezroczyste. Miał swój świat, w którym dążył do doskonałości, świat pośród wirujących ławic ubrań. Wszystkie plamy należały do niego i wchłaniał je w siebie. Prawie je widziałem, dryfujące w jego ciele, przejrzyste i szare jak wnętrzości ryby.

W ostatnie Boże Narodzenie dostałem od mistrza Mathera chusteczkę w zielone i karmazynowe trójkąty. Wydawała się nowsza, niż była zaraz po opuszczeniu fabryki; gdy musnęła skórę, bolało. Odłożyłem ją w zakłopotaniu; mistrzowi Matherowi świat wydawał się stertą prania. Zawsze kusiło mnie, by pchnąć go przez cały pokój w chmurę podkoszulków, wrzasnąć i rzucić się nań z pięściami – niech zrozumie, że brud też jest częścią życia.

– Wczoraj przyniosłem to do domu.

Zaledwie pracokres później pokazał mi oklejone jedwabiem pudełko. Ktoś wypisał na nim słowa dziecinny charakterem, choć atrament był na tyle naeteryzowany, by pismo jarzyło się jak nakreślone rozżarzoną końcówką papierosa. WYCZYŚĆ TO.

– To może być trudne, nie uważa pan?

Gdy skrzypnęło wieczko, spodziewałem się zapachu proszku, prosto z firmy Brandywood, Price & Harper, ale w środku, w fałdach eleganckiej białej koszuli leżała wilgotna ludzka kupa. Przez pierwsze, mroczne pracokresy nowego roku koledzy z pracy cały czas przysyłali mi nowe prezenty. Smoła, szczyry i gnój, wszystko ozdobione napisami, bazgrołami, przekleństwami. Kiedy mruczał pod nosem o tym, jak je wyczyści, zaciskałem bezsilnie pięści. Ale życie mistrza Mathera pewnie zawsze tak wyglądało; przynajmniej to sobie powtarzałem, próbując nie zwracać uwagi na galaretowate, świecące bryłki, których w jego ciele pojawiało się coraz więcej – szturchańce, brzydkie słowa, to że ktoś mu napluł do drugiego śniadania. Pokazując mi te obrzydliwe prezenty, udało mu się wprowadzić mnie głębiej w świat, który sam zamieszkiwał od zawsze. Rozumiałem frustrację owych kolegów: „O, to na pewno go otrzeźwi. Teraz zobaczy, jak to jest naprawdę”. Lecz gdzieś głęboko trochę współczułem mistrzowi Matherowi. Trudno mi było pojąć – beznodzy, bezręcy żebracy, niewidome dzieci, starcy po cichu zamarzający w swych krzesłach pomiędzy jednym poborem czynszu a drugim, a gdzie indziej – ukwiecone pochody, piękne parki, ogromne pałace. Pomimo świadomości politycznej, którą zawdzięczałem Blissenhawkowi, nie mogłem dostrzec sensu. Czy system monetarny naprawdę wystarczy, by wyjaśnić, co mistrzowi Matherowi robią jego koledzy? Musiał istnieć jakiś mroczny, choć niebagatelny kontrapunkt dla przenikającego całą Anglię magicznego zaśpiewu. Ja jednak wciąż nie umiałem go usłyszeć.

Londyn skrył się pod głuchą śnieżną pierzyną. Oknom na Houndsfleet wyrosły białe brody, a dzieci, nabrawszy w tym odmienionym świetle odwagi, ganiały za mną ze śnieżkami i wyzwiskami, kiedy szedłem w stronę Sunrise Crescent pewnego lutowego trzeciakowego poranka. Ponad dachami unosił się całun pary i hałasu znad zagrody zamkniętych na zimę ziemniostworów. Wypełniał mroźne, przejrzyste powietrze. W domu pod nazwą Parkowe Wzgórze, numer 33, gadało się o tym, że mistrz Mather poszedł do śmietnika, nie zostawiając śladów, a w Bączku, pod 46, że były to tropy diabolicznych racic. Dzieciaki pokazały mi dowód – przez dziurki, które wywierciły w płocie jego frontowego ogródka.

Zastukałem pięścią do jego drzwi, mając słabą nadzieję, że dziś nie otworzy. Lecz mistrz Mather zaraz wyjrzał. Oczy miał zapadnięte, ciemne i zaczerwienione, na twarzy i dłoniach wykwitły barwy zgnilizny. Zmusiłem się, by wejść za nim do środka. Sterty ubrań zalane śnieżnym blaskiem świeciły jaśniej niż zwykle. Rzęząc i sapiąc, pokazał mi wielką brązową płócienną torbę, ciężką i ociekającą czymś obrzydliwym. Napis na niej głosił świecącymi literami: PIEPRZONY TROLL. Przyznaję ze wstydem, tego dnia również wzięłem od niego czynsz; banknot dziesięcioszylingowy, jak zwykle opłukany i wyprasowany, wypolerowane koronówki i pensy. Pospiesznie wyszedłem pomiędzy zaspę, ścigany szyderczymi okrzykami dzieci – nowy wysoki ton w londyńskiej pieśni. Oczyma wyobraźni zobaczyłem, jak współpracownicy wpadli na nowy pomysł na maltretowanie. Tłum szyderczo rozdziawionych twarzy, okrągłe ciało mistrza Mathera rozciągnięte na wznak; śnieżnobiała ciecz wlewa mu się do ust z kielicha z eterem.

Kiedy wróciłem na Sunrise Crescent w następny pracokres, po kolejny czynsz, śnieg stopniał, a powietrze było niemal mdląco ciepłe i jasne. Moje pierwsze wrażenie, kiedy szedłem przez podmokłe boiska: jest jakieś cechowe święto. W tej okolicy święta zdarzały się bardzo często. Dziewczynki kręciły się po ulicy, ubrane w sukienki jaskrawe jak flagi. Chłopcy potykali się

o mankiety garniturków. Matki stały na stopniach domów i też wyglądały strojnziej niż zwykle. Jedna miała sukienkę w paski z bufiastymi rękawami, inna w roztargnieniu polerowała wazon czarnym boa z piór. Zmieniając rutynową kolejność odwiedzin, skierowałem się prosto do mistrza Mathera; zauważyłem, że wszyscy w poczuciu winy chowają się po domach, zamykają drzwi. Spojrzałem na znajomą fasadę, z numerem, ale uparcie pozbawioną nazwy. Dom, kiedy już go znasz, nie musi się wiele zmieniać, żeby wyglądać na opuszczony. Zastukałem do drzwi, ze środka dobiegło echo, które wcześniej tłumiły góry prania – teraz rozszabrowanego przez sąsiadów. Przypięta do drzwi kartka nosiła pieczęć Cechu Zbieraczy, z krzyżem i literą C.

Wyrzucenie lokatora z tarasów Houndsfleet nie było niczym nadzwyczajnym, więc reakcja sąsiadów, niezależnie czy przyczyną był trollizm, bankructwo, choroba czy jakieś zawile pogwałcenie statutu cechu, zawsze była mieszkanką strachu i ulgi. Nie ma go, prawda? Szkoda go, ale to nie nasza wina... Dobrze, że go zabrali. Biedny człowiek... Nikomu nie zrobił nic złego, prawda? Pewnie zabiorą go do Świętego Blate'a.

Brownheath i Yorkshire miały Northallerton, Londyn miał Świętego Blate'a. Był to przybytek pod każdym względem równie znany jak Newgate i Bedlam*, i tak jak one opiewany w gorzkich musicalowych piosenkach, które śpiewano o późnej godzinie w najpodlejszych spelunach. Mało kto jednak odwiedzał tę instytucję.

Numer 19 na Sunrise Crescent nazywał się teraz Dom na Wzgórzu, choć wcale na wzgórzu nie stał, i dziś, gdy stukałem doń nową mosiężną kołatką, gdy otworzył mi mały chłopiec i zaraz pobiegł po matkę przez znajomy mi, choć dziwnie pusty hall, zastanawiałem się, czy jego nowym mieszkańcom ktoś powiedział o mistrzu Matherze. Ja na pewno nie zamierzałem tego zrobić. Nadeszła pani Williams, ocierając ręce z mydlin. Wręczając mi wilgotny zwitek pieniędzy i zamykając drzwi, ledwie na mnie spojrzała. Postawiłem ptaszka w książce czynszowej i powoli odszedłem. Kiedy zniknęła mgła i ulotne słoneczne ciepło, Londyn wpłynął w jeden z owych dni jak cisza na morzu, które zdają się dryfować poza czasem, poza kalendarzem, dni, kiedy godziny się dłużą, mijają cię wozy, przechodnie, a miasto staje się jedną nieskończoną ulicą, na której nic nigdy się nie zmienia. Lato, nadchodzący Nowy Wiek wydawały się niemożliwie odległe. Torba parzyła mnie w ramię. Choć nie byłem jeszcze nawet w połowie trasy, zawróciłem do biura.

Miejsce to, odizolowane od ruchu ulicznego, odcięte także ode mnie żelazną kratą kontuaru, za który nie wolno było mi wchodzić, miało charakterystyczny zapach, trochę potu, trochę papieru, a trochę nagrzanego metalu – zapach dobrze zarządzanych pieniędzy. Leżały w szufladach, piętrzyły się w jasne słupki, składały w spięte gumą pakiety i ważyły na wadze jak cukier. Ja wysypałem z torby jeszcze trochę do spracowanego drewnianego korytka.

Z półmroku wypadł cechowy w wyświeconych spodniach.

– Ejże! Nie są posortowane!

Ale ja miałem już dość. Trochę żałowałem, że nie zatrzymałem sobie tych pieniędzy, choć wiedziałem, że na partaczy, którzy odważą się na coś takiego, czekają statki więzienne i szubienice. Rzuciłem jeszcze na podłogę torbę oraz książkę czynszową i wypadłem przez wahadłowe drzwi.

Został mi skrawek wolności – całe popołudnie do wypełnienia, nie miałem natomiast pomysłu na zarobienie jakichś pieniędzy. Rozważałem, czy nie pójść do sutereny z Czarną Lucy, ale mój artykuł wciąż uparcie zacinał się na pierwszym zdaniu, które nie dawało się dokończyć. *Utrzymywali, że?* A kogo to obchodzi? Nogi prowadziły mnie w kierunku, nad którym myślałem od dawna, tylko odwlekałem to w nieskończoność. Na południowo-wschodnim obrzeżu Clerkenwell było duże sklepy żelaznych. Wywieszane przed nimi patelnie, szpadle i wiadra grzechotały na słabym wietrze. Łaziłem po alejach i ślepych uliczkach, aż w końcu ponad kominami dostrzegłem

dwie bliźniacze wieżyczki zwieńczone chorągiewkami wiatrowskazów. Obszedłszy trzy boki muru z ciemnoniebieskiej cegły, doszedłem do wielkiej żelaznej bramy z poczerniałym kamiennym łukiem, noszącym niewyraźnie odcisnięty znak krzyża i C. Święty Błate. Pociągnąłem za łańcuch dzwonka, małe drzwiczki w bramie skrzypnęły i się otworzyły. Wciąż spodziewając się, a trochę też mając nadzieję, że odprawią mnie z kwitkiem, zacząłem wyjaśniać kobiecie, która wytknęła z drzwi swą pulchną, brązową twarz, że niejaki mistrz Mather jest moim znajomym, choć niezbyt dobrym. Lecz strażniczka Northover praktycznie wciągnęła mnie do środka i uśmiechała się rozpromieniona, prowadząc mnie pętlami wykafelkowanych korytarzy, z podrygującą na brzuchu torbą pełną kluczy. A może – tu szurnięcie bramki, trzaśnięcie drzwi, dalekie głosy – chciałbym obejrzeć ich skromne muzeum? Zaczęła otwierać okiennice i zdejmować pokrowce, w długiej sali wypełnionej wiszącym żelastwem i szklanymi gablotami.

– Nie, to nie kłopot. Ale wpisze się pan do księgi gości przed wyjściem, prawda?

Zważyła w rękę starodawne łańcuchy, na których można by podnieść most zwodzony. Więzy dla odmieńców z Drugiego Wieku są bardziej pomysłowe, w porównaniu z tymi wydają się – proszę, mistrzu, niech pan sprawdzi, nie musi mi pan wierzyć na słowo – lekkie jak piórko. To małe srebrne kółko na końcu, niewiele większe od kolczyka, wbija się klientowi w język. Stal, skóra, żelazo. Strony rejestrów, podpartych, żeby się nie zamknęły, były pożółkłe i poplamione czymś, co może było tylko odchodami much. I zdjęcia, drzeworyty, grawerunki na ścianach podobne do tych, na które kiedyś udało mi się zerknąć w bibliotece w Bracebridge. O tutaj, stalmistrz Gardler, jeden z naszych najszlachetniejszych klientów. Spojrzeliśmy w sepiowy obraz przedstawiający coś w rodzaju asymetrycznego pajaka czającego się wśród siatki żelaznych prętów. Bez niego nigdy nie zbudowano by wieży Hallam. Odwróciłem wzrok. Widziałem podobne obrazy – i gorsze – wylatujące spomiędzy wałków Czarnej Lucy w czasach, kiedy Blissenhawk, potrzebując pieniędzy, drukował, jak to nazywał, „zamówienia specjalne”. W tym Wieku, w Londynie był popyt na wszystko.

Przeszliśmy przez wysypany żwirem dziedziniec. Tu głosy stały się wyraźniejsze; z zakratowanego okna górującego nad nami wielkiego budynku wypływał dźwięk bardzo podobny do pieśni Londynu. Oni mają nadzieję, wyjawiała mi strażniczka Northover, wskazując brodą ciemnozielone furgony podpierające się dyszlami, że mistrz Mather będzie mógł wychodzić na tak zwane służbowe wizyty, kiedy jego odmieniony stan się ustabilizuje. Skinąłem głową. Raz czy dwa widziałem na ulicy takie wozy, choć wśród londyńskiego ruchu właściwie nie rzucały się w oczy. Trzaśnięcie metalowej bramy. W górę po ciężkich żelaznych schodach. Jeszcze cięższe drzwi. Rzędy cel po obu stronach. To kiedyś byli zwykli ludzie. Teraz, z rogami i żyłastymi naroślami, nielotnymi skrzydłami i ślepymi oczami na słupkach, stali się aniołami oczekującymi na kolejne wskrzeszenie. Zmiana mogła się przytrafić każdemu, a przynajmniej tym cechowym, którzy pracują na tyle blisko prawdziwej produkcji, by móc narazić się na styczność z niebezpiecznym eterem. Cechmistrzynie również, choć było ich tu niewiele. Szpital Świętego Błate'a miał być dla odmienionych schronieniem, przystanią, tak samo jak Northallerton na północy, którego wciąż nie mogłem sobie wyobrazić, choć wiedziałem, że musi być bardzo podobne.

Stwór podobny do ómy trząśł się i przywierał do krat; starszy stalmistrz z Gloucester, który popełnił poważny błąd, wypowiadając zaklęcie. Kapitan pilot z Cechu Żeglarzy, o kończynach zakończonych płetwami, z grzebieniastymi naroślami, wciąż mamroczący o prądach i równoleżnikach. Wielopalczysta dłoń o czarnych pazurach przebiegła po kracie jak stonoga.

– Cały pracokres są niespokojni. Zawsze tak jest na wiosnę. – Strażniczka Northover cmokała, gruchała i przemawiała do swych podopiecznych. Nawet kiedy zostawałem z tyłu, nazywała ich po nazwisku, pamiętała, do jakiego cechu kiedyś należeli, wysłuchiwała tych, którzy zdolni byli do

odpowiedzi, a nawet dotykała z zadziwiającą delikatnością ich odmienionych ciał. Czasy, kiedy londyńska śmietanka towarzyska przychodziła tu wystrojona w kryzy w niedzielne popołudnia dla rozrywki, minęły wraz z poprzednim Wiekiem. Strażniczka Northover wcale nie była potworem, chociaż zapewne wolałbym, żeby tak było. Pracowała tu z radością i pogodą ducha, ale przecież także kanalarze słynęli ze swego dobrego humoru i dowcipów, a grabarze, którzy ciągnęli wózki przez Easterlies w mroźne zimowe poranki, byli niewyczerpanym źródłem piosenek i żartów. Tak to już było w tym Wieku.

Trzaśnięcie ostatnich drzwi, drżące echo głosów. Idę za jej podrygującą latarnią. Zakłęcia, szepty, syki. Całe rody zapomnianych imion.

– *Czy to on...?*

– *Kto...?*

– *Starzyk Jack...?*

– *A może ona...*

– *Złotobiała...*

– *Psssst...*

– *Kto...?*

– *Czekaliśmy...*

Echa w mroku. Potem, za kratami, w szczęku łańcuchów, zamajaczyło coś jak blady obłoczek londyńskiej mgły. Coś wielkiego, białego i zimnego, co wydeło się ku mnie, patrząc jedynym, otępiałym okiem, czarnym jak węgielek śniegowego bałwana. Zmusiłem się, by odwzajemnić wzrok mistrza Mathera, ale coś mnie w środku dusiło. *Robercie, co ty tu robisz?* Powróciło do mnie potężne echo strasznego wspomnienia, skrzypiące, odmienione kości matki, drgające błony nozdrzy, moja dłoń zaciśnięta na cedrowej rękojeści noża. *Czemu mi przeszkadzasz?* Była wysoka, bardzo wysoka. Musiałem się odwrócić.

– Spokojnie, spokojnie... – mruknęła współczująco strażniczka Northover, gdy pochylony, łapałem oddech na dziedzińcu. – To się zdarza gościom za pierwszym razem. Kiedyś próbowałam ostrzegać, ale przecież się nie da, prawda? – Pogładziła mnie po plecach. – Przynieść panu wody? Na pewno w gabinecie mamy coś mocniejszego.

Pokręciłem głową.

– No dobrze, ale... jeszcze pan do nas przyjdzie, prawda? I koniecznie proszę się wpisać do księgi gości...

*

Londyńskie życie toczyło się dalej. Chłopcy i mężczyźni ubrani w komiczne białe togi maszerowali ze śpiewem po Cheapside. Wciąż pluły dymem cuchnące kominy fabryki na Sheep Street, wyrabiającej Uniwersalny Balsam McCalla, którego przykurzone pudełeczka widziało się na wystawie niemal każdej apteki. Skoro straciłem pracę poborcy czynszu, Blissenhawk znalazł dla mnie roboty na tyle, bym mógł utrzymać głowę nad powierzchnią. W owych trudnych czasach protest był jedną z nielicznych rozwijających się gałęzi gospodarki.

Wkrótce po mojej wizycie u Świętego Błate'a, w pewien piątek, wiosną 99 roku, udałem się na jedno z tych zaimprovizowanych targowisk, które w niewytłumaczalny sposób, jak to często w Londynie, rozbijało się obozem furgonów i wózków na mulistym brzegu rzeki poniżej Easterlies. Tutaj, za Greenwich, gotowano krew, dzielono tusze padłych zwierząt, wyrabiano klej. Kiedy wysiadłem z tramwaju i ruszyłem pomiędzy górami kości, nieomal zatęskniłem za smrodem Uniwersalnego Balsamu. Ulgę poczułem dopiero, kiedy owiał mnie wiatr znad rzeki.

Znalazłem sobie trochę miejsca i kawałek brezentu, rozłożyłem na splekanym błocie pozostałe

egzemplarze „Nowego Świtu” z zeszłego pracokresu, który na trzeciej stronie miał chaotyczny artykuł o wyborze między siłą fizyczną a siłą moralną. Obok położyłem parę broszur. *Wolność od cechów* oraz *Zło pieniądza*, ale dziś nikt tego nie chciał. Tylko kręcili głowami i patrzyli z dezaprobatą. Czasem zbiorą się ludzie, zaczną dyskutować. Jednak większość londyńczyków uważała, że tacy jak ja – agitatorzy, wichrzyciele, socjaliści, antycehowi, jak nas nazywali – przyczyniają się do lokautów i drożyzny, a nie próbują im zaradzić.

Mógłbym ich zaczepiać i próbować do nich przemówić, ale miałem już dość bójek. Zatem przycisnąłem papiery kamieniami i zacząłem spacerować wśród furgonów i straganów, które zebrały się tutaj pod wyдутym niebem. Sprzedawano worki i koce. Plecionki ze sznura i skóry. Stare rodzinne fotografie, które przepłynęły przez oceany wilgoci, pleśni i kurzu. Cierpniki, które wciąż dawały cień ulgi. Używane tabakierki ze startą emalią. Kradzione chusteczki, które wielobarwnym deszczem spływały tu z Northcentral.

Zapadłem w ośpienie, zapomniałem o wszystkim. Zawsze lubiłem targowiska, a to przypomniało mi pewien smutny szóstek w Bracebridge; kiedy w dzień pogrzebu matki wędrowałem wśród straganów z panią Summerton, pod podobnie szarym niebem. Markizy trzepotały, wiatr szeleścił suchymi kwiatami. Kiedy uniosłem głowę i zobaczyłem, że wśród tłumu w łachmanach przechodzi kobieta w okularach, w starym skórzanym płaszczu, prawie się nie zdziwiłem. Wydało mi się to naturalne, że się tu znalazła, tak jak pojawiła się tamtego odległego dnia w Bracebridge, tak samo opatulona w szal, rękawiczki, w kapeluszu z wielkim rondem, w okularach. Wszystko to było tak normalne, tak niewinne, że zanim otrząsnąłem się z mego snu na jawie, pani Summerton nieledwie zniknęła mi z oczu.

– Proszę zaczekać!

Przepchnąłem się przez tłum. Może mi się przywidziało... wtedy skręciłem za budę wozu i znów ją zobaczyłem. Oglądała kawałki poszarzałej koronki, którą jakaś cechowa odcięła od sukni i przypięła do zawiniętej w gazetę poduszki.

– To pani!

Odwróciła się i uśmiechnęła nieznacznie. W ocienionych rondem kapelusza szklach okularów wyczułem ostrożność. Nie zdziwiła się ani trochę, że jestem tutaj. A mnie w pierwszej chwili wydało się, że nie zmieniła się nic a nic, odkąd chodziliśmy razem po całkiem podobnym targu; wszystko się zgadzało, aż po wysuszony kwiatek w klapie i nieskalane błotem lekkie, szyte drobnym ścięciem buty.

– Ach, Robercie... – Głos jednak miała słabszy. – Mieszkasz teraz w Londynie?

– A pani?

– Niedaleko. Zaraz po drugiej stronie, na Krańcu Świata. Nie gap się tak na mnie. To prawda. Przyszłam tutaj poszukać nasion... A potem chyba zapomniałam o nich...

Pani Summerton w długim płaszczu i kapeluszu zupełnie nie zwracała uwagi przechodniów. Byłem teraz dużo wyższy od niej. Parę spojrzeń, które ściągnęliśmy, idąc razem, było skierowanych na mnie. *Cholerny partacz, będzie nam mówił, co mamy robić...* A Kraniec Świata, jego wapienne wzgórza i ruiny, znaczył dla mnie tak niewiele, jak dla niej moje życie, wypełnione terminami i spotkaniami. Nie wiedziałem co powiedzieć. Może trochę oddaliliśmy się od siebie... a może, zastanowiłem się, nigdy nie byliśmy blisko. Tak to jest z przeszłością. Kiedy w końcu poklepie cię po ramieniu, nigdy nie jest taka, jak ci się wydawało.

Zbliżał się przyływ. Handlarze pakowali się, wyciągali z błota koła furgonów. Ja pozbierałem papiery. Pani Summerton zerknęła na nie mimochodem, jakby z rozbawieniem. Poszedłem za nią przez pustoszejący targ, na tyły zawalonej szopy, gdzie stało nieprawdopodobne

urządzenie.

– To pani własność?!

Był to mały powóz z silnikiem, samochód. Otwarty, polakierowany na heban, zdobny stałą. Piękny czarny klejnocik. Nie był napędzany parą ani węglem, ale jakąś lotną, dziwnie pachnącą substancją. W niektórych okolicach Northcentral widywało się takie dość często, ale tutaj – prawie nigdy. Poglądziła rękawiczką jego metalowe płyty, potem uniosła kłamkę skrzydełkowych drzwi i wspięła się do środka. Silnik warknął i ożył. Machina zaczęła się poruszać.

– Ale nigdy mi pani nie powiedziała! – krzyknąłem. Silnik umilkł. Odwróciła się ku mnie.

– Czego nie powiedziałam?

– Obiecała mi pani wyjaśnić. Wtedy... jak ostatni raz się widzieliśmy, pamięta pani? Szliśmy wzdłuż Withy...

Głędząc kierownicę samochodu, wydała z siebie niesłyszalne westchnienie. Ściemniało się już. Prawie nie widziałem jej twarzy, tylko błysk szkielek. *Robercie, dlaczego nie zostawisz przeszłości tam, gdzie jej miejsce, i nie skupisz się na przyszłości?*

Nie pamiętam, co odpowiedziałem. Pewnie było to jakieś chaotyczne wyznanie, zaczynające się od mojego skoku do Londynu, bojów z życiem na Easterlies, razem z Saulem, aż po niedawną wizytę u Świętego Blate'a i nadzieję na nadejście Nowego Wieku, którą zaszczepił mi Blissenhawk. Pani Summerton pozwoliła mi usiąść obok siebie na obitej skórą ławeczce i jeszcze raz wprawiła silnik w ruch. Odjechaliśmy, machina sapała i terkotała, reagując na pociągane przez nią przeróżne dźwignie. Nigdy jeszcze czymś takim nie jechałem, było to na tyle dziwne, że niemal zapomniałem o pani Summerton, obserwując mijane tylne ściany rzeźni, podskakując na nieużywanych torach.

– Widziałem Annalise. Raz. Na świętojańskim festynie, w Parku Westminsterkim. Była...

– Wiem.

Tym słowem zamknęła mi usta. Jechaliśmy dalej wśród zmierzchu.

– Czy jest pani tutaj wolna? – zapytałem wreszcie.

– Mówiłam ci. Nigdy nie byłam wolna.

– Ale cechy, trollowi...

Rzuciła mi pobłażliwe spojrzenie zza okularów. Jej ocieniona twarz się wydłużyła.

– Myślisz, że nie można ich przekonać łapówką, jak każdy inny cech? Znów mnie uciszyła. Zacząłem pokazywać jej drogę przez ulice Ashington.

– Chciałbym zobaczyć Kraniec Świata – powiedziałem, gdy samochód zatrzymał się z terkotem na nieoświetlonej ulicy przed moim mieszkaniem.

– Musisz tylko przepłynąć promem na drugą stronę.

Warkot silnika wzmógł się, ja zaś przyglądałem się drzwiom, zastanawiając się, jak je otworzyć. Zamarłem na chwilę, czując, że w moim życiu właśnie zdarza się jakiś przełom. A potem stałem na bruku Thrupp Street, z którego wyrastało zielsko. Pani Summerton i jej samochód już zniknęli. Było ciemno i cicho, tylko zgrzytały bufory na pobliskiej bocznicy. Uniosłem moje papiery i ruszyłem przez bramę na podwórze. Każda kobieta wieszala tu pranie na swoim sznurku i krzyczała na dzieci, kiedy brudziły je futbolówką. Kiedyś chętnie przyłączałem się do gry – *Do mnie pan pada, do mnie!* – ale z biegiem lat wracałem tu coraz później i wychodziłem coraz wcześniej, żeby siedzieć obok Czarnej Lucy i dręczyć się wątkami kolejnego artykułu, które nijak nie chciały się spleść. Wszedłem po schodach. Siła fizyczna czy moralna – co to w końcu za różnica?

Saul siedział z nogami na piecu i rysował. Okno było otwarte, ale i tak było duszno. Maud zbierała zabawki. Choć wszystkie jej podopieczne powinny już być zabrane przez matki wracające z popołudniowej zmiany, jedno dziecko jeszcze miała na ręku. Tutaj nie były potrzebne bulgocące

kołty i ociekające sznury ze starej ochronki na Caris Yard – nie było też na nie miejsca. Co rano wózek przywoził świeże pieluchy, z pralni o wiele mniej szykownej niż Brandywood, Price i Harper, a co wieczór zabierał brudy. Dla mych zmęczonych oczu ów długi, wąski pokój o białych ścianach ozdobionych przez Saula fryzem z zielonych wzgórz, drzew, pasących się krów i białych ostrokołów na horyzoncie, wydawał się miły i zapraszający. Miałem swój pokój na poddaszu, ale kiedy nie spałem i nie pracowałem, większość czasu spędzałem tutaj.

– Powraca wędrowiec...

Saul przeciągnął się i ziewnął. Zmężniał od czasu, kiedy go poznałem. Nie był już chudym chłopakiem o cienkim głosie, kamizelki nosił jeszcze jaskrawsze – na takie upodobanie poważyłoby się niewielu innych rewolucjonistów – i zaczął palić cygara, choć przy tym zachował ów młodzieńczy wygląd, który tak bardzo się ludziom podobał. Jego gładkie policzki zmarszczyły się w uśmiechu. Pomiędzy podbródkiem a kołnierzykiem powstał wąski wałeczek skóry.

– Nigdy nie wiem, o której ty wrócisz, Robbie... – Maud już miała położyć dziecko do jednej z zasłanych kołyszek, ale zastanowiła się i wręczyła je mnie. Jej ojciec był potajemnym hazardzistą, który sprzedał swe zakłęcia konkurencyjnemu cechowi, a potem wolał powiesić się, niż przeżyć wykluczenie. Maud z matką zostały wyeksmitowane i zdryfowały do Easterlies, gdzie założyły ochronkę, która prosperowała na tyle, by dać im jedzenie i dach nad głową. Następnej zimy matka zmarła na suchoty i Maud musiała radzić sobie sama. Typowa historia z tego Wieku. Ale dziecko pachniało słodko, było lekkie jak sama nadzieja, złotowłose i niewiadomej płci. Wpatrywało się we mnie szaroniebieskimi oczyma.

– Swoją drogą, Robbie, kolacja już zjedzona.

Podszedłem do okna. Dziecko zapłakało, uspokoilo się, zapłakało znów. Maud podała mi ciepłą, pachnącą gumą butelkę z mlekiem. Niemowlę przypięto się do niej i zaczęło ssać, wywracając i zamykając oczy. Przynajmniej przez chwilę jest zadowolone, choć jest za późno, by jego matka nadal patroszyła śledzie.

– Tak swoją drogą, obywatelu... – Trzask zapalki. Owiał mnie znajomy, tłusty aromat cygara Saula. – Jak myślisz, o której trzeba być w tej fabryce kafelków?

– A kiedy to?

– W tę niedzielę. Przecież wczoraj ci mówiłem. Pomyślałem, że o dwunastej. W niedzielę mało co zaczyna się wcześniej i jeśli Czarna Lucy będzie grzeczna, będziemy już mogli sprzedawać nowy numer „Nowego Świtu”. Przyjdzie tam Byku Baker. I wszystkie chłopaki z Whitechapel. No i oczywiście Ludzie Wolnej Woli, chyba że ktoś doniósł na policję...

Wyjrzałem przez okno. Na dole, na tle mrocznych ogródków działkowych paliło się ognisko. Powietrze falowało. Leciuteńki wiaterek, który jakoś przebił się przez ściany kamienicy, pachniał wczesnymi jaśminami, głogiem i świeżą wiosenną trawą. Niemowlę zasnęło. Błogo śniło, o czym tam śnią niemowlęta. Może naprawdę nadchodzi lato. Stąd, z Ashington, usytuowanego pomiędzy Easterlies a niebotycznymi łańcuchami Northcentral, mogłem dostrzec krążący promień wieży Hallam i białe zbocza Krańca Świata za matową powierzchnią rzeki.

– Ja wybieram się gdzie indziej – powiedziałem.

W niedzielę na promie tłoczyły się podekscytowane rodziny, dzieci waliły w blaszane tace, matki siedziały wokół nadbudówki, tuląc do siebie piknikowe kosze, mężczyźni na dziobie przechwalali się i palili. Ranek był jasny, ładny, pogodny, a Kraniec Świata to wśród biedniejszych cechów popularne miejsce na piknik – bliżej niż na wieś, taniej niż w miejskim parku i znacznie mniej problemów niż przy odwiedzaniu krewnych.

Prom, zbliżając się do przystani, ryknął syreną. Wylały się zeń kapelusze filcowe i słomiane. Podmokły południowy brzeg Tamizy nigdy nie był ludnym miejscem, a w obecnym Wiek, odkąd zamknięto wystawę, wyludnił się jeszcze bardziej. Kraniec Świata był dla Londynu kuzynem odludkiem; opuszczonym pokojem odbitym w magicznym lustrze. Daleki szum ruchu ulicznego, niosące się nad wodą bicie dzwonów, wydawały się o wiele bardziej odległe niż tylko o dwupensową przejażdżkę promem. Gdybym kiedykolwiek wpadł na myśl, że pani Summerton mieszka gdzieś w Londynie, z pewnością wyobraziłbym sobie właśnie takie miejsce.

Wysokie, białe wydmy maszynowego lodu iskrzyły tęczowo na tle porannego nieba. Skrzący się pył wkrótce przyprószył moje najlepsze spodnie i ciemnoniebieską marynarkę. Kraniec Świata był najbliższym Londynu źródłem eteru, które wyczerpało się, na koniec zakwitając jeszcze słynną wystawą u schyłku poprzedniego Wiek. Teraz eter sprowadzało się z większej odległości, barkami i pociągami, z miast takich jak Bracebridge, a lód maszynowy, produkt uboczny tysięcy procesów przemysłowych, tysięcy maszyn, wywożono tutaj, z wątlą nadzieją, że któregoś dnia da się jeszcze z niego wydrenować trochę eteru. Te lśniące góry były zbudowane z końcowego produktu wszelkiej magii, którą wydobyto z ziemi, by służyła cechowym zakłębom, od początku Pierwszego Wiek Przemysłu – sól zaskorupiająca oczy na koniec snu.

Drogę, zadziwiająco szeroką i porządną, wciąż przecinały zachwaszczone szczeliny martwych torów tramwajowych. Czas jakiś szedłem razem z rodzinami, które przyjechały na piknik. Tłumek był spory, choć stanowił zaledwie strumyczek w porównaniu z falą zwiedzających, która przetoczyła się tędy, przez Tamizę, niemal dokładnie stulecie temu. Potem skręciłem na wschód. Niebawem, gdy zazgrzytałem starą obrotową bramką, wesołe okrzyki i przekomarzenia się oddaliły. Zostałem sam. Pomyślałem, że nikt nie będzie wchodził w ruiny tylko dla tych paru szyb, które nadal czekają na rozbitcie, ale kiedy próbowałem ominąć kępę sinych kukułczych pokrzyw, nagle ukazała mi się główna hala wystawowa i aż westchnąłem ze zdumienia. Przez moment potężna budowla górowała nade mną, błyszczała, jak bańka mydlana doskonałością i nowością każdej ze swych milionów szyb. Wystawa na Krańcu Świata, wieńcząca poprzedni Wiek, oślepiła mnie odbitym światłem, a potem ściemniała, skurczyła się jak sen i zobaczyłem ją naprawdę: olbrzymią plataninę pogiętych dźwigarów i okien z czarnymi gwiazdami pęknięć.

Estrady z zapadniętymi dachami. Tabliczki wskazujące drogę do Tropikalnego Skrzydła, Odpoczynku Cechowego, Łazienek, Perpetuum Mobile. Wielkie rośliny, zdiczające, rozsiewające się bez kontroli jakiegokolwiek mistrza, wyciągały ku słońcu liście wszelkiego kształtu i koloru. Potem, jeszcze dziwniej, zaczęły się porządkować w skrzynki z rozsadą i świeżo obsiane grządki. Stary stragan lodziarza posłużył za zbiornik na kompost. Były tu też tabliczki NIE WCHODZIĆ, namazane czerwoną farbą, tak że poczułem dziwny, znajomy opór. To na pewno jest miejsce, o którym opowiadała pani Summerton, miło, że jej wskazówki były niezwykle ogólne. Pochylając się, by przejść pod pergolą, zaczepiłem się i zacząłem walczyć z siecią grzechoczących puszek na sznurkach. Potem już nic mnie nie niepokoiło, tylko śpiew ptaków i zapach rosnących roślin. A oto i ona: pani

Summerton, wiekowa, schludna, z gołą głową; maleńki strach na wróble ożył wśród inspektów.

– Robert... – Powoli wyprostowała się i podeszła do mnie, wtykając łopatkę do kieszeni fartucha. – Przepraszam za te puszki. Ale to nie Redhouse. To Londyn, pełno tu dzieciaków, band. Muszę być ostrożna. I dyskretna...

Spojrzałem w jej brązowe, okolone siecią zmarszczek oczy.

– Ale tu jest tak cicho i spokojnie... Zachichotała.

– A jak myślisz, dlaczego tutaj zamieszkałam?

Poprowadziła mnie między rzędami sadzonek. Ponad nimi rosły kwiaty o kształtach i odcieniach, których nigdy nie zobaczyłoby się u kwiaciarki obchodzącej Doxy Street. Wielkie jak burzowe chmury, wydierały intensywny, piżmowy aromat, od którego chciało się jednocześnie śmiać i kichać, a ich wnętrza wypełniały pręciki lśniące jak zygzaki błyskawic. Roślinność była bujna nawet o tej wczesnej porze roku. Kwiaty jak talerze i liście pokryte srebrnym puszkami kiwały się w świetle słońca ponad naszymi głowami. No ale przecież Kraniec Świata w swych najlepszych latach to był jeden wielki ogród. Pani Summerton tylko przekopala ziemię, poprzcinała i ponawozila zdziczałe krzewy, zebrała nasiona. Jej ogród, tak jak olbrzymia szklana ruina po lewej stronie, pragnął powrócić do życia. Gołymi rękami wyrwała i zgmiotła czarną kukułczą pokrzywę. Bez okularów, w obszarpanym ubraniu, z przyprószonymi siwizną włosami, wyglądała staro i smutno; słodki destylat cieni falujący między słupami słonecznego blasku.

Podeszliśmy do domku. Wyglądał jak leśniczówka, ale taka z bajki, z zawiłymi ornamentami wypalonymi na okapie, oknami z butelkowo-zielonego szkła. Naturalnie, kiedyś była częścią wystawy – może bawiły się w niej dzieci, choć teraz do drzwi przybite było wyglądające oficjalnie obwieszczenie; ponumerowane punkty, stemple, litera C z krzyżem. W środku panował półmrok, słodko pachniało tytoniem i żywną ziemią. Pani Summerton zdjęła z wąskiej półki imbryk i filiżanki, wachała różne pojemniczki z herbatą, szukając najśłodszej, a potem dorzuciła paliwa do małego piecyka.

Zaschło mi w ustach. Nadszedł czas na oczywiste pytanie.

– Widuje pani czasem Annalise?

Pani Summerton macała się po kieszeniach w poszukiwaniu fajki.

– Tak... – Wielki kłęb dymu. Długa przerwa. W tym niewielkim pokoiku zdawała się rozplwac, przekształcać. – Czasem mnie odwiedza, chociaż oczywiście musi być ostrożna... – Pyk, pyk. – Właściwie to była u mnie nie tak dawno. Dwa pracokresy temu, na początku wiosny, o ile pamiętam...

– A ja się z nią widziałem...

– Mówiłeś. – Kolejne obłoki dymu. – Annalise też mi powiedziała. W parku, na świętojańskim festynie... – Znów przedłużająca się pauza. Czajnik zaczął pomrukiwać. – Oczywiście – dodała, nalewając mi herbaty – ona ma własne życie. Nie jestem nawet pewna, czy jest zadowolona z mojej obecności w Londynie, na pewno nie bardziej niż z twojej; gdyby tylko wiedziała, że nadal tu jesteś.

– Dlaczego niby miałbym stąd wyjeżdżać?

– Mam nadzieję, że smakuje ci herbata. Taki mój mały luksus, najlepsza kitajska zielona. Prawie czuje się w niej zapach gór, brzmienie tych dalekich zakłęb, prawda?

Popijałem gorący, aromatyczny płyn, choć filiżanka, cienka jak skorupka jajka, parzyła mi palce.

– Trzymam się od niej z daleka. Dlaczego miałbym ją niepokoić? Rozumie pani... Anna Winters! Całe swoje życie zbudowała na pozorach...

– Musiała. Nie powinieneś jej za to winić.

– Miała tysiąc innych możliwości.

– Doprawdy? A co ty byś chciał zrobić na jej miejscu? Wstąpić do cechu? Próbować zmienić świat? Zejść za kulisy i wyjść za mąż? Udawać zwykłą osobę?

– Czy Annalise naprawdę jest odmieńcem? Wydaje się taka... – Wspaniała? Nadzwyczajna? Zwyczajna? Jakie słowo jest w stanie oddać, co czuję? Siedzę w dzieciennym domku na peryferiach Londynu, naprzeciwko tej zgrzybiałej istoty i próbuję sobie wyobrazić, że ona i Annalise są pod pewnym względem takie same. Annalise nie miała w oczach tego osobliwego, zabłąkanego, głodnego błysku, który przebijał się ku mnie przez fajkowy dym. Jej ręce i nogi nie przypominały pałeczek lukrecji. Annalise miała blond włosy, a nie rzadkie pasma pajęczyny. Annalise była...

Nie jesteśmy potworami. Wy postanowiliście nazywać nas trollami i wiedźmami, ale to wcale nie oznacza, że to prawda – tylko dlatego że jestem stara, pomarszczona i brzydka.

– Przepraszam. – Odstawiłem filiżankę. Palce mnie piekły, język miałem poparzony. – Jeszcze tylu rzeczy nie rozumiem.

– Pamiętasz, jak wtedy w Bracebridge, tyle lat temu, szliśmy wzdłuż rzeki? Po pogrzebie twojej matki? Już wtedy chciałeś znać odpowiedzi... – Główka fajki się rozżarzyła. Prawie słyszałem wartki nurt Withy. – Teraz jesteś taki sam. Czyż nie dlatego zainteresowałeś się polityką – żeby próbować na inny sposób wyjaśnić, dlaczego ludzie zachowują się tak a nie inaczej? Aha, przepraszam, jeśli nie wyglądałam na specjalnie zadowoloną, kiedy zobaczyłeś mnie na targu. Ale Londyn to dla mnie trudne miejsce. Ludzie są tu uprzedzeni, a uprzedzenie zbyt łatwo przeradza się w strach. Jak widzisz, musiałam jakoś się dogadać z cechami. – Westchnęła. – Niechętnie udzielałam ci odpowiedzi z tego samego powodu, z jakiego ty pragnąłeś je poznać. Wyjdźmy na spacer, zanim usłyszysz, co mam do powiedzenia... W końcu jest niedziela...

Owinęła się w swój skórzany płaszcz, który wisiał na haku przy drzwiach, założyła kapelusz, znalazła okulary, potem rękawiczki i szal, choć pogoda wcale ich nie wymagała. Przemiana była zdumiewająca. Osoba, która prowadziła mnie przez zaniedbane ogrody, nie była już przywiedłym odmieńcem, którego zobaczyłem wśród inspektów. Była to znów starsza cechowa dama. Zrozumiałem, że strój to tylko pretekst. Jej przebranie było skutkiem jakiegoś wysiłku woli.

Podprowadziła mnie do samochodu zaparkowanego pod blaszaną wiatą obok wyschniętego jeziora, po którym niegdyś pływały łódki. Może i samochód był jednym z eksponatów wystawy. Ze sposobu, w jaki pani Summerton gładziła jego blachy, dotykała misternych szklanych i mosiężnych elementów, widać było, że niezmiernie jest z niego dumna. Pomanewrowała dźwigienkami, co sprawiło, że zadrżał i się obudził. Wytoczyliśmy się na słońce. Drzewa skrywały bramę prowadzącą na drogę. Potem skręciliśmy na południe, wokół zalanych blaskiem wzgórz, po których szwendały się piknikowe rodziny, przejechaliśmy przez parę na wpół wymarłych wiosek, wzdłuż ruin starych domów cechowych, minęliśmy płynną granicę Londynu i wjechaliśmy na prawdziwą wieś. Droga nie była już wysypana białym piaskiem, a na zielonych polach pały się krowy.

Całkiem jakby od rozmowy nad rzeką Withy minęła dosłownie chwila, pani Summerton zaczęła mi opowiadać, do czego była wykorzystywana po opuszczeniu domu-więzienia w Oxfordzie. Zbieracze trzymali swoje metody w tajemnicy, tak jak każdy inny cech, ale poza wielkimi ośrodkami, jak Northallerton czy Święty Blate, mieli rozsiane po całej Anglii mniejsze stacje, gdzie można było ulokować, nakarmić i zagonić do pracy tak zwane łagodne przypadki – jak ona. Przez wiele lat była tylko jeńcem rozmaitych trollowych, wożonym w zielonym furgonie z miasta do miasta, z fabryki do fabryki. Tam pokazywano jej niezrozumiałe rysunki techniczne albo kazano naprawić awarię jakiejś krnąbrnej i niebezpiecznej maszyny.

– Była pani sama? Nigdy nie wspomina pani o nikim innym...

– Czyż nie jesteśmy zawsze sami? – Zaśmiała się gorzko. – Co byś chciał usłyszeć? Że my, odmieńcy, jesteśmy jakąś wielką podziemną armią, że Złotobiała wciąż żyje, zaszyta głęboko w leśnych ostępach, że pewnego dnia wszyscy powstaniemy jak ci twoi tak zwani obywatele i sprowadzimy koniec Wieku?

Nie powiedziałem nic. Ujęła to prosto i znacznie lepiej, niż ja bym się odważył. Niemniej w jej głosie był prawdziwy gniew; ta sama utracona nadzieja – może ona też pielęgnowała ją przez całe dzieciństwo.

– Cechy zawsze wierzyły, że istnieje jakaś kluczowa tajemnica, jakiś zaśpiew czy zaklęcie, które my, odmieńcy, wciąż przed nimi ukrywamy. Jakaś nadzwyczajna pieśń czy zdanie, jakiś nieznany język, który pozwoliłby im całkowicie odmienić świat. Kiedyś próbowali zapisywać wrzaski torturowanych czy palonych nieszczęśników. Ale teraz udało im się napchać fabryki całą magią wyciągniętą z ziemi.

Wjechaliśmy w zadrzewioną aleję. Potężne konary wiekowych dębów, przypominające ręce i nogi skamieniałych tańczących olbrzymów, pochylały się nad drogą, która pozieleniała, zmieniwszy się w trawiastą ścieżkę, potem w ogóle przestała być ścieżką, stała się niemal jaskinią. Terkot silnika zamarł w niezmaconej śpiewem ptaków ciszy, gdy pani Summerton zatrzymała samochód. Ruszyliśmy dalej pieszo, wśród fantastycznej zamieci opadłych liści. Las był stary, poszycie miał gęste. Rozglądałem się wokół, przyglądając się twarzom z kory, porośniętym brodami z mchu, niecierpliwie czekając, aż z cienia przed nami wyłoni się coś więcej niż tylko kolejne drzewa.

Szliśmy i szliśmy, a przed nami wciąż był tylko las. Pani Summerton opowiedziała mi, jak wysoki cechowy z Cechu Telegrafistów zlitował się nad nią i przekonał Cech Zbieraczy, by przekazał mu ją pod opiekę. Pracując w ogrodach jego domu w Devonshire, wreszcie odkryła dziedzinę, w której naprawdę była dobra – hodowlę roślin. Ogrodnicy oczywiście nienawidzili jej, ale w końcu stała się czymś cennym, niemal trofeum. W latach pięćdziesiątych obecnego Wieku udało się jej nawet zbierać trochę pieniędzy, bo hołubili ją bogaci cechowi.

Doszliśmy do dolinki, w której drzewa rosły jeszcze gęściej. Pani Summerton usadowiła się w wykrocie uformowanym przez ich korzenie. Sucha ziemia była miękka. Chmury gęstniały. Powietrze pulsowało oddechem.

– Zaufali mi, jak tylko można zaufać odmieńcowi. Mówili mi, że wyglądam normalnie, że jestem rzetelna, chwalili jak wiernego psa. I byłam całkiem zadowolona, doglądając roślin, wiodąc skromne, dość anonimowe życie. Kiedy powiedziano mi, że mam się znów przenieść, znów w świat przemysłu, omal nie uciekłam. Lecz teraz się cieszę, że tego nie zrobiłam, bo wysłali mnie do Redhouse. Cechowi, którzy tam jeszcze zostali, wpadli na nonsensowny pomysł, że pomogę im wydobyć resztki kończących się eterowych złóż. Oczywiście nie umiałam. Redhouse już iskrzyło się lodem, gasło. Ale było tam ładnie, byłam szczęśliwa, nawet kiedy ostatni cechowi wyjechali, kiedy koło wodne się zepsuło, ja zostałam. Tym razem Zbieracze po mnie nie wrócili. Zdawało się, że wreszcie jestem wolna. Żyłam sobie spokojnie, na odludziu, zapomniana. Od dawna przyzwyczaiałam się do przebywania tylko we własnym towarzystwie, no i już zaczęłam się starzeć. Postanowiłam, że właśnie tam przeżyję resztę swojego życia. Ostatki pozostałej w ziemi mocy pozwalały mi pozostać w ukryciu, choć niektórym udawało się mnie znaleźć. Na przykład twojej matce...

Wilgotny powiew zafalował odbiciami drzew. Chmury zawirowały. Moja matka, dziewczyna jeszcze, mieszkająca na owej farmie, wędrująca po Brownheath i jego ukrytych dolinach. Znajduje Redhouse, świecące jak klejnot na aksamicie, znajduje panią Summerton. Tyle nocy przesiedziała przy moim łóżku na poddaszu, tyle opowiedziała mi historii – a tę przemilczała...

– *Robercie, nie powinieneś winić siebie za to milczenie. Ani jej. My nie spędzamy całego życia w świetle dnia. O pewnych rzeczach nigdy się nie mówi.* Wydaje mi się, że twoja matka lubiła moje towarzystwo. Ja jej – na pewno. Ale potem dorosła i musiała znaleźć pracę w mieście, w Bracebridge. I wyszła za mąż. Nie zasmuciło mnie to... albo tylko trochę. Od dawna się przyzwyczyłam, że moje drogi i drogi innych ludzi się rozchodzą...

– Miała przyjaciółkę, Kate, prawda?

Oczy pani Summerton błysnęły.

– Powiedziała ci o niej?

Wzruszyłem ramionami. Zaroiły się przede mną dawno stłumione wizje.

– Dowiedziałem się skądś.

– Przeszłość lepiej zostawić w spokoju – mruknęła. Powoli wstała, wspinając się rękoma po pniu. Ruszyliśmy dalej wśród drzew. – W fabryce zdarzył się wypadek. Coś się stało z tłokami do ekstrakcji eteru. W pewną półdziełę się zatrzymały. Potem był wybuch, zginęło parę osób.

Twoja matka pracowała w tym czasie na dole, na tymże pokładzie. Razem z Kate. – Młasnęła sucho językiem. – Mówiło się o jakimś samowolnym eksperymencie. Oczywiście nikt nie przyznał się do winy. Przynajmniej nikt z tych, którzy naprawdę byli odpowiedzialni. Kiedy zdarzy się coś poważnego, nigdy nie ma winnych... Zawsze myśleliśmy, że twojej matce nic nie będzie – miała tylko małą bliźnię. Co innego Kate, była chora, gorączkowała, a jej mąż zginął w tym samym wybuchu, do tego była w ciąży. Przypuszczam, że bardzo się bała, a najbardziej o swoje dziecko. Więc twoja matka przypominała sobie o mnie, przypominała sobie o Redhouse...

Próbowałam wyleczyć Kate, zrobiłam co w mojej mocy, przysięgam. Czyż nie tego się po nas ludzie spodziewają, że możemy uzdrawiać chorych, czynić cuda? Ale nie umiałam pomóc ani jej, ani twojej matce. Kiedy eksplodowały tłoki, Kate stała tuż obok. Gdy ją zobaczyłam, jej kości już zmieniały się w lód maszynowy, a żyły płonęły. Co prawda, wiem o ziołach więcej niż ci tak zwani aptekarze. Mogłam jej przynieść trochę ulgi... Niestety, Kate zwiędła i umarła, ale przynajmniej zobaczyła dziecko, które nosiła w łonie, piękne dziecko.

– To była Annalise?

Pani Summerton przez chwilę milczała.

– Jestem już stara. Ale moje życie pod wieloma względami było przyzwoite. Nigdy nie głodowałam. A potem, na skutek bezsensownej śmierci i innych strasznych okoliczności, Annalise znalazła się u mnie. Wiesz, Robercie, ja chyba zawsze byłam taka jak ty. Przez całe życie nieświadomie szukałam dla niego celu. A jaki może być lepszy cel, niż dać nowo narodzonemu dziecku szansę, której się nie otrzymało samemu?

– Wiedziała pani, że Annalise jest taka?

– Cokolwiek to było za zaklęcie, jego moc musiała być olbrzymia. Annalise musiała być odmieńcem, a jednocześnie była piękna, doskonała... jakże cenna dla cechów byłaby taka zdobycz. Więc nie mogło być mowy o zabraniu jej z powrotem do Bracebridge. Opieka nad nią była dla mnie bardzo spóźnioną i trudną nauką; dobrze, że miałam trochę pieniędzy, parę małych inwestycji – jak się okazało, sporo urosły, kiedy nie patrzyłam.

Mogłam więc urządzać Redhouse wygodnie i bezpiecznie, kupić wszystko co trzeba i zaopiekować się Annalise w te północne długie zimy i deszczowe jesienie. Dziwne, dowiedziałam się przez to o ludziach więcej niż przez wszystkie poprzednie lata. I wciąż się od niej uczyłam.

Na początku obawiałam się cechowych inspektorów i oczywiście Cechu Zbieraczy. Przez całe pierwsze lato i zimę, a nawet wtedy, kiedy jeszcze opiekowałam się Kate, wszędzie widziałam ciemne, samotne sylwetki i kryłam się przed tymi cieniami. Lecz był to dla mnie szczęśliwy czas,

mimo całej tragedii związanej z jej urodzeniem, mimo że twoja matka opuściła nas i wróciła do swego życia. Annalise była jak nieprzerwany śpiew. Jej włosy zmieniały się z porami roku. Zimą złote jak płomień, na wiosnę bladły do barwy słońca. Na Sobótkę wyglądały jak pole pszenicy. Nazywała mnie Missy. A ja ją kochałam. Kochałam, Robercie, jej piegi na nosie i skórę łuszczącą się latem. Czasami, wieczorami, kiedy już spała, a ja wędrowałam po zamrożonej wiosce i obserwowałam cienie rysowane na trawie przez oświetlone gwiazdami drzewa, wydawało mi się, że śnię.

Potem już mogłam stopniowo wprowadzać ją do ludzkiego świata. Bawiłyśmy się dobrze, kiedy zmierzchało i wyludniało się, jako ostatni klienci pływający łódką po stawie, spóźnieni spacerowicze przechadzający się wzdłuż rzeki, ostatni kupujący na targowiskach. Od zawsze wiedziała, że musi być ostrożna. Czuła swoją moc. Wiedziała, że nie należy do tego świata jak inne, zwykłe dzieci...

– Ale potem odesłała ją pani z Redhouse... – powiedziałem, kiedy pani Summerton zamilkła na dłużej. Wydawało się, że historia jej i Annalise zakończyła się w owych parkach o zmierzchu, w samotnej łódce na ciemniejszym stawie.

– Tego dnia, kiedy odwiedziłeś mnie z matką, obserwowałam przez okno, jak rozmawiacie ze sobą, siedząc przy fontannie, i zdałam sobie sprawę, że jestem samolubna. Trzymałam to dziecko przy sobie... obawiałam się, że z dobroci serca zrobię jej to samo, co było dla mnie najgorsze. Ze będę ją więzić. Tamtego lata i jesieni, kiedy twoja biedna matka zachorowała i zmarła od zmian wywołanych przez ów dawny wypadek, zrozumiałam nagle, że Annalise potrzebuje o wiele więcej życia, niż ja mogę jej zapewnić. Ułożyliśmy więc plan.

Drzewa się rozdzieliły. Wróciliśmy na wąską ścieżkę. Niebo było teraz ciemniejsze niż rozciągające się pod nim gałęzie. Gdy doszliśmy do samochodu, liście w końcu zaczęły drzeć i szemrać od ciężkich kropel deszczu. Pomogłem pani Summerton uporać się ze skomplikowanymi wspornikami podtrzymującymi skrzydła skórzanego dachu.

– Kiedy pojawiła się ta historia o ciotce i domu koło wodospadu? – zapytałem, gdy zawróciła i ruszyła przez ulewę.

– To akurat w większości sama sobie wymyśliła. Ale trzeba było skonstruować jakąś prawdopodobnie brzmiącą historię. – Malutkie pióra omiały przednią szybę, choć i tak nie było widać dalej niż na parę metrów. Podskakiwaliśmy na koleinach. – Oczywiście, bardzo mnie bolało, że ją stracę, pojawiło się też wiele trudności. Po tylu latach ukrywania się, oszukiwania, dziwnie było mi wypuszczać ją w świat ludzi na statku zbudowanym z kłamstw. Chciałam jednak, żeby miała to wszystko, czego mnie pozbawiono. Szansę, by zostać zwykłym człowiekiem. Alternatywą było życie szaleńca, eksponatu, który się bada, analizuje, szturcha i wykorzystuje, wożąc z miejsca na miejsce w strasznym zielonym furgonie. Nie powinieneś jej winić za to oszustwo.

– A jak ona się z tym czuje?

– Z tymi kłamstwami? Mówiąc między nami, jej zawsze się to podobało. Dla Annalise życie jest jak rodzaj gry. Właśnie ta jej cecha najbardziej się ludziom podoba, jest też najbardziej irytująca. Ale ostatnią rzeczą, której bym chciała, to zwrócić na nią czyjąś uwagę, zwłaszcza teraz, kiedy ułożyła sobie własne życie... Myślę, że w tej chwili lepiej rozumiesz, czemu nie byłam zbyt zachwycona twoim widokiem. I wydaje mi się, że chyba wiesz o tym wszystkim więcej niż ja...

– A jeśli tak?

– Tym lepiej rozumiesz, że nie powinieneś się wtrącać.

W miarę jak jechaliśmy, deszcz uspokajał się, w końcu przestał padać, ale pogodne popołudnie wydawało się zimne i bezbarwne, gdy wreszcie dojechaliśmy na Kraniec Świata. Białe

wzgórza opustoszały. Wielkie szyby cieplarni zdawały się oddychać.

– Zbyt rzadko ją teraz widuję – odezwała się pani Summerton, podrzucając do pieca. – A właśnie dla niej przyjechałam do Londynu. Ale pod wieloma względami to tak samo dobre miejsce do życia jak każde inne. Należy przyznać, że w sumie mi się udało. Choć zostało mi już niewiele czasu, chyba zdążyłam pogodzić się ze światem. Ale ty musisz być głodny...

Przyglądałem się, jak pani Summerton swymi chudymi, drżącymi rękami obiera ziemniaki i otwiera puszki. Kiedy jedzenie było gotowe, pochłonąłem wszystko z talerza opartego na kolanach. Ona nie dojadła swej maleńkiej porcyjki, odstawiła ją i zapaliła fajkę. Jedzenie było dobre, nawet lekko egzotyczne w smaku, choć takie zwyczajne. Zaczarowane – stwierdziłem, wycierając talerz do czysta. Zaczarowane jedzenie w zaczarowanym domku, w wielkim, magicznym ogrodzie na Krańcu Świata. Wciąż czułem się głodny.

Pani Summerton wstała, owiewając mnie dymem. Pogładziła mnie po włosach.

– Może chciałbyś zobaczyć Annalise?

*

Northcentral lśniło pośród nocy. Nad ruchem ulicznym górowała Wielka Opera, trupio biała w gazowym świetle, wsparta na fundamentach ze złudzeń, kolumnach ze snów. Karety wypluwały swą wysocecehową zawartość na czerwony dywan, który ściekał po schodach od wejścia, zatłoczony cylindrami i tiarami. Przez chwilę myślałem, że właśnie tam idziemy. Lecz to była jakaś cechowa gala – taka, na którą wkłada się spadkową biżuterię, przypasuje staroświeckie szarfy. Mały samochodek skręcił z warkotem w boczną, brukowaną uliczkę. Pani Summerton pociągnęła mnie ku wąskim drzwiom w tylnej, pozbawionej ozdób ścianie budynku.

W niskim korytarzu młodzik spojrzął spode łba na nasze bilety, potem na nas, ale pani Summerton szepnęła mu słówko, błysnęła monetami w urękawiczonej dłoni, więc wpuścił nas machnięciem ręki. Weszliśmy schodami na górę i ruszyliśmy korytarzami, aż w końcu wśród światła i dźwięku jak narastający szum morza, wśród słabego, acz zauważalnego zapachu mokrych płaszczy weszliśmy na balkon, który znajdował się niemal pod dachem Opery. Wychyliłem się przez krawędź i ujrzałem maleńkie łysiejące główki, biusty rojące się pod nami, skrzące się od biżuterii. Właśnie się zastanawiałem, czy ktoś kiedyś uległ pokusie splunięcia na dół, kiedy wyczułem obok siebie drobny ruch i zdałem sobie sprawę, że część balkonu jest już zajęta.

– Więc to jest mistrz Borrow. – Ująłem wyciągniętą do mnie dłoń. – Pani Summerton bardzo zależało, żebym zdobył dla pana bilet. – Ręka była drobna i zimna. – Jestem Snaith. Co słyszeć? Czy pani Summerton wspominała panu o mnie?

Pan Snaith uśmiechnął się. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest dzieckiem, taki był niski. Twarz miał białą od pudru, szopę czarnych włosów robiącą wrażenie peruki, nos długi i cienki, drobne usta pod jego spiczastym końcem wyglądały na pociągnięte karminem, a różowawe oczy były stare. Nosił elegancko skrojony, choć trochę złachany garnitur w dziecięcym rozmiarze, który mógł uszyć uczeń krojmistra jakieś pięćdziesiąt lat temu. Kojarzył się z absurdalnie eleganckim, anemicznym chłopcem, który długo się bawił w garderobie ojca. Siadając między nim a panią Summerton, prawdopodobnie coś mruknąłem. Potem cała widownia pociemniała, szepty ucichły, a kurtyna uniosła się, ukazując aktorów w pięknych strojach.

Tego wieczoru wiele zobaczyłem, wiele usłyszałem, choć nie mogę powiedzieć, żeby mnie to wciągnęło. Nie miałem pojęcia o sztuce Cechu Talentów i niespecjalnie chciałem się czegoś o nich dowiedzieć. Choć światła mi się podobały. Przesuwały się po scenie, rozmazywały, jakby opętała je muzyka. Dekoracje obracały się, pałac zmieniał się w tundrę, tundra w las, gdzie tancerze tańczyli, aktorzy deklamowali, a sztywni muzycy piłowali na skrzypcach. Tyle pieniędzy, wciąż myślałem, tyle

zachodu...

Kurtyna unosiła się i opadała. Rozbrzmiewały oklaski. Raz czy dwa, jak mogłem wywnioskować z przetaczających się przede mną fal śmiechu, próbowano odegrać coś zabawnego. Dwóch aktorów nawet włożyło szmaciane czapki i usiłowało małpować akcent z Easterlies. Od czasu do czasu ponad grzmot orkiestry wybijała się jakaś melodia, ale zaraz nikała z powrotem. Pomimo dziwnego otoczenia prawie już zasypiałem, kiedy kurtyna rozsunęła się zniemacka, odsłaniając niemal pustą scenę.

Pośrodku niej stał tylko fortepian. Nastąpiła przerwa, trochę kaszlnięć i szeptów. Potem zza kulis wyszła Annalise. Ubrana była w długą srebrnobiałą suknię, blond włosy spadały jej po plecach gładką kaskadą i lśniły w przyćmionym świetle, gdy szła do fortepianu swoim natychmiast rozpoznawalnym krokiem. Wydawała się mała i bezbronna. Białe klawisze przypominały obnażone zęby. Widownia milczała jak zaklęta. Annalise nie spojrzała w jej stronę. Robiła wrażenie kogoś, kto zawędrował do pustego pokoju i całkiem przypadkiem odkrył w nim wspianiały instrument. Cisza się przedłużała, dopiero gdy pianistka usiadła przed nim i uniosła ręce, publiczność zaczęła się nerwowo wiercić.

Wspomniałem naszą noc świętojańską i fortepian w sali balowej. Pierwszy akord, który teraz zagrała, rozszedł się po sali, wypełniając ją jak ostrzeżenie. Podobnie jak wtedy. Był przepiękny, dziwny i urwany. Nie słyszało się w tym melodii, którą mógłby zagwizdać cechmistrz na przechadzce. Nuty nie tyle dążyły do melodii, ile do ciszy. Był to krótki utwór; na końcu nastąpiła długa przerwa, w trakcie której publiczność zastanawiała się, czy to aby nie kolejny, mylący takt ciszy. Wreszcie z wahaniem rozbrzmiały oklaski. Annalise wstała, skłoniła się, kurtyna się zasunęła, na widowni zapłonęły gazowe lampy. Zacząłem wstawać, ale dłoń pana Snaitha, mała jak u lalki, spoczęła mi na ramieniu.

– Możesz równie dobrze zostać tutaj, kochany – powiedział. – To tylko przerwa...

Resztę przedstawienia przesiedziałem w oszołomieniu, choć jestem pewien, że druga część była przynajmniej równie długa i skomplikowana jak pierwsza. Bolały mnie pośladki. Znów byłem głodny i do tego spragniony. Na przeciwległej ścianie też wisały balkony, przyłączone do niej jak złote jaskółcze gniazda.

– Bardzo ładne to było – mruknął pan Snaith, kiedy ścichły ostatnie brawa. Otarł swe maleńkie czołko ogromną chustką. – Nie uważacie?

Pani Summerton leciutko skinęła głową. Wyglądała na zmęczoną i jakby zmalęła.

– Piękne. Choć nie znam się na takich rzeczach...

– Wiem, jak prowincjonalne jest życie na zachodzie Anglii. A także w tym ponurym mieście na północy. Albo i na Krańcu Świata... – Pan Snaith cicho westchnął. – Ale jeszcze parędziesiąt lat i z pewnością nauczy się pani doceniać poziom sztuk artystycznych w stolicy. Dają taką ulgę w życiu, naprawdę...

Teraz, w lepszym świetle, widziałem, że oprócz szminki na ustach ma także drobinki pudru wokół oczu. Skórę miał białą jak kość słoniowa, bezwłosą i gładką.

Siedziałem pomiędzy nimi, złapany w sieć rozmowy.

– A ty, Robercie? Zapewne jesteś z północy?

– Tak – potwierdziłem. Po wszystkim, co dziś usłyszałem, powstrzymałem się od wspomnienia Bracebridge.

Pan Snaith nie spuszczał ze mnie bezręcznych oczu. Choć nieco zmętniałe, pod makijażem ziały pustką, głodem bezmiernej starości. Widownia pod nami pustoszała.

– Wiem, że pani Summerton nie patrzy na takie rzeczy z aprobatą, mistrzu Robercie – rzekł –

ale dziś wieczorem mam umówione spotkanie z moimi towarzyszami, poszukiwaczami i szczerze mówiąc, takiemu cechowemu jak ja przydałby się ktoś, kto by go odprowadził. To niedaleko, naprawdę.

Czy rzeczywiście powiedział „cechowy”? Może wszystko, co mówił, źle zrozumiałem. Ale byłem ciekaw.

*

– Bardzo jestem panu wdzięczny za towarzystwo – sapnął pan Snaith. – Mam znajomego dorożkarza, któremu mogę zaufać. Ale akurat zachorował na grypę. Jak na tę porę roku jest wciąż strasznie dużo zarazków, nie uważa pan?

Narzucił na ramiona obszyty futrem płaszcz, postukiwał hebanową laseczką ze srebrną główką. Znów padało. Niosłem jego zadziwiająco wielką i ciężką torbę, trzymałem też parasol. Pan Snaith był całkiem suchy, a mnie deszcz spływał po karku. Choć pani Summerton już odjechała swym samochodzikiem w stronę mostu Chelsea, wciąż nieznacznie wyczuwałem jej obecność. Kimkolwiek był pan Snaith, nie wątpiłem, że przedstawiony zostałem mu nie bez kozery. Pachniał jak stare szafy z ubraniami: wilgocią, naftaliną, kornikami i lawendą. Czy naprawdę był odmieńcem? Może po prostu urodził się taki mały, blady i dziwny? Bolały mnie ręce i nogi, w ustach czułem suchość. Na wpół zapomniane sceny z przedstawienia, smoki, nimfy, kwietni tancerze i muzyka Annalise, wszystko to wirowało wokół mnie jak procesja duchów.

– Nie mógłbym znaleźć lepszej eskorty, prawda? Wiem – o, proszę nie zaprzeczać – że wielu ludzi gardzi tym, co robicie wy, partacze, ale każdy, kto należycie rozumiał ustrój cechowy, wie, że jesteście niezbędni do jego funkcjonowania...

– Dziękuję – warknąłem.

Szliśmy eleganckimi ulicami, mijaliśmy piękne kościoły, potężne, obłożone piaskowcem domy cechowe i mieszkalne – była to najdroższa dzielnica w centrum Londynu, znana jako Hyde. Leżała pomiędzy domami cechowymi na Wagstaffe Mail a Parkiem Westminsterskim. Niektóre z tych domów niemal dorównywały wielkością Wielkiej Operze, ale miały tyle okien, że lśniąc i spływając deszczem, wydawały się zbudowane w całości ze szkła. Pomiędzy frontonami przebiegały kapiące druty telegraficzne – oczywisty znak miejskiego bogactwa. Pan Snaith poprowadził mnie obok fasady jednego z większych budynków, na tyły, do wejścia dla dostawców. Zadzwoił i czekał, świszcząc oddechem. Mignęła twarz kamerdynera.

– Jest panów dwóch? Z pewnością nie oczekiwaliśmy...

– To jest mistrz Borrows, z Cechu, eee... Badaczy. Jest moim asystentem.

Gdy szliśmy na górę betonowymi schodami, potem wąskimi bezokiennymi korytarzami, cały czas milczałem. Skrzypiały drzwi. Słyszałem szepty, chichoty. Błyskały zaskoczone twarze zaspanych pokojówek. Potem dotarliśmy do szerszego korytarza, który w oddali zniknął w świetlistej mgłę lamp. Przestrzenie były tu tak rozległe, a kroki tak stłumione, że musiałem patrzeć na własne stopy, by sprawdzić, czy nadal się poruszają. Kamerdyner na pożegnanie pogardliwie pociągnął nosem i stanął po jednej stronie podwójnych drzwi.

– Potrzyma mi to pan? Będę wielce zobowiązany... – Pan Snaith na chwilę wręczył mi swoją zabawkową hebanową laskę, po czym zdjął z ramion pelerynę i wywrócił ją na drugą stronę, tak że ukazała się podszewka – połyskliwy jedwab, jaskrawopomarańczowy i zielony. Nucąc pod nosem, poszperał po kieszeniach, szukając chusteczki, zerknął w małe lusterko i szybkimi, wprawnymi ruchami zaczął ścierać z twarzy makijaż. – Poproszę moją laskę, mistrzu Robercie. – Czerwony fular po paru zręcznych zabiegach rozkwitł jak kwiat. – Bardzo dziękuję... – Pan Snaith poprawił rękawy. Potem kiwnął na kamerdynera, by otworzył drzwi, i ostatnim, finałowym gestem zdjął z głowy

perukę. Przemiana się dokonała. Gdy wchodziliśmy do ogromnej sali, przede mną kroczył łysy, o ostrych rysach, ciemnych oczach, porcelanowej skórze, odziany w krzykliwą pelerynę, kręcąc różdżką laski, miniaturowy czarodziej z jakiegoś dawno zapomnianego Wieku.

Gazowe żarniki pomrukiwały, podskakiwały schwycone przez miriadę luster. Otaczały nas całe gwiazdozbiory szpil cechowych, naszyjników, brosz, guzików, papierosów, pereł i monokli. Zapach bardzo przypominał ten z Opery – pachniało ciepłym, bogatym i lekko spoconym człowiekiem. Podałem panu Snaithowi jego torbę. Uniósł ją, jakby była pusta i usiadł obok drzwi na krześle obitym śliskim jedwabiem. Mrugnęło do mnie tłuste, czerwone słońce wielkiego cygara. Wszystkie światła w pokoju skierowały się na pana Snaitha.

– Witam was wszystkich, moi współposzukiwacze prawdy i oświecenia... – Jego delikatny głos niósł się ponad szelestami i szeptami. – Nazywam się Snaith. Wielu z was słyszało już o mnie. Wielu nie słyszało... – Z tymi słowy podwinął lewy rękaw, ukazując drobny nadgarstek, całkiem gładki poza tatuażem z literą C i krzyżem. – Wystarczy, jeśli powiem, że urodziłem się w innym miejscu, w innym czasie, że moi rodzice zdali sobie sprawę, kim jestem, i w przerażeniu zostawili mnie w głębi lasu, który wtedy całkowicie porastał tamtą krainę. Powinienem być umrzeć wśród śnieżnych zasp, ale moje pierwsze wspomnienie... – Przerwał i znów się skrzywił. – To pysk wilka. Tak, panie i panowie... – Znów urwał. – Zostałem wychowany przez szarego wilka, *canis lupus*, w ciemnych leśnych ostępach, wykarmiony mlekiem, krwią i dzikością. Widzicie mnie przed sobą tylko dlatego, że uratowali mnie myśliwi, przyprowadzili do kościoła i wskazali mi drogę cechów i Pana Naszego. – Zrobił znak krzyża. – Ale gdzie poza tym... – przycisnął dłonie do skroni i znów zamilkł na chwilę – ...poza tym leżą cuda, których nie widzą ludzkie oczy. Pytania, na które nie zna odpowiedzi cała mądrość cechów.

Długo jeszcze ciągnął w tym stylu. Zdania, które wydawały się mieć sens, ale rozplywały się równie szybko jak refleksy światła.

– Uwaga!

Kiedy pan Snaith rozpościerał poły swej zielonej peleryny, dygotał na całym ciele. Z miejsca, gdzie siedziałem, wyglądało to, jakby naprawdę uniósł się nad podłogą. Próbowałem zajrzeć poza trzepoczące rąbki peleryny, dostrzec jego stopy. Publiczność westchnęła. Musieli przypomnieć sobie wszystkie ostrzeżenia księży, wszystkie te opowieści: że odmieńcy utracili duszę, że w ich sercach, w ich wnętrzach nie ma nic. Z rękawów garnituru pana Snaitha zaczęły spływać mętne jak dym obłoczki mgły. Lekko zielonkawej, żarzącej się delikatnie. Teraz publiczność zaczęła szemrać i wzdychać w podnieceniu. Zaskrzypiały krzesła. Jakaś kobieta zachichotała nerwowo. Mgła wyływała nadal, aż pan Snaith i jego torba niemal w niej zniknęli jak mucha uwięziona w zielonym bursztynie. Nastąpiła długa cisza, zmacona tylko przez chwilę charakterystycznymi odgłosami – ktoś wymiotował.

– Mam pytanie – odezwał się młody człowiek siedzący z przodu. – Niedługo muszę zdawać egzamin presemestralny z dolnego kwadrantu tajemnic Wielkiego Cechu Stalmistrzów. Mówiąc szczerze, nawet nie zajrzałem do książek... I w związku z tym ciekaw jestem, jakie będą pytania. – Przerwa. – Albo odpowiedzi...

Pan Snaith uniósł głowę i odpowiedział z wnętrza zielonej mgły, ale okrągłe zdania przypominały jego wcześniejsze słowa; sam dym i kamuflaż, bez choćby jednego faktu. Było oczywiste, że egzaminatorzy Cechu Stalmistrzów nie mają się co obawiać pana Snaitha. Lepiej wychodziło mu odpowiadanie na ogólne pytania, które posypały się później; o przyszłość, o pieniądze, zdrowie, małżeństwo. Te kwestie, jak się zdaje, nurtują bogatych co najmniej tak samo jak biednych. Dobrze wychodziło mu również opowiadanie o samopoczuciu zmarłych krewnych,

choć wydawało mi się, że taka wiedza jest dość wątpliwa z teologicznego punktu widzenia.

W końcu pytania się wyczerpały, a pan Snaith, wśród dziwnych stuków i szumów, rozpląnął się i zniknął w kłębach dymu i jakichś zwojach, dziwnie przypominających bandaż. Zapłonęły światła, rozległy się oklaski. Pootwieraly się drzwi. Gdy pan Snaith usiadł na krześle, z torbą pod nogami, pozostali poszturchiwali go i ściskali, ale on znosił to pogodnie. Wydali okrzyki zachwyty, kiedy, po dłuższym odmownym kręceniu głową, wreszcie podwinął rękaw koszuli, by znów pokazać im lewy przegub. Dla mnie ten tatuaż był podejrzany, grube atramentowe krechy wyglądały, jakby wyrysowano je, żeby coś zamaskować.

Siedziałem zmęczony, ignorowany przez gości, otoczony wysokimi lustrami. W moich najlepszych spodniach. W ciemnoniebieskiej marynarce. W butach o zdartych obcasach. Tak jakby miało to jakieś znaczenie, choć tutaj bez cienia wątpliwości miało. Wyglądałem prawie tak samo nie na miejscu jak pan Snaith. Zauważyłem, że rozdarłem tył marynarki, pewnie na tych sznurkach z puszkami u pani Summerton. W jakiś sposób potrafiłem wyglądać jednocześnie elegancko i niechlujnie. Inni mężczyźni byli ubrani wyłącznie w czerń i biel, a kobiety, kobiety...

– Witam, mistrzu Robercie... – Jedna z nich podeszła do mnie, pod różnymi kątami odbita w lustrach. Miała ciemne włosy, wygięte wargi, zabawnie łukowate brwi. – Prawie nic się pan nie zmienił. Ale pan mnie w ogóle nie pamięta, prawda?

W uszach i na szyi miała diamenty. Podobny, niespokojny połysk w oczach. Tak, jasne, że pamiętałem. Z tamtej nocy świętojańskiej, kiedy tańczyliśmy na nabrzeżu. Jakże mógłbym zapomnieć? Przyjaciółka Annalise. Wielka cechmistrzyni Sadie Passington.

– Oczywiście, że pamiętam, Sadie. Ty również się nie zmieniłaś.

– Miło to słyszeć.

Ta suknia, to zachowanie, ten aromat, ten timbre głosu – wciąż była prawie piękna, a na pewno ładna, choć wokół jej oczu, w kącikach ust wyczuwało się lekkie napięcie. Nie były to zmarszczki, na to była zbyt młoda, po prostu wrażenie, że skóra się napina.

Poczekala, aż służący znajdzie jej krzesło.

– Wiesz – powiedziała – wciąż pamiętam tamten czas. To był jeden z najbardziej udanych sezonów. A może i najlepszy. Potem każde z nas poszło swoją drogą. A zwłaszcza ty. Prawie cię tam nie było, ale wydawałeś się jednym z nas... – Wodziła po mnie wzrokiem z góry na dół, z otwartością, którą rzadko spotykałem u kobiet, nie mówiąc o wielkich cechmistrzyniach. – Tak znakomicie tam pasowałeś.

– Pewnie trochę wprowadziłem cię w błąd, mówiąc, kim jestem... Wzruszyła ramionami, eksponując swój piękny biust.

– Zdaje się, że w ogóle nie powiedziałeś nic o sobie, kim jesteś i skąd, Robbie. Tylko trzymałeś się Anny Winters.

To nazwisko zawisło między nami. Nasze spojrzenia spotkały się, choć nie skupiły na sobie.

– Widziałaś ją dzisiaj? – zapytałem. – Byłaś w Wielkiej Operze?

– A kto nie był? Nie jestem pewna, co ludzie zrozumieli z tej jej melodii, ale...

– Mnie się podobała.

– No cóż, mnie również...

Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas. Sala tymczasem opustoszała. Sadie po opuszczeniu Świętego Judy studiowała także w Akademii Cechu Talentów, ale traktowała to tak lekko. Takich spraw jak praca nie mogła traktować poważnie.

– A co pan porabia, mistrzu Robercie?

– Ja... działałem w branży wydawniczej. Wydajemy radykalną gazetę.

– Wydajecie gazetę! – Sadie klasnęła w dłonie. – Jakie to emocjonujące! Musisz się obracać w bardzo interesujących kręgach, skoro napotkałeś tego pana, eee... Snaitha.

– Dopiero dziś go poznałem.

Sadie badawczo mnie obserwowała błyszczącymi oczyma.

– Ale co za życie musisz prowadzić. – W sali poza nami, kilkoma służącymi i panem Snaithem nie było nikogo. – Zaraz, gdzie ja to mam! – Zaczęła grzebać w obszytej perłami torebce. – Na koniec następnego pracokresu jest wielkie halo. Jakiegoś tam świętego czy innego, chociaż to oczywiście wszystko na cele dobroczynne... – Przerwała, uniosła wzrok na mnie. – Znasz Saltfleetby? To koło Folkestone... – Pomiędzy jej koralowo pomalowanymi paznokciami ukazał się bilecik. – Proszę. Wszystkie informacje, jakie trzeba. I bardzo chcę, żebyś przyjechał. Potraktuj to jak imienne zaproszenie. I pomyśl, że robisz mi przysługę, nawet jeśli jesteś radykałem i uważasz mnie za głupią, płytką i za przeżytek. – Rzuciła mi kolejne ze swych badawczych spojrzeń. – Obiecuj mi.

Papier był welinowy, gruby jak prześcieradło. Ostatnia wizytówka, jaką od kogoś dostałem, która choć odrobinę przypominała tę, była od wielkiego mistrza Harrata.

Uprzejmie prosimy o zaszczylenie nas swoją obecnością.

Walcote House

Marine Drive

Saltfleetby

24-25 kwietnia 99

RSVP

– Przyjedziesz, prawda?

– Będzie tam Anna Winters?

– Jasne.

Ściskając kartonową walizkę, lawirowałem po głównej drodze odchodzącej od stacji Saltfleetby. Dziwne tu były tramwaje, z otwartymi bokami i płóciennymi dachami w niebieskie i czerwone pasy. Kierunek jazdy miały wypisany kredą, sapaty i grzechotały na martwych torach. Nawet wozy i perszerony wyglądały tu inaczej, a tropikalne palmy, które widziałem na pocztówkach w londyńskich lombardach, trzepotały na wietrze jak zwariowane parasolki. Minąłem grządki i białe altany, zszedłem schodkami w miejsce, gdzie podłoże oślepiało bielą, a stopy ślizgały się i zapadały, jak we śnie. I oto błękitne na zielonym na szarym na błękitnym, zobaczyłem otwarte morze. Pierwszy raz w życiu.

W kawiarni nad brzegiem wypilem imbryczek herbaty i przestudiowałem dzisiejszy „Dziennik Cechowy”. Wreszcie, co niebawem, zamieścili informację o wielkim strajku, choć roilo się w niej od błędów. Powodem strajku była obniżka płac paromistrzów, którzy utrzymywali w ruchu maszynownie napędzające londyńskie tramwaje. Przez całe trzy dni tory tramwajowe milczały, pieśń Londynu zmieniła brzmienie. Złamano strajk, proponując paromistrzom drobną podwyżkę, jeśli wrócą do pracy i będą pracować dłużej, tych zaś, którzy się nie zgodzili, zwolniono i wygnano. Dziel i rządź, jak zawsze. Tramwaje znów ruszyły, ale te trzy dni były dla mnie zwiastunem czegoś lepszego i niemal żałowałem, że opuszczam Londyn, choć na krótko.

Ale o której przybyć do Walcote House? I jak tam dotrzeć? Kelnerka z kawiarni udzieliła mi mętnych wskazówek i ruszyłem na zachód po jasnym piasku, mijając przysadziste molo z żywostali oraz rodziny z wypożyczonymi leżakami i parawanami. Mężczyźni, bosci, o wakacyjnie nieogolonych policzkach, walczyli z gazetami. Dzieci grzebały łopatkami w morskiej pianie. Szedłem dalej, plaża ucichła, a brzeg wypiętrzył się w białe jak weselny tort klify. Poranne słońce grzało coraz bardziej. Tutaj, gdzie w falach odbijały się wieże wyglądających znad klifu coraz bardziej niezwykłych budowli, nie było już sprzedawców muszli, nie było oślich gówień. Biały piasek oślepiał. Niebo oślepiało. Spocony, mrużąc oczy, wspiąłem się po schodach prowadzących na Marine Drive. Morze pode mną wyglądało na zagubione i odległe. Domy kryły się za murami. Szedłem dalej na obolałych stopach. Walcote House – wyobraziłem sobie elegancki pensjonat nad brzegiem, wysoki, rozległy. Lecz tramwaje z Saltfleetby nie docierały tak daleko, a przejazd każdej prywatnej karety był wydarzeniem sam w sobie, najpierw błysk lakieru, potem powoli ukazywały się przyciemnione szyby.

Wreszcie nadeszło lato. Było upalnie i bezwietrznie jak w południe. Gdy obejrzałem się na migoczącą drogę, błysnęła mi następna kareta. Zbliżała się do mnie powoli i gładko, po czym zatrzymała się na poboczu tuż przede mną. Stworzenia, które ją ciągnęły, były zbyt piękne, by nazwać je po prostu końmi. Miały białe czapraki o odcieniu piasku i morskiej piany. Ich oddech świstał ostro, punktowany parsknięciami i poskrzypywaniem upręży, przewracały rubinowymi oczyma. Stangret w liberii cmokał i gładził je po bokach dłonią w rękawiczce. Skinąwszy głową w odpowiedzi na głos z wnętrza karety, otworzył dla mnie drzwi.

– No, mistrzu Robercie? – dobiegł mnie damski głos. – Nie wsiada pan?

W pierwszej chwili dostrzegłem tylko twarz wielkiej cechmistrzynie Sary Passington, lśniąca w ciemności jak porcelanowa maska wrzucona w otchłań studni. Usiadłem naprzeciw niej. Kareta szarpnęła niespokojnie i ruszyła.

– Trzeba mi było powiedzieć. Mogłabym cię podwieźć... Chyba nie przyjechałeś pociągiem, co? Pełnym nieświeżo pachnących wycieczkowiczów? – Zaskakiwało ją wszystko, co zrobiłem, żeby

dostać się do Saltfleetby. – A za kogo się przebierasz na jutrzejszy bal? Co za sekrety masz w tym swoim... tym swoim kufierku?

Kareta była wystarczająco obszerna, by pomieścić sześć osób, ale ponad połowę zajmowała suknia Sadie. Niebieskoszara, z lekkim odcieniem zieleni, obszyta koronką u dołu i wokół ciemnego rowka między piersiami, skrzyła się i szeleściła, gdy kareta turkotała na drodze.

– Byłeś już kiedyś w Saltfleetby?

– W ogóle pierwszy raz jestem nad morzem.

– Robbie, jaki ty jesteś niewinny! Założę się, że robiłam już wszystko to, czego ty jeszcze nigdy. I że ty robiłeś w życiu wszystko to, czego nie robiłam ja.

– Oboje żyjemy, jemy, oddychamy... Uśmiechnęła się.

– No cóż, o to też trzeba się będzie zatroszczyć, prawda?

Słońce przesunęło się na niebie. Przejeżdżaliśmy przez ogrody, potem obok jeziora. Promienie słoneczne przesuwają się po skórzanej tapicerce. Jeden padł na rękaw Sadie, potem na aksamitkę na jej szyi, która miała taki sam połysk jak sierść wspaniałych koni.

– Tak ci zazdroszczę, że pierwszy raz przyjeżdżasz do Walcote... Budynek, który ukazał się przed nami, z pewnością nie był domem mieszkalnym. Biały, z rowkowanymi kolumnami, wyciągał w przód dwa skrzydła jak kleszcze olbrzymiego marmurowego kraba. Obejmował nimi fontannę znacznie większą niż londyńska Wielka Opera i owalny podjazd. Był tak wielki, że przez dłuższą chwilę, choć powóz, kołysząc, podskakując zmierzał ku niemu, miałem dziwne wrażenie, że wcale się nie zbliżamy.

– Przyjechaliśmy! – wykrzyknęła śpiewnie Sadie. – Nareszcie w domu! Straciłem ją z oczu, kiedy z karety wyładowywano i wnoszono po schodach jej bagaże, kufry, z połysku i z faktury przypominające trumny. Cechowi i cechowe, które służyły tutaj, były przyzwyczajone do przyjmowania gości. *Tędy, mistrzu...* Ponieśli mi walizkę, choć była lekka, dwa razy zapytano mnie, czy nie mam innych bagaży. *Bardzo proszę uważać na stopień...* Poprowadzono mnie przez olbrzymi hall, w górę schodami i korytarzami. Wszędzie stały rośliny, wielkie kwiaty w wazonach, w donicach, pnące się po ścianach pełnych sztukaterii i gobelinów. Na tacach leżały przekąski. Istotnie, w Walcote House zaczynało się dzisiaj coś wielkiego.

Pozostawiono mnie w słonecznym pokoju, gdzie pachniało świeżo wypranymi ręcznikami i prześcieradłami. Mój osobisty apartament. Sącząc musujące wino, które zauważyłem na komodzie, przygotowałem sobie kąpiel. Zanurzyłem się w aromatycznej wodzie i czułem, że moje lata rozpuszczają się w niej jak pachnące sole, które syczały wokół mnie. To prawda, byłem starszy. Piers porosła mi szewronem ciemnych włosów, na lewym ramieniu miałem białą bliznę – pamiątkę po walce o terytorium ze sprzedawcami „Narodu Socjalistycznego”. Lecz patrząc w przesłonięte parą witrażowe romby w oknie, znalazłem się z powrotem w tamtym londyńskim hotelu, z Sadie i Annalise, przygotowując się do tańców, które zaraz zaczną się na nabrzeżu.

Owiąłem się w ręczniki i otworzyłem okna, żeby wypuścić parę. Mój pokój był po przeciwnej stronie niż główne wejście i parę pięter wyżej. W ogrodach falowały szpalery połyskujących metalicznie nibylip, pod nimi przechadzali się liczni spacerowicze. Cisnąłem walizkę na łożo z baldachimem. Tutaj wydawała się o wiele mniejsza i bardziej tandetna, niż kiedy kupowałem ją w sklepie żelaznym. Przypomniałem sobie, że mój ojciec też miał taką, trzymał ją na swe rzadkie podróże do Akademii Cechu Ślusarzy w Yorku. Na moment w powietrzu zawisł zamknięty w niej aromat Londynu, potem wyparły go inne zapachy. Wziąłem ze sobą nową marynarkę, po doświadczeniach sprzed pracokresu wybrałem czarną, oraz dwie najlepsze pary spodni, trzy koszule, parę kołnierzyków różnego kroju i nowo podzielowaną parę butów. Teraz wcale

nie wydawało mi się, że to dużo. Tamtej nocy świętojańskiej, bliskiej i odległej zarazem, Annalise znalazła mi świeże ubranie w najlepszym gatunku. Czy dziś też się tego spodziewałem, tak jak spodziewałem się ją spotkać?

Ubrany w najlepsze spodnie i nową marynarkę, wyruszyłem na zwiedzanie Walcote House. Z pewnością nie był to hotel. Nic nie było ponumerowane, choć zauważałem pewne wskazówki. Każdy odcinek korytarza miał swój własny motyw barwny. Bładoniebieski, zielony, rozmaite odcienie czerwonego i różowego. Wszystko było utrzymane w tej tonacji, nawet kwiaty i owoce na paterach. Lecz główne pomieszczenia, ogromny hall, przez który tu wszedłem, nawet moja sypialnia – wciąż nie mogłem ich rozróżnić. I zablądziłem, w ten irytujący sposób, kiedy w kółko przechodzi się przez te same miejsca. Zdążyłem zniechęcić pewien klasycystyczny pejzaż na ścianie. Tam, w Easterlies, łatwo znalazłbym drogę, orientując się po iglicach wież, zapachach i zmieniających się krajobrazach ulic...

Wreszcie, gdy już byłem pewien, że idę w kompletnie bezsensownym kierunku, znalazłem się na dywanie tak grubym, że pozostały na nim odciski stóp kogoś o takiej samej długości kroku i numerze buta jak mój. Zrobiłem ślady tuż obok tamtych – były identyczne. Idąc własnym tropem jak dziecko przez śnieg, dotarłem do drzwi, które obiecująco przypominały drzwi mojego pokoju. Już miałem pociągnąć za klamkę, gdy zza zakrętu korytarza wypadła Sadie z miną, która na mój widok zmieniła się nieco zbyt szybko. Włosy miała upięte srebrnymi grzebieniami i zmieniony makijaż.

– Mistrz Robert! Cieszę się, że znaleźli ci taki ładny pokój.

– Wydaje mi się, że to mój pokój. Ale po czym to poznajesz? Zachichotała.

– To na pewno twój pokój. Każde drzwi w tym skrzydle są zrobione z innego gatunku drewna. Jeden z dawnych arcycehmistrzów miał takie upodobanie. – Położyła dłonie na powierzchni pokrytej spiralnym wzorem, bardziej przypominającym marmur niż słoje. – Takie chyba rośnie w Thule. – Potem wypowiedziała coś jeszcze, dźwięk, który rozpoznałem jako prosty cechowy zaśpiew. Dziwnie było słyszeć coś takiego z jej ust. Klamka przekreśliła się, drzwi się uchyliły, choć wcale ich nie dotknęła.

– Tyś to zrobił?!

Weszła przede mną do pokoju.

– Mam głowę po brzegi pełną bezużytecznej wiedzy. Wiedzy użytecznej będziesz musiał poszukać gdzie indziej. – Z kieszeni w okolicach talii wyciągnęła stalowe pudełko i zapalniczkę. Odgoniła dym ku oknom, jakby płoszyła ptaki. – Strasznie mi się chciało zapalić. Tata mi nie pozwala. Mówi, że to nieestetyczne i damom nie przystoi...

Poczęstowała mnie. Uśmiechnąłem się, odmawiając, zamknąłem moją kartonową walizkę i przesunąłem ją, żeby nie leżała na widoku. Usiadłem na krawędzi łóżka i przyglądałem się Sadie, która kręciła się po pokoju. Zastanawiałem się, czy oni naprawdę cały czas tak żyją – ci bogaci ludzie z wysokich cechów, owiani skłębionym dymem, opromienieni blaskiem słońca i tajemnicą. To miejsce, musiałem sobie powtarzać, to ośrodek wszelkiego zła toczącego Anglię. Truskawkowa tapeta, inkrustowana szafka. Wszystko to bezcelowa rozrzutność, na którą pracują masy.

– Sadie, kto jest właścicielem tego domu?

– Właścicielem? – Przesunęła papierosa w kącik ust, a puder wokół jej oczu zaczął się łuszczyć w nagle nieprzyjemnym blasku światła. W końcu, pomyślałem, wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. A w niej, wielkiej cechmistrzyni Sarze Passington, kryje się jakaś wiedza, jakiś smutek, którego nie rozumiem. Oczywiście, ci ludzie powinni być przynajmniej trochę szczęśliwi. Są to winni milionom, które eksploatują. Zgasiła papierosa w miseczce z potpourri. – Nigdy nie zastanawiałam się, kto jest właścicielem Walcote. – Machnięciem ręki odgoniła dym i na chwilę opuściła głowę

w namyśle. – Ktoś musi być, prawda? Chyba można powiedzieć, że jest nim tata, skoro to posiadłość Cechu Telegrafistów.

– Czyli twój ojciec jest...

– ...Arcycechmistrzem. – Sadie rzuciła mi kolejne spojrzenie, pełne ukrytych znaczeń i sprzeczności. – Rządzi całym tym cechem. A przynajmniej tak mu się wydaje.

Zapadła cisza.

– Kiedyś wspaniale bawiliśmy się tu w chowanego – powiedziała w końcu. – Chociaż, mniej więcej pokolenie temu, wydarzyła się smutna historia. Jednego chłopca znaleźli dopiero po latach, w kredensie, zmumifikowanego jak stare jabłko. Tacy to są służący, podobno sprzątajają... Ale teraz wszystko bardzo się zmieniło... Dzieci, z którymi się bawiłam, teraz są dorosłe.

– Anna Winters często tu przyjeżdża?

– W tamtych czasach, zabaw w chowanego, nie bywała tutaj. Chociaż... trochę później... – Sadie zrobiła zdziwioną minę. – Prawie widzę ją, jak wędruje korytarzami, brzękając klamerkami starych sandałów. – Pokręciła głową. – Nie, Anna chyba nigdy taka nie była. Jest tak dystygowana, elegancka. Powiedz mi, Robbie, jaka ona naprawdę kiedyś była?

– Wydaje mi się, że jak się jest dzieckiem, widzi się wszystko trochę inaczej.

– Hm... Stary dom nad wodospadem. Śmierć rodziców. Ta straszna ciotka. – Sadie wzięła ze lśniącej gotowalni srebrną szczotkę do włosów. – Pamiętam, jak Anna przysłała do szkoły u Świętego Judy, jakby pojawiła się znikąd. W każdej klasie jest ktoś taki. Ktoś, o kim doskonale wiesz, że nie dasz rady z nim konkurować. Obojętne co włożysz, obojętne co robisz, kim jesteś, zawsze jest... Anna. I ona wybrała mnie na przyjaciółkę. To było wspaniałe. Chciała się ze mną zaprzyjaźnić, ze mną, bogatą, niezręczną Sadie Passington, która jest średnia w wielu rzeczach, ale w niczym specjalnie dobra i ciągnie za sobą cały przeklęty cech i wszystkie jego rody jak wielką ołowianą kulę z nogi... Co wieczór mogłam szczotkować jej włosy. – Wciąż trzymając oprawną w srebro szczotkę, podeszła do okna. – Kiedy jest Anna, wszystko jest jaśniejsze, ciemniejsze, inne... O, ty, Robbie, na pewno też masz coś do powiedzenia o niej... Poczęstuj się, proszę, papierosem...

Wziąłem jednego z papierosnicy. Smakował jak pióra uperfumowanego ptaka. Rzeczywiście, miałem coś do powiedzenia; wspomnienia o Annie Winters już czekały, jakby były w pamięci od zawsze. Miętowy zapach rozkładu i niebieskich dzwonek na porośniętych lasem zboczach w ogrodzie starej ciotki. Ja i Anna Winters. Anna Winters i ja. We dwoje zwiedzamy pełną mokrych liści dolinę, bawimy się w wyścigi patyków rzucanych na rzekę z mostu, poganiając je, aż gong zawoła nas na obiad, do domu obok wodospadu...

Sadie usiadła na łóżku obok mnie, podskakując na sprężynach. Gdy pochylała się ku mnie, a jej naszyjnik skrzył się przy każdym uderzeniu serca, zdecydowałem, że to jest znacznie lepsza wizja przeszłości niż ta prawdziwa – z Redhouse, Bracebridge i tym strasznym wypadkiem. Przyznałem rację pani Summerton: zbyt surowo osądziłem Annę.

*

Sadie oprowadziła mnie po Walcote House. Od wschodniego skrzydła, przez salony większe niż hala dworca Aldgate, po wąskie schodki będące częścią ukrytych mechanizmów tego wielkiego pałacu, skomplikowanego bardziej niż największa z fabryk. Potem balkon nad parującym kraterem głównej kuchni. Dom zaopatrywały całe farmy znajdujące się na obrzeżach posiadłości, po zawiętrznej, zasłonięte przez specjalnie usypane wzgórza. Była tu nawet podziemna kolejka. Były telegrafy, tunele oraz przypominające plastry miodu przewody, nawiewające czyste powietrze o dowolnej temperaturze, której akurat nie mogła zapewnić pogoda na zewnątrz. A przy tym cały czas, pokazując mi to i to, i to, Sadie ciągnęła mnie za język, bym opowiadał o swoim życiu. Był to

dość osobliwy kontrapunkt.

– Co to oznacza „być radykałem”? Czy kazałbyś mi zwolnić młodszego mistrza Johnsona, który zbiera w oranżerii opadłe płatki, tylko dlatego że jest już stary i nie robi nic produktywnego?

– Sadie, prawdziwa produkcja oznacza wytwarzanie rzeczy, których ludzie potrzebują.

– A co, nic z tych rzeczy tutaj nie jest potrzebne?

Był to rzeczywisty problem – co począć z takimi cechowymi jak tysiące ludzi obsługujących Walcote House, choć nigdy nie słyszałem, by dyskutowano o tym na zebraniu Sprzymierzenia Ludowego. Z całą pewnością trzeba by ich przekwalifikować, zreedukować. A ten wielki pałac również należałoby opróżnić i pozbawić wszystkich luksusów; dzięki dużym salom i wielu sypialniom nadałby się na przykład na akademię obywatelską. Obrazy i ozdoby można by przekazać do muzeum. Lecz była to zbyt okrutna prawda, by wyjawić ją Sadie, poza tym domyślałem się, że ona wie znacznie więcej, niż sądziłoby się po jej chytrze nietrafnych pytaniach. O wielkiej cechmistrzyni Sarze Passington wiele można by powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest głupia.

– I pewnie też wy, rewolucjoniści, macie dużo tajemnych gestów i haseł, tak jak cechowi?

– My jesteście inni niż cechowi. Pod każdym względem. I o to właśnie chodzi.

Staliśmy w obitym pluszem korytarzu bez okien. Był ślepy, a jego zielone jak liście wierzby ściany wyglądały niemal ostentacyjnie zwyczajnie.

– Ale my możemy wymienić się paroma sekretami, mistrzu Robercie. Co ty na to?

Otworzyłem usta, by zapewnić ją, że prawdziwa wiedza jest bezcenna, i zaraz je zamknąłem, gdyż Sadie zaczęła rozluźniać gors z pereł podtrzymujący głęboko wycięty przód jej sukni. Niestety, skończyła go rozpinąć, ukazując tylko górną wypukłość piersi. Ściągnęła resztę pereł tworzącą naszyjnik, który podziwiałem wcześniej. Nanizane na sznur klejnoty były jak wielkie krople, ciemniejsze w środku i lśniące. To nie były perły.

– Tatuś dawał mi po jednym na każde kolejne urodziny. Szkoda, że nie jest ich trochę mniej. A niedługo dostanę następny... ech, o wiele za szybko...

– Co to za klejnoty?

– Słyszałeś chyba o szeptokamieniach. Działają trochę tak, jakby dotykało się głowni, tylko że są przenośne i bardziej użyteczne. Widziałeś, co zrobiłam z twoimi drzwiami. To w zasadzie całkiem proste, kolejny sposób na otwarcie czegoś, tyle że nie trzeba się męczyć przekręcaniem klamki. Ale spróbuj sam... – Sadie wcisnęła mi klejnot w rękę; szeptokamień był w dotyku ciepły jak kurze jajo. Wciąż nie miałem pojęcia, co to takiego, tyle że pewnie trzeba do tego mnóstwo pieniędzy i eteru, ale zamykając dłoń, usłyszałem, jak coś zadzwoniło mi w głowie.

– Co to było?

Zachichotała.

– Szeptokamień wyjawia ci swój sekret. A teraz... – Odwróciła mnie do pustej zielonej ściany zamykającej korytarz. – Musisz sam zaśpiewać to zaklęcie.

Ponownie zacisnąłem szeptokamień w dłoni. Dźwięku, który usłyszałem, nie dałoby się zapisać zwykłymi literami alfabetu. Sadie roześmiała się głośno, kiedy spróbowałem go naśladować, wydając odgłos będący czymś pośrednim między skrzekiem głodnego kurczaka a skrzypieniem zepsutych zawiasów.

– Nie. Mniej więcej tak...

Położyła dłoń na zielonej ścianie przed nami i wydała melodyjny, klekotliwy dźwięk. Ściana się zmieniła – pojawiły się w niej drzwi, równie solidne i porządnie wykonane jak wszystkie inne. Sadie skłoniła się lekko, we wciąż porozpinanej sukni, na co drzwi otwarły się, ukazując idące w górę spiralne schody.

– Prowadzą do Obrotowej Wieży – powiedziała, gdy zaczęliśmy się po nich wspinać.

Ta okrągła wieżyczka była najwyższym punktem Walcote House. Zza balustrady na jej szczycie mogliśmy podziwiać z góry skomplikowany układ blaszanych dachów, a dalej zielone i niebieskie krajobrazy reszty posiadłości. Tyle ziemi, tyle nieba i morza, tyle powietrza... Zwykle nie bałem się wysokości, tu jednak zakręciło mi się w głowie. Nad dachami krążyły gołębie, jakby ożywione okruchy kamiennych białych murów. Miałem wrażenie, że mogę przejść po promieniach słońca wiszącego nad Obrotową Wieżą. Pośrodku niej, lśniąc, stała złota głownia.

– Czy ta wieża się obraca? – zapytałem.

– To niezły pomysł! Nie, nie. W każdym razie nie fizycznie. Zbliżyłem się do głowni. Widywałem już takie przedmioty w moich wędrówkach po Easterlies. Rozmaici cechowi za ich pomocą łączyli się z podwładnymi. Jednak żadna nie była aż tak wielka, żadna nie miała też takiego blasku, takiej mocy, takiego połysku. Ta głownia wiała się ku górze jak zestalony płomień, wznosiła się z mosiężnej – a może złotej – podstawy w kształcie kołnierza i kończyła sporo powyżej mojej głowy, trzema szpicami jak czarnym rozdarcim na niebie.

– Do czego służy?

Sadie wzruszyła ramionami.

– To głownia telegraficzna. Taka, jak te wszystkie, które się widzi na zapleczu biur telegrafów. Albo prawie. One mają różne poziomy mocy i różne zasięgi, ta głownia jest jedną z największych, taką znajdziesz na samym szczycie Giełdy Dockland w Londynie i w paru innych punktach.

Obszedłem głownię dokoła. Jednocześnie odbijała światło słoneczne i zdawała się je pochłaniać. Nie rzucała cienia.

– Jest na pokaz – powiedziała Sadie. – Mało komu wolno wchodzić tu na górę.

Zbliżyłem się o krok. Krajobraz przyblakł. Powietrze wokół mnie zaszeptalo. Nawet w to półdzielné popołudnie telegrafy Anglii pracowały pełną parą. Czulem je wszystkie, nieskończony chór recytowanych zamówień, konosamentów, faktur, zawiadomień o urodzinach, śmierci i bankructwie, lecących pomrukującymi drutami z miasta do miasta.

– Ale ja bym jej nie dotykała – dodała oschle Sadie. Odsunąłem dłoń. – Tata kazał mi raz czy dwa dotknąć głowni, i to mniejszej, na jakiejś prowincjonalnej giełdzie, którą musiałam odwiedzić. Zawsze robiło mi się niedobrze i kręciło w głowie.

Odstąpiłem. Powietrze zamilkło. Słońce nad Obrotową Wieżą znów zalało mnie blaskiem.

– Chodźmy, zanim ktoś nas tu zauważy. Popołudnie już się kończy, a ja jeszcze muszę się przebrać przed obiadem.

– Wyglądasz świetnie. Zbiegała już w dół.

– Na nas, dziewczynach, spoczywa większy obowiązek, jeśli chodzi o szyk. Ale dzisiejszy obiad to nic szczególnego. Możesz zejść na dół tak jak jesteś i nikt nie zwróci uwagi. Będzie zaledwie stu gości... – Drzwi za nami zamknęły się i zniknęły. – Nie, ty idź w tamtą stronę. W dół po schodach i prosto. Służący ci pokażą. Nie da się nie trafić...

Błysk jedwabiu i Sadie zniknęła w korytarzu. Pocierając skronie, czując, jak zaczyna się ból głowy, poczłapałem we wskazanym kierunku. Na dół schodami i prosto. Ale w tej części Walcote House było wiele półpięter. Wokół mnie tłoczyły się rzeźby. Zgubiłem się. Potem zauważyłem kogoś idącego białą kolumnadą korytarza. Wymachiwał rękami. Stanowczo postukiwał obcasami. Zaczekałem na niego.

– Chyba trochę się pan pogubił...? – Włosy miał trochę zbyt czarne jak na swój wiek i nieco zbyt długie. Był wysoki i miał delikatne rysy – takie twarze szybko się nie starzeją.

– Próbuje znaleźć swój obiad...

To nie wyszło całkiem tak, jak zamierzałem, ale czarnowłosy cechmistrz uśmiechnął się ze zrozumieniem. Położywszy mi dłoń na ramieniu, prowadził mnie przez kilka kroków, potem wskazał naprzód. Zaraz znalazłem się w olbrzymim głównym hallu i poszedłem tropem gości, którzy zmiierzali w stronę jednego z salonów. Pobrząkiwało szkło. Lustra w ramach zdobnych frędzlami obramowywały ludzi, odrzucających głowy w tył w śmiechu albo machających do przyjaciół. W najdalszym końcu salonu, który był jeszcze większy niż hall wejściowy, przez otwarte drzwi, w półmroku dostrzegłem konstrukcję, którą nazwałbym namiotem, gdyby nie jej ogrom i wykwił. Byłem głodny jak wilk, ale porcje jedzenia na tym dziwnym stojącym przyjęciu były zaskakująco małe: cienkie krążki wafli ozdobione jedną krewetką; samotne bryłki jakby spleśniałego sera. Wziąłem z każdej tacy, co dawali. Poczuję także pragnienie i opróżniłem kilka kieliszków tego samego lekkiego, musującego wina, którego butelkę wypilem wcześniej w sypialni. Wreszcie usłyszałem z dala dźwięk fortepianu i wyruszyłem w tamtym kierunku. Sadie miała rację, mówiąc, że musi się przebrać. Jej suknia, acz elegancka, nie umywała się do kreacji, jakie zobaczyłem w tym salonie. Kojarzyły mi się z bezami. Wciąż byłem głodny i spragniony. Lepsze jedzenie niż te odrobiny dostałbym w każdej jadłodajni na Easterlies – i do tego dobre piwo, choć zaczynałem się rozsmakowywać w tym musującym płynie.

Pianista okazał się młodo wyglądającym mężczyzną z oczyma o ciężkich powiekach i rzędnymi blond włosami, które spadały mu lokami na czoło. Fortepian był długi i wysoki – jak drewniany jacht z podniesionym żaglem – lecz dźwięki wydawał nieśmiały. Zgromadziła się wokół niego grupka zachwyconych słuchaczy. Ja również, nie bardzo wiedząc, co właściwie mam robić, dołączyłem do niej. Mężczyźni kiwali głowami z namysłem. Kobiety powiewały wachlarzami. Wyglądało to, jakby i oni, i muzyka przesiąknięci byli delikatnym rytmem, którego ja, stojąc tuż obok, zupełnie nie mogłem uchwycić. Pasowali tutaj. Pasowali do swych ciał, swych twarzy, swych strojów. Wziąłem z tacy przechodzącego kelnera kolejny kieliszek i opróżniłem go. Powstrzymując beknięcie, zauważyłem, że gromadka młodzieńców odwraca się ku mnie.

Jeden z nich wyciągnął rękę i wymienił nazwisko, którego nie dosłyszałem. Za nim kolejny. Dostrzegłem błysk niezwykle białych zębów. I jeszcze jeden. Ich ciało w dotyku było miękkie i pełne, tak jak u Sadie. *Arcystarszywielkiwyższymistrzegotamtegoiowamtego...* Uśmiechałem się do nich i kiwałem głową.

– *Czymapanbilet?*

– Co?

Powoli się uśmiechnął.

– Czy ma pan bilet?

Zadbałem, by przełożyć zaproszenie od Sadie do marynarki, którą miałem na sobie – właśnie na wypadek, gdyby ktoś zechciał je zobaczyć.

– Gdzieś mam... – Poszperałem w kieszeniach. – Proszę.

Mężczyzna wziął je i obejrzał z wystudiowaną obojętnością. Podał je koledze. Ktoś obok wydał dźwięk, jakby się zakrztusił. Muzyka – tak naprawdę nie lepsza niż dziecięce brzdąkanie jedną ręką – brzmiała dalej. Wszyscy wciąż się uśmiechali. Ale cokolwiek to miał być za bilet, było oczywiste, że go nie mam. Wymanikiurowany paznokieć pstryknął w moje zaproszenie, potem mi je oddano.

– Przydatne, z pewnością. Może się pan dowiedzieć, gdzie pan jest, prawda?

Możesiępandowiedziećgdziepanjest, prawda? Rozszyfrowanie pozlepianych słów zajęło mi chwilę. Powstrzymywany rechot jego towarzyszy rozniósł się i przygasł.

– A od kogo pan dostał ten bilet na przedstawienie? – zapytał ktoś inny. Na moich Easterlies nie trzeba było rozumieć żartu, żeby strzelić kogoś za niego w pysk. Ale tutaj nie było takiej możliwości.

– Zaprosiła mnie Sadie Passington – odparłem. Oczekiwałem, że znów się roześmieją, ale to nazwisko na chwilę ich uciszyło. – Spotkałem się z nią dziś po południu. – ciągnąłem. – Pokazała mi...

...*ZnaleziskoSadie*. Ktoś inny szepnął to jeszcze raz. Przerwałem, zapominając, co usiłowałem powiedzieć. *NastępneczknaleziskoSadie*. Jak jakiś nowy cech, nowy język. A młodzieńcy wokół uśmiechali się podstępnie. Wszystko już wiedzieli. Zauważyłem, że muzyk przestał grać. Zacisnąłem dłonie na pustym kieliszku. Skóra mnie mrowiła.

Gdy ktoś położył mi rękę na ramieniu, aż odskoczyłem.

– Proszę posłuchać... mistrz Robert, prawda? Trochę tu gorąco, nie uważa pan? – Ciężkie powieki mężczyzny, który grał przedtem na fortepianie, zbliżyły się do mnie, poczułem zapach brylantyny. – Może oprowadzę pana trochę po posiadłości. Atmosfera jest tam o wiele lepsza... – Usłyszałem jeszcze pożegnane szepty i szliśmy już po tarasie pod wieczornym niebem.

– Przepraszam za nich. – Przysiadł na omszonym murku obok krzewu róż. Długie, niskie promienie słońca przeświecały przez jego rzędzące włosy. – Znam ich od lat. Są jak... jak by to pan określił? Kiedy nagle pojawia się coś ciekawego, coś nowego?

– Jak muchy nad kupą gówna? Zachichotał raz, potem drugi, głośniej.

– Muszę to zapamiętać! Ja jestem tylko czeladnikiem, zapewne tak jak pan. Gram za kolację i będę wdzięczny, kiedy się w końcu pojawi.

– Czy nie jest już po kolacji?

– Ależ nie. – Wskazał brodą olbrzymi namiot, mogący pomieścić kilka cyrków. – Tam będzie kolacja. To były tylko *hors d'oeuvres*. Chociaż, panie Robercie, powinien pan raczej nazywać to obiadem, nie kolacją.

– Dzięki. Spróbuję zapamiętać. Ja... eee... Uśmiechnął się.

– Nie przedstawiłem się jeszcze, prawda? Pomyśli pan sobie, że jestem takim samym ignorantem jak oni. – Wyciągnął do mnie miękką dłoń. – Wyższy mistrz George Swalecliffe. Należę do Cechu Architektów, przynajmniej nominalnie, nie żeby dali mi kiedykolwiek coś zbudować. I dlatego muszę czekać na okazję wśród tych ludzi i grać na fortepianie, kiedy sto razy bardziej wolałbym nadzorować wylewanie fundamentów. A tak na marginesie, jak się panu podobała moja skromna kompozycja? – Wreszcie puścił moją dłoń.

– Ma pan na myśli to brzdąkanie na fortepianie?

Jego niebieskoszare oczy pojaśniały. Zaraz przygasły znów.

– Na pana miejscu niespecjalnie bym się przejmował moją opinią – dopowiedziałem. – Ja tak naprawdę jestem tu obcy.

– Proszę mi mówić po prostu George. I nie powinieneś, Robercie, tak lekceważyć własnych opinii. One zawsze są ważne. Proszę. – Poklepał murek. – Proszę, usiądź koło mnie. Musisz być tym rewolucjonistą, o którym Sadie tyle nam opowiadała. Nawet kiedy nie wiedziałem, kim jesteś, cieszyłem się na spotkanie z tobą. Mamy ze sobą tyle wspólnego. W końcu... – Pstryknął palcami, by przywołać kelnera z kieliszkami wina. – Obaj jesteśmy socjalistami.

Wypiłem łyk wina i zapatrzyłem się w bąbelki. Zabrakło mi słów, nie po raz pierwszy w Walcote House.

– Dobrze znasz Sadie?

– Wszyscy znają Sadie. A czy dobrze...? Muszę cię ostrzec, że nasza słodka Sadie ma zwyczaj

zapraszać tutaj ludzi, a potem... hm... zostawiać ich samym sobie. Nie robi tego celowo, ma mnóstwo dobrej woli. Ale potem pojawia się coś innego i odwraca jej uwagę...

– Chyba wiem, co masz na myśli.

Wyższy mistrz George wskazał brodą wielki budynek za nami, stojący wśród białych kamiennych kolumn i przypór jak wspaniały szkielet; czubek wieży wznosił się pośród zmierzchu jak uniesiony kościsty palec.

– Halle i tajemne przejścia, co? Mówią, że ten pałac zużywa więcej eteru niż cały Londyn w pracowity pierwszak. I wszystko to marnuje się na sztuczki na przyjęciach, dla paru tysięcy wybrańców, których pieniądze i władza biorą się z przynależności do wielkich cechów, albo dla tych, którzy nie mają ani jednego, ani drugiego, jak ja. Co za marnotrawstwo. Z rozkoszą doczekałbym dnia, kiedy Sadie wprowadzi tu tłumy sprzedawczyń i zamiataaczy ulic, a potem da im jeszcze prezenty na pamiątkę. Tam, w tej altanie mógłby być barek z herbatą. Na trawnikach graliby w futbol, a słupki bramek zrobiliby z tych rzeźb. Spaliby w salonach, za jednego pensa. Wolno nam, socjalistom, mieć swoje marzenia...

Po tarasowych schodkach zaczęli wychodzić inni goście. Usłyszałem gong, ale nie czuło się pośpiechu. Wszędzie, wśród śpiewu ptaków, szmeru drzew i stłumionego chlupotu fontann, słyszałem te same syczące głosy, śpiewające radosny, szepczący hymn jednego, jedyne Wielkiego Cechu Bogatych. Wyższy mistrz George wskazał mi matkę Sadie, drobną istotkę z przywiedłą twarzą, wymalowaną prawie jak pan Snaith. A tam szła sobie para, dobrze w średnim wieku. Choć byli nieduzi i zwyczajni, coś przykuło mój wzrok. Mężczyzna miał przebiegły, szczurzy wyraz twarzy, a kobieta trzymająca go pod rękę mogłaby być jego grubszą siostrą bliźniaczką. Nasze spojrzenia się spotkały, a zanim odwrócił wzrok, coś przez chwilę poczułem.

– Kto to są ci tam?

– Aaa... to państwo Bowdly-Smart... – Wyższy mistrz George cmoknął. – Ale wierz mi, są dość obrzydliwi. Jak to zawsze nowe pieniądze. O! Tu idzie ktoś...

Wśród gości nastąpiło poruszenie, głowy odwracały się jak kwiaty do słońca. Mężczyzna, który się pojawił, wydawał się ledwie zauważać te spojrzenia. Nosił ten sam garnitur co wtedy, gdy pokazywał mi drogę. Elegancko uszyte ubranie, choć nie szlachetniejsze niż większość tutaj, przystrojone tylko czerwonym krawatem oraz gładką koszulą bez marszczeń. Jego zbyt czarne, zbyt długie włosy sięgały aż do kołnierzyka, miały przedziałek, a na szerokim czole opadały ciężkim kędziorem. Jakby zupełnie nie przejmował się swym wyglądem – prawie, lecz niezupełnie.

– To jest arcycehmistrz?

– Naturalnie.

Wokół niego utworzyło się morze ludzi. Rozstępowało się, gdy kroczył przez taras. Mężczyźni poprawiali rozporki, szpilki cechowe. Kobiety falowały biustami i wachlarzami. A za nim szła córka, wielka cechmistrzyni Sadie Passington; w kremowej sukni wyglądała przepięknie. Patrzyła na mnie przez chwilę. Uśmiechnęła się figlarnie.

– Dla nas to też jest sygnał. – Wyższy mistrz George wstał, a ja razem z nim.

Ale gdy goście rozplywali się po tarasach, mnie coś przytrzymało na miejscu.

– O co chodzi, przyjacielu?

Jakby tknięci jedną myślą, odwróciliśmy się ku domowi, który był teraz rozświetlonym statkiem unoszącym się nad przejrzystą szarością tarasów i ogrodów. Gong umilkł. Ptaki przestały śpiewać. Przez otwarte drzwi w półmrok wyszła Anna Winters.

– O, Anna! Zaczekaj...

Na dźwięk głosu wyższego mistrza George'a zatrzymała się i odwróciła. – Tak późno

przysłaś... – Podbiegając ku niej, nabrał tchu. – Prawie wszystko cię ominęło.

– E, nie wydaje mi się – mruknęła. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego, w końcu spojrzała na mnie.

– Och, Anno, tego wieczoru chyba całkiem zapomniałem o dobrych manierach. To jest mistrz Robert, ehem... Borrow, prawda? Zdaje się, nie wspominałeś, z jakiego cechu. Prowadziliśmy niezwykle interesującą rozmowę.

– My się znamy.

– Znacie się?!

Annalise odwróciła się ku mnie. Za sobą miała światła Walcote House. Jej rysy kryły się w cieniu, a włosy były samym światłem.

– Co ty tu robisz, Robercie?

Miała miękki, delikatnie pytający głos. Ale czułem gniew bijący w moją pierś. *Odwiedziłeś Missy na Krańcu Świata, tutaj też jesteś, co tu robisz? Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?*

Nastąpiło dłuższe milczenie. Powoli uświadomiłem sobie, że wyższy mistrz George wciąż stoi między nami. Odchrząknął.

– No cóż... – Wyciągnął do niej zgięty łokieć. – Pozwolisz mi się zaprowadzić?

Poszedłem za nimi w stronę wielkiego namiotu. Wewnątrz, w uwieczonym pod tkaniną upale, stały kolejne napoje, tace i służący. *Czy łaskawy pan mógłby wskazać... Może łaskawy pan wolalby...* Ten akurat łaskawy pan był całkiem zagubiony, ale wyższy mistrz George wyplątał się z objęć Anny, by pomóc mi znaleźć miejsce, a potem zasiadł przy mnie pod olbrzymim, rozświetlonym namiotem. Anna Winters zajęła miejsce parę stołów dalej.

Anthony Passington, nadzwyczajny arcycechmistrz Wielkiego Cechu Telegrafistów, wśród oklasków dotarł do pierwszego stołu, na podwyższeniu, gdzie siedziały już Sadie i jej matka, malowana suszona śliwka. Potem wszyscy wstali, a kanonik Vilbert zaintonował modlitwę, która, jak jakiś długi, nudny cechowy hymn, wydawała się już docierać do zakończenia, kiedy dopiero nabrała wiatru w żagle. Ale przecież jeśli tak się żyje, jest za co dziękować Bogu. Przez dłuższy czas stałem ze spuszczoną głową i złożonymi rękoma. Potem dyskretnie uniosłem wzrok i zobaczyłem, że wszyscy poza mną wpatrują się w dach namiotu. Było to dla mnie ciekawe objawienie – członkowie Wielkiego Cechu Bogatych nie spuszczają oczu, modląc się, ale patrzą wprost w górę, na Boga. W końcu są mu prawie równi.

Anna Winters, na ile mogłem zobaczyć poprzez dwa stoły i potężną kwiatową dekorację przede mną, stała tak samo jak inni. Nieco dalej przy moim stole siedzieli państwo Bowdly-Smart. George miał rację – byli wstrętni i brzydki. Mężczyzna miał szurzą, spiczastą twarz. I on, i jego rumiana żona wyglądali jak przebrani, podczas gdy wszystkim innym eleganckie stroje pasowały jak druga skóra... Głos kanonika uniósł się w kolejnym spazmie przymiotników, zamilkł na moment, po czym zaczął brzęczeć dalej. Anna, jak zauważyłem, zerkając wokół kwiatów, wciąż miała uniesiony wzrok. Gdybym przechylił szyję i odrobinę zmrużył oczy, jej twarz stałaby się jednym z kwiatów w bukecie, najpiękniejszym z nich. Anna Winters – Annalise – jako kwiat. Coś, co mógłbym chwycić, wyrwać, mieć. Lecz była tak odległa. Powietrze zafalowało na moment. Prawie jej tu nie było. Jak pustka w oczach.

W głowie szumiało mi od wina i nadziei. Ten przeklęty wazon. Nie wiem, może jęknąłem z cicha, bo przy końcowym „amen” poczułem, że wyższy mistrz George i paru innych siedzących nieopodal gości zerknęli na mnie. Wszyscy teraz siadali. Kelnerzy serwowali pierwsze danie gościom przy pierwszym stole. Stałem jeszcze przez chwilę, w nadziei, że uda mi się lepiej przyjrzeć Annie. Lecz kwiaty wciąż mi przeszkadzały. Niby przypadkiem pochyliłem się, by odsunąć liść

paproci. Sięgając przez stół, zauważyłem, że moje palce stały się niemal niewidzialne, jak dym. Zaskomliłem, a wazon z kwiatami, mimo że z pewnością jeszcze go nie dotknąłem, eksplodował powodzią szkła i łądyg. A potem zapadłem się albo stół się uniósł, wszędzie chlupała woda, a biały obrus się zsuwał.

Gdy tak leżałem wśród sztucców na podłodze, nade mną nachylało się wiele twarzy, ale tylko u wyższego mistrza George'a dostrzegłem zatroskanie. Reszta patrzyła na mnie z niesmakiem, gdy chwiejnie wstawałem, protestując, że nawet nie dotknąłem tego wazonu. Służący tymczasem wycierali, czyścili i na nowo nakrywali stół. Potem ustawiono na nim, przede mną, nową i jeszcze większą kompozycję kwiatów, jeszcze bardziej zasłaniającą mi Annalise. *NastępneneznaleziskoSadie*. Szept dryfował wśród szczęku sztucców. Kiwnięcia głów, uśmiechy. Kwiaty pulsowały jak twarze; twarze były jak kwiaty, jak cieplarniane rośliny u pani Summerton – u Missy, której w ogóle nie powinienem był odwiedzać. Następne znalezisko Sadie. Oczywiście. To ja.

Tak zaczął się jeden z najgorszych wieczorów w moim życiu. Kompromitacja w towarzystwie może wydawać się niczym w porównaniu ze śmiertelnym cierpieniem, tępym strachem nędzy, agonią fizycznego bólu. Ale kiedy się z siebie naśmiewają, kiedy wychodzisz na głupka – to jest nie do zniesienia nawet dla ulicznych kundli. Pierwsze danie składało się z przepiórczych jaj, z których, zakłopotany, w mokrym ubraniu, próbowałem wydłubywać nadzienie końcem jednej z wielu łyżeczek. Usłyszawszy szyderstwa, uniosłem wzrok i zobaczyłem, że inni goście obłupują skorupkę palcami i zjadają jajka w całości. Potem, kiedy upuściłem tę łyżeczkę i schyliłem się po nią, zamiast zostawić ją dla służącej, wyższy mistrz George starał się uprzedzić moje kolejne problemy dyskretnie szeptanymi podpowiedziami. Ale było już za późno. Widziałem, że kiedy podawano każde kolejne danie, goście przy moim stole, a także przy paru sąsiednich bardziej interesują się tym, jak sobie z nim poradzę, niż samym jedzeniem.

Salatkę należy zawsze jeść z bocznego talerzyka. Niektóre dania można spożywać palcami jak dzikus, inne trzeba kroić nożem. Nie zaleca się picia dużych ilości wina na pusty żołądek przed rozpoczęciem jedzenia ani tłumienia przytłaczającego poczucia własnej głupoty przez dalsze picie w trakcie posiłku. Przede wszystkim zaś najlepiej jest ignorować uwagi nieprzeznaczone dla twoich uszu, nie prosić głośno o powtórzenie ich i nie cieszyć się sarkastycznie, gdy po długiej przerwie, po wymianie spojrzeń, słyszysz w ich miejsce zupełnie coś innego.

Wciąż podawano kolejne dania, a mnie zaczęło się przewracać w żołądku. Wytoczyłem się na zewnątrz, padłem na kwietne rabaty pod wyszczerzonym księżycem, a śmiech płynął ze mnie wraz ze łzami, gdy wypluwałem z siebie wielkie ilości tego, co wcześniej zjadłem. Co ja tu w ogóle robię? Przedtem myślałem, o ile w ogóle sobie to należycie przemyślałem, że będzie to okazja, by poobserwować rzadki gatunek – obrzydliwie bogatych – w ich naturalnym, zagrożonym środowisku, zanim wyginą. A poza tym, oczywiście, chciałem zobaczyć Annę. Ale w ogóle nie przyszło mi do głowy, że będę się wyróżniał jak małpa na weselu. W końcu czy nie poradziłem sobie świetnie w tamtą noc świętojańską? Przecież to byli ci sami ludzie. Te same garnitury. Te same twarze. Nawet teraz, kpiąc i szepcząc w ciemności, skupiali się wokół mnie. Ale wtedy w tej sali balowej płynąłem, a właściwie unosiłem się ponad wodą, jedzenie nie sprawiało mi kłopotu i tańczyłem jak derwisz do każdej melodii...

Za mną toczyła się szeptem jakaś dyskusja. Nibyłipy podzwaniały i falowały. Biała koszula zakołysała się jak latarnia, inna odpłynęła.

– Nie jesteś w najlepszym stanie, prawda, mój stary? Rozpoznałem głos wyższego mistrza George'a, miękki dotyk jego rąk. Przede mną zamajaczył jeden z kilku Walcote House'ów. Służący jak ciemne zwitki papieru, okna, światła, korytarze, rozmowy o położeniu mojego pokoju. Jeśli

pominąć niezdrowo przekrzywiony sufit, czułem się niemal boleśnie trzeźwy, ale ci ludzie wydawali się głusi na moje protesty. Wiedziałem także, że ściany się rozpląną, jeśli w nie wejdem, że mogę znajdować się tutaj i gdzie indziej jednocześnie, że dywany mogą się przechylać, a podłogi zamieniać w morza.

– No i jesteśmy. – Ukazały się drzwi z marmurkowego drewna. – Trzeba położyć cię do łóżka, mój stary...

– Nic mi nie jest! Nic... – Walczyłem z George'em, który zdejmował mi marynarkę. – Byłeś tam, prawda? Na pomoście w noc świętojańską?

– Na nabrzeżu? Teraz, jak powiedziałaś, rzeczywiście, coś sobie przypominam...

Opadłem na łóżko. Zdjęto mi buty. I skarpetki.

– ...Ale jest tyle tych balów i potańcówek. Trudno pamiętać wszystkie w szczegółach. Zwłaszcza jeśli to było kilka lat temu.

Błagałem łóżko, by przestało wirować, pokój, by przestał podskakiwać.

– Nic ci nie będzie. Na nocnym stoliku postawiłem szklankę wody. – Jego cień ruszył ku drzwiom.

– Annalise.

Cień się zatrzymał.

– Co?

– Annalise Winters.

– Annalise... – Zachichotał. – A ja zawsze myślałem, że Anna to jej pełne imię.

– Nie.

– No dobrze. – Jego twarz zamazywała się i zmieniała. – Anna jest w porządku.

– Znałem ją, kiedy była... znacznie młodsza...

– Naprawdę? – Czy to napięcie w jego głosie? Czy jest bardziej szorstki? Czy się broni? Ale tych George'ów było tu zbyt wielu i znów czułem mdłości – i niesmak, i pustkę. Tam gdzie powinna być Anna Winters, te drogocenne wspomnienia, nie było teraz nic.

– Ona potrafi zniknąć za wazonem z kwiatami, wiesz? – powiedziałem mu. – A znam ją dobrze. Nawet jeśli mówi, że jestem nikim. Wystarczy, jak zapytasz Sadie.

– Oj, wierzę ci. – Twarz George'a się cofnęła. Gazowe lampy przygasły, migocąc. Słyszałem szelest drzwi ocierających się o dywan. – Myślę, że nic ci nie będzie. Do zobaczenia rano.

– A ten wazon...

– Tak?

– Nie dotknąłem go. Moje ręce były niewidzialne, a on po prostu wybuchł. To też zrobiła Anna.

– O, to byłaby niezła sztuczka... – Wyższy mistrz George zachichotał, zamykając drzwi.

*

Oślepiające cienie. Szczęk nakryć i porcelany. Ludzie w tej jasnej sali przypominają jaskrawo opalizujące tropikalne ptaki. Okna to bolesne rozcięcia, zasłony to wodospady krwi. Udało mi się uspokoić ręce na ryle, by nalać sobie filiżankę kawy. Uniosłem ciężką srebrną pokrywę z jednej z waz. Ukazał mi się parujący robaczywy ryż. Nie, nie będę jadł, zdecydowanie nie. Głosy, szepty tego ranka były cichsze. Byłem jedyną osobą należycie ubraną – w moje drugie spodnie oraz marynarkę, a reszta nosiła ekstrawaganckie jedwabne... chyba żakiety. Znów byłem niemal niewidzialny i postanowiłem, że niech już tak zostanie. Nawet w niedzielę muszą być jakieś pociągi do Londynu, a spakowanie się to dla mnie kwestia paru minut. Mogę wyjść po prostu przez te drzwi i ruszyć wzdłuż Marine Drive. Późnym popołudniem, w najgorszym razie wieczorem będę

z powrotem z Saulem, Maud, Blissenhawkiem, Czarną Lucy.

W jadalni pojawiły się kolejne dwie przedziwnie odziane osoby, mężczyzna ze złotym łańcuchem grubości liny cumowniczej na szyi, kobieta ustrojona storczykami. Państwo Bowdly-Smart wydawali się tak samo nie na miejscu i brzydki jak wczoraj. Cechmistrzynie Bowdly-Smart gadała coś głośno, wymachując nadgarstkami z mnóstwem bransolet. Pretensjonalnie przeciągała samogłoski. Uniesione brwi i szept wokół w zasadzie nawet mi się podobały, bo nie dotyczyły mnie.

Wielki mistrz Bowdly-Smart zauważył, że wpatruję się w niego. Odwrócił się i zaczął nakładać sobie górę *kedgeriee*. To on wydawał mi się znajomy, nie jego żona, teraz byłem już tego pewien, ale akcent pani Bowdly-Smart sprawił, że wreszcie zaskoczyłem. Właśnie opowiadała jakiejś nieszczęśnicy, która nie zdołała na czas uciec, o zebraniu braci poszukiwaczy. Była tak podekscytowana, że opadła cała otoczka, którą próbowała zmiękczyć swój głos. I już wiedziałem. Byłem pewien. Takie głosy słyszałem milion razy, jak wołają do siebie przez płot po całej Coney Mound, kiedy wszyscy trzepią dywany we wtorki. Cechmistrzynie Bowdly-Smart była z Bracebridge, a jej mąż o szurzej twarzy, cofający się od półmiska, by zjeść swą kopiastą porcję – to był starszy mistrz Stropcock, który patrzył na mnie z góry w swym malutkim kantorku w firmie Mawdingly & Clawtson, mówił mi, że nie nadaję się do Niższych Ślusarzy, i pozwolił mi dotknąć swej nędznej głowni. *Oczy i uszy, synek*. No tak, te same zakola na głowie, choć włosów miał mniej i nieco posiwiął. Byłem pewien. Brakowało tylko kieszeni pełnej piór i niedopałka papierosa zwisającego z ust.

Starszy mistrz Stropcock i jego żona. Tutaj, w Walcote House, obrzydliwie bogaci i nazywający się Bowdly-Smart. To jeszcze dziwniejsze niż moja tu obecność. Jak im się udało dokonać tej, zapewne magicznej, sztuczki? Tak czy inaczej, miałem nad nimi przewagę. Stropcock musiał trzaskać po gębie i straszyć tak wielu potencjalnych uczniów, że zupełnie mnie nie poznał. Nalałem sobie kolejną filiżankę kawy i poczułem, jak ręce mi się uspokajają. Postanowiłem, że jednak zostanę na resztę imprezy.

*

Białe ściany Walcote House od strony morza wznosiły się ponad wysokimi białymi klifami wyrastającymi z białego piasku. Klif skręcał na wschód, oddalając się od Saltfleetby, potem znów wyginał się ku Folkestone jak falochron. Pod nim, w wodzie czystszej i bardziej błękitnej niż niebo, kołysały się żaglówki, pływały ryby, falowały jaskrawe wodorosty.

Nieważcy pływacy zawołali do mnie, kiedy zacząłem schodzić długimi schodami.

– To mistrz Robbbbbert...!

Sadie, ubrana dziś tak skąpo, jak wczoraj wystawnie, w pasiasty niebieski kostium, wyskoczyła ku mnie z wody. Dziarska, w czepku kąpielowym, dotykała mnie mokrymi jak u ryby dłońmi i mówiła, że niewiele widziała z tego co się wczoraj stało, ale słyszała wszystko. Śmiejąc się, chlapała na mnie wodą. Ten wielki wazon łatwo się przewraca!

– Robbie, chodź do nas do wody!

Pokręciłem głową. Nie umiałem pływać – Withy czy Tamiza niezbyt do tego zachęcały, jak się wiedziało, co się do nich wlewa. Poza tym bolała mnie głowa. Usiadłem zatem na plaży i obserwowałem kąpiących się.

Wyższy mistrz George opadł na piasek koło mnie. Chude ręce i nogi w pasiastym kostiumie, muśnięte złotym puszkim jak blaskiem słońca. Wyśmiał moje próby przeprosin za wczorajszy wieczór. Widocznie takie wybryki były raczej powodem do gratulacji... Zamilkliśmy. Wśród upału dryfowały żagle, pod nimi ich odwrócone odbicia. Kąpiący się podpływali do pomostu i grzali się

w słońcu jak foki. George, obejrzawszy się na mnie przepaszająco, dołączył do nich. Mieli niespożyta, dziecięcą energię. Śmiali się i bawili. Rozchlapywali pianę. Brzeg patrolowali służący, pochylający się jak ptaki brodzące, by podsunąć komuś wyłożoną lodem tacę. Sadie wróciła do mnie. Włosy oblepiały jej ramiona.

– O, wiem, jak się czujesz. Spróbuj tego. Postawi cię na nogi, gwarantuję. Moja własna receptura.

Kryształowa szklanka, bezbarwna jak ocean i równie zimna, słona i głęboka. Istotnie, poczułem się lepiej – a przynajmniej inaczej. A także, siedząc w słońcu, uświadomiłem sobie obecność innej osoby, daleko na brzegu, spacerującej wzdłuż fal. Szare spodnie do kolan, wetknięta w nie biała bluzka, ręce w kieszeniach, długie włosy, nagie łydki. Pływający wciąż się śmiali, chlapani, sprzeczali o reguły jakiejś skomplikowanej gry. Nikt oprócz mnie nie zauważył Anny Winters. Powietrze zafalowało, rozmyło ją na moment jak wiatr tłumiący płomień. Wstałem. Poruszać się szybko po tym białym suchym piasku to jak próbować biec we śnie. Wiek cały trwało, zanim do niej dotarłem.

– Wiesz, Robbie, z czego to wszystko jest zrobione? – zapytała, nie odwracając głowy, wciąż wpatrując się w morze. – Ze szkolnej kredy. Wszystko. Czy to nie dziwne?

Łapiąc oddech, spuściłem wzrok na rozmyty piasek. Teraz, jak już to powiedziała, było to oczywiste.

– Dlaczego – wydyszałem – nie chciałaś wczoraj ze mną rozmawiać?

– Czyż teraz nie rozmawiamy?

Kiedy kręciłem głową, czułem, jak napój Sadie przelewa mi się w czaszce.

– Ale wyglądało, że jesteś zirytowana, że tu przyjechałem. No i to, co zrobiłaś mi wczoraj, z tym wazonem, z tym kieliszkiem...

– Uważasz, że potrzebujesz pomocy, żeby zachowywać się jak niezdarny pijak?!

– Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Tak jak jesteś z Sadie czy George'em?

– To tylko ludzie, których przypadkiem poznałem. – Machnąłem ręką. – W końcu ludzie tutaj okazują się tacy sami jak wszędzie. A właściwie gorsi, bo tylko żyją, jedzą, piją i nic nie robią. Anno, już to wiem. I to pewnie jedyna rzecz, jaką o nich wiem.

– Tak, Robbie, żałuję, że tu przyjechałeś. Ale przynajmniej mówisz do mnie „Anna”.

– I naprawdę chcesz, żebym pojechał?

– Nie. Nie teraz. Zresztą zostałeś, prawda? Może i byłam wczoraj zbyt oschła dla ciebie...

Głębiej wbiła ręce w kieszenie. Włosy ześlizgiwały jej się z ramion, odbłaski słońca pędziły po nich w górę, w dół, wraz z rytmem fal. Przetoczyła się większa fala, przejrzysta jak szkło, zmieniła kąt jej nóg. Poczułem, jak spodnie nasiąkają mi wodą aż po kolana.

– Wiem, że to nie twoja wina – powiedziała, gdy zaczęliśmy oddalać się od pływaków, idąc w stronę, gdzie klif zakręcał. Jej piękna główka pochylona w charakterystyczny sposób, twarz z profilu na tle skrzęcej się wody. – Nie winię cię za to, co zrobiłeś, ani za twoje życie. To nie ma nic wspólnego z tym, że jesteś partaczem i radykałem, a nie bogatym cechowym z Northcentral, bo tak pewnie sobie myślisz. Ci ludzie nie są lepsi od ciebie. Ja też to rozumiem. Ale nie powinieneś sobie wyobrażać także, że są gorsi.

– Wiesz, że widziałem się z panią Summerton?

– Oczywiście.

– I wiesz, co mi powiedziała?

– Wyobrażam sobie. Straszne czasy w Brownheath, o śmierci mojej nieszczęsnej matki, o tym

jak Missy mnie uratowała, wychowywała i w ogóle, i że nadal wszystko zawdzięczam jej pieniądzom. Musiało to zająć cały dzień, dopóki nie usiedliście w tej łoży w Operze, żeby się na mnie pogapić.

– Anno, to, co się wtedy stało, to jest też moje życie. Moja matka była przyjaciółką twojej matki. Też umarła. Tylko, że dużo później.

– Przykro mi. Ja to wszystko wiem. Ale to przeszłość, prawda? Jesteśmy dorośli. Decydujemy sami za siebie. Dlatego właśnie teraz tu razem idziemy.

Szliśmy dalej wzdłuż fal, w jaskrawym blasku słońca. Pomyślałem, że jeszcze nie tak dawno zapewne zgodziłbym się z każdym jej słowem o przeszłości, która była i minęła. Ale nie teraz.

– Mimo wszystko, czuję – powiedziałem ostrożnie – że po tym, co przeszliśmy razem, nawet o tym nie wiedząc, moglibyśmy sobie nawzajem pomóc...

Zamrugła. Rzęsy miała równie jasne jak włosy.

– Myślisz, że wiesz, kim jestem, tak? Właśnie na tym polega twój problem. Żałuję, że pozwoliłam ci się odnaleźć na tym festynie. Tak, wtedy było mi miło, ale był to także błąd... – Rzuciła mi spojrzenie zimniejsze niż fale. – A teraz cały czas chodzisz za mną ze swymi tajemnicami, które nie do końca rozumiesz.

– Jesteś inna. Jak możesz temu zaprzeczać?

– Nie zaprzeczam. Ale każdy jest inny na własny sposób.

– To tylko zabawa słowami. Jesteś...

– No, dokończ! – Zadarła głowę, a słońce wyszczuplało jej ręce i nogi. – Myślisz, że jestem jak Missy? Albo... jak się nazywał ten potwór? Pan Snaith? Uwierz mi, Robbie, ty nie masz pojęcia! Ja jestem inna! – Machnęła rękoma, jakby coś przeganiała, jej dłonie błysnęły na tle ciemnego morza. Potem zatrzymała się i odwróciła. Wyciągnęła ku mnie rękę. Naturalnie, na nadgarstku miała teraz Znak. Strup lśnił rubinowo na bladej powierzchni przegubu. – To jestem ja.

Otworzyłem usta, ale wypełnił je tylko tępy, świdrujący ból, który zawsze czułem w obecności Anny... Czy Annalise. Ten ból narastał nawet teraz, gdy wiatr uniósł i zarzucił jej na twarz pasemko włosów; rósł, nawet kiedy pomyślałem, że już silniejszy być nie może, że już mnie pochłonał. Ale ta jej świetlista skóra... mógłbym ją podziwiać przez wieczność. Żyłki miała tak drobne, że było w nich widać puls jak skaczące niebieskie rybki. Westchnęła, tupnęła w fale bosą stopą i wyrwała z mojej dłoni swoją rękę.

– Robbie, ty naprawdę jesteś beznadziejny!

– Annalise, mogłaś zostać, kim tylko zechcesz. Więc dlaczego właśnie tak?

Odwróciła się i ruszyła naprzód. Przed nami ścianę klifu przecinał stromy wąwóz. Spływał nim strumień, a obok niego wiała się ścieżka prowadząca z plaży na górę, przeskakująca z jednej strony na drugą zgrabnymi drewnianymi mostkami, ocienionymi listkami paproci. W tym jarze było wilgotno, chłodno i ciemno nawet w upalny ranek.

– W przeciwieństwie do ciebie, Robbie – odezwała się Annalise, idąc szybko naprzód, nad wodą, która spływała kaskadami, zbierała się w zagłębieniach i znów spadała w dół – nie uważam, by w tym, że jestem po prostu szczęśliwa, było coś niewłaściwego. Albo w uszczęśliwianiu ludzi wokół. Bo tobie się wydaje, że szczęście jest za łatwe, że to jakieś tanie złudzenie, które należy porzucić na rzecz... – Szukając słowa, obejrzała się na mnie. – ...na rzecz czegoś, co chcesz nam wszystkim narzucić.

Rośliny ociekały rosą. Wśród nich unosiła się mgiełka. Tęcza drżała w promieniach słońca. Niemal spodziewałem się, że za którymś zakrętem natrafimy na dom wymyślonej ciotki.

– Choć muszę przyznać, że czasem to jest walka. Zapewne jestem inna... albo mogłabym być

inna, gdybym pozwałała wszystkim impulsom do siebie docierać. Kiedy wchodzę do pokoju, słyszę ludzkie myśli, jak ten ryk wody. Kiedy mijam głównię, budynek albo maszynę, muszę zamykać swój umysł, inaczej zaczyna we mnie wirować jej zakłęcie. Gdybym przymknęła oczy, gdybym otworzyła uszy, zapomniała się i wpuściła to wszystko w swój umysł, świat by mnie przytłoczył. Jak obłąd. I wtedy byłabym zagubiona, jak te nieszczęsne stwory, o których słyszałeś. Odmieńcy gorsi niż Missy, trzymane u Świętego Błate'a. Dlaczego miałabym tego chcieć? To są drzwi, które od zawsze, ze wszystkich sił starałam się zamknąć.

– Ale masz moc...

– ...Nic mi nie mów o mocy! – ucięła. – Niech moje życie zostanie, jakie jest. Chcę być Anną Winters. Chcę być szczęśliwa i normalna... – Prawie dotarliśmy do szczytu klifu. Ścieżka się wyrównała. Przed nami otwierała się furtka. A za nią, co było do przewidzenia, leżały kolejne połączenie olbrzymich ogrodów Walcote House. Nadal można było dostrzec liczne dachy domu i wysoką białą iglicę Obrotowej Wieży. – Robbie, jeśli interesuje cię moc, to popatrz tam – mruknęła Anna.

Strumień spływający wąwozem rozlał się w stawy i ogrodowe oczka wodne. Wielkie ryby o złotych łuskach i przedwiecznych oczach trącały pyskami nasze odbicia. Z każdym zakrętem, z każdą nową niespodzianką próbowałem sobie wyobrazić, do czego wykorzysta się w nadchodzącym Nowym Wieku tę urnę, tamtą pergolę czy ów fragment trawnika, ale przychodziło mi to coraz trudniej. Całą tę posiadłość zaprojektowano, by przytłaczała.

Anna otworzyła furtkę wiodącą z powrotem do wąwozu.

– Wciąż czekam, żebyś mi powiedział, co jest złego w szczęściu...

– Nic. Jeśli naprawdę jesteś szczęśliwa.

Zeszliśmy z powrotem krętą ścieżką wzdłuż strumienia. Nad brzegiem morza było skwarno. Powłóczyłem nogami. Wracał mi ból głowy.

– Poznałaś może Bowdly-Smartów? – zapytałem. Pokręciła głową.

– Kim oni są?

– Zwykli goście. Myślałem, że są może... ale to nie ma znaczenia... Znów podeszliśmy do pływających. Wciąż byli w wodzie, chlapani się, bawili.

– *Patrzcie! Anna!*

– *Tak, tak!*

Okrzyki podniecenia, tak jak zwykle.

– Oni uważają cię za ósmy cud świata – powiedziałem bez specjalnej intencji.

Anna na moment zwolniła kroku i skinęła głową, najwyraźniej zadowolona. Jeśli ma jakąś słabość, pomyślałem, to właśnie taką, że lubi być lubiana. Dlatego potrafi wytrzymać ze mną. Dlatego potrafi wytrzymać ze wszystkimi. Plażowicze biegli ku nam, mokrzy i komiczni w swych kusych kostiumach. Pozostałem z tyłu i obserwowałem, jak skupiają się wokół Anny. Chciałem dostrzec prawdziwą naturę owej sztuczki. Ale w tym innym świecie, który sobie stworzyła, a który stał się nagle równie prawdziwy jak żar słońca, Anna promieniała tylko szczęściem i naturalną tajemnicą – była po prostu sobą, co udaje się tak niewielu z nas.

Usiadłem na piasku. Gra, w którą kąpiący się usiłowali od dawna zagrać, nabrała rumieńców, kiedy pojawiła się Anna. Dyskretnie dyrygowała nimi z brzegu, chociaż do wody nie wchodziła. Zdjęła sandały, spacerowała bosą po piasku. Jej przyjaciele, pływający, nurkujący, ganiający się nawzajem, nagle nabrali wdzięku syren. Wreszcie poranek musiał się skończyć, a oni, opatuleni w ręczniki, gubiąc mokre części kostiumów, podnoszone przez służących, wykonywali, przebierając się, nadzwyczajny taniec. Sadie, rozczochrana i wilgotna, w kosztownej dziennej sukni, usiadła koło

mnie.

– Jak jest Anna, od razu wszystko inaczej wygląda, prawda? Zawsze tak jest.

Anna tymczasem rozmawiała z wyższym mistrzem George'em. Kiedy schyliła się, by włożyć sandały z powrotem, ujrzałem, że George powiódł ręką wzdłuż jej pleców. Serce mi zamarło, a potem zaczęło walić, gdy przyglądałem się, jak wspinają się schodami ku domowi.

– Ej, popatrzcie! – krzyknął ktoś z piękną dykcją. Młody cechowy, jeden z tych, którzy wczoraj wieczorem zbierali się wokół fortepianu, stał nad bajorkiem. Ręce ociekały mu wodą. Trzymał coś małego i żywego. – Patrzcie, co mam! – Zaśmiał się chrapliwie. – To jest następne znalezisko Sadie!

*

Przez resztę dnia Walcote House w dalszym ciągu się budził. Urządzono konkurs łuczniczy. Dzieci z miejscowych cechów, odziane w urocze stroje, wykonały na trawniku ludowe tance. Odbyła się loteria fantowa i gra w szukanie skarbów. W mosiężno-skórzanej bibliotece były egzemplarze dzisiejszego „Dziennika Cechowego”, prosto spod prasy. „Dziennik” pisał o kolejnych strajkach i lokautach, choć nazywał je *zamieszkami* i *niezbędnymi środkami zaradczymi*. Z tego miejsca jednak, wśród zapachu oświetlonej słońcem starej skóry, nie wydawały się rzeczywiste, tak jak sam Londyn.

Wróciwszy do pokoju, położyłem się na łożu z baldachimem, pogładziłem piękne drewno i potarłem wciąż obolałe skronie. Na ścianie wisiała w ramce lista instytucji, które miał podobno zasilić dochód z tej fety. *Fundusz Pomocy Cechmistrzynom, Stowarzyszenie na rzecz Restytucji Cechu Kominiarzy, Schronisko dla Starych Koni na Wyspie Man, Przystulek dla Sierot i Bezdomnych u Emily* – a nawet *Hospicjum i Azyl Świętego Blate'a*; obejmowały wszystkie rodzaje nieszczęść, jakie można sobie wyobrazić. W ogrodach goście kupowali losy loterii, podejmowali się dla nagrody niemożliwych zadań albo wsuwali zwinięte dziesięciofuntowe banknoty do srebrnych puszek. Tyle starań – aż trudno uwierzyć, że ktokolwiek jeszcze cierpi nędzę i choroby...

Ukradkiem przemykałem korytarzami. Jadalnie były puste. Po ogrodach wałęsały się grupki gości, rozbawione albo naradzające się potajemnie.

Następnego znalezisko Sadie. Nie miałem pojęcia, gdzie jest Sadie – albo wyższy mistrz George i Annalise, choć trudno mi było nie wyobrażać sobie ich razem. Pośród trawników były stawy, polanki, ścieżki, wystarczyłyby na spaceru tysiącowi kochanków. A drzewa w Parku Westminsterkim nawet nie umywały się do tych tutaj. Osiki płomienne i nibylipy. Wierzba i cedr kamienny. Ich liście grały i szeleściły nad moją głową, cienie tworzyły kobierce, gorączkowy wiatr niósł różne zapachy. Było mi już niedobrze od nadmiaru cudów. Czulem mdłości i głód. W końcu znalazłem parę ciastek na dobroczynnym straganie, choć kobieta, która je podawała, zaćwierkała z rozczarowaniem, kiedy zapłaciłem tylko żądane sześć pensów.

Nadszedł wieczór. Ogrody opustoszały. Był czas na przebranie się. Po moim wczorajszym występie perspektywa jeszcze większej gali wydawała mi się straszna. Postanowiłem nie zwracać uwagi na tace z trunkami. „Na kogo się zrobię?”. Pytanie to słyszałem dziś kilka razy, nie miałem jednak pojęcia, co to znaczy. Wciąż z bólem głowy skierowałem się pod długie cienie żywopłotów.

– Cholera, ciągle tylko narzekasz i narzekasz...

– Dopiero co powiedziałaś, że ładnie wyglądam.

Głosy dochodziły zza żywopłotu. Pan i pani Bowdly-Smart, pewni, że są w ogrodzie sami, zarzucili pretensjonalną wymowę. Szedłem równo z nimi po drugiej stronie krzewów. Jak wszystkie małżeństwa o długim stażu, potrafili podtrzymywać kłótnię w nieskończoność. Poczulem niemal nostalgię – dawno już nie słyszałem takich zwrotów przez cienkie ściany na Brickyard Row.

Pospieszyłem ku przerwie w żywopłocie i skręciłem ku nim. Byli zbyt pochłonięci sprzeczką, by mnie zauważyć. Teraz właściwie nie byłem do końca pewien, czy to państwo Bowdly-Smart... państwo Stropcock. Dwie postaci idące ocienioną stroną ścieżki pomiędzy przyszyżonymi krzewami mogły być wyjść prosto z Wieku Królów. On nosił koronę i płaszcz z gronostajem. Ona miała na głowie kornet i podtrzymywała dłonią długi tren czerwonej sukni. Niezmienione pozostały tylko ich zjadliwe, zgorzkniałe głosy.

– Niech mnie szlag, jak ty nie...

Odchrząknąłem. Unieśli wzrok, zeszywnieli, w milczeniu obrócili się ku mnie.

– Uroczą pogodą, nie sądzi pan? – Cechmistrzynie Bowdly-Smart włączyła swój drugi głos.

Mieli zamiar przejść obok mnie, lecz zastąpiłem im drogę.

– Jestem mistrz Robert. – Wielki mistrz Bowdly-Smart, pomiędzy przyklejoną kozią bródką a koroną wciąż miał to samo twarde, taksujące spojrzenie, którym zbadał moją wyciągniętą dłoń, zanim ją uściśnił. – Przepraszam, jeśli z rana trochę za bardzo się państwu przyglądałem – dodałem, gdy jego pierścienie wbijały mi się w rękę. – Wydawaliście mi się państwo znajomi, ale się pomyliłem. To się zdarza.

– Z pewnością musi pan poznawać wielu ludzi w swojej pracy – zachrypiał, wycierając dłoń w gronostaja. – Jakakolwiek to praca. – Oczywiście było, że i on mnie rozpoznał, to znaczy, zorientował się, że nie pasuję tutaj.

Zerknąłem na jego żonę. Była podekscytowana.

– Wiem, wiem skąd... – Chwyciła mnie za nadgarstek. – Był pan tam, prawda? Jakże głupio, że się nie zorientowaliśmy! Na tym małym spotkaniu poszukiwaczy, w Tamsen House.

Popatrzyłem na nią.

– Tamsen House?

– No wie pan! Na Linden Avenue. Z panem Snaithem!

– Eee... Tak, byłem tam. – Była tam wielka cechmistrzynie Sadie Passington, więc czemu nie wielka cechmistrzynie Bowdly-Smart?

Rozpromieniła się.

– Mój kochany mąż tego nie rozumie. Świata nie widzi poza swymi interesami.

– Chodźmy już lepiej. – Wielki mistrz Bowdly-Smart przerwał szczebiot swej żony.

– Pójdzie pan z nami, prawda, mistrzu Robercie? – zaświergotała cechmistrzynie Bowdly-Smart. – Chyba już czas na złotą rybkę.

– Na co?!

Lecz państwo Bowdly-Smart już odchodzili, on w swym królewskim płaszczu, ona w kornecie. Naprawdę da się tak zupełnie zmienić tożsamość na inną? Na biały dziedziniec pod różowym wieczornym niebem poczęli wychodzić inni goście, odziani co najmniej równie osobliwie jak oni. Piraci i anioły w średnim wieku, pulchne tropikalne dzikusy, antyczni uczeni z liśćmi laurowymi na łysiejących głowach. Centrum uwagi stanowiła okrągła marmurowa misa, obok której wysoki cechowy wręczał wszystkim kryształowe szklaneczki. Zajrzałem do misy – pływały w niej małe rybki. Jeden z gości, demon o czerwonej twarzy, przeczesał wodę szklanką, upewnił się, czy coś złapał, i wypił wszystko. Parę chwil później to samo uczynił jeden z piratów. Następni byli państwo Bowdly-Smart. W Bracebridge byłaby to zbyt niezwykła historia, by ktokolwiek w nią uwierzył. Lecz kiedy mistrz Bowdly-Smart poruszał swym żyłastym gardłem, stała się dziwna rzecz. Jego bródka jakimś sposobem była mniej sztuczna. Wykwintne szaty zaczęły lepiej na nim leżeć. Nawet jego rysy, choć wciąż szczurze, nieznacznie się zmieniły. Jego żona, przełknawszy rybkę, również zaczęła wyglądać szlachetnie, właściwie... tak, niemal *królewsko*. Nawet jej akcent się

poprawił. Jeden z piratów wykonywał całkiem udatny akrobatyczny pływ przy wtórze piszczałki swego kolegi ze statku. Ja, odziany w swą wyświechtaną czarną marynarkę, postanowiłem, że też spróbuję.

Zanurzyłem szklanę pod nieruchomą powierzchnią wody. Rybki były przejrzyste, tylko czekały, by dać się złapać. Gdy uniosłem szkło, jedna była w środku. Wachlowała maleńkimi skrzelami, na jej grzbiecie eterowo lśnił jasny pasek. Woda nie miała ani zapachu, ani wyraźnego smaku. Poczułem na języku coś śliskiego i żywego. Zerknąłem dokoła. Państwo Bowdly-Smart odeszli, a piratów zastąpiła trupa podstarzałych baletnic. Dalej migotały zawieszony na drzewach lustro. Ujrzałem w nich wychodzącą z cienia postać w czarnym garniturze. Była wyższa, starsza, o wiele mroczniejsza i potężniejsza niż ja. Coś zatrzepotało mi w żołądku. Podejście do lustra wymagało sporego wysiłku woli. Nie był to Robbie, o nie; ani Robert, ani mistrz Borrow, żadne ze znanych mi wcieleń. Wieczorny powiew bujał lustrami, posrebrzał drzewa. Ta ciemna marynarka, ta elegancka, szczupła figura, to spojrzenie, jednocześnie bezlitosne i mądre. Moje dłonie dotknęły sztywnych mankietów, musnęły policzki, gładkie i ciepłe jak naeteryzowany metal, mimo że minęło wiele godzin odkąd się goliłem.

Nakogosięrobisz? Nad żywopłotami polatywały szept, radosne okrzyki zaskoczenia. Wiedziałem już, jako kto przyszedłem – równie wyraźnie, jak wyraźnie słyszałem melodię, do której baletnice robiły arabeski i piruety pośród zmysłowo pachnących różanych alejek. Ja byłem wcieleniem wszystkiego, czego oni się bali. Wszystkiego, co starali się ignorować w nadziei, że zniknie. Byłem duchem Nowego Wieku.

– Wspaniale! Naprawdę wyglądasz groźnie, jak stuprocentowy rewolucjonista. Wiedziałam, że mnie nie rozczarujesz. – Sadie wychynęła z cienia w sukni z pajęczych szarości. Gdy zbliżyła się, poczułem jej zapach. – A ja ci się podobam?

Dotknąłem jej ramienia. Poczułem delikatny dotyk puszku.

– A kim jesteś?

Dygnęła na wpół kpiąco.

– Będziesz musiał zgadywać... – Jej włosy, upięte w lśniące fale i loki takimi samymi czerwonymi kokardkami, jak te spinające jej suknię, wydawały się dziś prawie blond. Skórę też miała jaśniejszą. – ...Dalej nie wiesz? – Wyprostowała się, oczy jej rozblęły; naturalnie, też wypięła złotą rybkę. – Może później na coś wpadniesz.

Ruszyliśmy wraz z resztą gości ku sali balowej. Rybka, wyjaśniła Sadie, działa zaledwie parę godzin. Ale za to jakie bajki opowiada! Stąd te baletnice i – popatrz tylko – mały, szary, łysy człowieczek, który zabrał orkiestrze skrzypki i spaceruje z nimi. Drogi starszy mistrz Porrett uwielbia swe głupie melodie. Normalnie nie jest w stanie zagrać jednej nuty, ale na każdym balu maskowym przez całą noc przechadza się, ze złotą rybką w brzuchu, na krzywych nogach, grając i grając...

Sala balowa, spowita mgiełką z kandelabrow, wyglądała jak ocean. Powiewała bryza, tu były kolorowe wyspy, tam ciemne wiry, gdzieś jeszcze migotały światełka.

– Zastanawiam się, czy to w ogóle ma sens – mruknął owczarz, który stanął koło nas.

– Tato, nie mów tak! – Sadie szturchnęła go żartobliwie. – Czy poznałeś mistrza Roberta Borrowsa?

Arcycechmistrz uśmiechnął się. Machnął pastuszkiem kijem.

– Spotkaliśmy się wczoraj na korytarzu. Mam nadzieję, że będzie się pan dobrze bawił. Nie mogę jednak obiecać, że w przyszłości odbędą się jeszcze aż tak huczne zabawy. Znacznie lepiej byłoby po prostu koszt tego wszystkiego przekazać wprost do instytucji dobroczynnych. Z pewnością słyszał pan, jakie ciężkie mamy czasy. A my tymczasem gramy sobie na skrzypkach i tańczymy...

– Tato, z ciebie to zawsze taki pesymista!

Gdy Sadie rozmawiała z ojcem, zauważyłem, że wszyscy wokół zaczęli nasłuchiwać. Było to niezwykle przedstawienie, a przystojny arcycechmistrz mógł ubrać się choćby w brązowy fartuch i żartować z córką na temat stanu posiadłości, nie wydając się przy tym śmieszny. Po chwili jednak zaczęli się powtarzać i zostawiłem ich samym sobie. Odchodząc, choć wszyscy poza mną podchodzili bliżej, zastanawiałem się, jak będę pamiętał te wolne dni – czy jak sen, bo tak mi się teraz wydawało, czy jako rzeczywiste zdarzenia z mojego życia. A potem zdecydowałem, że jednak wolno mi wypić odrobinę wina. Złota rybka wreszcie uspokoiła mój ból głowy. A tu oto stał wyższy mistrz George ubrany tylko w kosztowny garnitur, na oko we własnej postaci.

– Mam nadzieję – powiedziałem – że nie każesz mi zgadywać, za kogo się przebrałeś...

Podskoczył na dźwięk mojego głosu.

– A, to ty, Robercie. – Wzrok miał dziwny, rozmyty. – No, wyglądasz jak trzeba, bez dwóch zdań.

– Naprawdę? Wzruszył ramionami.

– Ja się specjalnie nie przebierałem.

– Nie próbowałaś złotej rybki?

Jego oczy odpłynęły gdzieś w dal, poza tańczące pary.

– Musiałbym być równie głupi jak oni, żeby wierzyć w takie bzdury. W jego oczach, ustach, pokrytej potem twarzy było coś dziwnego.

– Powiedz mi, Robercie... – Oblizął wargi. – Wczoraj wieczorem, kiedy pomagałem ci znaleźć pokój... coś mówiłeś o Annie.

– Co mówiłem?

– Wiesz... tak zaśmiałeś się na to nazwisko „Anna Winters”, jakby to był wyrafinowany żart, który znacie tylko ty i ona. Musiałeś się dużo z nią kiedyś śmiać. No wiesz... Kiedy oboje byliście młodzi... – Jego głos ścichł.

– To niezupełnie...

– W jej towarzystwie wszyscy się świetnie bawią – ciągnął. – Jest bystra, ma wdzięk, chciałbym mieć tyle zalet co ona. Ale zdaje się, że ona nigdy się tak zwyczajnie nie śmieje. – Zmarszczył czoło. Po policzku spłynęła mu strużka potu. – I tak zastanawiałem się, skoro znasz ją albo znałeś, może byś wiedział, czym ją, wiesz... połaskotać.

Wytrzeszczyłem oczy.

– Nie, nie *fizycznie*, rozumiesz. Choć pewnie to także robiłeś. – Zrobił jeszcze bardziej zbolaną minę. – Robbie, tak naprawdę po prostu cię pytam, co według ciebie mogłoby Annę rozśmieszyć.

Dalej się nań gapiłem, przypominając sobie, jak rano, na plaży, gładził ją po plecach. A teraz spodziewał się, że mu pomoże. Ale co mogłoby skłonić Annę do śmiechu – przebić się przez ów osobliwy i wspaniały spokój ducha? Wyobrażałem sobie, jak opiera się o mnie, dzieląc się ze mną tym jakże ludzkim darem. Muśnięcie jej twarzy. Zapach włosów.

– Anna, jesteś! Właśnie o tobie rozmawiamy.

– I co mówiliście? Mam nadzieję, że same dobre rzeczy?

– Nie wydaje mi się, żeby można było powiedzieć o tobie coś złego, prawda?

Wykrzywiła kąciki ust na ten głupi komplement. Wiedziała, o czym mówiliśmy, oczywiście, że wiedziała. Na obnażonym lewym ramieniu miała plecioną srebrną bransoletę. Suknię też miała srebrzystą, z rozłożystą krynoliną, dość ekstrawagancką jak na jej stroje, które widziałem od czasu tamtej letniej nocy na nabrzeżu. Anna Winters dziś też przyszła bez przebrania. Nie potrzebowała

żadnych złotych rybek.

– Robercie, pozwolisz... – George rzucił mi przepaszające spojrzenie, a Annie podał ramię.
– Zatańczymy?

Kiwnęła głową. Jej zielone oczy błyszcząły. Przepięknym gestem odgarnęła włosy; przyglądałem się, jak muzyka niesie ich w głąb sali balowej. Teraz otoczyły mnie wirujące pary. Parkiet był sprężysty, nawet kiedy szedłem, rytm muzyki próbował kierować moimi krokami, ale postanowiłem nie tańczyć. Byłem socjalistą, rewolucjonistą – całkowitym przeciwieństwem tych ludzi. Złota rybka mogła dać mi wiele rzeczy, ale umiejętność poruszania stopami w zgodzie z tymi zmiennymi, zawilgocionymi rytmami... tego bym się nie spodziewał.

Tancerze się odwrócili. Sadie i jej ojciec, z twarzami zastygniętymi w uśmiechu, dawali piękne przedstawienie. Arcycechmistrz patrzył na salę znad ramienia córki wzrokiem jednocześnie tępym i bystrym. Mnie ledwo zauważył, utkwiał spojrzenie w stojącym nieopodal wielkim mistrzu Bowdly-Smart. Na jego twarzy na moment przedostało się na powierzchnię inne uczucie, coś trudnego do oceny... Lęk? Na zewnątrz, za wielkimi drzwiami, w świetle gwiazd tańczyło wiele par, więcej niż na sali. Straciłem już z oczu wyższego mistrza George'a i Annę Winters. Lustra i nieruchoma woda w fontannach odbijały gwiazdy. Melodia powoli się zmieniła. Z sali przesączały się delikatne welony dymu i pudru. Bluszcz księżycowy porastający pobliską ścianę właśnie owocował; owoce żarzyły się bladobiałą jak delikatne papierowe lampiony, a drzewa zwieszające nad nim gałęzie lśniły wilgotnym, eterycznym blaskiem. Tu nigdy nie będzie naprawdę ciemno. Tu nigdy nie zapadnie noc.

W miejscu, gdzie nad ścieżkę, którą szedłem, wystawał długi taras, o balustradę opierała się czule objęta para. Suknia i włosy kobiety były teraz szare, a ciemniejszy ton garnituru mężczyzny bladł i zlewał się z szarością. Tulili się, twarz do twarzy. Dłoń wyższego mistrza Georgea spoczywała na plecach Anny. Byli tak nieruchomi, że patrząc na nich z cienia, mogłem pomyśleć, że są rzeźbą. Moje serce także było z kamienia. Zupełnie nic nie czując, szedłem przez nienaturalną noc. Małymi bocznymi drzwiczkami dostałem się do Walcote House. Tu, z dala od rytmu sali balowej, było bardzo cicho. Od czasu do czasu przemknął jakiś służący. Zatrzymałem jednego, powiedziałem, że nazywam się Bowdly-Smart i nie mogę trafić do swego pokoju.

Miałem już jaką taką orientację w rozkładzie domu, a przynajmniej niektórych pięter we wschodnim skrzydle. Państwo Bowdly-Smart mieszkali piętro niżej, za kilkoma zakrętami. Mimo woli zauważyłem, że korytarze są tu szersze i wyższe niż tam, gdzie ja mieszkam. Dywany zdobily wzór z liści i kwiatów, łuki były wyrzeźbione na kształt drzew, których pędy wiły się złoceniami po suficie. Znalazłem drzwi państwa Bowdly-Smart, ale klamka kręciła się bezużytecznie na swej osi. Z braku lepszego pomysłu spróbowałem wymruczeć zakłęcie, którym Sadie otwierała moje drzwi. Nie liczyłem na wiele, ale dziś miałem w sobie złotą rybkę. Jeden takt ciszy i poczułem, usłyszałem, jak w zamku coś przeskakuje. Drzwi się otworzyły.

Apartament państwa Bowdly-Smart – wciąż nie potrafiłem myśleć o nich jako o państwie Stropcock – był znacznie większy i imponujący niż mój. Mieli własny balkon z widokiem na morze, dwa podwójne łóżka z baldachimem, a przy ich łazience moja wyglądałaby jak szafka. Zapaliłem lampę gazową. Wszystko było zdobione kwiatami w nienaturalnie jaskrawych kolorach – limonkowej zieleni, truskawkowej czerwieni, cytrynowej żółci. Już oswoiłem się trochę ze stylem Walcote, zacząłem się więc zastanawiać, czy ta krzykliwość wnętrza miała być subtelnym przytykiem. W powietrzu unosił się delikatny kwaśny zapach. Najwyraźniej ktoś tu niedawno był. Stłamszona narzuta na łóżku, walające się na niej połamane kawałki tiary i strzępy kornetu. Nagle z łazienki dobiegł mnie plusk wody. Zamarłem – przecież sprawdzałem, nikogo tu nie ma...

Otworzyłem drzwi. Pusto. Lśnienie glazury i porcelany. Ale wciąż coś cicho chłupotało. I kwaśny zapach był tu silniejszy. Zauważyłem, że dochodzi spod pokrywy jednej z dwóch toalet. Uniosłem ją powoli. W muszli trzepotała się złota rybka, zdychając wśród wymiocin. Najwyraźniej zbuntowała się przeciwko trudowi uczynienia królowej z pani Bowdly-Smart. Mój żołądek też współczująco podszedł do gardła. Z trudem przełknąłem ślinę i spuściłem wodę. Wróciłem do sypialni. Podziwem napawały kufry i paki państwa Bowdly-Smart. Na ile czasu oni tu przyjechali? Przez palce przelewały mi się koszule, suknie i szale.

Z Bracebridge – do czegoś takiego. Na blacie biurka, obok kałamarza i suszki, cechmistrzyni Bowdly-Smart męczyła się nad listem. Wypełniały go puste wykrzykniki.

Wysunąłem puste szuflady biurka. Te meble były misternymi dziełami stolarskiego rzemiosła; wiele miało zatrzaski otwierające ukryte szuflady. Pomacałem pod spodem. Jest. Płytką szuflada wysunęła się na naoliwionych prowadnicach. W niej turlały się przedmioty, które z początku wziąłem za landrynki. Były na to jednak zbyt duże, a ta, którą podniosłem, także zbyt ciężka. Odwinąłem ją z papierka i ostrożnie położyłem w popielniczce. Delikatnie lśniący kamień, pośrodku przewiercony jak paciorek i opatrzony świecącym hieroglifem. Widywałem już takie, tylko mniejsze, nanizane na pręty abaków w kantorkach kasjerów i sklepikarzy. Nazywano je liczykami i używano do zapamiętywania liczb, sald, kont. Nigdy jednak nie miałem okazji ich dotykać i nie bardzo wiedziałem, czego się spodziewać. Przed oczyma stanął mi i zniknął niewyraźny, nie do końca ukształtowany krajobraz z liczb; nieprzebrane morze budżetów i bilansów, manifestów ładunkowych i faktur. Odwinąłem kolejny liczykamyk i poczułem nazwy statków – „Szykowna Panienska”, „Panna Jutrzenka”, „Błogosławiona Dziewica”. Owionęły mnie zjawy konosamentów i deklaracji celnych. Do jakiego cechu należał pan Bowdly-Smart? Musiał mieć coś wspólnego z handlem. Kolejny kamyk; ujrzałem drabinki rozkładów pociągów towarowych, godziny przyjazdów na Stepney, pojemności magazynów i kej na Tidesmeet. Od tych informacji kręciło mi się w głowie, trudno było cokolwiek zapamiętać. Następny wyszczególniał towary i dalekie porty macierzyste, Afrykę i Thule. Poczulem zapach bel bawełny, suszonych owoców, solonego mięsa, skór i herbaty.

Starannie zapakowawszy kamienie, odłożyłem je z powrotem do ukrytej szuflady, po czym wyrwałem arkusz papieru z perfumowanej papeterii pani Bowdly-Smart i usiłowałem zanotować, co zapamiętałem. Liczby już mi uciekały jak wspomnienia ze snu. Lecz nazwa statku, „Błogosławiona Dziewica”, to już było coś. Wciskając zmiętą kartkę do kieszeni, wyszedłem z apartamentu. W tej części Walcote House było całkiem cicho. Zegar wybił północ, ale to zbyt wczesna godzina, by jakaś księżniczka w szklanych pantofelkach uciekała do domu. W sali balowej zrobiło się hałaśliwie. Ludzie w idiotycznych kostiumach kręcili się i wrzeszczeli. Baletnice przemienione przez złotą rybkę, usadowione w kącie z papierosami, przypominały teraz różowe lalki, z których wylażą szmaty. Piraci zmienili się w oberwańców. Zerknąłem na kwiatową dekorację.

Olbrzymie, ciężkie, aksamitne płatki kiwały się tanecznie, kryształowy wazon wypełniała kwaśna breja niestrawionego jedzenia, w której, poszturchując łądyżki, powoli umierało kilka złotych rybek. Wyszedłem na zewnątrz, bo musiałem odetchnąć świeżym powietrzem.

Gwiazdy wciąż lśniły błogo, rzucając pierzaste cienie, czarne na szarym. Starszy mistrz Porrett przeszedł chwiejnym krokiem, wciąż tuląc do siebie pożyczone skrzypce. Gdy przeciągnął smyczkiem po strunach, wydały z siebie agonálny jęk. Taras na górze, gdzie stali niedawno Anna i George, był teraz pusty. Dotknąłem zimnego kamienia w miejscu, gdzie się o niego opierała. Nibylipy kołysały się delikatnie, ich liście podzwaniały na wietrze jak drobne monety.

Z dala od odoru wymiocin i zdychających złotych rybek rozpościerały się ciemno-jasne ogrody. Walcote House krył się za mgłą, prawie go nie było. Pozwoliłem prowadzić się ścieżce. Tak

jak mówiła Sadie, można by bez końca wędrować przez tę posiadłość, może dojść do samego Londynu, nie napotykając niczego, co nie byłoby kosztowne, wspaniałe i bezużyteczne. Kraina bogatych naprawdę była drugą Anglią, ciasno splecioną z moją własną, choć zupełnie niewidzialną, dopóki nie wejdzie się przez odpowiednie drzwi, nie znajdzie właściwego klucza, zakłęcia czy konta bankowego. Strzeliste białe drzewa się przerzedziły. Przede mną pojawił się następny dom. Serce mi zamarło. Jak daleko zaszedłem? Budowla była piękna, szara, podparta rozpostartymi ramionami rokokowych kolumn z bladej morskiej piany, mniejsza niż Walcote House, jednak i tak olbrzymia. Powoli wszedłem w cień jej bramy. Przez zakratowane okna światło gwiazd padało na sterty złota – świeżej słomy, a w powietrzu unosił się szczypiący, słodkawy zapach. Gdy oczy przyzwyczyły się do mroku, dostrzegłem boki potężnych zwierząt. Jedno parsknęło, grzmocąc kopytami o ścianę stajni. Inne wysunęło głowę z boksu i opuściło ją ku mnie, owiewając mnie ciepłym oddechem. Wyciągnąłem dłoń, by pogłodzić je po pysku. Nawet w mroku było śnieżnobiałe. Jak jeden z koni ciągnących karetę Sadie, lecz dużo większy i jeszcze piękniejszy. Ze środka czoła, za wysoko, bym mógł dosięgnąć, wyrastał róg, zwężający się, spiralny jak wielki lizak. Jednorożec westchnął i szturchnął mnie pyskiem.

Większość olbrzymich zwierząt spała. Niektóre były siwe, inne czarne jak smoła. Niektóre, mógłbym przysiąc, miały skrzydła, złote kopyta i oczy świecące jak latarnie. W moich snach, może także w ich snach, trzymałem się ich grzyw, a ziemia daleko w dole uciekała w tył. Szedłem dalej przez okratowane plamy światła, aż w końcu jednego z długich korytarzy dostrzegłem punkt, gdzie spadło kilka jaśniejszych gwiazdnych odłamków. Żarzyły się czerwono, przygasały i rozjarzały się, w końcu poczułem charakterystyczny zapach papierosów Sadie, usłyszałem szelest jedwabiu i tiulu.

– Jesteś. Jakoś wiedziałam, że mnie znajdziesz. – Mówiła niewyraźnie. Wyciągnęła do mnie papierośnicę. – No więc... – Błysnęła zapalniczka. – ...Jak się bawią tam w domu?

Zaciągnąłem się.

– Mnie nie pytaj. Wiesz, jak mnie tam nazywają? *NastępneznaleziskoSadie...*

– Następne co...? – Udało mi się dobrze oddać sposób mówienia tych ludzi. Nie mogła udawać, że nie zrozumiała. – To stary dowcip. Mistrzu Robercie. Rada: nie należy wierzyć w to, co ludzie mówią kącikiem ust.

– Ale nie jestem pierwszy, prawda? – Mój gest zmienił ognek papierosa w komętę. – Zapraszasz tutaj innych ludzi. Takich jak ja.

Poczułem na ramieniu ciężar jej dłoni.

– Nikt nie jest taki jak ty, Robercie. Spójrz tylko na siebie – to niemożliwe. Nigdy w życiu. – Oparła się z powrotem o ścianę. – Wiem, myślisz, że to tylko gładka gadka. Ale tak nie jest. Ty jesteś inny. I nie mówię tego każdemu... Hm, a właściwie mówię. Ale rozumiesz, tym razem mówię to poważnie. – Powstrzymała beknięcie. – I tu kolejna rada: trzeba wierzyć ludziom, kiedy chcą ci coś powiedzieć i nie potrafią się wysłowić. Tak jak ja teraz.

– Cały czas nie rozumiem, po co mnie tu sprowadziłaś.

– Nie bawiłeś się dobrze?

– Było... interesująco.

Zachichotała cichutko i zaciągnęła się papierosem.

– Gdybyś był na moim miejscu, wszystko rozegrałbyś inaczej?

– Oczywiście.

– Ja też. Gdybym miała szansę. Wiesz, co teraz powiem?

– Że niełatwo być bogatym.

– Do diabła z pieniędzmi! Oboje wiemy, że życie nie jest proste i łatwe, tak? Gdyby było, nie stalibyśmy tutaj i nie gadali po ciemku, jak głupki. Oboje jesteśmy jeszcze młodzi, powinniśmy tańczyć i wygłupiać się, póki możemy.

Zapaliła kolejnego papierosa od niedopałka. Sypnęły się iskry.

– Zawsze się tutaj chowałam. Z tej odległości nikt nie wyczuje mojego drobnego grzeszku. Nawet tata.

– Boisz się go?

– A ty nie?

– Nie należę do żadnego cechu, więc czemu miałbym się bać?

– Kochanie, nie słyszałeś? – Sadie pochyliła się ku mnie, wydeła wargi, potem znów oparła się o drzwi stajni. – W dzisiejszych czasach wszyscy należymy do jakichś cechów... – Zaczekała, zagruchała głębokim gardłowym tonem. Zwierzę w sąsiednim boksie w odpowiedzi podeszło ku nam. Było gigantyczne. Jego ciepło ogrzewało powietrze wokół.

– Jest mój – mruknęła. – Tata dał mi go na któreś urodziny kiedy akurat nie dawał szeptokamieni. – Poglądziła potężne zwierzę po boku. – Wspaniały, prawda? Gwiazdor. – Sierść jednorożca była czarna, choć poprzecinana srebrnymi żyłkami, jak ciemny, drogocenny marmur. I tak samo róg.

– A jest coś, czego nie masz, Sadie?

– Gwiazdor to jedyna rzecz, która jest tak naprawdę moja. Prawda, mój słodki? – Grzywa tłumiała jej głos.

Nastała długa cisza, zmacona tylko oddechem jednorożca. O sztuce tworzenia takich istot wiedziałem niewiele, poza faktem, że wymaga to ogromnej ilości eteru i że dla przyjemności bogaczy trzeba je za każdym pokoleniem tworzyć od nowa, ponieważ są bezpłodne. Zerknąłem na potężny grzbiet Gwiazdora. Nie było tam skrzydeł.

– Zimą zabieram go na polowania. Nie lubimy upałów, prawda, Gwiazdorze? A zwierzmistrz, który cię zrobił, mówił, że jesteś zbyt wielki, zbyt piękny... Ale czy istnieje coś bardziej delikatnego? – Ucałowała go, pogładziła po szyi.

– Ten róg do czegoś służy?

– No wiesz, Robbie... – Odsunęła się od jednorożca. Zapaliła następnego papierosa. Czerwone i srebrne iskry rozbłysły w jej jasnych włosach. Choć była pijana i rozczochrana, wyglądała dziś inaczej i całkiem ładnie. Przypomniałem sobie, że ona też łyknęła złotą rybkę. Wciąż nie domyślałem się, za kogo się przebrała, ale rybka zmieniła ją w kogoś innego, kogoś, kto nie był Sadie. – A ja myślałam, że też jesteś marzycielem, jak ja.

– Marzenia to tylko marzenia.

– Wiem, że tak nie uważasz, inaczej ty i twoi kompani nie wydawalibyście tych okropnych, niechlujnych gazet, które w kółko piszą o zniszczeniu cechów.

Gwiazdor uniósł swą wspaniałą głowę, westchnął chrapliwie i wycofał się w cień.

– Słyszałaś o państwie Bowdly-Smart? – zapytałem.

– Ta kobieta z tym strasznym głosem? Chyba była w Tamsen House z tym smutnym starym odmieńcem, prawda? Oczywiście nie rozmawiałam z nią. Bardzo się staram unikać takich osób.

– A jej mąż? Wzruszyła ramionami.

– Nie wiesz, co robi? – pytałem dalej.

– Czemu go nie zapytasz? Jest tutaj, prawda? Na pewno są potwornie bogaci. – W ustach Sadie brzmiało to obraźliwie. Nikt z jej znajomych nie powinien być bogaty w tak ostentacyjny sposób. – Czemu pytasz, Robbie? To kolejny z twoich sekretów?

– Ja nie mam żadnych sekretów.

– Wciąż nie wyjawiałeś mi nic na temat Anny.

– Znasz Annę Winters o wiele lepiej niż ja. – Urwałem. – Jak chcesz dowiedzieć się więcej, zapytaj wyższego mistrza George’a.

– Jego? – Zaśmiała się. – Mistrza Zbuntowana Bohema? Nie myślisz chyba...

– Widziałem, jak całowali się na tarasie, ledwo parę godzin temu...

– Ostatnia rada, Robbie. – Pociągnęła nosem. – Ludzie z wysokich cechów też mają uczucia.

– Szukała chusteczki w fałdach sukni. – No tak, ale to nie ty. I nie Anna, i nie George. To po prostu, wiesz... – Spojrzała na drzewa wznoszące się ponad łukiem bramy. Choć wciąż strojna we wstążki, wciąż w czyimś przebraniu, z rozjaśnionymi czy upudrowanymi włosami, nagle jakby wychudła i zbladła. – Możesz przyjechać tu do Walcote, potem odjechać i dalej spiskować, jak nas wszystkich zniszczyć. Założę się, że w Londynie ktoś na ciebie czeka, jakaś urocza, nieskomplikowana osóbka...

Milczałem.

– Nie naciskałam, żebyś mi opowiadał o swoim życiu osobistym, prawda? I teraz też nie pytam. Nie chcę twoich tajemnic. Takie dni są nieistotne, do śmietnika wyrzuciłam ich już z tysiąc. – Tupnęła nogą w pantofelku. – Spójrz tylko na mnie. Jeszcze kilka lat i zrobię się jak mama, będę sobie golić brwi i malować je na nowo.

– Sadie, ty jesteś młoda.

– Widziałeś te poczwary w sali balowej! Debiutantki wydają mi się małymi dziewczynkami, kiedy potykają się na obcasach, wystrojone w stare suknie po matce. Pamiętam, kiedy sama taka byłam, i to było dawno temu. Nawet Anna sobie kogoś znalazła. A ja... ja wychodzę za mąż.

Chyba nie należało składać gratulacji.

– A kto jest tym...

– Starszy mistrz Porrett. I zanim coś powiesz z grzeczności, tak, chodzi o tego pomarszczonego starucha z idiotycznymi skrzypcami. Jego poprzednia żona, biedaczka, zmarła parę lat temu podczas porodu. Więc teraz moja kolej.

– To brzmi, jakbyś nie miała wyboru.

– Bo nie mam! Jestem wielką cechmistrzynią Passington, córką arcycehmistrza i w ogóle. Wychowywano mnie po to, żebym wyszła za kogoś, kto wzmocni Cech Telegrafistów. Przyznaję, miałam nadzieję, że będzie to ktoś, kto wygląda trochę lepiej niż Porrett. Chociaż to miły staruszek, na swój sposób. Kiedy byłam mała, sadzał mnie na kolanach i częstował miętówkami w czekoladzie...

– Przykro mi.

– Może teraz mi uwierzysz. Bogactwo to coś więcej niż sędziowanie w konkursach na najlepsze warzywo i machanie do zasmarkanych dzieciaków na cechowych paradach. Ale w efekcie sprowadza się do tego, by robić, co do ciebie należy. Wszystkich szczegółów nie znam, ale w skrócie: Cech Telegrafistów potrzebuje pieniędzy, a cech mistrza Porretta, który coś tam, gdzieś tam kombinuje z chemią, ma pieniądze. – Uśmiechnęła się. – W końcu, czasy mamy ciężkie. Widzisz, jak tak to przedstawiam, wcale nie wydaje się takie skomplikowane, co? – Położyła mi dłoń na ramieniu. Musnęła moją twarz palcami. Pachniały łzami, winem, potem i papierosami. – Ale na razie zapomnijmy o tym...

Pozwoliłem jej przytulić się do mnie. Była ciepła, cielesna, rzeczywista. Powąchałem jej włosy. Przez chwilę znów tańczyłem z nią i Anną w noc świętojańską. Potem wróciłem, a Sadie wciąż się do mnie tuliła.

– Och, szkoda, że nie jest zima – mruzczała. – Nawet jak wyjdę za mąż, będę mogła

przynajmniej jeździć na Gwiazdorze... – Westchnęła, przyciskając usta do mojej piersi. Wstążki w jej włosach łaskotały mnie w nos. Moje ręce bezwolnie błędziły po jej ramionach. Tam też były wstążki podtrzymujące suknię. – Musisz przyjechać na Boże Narodzenie. W sezonie polowań wszystko wygląda inaczej. Śnieg. Krew. Mróz.

– Na co polujesz, Sadie?

– Na smoki.

Namacalem szeroką, śliską wstążkę na jej ramieniu. Wszystkie cuda Walcote House mogłyby teraz przejść mi koło nosa. Liczył się tylko ten węzeł, z którym mozoliły się moje palce. Wreszcie coś ustąpiło. Tasiemki się rozdzieliły, Sadie zsunęła je z ramienia, obnażając prawą pierś. Stojąc tak przede mną, wydawała się absolutnie piękna i doskonała, choć jakby lekko odmieniona. Zupełnie nie przypominało to wymiany towaru za towar w obskurnym hotelowym pokoju na godziny. Chwila, kiedy uniosłem dłoń, by pogłodzić nagą pierś, a jej sutek stwardniał, była pełna napięcia jak tajemny cechowy rytuał. Potem Sadie zakręciła się i ze śmiechem wybiegła ze stajni.

– Mistrzu Robercie, łap mnie!

Błędziłem między drzewami, a ich ciężkie gałęzie przesłaniały gwiazdy. Przede mną wyrosła kamienna nimfa. Z palca zwisała, jak długa kropla krwi, czerwona wstążka. Słyszałem delikatne dźwięki, pomruki nocy. Doszedłem do polany. Pośrodku wznosił się zegar słoneczny; z cieniem obsypanym błędnymi iskierkami gwiazd. Do wskazówki miał przyczepioną kolejną wstążkę. Usłyszałem śmiech gdzieś nieopodal. Ciernie podrapały mi twarz. Kolejna wstążka zwisała z gałęzi drzewa, falując od mojego oddechu. Popędziłem dalej. Nie było już całkiem ciemno, noc się kończyła przedświtowymi, połyskującymi falami szarości. Niebo i las pokrywała gęstniejąca mgła. Potem poczułem dziwny, słony, słodko-mdły zapach. Ścieżka pobiegła stromo w dół, park się przerzedził.

– Gdzie jesteś?

W uszach mi huczało, ziemia była miękka i ustępowała pod stopami. Spojrzałem na nią i zobaczyłem piasek pokryty morską pianą.

– Tutaj!

Wszystko przesycaliły iskierki, szmery. Oto i ona, stoi naga w falach. Poznałem teraz, po bladości skóry, po delikatności rysów, po mocy złotej rybki, za kogo przebrała się Sadie. Była Anną Winters, Annalise, owiniętą w szarozłotą gazę, wychodzącą jak bogini z głębi mglistego morza. Pożądliwy, zdyszany, pobiegłem ku niej przez wodę.

– I co, mistrzu Robercie? Warto było mnie gonić?

Jednak wciąż był to głos Sadie, a te mokre włosy, choć jasne, nie były włosami Annalise. Wpadłem wprost na nią, na wpół spodziewając się dymu i zwidów. Poczułem jednak chłodną namacalność jej drżącego ciała. Objęliśmy się. Wokół nas przetaczał się przyływ. Wprawnyimi palcami rozpięła mi ubranie. Pocałowaliśmy się. Pragnąłem jej, tu i teraz, lecz fale były zbyt silne i trudno było ustać. Upadliśmy w lodowatą pianę i wyczołgaliśmy się na piasek, gdzie zrzuciłem resztę przemoczonego ubrania. Kochaliśmy się. Sadie miała swą chwileczkę zapomnienia.

Potem także i ja, ocierając kolana o mokry piasek. Opadłem na plecy. Obmyła nas jakaś większa fala. Wstaliśmy.

– Myślę, że było warto – powiedziała Sadie, przykucając, by splukać piasek z pośladków. Mgła zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Suknia wałała się kawałek dalej, falując i lśniąc jak wielka meduza. Sadie wyglądała teraz inaczej, całkiem jak zwykły człowiek, z węzowymi splotami włosów i wodorostami przyklejonymi do ciała poznaczonego sinymi plamami. – Nie spieszyłeś się, a dla nas, dziewczyn, to się bardzo liczy. To prawdziwa rzadkość, naprawdę...

Uśmiechałem się, słuchając jej paplania. Wiedziałem, że jeśli o to chodzi, jestem całkiem wrażliwym kochankiem, choć młode dziwki z Doxy Street narzekały, jeśli zbyt długo zamarudziło się między ich udami. Zawsze podobały mi się te krótkie chwile tuż po – a Sadie nie różniła się teraz niczym od tych pracujących dziewczyn, gadała ze mną i podmywała się w ten sam beznamiętny sposób, miała posiniałe sutki, fałdy na brzuchu i skórę na udach pomarszczoną jak skórka pomarańczowa. Może to i prawda, może ludzie w środku naprawdę są tacy sami.

– Co się na mnie tak patrzysz? – Odkleiła od policzka mokry pukiel włosów. – Mam rozgwiążdę przyklejoną do pleców, czy co?

Pocałowałem ją w zimne czoło.

– Jesteś piękna sama w sobie. Nie musisz niczego udawać. Przynajmniej raz zabrakło jej słów.

Horyzont stał się drżącą linią światła. Poszedłem szukać swojego ubrania.

– Dzień dobry, obywatelu!

To pozdrowienie pierwszy raz usłyszałem w pierwszak zaraz po powrocie ze Saltfleetby – niewymuszone, nieironiczne, nie zostało wypowiedziane egzaltowanym tonem, jak zwykli mówić członkowie Sprzymierzenia Ludowego – niosło się po ulicy od robotnika do robotnika. Szedłem dalej, czując, jak torba i obawy przestają mi ciążyć, gwizdałem jakąś niezidentyfikowaną melodię, szedłem do Blissenhawka i Czarnej Lucy, do pustych szpalt numeru „Nowego Świtu” z tego pracokresu. Może rzeczywiście w to lato skończy się Trzeci Wiek Przemysłu. Nikt nie miał pojęcia, skąd nadejdzie zmiana, bo kolejne z nich zawsze oddzielało co najmniej sto lat, a opowieści były mętne. Jako dziecko wyobrażałem sobie, że arcycechmistrzowie wyjrzą z okien, wciągną w nozdrza poranne powietrze i postanowią, że Anglia potrzebuje nowej warstwy farby... Wiedziałem, że Pierwszy Wiek Przemysłu zaczął się od egzekucji ostatniego króla, drugi od jakiejś dogłębnej i zawiłej reorganizacji systemu cechowego, a trzeci od triumfalnej wystawy na Krańcu Świata. Ale jak to się stało? Dlaczego? Nawet na stronach „Dziennika Cechowego” nie było zgody.

– Dzień dobry, obywatelu!

Budynki się trzęsły. Tamiza kurczyła się i wypuszczała powietrze. Było to lato wizji i przepowiedni. Na Wzgórzu Pustelnicznym osiedlił się prawdziwy pustelnik i zaczął głosić koniec nie tylko Wieku, ale w ogóle czasu. Więcej ludzi zaczęło chodzić do kościoła; za wysokimi, otwartymi wrotami mrok w środku wydawał się gęstszy i pachniał nowym gatunkiem hymnicznego wina. Drzewo na dziedzińcu jednego z wielkich domów cechowych, które nie wypuszczało listków od pięciu stuleci, zrobiło to teraz, spełniając jakieś dawne proroctwo. Niemal wszyscy obywatele Easterlies, zdaje się, podpisali wielką petycję na rzecz zmian, znaną jako Dwanaście Postulatów. Nad Wzgórzami Latawcowymi przetaczał się grzmot bez deszczu. Powietrze było zastępe, zatęchłe, mętne, a gazowe lampy tylko przydawały mu jeszcze gorącej, żółtej opuchlizny. Był taki upał, że ludzie go przesypiali i wychodzili z domu wieczorem. Sklepy były dłużej otwarte, wszyscy zaczęli wydawać pieniądze. Ceny ostatnio wzrosły tak, że paradoksalnie, pieniądze stały się nagle mniej ważne. Winieta ostatniego numeru „Nowego Świtu” głosiła: „Coś przydatnego za 4 pensy” – Saul i ja często wracaliśmy do domu z wyschłymi dyniami albo połamanymi papierosami.

– Kiedy opowiesz nam wszystko o twoim wyjeździe nad morze? – Saul zapalił cygaro i machaniem zgasił zapalkę. Siedzieliśmy przed barem, który zabłąkał się na Doxy Street.

– Naprawdę nie ma o czym opowiadać. Ci ludzie są tacy sami jak tutaj, tylko mają więcej pieniędzy i gorszy akcent. Są... – Pomyślałem o Walcote House, jego miękkich dywanach, wysokich sufitach i znikających ścianach. Dopiero co przedwczoraj w „Dzienniku Cechowym” widziałem zawiadomienie o ślubie wielkiej cechmistrzynie Sary Elizabeth Sophiny York Passington ze starszym mistrzem Ademusem Isumbardem Porrettem z Powszechnego Cechu Pobielaaczy, który odbędzie się w Walcote House w dzień Świętego Stefana. Dominującym wrażeniem, jakie przywiozłem stamtąd do Londynu, była niewinność. Ci ludzie są jak dzieci. Wciąż będą tańczyć, śmiać się, podzwaniać kryształowymi kieliszkami, kiedy tłuszcza już wyważy drzwi...

– Powinniśmy zamieścić artykuł o tym wszystkim. Lepszy niż ten dziwaczny tekst, co napisałeś w zeszłym pracokresie, o Złotobiałej i Bezbożnym Powstaniu. Kto by tam wierzył w bajki?

– Napisałem tylko, że ona również była na swój sposób przywódcą ludowym. To było powstanie, prawda? I wydarzyło się naprawdę. Poprowadziła ludzi do walki. Poniosła klęskę pod Clerkenwell.

Saul zachichotał.

– Byłeś kiedyś na Clerkenwell?

Oczywiście obaj byliśmy, wiele razy. Ale nigdy nie znalazłem tego, czego szukam, głównie dlatego, że nie bardzo wiem, co to takiego. Pomnik, statua? Zamówiłem następne piwo. Gorący wieczorny wiatr trzepotał plakatami na ścianach; namawiały do przyjscia na dawno minione wiece i zebrania – o ile w ogóle się odbyły. Stare strzępy „Nowego Świtu” i tuzinów innych podobnych gazetek z Easterlies fruwały wesoło wzdłuż rynsztoków.

– Słyszałeś o ogrodnikach z Kentu? – mówił Saul. – Utworzyli spółdzielnie. Sami o sobie decydują. Wszystko wskazuje, że zbiory będą rekordowe, a potem będą mogli podzielić się zyskami i je zainwestować. Wiem, to półśrodek w porównaniu z prawdziwą własnością, ale pomyślałem, że moglibyśmy przyłączyć się do nich, kiedy tylko zmieni się Wiek. Oczywiście byłoby to parę hektarów, nie za wiele. Tyle, żebyśmy z Maud i małym...

Właśnie myślałem o państwie Stropcock – Bowdly-Smart – których zgorzkniałe twarze wciąż wydawały mi się realne pośród miasta, mimo że wspomnienie posiadłości Walcote już zbladło.

– Co mówiłeś? Saul zachichotał.

– Tak myślałem, że jesteś myślami gdzie indziej. Maud będzie miała dziecko... Będę ojcem! – Zaśmiał się, pokręcił głową.

*

Pewnego popołudnia, tamtego lata, poszedłem na Festyn Robotniczy na Wzgórzach Latawcowych. Pod nimi rozciągało się ogromne, mgliste miasto. Iglice i wieżycy. Powolne mruganie wieży Hallam. I naprawdę były tu latawce – ich barwne flotylle łapały ciepły wiatr, kołysały się w powietrzu i szarpały ludzi na ziemi, jakby pociągały za linki marionetek. Jeden, wielkości niedużej szopy, jedwabny, karmazynowy, drżący, na moment spadł na ziemię i zebrał wokół siebie tłumek gapiów.

– Kiedyś też taki miałem. No, może nie tak wielki. Odwróciłem się i ujrzałem wyższego mistrza George’a.

– To była najbardziej skomplikowana rzecz, jaka mi się w życiu udała – że wzniósł się w powietrze. Oczywiście, był naeteryzowany. Tak jak ten, spójrz tylko na linki.

Latawiec pomknął w górę. Wydało się, że my i cała ziemia spadamy w dół.

– Zapewne – powiedział, mrużąc oczy, gdy słońce lśniło na jego piegowatym ciemieniu – przyszedłeś tutaj, żeby sprzedawać „Nowy Świt”?

Kiwnąłem głową. George kupił jeden z egzemplarzy, które miałem pod pachą, a potem zaskoczył mnie i wbił w dumę, wyjawiając, że już go czytał, w tym także mój niezborny tekst. Powiedział, że robi co może, żeby być na bieżąco z tą, jak się wyraził, debatą. Nieco dalej w dół zbocza, gdzie cienie latawców tańczyły w powietrzu unoszącym się z Londynu jak żar z piekarnika, pławiła się w słońcu grupka namiotów i markiz, Targi Rzemiosła na Nowy Wiek. George był, zdaje się, jednym z organizatorów. Widziałem szyldy: *Darmowe Wystawy, Nieruchome Tańce, Kształcące Pogadanki oraz Prezentacje Najwyższej Jakości Towarów Niewyprodukowanych przez Żaden z Cechów*. George, oprowadzając mnie wśród stoisk, mówił przeprasającym tonem. Zakalcowate ciasta, wątpliwej jakości ceramika wypalana w piecu chlebowym, brylaste rzeźby, dziergane lalki i drewniane ramki zdobione wypalankami. Na chwilę usiedliśmy na składanych krzeselkach w duszącym upale namiotu i posłuchaliśmy niekończącej się dyskusji o tym, że już niebawem możliwa jest zmiana kalendarza. W starszych wersjach Biblii nawet od Pana Boga wymagano tylko siedmiodniowego tygodnia pracy, więc czemu nie wrócić do tego systemu, pracować pięć i pół dnia, a pozostałe półtora odpoczywać? Albo jeszcze lepiej, pracować tylko pięć dni...

– Wiem, że przed nami jeszcze dużo pracy. Nie ma porównania z latami twojego trudu przy wydawaniu tej gazety. Ale robimy doświadczenia z barwnikami, nowymi procesami produkcji...

George odciągnął mnie na bok, wciąż wyjaśniając, wciąż przeprasząc. Wzgórza Latawcowe, powiedział mi, nazywały się kiedyś Wzgórzami Parlamentu, na pamiątkę grupy buntowników pod wodzą Fawkesa, którzy zebrali się tutaj po próbie wysadzenia owej od dawna martwej instytucji, mieszczącej się niegdyś nieopodal, nad Tamizą. Oczywiście cechy zmieniły tę nazwę – idea parlamentu, prawdziwego, składającego się z uczciwie wybranych reprezentantów, mogącego rządzić naszym życiem, była zbyt niebezpieczna.

– Złotobiała też właśnie tutaj zebrała swoją armię, prawda? – Hm... – George uśmiechnął się niewyraźnie. – Tak jak napisałeś w tym szalenie interesującym artykule. Choć zastanawiam się, czy to nie jest nawiązanie do królowej Boadicei.

– Do kogo?

– Wszystko to już historia, prawda? To najwspanialsza rzecz, jaką można powiedzieć o tamtych czasach!

George wskazał dłonią szarą mgiełkę. Miał plany i szczegółowe projekty nowych, zielonych przedmieść. Schludne, ładne i czyste szeregi wolno stojących domków, w których zamieszkałyby rodziny i grupy robotników, rządziłyby się sami, uczciwie wymieniając się swymi umiejętnościami i tym, co wyhodują. Zielone wioski blisko serca Londynu. Kiedy tak szliśmy, a George mówił, zdałem sobie sprawę, że może nasze nadzieje nie są tak bardzo odległe.

– Co słyszać u Anny?

– Byłaby tutaj, tylko że musiała pomóc Sadie przy weselu.

– To znaczy...?

– No pewnie Anna też wspiera ruch na rzecz zmian. Podpisała Dwanaście Postulatów tak jak my wszyscy. No, oczywiście poza Sadie, ona przecież by nie mogła, prawda?

Spacerowaliśmy po wzgórzach. Byłem zaskoczony i rozdrażniony tym, że Anna i jej wesoła kompania chcą wskoczyć do pociągu ze zmianami. Co oni w ogóle wiedzą, w co wierzą? Ponieważ George wciąż mówił o Annie tonem pełnym uwielbienia, domyśliłem się, że sprawy zaszły nieco dalej niż ów pocałunek, który podpatrzyłem w Walcote House. Właściwie nawet w to było trudno uwierzyć. Mogłem się przecież mylić. Gdyby Anna i George byli, jak to nazywała moja matka, tematem, byłby to osobliwy temat. Ale Anna to Anna. I o to właśnie chodzi...

Gdy tak wędrowaliśmy, czuliśmy między nami jej obecność. Wyobrażałem ją sobie, w długiej letniej sukni, z letnim uśmiechem, w prostych dziewczęcych sandałach, podobnych do tych, które nosiła w Redhouse. Widziałem odbłask słońca na miękkim meszku jej nagich ramion. Baseny pływackie były dziś zatłoczone, jak łatwo się domyślić. George i ja z przyjemnością usiedliśmy w wilgotnym cieniu drzew obok Basenu Męskiego, gdzie męskie ciała o wszelkich kształtach, rozmiarach i Znakach pływały się razem, demokratycznie przemieszane. Opowiedział mi o swoim ojcu, o jego niepowodzeniach w Cechu Architektów, płynących z przekonania, że robotnik z niższego cechu pracowałby lepiej, gdyby lepiej mu płacić. George odziedziczył po nim ten pogląd i rozwinął go w dzisiejszym klimacie zmian. Był równie marnym mówcą jak ja – zbyt nieśmiały, zbyt kulturalny – ale przyglądając się grze światła na białych i owłosionych ciałach, opowiadał z pasją o konieczności zmian.

– Robercie, ta szlachetność robotnika! Spójrz tylko na nich. – Pokręcił głową z podziwem i namysłem. – Ta wspaniała szlachetność prostego, pracującego człowieka...

*

Pewnej nocy coś zaskrobało w moje okno. Mógł to być ptak albo kamień, ale odgłos był

jakby bardziej artykułowany. Brzmiał, jakby ktoś wołał mnie po imieniu. Leżałem w łóżku, czując, jak ciśnienie nocy wzbiera kaszlem i chrząkaniem z czynszowych mieszkań poniżej. Brudne okienko było szeroko otwarte, jak maleńki cel. Wyplątałem się z prześcieradeł i wyrzałem. W dole, na ciemnym podwórzu, Sadie przyciskała do gardła szeptokamienie. Uśmiechnęła się i zamachała do mnie.

Narzuciłem coś na siebie i zbiegłem ciemnym, gorącym przełykiem schodów. Sadie stała przy suchych beczkach na deszczówkę, w długim srebrnym futrze. Gdy ocierała swe wargi o moje, w trudnym do rozszyfrowania pocałunku, futro drżało wokół niej, jakby wciąż było żywe.

– To nieformalny prezent zaręczynowy od Isumbarda – wyjaśniła, gdy wsiedliśmy do powozu i zapaliła papierosa. – Obiecywał mi, że zimą będzie równie ciepłe, jak teraz jest chłodne. Oj, wiem, że to żałosne. I nie pytaj mnie, jakie zwierzę zabito, żeby je zrobić...

– Widziałem cię w gazetach...

– Upiorne było, prawda? Cholera, dziurki w nosie miałam jak tunele kolejowe. Dzisiaj poczułam, że muszę gdzieś wyjść, jak najdalej od Northcentral.

Spocone cegły Ashington uciekały w tył wśród stukotu kopyt. Ciepły zapach koni docierał do wnętrza powozu.

– Musieliśmy predefilować po Wagstaffe Mail. Ludzie mieli do nas machać. Nie pojawiło się ich wielu, ale ktoś rzucił we mnie brukowcem.

Zobacz... – Zsunęła kołnierz płaszcza, by pokazać mi ramię. Był na nim duży siniak. – Tego oczywiście nie napisali w „Dzienniku Cechowym”... – Otworzyła torebkę, by zapalić kolejnego papierosa, potem zauważyła, że jednego już pali. – Paskudny nałóg. Muszę przekupywać pokojówkę, żeby po nie chodziła. Jak się wyda, będzie prawie w takich tarapatach jak ja. Kiedy zapalam kolejnego, zawsze mówię sobie, że to już ostatni... – Wypuściła błogi, pełen poczucia winy kłęb dymu.

Ulice Easterlies były dziś ciche i osobliwie dziwoczne. Zastanawiając się, czy Sadie rozumie, jakie podejmuje ryzyko, opowiedziałem jej o nadchodzącym dniu Świętego Jana i o tym, że minie wtedy dokładnie sto lat od otwarcia Wystawy na Krańcu Świata, zwiastującej początek obecnego, Trzeciego Wieku. Było oczywiste, że właśnie teraz powinien skończyć się Wiek; aż dziwne, że przez tyle czasu nikt o tym nie pomyślał. No i jeszcze Dwanaście Postulatów. Plotki głosiły, że dwa zostały już półoficjalnie przyjęte i że cechy negocjują z nowymi robotniczymi radami szczegóły kilku dalszych. Wiek zniknął jak zmięty w kulkę papier i naprawdę wyglądało na to, że wielki wiec w Parku Westminsterkim, planowany na Świętego Jana, przyniesie mu niespodziewany koniec. Będzie huczny, optymistyczny, radosny festyn. Planuje się tyle atrakcji. Połączone dęte orkiestry wielu cechów. Pochody czeladników. Mistrzowie z nieznanego do niedawna Oddziału Stawonogów Cechu Zwierzmistrzów planują nawet wypuścić nowy gatunek motyla. Ale zawsze znajdują się chciwcy, którzy nadadzą złe imię wszystkiemu, nawet rewolucji. Oraz Sadie i jej podobni, w ich wielkich rezydencjach...

– Wiem – westchnęła – jesteśmy pasożytami utuczonymi na krwi zmęczonych i wykorzystywanych robotników, których traktujemy niewiele lepiej niż niewolników na Wyspach Szczęśliwych. I powinniśmy na zawsze zniknąć z powierzchni ziemi. Może wyniesiemy się do Saltfleetby albo do naszego domku nad jeziorami... – Wymieniała swe liczne rezydencje, aż skończyły się jej palce. – To znaczy... – Przyglądała się koniuszkowi papierosa, zanim wyrzuciła go z powozu w snopie iskiei. – Jeśli faktycznie spodziewamy się, że coś będzie. Och, wiem, że George jest całym sercem za nowym Wiekem, Anna ostatnio tak samo, więc to stało się prawie *de rigueur*...

Northcentral świeciło chitynowoczarным połyskiem ponad dachami Easterlies. Nie było

widać wieży Hallam, całkiem jakby dziś wchłonał ją bezczasowy, mroczny puls. Sadie gadała o świecie obróconym do góry nogami, w którym nawet ona mogłaby dołączyć do manifestacji.

– Tak czy tak, muszę zostać w Londynie. Mam tyle spraw do załatwienia. Nie miałam pojęcia, że zawarcie małżeństwa jest takie skomplikowane. Rozumiesz, trudno mi nawet ustalić, kogo wziąć na drużnę – poza Anną. Tylu ludzi tylko czeka, żeby się obrazić...

Małżeństwo – to nie było właściwe słowo. Gdy opowiadała o ceremoniach, o mowach pożegnalnych, przypomniało mi to moje pierwsze dni w Londynie, kiedy zdarzało mi się oglądać wielkie żelazne frachtowce holowane do nabrzeży Tidesmeet. Był to powolny, namaszczony, elegancki taniec, wielkie splecenie sił. Nawet teraz, u schyłku Wieku, cechy okrążały się nawzajem, potrząsając orężem pieniądza i władzy.

– A w istocie, Robbie, chodzi tylko o farbę...

Jak powiedziała, dźwigary wielkich słupów telegraficznych, rozsianych po całym kraju, niebezpiecznie pordzewiały. Rozwiązanie było typową cechową prowizorką, którą nawet ja nauczyłem się rozpoznawać: trzeba sprzymierzyć się z Cechem Pobielaaczy mistrza Porretta, który dysponował opartą na eterze metodą nie tylko powstrzymywania rdzy, ale cofania jej – tak, że szkody powstałe przez dziesięciolecia niedbalstwa zastąpi świeżo wyrosnięta, nowa stal. Sadie była elementem tego aliansu.

– Nie uwierzyłbyś, jak wyglądają te obrzędy! Jak paskudnie wyglądałam w tych ubraniach i kapeluszach, które kazali mi włożyć! Musiałam nawet przysiąc wierność nędznemu cechowi Isumbarda. Gdzieś w środku ja, mistrzyni Cechu Telegrafistów, buntuję się przeciw temu. Ale mama tylko wzdycha i mruczy coś o obowiązku, a taty nigdy nie ma. Wiesz, musieliśmy nawet oddać im niektóre nasze chalcedony...

– A co to takiego?

– Wielkie kryształy. O takie... – Machnięciem papierosa narysowała kształt, zakłęcie, wizję potężnego kryształu, który raz zobaczyłem w objęciach opromienionego podziwem i dziwoblaskiem wielkiego mistrza Harrata. – Są jak... no nie wiem... większa odmiana szeptokamieni.

– Albo cierpniki czy liczykami?

– No właśnie. Kamienie, które przez całe życie obmacują księgowi. Ale chalcedony są dużo większe i potężniejsze. W nich wysokie cechy przechowują swe zakłęcia...

Zamilkłem. Właśnie teraz, podejrzewałem, powinienem poprosić Sadie, by porozmawiała ze swym tatusiem o całkowicie rozsądnej naturze Dwunastu Postulatów. Któż inny będzie miał taką okazję? Wyczuwałem jednak, jeszcze zanim zacząłem, że ta rozmowa będzie bezcelowa; nie tylko Sadie tak naprawdę nic nie może – sam arcycechmistrz też nie. Cechy przerastały ludzi, którzy im służyli – nawet tych na najwyższym poziomie. Spróbowałem przypomnieć sobie cechmistrza z krótkich wspomnień z Walcote House. Lecz widziałem jedynie zwykłego człowieka, z nieprzekonująco pofarbowanymi włosami, twarzą jak maska, z uśmiechem, który ciągnął się za nim cieniem czegoś większego, głębszego i mroczniejszego, co górowało nad nim i władzą, i rozumem. Po raz pierwszy poczułem obawę przed wydarzeniami w nadchodzącą noc świętojańską.

– Coś się tak zamyślił? Masz.

Wypaliłem papierosa dla towarzystwa.

– Wiesz, Robbie, właściwie mam nadzieję, że się nie mylisz. Mam nadzieję, że to wszystko się zawali, że będę mogła pójść sobie, pracować jako dojarka i dostać żyłaków. Ale to się nie zdarzy. Nie...

– Ale przez kilka dni będziesz uważać na siebie, dobrze?

– Jeśli ty obiecasz to samo.

A potem rozmawialiśmy, jak zawsze, o Annie. Oboje zgadzaliśmy się, z naszych dwóch różnych punktów widzenia, każde z nas bowiem wiedziało o niej co innego, że ta relacja z George'em, ta więź, cokolwiek to było, nie miała nic wspólnego z tym, co potocznie określa się miłością – przynajmniej fizyczną. Oboje byli za bardzo... za bardzo jacyś tacy... a zwłaszcza Anna, jak zapewniliśmy się nawzajem, ale George również... Powóz opuścił Easterlies, przejechał Doxy Street i klucząc, ruszył na zachód. Nie miałem pojęcia, dokąd zmierzamy, dopóki nie zatrzymaliśmy się raptownie przed czymś w rodzaju zawalonego doku.

Niska woda Tamizy, meandrując między wysepkami szarego, popstrzonego kraterami błota... Lecz ja znałem to miejsce, choć wejście, niegdyś udekorowane wstążkami, teraz było zamknięte bramą i łańcuchem, a z kolczastej kopuły sali balowej nie padał ani promyk światła.

– Uwielbiam odludne miejsca... – Sadie uniosła ciężkie ogniwa łączące skrzydła bramy. Pochwyciłem błysk jej naszyjnika z szeptokamieni, gdy wypuściła niesamowity obłok, jak para na mrozie. Kłódka odpadła. – Oczywiście, są niebezpieczne...

Deski chwiały się jak pijane, unosząc się i opadając jak wzburzone drewniane morze. Następnej zimy, gdy woda podniesie się i zamarznie, kiedy przyjdą wiosenne roztopy, nic z tego nie zostanie.

– Co się tu stało?

– Pewnie po prostu chodziło o pieniądze. Za duże koszty, za mało zysku. Robbie, co to za Wiek! Pamiętasz, jak wtedy tańczyliśmy tutaj z Anną? Wydaje się, że to było tak dawno. Pomożesz mi, Robbie?

Balansując na co solidniejszych deskach jak linoskoczkowie, doszliśmy do samej sali balowej. Drzwi wisiały na jednym zawiasie, a szerniały parkiet pokrywał kurz, ptasie odchody i odłamki rozbitych kandelabrow. Zataczaliśmy się przez chwilę, bez tchu, śmiejąc się bezgłośnie, udawaliśmy, że tańczymy, dopóki poczucie, że budowla nas obserwuje, nie kazało nam przestać. Pomosty przed salą były tak pochyłe, że idąc po nich, musieliśmy z całej siły trzymać się poręczy. Potem Sadie oparła się o jedną z nich i przyciągnęła mnie do siebie. Poczułem na twarzy chłodny dotyk jej futra. Moja dłoń wśliznęła się pod nie, jej oddech zaświstał mi w usta, gdy namacałem pierś i pajęczą ostrość sznura szeptokamieni. W uszach ciepło śpiewały mi zaklęcia, gdy gładziłem kamienie i znów zaglądałem w tunele korytarzy Walcote House. Wtem cała konstrukcja zakołysała się z przedśmiertnym skrzypieniem i cofnęliśmy się, drżąc mimo upału.

– Chodźmy stąd.

– Nie! Posłuchaj... – Sadie z powrotem założyła włosy za uszy. – Pst! Nie słyszysz?

I wtedy usłyszałem. Stłumiony rytm muzyki, jak zatopiony dzwon. Westchnienia, ekscytacja, atmosfera. Perfumowany szelest letnich nocy. Sala balowa pamiętała – oczywiście, że pamiętała. Jej duchy tańczyły wokół nas, wirując sukniami. *Umiesz tańczyć, prawda, Robbie?* I umiałem. Potem budowla wydała kolejny przeciągły, agonalny jęk, opadło na nas nocne powietrze.

– Dziękuję ci, że i tutaj okazałeś się dżentelmenem i że mnie, ehem... nie wykorzystałeś – mruknęła Sadie, paląc papierosa w powozie jadącym ku Ashington. – Nie żebym miała coś przeciwko, ale od tamtych miłych chwil w Walcote, na wiosnę, sporo się zmieniło. To wszystko przez to przekłete wesele. Obrzędy, zaklęcia. – Rzuciła mi uśmiech, smutny i nieprzenikniony. – Bo widzisz, ja znowu jestem dziewczyną.

W przeddzień Świętego Jana wiał gorący wiatr, tak jak przez całą poprzednią noc. Nikt nie mógł spać, a blaszany dach próbował unieść z ziemi stary warsztat o betonowej podłodze, gdzie odbywało się poranne spotkanie. Szum, bum... Blissenhawk i reprezentanci rozmaitych grup, z którymi zawarliśmy ostrożne przymierze, stawali na niepewnej piramidzie skrzynek, ponad sprzeciwami, narzekaniami i punktami porządku obrad. Bez wątpienia w innych pustych magazynach i fabrykach na Easterlies odbywały się inne narady, na których opracowywano plany na jutrzejszy dzień. Wiatr wiał z południa, silny i gorący, jak na afrykańskiej pustyni. Niósł ze sobą szum dachów setki innych miast, we Francji, na Nizinach i w Saksonii, gdzie też musiało dochodzić do podobnych rewolucyjnych erupcji.

Dzień naprawdę był niezwykły. Słońca nie było widać, lecz niebo lśniło oślepiającą bielą, a skrzące się drobinki piasku tręcały mnie w twarz, gdy nieśliśmy z Saulem skrzynkę zawierającą naszą część Dwunastu Postulatów do względnie bezpiecznego schronienia w suterenie z Czarną Lucy. Na rogu Sheep Street po jezdni sunęły wyrwane z zawiasów drzwi. Gdy upuściliśmy pudło, by się przed nimi zasłonić, kilka setek arkuszy pofrunęło w powietrze śniegową zawieją. Ocierając z twarzy łzy i kurz, ze śmiechem obserwowaliśmy, jak lecą nad dachami w białe niebo.

Wróciwszy do suterenu, zgodziliśmy się obaj, że Maud, z jej opuchniętym brzuchem i nadwerżonymi kostkami, powinna zostać w Ashington i pilnować Czarnej Lucy. Potem wyruszyłem, sam, by obejrzeć ów, jak głęboko wierzyłem, ostatni dzień Wieku. W wigilię Świętego Jana w Easterlies już panowała atmosfera święta. Wśród kłótni zamykano drogi w przygotowaniu na jutrzejsze uliczne parady. Szyldy pubów trzepotały. Dzieci skakały i śpiewały pośród miotanego wiatrem połyskującego pyłu. Z promowej przystani nie kursował żaden ze stałych przewoźników, ale pewien obywatel, cuchnący alkoholem, chętnie pożyczył mi swoją łódeczkę. Przeciągnęliśmy ją przez wyschłe błoto. Zanurzyłem wiosła w wodzie i odpłynąłem, machając do niego serdecznie. Gdy w końcu pokonałem zadziwiająco silny prąd i opór wiatru, wyciągnąwszy łódkę daleko na drugi brzeg, Kraniec Świata wciąż zdawał się oddalać. Otarłem twarz, otrzepałem się – niemal natychmiast przykleiła się do mnie warstewka lśniącego pyłu. Wierzchołki hałd lodu maszynowego dymiły. Wszystko lśniło jak lusterka, gdy skwarny wiatr zgarniał kryształki z grzbietów wzgórz i niósł je nad Londynem.

Z wielkiej hali wystawowej było dziś widać jedynie blady szkielec. Wichura plądrowała dziczące ogrody. Przedzierając się przez pergole oplecione kołyszącymi się, dzwoniącymi, ostrymi puszkami na sznurkach, w końcu dotarłem do tyczek, inspektów i grządek pełnych jaskrawych kwiatów. Z zabawkowego domku pani Summerton unosiła się cienka, czarna kreska dymu, zaginając się pod kątem prostym, ale kiedy zapukałem do drzwi, na których wciąż wisiało trzepoczące, wyblakłe ogłoszenie, nikt mi nie odpowiedział. Nacisnąłem klamkę i wiatr niemal wepchnął mnie do środka, gdzie w powietrzu wisiał aromat fajkowego dymu i zapach ziemi, jak w szopie pełnej roślin doniczkowych, które zawsze już będą mi się z nią kojarzyły. Przykucając, zaglądnąc tu i tam, wołając ją, z rozbawieniem odkryłem stojącą w rogu pokoju miotłę. Machnąłem nad nią kilka razy rękoma, w ramach eksperymentu, ale najwyraźniej była wykorzystywana tylko do prozaicznych domowych celów. Za dużym pokojem była niewielka alkowa i schodki na górę, gdzie pod skosami dachu mieściła się ascetyczna sypialnia. Spodziewałem się... nie wiem, czego się spodziewałem, ale okrągłe okienko zdawało się zabierać więcej światła, niż dawało, a łóżko było brązowe jak cień w głębi lasu. Poduszki z wypchanych worków. Intensywny zapach liści. Naprawdę

tu spała? Czy ona w ogóle spała? Wisiał tu też ten długi skórzany płaszcz, który często nosiła, w półmroku przypominając zrzucaną skórę. Ogień trzaskał i migotał. Okulary, odłożone na podłużną skrzynkę po pomarańczach przy łóżku. Może naprawdę były jej potrzebne do czytania.

– Rozglądamy się, co?

Obróciłem się na pięcie.

– Ja tylko...

– Widzę, co tylko robiłeś. – Pani Summerton stała przede mną.

– Przepraszam. – Pokoik zawirował wokół mnie. – Powinienem być zaczekać na zewnątrz.

– Na takim wietrze? Rozumiem cię. – Któż by nie był ciekawy? Ale czasem przyłóżą dzieciaki, nieproszeni goście... – Machnęła ręką. – Domyślasz się, że sprawiają mi kłopot...

Zszedłem za nią po schodach. Zaczęła rozdmuchiwać żar, nastawiła czajnik.

– Wie pani, co jest jutro?

Zachichotała oschle, pomieszała w imbryku i naląła mi herbaty do zabawkowej filiżaneczki.

– Oczywiście. Świętego Jana.

Postarzała się. Skórę miała cienką, naciągniętą – jak wyschły szkielet. Pomiedzy rzadkimi pasmami jej siwych włosów prześwitywała łysina. Dudnił wiatr. Wiklinowe krzesło trzeszczało pode mną.

– Dużo się mówi – dodałem – że jutro zakończy się cały Wiek. Nie dlatego że chcą tego cechy. Dlatego że chcą tego ludzie. Wie pani, jak on się zaczął: od wystawy tutaj. Więc pomyślałem sobie, że jutro może się tutaj coś dziać, może tu nie być całkiem bezpiecznie.

– Całkiem bezpiecznie, tak? Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek tak się czuła...

– Ale rozumie pani, co mam na myśli.

– Nigdzie nie jadę – prychnęła. – Jak uspokoi się wichura, będę miała mnóstwo roślin do odratowania. Porwała mi już jeden z inspektów. – Wiatr na zewnątrz zawył jeszcze głośniejsze. Pomimo upału krajobraz za oknem był zimowo biały. – Jeśli pozwolisz, Robercie, zostanę sobie tutaj, będzie ten koniec Wieku czy nie będzie. – Jej śmiech zabrzmiał jak łamanie gałęzi. – Ale tak, rozumiem, o co ci chodzi, i jest mi miło, że pomyślałeś o mnie, choć na pewno masz tyle do roboty. – Wstała, znalazła fajkę i zaciągnęła się wygasłym tytoniem. – Lecz ja też jestem zajęta. Muszę sprzedawać kwiaty. Jak myślisz, czy Cech Zbieraczy inaczej dałby mi mieszkać w tym opuszczonym domku? Nie masz pojęcia, ile mnie kosztuje utrzymanie Annalise, Anny, czy jak tam ona się teraz nazwała, na poziomie, do którego się przyzwyczaiła. Choć pewnie teraz już masz pojęcie, skoro obracałeś się w tym samym towarzystwie... – Szczęknęła paroma puszkami w poszukiwaniu tytoniu. – Kiedyś miałam oszczędności. Ale już nie mam. Wszystkie zniknęły, choć ich nie wydałam. Nie wiem, co się stało z tymi pieniędzmi...

Wyszedłem za nią do ogrodu. Jeszcze jej nie widziałem w takim nastroju.

– Popatrz tylko tutaj. – Kwiaty leżały na grządkach, falując jak w gorączce. – Tyle pracy, tyle wysiłku...

– Wciąż są piękne.

– Zaraz mi powiesz, że powinnam być dumna.

– A nie jest pani?

– Nie są moje, żebym mogła być dumna, prawda? – Nadal miała gołą głowę, a workowaty fartuch powiewał wokół niej. – Nic nie jest moje.

– Poznała pani przyjaciela Anny, wyższego mistrza George'a Swalediffa?

– Przecież nie przedstawiałaby mnie komuś, kto się tak nazywa. Chociaż może by pomyślał, że jestem tą straszną starą ciotką, tylko że ona chyba ma już nie żyć.

– George to miły i porządny człowiek. Nie jest taki jak oni wszyscy.

– A Anna jest taka?

Pokręciłem głową. Oczy miała zaropiałe, brązowe jak u psa. Tak, pomyślałem, choć próbowałem się powstrzymać.

– Anna jest jedyna w swoim rodzaju. I George trochę to dostrzega. On również widzi potrzebę zmian. Ma wiele współczucia dla pokrzywdzonych.

Znów gorzki śmiech.

– No, może powinien przyjść i mnie poznać.

Doszliśmy do różanej alejki. Krzewy gięły się i szurały pod naporem jęczącego wiatru.

– Tyle się gada o tych zmianach – powiedziała – a dla mnie co to za różnica? – Wyjęła z kieszeni sekator, chyba ten sam, który miała w rękach, kiedy w Redhouse otwierała drzwi mojej matce. Przyglądałem się, jak chwyta falujące gałęzie i zaczyna ciąć – stworzenie nie z tego świata, o rękach jak gałązki, ubrania kłębią się wokół jak dym, od czasu do czasu błyskając rozmazany krzyżem i literą C na wątlej piersi.

– Robercie, trzeba, żebyś zapomniał o mnie, obojętne co się jutro wydarzy. Postaraj się także darować sobie Annę albo to coś w niej, czego tak się trzymasz. Ona mogła stać się wszystkim – może nawet tą cudowną istotą, którą pragniesz w niej widzieć, a którą ja w oczywisty sposób nie jestem. Ale się nie stała.

Wiatr ucichł na chwilę. W nagłym, postrzępionym rozbłysku słońca ukazała się rzeka, Londyn, wielka, wałająca się budowla na Krańcu Świata, białe wzgórza.

– Rozejrzyj się tylko. – Machnęła sekatorem. – Widzisz, do kogo należy ten świat? Z pewnością nie do takich jak ja, niezależnie czy zdarzy się rewolucja, czy też nie. W tym domu w Oxfordzie, kiedy byłam młoda i niewiele wiedziałam, marzyłam sobie, że w świecie dokoła czeka na mnie wielu mi podobnych. Podobnych, ale nieskończenie potężniejszych. I pewna byłam, że któregoś dnia, jutro, bramy otworzą się i wybiegnę, a świat będzie bardziej przypominał moje wyobrażenia. Drzewa, nawet chmury, wszystko będzie posłuszne moim chęciom.

A ludzie będą schylać głowy przede mną – i w to wierzyłam, nawet kiedy wylałam i gryzłam...

– Tymczasem z sobie podobnych poznałam tylko stworzenia w rodzaju biednego pana Snaitha, co to przebierają się i popisują przed ludźmi jak tresowane małpy, albo smutne pokraki u Świętego Blate'a, które nawet nie wiedzą, jak się nazywają. Myślę jednak, że każdy potrzebuje swej własnej historii... – Szczęknięcie sekatora. – Proszę. – Wręczyła mi różę, intensywnie czerwoną, o aksamitnych płatkach. – I obiecaj mi, że będziesz jutro uważał...

Pożegnałem się z nią i wpiąłem kwiat do butonierki. Wiatr gwizdał między pustymi framugami Krańca Świata, popychając moją łódeczkę ku północnemu brzegowi. Tamizę pokrywał ten sam skrzący się kurz, który wirował nad dachami i nasyczał cienie niemożliwymi kolorami, jak wielobarwne dywany, ludzi zaś zmieniał w przedziwnych pajaców. Na wiadukcie nad bocznicami Stepney zatrzymałem się, by odetchnąć. Tory i place były ciche i puste, równie dobrze Świętego Jana mogłoby być już dziś. Wspomniałem czas, gdy stałem na dużo mniejszym moście, wyliczając odpowiedni moment na skok. I teraz byłem tu, w wigilię zmiany, na rzecz której poświęciłem większą część swego dorosłego życia, a nadal myślałem o skakaniu do wagonów.

Potem wiatr zaskomlił, pode mną przetoczył się długi, szaroczarny kocioł wielkiego ekspresu, wagony z turkotem mijały kolejne zwrotnice. Były eleganckie, błękitne, jakby w mundurach. Kiedy odsunięto drzwi i wyciągnięto pomosty, wyszło z nich stado olbrzymich czarnych koni, pięknych prawie jak jednorożce Sadie. Chyba był to dzień dziwnych widoków.

Fontanny w Parku Westminsterkim tworzyły tęcze. Nibyliny zrzucały liście. Obrotowe drzwi

wielkich hoteli kręciły się jałowo. Kiedy doszedłem do Kingsmeet na obrzeżu Westerlies, domy nieco zmalowały, choć nadal były eleganckie. Tylko ponumerowane dzwonki i lekki nieład we frontowych ogródkach przypominał, że są to dalecy krewni kamienic czynszowych z Easterlies. Wiedziałem jednak, że różne klasy społeczne tłoczą się tu jeszcze bardziej niż w całej Anglii. Przez okna można było dostrzec pokoje zagracone zbyt dużą liczbą mebli albo przeciwnie, zbyt puste. Tutaj mieszkali ci niezupełnie bogaci, którzy pięli się w górę lub podupadali. Nie bardzo bogaci mieszkańcy Kingsmeet trzymali się spódnicy Northcentral, czasem nawet odwiedzali tamte posiadłości, przyjeżdżali wynajętymi karetami, równie eleganckimi jak powozy gospodarzy, a wracali do domu pieszo, dla oszczędności. Na poddaszach wśród płataniny rur mieszkali tu artyści i intelektualiści, ożywiający niejedną wieczorek u wielkich cechmistrzyń. I tutaj, w małym dwupokojowym mieszkanku na Stoneleigh Road, za czynsz, który starczyłby na rok na połowę czynszówek na Thripp Street, mieszkała Anna Winters, cechmistrzyni bez cechu. Nieopodal, za rogiem, za sklepem z rowerami, mieszkał także wyższy mistrz George Swalecliffe.

Zerknąłem w górę, na obmurowany kamykami fronton i okno Anny na trzecim piętrze. Przychodziłem już tutaj, ale dziś czas było posunąć się dalej – czas na zmianę. Jednak, otwierając drewnianą zieloną bramę, ciągnąc za dzwonek opatrzony jej nazwiskiem, nie miałem pojęcia co właściwie zrobić, co jej powiedzieć. Jedna z obluzowanych niebieskich szybek w drzwiach frontowych telepała się na wietrze. Potem drzwi uchyliły się i wyjrzała sąsiadka. Na szyi miała kosztowny niegdyś szal i pantofle z dziurami na czubkach.

– To nie pan cechmistrz...?

– Jaki cechmistrz?

– No... – Machnęła ręką. – Taki jeden, co raz pytał o Annę. Zresztą nie ma jej. Niech pan spróbuje w instytucie, tam za rogiem.

Instytut mieścił się w tandetnej dobudówce do brzydkiego kościoła. Na tablicy ogłoszeń przed wejściem trzepotały afisze odwołanych amatorskich recitali i turniejów wista, w środku było obezwładniająco gorąco i ciemno. Przez chwilę prawie nic nie widziałem, w końcu dostrzegłem, że zbija się tutaj i maluje transparenty. A George był wszędzie naraz, zachęcając i nadzorując wdowy cechowe, emerytowanych starszych cechmistrzów, ich sykliwe córki i synów. Kiedy mnie zobaczył, o mało co nie objął mnie z radości, i natychmiast zagonił do szlifowania postrzępionych krawędzi kwadratowych desek. Rozglądałem się za Anną w pełnym rozgardiaszu półmroku. Wciąż nie wiedziałem, czy mam się cieszyć, czy zniechęcać, że ci ludzie, którzy odchylali mały palec, nawet pijąc herbatę z poszczerbionych emaliowanych kubków, również chcą zmieniać Anglię. Jakiż to Nowy Wiek byłby dla nas wspólny? Wizja George'a, ręcznie farbowane tkaniny, pięknie zdobione komody i ludowe tańce na łące? Ach, oto i Anna, w rogu przy prowizorycznej scenie, zszywa spływające jej z kolan barwne pasy transparentu. Nawet w tym zgrzebnym miejscu, gdzie drzwi trzaskały od przeciągów, a ludzie potykali się jeden o drugiego, udając zagonionych, na nią z zadrutowanego okienka za plecami padało całkiem inne światło. Dalekie, chłodne, majestatyczne. Igła unosiła się i opadała, nitka lśniła. Miała taki sam kolor jak jej włosy i złota przędza wpleciona w tkaninę. Wyglądałem chropowate drewno, a serce całkiem przyjemnie mnie bolało. Mógłbym to uroczo bezcelowe zadanie wykonywać przez Wiek cały, jednocześnie patrząc na nią. To, pomyślałem, jest prawdziwa Anna Winters. Twarz, która mignie ci w pędzącym pociągu. Głos, który słyszysz z sąsiedniego mieszkania, ale nigdy go nie spotykasz. Cała zbudowana z tajemnic, które pozostają, czy stoisz tuż przy niej, czy zza brzęczących śmietników zagładasz w okno jej pokoju.

Uniosła wzrok, zrobiła zrozpaczoną minę i przywołała mnie.

– Robbie, pomożesz mi z tym?

Materiał transparentu był ładny, ale śliski. Co chwila, kiedy tylko ktoś otworzył drzwi, unosiły go gorące przeciągi.

– Przytrzymaj, a ja to zwiążę... – Wzór był skomplikowany i wśród fałd trudno się było zorientować, co przedstawia. – Ciężko się pracuje z tym materiałem, chociaż już prawie skończyłam.

– Ty to wszystko zrobiłaś?

Skinęła delikatnie głową, jednocześnie kpiąco i potwierdzająco. W końcu była to Anna Winters, która umiała wszystko, od gry na fortepianie, do tańca przy jego akompaniamencie, choć nic na pokaz. Na zewnątrz falowało pyliste popołudnie. Ale my, ona i ja, byliśmy ciszą pośród burzy. Wspaniała tkanina w jej zręcznych dłoniach emanowała spokojem.

– Byłeś u Missy, prawda? Spojrzałem na nią uważniej.

– Skąd wiesz?

– Poznałam po kwiatku. – Musnęła dłonią klapę mojej marynarki; zauważyłem, że róża od pani Summerton jest przyprószona lśniąca rosą maszynowego lodu. – Ale cieszę się, że ją tam odwiedziłeś. Jest samotna, choć nie spodobałoby się jej, że tak mówię. Też powinnam częściej do niej jeździć, czuję się winna, że tego nie robię. – Gdy George podchodził, by sprawdzić jak nam idzie, zniżyła głos. – Rozumiesz, że mi trudno, prawda?

I szła dalej, skulona w spokojnym półświecie. Materiał prześlizgiwał mi się przez palce. Igła unosiła się i opadała.

– Chyba tak – odpowiedziałem w końcu.

– Co tak? – Uniosła na mnie wzrok, maleńkie srebrne kolczyki zakołysały się na łańcuszkach.

– Rozumiem, dlaczego tak właśnie żyjesz.

Uśmiechnęła się, skinęła głową i wróciła do pracy. Anna Winters, która przyszła tutaj tylko dlatego, że na Kingsmeet dziś było to w dobrym tonie, ponieważ chciała pomóc swemu przyjacielowi George'owi oraz, być może, także mnie i innym obywatelom z Easterlies trudzącym się, by doszło w końcu do zmian. Nie można powiedzieć, żeby wierzyła w Nowy Wiek. Ani że nie wierzyła. Była Anną Winters i żywiła się uczuciami ludzi, uszczęśliwianiem ich, tak jak teraz robiła to dla mnie. Igła wznosiła się i nurkowała. Transparent wił się po podołku Anny, spływał pięknymi kaskadami, a jego ruch był tak uspokajający, że czułem się, jakby ktoś mnie na nowo poskładał, naprawił, złożył do kupy.

– Jak myślisz, co się stanie? – zapytałem. Przerwała szycie.

– Nie wiem. – Spojrzała na mnie. Zielone oczy pociemniały, potem pojaśniały. Wróciły do mnie słowa pani Summerton. *Gada się i gada o tych zmianach, a dla mnie co to za różnica?* Lecz Anna wyglądała przepięknie, spokojna, opanowana. – A ty?

Pokręciłem głową.

– Anno, posłuchaj...

– Powiesz mi, że mam uważać na siebie, prawda? Chyba wszyscy to dziś powtarzają.

Uśmiechnąłem się.

– Ale boję się o ciebie – dodała. – I o George'a. I o wszystkich takich jak wy, którzy teraz mają w Londynie swoją chwilę. Nadzieje są takie kruche, a jak pękają, można się poranić. – Ostatni raz wbiła igłę w tkaninę. Chwyciła nitkę i szarpnęła ją zębami. W jej dolnej wardze na moment zrobił się rowek, który tak pragnąłem wygładzić. – No i już. – Wstała. Materiał zaszeleścił wokół niej. – Gotowe. Weź za ten koniec, dobrze?

Odeszliśmy od siebie, rozpościerając pas tkaniny przez ciasną salę. Rozległy się sporadyczne oklaski, a potem burza ochów i achów, gdy rozciągnęliśmy cały ciemnoniebieski transparent z rudymi plamami, przetykany złotą i srebrną nitką. Trzepotał i drżał w przeciągu jak latawce na Wzgórzach

Latawcowych, gotowy ulecieć w Nowy Wiek. Spodziewałem się jakiegoś rysunku czy hasła, ale on migotał abstrakcyjnymi złotymi wirami. Popatrz z jednej strony zobaczysz komętę przecinającą nocne niebo. Popatrz z drugiej – odległe łańcuchy gór, zawile hieroglify cechowych zakłęb, twarzyczki dzieci. Ulotne, migotliwe barwy namawiały, by ujrzeć pośród nich co tylko zechcesz. Zrozumiałem, że Anna na swój własny niezwykły sposób uchwyciła w nim ducha, kwintesencję nadchodzącego dnia Świętego Jana.

Jakiś czas potem wyszedłem i wracałem do domu. Słońce wisiało nisko. Wiatr wzniecał czarne i pomarańczowe wiry, dudnił o ceglane mury. Jutro coś się wydarzy. To więcej niż pewne. Ale jak? I co? Po plecach spłynęła mi strużka zimnego potu. Byłem już nieopodal Doxy Street, blisko Ashington, szedłem wzdłuż łukowatych podcieni sklepików z drobiem i serami. Były zamknięte, pewnie w ogóle dziś nie otwierali, na ulicy nie widziałem ludzi ani wozów. Choć raz byłem w Londynie całkiem sam. Gdy słońce zsuwało się niżej, spod okapów wзираły cienie, wyciągały dymne palce, szarpały mnie za ubranie i uciekały z okrzykiem obłąkańczej radości. Idąc na skróty przez zaułek, musiałem walczyć z głupią chęcią, by obejrzeć się za siebie lub uciec. Wiatr łomotał poprzewracanymi kubłami, wysypując sterty śmieci. Przedzierając się między nimi, poczułem, że ktoś wszedł za mną w ten zaułek. Odwróciłem się i z dziwacznym triumfem zobaczyłem, że faktycznie między poprzewracanymi blaszankami ze zjełczałym tłuszczem ktoś stoi. Cechmistrz. Ciemno odziany. Owinięty w ciemną pelerynę. Choć nie miał kapelusza ani kaptura, twarz było trudno dostrzec, a jednak wiedziałem, że wzrok ma utkwiony we mnie, a oczy rozbawione, drapieżne i wszystkowiedzące. Stał tak w gorącym mroku tej cuchnącej uliczki i biło od niego niezdrowe, męczące zadowolenie z faktu, że wie wszystko, czego ja się nigdy nie dowiem.

– Ktoś ty? – Próbowałem krzyknąć, ale wyszedł mi szept. – Czego chcesz? – Ruszyłem ku niemu, potykając się o poprzewracane, grzechoczące kubły, lekkomyślnie. Pomimo strachu, ja musiałem wiedzieć. – Czemu mnie śledzisz? Tylko mi powiedz. Tylko...

Wtem wiatr powiał jeszcze mocniej, noga powinęła mi się na warstwach zgniłych kartonów. Gdy odzyskałem równowagę, czepiając się rękoma muru, z mrocznego cechmistrza pozostał tylko wir lodu maszynowego i londyńskich śmieci.

– *Robert, wstawaj! Już późno!*

Otworzyłem oczy, zapiekły mnie i dostrzegłem zacieki na suficie mego wynajmowanego pokoju. Był dzień Świętego Jana, wiatr się wycofał, w nocy padało, przesycając moje sny niespokojnym stukotem. Saul podśpiewywał piętro niżej, myjąc się w miednicy. Maud mówiła coś wesoło i pogodnie, gdy człapała po pokoju ze swym rosnącym brzuchem. Nareszcie przestała mieć mdłości. Rozkwitała w tej ciąży i, jak mawiał ze śmiechem Saul, jadła tyle, jakby to miały być bliźniaki.

Cały świat wydawał się niesamowicie surowy i pusty. Lód maszynowy na wzgórzach Krańca Świata po nocnym deszczu stał się jak warstewka lakieru. Na Sheep Street spotkaliśmy się z Blissenhawkiem i zostawiliśmy Maud, by doglądała Czarnej Lucy, przygotowywanej do druku ostatniego z ostatnich wydania „Nowego Świtu”. A potem, ręka w rękę, rosnąc w siłę, pomaszrowaliśmy na zachód. Kiedy wychodziliśmy z Ashington, tłum był już tak wielki, że przelewał się jak rzeka poza koryto Doxy Street. Aż huczało od plotek, to każących nam się cofnąć, to iść naprzód. Dwanaście Postulatów zostało zaakceptowane! Zmieniono system monetarny! Były z nami dziewczki uliczne, w najjaskrawszych ze swych strojów. Byli i Przedsiębiorcy Pogrzebowi w czarnych cylindrach. I Niżsi Zwierzmistrze, z chowańcami na ramionach – miniaturowymi włochatymi obywatelami, popiskującymi i wymachującymi malutkimi flagami.

Nigdy nie słyszałem o takim marszu na Northcentral. Wieża Hallam błyskała jak zawsze, przyzywająca nas czarna gwiazda. Morze ludzi spływało z Cheapside i Wagstaffe Mail, gdzie tarasami z różowego pseudowłoskiego kamienia wznosiły się największe z wielkich domów cechowych. Bogini miłosierdzia wieńcząca najwyższą z iglic Domu Mechaników miała kapelusz i szalik – nawet ona była dziś obywatelem, a blask słoneczny wirował wokół niej, wznosząc się wraz z okrzykami rozmaitych cechowych i błyskając na potężnej kopule Górniczej Kaplicy, której krypty były podobno wykonane z rzeźbionego i polerowanego węgla. To nie był jednak odpowiedni czas na stare przesady. Te wysokie bramy, te nabijane drewniane drzwi niebawem zostaną otwarte. Dziś ostatni z ostatnich dzień Świętego Jana. Dziś koniec Trzeciego Wieku.

W Parku Westminsterkim nie planowano festynu. Gdy zakłębiły się tam tłumy ze wszystkich dzielnic Londynu, rozległy się pierwsze szmery rozczarowania. W końcu przecież otwarto drzwi domów cechowych, przyjęto Dwanaście Postulatów, oficjalnie zakończono Wiek, co więc począć z resztą dnia? Ale jak się okazuje, nibylipy doskonale nadają się do włożenia na nie, ze swą guzowatą srebrną korą i liśćmi, które podzwaniają szklano, kiedy pełniesz między nimi. A klomby, świetliki i bluszcze księżycowe na klombach są w sam raz do zrywania. Cechmistrzynie z Whitechapel paradowały z jaskrawymi wiankami z płatków i liści, tańczyły, całowały nieznajomych, upojone nie alkoholem, lecz dziką osobliwością owego dnia. Grzmiące fontanny są w sam raz do kąpieli! Oczywiście, że tak – i zawsze powinno tak być! Wkrótce pośród plujących wodą delfinów zaroilo się od baraszkujących nagich dzieciaków i wielu dorosłych, którzy powinni być mądrzejsi.

Wszędzie łopotały transparenty. Plakaty. Flagi symbolizujące przynależność do cechu. Rozglądałem się za Iśniącym, błękitnozłotym dziełem Anny, lecz Saul szarpnął mnie za rękaw. Czas już było spotkać się z Blissenhawkiem pod bramami Cechu Prac Publicznych, gdzie ma się odbyć przekazanie wszystkich olbrzymich pudeł z petycjami. Było południe. Zabiły dzwony i zegary. Wysoko na zegarowych wieżach ukazały się figuynki z brązu. Dwanaście Postulatów o dwunastej

w południe. Pasowało idealnie. Teraz cały tłum ponownie zjednoczyło poczucie celu.

Dźwięk dzwonów i kurantów w zaczarowanym powietrzu nad całym Londynem. Wybicie Nowego Wieku, złote jak to słońce. Tłum cofnął się od srebrzonych balustrad i bram Cechu Prac Publicznych, jak robi to fala na chwilę przed rozbitciem się o brzeg, a potem znów postąpił naprzód. Oblepiony sadzą budynek za żwirowym podjazdem i smukłymi posągami nie był może najelegantszym z wielkich cechowych domów, ale z pewnością największym. Byłem w jednym z pierwszych szeregów, kiedy wybrzmiało ostatnie z dwunastu uderzeń i wszyscy, zdaje się, w całej Anglii, czekali, co się wydarzy.

A kiedy się wydarzyło, nadeszło od tyłu – najpierw usłyszeliśmy zaskoczony, pełen zachwytu szmer morza rozchodzący się falą z jakiegoś odległego punktu. Wyciągaliśmy szyje, by zobaczyć, co się tam dzieje. Z początku nic. Potem nad flagami, transparentami i białymi drzewami zamigotał barwny obłok. Kolory się nasyciły, wypełniały ćwierć nieba. Niezwykle piękne, mieniły się i opalizowały. Wydawało się, że to transparent Anny urósł i pofrunął w niebo, ale zanim my, stojący z przodu wreszcie dostrzeżliśmy, z czego składa się ta tęcza, minęła dłuższa chwila. Dołączyliśmy do wiwatów i śmiechów. W powietrzu roiło się najnowsze dzieło z dawna zlekceważonego Oddziału Stawonogów w Cechu Zwierz mistrzów. Motyle, tak jak obiecali, olbrzymie, błękitne i czerwonozłote motyle. Z chwilą ich wypuszczenia, w owym wspaniałym podniebnym barwnym powiewie, ów jedyny w swoim rodzaju dzień świętojański wreszcie zyskał nazwę. W książkach historycznych, w piosenkach śpiewanych przez matki nad kołyskami, w tabliczkach pamiątkowych, które z pewnością zostaną niedługo wmurowane w ten właśnie bruk, na którym stoimy, po wiek wieków będzie nazywany Dniem Motyla.

Motyle rozproszyły się po mieście, odsłaniając błękitne niebo. Wiwaty ustały, okrzyki radości osiadły z powrotem na ustach, powrócił nastrój wyczekiwania. Znów patrzyliśmy na potężną bramę Cechu, gdy w cichej pierwszej minucie owego pierwszego popołudnia wreszcie nasze marzenie się spełniło, choć od zawsze mieliśmy gdzieś w zakamarkach umysłu dokuczliwe przeświadczenie, że to niemożliwe. Wrota domu cechowego zaczęły się rozwierać, skrzypiąc, dygocąc, błyskając brązem, wśród rżenia jakiegoś ukrytego mechanizmu. Tłum zamilkł w podziwie. Poza płaczem niemowląt, płaczliwymi pytaniami dzieci, poza sykiem i chlupotem fontann i cichym podzwanianiem parkowych niby lip, zapanowała przejmująca cisza. W tej chwili, w Dzień Motyla, nie wypadało wiwatować. Chcieliśmy wiedzieć. Chcieliśmy widzieć. Pierwszy dźwięk, jaki przerwał ciszę, dobiegł z głębi bramy, zza skrzydeł wielkiego, przysadzistego budynku. Był to tętent kopyt.

W błysku hełmów i kirysów, powiewając karmazynowymi pióropuszcami, ukazała się kawaleria. Setki pięknych karych koni, które mignęły mi wczoraj na bocznicach Stepney. Dwa strumienie, wypływające zza obu rogów domu cechowego, złąły się i zabrzączały orężem, przechodząc przez bramę, po czym ustawiły w podwójny szereg po drugiej stronie ogrodzenia. I jeszcze raz zapanowała cisza. Wiedziałem, co się teraz stanie. Już zsiadał z konia kapitan z wyjątkowo wielkim czerwono-białym pióropuszem na hełmie. Teraz wyjdzie naprzód, a obywatele, w obliczu groźby użycia siły, wyłonią delegację. Reprezentanci wejdą do środka, bramy zamkną się za nimi, reszta będzie tu czekać. I tam, we wnętrzu olbrzymiej budowli będą dyskusje, będzie kompromis. I nic nie zostanie z Dwunastu Postulatów, ani dziesięciu, ośmiu czy sześciu. I dalej będzie trwał stary Wiek. Jednakże nawet ja musiałem przyznać, że to odważnie ze strony owego kapitana, tak zsiąść z konia i samotnie wyjść naprzeciw armii obywateli. Nawet z tym pióropuszem, kołyszając mieczem w pochwie, zdawał się mały i niemal nieważny.

– Czy jest tam ktoś, kto... – Urwał. – Pytam tylko, czy...

I wtedy z tłumu poleciał pierwszy kamień.

*

Wiele się jeszcze wydarzyło w ów Dzień Motyla. Krwawy chaos. Świadkowie zajść widzieli zapewne mniej niż inni, którzy później twierdzili, że wszystko widzieli. Odcięte kończyny. Dudniące kopyta. Rozwścieczone psotwory. Dzielny kapitan przewrócony i wchłonięty przez tłuszczę. Dla mnie, potwornie naciskanego przez tłum, podstawową rzeczą było nie dać się stratować. Nie stawiałem oporu, kiedy zepchnięto mnie do tyłu, pod fontanny Prettlewell. Zupełnie straciłem z oczu Saula, Blissenhawka i innych kolegów. A potem usłyszałem znajomy głos. Wyższy mistrz George stał na szczycie fontanny i usiłował wygłosić przemówienie.

Wspiął się ponad tłum przelewający się przez marmurowe ocembrowanie do wody, ponad spienione syreny. Wokół niego powiewały jaskrawe jak krew strzępy transparentu Anny.

– Obywatele! – krzyczał, balansując na marmurowej kopule na szczycie fontanny. – Obywatele! – Omal się nie ześliznął. – Nie wolno tracić nadziei...

Dalsze słowa pochłonał szum fontanny i chóralne krzyki. *To jeden z nich... On nie jest nasz..* Niestety polegało na tym, że głos George'a, poza tym, że wyraźnie pobrzmiwał wyższymi sferami, brzmiał niezwykle podobnie do głosu kapitana, który parę minut temu stanął naprzeciw tłumowi. Z transparentu Anny ściekał na marmur czerwony barwnik. Jakby płachty materiału były unurzane we krwi niewinnych ofiar. Wyższy mistrz George spojrział na nas w dół i uśmiechnął się porozumiewawczym, z lekka protekcyjnym uśmiechem rodem z wysokiego cechu, jednocześnie odgarniając z twarzy mokry pukiel swych rzednących włosów. *Łapać go, drania... No chodźcie...* Paru osobników zaczęło wdrapywać się ku niemu po mokrych rzeźbach. Pośliznął się, przewrócił, zniknął.

GDZIE JEST GEORGE???!!!

Wrzask rozległ się, gdy próbowałem przejść na drugą stronę, brodząc w fontannie. Odwróciłem się, ale w basenie falował anonimowy tłum. A potem znów usłyszałem ten krzyk, jak przyptyw mego własnego, rozpaczliwego niepokoju, gdy pośliznąłem się, a brudna, kotłująca się od setek nóg woda uniosła się, by mnie pochłonać. Upadłem w nią razem z głową. Ktoś mnie podeptał. Gdy wreszcie udało mi się podnieść, dysząc i plując, pod wzburzoną powierzchnią zamajaczyła mi twarz kobiety, szara jak szlachetny marmur dna, o wytrzeszczonych oczach i cienkich smużkach krwi i wymiocin wokół ust. Nie widziałem żadnej z owych – podobno licznych – ofiar mieczy kawalerzystów i zębów psotworów, widziałem natomiast kilku utopionych w fontannach. Dławiąc się, przepychałem się przez spienioną wodę tam, gdzie zniknął George. Nie otaczali mnie już pojedynczy ludzie, ale to coś, co z nich powstaje, kiedy w tłumie zapanuje chaos.

GDZIE JEST GEORGE???!!!

Głos zimny z przerażenia. Kłębiące się wokół ciała chyba także to poczuły. Cofnęły się, szturchały mnie w żebra, usiłując się wycofać.

GDZIE JEST GEORGE???!!!

Wtem zobaczyłem, że to Anna przepycha się wśród tłumu. Ale nie była to wczorajsza Anna z ciasnego warsztaciku, ani Anna z jakiegokolwiek innego dnia. Była równie mokra jak ja, jej ubranie zniszczył ten sam puszczający barwnik, który plamił George'a, włosy miała czarne, przeredzone i spływające czerwienią. Na tle oszalałego, rozwrzeszczanego tłumu było widać w niej jeszcze więcej osobliwości. Oczy jej płonęły jakąś mocą, że aż bolało w nie spojrzeć, a rozsadzający mi czaszkę głos nawet w tym strasznym miejscu odpychał ludzi na bezpieczną odległość. Jednocześnie była i nie była Anną Winters. Wyglądała potwornie.

GDZIE???!!!

Ujrzała mnie i rozpoznała. Biały płomień jej twarzy przesłoniła odrobina normalności.

– Robbie, musisz mi pomóc znaleźć George’a. Robbie, MUSISZ... Chwyła mnie za rękę dłonią zimniejszą niż marmur. Twarz miała straszniejszą niż topielec. Ale wtedy bardziej bałem się jej niż czegokolwiek, czego doświadczyłem w ów straszny dzień. Z przerażeniem myślę, że może nawet próbowałem ją odepchnąć. A tłum wciąż był potężny, przelewał się wokół mnie.

– PROSZĘ....!

Uścisk jej palców osłabł w chwili, gdy poczułem do niej odrazę. I tłum poniósł mnie w drugą stronę.

Dzień Motyla – idealnie dobrana nazwa. Coś jaskrawego i ulotnego, co rodzi się ze słońcem i żyje tylko parę godzin. Gdy wędrowałem wzdłuż porozbijanych witryn Oxford Road, wołając George’a, Annę, Saula i Blissenhawka, wypatrując znajomych twarzy, zobaczyłem jedno z tych stworzeń przylepione do okna wystawowego. Wciąż trzepotało, choć skrzydła miało przylepione do brei z włosów i krwi. I wciąż słyszałem psotwory, odległy tętent kopyt, łoskot i brzęk szyb. Podbiegł do mnie potężny, szczerzący zęby niedźwiedź, uchyliłem się, ale była to tylko stara kobieta dźwigająca ukradziony gobelin. *Obywatele, spierdalać!* – warczała. Był to Dzień Motyla; może i obrabowano sklepy, ale bramy domów cechowych wytrzymały i nie poczyniono żadnych ustępstw. Stary Trzeci Wiek będzie trwał nadal. I nic się nie zmieni.

Domy płonęły, dym siał się nisko. Nadeszło coś w rodzaju nocy, choć niebo pozostało jasne i gorące. Wyższego mistrza George’a nigdzie nie było. Trochę po północy wracałem na Easterlies wśród wielu rannych, niebezpiecznych band dzieciaków, szlochających dorosłych mężczyzn. Tu też płonęły ognie, dominował swąd palonej gumy. W Cheapside minąłem psotwora, pojmanego i powieszzonego na latarni. Tuż za Tidesmeet w rynsztoku leżała odcięta ręka. Na skraju Houndsfleet tłum bił jakiegoś nieszczęśnika, ja zaś przeszedłem mimo i nic nie zrobiłem. Na wszystkim osiadł ten sam szary, tłusty całun porażki, ale poza tym Ashington nie zmieniło się nic a nic – zostały tu nawet świętojańskie flagi. W naszej czynszówce nie było nikogo, powędrowałem więc na Sheep Street, gdzie jak sądziłem, biedna Maud może nadal czekać przy Czarnej Lucy na wiadomość, że zmienił się Wiek.

Drzwi naszej drukarni wisiały pod dziwnym kątem. Zamarłem, lecz potem z ulgą usłyszałem głos Saula. Wnętrze jednak, w szarym świetle, wypełnione dymem, było nie do poznania. Smród rozlanych rozpuszczalników. Ociekające eteryzowaną farbą bazgrały na ścianach i suficie.

– Saul? Saul? Nic ci się nie stało?

– Nie, Robbie. Mnie nie...

Przedarłem się przez ten bałagan i dostrzegłem niewyraźny kontur jego twarzy za szczątkami Czarnej Lucy. Maud leżała obok niego, zwinięta w kłębek kwiliła, z rękoma wciśniętymi między nogi. Kiedy mnie zobaczyła, skuliła się i krzyknęła.

– Spokojnie, spokojnie. – Saul pogładził ją po włosach. – To Robbie.

Maud przeżyła, jej dziecko – nie. Przeżył też wyższy mistrz George, choć, co się z nim stało w Dzień Motyla, dowiedziałem się dopiero jakiś czas potem. Zmęczony, stary Trzeci Wiek kuśtykał dalej, skostniały, zły i artretyczny, pojawiło się wiele bezcelowych odezw. Po długim, wczesnym lecie pełnym nadziei i przygotowań jesień nadeszła wcześniej. Wkradła się do Londynu jak stary, parszywy pies, brudny i cuchnący, pokryty zaskorupiałą krwią, błotem, dawno zdechłymi nadziejami.

Siła fizyczna czy siła moralna? Teraz dyskusja nie miała sensu. Idea pokojowych zmian w społeczeństwie okazała się ulotnym snem upalnej nocy letniej, straconym wraz z wystygłym potem i cierpieniem tego bolesnego nowego dnia. Nieliczne ocalałe części naszej drukarni przenieśliśmy do szopy za rzeźnią, ale tym razem już nie nazwaliśmy naszej gazety „Nowy Świt”. Właściwie to ów nieregularnie wydawany na jednym, plamistym arkuszu papieru druk nie miał stałego tytułu i ledwo zasługiwał na miano gazety. Bywały w nim jednostronicowe narzekania, wezwania do broni, instrukcje, jak pospolite domowe substancje i przedmioty dostępne każdemu cechowemu przeobrazić w broń. Nafta w butelkach zatkanych szmatą. Zaostrzony szpikulec od balustrady schodów. Proste zaklęcia, które zakłóca pracę każdej maszyny. Saul był bardzo zadowolony, robiąc do tego ilustracje. Przenieśliśmy się z naszych pokojów na górze czynszówki Thrippa do mniejszego lokum nieopodal, nie tyle ze strachu, ile dlatego że Maud, która wciąż miała bóle, nie mogła już prowadzić ochronki dla dzieci. A zresztą w Ashington niewiele miałyby klientek – wszystkie kobiety siedziały teraz w domu. Tym razem Saul nie zadał sobie trudu ozdobienia ołowiwozielonych ścian wiejskimi widoczkami. Prawie cały czas go nie było, załatwiał jakieś sprawy, o których ani Maud, ani ja nie mieliśmy pojęcia.

Odkąd się dowiedziałem, że George jest bezpieczny, przestałem się na jakiś czas interesować nim, Anną i całym wymuskany Westerlies. Pamiętałem jego wygłup na wierzchołku fontanny Prettlewell – wezwał do broni, żeby robić lepsze gobeliny i ręcznie toczone krzesła. I to z takim akcentem! Nic dziwnego, że zaatakowali go prości cechowi, choć udawał, że ich podziwiał. I uciekł – to też dla nich typowe. A Anna, Annalise, Anna Winters... – kiedy wrzeszczała ponad rykiem tłumu, zobaczyłem w niej coś obcego, dziwnego, niemożliwego. Cały ten Wiek był w stu procentach fałszywy, a ona była częścią tego fałszu. Jeśli zaś chodzi o Sadie, jej cech, jej ojca arcycechmistrza, ich olbrzymie domy, to idiotyczne małżeństwo, wszystko to zupełnie straciło dla mnie urok. Oni byli na swój sposób odpowiedzialni za te czarne konie, błysk szabli, krzyki i twarze topielców. Raz czy dwa nawet do mnie napisała, ale ledwo spojrzałem na treść tych beznadziejnie długich telegramów, na które tylko ją byłoby stać. Wypełniały je takie właśnie wykrzykniki i podkreślenia, jakich spodziewałbym się od ludzi jej pokroju, okrągłe zapewnienia, że jest niewinna i wstrząśnięta.

Tysiące plakatów z Dwunastoma Postulatami podklejało się od ścian i gniło w rynsztokach. Lecz nad domami, nad ulicami telegrafy wciąż płonęły swym jadowitym blaskiem. Ten Wiek przypominał umierającego pacjenta, który staje się coraz bardziej energiczny i aktywny, w miarę jak uchodzi z niego życie. Owa moc, szkielet, cokolwiek to było, co utrzymywało to państwo przy życiu, zaczynało wyzierać spod obumierającego ciała, którym niegdyś było pokryte, choć nadal było równie groźne i mocne jak przedtem. Najbardziej ze wszystkiego znienawidziłem pieniądze. Wydawały mi się one, ich obecność, ich brak, samym sednem tego, co odpowiadało za błędy obecnego Wieku. Cechmistrzynie mogły schudnąć tak, że boki fartucha schodziły im się z tyłu, mogły umierać na straszny trollizm, ale wciąż pozostawał strach przed nędzą, pozostawał nieczuły przywilej bogactwa. Znowu wspomniałem słupki liczb i kont, które dostrzegłem, dotykając liczykamyków w Walcote

House. Coś w tym było nie tak, ciągnący się Wiek miał w sobie coś pustego. Aż się rwałem, by wałać w to, przebić pięścią, ale trwał, trwał i trwał.

Doki Tidesmeet stały się zbyt niebezpieczne nawet na niewinne pytania, jak dojść do tej czy innej kei. Nieliczni gotowi na złamanie reguł swych cechów teraz mogli zarobić krocie. Statki przyływały i odpływały w nocy. Znikały całe ładunki. Na nieruchomej wodzie unosiły się ciała zdradzonych. Oszustwa, w których niezamierzenie maczaliśmy z Saulem palce w składzie celnym pełnym skrzynek z herbatą, zdawały się należeć do poprzedniego Wieku. A „Błogosławiona Dziewica” leżała na opuszczonej mieliźnie wśród rzeczno szlamu. Była już wrakiem. Tylko napis na rufie, wciąż trochę naeteryzowany, żarzący się czarno, oraz zwisające z kikutów rej zielone, butwiejące żagle świadczyły, jak pięknym statkiem niegdyś była. Widywałem wielkiego mistrza Bowdly-Smarta we własnej osobie, jego twarz mignęła mi wśród deszczu w eleganckiej prywatnej karecie; mieszkał, jak odkryłem, nieco na północ od Oxford Road, w wygodnej bliskości Parku Westminsterkiego, gdzie ze ścieżek zmyto krew i na nowo ułożono murawę, tak że osoby pokroju jego żony, w olbrzymich kapeluszach i nieprawdopodobnych strojach, mogły wyprowadzać swe niezwykle pieski na spacery wokół szemrzących fontann Prettlewell, w towarzystwie trzymającej się krok z tyłu służącej z szufelką.

Co oni takiego zrobili? Co to było? Mieszkali w wyłożonej błękitnymi kafelkami rezydencji Fredericksville na ulicy Fitzroy, która właściwie była typowym dla Northcentral skwerem, z małym, ogrodzonym, prywatnym ogrodem pośrodku, w którym nie bywa nikt poza opiekującymi się nim ogrodnikami. W nocy stanąłem pod jego kapiącymi drzewami i obserwowałem, kto wchodzi i wychodzi z tego domu. Nigdy wcześniej nie przyglądałem się życiu takich ludzi i najbardziej zdumiewało mnie, iluż to innych potrzebują do usługiwania. W wysokim cechu, kiedy otoczyć się bogactwem, pieniędzmi, chciwość jeszcze narasta, rosną potrzeby. Na długo przed świtem potrzebni są rzeźnicy z pełnymi taczkami, piekarze, mleczarze i warzywa od kilku sprzedawców prosto z Covent Garden. Potem przyjeżdża pranie, pojawiają się dochodzące służące i rozmaicie odziani dostawcy nieskończonego repertuaru towarów i usług, których większości nawet się nie domyślałem. Przez cały dzień przychodzili, wychodzili, przychodzili i wychodzili. Całkiem jakby – choć państwo Bowdly-Smart nie mieli rodziny i żyli, poza tym komicznym pieskiem i rojem służących, zupełnie sami – życie miało się zawalić, jeśli kuchenne drzwi nie zostaną co kwadrans, od świtu do zmierzchu, nakarmione jakimś nowym smakołykiem. Zbuntowani cechowi mogą sobie tłuc szyby z walcowanego szkła na Oxford Road, ale dla państwa Bowdly-Smart i im podobnych, życie nigdy nie było rozkoszniejsze.

Wielki mistrz jak co rano stawał przed frontowymi drzwiami i wciągał ustami powietrze, jakby było wyszukany winem, nawet kiedy unosiła się w nim cuchnąca mgła. Sledziłem jego karete, gdy wyruszał w interesach, odwiedzając biura to tej, to owej firmy handlowej i stołując się w restauracjach, które nie wywieszały menu przed wejściem. Zawierał transakcje, stojąc na kejach Tidesmeet pośród spienionej wiatrem wody, ścisnął poznaczone sinymi pnączami ręce żurawmistrzów i dowcipkował z tragarzami. Kiedy później z nimi rozmawiałem, byli nieufni i udzielali wymijających odpowiedzi, dowiedziałem się jednak, że był nominalnie członkiem Cechu Rządców i Agentów; ta instytucja pomimo swej siedziby z pięknymi wieżyczkami była zaledwie wydmuszką, od której nowobogaccy mogli kupić swój upragniony status cechowy. Wielki mistrz, co oczywiste, głównie sprzedawał i kupował, ale co kupował i sprzedawał – to wciąż pozostawało dla mnie irytującą tajemnicą. Pogadałem z kilkoma służącymi z Fredericksville w przysadzistym pubie, gdzie zwykli się zbierać, ale dowiedziałem się tylko, że on ma na imię Ronald, a ona – Hermione. Zaryzykowałem nawet, że dołączę do trupów pływających w zalanych suchych dokach, włamując się

do kantorków kejmistrzów. Lecz znalazłem tylko arkusze rozliczeń i kolejne liczykamyki; słupki liczb, pieniądze, pieniądze i pieniądze. Ani na krok nie zbliżyłem się do ustalenia, kim jest Bowdly-Smart, poza oczywistym faktem, że jest jednym z tych nowych, zawdzięczających wszystko sobie biznesmenów, od których tak się zaroilo pod koniec Wieku. Zacząłem już powątpiewać we własną pamięć, zastanawiać się, czy nie zawładnęła mną jakaś dziwaczna obsesja, czy aby na pewno wielki mistrz Bowdly-Smart w ogóle był kiedyś starszym mistrzem Stropcockiem z Bracebridge.

Kiedy pewnego wieczoru szedłem znajomą trasą wokół Parku Westminsterkiego, w kierunku Fitzroy Street i nagich, obwisłych drzew owego zamkniętego ogrodu, na mroźnych rogach ulic, przy płonących koksownikach zbierali się bezrobotni cechowi, nawołując się we mgle. Dziś rozświetlone okna Fredericksville przyćmiewały sąsiednie domy, przed bramą stało kilka karet. Stangreci palili papierosy. Stałem w mej lodowatej kryjówce i czekałem. Parę godzin później frontowe drzwi otworzyły się wreszcie. W barwnym świetle ukazało się stadko skrzeczących i trzepoczących piórami kobiet, ubranych w kapelusze i futra. Najwyraźniej było to jakieś spore zgromadzenie; po ulicy niósł się tubalny głos żegnającej się z gośćmi pani Bowdly-Smart. Drzwi prawie się zamknęły, po czym otwały znowu, drobnym kroczeniem wyszedł ostatni, niewysoki gość, nerwowo rozejrzał się na wszystkie strony i pieszko ruszył ulicą, taszcząc nieprawdopodobnie wielką torbę. Pan Snaith, nie było wątpliwości.

Na rogu Oxford Road krzyknąłem, by go zatrzymać. Skulił się przy zabitej deskami witrynie sklepu, osłaniając twarz zgiętym ramieniem.

– Oj! Ach, to ty... mistrz Robert!

Przestał się kulić. Otarł glut z długiego, cudacznego nosa.

– A co się stało z pana dorożkarzem?

– Cały czas nie mogę na nim polegać. To nie może być ciągle grypa, prawda?

Ruszyliśmy dalej. Niosłem torbę pana Snaitha.

– Był pan w tym domu? U Bowdly-Smartów? Skinął głową.

– Ona jest obiecującą klientką. To znaczy, ma grupę znajomych, którzy... hm...

– „Towarzysze poszukiwacze”?

– Otóż to. Chodźmy tędy. Paskudna noc, nieprawdaż? Tak się cieszę, że cię widzę...

Spodziewałem się, że wyjdziemy z Northcentral – może na Easterlies albo ku starym drewnianym budynkom wciąż stojącym na Riverside – on jednak skręcił w lewo, w Linden Avenue, prosto w bogate centrum Hyde. Niedaleko stąd znajdowała się wieża Hallam, rozpraszająca swym blaskiem nocne chmury. Lecz za następnym zakrętem sceneria stała się bardziej znajoma. Nawet na Northcentral potrzebowano kanalizacji i gazowni – wręcz bardziej niż gdzie indziej, zważywszy, jakie ilości wszystkiego były tutaj zużywane – a także maszynowni napędzającej tory tramwajowe, która wciąż dudniła i dymiła, rozpoznawalna, mimo że ktoś starał się upodobnić ją do greckiej świątyni. Obok niej stał okopcony magazyn. Łuk jego bramy był w połowie zamurowany niechlujną i nowszą murarką.

Pan Snaith chwilę grzebał kluczami w zamkach. W środku było trochę ciszej, choć dudnienie maszynowni docierało także tutaj. Zapalił lampę i powiodł mnie w górę po chropowatych drewnianych schodach i korytarzach zagraconych kartonami i meblami w pokrowcach. Tutaj, wyjaśnił, cechowi z Northcentral trzymają wszystko, co nie mieści im się w domach. Zapach, który czułem od niego, tutaj był o wiele silniejszy. Była to woń kurzu, ale zmieszana z politurą i zwiędziałą naftaliną. Doszedł do skrzyżowania pomiędzy łóżami z baldachimem i doprowadził mnie do drzwi, na których wisiała nieczytelna zbrązowiała kartka.

– Wielcem zobowiązany. Zostaniesz na chwilę, prawda...?

Ściany mieszkania pana Snaitha w czeluściach magazynu składały się ze stosów pak i pudeł, meble zaś były masywne, brzydkie i stare – niechciane sprzęty, które, jak wyjaśnił, nie zostały odebrane, kiedy umowy na ich przechowywanie wygasły. Kichnąłem od kurzu.

– A oto medal. – Podał mi bryłkę mosiądzu. – Wręczył mi go w dzień Świętego Barnaby arcycechmistrz Penfold, którego uważano wtedy za drugiego z najpotężniejszych cechmistrzów w kraju... – Potem srebrna tabliczka i pudełko zawierające tylko dagerotyp i cechowy medal w zniszczonej, wyłożonej aksamitem szkatułce. Daty były aż z początku obecnego Wieku. *Dum, dum, dum*. Maszynownia musi działać całą dobę, zapewniać moc, by ostatni z zapracowanych mieszkańców Northcentral mogli wrócić do swych olbrzymich domów. – A to namalował cechmistrz Phoenbe. To ja, oczywiście... – Pan Snaith westchnął. Drobnymi paluszkami zdjął z ramki miniatury pasmo pajęczyny. – Znasz jego prace? Był w swoim czasie największym z portrecistów. Naturalnie, już nie żyje... – Kolory kiedyś zapewne były żywe, teraz farba pociemniała i popękała. Pan Snaith stoi na jednej nodze przed fałszywym, bajkowym krajobrazem, ubrany na zielono jak elf, bez peruki. Uśmiecha się.

– Jak długo pan tu mieszka?

– Tutaj niedługo. Może zaledwie dwadzieścia lat. Nie muszę płacić czynszu, a Cech Zbieraczy zapewnił mi wszelkie niezbędne pozwolenia. Mówią, że jak tu jestem, nie przychodzą wandale. Oczywiście, w mieście mieszkam od zawsze. Ale Northcentral nie jest już takie jak kiedyś. – Wzdrygnął się. Peruka przekrzywiła mu się na głowie.

– Teraz mieszkają tu tacy ludzie jak Bowdly-Smart, prawda?

Poruszył się i rozpromienił.

– Może i cechmistrzynie Bowdly-Smart nie należy do moich, ehem... najkulturalniejszych klientów, ale trzeba, to trzeba, jak to mówią. – Z rękawów pociekły mu delikatne, zielono fosforyzujące strużki, jakie można zauważyć na zepsutym mięsie.

– Ta pana torba – odezwałem się w końcu – musi być ciężka. A skoro dorożkarz dalej się wykręca, to pomyślałem, że...

*

– Och, w życiu się nie spodziewałam, że...

Postawiłem torbę pana Snaitha na mieniącym się tęczowo dywanie.

– Poznaliśmy się latem w Walcote House, proszę pani. Czy pani pamięta?

– Oczywiście, że tak!

Hall domu państwa Bowdly-Smart był lśniący i przeładowany sprzętami. Przypomniał mi dawno nieistniejący miejski dom wielkiego mistrza Harrata w Bracebridge – lecz ten tutaj był przynajmniej dwa razy większy i wypchany sześciokrotnie większą liczbą rzeczy. Pachniało inaczej; zapach był intensywny, ostry, wilgotny, nie do pomylenia z niczym innym. Pachniało tu psem.

– Ronaldą dziś nie ma, więc się nie zobaczycie. – Westchnęła przeciągle, poklepała się po nefrytach i perłach na szyi. – Interesy, wiesz. To taki trudny Wiek.

Potem zaczęli przybywać inni goście. Cechmistrzynie Bowdly-Smart pędziła przez hall, by ich powitać, odpychając pokojówki, sapiąc i wymachując rękami, a pan Snaith, jego wielka torba i ja wchodziliśmy do wielkiego pokoju, w których stało więcej mebli i ozdób niż w dobrze zaopatrzonym sklepie. Figurki i figurynki, i posążki, i wazony, obrazy, kamee i dagerotypy, dziwne pamiątki z obcych kultur, sitodruki i obrazy, lustra, ramy, kilimy i lwie skóry tłoczące się wśród gobelinów i narzut z frędzlami; wyglądało to, jakby wszystkie twory poprzedniego Wieku wezbrały potężną falą przyływu i osiadły tutaj jak na brzegu. Trudno było sobie wyobrazić, ile to wszystko wymaga odkurzenia, polerowania, czyszczenia i woskowania. Cechmistrzynie, które zebrały się tu owego

zimowego wieczoru, były równie strojne jak ich otoczenie. W przeciwieństwie do pani Bowdly-Smart, która dziś upodobała sobie karmazyn, tak jak poprzednio limonkową zieleń i kanarkową żółć, większość z nich nosiła opalizującą czerń, przypominającą otaczające je ozdoby z polerowanego węgla, gagatu i stali, przyozdobioną czarnymi perłami i skrzącymi się ciemno diamentami. Gdy wszedł pan Snaith, zaszeleściły i zakrakały. Kręcił się tu pies, Trixie, będący źródłem wszechobecnego zapachu, który w tym pokoju był jeszcze silniejszy, jak rozpoczynający się ból głowy. Od czasu do czasu ta czy owa cechmistrzynie brała go na rękę i czule cmokała w plaskaty pysk. Trixie miał sierść różową i turkusową, drobne szpony i grzebień na grzbiecie. Właściwie to nie pies, ale jeden ze strzegących kominka kitajskich smoków, który ożył – kolejny hołd dla potęgi eterowego przemysłu.

Na początku toczyła się rozmowa głośna, szybka i ożywiona, choć samogłoski cechmistrzynie Bowdly-Smart nie były tak natrętne jak wtedy w Walcote House. U innych gości pochwyciłem ślady akcentu z Bristolu, West Country i Preston, a nawet z Easterlies. W Anglii ludzie rzeczywiście awansowali z nizin, choć wciąż trudno było mi w to uwierzyć – zastanawiałem się teraz, czy awans państwa Bowdly-Smart nie był po prostu owocem ciężkiej pracy i szczęścia, czy całe to dziwne przedsięwzięcie, w które się wplątałem, nie jest zwyczajnie wyrazem mej głupiej zawiści. Widziane z bliska życie, które wymyśliła sobie pani Bowdly-Smart, było jeszcze bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażałem. Na małych stolikach stały zdjęcia i miniatury przedstawiające mistrzów z wysokich cechów, z bokobrodami – twierdziła, że to jej bliscy krewni. Gdyby uwierzyć pani Bowdly-Smart, poprzednio Stropcock, to ona i jej mąż musieliby w zasadzie zstąpić z o wiele większych wyżyn, by wylądować tu, na ulicy Fitzroy. Było to sprytne – zniekształcić przeszłość tak bardzo, że nawet ja, znający prawdę, zacząłem się gubić i zachodzić w głowę.

Inni goście, popijając herbatkę i rozmawiając o nadchodzącym wieczorze, zerkali na mnie ukradkiem. W kominku buzował ogień, lecz na złocie i kryształach powoli kondensowała się chłodna mgielka oczekiwania. Pan Snaith, co dziwne, czuł się tu jak u siebie. Zawodowiec, jak zawsze, zakręcił się w swej zielono-pomarańczowej, wywróconej na lewą stronę pelerynie. Jego ostronosa twarz była niemal na równi z oczyma siedzących cechmistrzynie. Błysnął tatuażem na upudrowanym lewym przegubie, potem szybko go zakrył. Dotykał swymi ptasimi paluszkami dłoni każdej z nich i szeptał im cicho do ucha. Wszystkie wydawały się potem odmienione. Może, pomyślałem, rzeczywiście dziś wyjaśni się jakaś tajemnica, jak to zawsze obiecywał. Jednak, wiedząc tyle, co teraz, bardzo w to wątpię.

– Czy możemy zaczynać?

Pokojówki zgasiły lampy, a my, bracia poszukiwacze, zasiedliśmy przy pustym okrągłym stoliku w końcu zaciemnionego salonu, z dala od ognia, który pulsował odbłaskami w szkłe i metalu, przeobrażając pomieszczenie w egzotyczną grootę. Pan Snaith usiadł samotnie w najciemniejszym, najdalszym kącie; był tak maleńki, że gdy siedział na krześle, ponad polerowanym blatem unosiła się zaledwie jego główka, bezcielesna, odbijająca się niewyraźnie. Wszyscy podaliśmy sobie dłonie, co już samo w sobie budziło dziwne uczucie – wbijające się paznokcie i pierścienie, fale potu i chłodu. Przyszedłem tu w charakterze sceptyka, spiskowca, ale atmosfera w tej powodzi ciemności była poważna.

Gdy oddech pana Snaitha stał się urywany, zadawano mu pytania o młodego mistrza Owena, pod którym dwadzieścia lat temu załamał się lód, kiedy jeździł na łyżwach, oraz o niemowlę Clarków, które przeżyło zaledwie sześć szczęśliwych godzin. Wokół tych zrozpaczonych kobiet, siedzących wokół stołu z panem Snaithem, rozsnął się chór zalotników, którzy przepadli bez wieści, dzieci zmarłych, martwo urodzonych i zaginionych. Nie wiem, jak dawał sobie radę sam, nie mając

pod ręką mnie ani tego dawno niewidzianego dorożkarza, ale nawet ja, który trochę rozumiałem jego sztuczki, poczułem chłód i zacząłem myśleć o własnych stratach, o biednej Maud, a zwłaszcza o matce. Postawiłem jego torbę dokładnie tam, gdzie mi kazał, pod stołem, tak by mógł jej dosięgnąć swą drobną stopką. Bawełniany puch, lameta, fosfor, które stamtąd wyciągał, gumowe piłki wydające dźwięk przy ściskaniu, nawet mętne słowa, które wygłaszał wieloma łamiącymi się, skrzekliwymi głosami – rozumiałem teraz, że to wszystko ma marginalne znaczenie dla prawdziwego celu owego spotkania. Jego sztuczki i nonsensowne twierdzenia były nieistotne. Zebrani mieli własny czar, który brał się z poczucia straty w ich sercach, i pragnienia, by nie poznać prawdy; z niepocałowanych policzków, niezrobionych kroków, niewypowiedzianych słów... albo wypowiedzianych raz i żalowanych do końca życia.

*

– Nigdy nie wyjedzie z Londynu, prawda? – Maud wcisnęła na głowę swój najlepszy kapelusz. Stała przed kamienicą, gdzie niedawno się przeprowadziliśmy. Jej sztywne jak druty, pokryte kropelkami rosy loki sterczały we wszystkie strony. Rzuciła mi promienny, choć wątły uśmiech. – Tyle lat gada niestworzone rzeczy, rysuje głupie rysunki. I patrz, cały czas tu siedzimy...

– Ci twoi krewni... nadal jesteś pewna?

– Nie może być chyba gorzej niż tutaj, prawda? Przypuszczam, że czują się winni za to, że wiele lat temu powinni byli pomóc mojej matce.

Potem przyjechał furgon ciągnięty przez wiekowego perszerona. Skądś pojawił się Saul, który udawał zajętego, i pomógł Maud załadować nieliczne pakunki.

– Nie, nie. Zaczekaj, ja to zrobię.

– Saul, nie jestem kaleką. Bóg mi świadkiem, nadźwigałam się w życiu ciężkich rzeczy.

Lecz Saul, jak zawsze, usiłował być dżentelmenem. Odkurzył nawet na tę okazję jedną z lepszych kamizelek.

– I napiszesz, jak tylko dojedziesz? Kent nie jest bardzo daleko.

Ale tego dnia Kent mógł równie dobrze leżeć po drugiej stronie księżycy. Jacyś dalecy krewni Maud mieli tam farmę i napisali, że potrzebują pomocy. Maud, jadąc do nich, ryzykowała, ale w sumie, jak często mawiała do Saula pośród milczenia, które zapanowało między nimi teraz, kiedy przestali się kłócić, jeszcze większe ryzyko ponosiła, zostając w Londynie – a poza tym miała już tego miasta serdecznie dość.

Te same twarze co zawsze, staruszki, pokryte parchami płochliwe dzieciaki, strapione matki, przeważnie same zajmujące się teraz swymi dziećmi, przyszły patrzeć, jak Maud odjeżdża. Niektóre płakały – mnie łatwiej było dzięki temu powstrzymać się od łez, Saulowi zaś robić odważne miny. Maud miała twarz suchą i smutną; ucałowała Saula i uściskała mnie. Kiedy wozak strzelił z bicia i okryty brezentem tył wozu poturlał się i zniknął w szarości, przyszło mi do głowy, że w myślach opuściła nas już dawno – w Dzień Motyla.

*

Mniej więcej pracokres później dostałem list od wyższego mistrza Georgea. Pięknie wypisany na kosztownym papierze, zawierał różne „jeśli nie masz nic przeciwko” i „będę niezwykle wdzięczny”, które jemu i jemu podobnym wbito do głowy w szkole. Jednak z listu wyzierała rozpacz.

Nigdy wcześniej nie byłem na szczycie wieży Hallam. Stałem się już prawdziwym londyńczykiem, a takie miejsca odwiedzają tylko przyjezdni, lecz gdy klekocąca winda zabrała mnie z chłodnego, pełnego smogu londyńskiego poranka i uniosła pod niemal słoneczny, obracający się promień płonącej dziwożarem latarni, musiałem przyznać, że widok stąd jest z pewnością wart sześciu pensów zapłaconych przy bramce. Dotarłem tam nieco za wcześnie i wędrując po żelaznych

pomostach z pierwszymi porannymi zwiedzającymi, byłem tym bardziej pewien, że coś jest nie tak, skoro nieodmiennie kulturalny George nie przybył tu przede mną.

– Robbie, Robbie... – Zaczerwieniony i skruszony, przyjechał kilka wind później. Na głowie miał dziurawą czapkę z pomponem. Także jego płaszcz najlepsze dni miał już za sobą. Wytarty, z wystającymi strzępkami podszewki, prawie jak mój – teraz, gdy swe nieliczne porządne ubrania zachowywałem na wyprawy z panem Snaithem.

Uśmiechnęliśmy się, przyznając, że podobnie jak nasze płaszcze, także i my widzieliśmy już lepsze dni i zimy niż obecna.

Tak jak wtedy na Wzgórzach Latawcowych, nie udało się uniknąć rozmowy o polityce, choć od tego czasu wiele się zmieniło. Na Easterlies wszyscy wiedzieli, że klęska Dnia Motyla była spowodowana przez zdradzieckie knowania średnich cechów z Westerlies, które rozmydliły Dwanaście Postulatów w zgniłym kompromisie i nieistotnych dyskusjach o zmianie kalendarza. W pewnym sensie i ja, zaprzyjaźniony z George’em, tęskniący za Anną, radośnie pozwalający obwołać się kolejnym znaleziskiem Sadie, byłem podręcznikowym przykładem na poparcie tej tezy. Lecz wraz z George’em tęskniłem za lepszą przyszłością i wraz z nim wątpiłem, czy kiedykolwiek będzie osiągalna.

Połyskujące czarne pryzmaty wielkiej lampy rozbłyskiwały i obracały się na naoliwionych prowadnicach szkieletu ledwie dwanaście metrów ponad naszymi głowami. Musiało to ważyć wiele ton, poruszało się jednak z poświstem, jak łopot skrzydeł olbrzymiego ptaka, wspierane konstrukcją z tysięcy ton stalowych belek, wzniesioną niemal osiemdziesiąt lat temu z pomocą odmienionego stalmistrza Gardlera i Cechu Zbieraczy. Ciemny tunel omiatał niebo nad nami. Londyn w dole, przesłonięty kłębkami mgły, w bladym świetle dnia przekształcał się i przeistaczał. W takich chwilach czułem tylko niezwykłą potęgę i solidność tego niekończącego się Wieku. Tak samo było, kiedy odwiedzałem państwa Bowdly-Smart, gdzie pan domu, by okazać swą dezaprobatę dla fanaberii w rodzaju bratania się z odmieńcami, był zawsze nieobecny, zajęty interesami, gdzie pokoje, do których od czasu do czasu udawało mi się zakraść, wymówiwszy się na moment, wypełnione były kosztownymi rupieciami i niczym więcej.

Na Easterlies znów strajkowano, w Newgate sądzono i wieszano. Blissenhawk zaczął nosić starą bluzę mundurową i tytułować się majorem. Groźne bandy uzbrojonych byle jak cechowych maszerowały przed nim tam i z powrotem po Sheep Street. Saul otaczał swe poczynania jeszcze większą tajemnicą niż zwykle. W całym mieście panowała dosłownie gorączkowa atmosfera – rozpełtała się epidemia tej samej oskrzelowej przypadłości, która powaliła mnie mojej pierwszej londyńskiej zimy. Tym razem ludzie mieli mniej jedzenia w żołądkach i mniej nadziei w sercach, więc z trudem z nią walczyli. Lecz kiedy patrzyło się z wieży Hallam, wciąż lśniła złota kopuła Górniczej Kaplicy, a ścieżki wielkiego Parku Westminsterskiego pięknie ukazywały się i chowały w obłokach chłodnej mgiełki. Ludzie na dole, w jaskrawych kapeluszach, z dziwacznymi psami, przypominali rozrzucone guziki albo te barwne okruchy, którymi posypywano lody na dawno zapomnianych festynach świętojańskich.

– Ta absurdalna budowla... – George klepnął żelazną poręcz i starł rosę ze szczeciny na brodzie. – Metal i pieniądze. Czemu to służy...?

Balansował na czubkach butów, wzrokiem śledząc pośród mgły belkę za belką, aż na sam dół. Stąd, w perspektywnym skrócie, w rozplywającej się mglistej szarości, wyglądało to, jakbyśmy stali prawie na niczym. Gdy wychylił się tak daleko, że ludzie zaczęli nań zerkać, a ja mimo woli podszedłem krok bliżej, zdumiało mnie, że ze wszystkich ludzi to właśnie jemu, cechowemu architektowi, patrzącemu z góry na ostentację Northcentral, tak trudno zrozumieć ekstrawagancję tej

wieży. Dla mnie jej cel był jasny jak jej światło. Inne iglice i blanki ledwo widać z Easterlies. Jakież można sobie wyobrazić lepszy pokaz siły cechów niż ta potężna, misterna budowla, bez końca błyskająca w smogu ponad dachami?

Ku mej uldze George odchylił się z powrotem.

– Chciałem tylko ci coś pokazać. Ale nie tutaj...

Zjechaliśmy windą na dół i poszliśmy skrajem Parku Westminsterского, gdzie fontanny pieniły się i chlupotały, jakby usiłując w nieskończoność zmyć z siebie krew z Dnia Motyla.

– Tak się ucieszyłem, że zdołałeś uciec – zaryzykowałem. – Obawiałem się, że cię...

– To gdzieś tutaj. – Skręcił gwałtownie w wąski, wysoki przesmyk pomiędzy ścianami Związku Dokerów a olbrzymim murem otaczającym wonne ogrody Aptekarzy. Doszliśmy do czegoś w rodzaju placyku, choć chodnik był poprzerastany zielskiem. Pewnie mało kto tu zaglądał. Naprzeciw stał budynek o dwóch bliźniaczych, brązowo-szarych wieżach. Można by rzec, sam z siebie wielki, ale wydawał się niczym wobec ogromu tylnych i bocznych ścian otaczających go budowli.

– Wspaniały, prawda? – George zadarł głowę. Na wargach zadrgał mu uśmiech.

Dom był przysadzisty i nieproporcjonalny; stara, gruba kobieta okutana w zbyt wiele ubrań.

– To kościół, opactwo. Cała ta dzielnica, Westminster, wzięła od niego nazwę. Tutaj niegdyś chowaliśmy królów. Może bali się, że rozgniewają duchy i dlatego zostawili ten budynek w spokoju i nie obłożyli go nowymi, wymyślnymi ozdóbkami z eteryzowanego kamienia, może dlatego nie oddali go żadnemu cechowi. A bruk, na którym stoimy... tutaj Anglia niegdyś miała swój parlament. Pamiętasz? Mówiłem ci, jak byliśmy na Wzgórzach Latawcowych. Gmach oczywiście został zburzony...

Podszedł do wielkich drzwi opactwa i szczerknął łańcuchami. Zadzwończyły pusto. Nie było wiadomo, jak je otworzyć, a George najwyraźniej nie miał, jak Sadie, do tego smykałki.

– Wszystko – wskazał w górę – zbudowano bez odrobiny eteru. – Pociągnął nosem i potarł oczy, w które wpadły mu okruchy zmurszałego kamienia. – Wielcy ludzie wznieśli tę budowlę, a teraz nikt nawet nie pamięta ich nazwisk. U schyłku Wieku Królów straszliwy pożar zrównał z ziemią pół Londynu i zaprojektowano nową stolicę. Piękne szerokie bulwary i wysokie, schludne, eleganckie domy. Niektóre z nich nawet zbudowano, ale oczywiście zmieniły się cechy i je przejęły. Wiedziałaś na przykład, że pod kopułą Wielkiej Izby Paromistrzów jest druga kopuła? Nawet można do niej wejść, jeśli umie się znaleźć ukryte schody, można znaleźć się pod dziełem czystej, prostej sztuki budowania, wśród solidnych, grubych drewnianych belek. Z zewnątrz naturalnie została zniszczona niezliczonymi warstwami pozłoty i barwionego kamienia, ale wciąż tam jest elegancka i piękna budowla. Czysta i klarowna, hymn do Boga, a nie Eteru i Mamony. I takie właśnie będą moje budowle, na swą skromniejszą skalę. Czyste, racjonalne i proste. Wiem, sądzisz, że chodzi o pieniądze, ale dla mnie eter jest źródłem wszystkiego co niewłaściwe w dzisiejszym Wieku. I jak zbawienia potrzebujemy jakiegoś znaku, symbolu, gestu, który objawiłby wszystkim tę prawdę. Czegoś, co byłoby zupełnym przeciwieństwem wieży Hallam, nie uważasz?

Próbowałem wyobrazić sobie, jak mogłoby wyglądać przeciwieństwo wieży Hallam, ale zacząłem myśleć o George'u balansującym na szczycie tej fontanny w Dzień Motyla i wołającym do tłumów.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz zrobić czegoś... – szukałem odpowiedniego słowa – lekkomyślnego czy brawurowego.

– Ha! – Klepnął dłonią kolumnę. – Jak ten nieszczęsny kapitan kawalerii? Robbie, z pewnością znasz już mnie lepiej. W końcu mam Annę, by się o mnie troszczyła, prawda? Tak swoją

drogą, słyszałeś, że to ona mnie uratowała w Dzień Motyla?

Wracaliśmy nierównym chodnikiem. Znałem George'a na tyle dobrze, by wiedzieć, że to coś innego niż męska uraza. Ale która Anna go uratowała? Anna z salki parafialnej czy ta, którą zobaczyłem w fontannie Prettlewell – odmieniona, z oczyma rozjarzonymi mrokiem?

– Ech, wiem, obaj mamy o niej taką samą opinię – ciągnął. – Jest cudowna, piękna i tak dalej. Ale jest także trochę dziwna, prawda? A ten jej pokój w Kingsmeet – czy wiesz, że tam prawie nic nie ma? Już cela więzienna byłaby bardziej przytulna. To prawie jakby ona zniknęła, przestawała istnieć, kiedy nikt jej nie ogląda i nie... no, nie czuje czegoś do niej, tak jak... spójrzmy prawdzie w oczy, jak my obaj.

– George, pamiętaj, że ona jest sierotą – powiedziałem ostrożnie. – Wbrew temu, co może się wydawać, jej życie nie było łatwe.

Zagryzł wargę i skinął głową.

– Tego lata nawet przez chwilę myślałem, że może ja i ona będziemy... no wiesz, jak to kobieta i mężczyzna. Ale nie wyszło. Oj, Robbie, nie patrz tak na mnie. Zawsze wiedziałem, że jesteśmy po trosze rywalami. Widać to było już w Walcote, kiedy pierwszy raz o niej wspomniałem. – Zachichotał ochryple. – Na miłość boską, nie masz co być zazdrosny. Żaden ze mnie zalotnik. Zawsze tak było i pewnie już tak zostanie. I to nie przez nią, wina jest wyłącznie moja. Zapomnij o oświeceniu politycznym, o potędze mas, o nieodzownej wspaniałej uczciwości przeciętnego pracującego cechowego. – Westchnął.

Wychodziliśmy z cichego placu pomiędzy dumne budynki Wagstaffe Mail, barwiące mgłą swymi naeteryzowanymi przyporami. Otarł z nosa długą kroplę rosy. Myślałem, że po prostu zmarł albo dopadła go grypa, ale zobaczyłem, że płacze. Staliśmy pod sklepem z pamiątkami nieopodal niewyraźnego fundamentu wieży Hallam. George, chowając głowę w ramionach, udawał, że ogląda obrotowe stojaki z pocztówkami, i szlochał.

– Co się stało? – zapytałem, kładąc mu dłoń na plecach. Próbował zbyć to wzruszeniem ramion. – Co się stało w Dzień Motyla?

Odwrócił się do mnie. Oczy miał tak rozszerzone i wilgotne, że widziałem w nich własne odbicie. I zdałem sobie sprawę, że w ogóle nie jesteśmy podobni, mimo naszych obopólnych zapewnień. Może i nosimy podobnie obdarte płaszcze, ale George był wrażliwy do szpiku kości, należał do wysokiego cechu i odebrał skomplikowane wykształcenie. Nie umiał niczego zrobić, nie przejmując się konsekwencjami. Pewnie w dzieciństwie nawet nie rozdeptywał mrówek. A ja, z moim nieokreślonym akcentem, niedogolonym podbródkiem, obcesowymi manierami i brudnymi, nierównymi paznokciami, woniejący tanimi pokojami, wilgocią i wędzonym śledziem, byłem jak widmo człowieka, który zaatakował go w Dzień Motyla.

– Posłuchaj...

Lecz George odpowiedział stłumionym łkaniem. Odwrócił się i pobiegł w mrok.

Londyn zbiełał, poczerniał i zamarzał. Telegrafy trzeszczały z wysiłku. Niektóre nawet się połamały i zwisały nad chodnikami, szemrząc bezładnie głosami, rozlewając syczące wiadomości wśród zdziwionego tłumu.

Niosłem torbę pana Snaitha przez wieczorne Northcentral. Szliśmy na następne spotkanie u Bowdly-Smartów.

– Ale w zeszłym pracokresie wierzyli, prawda, mistrzu Robercie? Widziałeś reakcję...

Teraz mniej krył się przede mną ze swymi, jak to nazywał, drobnymi oszustwami. Fosforyzująca substancja, której używał, była do nabycia w tych samych aptekach, które sprzedawały bandażę, a niosła się w powietrzu jeszcze lepiej dzięki zmieszaniu z odrobiną świecowego dymu. Niebiańskie aromaty były do nabycia u dowolnego perfumiarza. Stukania i pukania, podnoszenie się i obracanie stołu można było osiągnąć zręcznie operując kolanami. „Poszukiwacze” często byli tak chętni uwierzyć, że sami produkowali te odgłosy. Odwiedziłem nawet z panem Snaithem parę innych domów i byłem świadkiem bardzo podobnych scen. Jedyne element swego pokazu, który wyraźnie lubił zmieniać, to przemowa o własnym pochodzeniu. Na początku słyszałem, że został wychowany przez wilki, potem – że jego moc ujawniła się, kiedy zaczął fruwać po sali podczas Dnia Próby, że w Wieku Królów był magiem, że był nieślubnym dzieckiem pewnego wielkiego cechowego.

– Nie chce się panu czasem z nich śmiać? Zastanawiał się przez chwilę.

- Mistrzu Robercie, proszę uwierzyć, nie ja się śmieję, to ze mnie się śmieją. Akceptują mnie jako osobliwość, a Cech Zbieraczy pozwala mi mieszkać wśród nich na Northcentral tylko dlatego, że jestem dla ludzi z wysokich cechów mile widzianym urozmaiceniem. Może także dlatego, że odstrasza złodziei od ich starych mebli. Więc proszę nie mówić mi o śmianiu się z innych. Wystarczająco często słyszę śmiech i przyśpiewki dzieciaków za swymi plecami, czuję spojrzenia i grad kamieni.

– Ale skąd pan naprawdę pochodzi? Ta historia, którą opowiedział pan wczoraj... – Twierdził, że zmienił się tak, kiedy porzucony przez ukochaną próbował popełnić samobójstwo i napił się eteru.

– Robercie, jestem stary. Pamięć już nie ta. Odmawiasz mi prawa do życia własnym życiem?

– Oczywiście, że nie. Ja tylko...

– Ale powiem ci coś. Londyn nie jest już taki jak kiedyś. Teraz jest bardziej niebezpieczny. Nie jestem już pewien, czy powinienem tu zostawać. Och, tak tęsknię za dawnymi czasami. Występowałem przed arcycehmistrzem Penfoldem, który, wiesz... uważało się go za drugiego najpotężniejszego cechowego w Anglii, z pewnością zaś był z nich najmądrzejszy.

Szliśmy przez mgłę jak pod wodą. Od czasu do czasu mijał nas powóz, dźwięk kół i podków był tak stłumiony, że niemal niesłyszalny, latarnie świeciły jak podwodne iluminatory.

– Cechmistrzynie Bowdly-Smart...

– Co z nią?

– Ona nie jest tym, za kogo się podaje.

– No, też mi niespodzianka!

– Bo tak naprawdę, kiedy byłem mały, znałem jej męża. W Yorkshire. Nosili inne nazwisko. Nie należeli nawet do tego samego cechu i z pewnością nie byli bogaci. Jestem pewien, że... – Ale nadal nie wiedziałem, czego właściwie jestem pewien. – Tak sobie myślałem... czy dzisiaj mógłby pan dać mi trochę czasu, żebyśmy się rozejrzeli po ich domu?

– Co takiego? Żebyś myszkował tam jeszcze bardziej niż ostatnio?

– Może pan tak to nazwać. Ale nie jestem złodziejem.

– Nie jesteś, tak? Ale jesteś z tych, co chcieliby zrobić z tych pięknych rezydencji paskudne czynszówki, a w ogrodach hodować kury i świnię. I żeby wszyscy udawali, że są tacy sami.

– Nie, o to też nie chodzi.

– Nie... – Patrząc na mnie z otchłani mglistej nocy, wyglądał groźnie. Białe upudrowane karzeł z jakiegoś cudacznego zbiorowego koszmaru, który tylko Londyn mógł wyśnić. Westchnął. – I w tym domu, i w samych Bowdly-Smartach jest coś nie tak. Nie trzeba być mną, żeby to poczuć. Gdzieś tam kryje się ciemność. Czasem mam wrażenie, że ona mnie obserwuje. Staram się unikać kontaktu z tym kimś albo czymś, co podobno chce przywołać, ponieważ wiem, że tak naprawdę ona tego nie pragnie. Czy to wydaje ci się dziwne?

Cechmistrzynie już czekały w salonie Fredericksville, wystrojone na czarno, popijały słodką sherry. Skłoniliśmy się, podaliśmy ręce, wymieniliśmy uprzejmości, spróbowaliśmy ciast. A potem nadszedł czas. Trixie został wyeksmitowany, filiżanki odstawione na bok, pan Snaith wywrócił pelerynę na drugą stronę i poprawił perukę. Wydawało mi się, że zapomniał o naszym układzie, ale kiedy przygaszano lampy, a ja kładłem torbę pod jego krzesłem, zatrzymał się na moment.

– Dzisiaj mistrz Robert pozostanie poza naszym kręgiem w charakterze niezależnego obserwatora. Państwo rozumieją, w tych sprawach tyle zdarza się oszustw...

Cechmistrzynie usadowiły się w krzesłach z pomrukiem aprobaty.

– Przybyliśmy tu w poszukiwaniu prawdy... – zaczął swym wątlym głosem.

Czekałem, aż oddechy zgromadzonych wokół okrągłego stolika zmienią rytm, potem delikatnie otworzyłem drzwi i wymknąłem się do ciemnego hallu. Przytruchtał do mnie Trixie, ale odgoniłem go szturchnięciem buta. Ile miałem czasu? Kiedy pan Snaith obcował z duchami, zapominało się, że czas płynie, jak na każdym dobrym spektaklu – i ta moc władała mną nadal, kiedy lawirowałem między aspidistrami, szukając schodów. Dom zdawał się oddychać, czekać. Obejrzałem się na drzwi frontowe. A co będzie, jeśli wielki mistrz Bowdly-Smart wróci wcześniej z cechowego klubu lub od aktoreczki, z którą się zadaje? Z pewnością nie należało go lekceważyć. Cechowi łądowni twarzą do dołu w portowym basenie za mniejsze przewinienia; ale i tak wszedłem na górę po schodach, ścigany pytającymi, ożywionymi głosami z dołu.

Nade mną pochylały się obrazy zbyt ciemne, by coś na nich zobaczyć – okna wychodzące na noc. Nigdy jeszcze nie zawędrowałem aż na podest schodów na piętrze. Rozchodził się w obie strony wokół szerokich stopni. Fredericksville stanowił jeszcze gorszy labirynt niż Walcote House. Tam przynajmniej było światło i dużo miejsca. Tutaj, zwłaszcza odkąd niemal zderzyłem się z olbrzymim porcelanowym słoniem, bałem się, że z łomotem coś rozbiję i przywołam nie tylko umarłych.

W tej części domu pachniało inaczej; mniej czuło się zapach Trixiego. Lampy gazowe. Politura. Potpourri. Te pokoje odwiedzały tylko odkurzające pokojówki. Usta napępiały mi się bólem. *Zanieczyszczenia, Robercie! Elektryczność...!* Przez chwilę usłyszałem dudnienie wibrującego, pełnego nadziei głosu wielkiego mistrza Harrata. Zapachniały mi kwasy z jego doświadczeń. Poczulem smak marcepana z jego ciast. Pierwsze drzwi z korytarza ustąpiły łatwo. Miałem nadzieję znaleźć coś w rodzaju gabinetu. Wielki mistrz Bowdly-Smart zdawał się unosić tylko na fali podejrzanych transakcji, spotkań na nabrzeżach, zatechłego zapachu porzuconych statków i pustych magazynów; na fali samych tylko pieniędzy. Nawet gdybym znalazł jeszcze jakieś liczykami, byłoby to coś – tym razem po prostu wsadziłbym je do kieszeni i do licha z konsekwencjami. Pan Snaith znajdzie sobie kolejnego dorożkarza, a Saul czy Blissenhawk może będą umieli skontaktować mnie ze zbuntowanym członkiem odpowiedniego cechu, który zdoła

odcyfrować takie rzeczy.

Sprawdzałem drzwi za drzwiami. Biała tundra prześcierała, na których nigdy nikt nie spał, podczas gdy tysiące ludzi nocowało pod nasypami kolejowymi. Zerkając przez zasłony, widziałem szereg czekających karet, delikatne ogniki papierosów stangretów. Ogrodzony skwerek za nimi, w którym często stałem, z drzewami jak atramentowy kleks. Przez chwilę wydało mi się, że i teraz ktoś tam stoi. Cofnąłem się, aż zachwiała się figurka stafforda. Gdy wyjrzałem ponownie, nie było tam nic oprócz mgły.

Drzwi za rogiem wydawały się zamknięte na klucz. Byłem niemal rozczarowany, gdy w końcu ustąpiły, lekko pchnięte ramieniem. Najpierw w pokoju było jasno, zaraz potem ciemno. Pokojówki nie zaciągnęły zasłon, a okno wychodziło na południe, prosto na krążący promień wieży Hallam. Czekałem, aż blask powróci. Wciąż słyszałem charakterystyczne trąbienie głosu cechmistrzyni Bowdly-Smart z salonu. Słów nie rozumiałem, ale jej ton był naraz błagalny i pełen nadziei – zupełnie jakby mówiła żona starszego mistrza ze stoków Coney Mound. Światło powróciło. Byłem w pokoju dziecięcym, wypełnionym luksusowymi mebelkami i zabawkami.

Wszystkie stworzenia świata stały tu w kolejce na pokład arki. W wykuszu okiennym lśnił koń na naeteryzowanych biegunach. Kiedy przeszedłem, zakółsał się od ruchu powietrza. Nie czułem tu żadnego z zapachów, które znałem z ochronek Maud. Przypominało to raczej wystawę sklepową. Państwo Bowdly-Smart nie mieli dzieci – ani tutaj, ani w Bracebridge. Wysunąłem szuflady wielkiej komody. Wszystkie wypełniały kosztowne dziecięce ubranka, niektóre jeszcze nierozpakowane. Nowe, wykrochmalone. Lecz z najniższej szuflady zapachniało zetłalym starociem. W następnym powracającym promieniu wieży Hallam ukazała mi się kolekcja żółknących, zszarganych ubranek. Prostego kroju, w kółko zszywanych i cerowanych. Dziwnie poruszony, dotknąłem ich i właśnie w tym momencie usłyszałem lament pani Bowdly-Smart z pokoju piętro niżej.

Blask wieży odpłynął. Zapadła ciemność pachnąca starym talkiem i kuchennym bielidłem. Przeszły mnie ciarki. Byłem pewien, że dopiero co usłyszałem płacz dziecka. Zasunąłem szufladę. Kiedy światło następny raz omiotło zastygłe tańczące słonie, przebiegło po nich niemal ze świstem, jak uporczywe wspomnienie. Nawet gdy zamknąłem drzwi i wymknąłem się z powrotem w świeży mrok korytarza, to uczucie pozostało. Suuuu buuuu. Powietrze syczało i oddychało. W najdalszym krańcu korytarza znajdowały się małe drzwiczki. Dotknąłem ich palcami. Pulsowały jak coś żywego; gałka obróciła się sama.

Za nimi były wąskie schody w górę. Wspiąłem się po nich do pokoju, który miał pochyłe ściany przylegające do skosów dachu. Wypełniały go stare, zniszczone meble. Błady blask wieży Hallam wpływał przez świetlik, poruszał pajęczynami, błyskał na pordzewiałej ramie żelaznego łóżka. O, w naszym domu na Brickyard Row mieliśmy dokładnie takie mieszadło do prania. A tu, pod przykryciem z kurzu i kolejnych pajęczyn, leżało cechowe świadectwo honorujące jakiś drobny sukces w produkcji jedwabiu maszynowego. Przyznała je Trzecia Izba Mniejsza Cechu Niższych Ślusarzy, ostemplowała pieczęć firmy Mawdingly & Clawtson, laureatem zaś był starszy mistrz Ronald Stropcock. Oddarłem tył ramki i wcisnąłem dokument do kieszeni. Wreszcie dowód czegoś, co wiedziałem od dawna – a jednak powietrze na poddaszu wciąż drżało wyczekująco. W najdalszym kącie stała podłużna skrzynka wyglądająca równie staro jak wszystko inne i jeszcze niechlujniej zrobiona. Wydawała się jednak zbyt duża jak na dom ze stoków Coney Mound. Coś w niej było, ciągnęło mnie ku jakiemuś wspomnieniu, także rozedrgany mrok zdawał się popychać mnie w tamtą stronę.

UWAGA! ŁADUNEK NIEBEZPIECZNY. Te wymalowane od szablonu słowa pośród starych umywalni i pobitych luster – i wizja, którą dawno temu przeżyłem u wielkiego mistrza

Harrata; on, moja matka i jeszcze jedna kobieta, Kate, zebrani wokół tej samej nieheblowanej drewnianej skrzyni w podziemiach fabryki Mawdingly & Clawtson. Szum, bum... Ten puls walczył z krążącym promieniem wieży Hallam i biciem mego serca. Otworzyłem telepiące się wieko. W środku były pożółkłe stare gazety, jednak kiedy uniosłem spomiędzy nich ten dziwny przedmiot, zabrakło światła, które zalewało podziemie, gdzie stała moja matka. W rękach miałem nieobrobioną bryłę kryształu mniej więcej wielkości ludzkiej głowy. Wiedziałem już, że to chalcedon i że w takich kryształach cechy przechowują swe najważniejsze zaklęcia. Lecz ten był ledwo żywy; dziwoblask w środku zaledwie się żarzył. Jego moc uleciała dawno temu. Szum, bum, szum, bum... potem cisza i wróciłem do Londynu, na zakurzony strych.

Włożyłem chalcedon z powrotem w gazety. Zamknąłem wieko skrzyni. Biegłem podestami i korytarzami. Wciąż pogrążony we wspomnieniach, bezmyślnie otworzyłem drzwi salonu, w środku jednak panował rozgardiasz. Pani Bowdly-Smart wyła i szlochała, Trixie szczekała, a pan Snaith nadal siedział przy stoliku w kącie, rozsypując wokół zawartość swej torby. Pani Bowdly-Smart, zalana łzami, zawyła jeszcze raz.

– Zostawiłam Freddiego w łóżeczku, kiedy płakał – lamentowała, zaciągając akcentem z Brownheath. – Niemowlaków nie powinno się brać na ręce, prawda? Każda matka ci to powie, Ronald też mi to powtarzał. Mówił: Tak, Hermiono, rozpuść go, a wyrośnie z niego samolubny mały szczur, zostaw go samemu sobie, a wyrośnie na porządnego cechmistrza. Jej, byliśmy tak cholernie szczęśliwi! No ale przecież zostawia się je na trochę, co nie? Dla ich własnego dobra, nawet jak mają troszeczkę gorączki. Inaczej, tak jak mówi Ronald, wyrastają na chciwe i chcą, żeby wszystko im podać przed nos... Ten dom, co wtedy mieliśmy, nie był duży, rozumie pan. Tylko dwa pokoje na dole i na górze, tak jak zwykle w Brownheath. Ale my z Ronaldem byliśmy szczęśliwi i miałam swojego dzidziusia. Obojętne gdzie byłam w tym domu, słyszałabym, jak oddycha, gdyby nie te przeklęte maszyny. Ale czasem zostawiałam go, żeby płakał, dla jego własnego dobra...

Dziecko wciąż płakało, w jakimś innym pokoju, w jakimś innym domu, lecz dźwięk był słabiutki i stłumiony przez odległe dudnienie, które rozpoznalibyśmy tylko ja i cechmistrzynie Stropcock. Potem i to ścichło, zapadła długa cisza. Pozostałe cechmistrzynie pobladły, wstrząśnięte przemianą, jaką przeszła ich gospodyni. Nie tak miało być. Dziwne, widziałem jednak, że jej łzawe wyznania o przeszłości całkiem różnej niż ta, do której się obecnie przyznawała, nikogo nie zaskoczyły. Cechmistrzynie były przyzwyczajone do wmiatania pod dywan sekretów swego życia. Tych srebrnych sztuczków, które naprawdę były tanimi platerami. Tych zdrad mężów. Skierowały natomiast swój gniew i oskarżenia na pana Snaitha. Publiczność, już nie zdumiona, zachwycona, pełna nadziei, teraz szeptała ponad paterami z ciastem. Te nienawistne stwory, jak on – jak to – są nieludzkie, obłąkane, nieboskie i obce. W lepszym, rozsądniejszym Wieku by się je paliło, a każda bogobojna cechowa z przyjemnością grzałaby ręce przy ogniu. A już przynajmniej zamykałoby się je z innymi potworami u Świętego Blate'a. Kobiety w szeleszczących sukniach, z kapeluszami nasuniętymi na gniewne twarze i sztywne fryzury, tłoczyły się przy wyjściu, naciągając płaszcze i szale. Teraz kojarzyły mi się raczej z żukami niż z ptakami.

Kiedy zaczęły wychodzić, trzasnęły drzwi frontowe. Potem otworzyły się znów.

– Jakieś dziwne zamieszanie na Strandzie. – W hallu zadudnił bezbarwny głos wielkiego mistrza Bowdly-Smarta. – Co się tu stało? Co się dzieje? – Wciąż w podszytym jedwabiem płaszczu ze stójką, w czerwonym kaszmirowym szalu wpadł do salonu. – Hermiono, co się stało?

Na twarzy jego żony rozmazało się więcej tuszu do rzęs i pudru, niż wydawało się możliwe.

– Nie powinniśmy byli wyjeżdżać z Bracebridge – zakwiliła. – Tam nam było dobrze, przynajmniej dopóki żył mały Freddie. Powinniśmy zostać i dbać o jego grób. A ty zawsze

obiecujesz coś lepszego. Węszysz, wyszukujesz kłopoty. Ten cechowy... no sam zobacz, do czego to nas doprowadziło. I jeszcze spędziłeś wieczór z tą dziwką...

– Hermiono, jak możesz myśleć...? – Objął zapłakaną żonę.

Ostatnie cechmistrzynie jeszcze się żegnały. Mistrz Bowdly-Smart rozejrzał się za źródłem niepokoju żony – popatrzył na mnie, potem na pana Snaitha. Ruszył ku niemu przez długi salon, usuwając z drogi niskie stoliki i patery z ciastem. Poleciały filizanki. Szyba wielkiej witryny rozprysła się lśniąca kaskadą.

– Pieprzony trollu! Wyrwę ci te przekłete skrzydełka... – Szarpnięciem odsunął stół, za którym kulił się pan Snaith. Zaczepił nogą o jego torbę. – A to co, u licha? I to...? – Pofrunęły bandaże, gumowe piłki i knoty do świec. – Ty tandetny kanciarzu! Nie jesteś nawet... – Pan Snaith, wciąż ubrany w pelerynę kolorową stroną na zewnątrz, nawet nie próbował się opierać, gdy Stropcock ciskał nim o ścianę. Poleciała gdzieś peruka. Z rękawów popłynęły cienkie strużki lamety i dymu. Stropcock przez chwilę stał nad nim, dysząc głośno. Może nawet on czekał na jakiś znak, jakiś przejaw magii. Ale pan Snaith tylko się kulił. Stropcock z rykiem chwycił odmieńca za gardło.

Usiłowałem go odciągnąć. Ale był silny i zdecydowany – dopóki nie walnąłem go w twarz. Znów zaryczał, cisnął pana Snaitha na bok i rzucił się na mnie. Pośliznąłem się na rozlanym mleku, a on już na mnie siedział, wbijając mi kolana w żebra, wyciskając powietrze z płuc, łapiąc mnie za gardło. W londyńskich bójkach zawsze słabo sobie radziłem, a on miał przewagę ciężaru i doświadczenia.

– Co ty sobie myślisz... taki gówniarz jak ty...

Mruczał te same obelgi, co tyle lat temu w swym kantorku. I rzeczywiście się nie zmienił. Wiek był dlań łaskawy – właściwie już bardziej nie wyłysiał. Jedyna rzecz, która zniknęła w przeszłości, pomyślałem, trzepocząc rękami, gdy wszystko zaczęło mi się rozmazywać i czerwienieć, to ów brązowy kombinezon z wiązką pisaków. A potem rysy Stropcocka wykrzywiło coś innego niż gniew. Oczy mu się rozszerzyły, wąskie wargi ułożyły się w imię. Na moment, ze zdumienia, rozluźnił dłonie ściskające moją szyję.

Wyrwałem mu się, z trudem łapiąc powietrze.

– Ty...! – Wycelował we mnie drżący palec. – Ty jesteś synem tego nadętego sukinsyna z Pokładu Wschodniego. – Próbował jeszcze raz rzucić się na mnie, ale cisnąłem mu pod nogi krzesło. Kiedy, klnąc, pocierał swe golenie, wyciągnąłem pana Snaitha z rogu pokoju, przepchnąłem się między pokojówkami i uciekłem.

*

– Bardzo, bardzo nieszczęśliwie się złożyło... – mruczał pan Snaith. Pelerynę miał w połowie na lewej, w połowie na prawej stronie. Zgubił perukę. Na jego upudrowanym policzku widniała zaogniona szrama.

– Załatwię panu nową torbę – powiedziałem. – To moja wina. Wszystko odkupię.

– Nie. – Westchnął. – Zawsze się tak dzieje. W końcu się mną nudzą. W następną niedzielę wszystkie będą z powrotem w kościele i zaczną opowiadać księdzu, jakie były głupie. Mogę mieć tylko nadzieję, że nie doniosą na mnie do Cechu Zbieraczy.

Zatrzymał się. Doszliśmy już do zakrętu między eleganckimi budynkami, który prowadził do jego magazynu.

– Czy chce pan...

– Oj, nic mi nie będzie. W końcu nie tak dawno temu występowałem przed...

Mały odmieńiec odszedł w stronę dudniącej maszynowni, cały czas mrucząc o starych, dobrych czasach, kiedy go szanowano i goszczono. Nad domami wirował ostry wiatr, rozdzierając

mgłę na paski czerni. Pomiędzy nimi prześwitywały iskierki gwiazd i kawałki księżycy.

*

Stropcock miał rację; ruch uliczny wzdłuż Guild Parade był zatamowany w obie strony. Coś się gdzieś działo, ale wcale nie miałem ochoty sprawdzać co. Pulsowanie owego chalcedonu, mimo że słabiutkie, wciąż ryczało we mnie. Trąc posiniałe gardło i idąc wśród dorożek, skręciłem w skrót na Easterlies, wiodący przez krzyżujące się boczne uliczki za Goldsmiths Hall. Po hałasie i zamęcie w Westminster te były ciemne i puste. Nawet latarnie się nie paliły, z oszczędności czy przez przeoczenie. Wtem usłyszałem tętent podków, ciężki skrzyp wielkiej karety. Kiedy wyłoniła się z ciemności i zatrzymała tuż obok, zmroziło mnie.

– Gdzieś ty się podziewał?! – usłyszałem głos Sadie, potem zobaczyłem jej obramowaną srebrnym futrem twarz. – Wsiadaj, szybko! Robbie, wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha...

Stangret znał zawołania i okrzyki, które sprawiały, że wieczorny zator na Northcentral rozstępował się przed powozem arcycechmistrzyni.

– Chodzi o George'a – mówiła Sadie. – Cały czas wspomina twoje imię, więc pomyśleliśmy, że może ciebie usłucha.

– Ale o co chodzi? A czemu nie Anna?

Westchnęła, zapaliła papierosa. Zauważyłem, że ma teraz na palcach parę nowych pierścieni.

– Biedna Anna jest ostatnią osobą, której by teraz posłuchał. Naprawdę bardzo dziwne rzeczy wygadywał.

*

Kaplica Adwokatów, skromnie nazwana, choć będąca ogromnym kościołem z wielkim, przysadzistym hełmem wieży, od półtora Wieku stała na Strandzie, przy skrzyżowaniu. Cech Adwokatów już nie istniał, został wchłonięty przez Notariuszy, więc kaplica straciła swe znaczenie i zwykle rzadko który z kłębiących się wokół przechodniów zwracał na nią uwagę. Dzisiaj to się zmieniło. Na ulicy roiło się od teatromanów i birbantów, uśmiechniętych, wskazujących w górę, gdzie w rzednącej mgłę żarzyła się iglica. Chyba myśleli, że chodzi o jakiś cudacznym cechowy obrzęd.

Główne odrzwia kaplicy wyglądały, jakby ktoś je wyważył, wewnątrz stał George pośród wielu latarni, kurzu i dymu. Była tu także Anna, patrzyła nań błagalnie, choć on udawał, że nie widzi zarówno jej, jak i nas, pędzących ku niemu po splekanej podłodze. Był obnażony do pasa, poznaczony smugami potu i pyłu. W lewej dłoni trzymał zwinięty plan. Prawą wymachiwał łomem.

– A, Robert... – Jednak mnie zauważył. – Londyn to bagno, wiesz? Cały ta budowla wspiera się zaledwie na jakichś starych namulach... A to jest pewnie puste w środku. – Uderzył łomem w kolumnę. Odłamki kamienia rozprysły się wokół. – A swoją drogą, która godzina?

– Prawie północ. Co ty wyprawiasz?

– Północ? – Pchnął kolumnę. Miała ze dwa metry średnicy. – Miałem nadzieję, że o tej porze jest tu pusto. Będzie trzeba zatrzymać ruch, odsunąć stąd ludzi. Możemy w to wciągnąć policję, nie mam nic przeciwko.

– On chce odkłąć tę kaplicę, żeby się zawaliła – powiedziała Sadie.

– Robbie, musisz z nim porozmawiać – dodała Anna. Była bardzo blada. – Wykradł zaklęcia tej kaplicy ze swej akademii cechowej. Cały czas gada o jakimś przeciwieństwie wieży Hallam.

– Muszę znowu wejść na górę – obwieścił George, wymachując łomem jak dandys laseczką. – Robbie, pójdziesz ze mną? Pokażę ci, o co mi chodzi...

Spiralne schody w wieży ciągnęły się bez końca. W połowie drogi George zatrzymał się na

galeryjce i czekał na mnie, w roztargnieniu postukując w wielki dzwon, obsypując mnie kurzem i gruzem. Powietrze dudniło. Główne zakłęcie Kaplicy Adwokatów, wyjaśnił, znów skacząc po stopniach przede mną, nie było po prostu wplecione w fundamenty. Przenikało całą konstrukcję, aż po iglicę wieży, wszystkie ściany i przypory, wijąc się w nich paskami naeteryzowanej miedzi. Kiedy się je zdejmie, budowla będzie wątpa jak z papieru. Potężna kamienna masa wydawała mi się jednak niezwykle solidna, gdy patrzyłem na nią z góry z tarasu wieży, pośród świateł Strandu. Domy cechowe. Teatry. Żarzące się tory tramwajowe i telegrafy splecione w olbrzymią kocia kołyskę, która złapie nas, jeśli spadniemy – tak pomyślałem i na chwilę zakreśliło mi się w głowie.

– Anna tam jest! – wykrzyknął George. – Wyszła na zewnątrz!

Jej czerwony beret był łatwo rozpoznawalny. Stała obok srebrzącego się futra Sadie, pomiędzy aniołami przykościelnego cementarza. Zadarła głowę, jej twarz przypominała białe serduszko. George przywiązał do iglicy latarnie, żeby ją oświetlić. Muskał nas nocny wiatr, Londyn żółcił się i migotał, a George pokazywał mi spatynowane miedziane grawerunki przykręcone do czterech frontonów, skierowanych w cztery strony świata. Obrysowałem palcem ich zawijas i poczułem drżenie czegoś ciężkiego i starego.

– Słuchaj... – powiedział wolno George; jego głos drżał, obniżając się i podwyższając o dobry półton. Pod nami coś ciężko zagrzechotało, jakby obracało się młyńskie koło. – Teraz... – Chwycił oparty o balustradę łom, gdy moje palce już ku niemu wędrowały. – Teraz lepiej zejdźmy...

Żeby zdjąć zakłęcie podtrzymujące tę brzydką, starą budowlę, by rozerwać jej przypory i fundamenty, tak jak cechowy ukreca pieczęć, trzeba było znać całość wiążącego ją czaru. George utrzymywał, że ma go w całości, w zawijasach rysunku, który wykradł z biblioteki swego cechu. Ale to okazało się niewystarczające. Żyłki miedzi ukryte były także w gruzie za fasadą z portlandzkiego wapienia – należało odsłonić wzmacniające zaśpiewy, którymi nasycili je dawno zmarli budowniczości. Uniósł łom. Uskrzydłony marmurowy pomnik rozsypał się odłamkami po nawach. George skaleczył się w czoło.

– Tu jest niebezpiecznie! – krzyknąłem. – Zrób, o co cię prosi Anna, i wyjdź!

– Ha! Anna! – Wilgotna budowla jęknęła. – Ona zawsze i wszędzie ma rację, co nie? A ja chyba ostatnio nie jestem sobą. Pewnie coś zjadłem. Małże, zapewne... – Splunął pyłem. – Boże, jeszcze czuję to obrzydlistwo. Jak sól i gnijące zielsko. – Ulica na zewnątrz huczała. Dzwonił policyjny dzwonek. – A może to były kukułcze małże, jest coś takiego? Bóg jeden wie, tyle eteru i nieczystości wylewamy do Tamizy.

Zaciągnął mnie pod wieżę, która wznosiła się nad nami tunelem jak kryształowa grotta; z kamienia zaczęły się już wysączać kryształki lodu maszynowego. Zmiotł połyskujący kurz z wmurowanej w posadzkę tablicy wiążącej wszystkie pozostałe zakłęcia. Była okrągła, a wszystkie jej ornamenty pociągnięto jaskrawymi lakierami, które lśniły w świetle latarni George'a. Kiedy dotknął ich palcami, zobaczyłem, że farby się rozpuszczają. Wymazał sobie nimi twarz i zaintonował zaśpiew, zawile, urywane strofy. Jakiś drewniany element wieży musiał się zająć od zaru latarni, bo wokół nas zaczęły gromadzić się kłęby dymu.

– Już dość zrobiłeś! – wrzasnąłem. George odwrócił się do mnie.

– To dopiero początek. – Splunął i kaszlnął. – Mówiłem ci, że Anglia potrzebuje znaku, dokładnego przeciwieństwa wieży Hallam.

Nie miał już łomu w dłoniach, złapałem go więc za barki i próbowałem wyciągnąć na zewnątrz. Lecz strząsnął moje ręce nieznacznym wzruszeniem ramion, posyłając mnie w nawę. Siła, której nabierał, w miarę jak opuszczała kościół, była niesamowita.

– George, ludzie już zwrócili na ciebie uwagę. Uwierzą i zrozumieją. Tego chciałeś?

– Powiedz to tamtemu kapitanowi kawalerii! – Otarł usta wymazaną farbą dłonią. – Powiedz to wszystkim, którzy cierpieli i zginęli w Dzień Motyla. Ale masz rację, Robbie, tu nie jest bezpiecznie. Powinieneś stąd wyjść. – Uniósł rękę. Na jego umorusanej twarzy jak maska pojawiło się zdziwienie, aż osobliwe w swej zwyczajności. – Ale zaczekaj chwilę, chciałem cię o coś zapytać. Chodzi o Annę... – Omiotła nas fala gorąca i cementowego pyłu, gdy zawalił się łuk wejścia. – Bo wiesz co, wydaje mi się, że ona nie do końca jest tym, za kogo się podaje. Jej rodziców nie ma w żadnych aktach. Dziwne, co? – Pokręcił głową. – Jesteś jedyną osobą, która zna ją z dzieciństwa. Byłem w jej pokoju w Kingsmeet... tak, wiem, to bardzo niekulturalnie i niecechowo z mojej strony... Omal się nie oparzyłem małą fiolką, która stała na komodzie. U licha, do czego Anna może potrzebować kwasu i pipetki? A w Dzień Motyla, kiedy mnie uratowała, to właściwie nie była ona. Rozumiesz mnie, prawda? Ty jak nikt inny. – Obliznął z pyłu wargi. – Z pewnością widzisz, że to nie tylko te przeklęte małże, które zjadłem...

– George, Robbie! – Wśród pyłu i płomieni ukazała się Anna.

– Jesteś! Jak zwykle w samą porę.

– Posłuchaj... – zaczęła. – George, cokolwiek ci się stało, to nie jest...

– Nie rozumiesz? – Rozłożył ręce. – Tego właśnie Anglii potrzeba. – Odwrócił się powoli. – Tego kościoła. Mnie...

Wieża, poskrzypując, zakołysała się nad nami, rozdzwonił się w niej dzwon. Zerknąłem na Annę; nie tylko George był szalony, my też, bo inaczej dawno byśmy stąd uciekli. Wtem, w nagłym trzasku drewna, a potem kamienia, dzwon runął ku nam, przebijając dach wieży.

Trudno opisać, co stało się potem. Nawet gapie na zewnątrz, nawet Sadie, która stała tuż przed wejściem, wszyscy byli dezorientowani i nie wierzyli własnym oczom. Iglica Kaplicy Adwokatów zaczęła sama z siebie się walić, plując dymem. Płonący kurek z czubka wieży zjeżdżał w dół wśród iskrzącej się nocy. Dzwon grzmiał, spadając. Wtem jego głos się zmienił. Wydał ostatnie, wszechmocne „Bom!”, które rozbrzmiało po całym Londynie. Wielu gapiów przysięgało, że wieża przez chwilę wydawała się zbierać i wstawać z powrotem, sypiąc iskrami.

Ja zaś, stojąc na dnie tej walącej się wieży, ów ostatni dźwięk dzwonu poczułem raczej, niż usłyszałem; ton był czystszy i głębszy niż z samego tylko naeteryzowanego spiżu. Jego grzmot nawet George’a odrzucił w tył. A potem Anna stanęła na głównej tablicy, unosząc ramiona, wokół niej uniosły się rozmazane smugi farb. Cały kościół na krótko znieruchomiał. Płomienie stały się wirami polerowanej miedzi, a spadający dzwon zawisł tuż nad nami, z sercem zamartłym w pół zamachu, uwięziony w zestalonym powietrzu. Potem wir, pęd i wszyscy wybiegamy na zewnątrz, pędzeni, wypychani przez ryczącą lawinę kurzu i gruzu z wieży, która kończy się walić.

Tłum przed kościołem rozbrzmiał aplauzem, cofnął się, ruszył naprzód, a potem gremialnie zaczął kaszleć od wapiennych chmur, spomiędzy których w niewiadomy sposób ukazała się Anna, George i ja. Czekali już dziennikarze, zaalarmowani nieskładnymi listami George’a. Tłoczyli się wokół niego, pykała błyskająca magnezja. Potem przyjechała policja. Byli jednak zadziwiająco łagodni. W innej sytuacji puściliby w ruch pały i buciory, ale umieli rozpoznać członka wysokiego cechu po wyglądzie, nawet jeśli był rozebrany do pasa i umazany pyłem i farbą. Dla George’a mogła to być chwila chwały – istotnie, robił teraz wrażenie. Jednakże zepsuł to wszystko, szarpiąc się i wykrzykując za młodą, jasnowłosą kobietą, która stała nieopodal wśród gapiów.

– Dlaczego, Anno?! Na miłość boską, dlaczego mnie uratowałaś?! Tak samo jak w Dzień Motyla! Czemu nie zostawisz mnie w spokoju...! – Już prawie skuty, śliski od potu, rzucił się za nią. – Czym ty jesteś...! – Pokręcił głową, splunął. – Powinnaś siedzieć u Świętego Blate’a! E, trzymajcie ją! Złapcie za rękę, lewą, niech pokaże nadgarstek, co go wypala kwasem! Trollica! Odmieniec!

Wiedźma!

Lecz Anna już wśliznęła się w tłum, znikając, jak to tylko ona potrafiła, a do pracy przystąpili strażacy. Łuki wody tryskającej z węży, łoskoty i westchnienia, gdy waliły się pozostałe ściany kościoła, kłęby pyłu, huczące płomienie, kałuże cieczy rozpełzające się jak żmije – wszystko to sprawiało, że pogorzeliśko przypominało koszmar senny. Sadie rozmawiała po cichu ze starszym rangą policjantem. Słuchał, kiwał głową, kiedy usłyszał jakieś nazwisko czy koneksję, ale George’a i tak zabrali.

– O, jesteś, Robbie – powiedziała po odjeździe policji. – Nie dałam rady załatwić, żeby wypuścili biedaka. Ale zdaje się, że on by tego nie chciał.

Miałem dość. Czuję się zagubiony i wyczerpany.

– Wyjaśniłam temu policjantowi, że był nie w pełni władz umysłowych – ciągnęła. – Powiedziałam też, że nikt więcej nie jest w to wmieszany, co, jak sądzę, jest całkiem bliskie prawdy, jeśli się zastanowić. – Zaśmiała się. – „Całkiem bliskie prawdy”, to dobre określenie, prawda? Nikt, bo trudno powiedzieć „ktoś” o tobie... i o Annie.

Milczałem.

– Nic dziwnego, że biedak George dziwnie się zachowywał. No i ta wieża, ten dzwon. Z miejsca, gdzie stałam, było widać w sam raz... ale teraz i parę innych rzeczy nabrało dla mnie sensu. Różne drobiazgi, na przestrzeni tylu lat. Szczegóły, które zauważasz i zapominasz albo tłumaczysz je sobie magią dnia. No i ty też, Robbie. Przecież nie umiesz tańczyć, prawda? Nie umiesz nawet jak należy jeść nożem i widelcem...

– Wydaje ci się, że Anna miała jakiś wybór?

– Nie. – Oczy Sadie były zaczerwienione i lśniły. – Oczywiście, że nie. Ale mogła mi powiedzieć, prawda? O Boże! – Uniosła wzrok do nieba. – Mnie akurat, najlepszej przyjaciółce! Ja powinnam wiedzieć! Przez tyle lat! Przez tyle cholernych lat! Jaka ja byłam głupia! No a teraz będę musiała rozejrzeć się gdzie indziej za pieprzoną druhną...

Wsiadła do swej eleganckiej czarnej karety.

OBLĄKANY ARCHITEKT BURZY KOŚCIÓŁ. Poranne gazety były pełne opisów postępuku George'a. Gazeciarze wykrzykiwali jego nazwisko ponad klekotem tramwajów, a sklepikarze zmiatali szkło po nocnych zajściach. Niebo nad Londynem było ciężkie i zadymione jak nigdy; miasto – gdy szedłem przez Northcentral i wspaniałą Park Westminster'ski w stronę Kingsmeat – wcale się nie zmieniło.

Gdy zbliżałem się do obmurowanej kamykami kamienicy na Stoneleigh Road, wychodziła stamtąd ta sama cechowa, która w przeddzień Dnia Motyla odesłała mnie do przykościelnego instytutu. Nieznacznie skinąwszy głową, wpuściła mnie. Wspinałem się po schodach wśród zapachów posiłków z poprzedniego wieczoru i dźwięku kogoś nieudolnie ćwiczącego gamy na rozstrojonym pianinie. Pokój Anny, wiedziałem już od wielu pracokresów, był trzeci po lewej stronie na drugim piętrze. W sercu czułem lekkość, a potem ciężar – kiedy uniosłem dłoń, by zastukać w pokryte zbrązowiałą farbą drzwi.

– Wejź, Robbie – powiedziała, tuż zanim to zrobiłem.

Siedziała na łóżku obok wielkiej, wytartej skórzanej walizy, w tym swoim słynnym pustym pokoju, chociaż w porównaniu z moim lokum na Ashington wcale nie było tu tak ponuro. Zlew i kuchenka. Mała komódka. Szafa, z której Anna wyjęła wszystkie ubrania i włożyła do walizki.

– Jak możesz wytrzymać dźwięk tego pianina? – zdziwiłem się.

– Za tym na pewno nie będę tęsknić. – Śmiała się prawie tak jak kiedyś. Ubrana była w szary wełniany kardigan. Rękawy miał trochę przydługie, więc podwinęła je, lecz nadgarstki zostawiła zakryte. Twarz miała spokojną, ale jej włosom przydałaby się szczotka.

– Naprawdę zamierzasz wyjechać?

– Wiesz, po ostatniej nocy nie ma kwestii: zamierzam czy nie. – Machnęła listem, który miała w dłoni. – Przeczytaj.

Podszedłem do okna. Tandetny, żółtawy papier pokryty nierównym maszynowym pismem, kropki przebijały go na wylot. W nagłówku pieczęć Cechu Zbieraczy, Pododdział Londyn Zachodni. Mogło to być po prostu upomnienie z biblioteki; wspominało coś o sprzecznościach i drobnych uchybieniach. Czy byłaby uprzejma zgłosić się o dogodnej dla niej porze do ich biura? Przynajmniej nie był to list ze Świętego Błate'a.

– To nie wygląda na bardzo pilne – powiedziałem.

– Ten znak zapytania mi się podoba – tak jakbym mogła odmówić i żyć sobie jak przedtem. Ale wiesz, jakie są te instytucje. Im bardziej przepraszają, tym lepiej widać, że już mają cię w szponach.

Domyślałem się, że wcale nie chce dostać tego listu z powrotem, położyłem go więc na pustej komodzie, obok miejsca, gdzie coś jej kapnęło i lakier spuchł w bąbel.

– Och, to nie chodzi o ostatnią noc! Nawet Cech Zbieraczy nie jest aż tak szybki. Nie, oni węszyli za mną od lat. Jest tam taki człowiek, Spearjohn... przychodził tu parę razy, ale na szczęście nigdy mnie nie było albo udawałam, że mnie nie ma. Nie stoi tam czasem przed domem, co? – Pokręciłem głową. Na ulicy nie było nikogo, poza dzieckiem bawiącym się hula-hoopem. – Ale po tych krzykach George'a, po tym co widziała Sadie i co wszyscy słyszeli, już nie dadzą za wygraną, prawda?

– Anno, George cię nie zdradzi, jak tylko dojdzie do siebie. A Sadie... nie wydaje mi się, żeby...

– Nie ich się obawiam, ale plotek, pogłosek. Och, ta Anna zawsze była trochę dziwna. Widziałeś, jak się ludzie cofnęli, kiedy George zaczął krzyczeć?

Przysiadłem na drugim końcu walizy. Pianino wciąż rzeziło w dół i w górę gamy. Na chwilę przypomniał mi się, błyskiem tak jaskrawym, że aż zamrugałem, ów dzień w Redhouse, magiczne nuty, które wydobywała z obrośniętego lodem maszynowym instrumentu.

– Anno, tak mi przykro...

Parsknęła. Nie chciała mojej litości. Nawet teraz, nawet dzisiaj, gdy odwracała ode mnie oczy, wędrując wzrokiem po szczelinie między cienkim dywanem a zakurzoną listwą, miała w nich ten zielony płomień.

– Teraz lepiej to rozumiem. Wszystko, co powiedziała mi Missy, choć miała nadzieję, że nigdy mi się to nie przyda. Co się zawsze działo z takimi jak ja. Ze wszystkimi... odmienionymi. Starasz się żyć zwykłym życiem. Może nawet zaczynasz wierzyć, że wszyscy są tacy sami, albo że to nie jest wielka różnica. Ale zdarzają się różne drobne rzeczy. Raz z Sadie u Świętego Judy ćwiczyliśmy strzelanie z łuku. Wyglupiała się, jak to ona, i dostała prosto w ramię. Było dużo krwi, ale zdaje się, że zapobiegłam czemuś poważniejszemu. Potem przez jakiś czas dziwnie na mnie patrzyła. A później zapomniała. Albo myślała, że zapomniała. Teraz znowu zaczęła tak na mnie patrzeć. A biednego George'a... Cóż ja mu zrobiłam?

– Dzisiaj jest o nim we wszystkich gazetach.

– Tak? No to dobrze. Tego właśnie chciał, prawda?

– Raczej chciał zmienić świat.

– Czy nie wszyscy tego pragniemy?

– Ale wydźwięk tych artykułów nie jest taki zły. Nawet w „Dzienniku Cechowym”. Chyba wszyscy w Londynie rozumieją, jak on się czuje, rozumieją jego frustrację. Będzie miał przyzwoity, publiczny proces w Newgate. Kiedy kaplica się waliła, nikt a nikt nie został ranny, poza tym była opuszczona, więc co mu mogą zrobić? Wykopać z cechu, którym i tak pogardza...? Spojrzała na mnie.

– A co ci się tu stało? – Dotknęła mojej szyi.

Przełknąłem ślinę i od nowa poczułem ból w miejscu, gdzie Stropcock zaciskał palce. Przeszłość w oczach Anny, we wspomnieniu o tym dziwnym kryształ, spiętrzyła się między nami jak delikatny, naftalinowy zapach jej walizki.

– Znasz Bowdly-Smartów? Zastanowiła się i skinęła głową.

– Wczoraj wieczorem, zanim Sadie mnie znalazła, byłem u nich w domu na spotkaniu, seansie. Z... z panem Snaithem. Zapewne wiesz, kto to taki?

– Wiem, kto to taki. – Jej wzrok się nie zmienił. – Albo za kogo się podaje. Ale dlaczego...?

Siedzieliśmy w jej małym pokoju, przedzieleni walizą, a ja mówiłem jej, jak rozpoznałem Stropcocków w Walcote House. Opowieść była zawila, pełna ukradkowych spojrzeń, omyłek, wspomnień i ślepych uliczek. Zanim się zorientowałem, opowiadałem już o mojej matce, o Bracebridge, o półdzielnych wizytach u wielkiego mistrza Harrata – nikomu jeszcze tego nie mówiłem, nawet pani Summerton. Historia doprowadziła mnie, krok za krokiem, upadek za upadkiem, wizja za wizją, aż do chalcedonu, który znalazłem u Stropcocków na strychu.

Wreszcie nie tyle skończyłem, ile straciłem siły i zamilkłem. Nawet pianino przestało brzdąkać.

– Czyli... – odezwała się Anna – wracasz do Bracebridge?

Nie pomyślałem o tym, ale przytaknąłem. Po wszystkim, co się wydarzyło, tylko to jedno wydawało się mieć jakiś sens. – A ty?

– Może ja też pojadę...

Nazajutrz po południu pojechaliśmy z Anną promem na Kraniec Świata. Padał ulewny deszcz. Woda spływała z hałd lodu maszynowego, tworząc opalizujące kałuże. Blaszone puszkę grzechotały ostrzegawczo. Rośliny pochylały łodygi ku ziemi.

– Więc to się stało, tak? – Pani Summerton westchnęła, gdy staliśmy na jej grzechoczącym od deszczu ganku, a ja otrząsałem parasol. – Ten cechmistrz od kaplicy, co jest we wszystkich gazetach... jak mu tam...

Uściskały się z Anną, ja zaś wspominałem czasy, kiedy w Redhouse otaczała opieką moją matkę. Jak się od tego czasu skurczyła! Wreszcie wycofała się do środka i zajęła fajkę, która szybko zagaściła i tak ciężką, parną atmosferę.

– Lepiej wy mi powiedzcie...

Gdy Anna mówiła o wyższym mistrzu George’u, Kaplicy Adwokatów i liście od Cechu Zbieraczy, pani Summerton była dziwnie pochłonięta drobnymi czynnościami. Po fajce nastąpił rytuał rozpalania pieca, brzękania łyżeczkami, szukania herbaty, napełniania czajnika...

– To na pewno nie jest aż takie straszne, jak sobie wyobrażasz – powiedziała w końcu. – Nie martw się o wyższego mistrza, cechy zawsze dbają o swoich. Nawet ta arcycechmistrzyni, jeśli jest twoją przyjaciółką, będzie wobec ciebie lojalna, jak tylko jej przejdzie. Jasne, wiem, że to okropne. Może będziesz musiała zmienić adres i historię swojego życia. Ale to jeszcze nie koniec.

– Missy, nigdy mnie nie ostrzegałaś, że to będzie tak wyglądało – poskarżyła się.

– Nie ostrzegałam, bo sama nie wiedziałam. – W jednej chwili przypominała naręcze wyschłych gałęzi. Potem błysnęła swymi ciemnojasnymi oczyma. – I dalej nie wiem. Zresztą i tak byś mnie nie słuchała...

Podawała nam filiżanki. Daszek domku skrzypiał i trzeszczał. Odchrząknąłem.

– Anna i ja... postanowiliśmy wrócić do Bracebridge. Jest parę spraw, o których się dowiedziałem w Londynie. To się wiąże z wypadkiem mojej matki i z tym, co mi pani mówiła o...

– A ja, wiesz, Missy... – powiedziała Anna, odstawiając filiżankę – mam już dosyć lat kłamstw i uników. Parę dni temu nawet przeszłam się koło biura Cechu Zbieraczy i zastanawiałam się, co by było, gdybym po prostu tam weszła.

– Proszę, nie rób tego. – Pani Summerton pokręciła głową. – Anno, spójrz tylko na siebie. Jak myślisz, gdyby to była taka katastrofa, jak mówisz, to czy stałabyś tu przede mną w eleganckim kostiumie, w pięknych butach i rozmawiała o wycieczce pociągiem z Robertem? Przykro mi, że to wszystko się stało, i zrobię co tylko mogę, żeby ci pomóc. Ale ty chcesz zacząć grzebać w przeszłości. Tylko na tyle cię stać po wszystkim, co dla ciebie poświęciłam?

– Missy, przecież to jest sedno sprawy! A tutaj to tylko strój! – Anna obiegnęła pokój wzrokiem. – Jaki sens ma to wszystko, jeśli nie uda mi się dowiedzieć, kim naprawdę jestem?

– Dałam ci szansę na normalne życie. Chyba nikt z nam podobnych nie miał lepszego. Możesz tak żyć nadal, chyba że sama zdecydujesz inaczej. Anno, ty jesteś niezwykła. Pod każdym względem niezwykła. Piękna, doskonała. Jak możesz uważać, że jakaś szczególna tajemnica, którą odkryjecie z Robertem, nada sens twojemu życiu? Świat nie ma odpowiedzi. I nigdy nie miał. Im dalej pójdziesz tą ścieżką, tym bardziej będziesz rozczarowana, tym więcej będziesz ryzykować. Cokolwiek Robert myśli o swoim znalezisku, jeśli jest bliski prawdy, to musi być niebezpieczne. W Bracebridge zginęli i cierpieli ludzie. A wy jesteście młodzi i żywi. Czy to nie wystarczy? Jeśli tam pojedziesz, nie będziesz bardziej bezpieczna. Pewnie nawet mniej. Anno, mogę ci pomóc ukryć się przed Cechem Zbieraczy, odbudować, co straciłaś, mogę ci dać wszystkie pieniądze, jakie mi jeszcze zostały. Ale jeżeli uparcie będziesz się pakować w przeszłość, nie zdołam nic zrobić. Myślisz, że cechy ucieszą

się z ujawnienia ich dawnych sekretów, myślisz, że Stropcock jest niegroźny? – Obróciła się do mnie wśród wirów dymu. – Wtedy na targu nie powinnam była pozwolić, żebyś mnie zauważył. Sprawiałam tylko, że zacząłeś szukać czegoś, czego nigdy nie znajdziesz.

– Przecież i tak już szukałem.

Wilgotny podmuch wiatru zatrzęsł domkiem.

– Ale nigdy... – Jej oczy powędrowały ku Annie. – Nie tego, co myślisz.

CZEŚĆ V

ANNA BORROWS

Był czas, jeszcze nie tak dawno, kiedy pociągi wjeżdżały i wyjeżdżały z Londynu gładko jak sprzężone mechanizmy jednej olbrzymiej maszyny. Teraz, gdy taszczyliśmy nasze walizy po peronie dworca Great Aldgate, trzeba było po prostu pytać, mieć nadzieję i czekać. Rozkłady jazdy zastąpiły nabazgrołone kredą ogłoszenia, rozmazane i nieczytelne, a Bracebridge było zbyt małą miejsciną, by wzbudzić choćby cień skojarzenia na twarzach konduktorów. Jedyne pociągi, jakie kiedykolwiek docierały tam bezpośrednio, to były długie, powolne wagony pełne skrzyń na eter, odjeżdżające z bocznic na Stepney.

Anna zauważyła najpierw nazwę „Oxford”, pospieszyliśmy więc na peron i wcisnęliśmy się do zatłoczonego korytarza wagonu drugiej klasy. Kiedy staliśmy przy oknie, a pociąg pełznął przez Londyn, by wreszcie nabrać szybkości, opowiedziałem jej więcej o Stropcockach – o liczykamikach, pustych magazynach, „Błogosławionej Dziewicy”. W ostatnich dniach wróciłem nawet do obserwacji ich domu z kryjówki pod drzewami. Służący i dostawcy wciąż przychodzili i wychodzili. Z pozoru nic się nie zmieniło.

– Czemu nie stanąłeś przed nim otwarcie, jak tylko się dowiedziałeś, kim jest naprawdę?

Pokręciłem głową. Moment nie wydawał mi się odpowiedni, by mówić o ludziach, którzy wczoraj przyszli do Blissenhawka i wypytywali o kogoś z opisu podobnego do mnie. Do Oxfordu dotarliśmy przed południem, mówiło się tam o pociągu, który po południu jedzie w kierunku Brownheath. Mieliliśmy jednak parę godzin do zabicia, a Anna kiedyś już tu była, mogła więc zabawić się w przewodnika po mieście tak odmiennym od Londynu, że dla mnie wcale nie wyglądało na miasto. Kamienie żarzyły się w zimowym słońcu. Wielkie kolegia, każde finansowane przez swój cech, wznosiły się wokół czworokątnych dziedzińców, pełne iglic, porośnięte bluszczem. Delikatne, błękitne powietrze nieustannie wibrowało od dzwonów, jakby trwało tu bez końca jakieś cechowe święto. Kobiety otwarcie manifestowały za zmianami: RÓWNE PRAWA DLA CECHMISTRZYŃ! W swych kapelusikach wyglądały dumnie, aż gotów byłem im wybaczyć, że zapomniały o nas, partaczach. *Siostró, chodź z nami...*! Anna przeszła parę kroków, wymachując rękami do rytmu bębna. Gdybyż wszyscy mogli tak żyć, pomyślałem, zerkając na nasze odbicia w wypucowanych witrynach księgarń i złocące się włosy Anny, wcale nie byłoby nam potrzeba Nowego Wieku. Nic dziwnego, że biedny George, o którym i tutaj pisały gazety, choć nazywały go „dawnym studentem college’u Balliol”, tak nienawidził Londynu. Z przyjemnością udawałem turystę, spacerując pod mostami i rzucając kaczkom okruchy kanapek. Anna jednak chciała zobaczyć coś, co znajdowało się za miastem, gdzie budynki przerzedzały się, odsłaniając na wpół zmarzniętą ziemię. Jeden z ostatnich domów stał otoczony kojcami z kurami, w miejscu gdzie wyrastały pierwsze zagajniki lasu. Wyglądał na ostatni dom w Oxfordzie i został wystawiony na sprzedaż.

Był dużo mniejszy, niż sobie wyobrażałem. Ściany miał niższe. Kominy i wimpergi były przygarbione i brzydkie, furtka zamknięta.

– Halo! Zaczekajcie państwo.

Agent nieruchomości prawie spadł z roweru, próbując nas dogonić. Ukłonił się i wyciągnął wizytówkę.

Dom, w którym więziono panią Summerton, przeszedł wiele zmian dotyczących przeznaczenia i mieszkańców, ale pokoje, umeblowane nielicznymi przypadkowymi sprzętami, wyglądały bardziej ponuro, niż gdyby były całkiem puste. Ileż lat, zastanawiałem się, podczas gdy agent trajkotał o możliwościach przebudowy, minęło, odkąd ona wbijała paznokcie w te ściany? A może Anna

myliła się i to wcale nie było tutaj? Jednakże, obejrzawszy okna, znalazłem rdzawe ślady po niegdysiejszych kratkach i pozostałości ciężkich okiennic. Obite boazerią ściany, opukiwane, odpowiadały głucho.

– To wyjątkowa cecha tej nieruchomości. Prawie każdy pokój ma wokół pustą przestrzeń, zapewne dla izolacji. Oznacza to, że wszystkie można by powiększyć. Można też, naturalnie, wykorzystać starą boazerię. Jest bardzo solidna. Potrzeba tylko dobrego stolarza. Na szczęście my w Adcocks mamy dobre kontakty w miejscowym cechu...

Gdy wracaliśmy do miasta, Oxford już skrył się w dymnej studni wieczoru, choć wieże jeszcze lśniły w ostatnich promieniach słońca. Nasz pociąg już czekał na stacji.

*

Do Yorkshire dojechaliśmy w szybko zapadających ciemnościach. Migwały stacje, połykując oknami i bańkami na mleko. Przez wagon przeszła, zataczając się, kobieta o czerwonej twarzy, poły jej płaszczka błyszczały od brudu. Usiadła koło nas i zaczęła gadać, tak jak nigdy nie mówiłby żaden londyńczyk. Za oknem telegrafy rozmazywały się w białe smugi. Potem pociąg zatrzymał się, przeszedł konduktor, wykrzykując: Bracebridge, Bracebridge, Bracebridge...

Gdy dym z lokomotywy rozpląnął się w oddali, ponieśliśmy nasze walizki przez żelazną kładkę, którą kiedyś przechodziłem z matką po drodze do Tatton Halt. Na placu obok dworca, gdzie trzymano węgiel i drewno, tuż obok zagród ziemniostworów, panowała ciemność. Było ledwie parę minut po dziesiątej, ale był też dziewiątek – koniec długiej harówki w oczekiwaniu na następną wypłatę i „Pod Jagnięciem i Flagą” paliło się ledwie parę świateł.

– Nie chcesz odwiedzić ojca? – zapytała Anna. Pokręciłem głową.

– Wolałbym zaczekać do rana.

– No to... gdzie będziemy nocować? Tam... czy to nie hotel?

To był hotel, a raczej gospoda „U Lorda Hilla”, najbliższy odpowiednik takiego przybytku w Bracebridge. Matka zawsze musiała zbierać się w sobie przy tych nielicznych okazjach, kiedy miała tu wejść, choć i ten budynek, ciemny na tle ziarnistych wzgórz, skurczył się, podczas gdy mnie tu nie było. Zaczepnąłem tchu. Serce waliło mi jak młotem. Wszystko to działo się zbyt szybko, zbyt nagle.

Szum, bum, szum, bum...

Zaśmiałem się głośno.

– Co się dzieje, Robbie?

– Ten dźwięk!

– Dopiero teraz go zauważyłeś? – Anna pokręciła głową z niedowierzaniem.

Poprowadziłem ją ulicami ku małym sklepikom u podnóża Coney Mound, z wystawami obwieszonymi ogłoszeniami. Na sprzedaż były szczeniaki-kundle, teraz, jak i kiedyś. Łóżeczko dzieciinne – prawie nieużywane – opowiadało swoją historię. Anna chuchnęła na szybę i starła parę rękawem, zaglądając do wnętrza oświetlonego wątlą gazową lampą.

– No i mamy.

DO WYNAJĘCIA MAŁY DOM W PEŁNI UMEBLOWANY DLA MŁODEGO CECHOWEGO MAŁŻEŃSTWA. ŻADNYCH ZWIERZĄT, ŻADNYCH PARTACZY. Anons wyglądał na całkiem świeży.

Za Izbą Obrachunkową, za składowiskiem odpadów. Właściciel mieszkał na wschodnim zboczu Coney Mound, dokładnie naprzeciwko wypłukanej przez rzekę doliny. Kobieta zlustrowała nas w świetle padającym z drzwi frontowych, wycierając dłonie o poszarzały przód fartucha.

– Tak mi się wydawało, że nocny pociąg się zatrzymuje. Teraz to się często nie zdarza. – Pani

Nutall była rzeczowa i konkretna, jak wiele wdów w Bracebridge. – Więc interesuje was ten dom? Pan i pani... jak nazwisko?

– Borrows – odpowiedziała Anna, zanim zdążyłem pomyśleć. – Właśnie przyjechaliśmy z Londynu. – Niepostrzeżenie przełożyła srebrną obrączkę na lewą rękę. – Mój mąż, Robert, ma krewnych w tym mieście.

– Krewnych? – Pani Nutall przyjrzała mi się. Była młodsza, niż ją oceniłem w pierwszej chwili. – Pan pewnie ze Ślusarzy, prawda?

Skinąłem głową, zbyt oszołomiony, by się zdziwić.

Pani Nutall, klapiąc chodakami, błyskając białymi piętami widocznymi przez dziury w pończochach, poprowadziła nas przez zimną noc pod numer 23 na Tuttsbury Rise. Dom stał na końcu jednego z tarasów, choć w świetle pojedynczej ulicznej latarni było go słabo widać. Z jednej strony od wejścia mały hall i salon, z drugiej kuchnia letnia i zimowa. Dużo węgla w szopie, choć może być trochę wilgotny. Knoty do świec, podpałka, zapalki i wapno w wydódcie. Pani Nutall będzie nam także przynosić mleko, bochenek chleba i filiżankę cukru. To śmieszne, tej nocy i ona, i jej sąsiedzi, oczekiwali nas. Dom był oświetlony i ogrzany. Latarnie świeżo wymienione. Łoże małżeńskie w sypialni od frontu – posłane. Borrows, Borrows... tak, znajome nazwisko. Anna jest taka blada, ja taki wymizerowany... Gorąca herbata, taka mocna, że stoi w niej łyżka – to was postawi na nogi. Nadskakiwano nam. Traktowali nas jak wysokich cechowych.

Wreszcie zostaliśmy sami w domu, przy trzaskającym ogniu, dudnieniu maszyn eterowych i pustym wyciu wiatru, który spadał na sosny i brzozy rosnące na osypującym się urwisku po tej stronie Coney Mound; dawno temu, w zapomniane letnie dni, jako dzieciaki wspinaliśmy się tam, a pod nami płynęła brunatna Withy. Szum, bum, szum, bum... Naprzeciwno mnie, w saloniku siedzi Anna, Anna Borrows, o dziwnie rozświetlonych włosach. Małe, wyglądające znajomo mebelki, pulsujące i zanikające, gdy ogarnia mnie blask kominka i wspomnienia.

– Przyjechaliśmy – stwierdziła. – I co robimy teraz?

– Zobaczymy...

Zdmuchnąłem płomyki w latarniach, przytłumiłem ogień na ruszcie. Przez ścianę, wśród pokasływań i poskrobywań, słyszałem, jak sąsiedzi robią to samo. Układ schodów w tym domu był inny niż w moim dawnym, stojącym o parę przecznic stąd. Tutaj były w hallu i skręcały w połowie, nad spizarnią. Anna pierwsza poniosła lampę na górę, cienie poręczy przebiegły po starych tapetach, po których zostały jaśniejsze miejsca, gdzie kiedyś wisiały rodzinne portrety. Nie miałem wątpliwości, które z nas będzie spało w pokoju nazwanym przez panią Nutall „sypialnią państwa domu”; świeżo wywietrzone prześcieradła były tam tak napięte, że kiedy Anna rzuciła na łóżko swój bagaż, walizka niemal zeskoczyła na podłogę.

– Musimy dość przekonująco udawać małżeństwo... – Anna drobnym gestem, którego nigdy dotąd nie widziałem, przeciągnęła rękoma po włosach, wyjmując z nich spinki.

– Anno, nikt nawet nie pomyśli inaczej. Nie tutaj... – Obserwowałem w fazowanym lustrze, jak odgarnia włosy, które luźno spadły, kiedy się pochyliła nad walizką.

– Naprawdę chcesz, żebym ja tu spała?

– Ktoś musi. Oni będą patrzeć na światła i nasze cienie.

– Zdaje się, że mówiłeś...?

Wzruszyłem ramionami. Jak wytłumaczyć jej wszystko, co wiedziałem o tych ludziach i o tym mieście?

Zaczęła rozwieszać bluzki na grzechoczących wieszakach w szafie.

– W tym drugim pokoju będzie zimno. Mógłbyś spróbować napalić, ale czy pani Nutall nie

mówiła czasem, że tam dymi?

– Chyba lepiej mi będzie na dole.

Wyjęła dłuższą, obszerniejszą suknię, która w Londynie byłaby całkiem zwyczajna, ale tutaj rozwijała się ciemnymi fałdami jak płatki róży u pani Summerton. Przyłożyła ją do siebie i uśmiechnęła do mnie. Zszedłem na dół, gdzie teraz świecił tylko kominek i piec. Szum, bum, szum, bum... Słyszałem kroki Anny na piętrze. W sąsiednim domu ktoś kaszłał; pewnie będzie tak całą noc. Tu, na Coney Mound, człowiek przyzwyczajał się do takich rzeczy. Wszedłem na zimną noc do wygodki, idąc po omacku, aż wymacałem haczyk na drzwiach. Kiedy tam stałem, a wokół mnie unosił się odór, zastanawiałem się, jak Anna się czuła w tym obrzydliwym przybytku.

Pozamykałem wszystkie drzwi. Przeganiałem ostatni raz ruszt w kuchennym piecu. Wszedłem na górę. Anna zostawiła pod drzwiami sypialni ładnie ułożone zapasowe prześcieradła i koce od pani Nutall. Zabrałem je. Ciemność uniosła się i opadła. Czułem w ustach smak dymu. Szum, bum, szum, bum... „Pobłogosław, Boże, temu domowi” wyszyte na pościeli, zwykłe plamy na materacu. Lecz ten pokój miał w sobie coś, czego nie mogłem znieść. Zszedłem z powrotem po schodach, niosąc koce. Oklepałem poduszki na kanapie. Zastony nie schodziły się i falowały od wiatru. Poduszki, zimne i lekko wilgotne, zapadały się pod moim ciężarem. Ale to nic takiego.

Rano zbudziło mnie walenie do drzwi wejściowych. Wciąż prawie ubrany, sennie poczłapałem przez hall, gdzie za zaszywaną szybą majaczyła kobieca sylwetka. Jakoś nie przypominała pani Nutall. Wiatr całą noc wiał od urwiska i drzwi przymarzły do framugi. Kiedy w końcu je rozwarłem, w powodzi lodu i światła ujrzałem stojącą na schodku moją matkę.

– Nie mogę teraz wejść – powiedziała. – Ale, Robercie, mogłeś przynajmniej powiedzieć, że przyjeżdżasz...

Była to Beth, moja siostra. Wiść o moim przyjeździe szybko rozniosła się po Coney Mound. Beth nie mogła wejść, bo oczekiwała jej Szkoła Miejska w dolinie. Staliśmy tak, zastanawiając się, czy się objąć, i stwierdzając, że ta chwila już minęła, gdy nagle zawyły potężne syreny fabryki Mawdingly & Clawtson. Beth nosiła teraz na swym marynarskim płaszczu emaliowaną odznakę Cechu Nauczycielek, ale było chyba nieco za późno, by gratulować jej, że wreszcie zdała te egzaminy. Czy jestem żonaty? Kiwnąłem głową, jeszcze bardziej niepewnie, gdyż czułem – już wcześniej przyszło mi to do głowy – że drobne, acz niezbędne kłamstewko Anny zaczyna żyć własnym życiem. Niezła z niej cechmistrzynie, mówił wzrok Beth, skoro pozwala, by jej mąż chodził o tej porze jeszcze w szelkach i najwyraźniej bez śniadania. Postaliliśmy tak jeszcze parę chwil, sieczeni wiatrem, a podobieństwo Beth do matki pojawiała się i znikowało z każdym uderzeniem eterowych maszyn.

*

– No, a ten chłopak od Borrowsov, pamiętasz go? Matka zachorowała. Ciężko zachorowała, rozumiesz, co mam na myśli. Ale to stare dzieje. Stary Frank oczywiście jeszcze żyje. Córka się nim opiekuje i uczy małego Alfa mojej córki. I tu nagle! Zjawia się w jedną noc, z żoną i w ogóle. Ładna kobitka, ale trochę taka niewyraźna. Mieszkają na Tuttsbury Rise, w domku po mateczce Ricketts. Był na południu, wiesz jak tam jest. A teraz wrócił pokornie. O tak, przyjęli go. Do Ślusarzy, tak jak ojca. Zawsze tak przyjmują, nie? Z moim chłopakiem było to samo i popatrz no tylko, na kogo wyrósł. Nie... na oko, od wielu lat nie wykonywał porządnej, cechowej roboty. Ani śladu główni na jego bielutkiej skórze. Pewnie nawet nie umiałby powiedzieć zakłęcia, co kręci bloczkiem. No ale Maureen mówi, że powinniśmy być mili. Spróbował, nie udało się, więc wrócił do Bracebridge. Ma się to we krwi, co nie?

Kiedy pierwszego ranka zeszliliśmy z Anną do miasta, akurat odbywał się dziesiątkowy targ. Zegar na ratuszu miał nowy cyferblat. Rainharrow lśniło od śniegu. Ludzie, których nie znałem, uśmiechali się do mnie, a ci, których poznawałem – dawni koledzy ze szkoły, z podwójnymi podbródkami, nadęci dumą ze swych nędznych stanowisk, oraz kobiety, które kiedyś znały moją matkę albo krzyczały na mnie za pobrudzenie prania futbolówką – podchodzili, żeby się przywitać. Zadowoleni, bez wścibstwa, naprawdę cieszyli się, że mnie widzą. Wracając do Bracebridge z żoną, dwiema walizkami i niczym więcej, z niewyraźnymi widokami na pracę w fabryce, gdzie kiedyś zatrudniali ojca, utwierdziłem ich, że w szerokim świecie nie ma nic, czego nie mogłoby zaoferować to miasto. Ich akcent był niesamowity – prawie jak w moje pierwsze dni w Londynie – ale, jak z zakłęciami we śnie, okazało się, że rozumiem ich bez trudu.

Bracebridge prosperowało nadzwyczajnie. Znać to było nie tylko po nowym cyferblacie miejskiego zegara. Kilka gmachów miało nowe czerwone dachy, a rynek kipiał od ludzi. Nawet cechmistrzynie z Coney Mound kupowały świeże warzywa, choć moja matka zwykle czekała, aż przecenią je po południu. Po wstrząsie, jaki przeżyłem po przyjeździe do Bracebridge, miasto

wydawało mi się jeszcze bardziej ciasne niż kiedyś – jakby zabawkowa, jaskrawo pomalowana kopia samego siebie. Tymczasem według „Nowego Świtu” i wielu innych gazet cała północ Anglii rzekomo wrzała od zamieszek...

Jak każdy pilny uczeń, studia nad przeszłością Bracebridge zacząłem od biblioteki miejskiej. Była jaśniejsza i czystsza, niż ją pamiętałem, lecz poza tym niewiele się zmieniła. Kilku starszych cechowych, skubiąc włosy w nosie, udawało, że czyta gazety w rozświetlonym słońcem pyłe. Przypatrując się ich twarzom, zastanawiałem się, czy nie powinienem był pójść od razu do ojca, na Brickyard Row. Jednak Beth na progu domu była dla mnie wystarczającym wstrząsem na jeden ranek. Kupiłem więc sobie ołówek oraz tani notes i między zaspanymi półkami zagłębiłem się w przeszłość, która zdawała się idealnie zachowana i odbita w teraźniejszości; cofałem się ku czemuś, choć nie bardzo wiedziałem, co to takiego. Szum, bum, szum, bum... To było lepsze niż Czarna Lucy w piwnicy Blissenhawka. Pierwszy raz od Dnia Motyla odczułem prawdziwą potrzebę pisania.

Wróciłem do domu w porze obiadu. Wszystkie okna były pootwierane i zawieszono wietrzącymi się, pylącymi dywanami. Kobiety z Tuttsbury Rise zlitowały się nad biedną Anną, która nie miała ani porządnych butów, ani ubrania do pracy czy fartucha, nie potrafiła zagotować wody na zwykłym węglowym piecu. Lecz jak nikt umiała się przystosować i powitała mnie ze związanymi włosami i zarumienionymi policzkami. Nowa pani Borrowws wyglądała przepięknie, gdy zasiadliśmy przy wyszorowanym kuchennym stole do kupionego przeze mnie chleba i podsuszanej kiełbasy ofiarowanej przez panią Martin spod czternastki.

Wreszcie o siódmej wieczorem zawitaliśmy do mego ojca. Mieliśmy pewność, że Beth zdążyła wrócić ze Szkoły Miejskiej i go uprzedzić. Z Tuttsbury Rise na Brickyard Row było całkiem blisko. Popychałem furtkę lekko do góry i w bok, tak jak było trzeba, zanim jeszcze w pełni zdałem sobie z tego sprawę. Beth znów nas przywitała; zrobiło mi się przykro, gdy zauważyłem, że wystroїła się dla nas – kiedy wprowadzała do środka Annę, ubraną o wiele lepiej. Za plecami miała ciemne, usiane światełkami miasto. W saloniku od frontu palił się ogień, a na chabrowym półmisku, z którego matka była tak dumna, leżały ciastka cytrynowe; lukier na nich już stracił połysk od oczekiwania. Niektórzy mężczyźni, starzejąc się, rozdmajają się i rozkwitają, mój ojciec natomiast skurczył się, posiwiiał. Ukłonił się Annie niemal w pas. Kiedy Beth nalewała herbatę, brzęknęła porcelana.

– Nie tak źle ci idzie, chłopcze... – Przerwał, rozlewając herbatę na spodek. – Co?

– Dostawaliśmy czeki – dodała Beth. Siedziała obok Anny, która bardzo starała się nie wyglądać po królewsku. Jedyne wolne krzesło w pokoju stało na dumnym, zarezerwowanym dla gości miejscu w małym wykuszu okiennym. Ojciec parę lat temu zrezygnował z pracy na Pokładzie Wschodnim, pracował teraz w „Bacton Arms”, głównie nocami i niekiedy w porze obiadu, pomagał przy sprzątnięciu resztek, choć z wyrazu twarzy Beth domyśliłem się, że głównie owe resztki dopijał.

– A ty zostałeś wprowadzony do cechu?

– Tak, w Londynie.

– I szukasz pracy? – Jego wychudłą szyję obcierał kołnierzyk z krawatem, którego nienawidził. – A to jest twoja pani...?

Rozmowa jakoś się toczyła, ciastka leżały nietknięte, a ziemia dudniła. Szum, bum, szum, bum... Tak samo było i w niedzielę – Beth nalegała, byśmy przyszli na obiad, złożony z takiego jak zwykle paskudnego kawała wołowiny spieczonego na twardo w pobliskiej piekarni.

– No i...? Pani jest z południa?

Anna skinęła głową, zawzięcie żując kawałek mięsa, po które nierozważnie sięgnęła pierwsza, potem zrobiła drugi błąd, próbując szarozielonkowy plaster zeszłorocznego morskiego ziemniaka. Zerknęła na piwa, moje i ojca – wypadło, by patrzyła na nie z dezaprobatą.

Powstrzymałem uśmiech. Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że reguły spożywania posiłków w Bracebridge są niemal tak skomplikowane jak w Walcote House.

– Tak – odrzekła w końcu. – Ale mam krewnych we Flinton.

– Hm, Flinton. – Ojciec kiwnął głową, jakby to wszystko tłumaczyło. Flintonowskie koligacje Anny dla mnie również były nowością, ale miejscowość wybrała idealnie. Na tyle blisko Bracebridge, by liczyć się jako związek z okolicą, ale wystarczająco daleko, zważywszy na odwieczną wrogość między tymi miastami, by uciąć wszelkie dalsze pytania.

Ojciec skłonił głowę ku mnie.

– Pewnie dużo pracowałeś w bibliotece?

Potaknąłem. Strony starych gazet i cechowych obwieszczeń otwierały się z trzaskiem jak pękające torebki nasienne. Od zapyłonego powietrza chciało się kichać. Najbardziej działały na mnie te rzeczy najzwyklejsze – przyziemne spisy nazwisk, urodziny, zgony, małżeństwa, immatrykulacje, nagrody i postępowania dyscyplinarne. A potem doroczne przeciąganie liny przez Ślusarzy, z jednej strony mistrzowie, z drugiej wyżsi mistrzowie. Mój ojciec znalazł się tam w roku 57, zamarłszy na fotografii pośród zalanych słońcem łąk, wyszczerzony do obiektywu na zbrązowiałym papierze. Rozebrany do koszuli, obejmował ramieniem kolegę, który wtedy też był tylko mistrzem i miał grzywkę, a nie zaczesane do tyłu włosy z zakolami, tak podkreślające jego drobne, ostre rysy.

– Coś mnie zaciekawiło – powiedziałem. – Jedno nazwisko rzuciło mi się w oczy, chyba je skądś znam. Stropcock. Czy to nie był czasem twój starszy mistrz?

– Nigdy nie powinien być dostać tej posady – rzucił ojciec szybciej i bardziej gwałtownie, niż się spodziewałem. – Sukinsyn.

– Ojczy... – powiedziała Beth ostrzegawczo.

– A teraz nie ma go w Bracebridge, prawda? – indagowałem dalej. Ojciec prychnął.

– Zdaje się, że nie. Pewnie znowu dostał awans.

– Chyba jego nazwisko obilo mi się o uszy... – Urwałem, wdzięczny losowi za kawałek ścięgna, który musiałem przeżuć. – Kiedy byłem w Londynie.

Ojciec znowu prychnął i otarł wąsy. Stropcock w Londynie, tego już za wiele.

– Z tego, co słyszałem, najdalej był w Preston.

– Było, minęło, prawda? – dodała Beth, spojrzeniem sugerując mi, że lepiej, aby tak zostało.

Widziałem zakręt schodów prowadzących do dawnej sypialni mojej matki. Szum, bum... Coś dziwnego wisiało w powietrzu, mrowiło mnie we krwi, chrobotąo o kości. Całkiem jakbyśmy wysiedli z Anną w mieście, które prawie było Bracebridge, ale nie do końca.

– Biblioteka, książki... – Ojciec wsadził palec do ust, zahaczył paznokciem o trzonowca i wypluł kawałek chrząstki w serwetkę, którą rozłożyła przed nim Beth. – Nie myślałem nigdy, że z ciebie taki mózgowiec.

– W Londynie pracowałem dla gazety – powiedziałem. – Pisałem artykuły.

– Jak się nazywała? – zapytała Beth.

– „Nowy Świt”.

Oboje wrócili do jedzenia.

– Aha, to taka gazeta – mruknął w końcu ojciec. – Tutaj też kiedyś taką mieliśmy. Chłopaczek stał i sprzedawał ją, za dwa pensy, jeśli łaska, dopóki nie skopali mu dupy.

Beth odłożyła nóż.

– Ojczy!

– No bo to prawda. Będą nam, cechowym, mówić, że marnujemy życie, ciężko pracując i przynosząc do domu przyzwoity pieniądz.

– Ludzie pracujący w Londynie to często ci sami... – zacząłem, po czym ugryzłem się w język.

– I te marsze uliczne. Co to było, u licha, z tymi motylami? Był nawet jakiś cechowy na tyle stuknięty i bezczelny, żeby zawalić jedną z boskich świątyń...

– Ojczy, dość! – wtrąciła się Beth. – Mamy niedzielny obiad, nie psujmy go męskimi rozmowami o polityce, prawda, Anno? – Uśmiechnęła się półsłodko do Anny.

Potem na stole pojawił się pudding z łojem.

– Znalazłam trochę twoich starych rzeczy – powiedziała Beth, kiedy skończyliśmy jeść, a Anna, ignorując, jak nakazywał dobry ton, jej protesty, zaczęła wstawiać brudne nakrycia do zlewu.

– Może zerkniesz na nie. Leżą na górze.

Wszedłem za siostrą po wąskich schodach.

– Tu są. – Wskazała niewielką kupkę szkolnych podręczników i innych przedmiotów, które rozłożyła na podeście. – Nic ze sobą nie wzięłaś. Myśleliśmy, że nie żyjesz. Potem zaczęły przychodzić kartki. A potem czeki... ale chyba już ci podziękowałam, więc, zdaje się, drugi raz nie muszę. Nawet ostatnio nie mieliśmy pewności, czy jeszcze żyjesz, po tym jak usłyszeliśmy, co tam się w Londynie dzieje.

Dla Beth, dla ludzi z Bracebridge, Londyn przez ostatni rok był miastem krwi i pożarów.

– Mogłam ci też raz czy dwa wysłać kartkę – ciągnęła. – Na przykład rok temu, kiedy byliśmy z ojcem w Skegness. Nie siedzimy tu jak na wiosce zabitej dechami. Też podróżujemy. Ale nigdy mi nie dałaś adresu, prawda?

– Za dużo ich było.

Broszka, którą nosiła, skrzywienie ust, gdy patrzyła na mnie, wszystko to należało do matki.

– Przepraszam, Beth.

– Za siebie?

– Nie. Za nas oboje.

Staliśmy tak przez chwilę. Powietrze wokół nas dudniło.

– Nie widziałam cię dziś rano w kościele.

– My z Anną nie chodzimy do kościoła.

– A! – Pokiwała głową, jakby to wszystko tłumaczyło. – A pamiętasz, co znaczy słowo „zadufek”?

Musiałem pomyśleć. Anna rozmawiała na dole z ojcem, szczękała naczyniami i szufladami.

– To oznacza „zarozumiały”, panie Robercie Borrowse, i niewiele jest gorszych rzeczy, które można tutaj o kimś powiedzieć, może tylko to, że lubi grzebać w przeszłości. W Bracebridge ludzie są mili. Dobrze wiesz, jacy są mili. Może i jeżdżą do Skegness, ale nie będą mieli zrozumienia dla ciebie, że przyjeżdżasz sobie ze swoją ładniutką żoną na jakieś dziwaczne wakacje. Ja na twoim miejscu, Robercie Borrowse, jakbym chciała tu zostać, zaraz poszukałabym sobie jakiejś pracy... – Zatupała ciężko po schodach.

Podręczniki. Kleksy, ślady paluchów i plamy. *Pięć przydatnych czasowników. Co robiłem wczoraj.* Nie mogliśmy wtedy pisać, jak spędziliśmy wakacje; w tamtych czasach ludzie z Coney Mound nie mogli sobie na wakacje pozwolić; co innego teraz – choć to wbrew wszystkim nurtom tego Wieku. Na kupkę starych rzeczy ktoś rzucił szklaną kulę, w której znajdowała się pordzewiała miniaturka wieży Hallam. Połowa wody już wyparowała. W latarni, zamiast eteru, była mała bryłka szkła. W życiu tego nie widziałem. Potrząsnąłem kulą, patrząc, jak przelewa się zielonkawa woda i wiruje zmatowiały śnieg. Gdyby George naprawdę chciał, tu miałby prawdziwe przeciwieństwo wieży Hallam. Pod spodem leżało kilka książeczek z bajkami, ciężkich i pozwijanych. *A wtedy Złotobiała...* I oto była, wciąż wędrowała po leśnych ostępach, przez otchłanie czasu i wilgoci.

Poznałem historię, którą opowiadała mi matka, choć książki nie pamiętałem; słowa zdawały się wyskakiwać, świeżo ułożone, z jej głowy. A Flinton – czy ona kiedyś nie powiedziała, że tam ongiś znajdowało się Einfeld? Szare domy pod szarymi hałdami – a teraz i Anna stamtąd pochodziła.

Wstałem, otrzepałem spodnie i wspiąłem się po drabinie do mojego dawnego pokoiku na stryszku. Klapa wypaczyła się ze starości, nie chciała ustąpić. A za mną był pokój matki. Łóżko, całkiem inna komoda, krzesło i kominek. Widziałem, że Beth próbowała zawłaszczyć to miejsce – tu wazon, tam koronkowa serwetka – ale jego przerażająca istota się nie poddała. Szum, bum... *Chcesz zobaczyć, jak bardzo potrafię się wyciągnąć...* Na zimnym ruszcie leżało kilka dziwnie lśniących bryłek węgla. Przypominały gagat, choć zielonkawe – jak kupka klejnotów, barwnych jak pawi ogon i onyksowych. Sypialnia była jak świeżo namalowana scena z przeszłości. Coś chrupnęło mi cicho pod stopami, kiedy wchodziłem. Wysunąłem jedną z pustych szuflad. Beth włożyła do każdej kulkę lawendy, zawiniętą w prostokąt ze starego prześcieradła, ale już nie pachniały, a w dotyku były zimne, twarde i ciężkie. Rozwiązałem tasiemkę. Wewnątrz była lśniąca bryłka; kwiatki lawendy zamknięte w lodzie maszynowym. Ściany także połyskiwały czymś falującym jak woda – wziąłem to z początku za wilgoć czy szron, ale pod dotykiem skruszyło się, pokrywając mi palce błyszczącym nalotem.

Szum, bum, szum, szum...

Wychodząc z pokoju, schodząc po schodach i spotykając ich spojrzenia, byłem świadom, że Beth i ojciec słyszeli, jak chodzę po ich małym domku. Pora iść.

We wtorek wróciłem z biblioteki i zastałem Annę w kuchni nad rozłożonym „Dziennikiem Cechowym”. Wyższy mistrz George Swalecliffe był na pierwszej stronie. Przez te pierwsze dni Anna polubiła gospodarskie rytuały. Upinała włosy w kok, nosiła fartuch, czernidło z płyty pieca już zalazło jej za paznokcie. Eksperymentowała z gotowaniem szynki i kapusty, bieleniem ścierek, suszeniem ziół – co udawało się albo nie, pół na pół. Instruowały ją sąsiadki, rywalizując ze sobą o to, czyj sposób jest najlepszy. Anna ostrożnie, krok za krokiem, cofała się w przeszłość ku zapomnianemu życiu swych rodziców, których nigdy nie знаła. Lecz nazwisko George’a i relacja z procesu, który rozpoczął się wczoraj, rzuciły ją z powrotem do Londynu.

Kosmyki z koka spadały jej na twarz, a na kciuku miała oparzenie po wczorajszym pieczeniu chleba, które dało w efekcie czarną bryłę, o wiele twardszą niż naeteryzowane cegły, z których zbudowano Bracebridge. Podwinęła rękawy swej strzępiącej się, szarzejącej bluzki; stygmaty wyglądały jak wilgotne rubiny, czerwone i podrażnione. Odwróciłem gazetę ku sobie i czytałem ją, jedząc. George wygłosił w sądzie długie oświadczenie, które streściła nawet ta gazeta. Nazywali go obłąkanym architektem, ale ktoś pozwolił, by jego poglądy na niesprawiedliwość tego Wieku jakoś się do tekstu przemyciły. Choć w porównaniu z „Nowym Świtem” było to dość mdłe, jednak coś takiego na łamach „Dziennika”? Niebywałe. Najwyraźniej coś się działo. Prawie żałowałem, że nie zostałem w Londynie – ale dla mnie wszystko to było wymuszone i nieprawdziwe.

Podejrzewałem, że cechy wykorzystują George’a, by spreparować nową wersję Dwunastu Postulatów, tak zlagodzoną, iż nawet one będą mogły udać, że się na nią zgadzają.

Gdy spacerowaliśmy ulicami i zaułkami Coney Mound, Anna wciąż była zamyślona.

– Czuję się odpowiedzialna za to, co stało się z George’em – powiedziała w końcu. – I to nie tylko za te ostatnie zdarzenia. Bo... jak to faceci mawiają o kobietach?

– Że to pod twoim wpływem?

Przy Annie to był strzał na oślep. Jednak kiwnęła głową.

– Zналиśmy się od lat i chyba pociągało nas w sobie właśnie to, że żadne z nas nie ginęło w tłumie... – Zachichotała. Twarz miała na wpół skrytą za postawionym kołnierzem płaszcza w jodełkę, lśniącym od jej oddechu. – I jeszcze fakt, że nie pociągaliśmy się nawzajem, rozumiesz, co mam na myśli. To był bardzo dziwny związek, zachowywaliśmy się jak ludzie, którzy próbują tańczyć, patrzą, jak robią to inni, ale nie potrafią zrozumieć. Całowaliśmy się jeden jedyny raz, wtedy w Walcote, gdy nas widziałeś...

Szliśmy koło sklepików, w których znaleźliśmy ogłoszenie o domu do wynajęcia. Niebo bez jednej chmurki. Mróz był ostry, nawet w słońcu. Śnieg jeszcze nie spadł w Brownheath, ale czuło się jego ciężar w powietrzu, jego pragnienie, by spaść, jak niemy grom.

– Nie marzyłam razem z nim o nowym, lepszym Wieku, choć podobały mi się te marzenia. A potem w Dzień Motyla... podobno go uratowałam, bo ludzie, którzy go złapali, uciekli, kiedy tylko wykrzyknęłam jego imię. Zdaje się, że wstydzili się tego, co robią, podobnie jak George. Tylko że jemu trudno było znieść już samo to, że ja wiem. No, w każdym razie był ranny, krzyczał, zabrałam go z powrotem na Kingsmeet. Nie mógł winić szlachetnego ludu pracującego – oskarżał więc siebie, a może i mnie...

– Tuż przed tym zabrał mnie na górę wieży Hallam. Anno, też powinienem był zauważyć, co się dzieje.

– Powinnaś powiedzieć mu, kim jestem. Jemu i Sadie. Może to by coś zmieniło. Rozumiesz,

ty wiesz i wciąż jesteś przy mnie. Nigdy mnie nie zdradziłeś...

Szliśmy w stronę kościoła, nieświadomie dopasowując krok do rytmu maszyn. Parafialny cmentarz był ponury i zimny. Znalazłem kamień stojący na grobie mojej matki. To akurat cechom wychodziło – płacenie za takie bezużyteczne przedmioty. Dawniej było mi to obojętne, teraz jednak poruszyło mnie, gdy zobaczyłem ten nagrobek pośród innych. Przeszliśmy po zwiędłej trawie do kolejnego kamienia. ETERMISTRZ EDWARD DURRY, 46-75. Ojciec Anny. Zginął w dniu, gdy maszyny przestały bić. Miał zaledwie pięć lat więcej niż ja teraz. Wśród wielu zebranych przeze mnie papierów, pamiątek z tamtych czasów, znalazłem jego zdjęcie, z żoną Kate, w starym cechowym roczniku. Szli właśnie na jakąś potańcówkę. Złapani w błysku magnezji, byli bardzo przystojni, on – ubrany w swój najlepszy garnitur, niemal pękający w szwach – uśmiechał się szeroko i pewnie. Zauważyłem, że Anna jest bardziej podobna do niego niż do matki. Kiedy pochylała się, dotykając kamienia, pod którym leżał jej ojciec, w zimnym powietrzu czułem zapach jej włosów. Pachniały świeżym sianem i migdałami.

– Czasami przyjeżdżałam do Bracebridge z Missy, właśnie w takie dni jak dziś, kiedy zaczynały dymić kominy – powiedziała, gdy wędrowaliśmy w górę zbocza pomiędzy długimi cieniami nagrobków. – Musiałyśmy kupować mydło i mąkę, tak jak wszyscy, choć wiem, że uważasz to za najbardziej niewiarygodne... – Oczy jej zalśniły. – Missy nawet proponowała, że mnie tu zaprowadzi, ale odciągnęłam ją w półmrok. Wtedy nie chciałam nic wiedzieć o mojej matce, ojcu, o niczym, co się tu działo. Czułam tylko... – Pociągnęła nosem, spojrzała w blednące niebo. Zadrżał jej mięsień szczęki. – Gniew. Pewnie dlatego tak dziwnie się do ciebie odnosiłam, jak przyjechałeś z matką do Redhouse. Wiedziałam, że należysz do przeszłości, która mnie nie obchodzi, żyjesz w tym głupim mieście, a ja nie mogę tam mieszkać przez jakiś wypadek...

Słońce chowało się za Rainharrow. Ostatnie jego promienie rozświetlały dachy Coney Mound niezwykłą kaskadą złota i brązu. Kiedy zamykaliśmy furtkę cmentarza, przez moment wydało mi się, że pomiędzy cisami na drugim końcu widzę kogoś, ale gdy spojrzałem jeszcze raz, zapadła tam ciemność i postać zniknęła.

Przy murze, gdzie w letnie wieczory chłopcy palili, a rozchichotane dziewczęta przechadzały się wśród nich, na lepszym końcu Coney Mound, który był już prawie śródmieściem, przy domu nieoświetlonym od frontu, ale z dymiącym kominem, gdzie słabiutkie światło z kuchni przedostawało się do salonu, połyskując na szkle i porcelanie, Anna wcisnęła podbródek w kołnierz i wydała z siebie przeciągłe, zimne westchnienie. Park Road 12. Przyzwoitej wielkości ogródek od tyłu, taki, że można tam naprawdę coś sobie hodować. Tu mieszkali kiedyś jej rodzice.

*

Szum, bum... W dniu, kiedy stanęły maszyny – kiedy moje i Anny życie zmieniło się, zanim się jeszcze urodziliśmy – w wiecznotrwałych bibliotecznych zapisach widać było dziwną nieobecność, bezruch. Poodwoływane spotkania, odłożone mecze piłki nożnej, remont uszkodzonego ratusza, upamiętnione w kronikach parę nowych budynków zastępujących stare, które w niewyjaśniony sposób zniknęły. Beth miała rację, tutejsi ludzie nienawidzili grzebania w przeszłości prawie tak bardzo jak tych, którzy byli „zadufkami”. Kilka bardziej bezpośrednich pytań, które zadałem pod „Bacton Arms”, zmusiwszy się, by zostać do późna i obalić parę oślizłych kufli, spotkało się z tępyimi spojrzeniami albo mroczną wrogością. Annie, z jej dyskrecją, udawało się o wiele lepiej.

Pytając sąsiadów, znalazła dawny dom Stropcocków, całkiem niedaleko domu jej rodziców na Park Road, dom, który mistrz Stropcock otrzymał w uznaniu zasług, wąski, choć z dwoma pokojami od frontu, wciąż należący do Ślusarzy. Tak, wyjechali z miasta, kiedy on awansował. Zdziwiająco szybko, jak na niższe cechy, kiedy się nad tym zastanowić. Ale nikt chyba nie wiedział,

dokąd się udali. Nikogo też to specjalnie nie obchodziło – lecz stało się to wiosną roku 86, tuż po śmierci mojej matki i wielkiego mistrza Harrata. Jakiś czas przedtem zmarło im dziecko; grób małego Fredericka Stropcocka znajdował się w cieniu kościoła Świętego Wilfreda. Gęstwina pokrzyw powiedziała nam wyraźniej niż wszystkie dokumenty świata, że Stropcockowie, państwo Bowdly-Smart, nigdy nie odwiedzali Bracebridge.

– Ktoś taki jak Stropcock z rozkoszą by tu wrócił i traktował wszystkich z góry – powiedziałem pewnego wieczoru po herbatce, gdy stałem przy zlewie i szorowałem garnki zwiłkiem starych metalowych wiórków. – Mówiłem ci, że widziałem go kiedyś, gdy byłem z wizytą u wielkiego mistrza Harrata? Przez drzwi, w Boże Narodzenie. Siedział u niego przy stole...

Z kuchennego okna rozciągał się widok na pół doliny. Żarzyły się eterowe odstojniki, zygakowały światła odjeżdżającego pociągu. Słyszałem, jak za mną Anna się krząta, szcęk rusztu, chrobot podciąganej suszarki z praniem. Wysokie cechmistrzynie, które znała w Londynie, byłyby zbulwersowane tą przemianą. My jednak byliśmy szczęśliwi, bawiąc się w takie życie – albo udając, że się w nie bawimy.

Szum, bum... Dźwięk eterowych maszyn się zmienił. Teraz już miałem pewność. Pierwsze uderzenie było zbyt wolne, drugie za szybkie, pauza pomiędzy zamachem a ciosem odrobinę za długa. Przyglądałem się twarzom na ulicy, zabieganym ludziom, którzy już za długo byli na tym świecie, by pragnęli jakichś zmian. Chętnie pozostaliby na zawsze zamrożeni w obecnym Wieku. Obserwowałem pogwizdujących czyścicieli okien, zamiataczy ulic, facetów na drabinach szorujących cegły i czyszczących rynny – na pewno kiedyś ich tu nie było. Całe Bracebridge oglądało uważnie swe ramiona, strząsając z nich jak łupież zabłąkane iskierki maszynowego lodu. Dom wielkiego mistrza Harrata na Ulmester Street został odbudowany, ale był skryty pod rusztowaniem. Budowniczowie wywozili stamtąd taczkami lśniący kurz, zbyt piękny, by po prostu wsypać go do śmietnika; może wywożono go aż na Kraniec Świata. Wyobrażałem sobie, że kiedy nadchodzi koniec eterowego miasta w rodzaju Bracebridge, kryształki wyrastają precyzyjnie i stopniowo, powoli piętrząc się jak woda. Ale tych białych iskierek nie obowiązywały prawidła logiki – były w końcu wydzieliną magii.

Przeniósłem się z biblioteki publicznej do Domu Niższych Cechów, dzielonego przez Ślusarzy, Preserów i Stalmistrzów. Budynek był pod wieloma względami podobny, lecz wypoczywający tu cechowi mogli palić, a fotele ze starej skóry były wygodniejsze niż biblioteczne krzesła. Portier przywitał mnie jak marnotrawnego syna cechu Ślusarzy – zresztą twierdziłem, że nim jestem. Znałem tego chłopaka ze szkoły, teraz miał pięcioro dzieci i szóste w drodze. Oczywiście, zatelegrafuje z odpowiednimi drukami, żeby sprawdzić moje członkostwo, ale w Bracebridge wszyscy mnie znają, więc nie ma co się śpieszyć. Zegary tykały. Mężczyźni chrapali. Kurz wznosił się i opadał. I wszystko w tym samym nierównym rytmie. Stały tu księgi z zakłęciami. Instrukcje do dawno zmarłych maszyn. Stary papier zionął na mnie zapachem porzewiałych zszywek.

Stropcock zaczął w Londynie nowe życie i wziął ze sobą ten chalcedon jako coś w rodzaju dowodu, zabezpieczenia. Talizman. Zyskałem już pewność, że był jakoś zamieszany w owo zatrzymanie się maszyn, w coś, co wciąż się w Bracebridge działo – jakieś oszustwo czy kant, dotyczące wyczerpywania się eteru. Ale co takiego? I jak? Zamrugalem, budząc się nad spisem nieaktualnych przepisów, i zrozumiałem, że te niekończące się strony są zwodnicze. Są jak samo sedno cechów – mają cię wciągnąć i uspić, obiecując drobne triumfy, aż obudzisz się, wciąż zdumiony, przespawszy całe życie.

*

Beth pewnego ranka zaprosiła mnie do Szkoły Miejskiej. Zupełnie nie była podobna do starego mistrza Hinktona i skądś podłapała dziwny pomysł, że celem jej cechu jest edukacja.

Wymyśliła więc, że jej klasie przydałoby się posłuchać kogoś, kto mieszkał w innej części Anglii. Było wcześniej i klasa aż parowała. Ręce strzelały w górę. Czy byłem na wieży Hallam? Czy da się tam dotknąć płomienia? Czy wielkie domy cechowe faktycznie unoszą się nad ziemią? Z czego są naprawdę zrobione chodniki w Londynie? Beth spoglądała na to wszystko poważnym, choć pobłażliwym wzrokiem – atmosfera w szkole była całkiem inna, niż pamiętałem, mimo że pachniało tu tak samo. Usiłowałem opowiedzieć o Easterlies, Westerlies, promach i torach tramwajowych, nawet o Krańcu Świata, ale widać było, że nie chcą słuchać o prawdziwym mieście. Prawie jak ja w ich wieku. Londyn wciąż był dla nich marzeniem i wcale nie pragnęli, żeby objaśniał im go zwyczajnie wyglądający człowiek urodzony na Coney Mound. Zacząłem więc opowiadać o Żłotobiałej, jednoroźcach, złotych rybkach i smokach – czerwonych, zielonych, fruujących wokół bajkowych Wzgórz Latawcowych. I o tańcach, tak, pięknych, cudownych tańcach w salach balowych unoszących się nad wodą i lśniących jak perłowe muszle. Beth zerkała na mnie zza pulpitu, na w pół z rozbawieniem, na w pół z dezaprobatą. Za nią widziałem starą, odrapaną skrzynkę ze sprężynowym skoblem, której używała do demonstrowania siły eteru.

- Chyba im się podobało – powiedziałem, kiedy po wszystkim wyszliśmy na zewnątrz.
- Przez następne dwa pracokresy będę musiała im opowiadać, jaki jest Londyn naprawdę!
- Ale oni potrzebują trochę pomarzyć, prawda? Beth, jesteś dobrą nauczycielką, rozumiesz to...

Kiwnęła głową. Tego ranka nad centrum miasta zapadła mgła. Niebieskawa, wypełniona chłodnym poblaskiem i prawie niewyczuwalna węchem, znacznie się różniła od londyńskich mgieł.

- Co się stało z Hinktonem?
- Zmarł.
- A trollowy dalej przychodzi?
- Tak, ale już nie mistrz Tatlow.
- On też odszedł, prawda?
- Tak się dzieje. Jeśli zabawisz w jednym miejscu na tyle długo, by to zauważyć.

Jej przytyki i dygresje traciły już ostrość. Słyszałem plotki, że Betti ma przyjaciela w Harmanthorpe. Też nauczyciela. Jeździł razem z nią i ojcem do Skegness. Według wszystkich pogłosek nocowali w jednym pokoju hotelowym. Cieszyłem się, że ma kogoś, choć trochę było mi przykro, że nie zechciała się podzielić ze mną tą informacją.

- Słyszałaś o tym dniu, kiedy maszyny stanęły?
- Tak, lecz byłam za mała, żeby pamiętać. A co w tym jest takiego?
- Ale wiesz, że wtedy matka dorobiła się blizny na dłoni? Wiesz, że od tego umarła?

Beth zwolniła kroku.

– Wypadki chodzą po ludziach. Ojciec jednego z moich uczniów w zeszły pracokres złamał nogę. Zapewne nigdy już nie będzie chodził. Po co odgrzebywać jakieś inne nieszczęśliwe wypadki z przeszłości?

Ogrodzenie wokół odstojników nasycalo mgłę tęczowym blaskiem, ale na ich lśniącej powierzchni unosił się osad glonów, a pod betonowym murem z tyłu nie pieniły się już kukułcze pokrzywy.

- Beth – powiedziałem – pytam tylko dlatego, że chcę wiedzieć. Prychnęła.
- Moje dzieciaki lepszy powód by wymyśliły! I bardzo cię proszę, nie wpytaj o te sprawy ojca za każdym razem, jak go widzisz. Nie doszedł do siebie po śmierci matki. Ale przynajmniej jest w jakiej takiej... równowadze.
- Gdy tu wróciłem, zdałem sobie sprawę, że to, przed czym uciekałem, wcale nie było takie

złe. – Powiedziałem to szczerze, ale Beth rzuciła mi spojrzenie mówiące „czegoś ode mnie chcesz”. Brnąłem dalej. – Matka miała przyjaciółkę, ona miała męża... ojciec na pewno ich znał, choć cały czas zaprzecza. Nazywali się Durry. On był starszym mistrzem na Pokładzie Środkowym. Sterował wszystkimi maszynami i tego dnia, kiedy stanęły, został ranny i zmarł, razem z siedmioma innymi osobami. Jego żona... no cóż, ona w końcu również zmarła. A matka została ranna. Beth, na pewno coś o tym wiesz.

– I co mam powiedzieć.

– Najlepiej prawdę.

- Prawda jest taka: myślę, że zanim przyjdą śniegi, powinieneś wyjechać z Bracebridge. – Jej wzrok przemknął po Rainharrow, które na moment ukazało się, zaślniło ponad dachami fabryki Mawdingly & Clawtson. – A ta kobieta, Anna... nie jest z Londynu, prawda? I z Flinton też nie. Jest dość miła i właściwie nic do niej nie mam, ale ma w sobie coś dziwnego. I na pewno nie jest twoją żoną. Więc proszę, Robercie Borrows, nie proś mnie o mówienie prawdy. – Już miała powiedzieć coś jeszcze, ale zabrzmiało stłumione bicie ratuszowego zegara. – Mam lekcję. Muszę iść...

Patrzyłem, jak oddala się we mgle, idąc zgodnie z rytmem eterowych maszyn.

*

W owe grudniowe dni zmrok zapadał wcześniej i powoli. Wzgórza ciemniały jak dym, szary na fioletowym na szarym. Cechowe oznaki kołysały się i skrzypiały. Latarnie walczyły z wiatrem. Anna i ja byliśmy na spacerze, jak to mieliśmy w zwyczaju, ale tym razem, w długi, bezpieczny, anonimowy zmierzch, o porze, w której kiedyś z panią Summerton odwiedziła to miasto, tym razem postanowiliśmy wejść na szczyt Rainharrow.

– Dzień dobry, pani Borrows!

Anna uniosła dłoń i uśmiechnęła się w półmroku do sąsiadki, która zbierała pranie, nim zamarznie. Kobieta miała trzy córki, nie miała męża i pracowała, marnując wzrok przy obszywaniu koronką halek dla bogatych dam. Dziś, wracając do domu, poczułem na Tuttsbury Rise zapach świeżego, przepysznego chleba – takiego, który kruszy się pod nożem i zjada się go, zanim na dobre przestygnie. Wypieki Anny zaczynały zdobywać sławę w okolicy. Dziś rano powiedziano mi przez płot, że jak nikt inny po tej stronie Coney Mound umie sprawić, by drożdże wyrosły. Spotkałem nawet kogoś, kto się zaklinał, że znał Annę we Flinton. Życie pani Borrows rozkwitało, wymykając się spod kontroli. Zaczynałem rozumieć, jak musiało jej być w Londynie i u Świętego Judy. Nawet dla mnie teraz z każdym powiewem wiatru to była, to nie była panią Borrows.

Szła przede mną równo z tętnem nocy, swoim wolnym, tanecznym krokiem, lekko przygarbiona, w długiej, plisowanej tweedowej spódnicy, którą dostała – *O Boże, przecież nie możesz tego nosić!* – by zastąpić jej przywiezione z Londynu, delikatne stroje. Anna, pani Borrows, nuciła przy ubieraniu się; kiedy gwizdał czajnik, zawsze wydawała się zaskoczona, na miednicy w umywalni co rano zostawiała obwódkę z proszku do zębów. Lubiła twarde, woskowaty ser i nawet na wystygłą herbatę dmuchała przed każdym łykiem. Łatwo się przyzwyczailem do widoku jej upranej bielizny kapiącej z suszarki w kuchni, bo takich rzeczy nie wywiesza się na podwórko, a ona zapewne przywykła do moich slipów i skarpet. Prywatne, krępujące czynności wykonywaliśmy po cichu w miejscu, w czasie, który milcząco ustępowaliśmy sobie nawzajem, dom był jednak na tyle mały, że często wpadaliśmy na siebie, zderzaliśmy się łokciami, nawet od czasu do czasu mieliśmy siebie dość. Jej włosy miały pszeniczny zapach, który zanikał, kiedy je umyła. Tamtego popołudnia, kiedy siedziałem w domu cechowym Niższych i próbowałem ćwiczyć zakłęcie, które sprawiało, że zużyty tryb nadal łapie, znalazłem jej włos na swym ramieniu. Uniosłem go pod słońce i patrzyłem, jak drży mi w palcach do taktu maszyn.

Myślałem, czyby nie spędzić w Bracebridge całej śnieżnej zimy, czy nie zatrudnić się w fabryce Mawdingly & Clawtson jak mój ojciec. Będę studiował podręczniki. Nauczę się intonować zaklęcia, a na ramionach wykwitną mi znaki głowni jak bluszcz. W każdy dziesiątek przyniosę do domu wypłatę, by podreperować nasze niksące zasoby. I powoli, powoli, pracokres za pracokresem, miesiąc za miesiącem, całą zimę będę dowiadywał się prawdy o tym, co się tutaj stało. Za placami, za długim szeregiem eterowych wagonów, które – teraz byłem już niemal pewien – przeważnie są puste, ziemia stawała się szorstka i pięła się w górę. Cieniutki księżyc obrysowywał wątlą ścieżynkę, którą w zimie mało kto chodził. Anna ruszyła pierwsza, wydychając kłęby pary. Pani Borrowes, Anna Winters, Annalise, Anna, która mogła być wszystkim, mieszkać wszędzie, która umiała piec chleb, jaki w niebie jedzą aniołowie, i powstrzymać walącą się wieżę kościoła... Proces szalonego architekta zatonął na łamach „West Yorkshire Post”. George został uwięziony na warunkach swego cechu, co oznaczało apartament w jakimś ładnym domu cechowym gdzieś na wsi, gdzie będzie dalej projektował idealny dom dla idealnego człowieka pracującego.

Przed nami, pośród cierni Rainharrow, które kiedyś moja matka przemierzała, szukając kwiatów, mroźne powietrze lśniło. Zamróz na liściach, piękny w swej zawilgości, ozdabiał zwiędłe paprocie. Zamarznięte-nie-zamarznięte głązy połyskiwały w blasku księżyca. Cały szczyt wzgórza skrzył się jak latarnia morska, nie od śniegu, lecz od maszynowego lodu. Anna spoglądała na południe, przez szare zbocza Brownheath. Scarside, Fareden i Hallowfell. Gdzieś tam, skryta w ciemności, leżała dolinka Redhouse. A teraz i tutaj eter się wyczerpywał. Wiedziałem – ów chalcedon brał udział w eksperymencie z produkcją eteru nadzorowanym przez wielkiego mistrza Harrata. A za tym kryła się potężna persona z wysokiego cechu. Właśnie do niej, do potęgi owego ciemnego, wszechwładnego cechmistrza dobrał się Stropcock, najpierw poprzez Harrata, a potem, w Londynie, już samodzielnie...

Stanęliśmy z Anną pomiędzy białymi szczękami głązów.

– To tak wiele tłumaczy... – powiedziałem, gdy wdychaliśmy ciemność. – Nie tylko to, co tu i teraz, ale nawet ten eksperyment z kamieniem. Już wtedy eter się kończył. Rozpaczliwie próbowali go pozyskać... Ale żeby dowiedzieć się całej prawdy, muszę się dostać do fabryk Mawdingly & Clawtson. Wszystko inne to tylko...

Lecz ona wydawała się roztargniona. Błysnęła mi w świetle księżyca niewyraźnym uśmiechem.

– Dziś rano rozmawiałam z panią Wartington. Powiedziała mi, że Próby chyba będą wcześniej w tym roku. W śródmieściu widziano trollowego. Rozpytywał o jakąś kobietę z południa, choć ona pochodzi ze znacznie wyższego cechu niż ja teraz i z pewnością nie jest mężatką.

– To jeszcze nie oznacza...

Jednak dla niej, w tamtej chwili, to wystarczało. Wiedziała, że wszystko, co się stało w Londynie, zaczyna się dziać także tutaj, tylko szybciej. Szturchańce, pytania. Ludzie mieli wątpliwości co do mnie, ale i o Annie się gadało, choć znajomi przyznawali, że jest wspaniała. Nie było sensu udawać. A ja stałem w tym dziwnym miejscu i mądrzyłem się o zmianie świata, tak samo jak George.

– Więc co robimy? – zapytałem.

– Mamy jeszcze dzień czy dwa. – Dudnienie maszyn było tu stłumione, bardziej basowe. Szum, bum... Olbrzymie, lśniące, ciemne Rainharrow zdawało się oddychać, tak samo jak całe Bracebridge. – Jutro w tej fabryce jest bal. Robbie, chyba powinniśmy się wybrać. Bal będzie nawet na Pokładzie Wschodnim...

Bal Karczmarzy zwykle organizowano w owej mroźnej luce przed Bożym Narodzeniem i często był przekładany z uwagi na obfite śniegi, przez co rok taki jak obecny, kiedy się odbywał, tym bardziej wszystkich cieszył. Dawno temu ojciec często chodził na ten bal. Beth także. I matka. Pewnego wieczoru schodziła do mnie do kuchni, zadowolona z siebie, z długimi czarnymi włosami splecionymi w warkocz, ubrana w błękitną sukienkę, której przy żadnej innej okazji nie widziałem.

Trzeba było nosić cechową szarfę, co stanowiło dla mnie pewien problem, aczkolwiek niewielki, bo Anna zaraz pogadała z wdową mieszkającą w domku na tyłach naszego. Parę ściągów, trochę pożyczonego jedwabiu, by przykryć dziury po molach, i moje ubranie wyglądało lepiej niż nowe. A karmazynowa suknia, którą przywiozła ze sobą Anna, obszerna, z zabudowanymi ramionami i głębokim dekoltem, a tym samym najzupełniej niestosowna, przeobraziła się, za pomocą pożyczonego paska i złożonej w ofierze bluzki, w bardziej obcisły, skromniejszy strój, który napawałby dumą każdą cechmistrzynię z Bracebridge, a także kroczącego tuż przed nią cechmistrza.

Na Pokład Wschodni wchodziło się dziś przez główną bramę fabryki, pomiędzy bliźniaczymi posągami Opatrzności i Miłosierdzia. Inne pokłady były zamknięte albo pracowały na minimalnych obrotach, choć Pokład Maszynowy jak zwykle napędzał maszyny eterowe w głębi ziemi, na Pokładzie Środkowym. Tym nielicznym, którzy nie znali terenu, pospiesznie wymalowane znaki wskazywały drogę pod łukami rurociągów. Z Pokładu Wschodniego usunięto wszystko, co dało się ruszyć. A to, co się nie dało, ozdobiono wstążkami i wypisanymi kredą enigmatycznymi napisami. Kapela już się stroiła – skrzypki, akordeon i bębny – a ludzie tańczyli.

Poczułem, że Anna zawahała się, gdy uderzyło w nią światło i dźwięk. Tłum ludzi – dziki, niekontrolowany – to było coś, czego unikała. Czułem, jak jej ramię unosi się i opada w rytm oddechu.

– Nie umiem tak tańczyć!

Ludzie podskakiwali, szepieni ramionami, wirowali wokół maszyn. Cała ogromna hala Pokładu Wschodniego dudniła i podrygiwała. Splotłem z nią ręce i delikatnie poprowadziłem naprzód. Znałem wszystkie te melodie wylewające się z pubów, nucone przez rozwieszające pranie cechmistrzynię.

– Anno, ty wszystko umiesz – mruknąłem jej do ucha, wdychając zapach zboża.

Jednak potrzebowała mojej pomocy – choć raz. Długie kroki, łuki z ramion, promenady, ręce, które trzeba trzymać, ręce, które należy puścić; wszystko to rządziło się logiką, która zdawała się oczywista, jeśli dałeś się ponieść muzyce. Tańce były podobne jak na Easterlies. Dodatkowy obrót, tu brak frazy, tam powtórzenie innej. Te melodie przenikały całą Anglię, a dziś – szum, bum... – maszyny eterowe szły w tym samym rytmie.

Tutaj, inaczej niż w sali balowej nad Tamizą, tańczący wciąż zmieniali partnerów. Anna, najpierw poruszająca się ostrożnie według moich wskazówek, krzyknęła, gdy nagle wciągnął ją tłum. Ale kiedy zobaczyłem ją drugi raz, już wirowała, spleciona łokciami, unosząc spódnicę, z twarzą rozjaśnioną uśmiechem. Tutaj dziewczyna, która siedziała przede mną w Szkole Miejskiej, tam Beth, potem nawet ojciec. Zderzanie się ze sobą i gubienie w tłumie to też zabawa. Czy zdążyłem to wyjaśnić Annie? Ale kiedy zderzyliśmy się następnym razem, kiedy pchnęła mnie biustem, poczułem drżenie śmiechu. Potem zniknęła i pojawiła się znów przy mnie.

Była to ciężka praca, wzmagająca pragnienie. Powędrowałem ku beczkom z piwem, ustawionym na kozłach niedaleko dawnej tokarki mego ojca. Cechowy tańczył ze swym chowańcem.

Inni pokrzykiwali, tupali chodakami i butami. Anna wciąż tańczyła z rozwianym włosom. Zamachał do mnie zażywny portier. W garści trzymał najświeższy z kilku dopiero co opróżnionych kufli.

– Przyszło coś o tobie z Londynu! – zawołał. – Diabli wiedzą czemu, ja nie zebrałem się jeszcze, żeby wysłać do nich telegram. Ale oni i tak zatelegrafowali.

Upiłem długi łyk piwa.

– I co napisali? Wzruszył ramionami.

– W zasadzie to chcieli wiedzieć, czy jesteś w Bracebridge. Napisali: Robbie Borrow. Zgubili gdzieś „s” i nawet nie nazwali cię mistrzem. Tak działa nasza centrala.

– Odpowiedziałeś?

– Pomyślałem, że najpierw z tobą pogadam.

– Mógłbyś przetrzymać ich jeszcze parę dni, co?

Poklepał się po nosie i poczłapał z powrotem. Mając wybór, nadal wolał moje słowo niż jakiegoś nadętego bubka z południa – niemniej Anna miała rację: nasze dni w Bracebridge są policzone. Nawet dzisiaj, gdy stałem otoczony wirem pamiętanych z dzieciństwa twarzy, czułem, jak wszystkie wycofują się we wspomnienia. Jednak tam była pani Borrow, promieniejąca w świetle latarń a ludzie wokół przytupywali i pokrzykiwali. Kłaniając się filuternie, gestem kazała akordeoniście, by zdjął instrument z ramion. Muzycy milkli jeden za drugim, tancerze przestawiali tańczyć. Po raz pierwszy od wielu godzin na Pokładzie Wschodnim słyhać było tylko podziemne dudnienie. Anna przypatrzyła się klawiszom. Ścisnęła instrument, który pisnął dysonansem. Przez tłum przebiegł szmer zdumienia. Co ona robi? Wtem jej palce zatańczyły, grając kilka nut. Dźwięki zawirowały w spiralę, ich echo powtórzyły kolejne. Najlepszy ze skrzypków zawtórował przeciągłym glissandem. Szum, bum... Ten rytm nigdy się nie zmieniał, lecz Annie udało się go jakimś cudem spowolnić, potem przyspieszyć. Flecista zaczął łapać melodię, którą grała. Ludzie już klaskali, zaraz ruszyli do tańca. Anna grała dalej, muzyka była jednocześnie smutna i wesola, szalona i tęskna. I nagle, lekko tylko opóźniając rytm, wetknęła akordeon z powrotem na ramiona właściciela, który, uśmiechnięty od ucha do ucha, podjął melodię. Od teraz na zawsze będzie to Bal Karczmarzy, na którym odkryto nową piosenkę. Wieść rozniesie się po całym Brownheath, a opowieść będzie rosła w coraz to nowe szczegóły.

Pani Borrow! Gdzie jest pani Borrow?!

Ludzie rozglądali się, wołali Annę. Pragnęli ją oglądać tak samo jak balowicze z wysokich cechów w noc świętojańską nad rzeką. Lecz Anna chwyciła mnie za rękę i odciągała z Pokładu Wschodniego w stronę wystygłych, czarnych maszyn. Zostało nam niewiele czasu, więc była to jedyna, najlepsza okazja, by dowiedzieć się prawdy o firmie Mawdingly & Clawtson. Ale gdzie, jak? Przez ciemne korytarze, mijając puste szafki. Przez dziedzińce i w górę schodami. Po zachodniej stronie Pokład Maszynowy świecił i parował. Praca wrzała, bal czy nie bal – przecież nie uda się nam tam wejść i zjechać windą na Pokład Środkowy. Cechy strzegły swych sekretów nawet przed sobą nawzajem, a już zwłaszcza tutaj. Ale to musi tu gdzieś być... Wtem weszliśmy do korytarza. Tandetnie wykończonego, niskiego, ciemnego, lecz dziwnie znajomego. *Bezczelny mały szczeniak z ciebie.* Zamajaczyła mi przed oczyma widmowa twarz Stropcocka ponad pękiem pisaków i brązowym kombinezonem. Sprawdziłem pierwsze drzwi. Magazynek z materiałami piśmiennymi. Ale za następnymi był kantorek, do którego mnie wtedy zaciągnął. W wąskich pasmach księżycowego blasku widziałem, że niewiele się zmienił, wypchane szafki na akta wciąż chyliły się nad fotelem obitym spękaną skórą. A za nim, wciąż przykryta z wyglądu tą samą zaolejoną szmatą, stała głownia, której Stropcock kazał mi dotknąć.

To są, synek, moje oczy i uszy.

Przyjrzałem się jej, potem zerknąłem na Annę, która już wyciągała dłoń. Dotykając głowni, chwyciła mnie za rękę i pokój zniknął.

Ciemne szopy, puste korytarze. Zamarznięte place. Tancerze na Pokładzie Wschodnim, potem wielki, obracający się wał na Pokładzie Maszynowym, schodzący pod ziemię. Widziałem to wszystko już wcześniej – to było moje życie – ale Pokład Środkowy, tam głęboko, wyglądał inaczej. Trzy tłoki wciąż posuwały się tam i z powrotem, lecz otaczające je ściany, strop, nawet niektóre urządzenia – lśniły. Była to grotka zbudowana z maszynowego lodu. Wielki żelazny czop, zwany okowami, przypominał błyszczącą broszę, a jarzmo było odłączone od tłoków. Nie dziwne, że maszyny dudniły teraz inaczej – nic nie stawiało im oporu. Przepłynęliśmy przez pozbawioną eteru skałę. Pod nami znalazła się cała fabryka, potem ciemne miasto; pomnik bezowocnego wysiłku. Ilu ludzi wiedziało, ilu domyślało się, ilu to obchodziło? Teraz patrzyliśmy na rozciągnięte płasko tory kolejowe. Nawet dzisiaj długie wagony pociągu z eterem były przygotowywane do walki ze śniegiem. Do Londynu pojedzie zmierzwiona od wiatru słoma, puste skrzynki i kłamstwo, że w Bracebridge wciąż wydobywa się eter. A tam.. przypominałem sobie słupki liczb na liczykamikach Stropcocka. I statki w dokach Tidesmeet, wrak „Błogosławionej Dziewicy”, pusty, opróżniony przez sztorm, wożący widmowy towar...

Cofnęliśmy się. Opuszki palców Anny wciąż świeciły.

– Cooo...?

Uciszyła mnie wirem światełek, skrzypnięciem biurka, kiedy się o nie oparła.

– Idziemy. Jestem zmęczona...

*

Następnego ranka padał śnieg, szliśmy przez miasto na stację – postanowiliśmy, że dziś jest nasz ostatni dzień w Bracebridge. Był to czwartek i praca w mieście toczyła się zwykłym rytmem nawet przy tej psiej pogodzie, choć Bracebridge przypominało mi teraz porysowaną, wyblakłą płytę fotograficzną ze zdjęciem samego siebie; cienkie jak szkło i równie kruche. Minęliśmy drzwi domu cechowego, w których kiedyś ukazał się wielki mistrz Harrat, potem Anna chwilę poczekała, aż podkradnę trochę węgla, by pokarmić ziemniostwory w zagrodzie.

– Tatton Hak to nie żadna stacja! – wrzeszczał do nas kolejmistrz przez szczelinę w łukowatej szybie, przekrzykując łomoczące drzwi poczekalni. – Tam od wielu lat nie ma nic poza nieczynnym kamieniołomem i opuszczonym Redhouse.

Przeszliśmy przez żelazną kładkę i siedliśmy na ławce. Tory, pobliskie bocznice ukazywały się i znikwały wśród zamieci, Anna trzęsła się z zimna i gapiła w pustkę, otulona szalem. Mną targwały sprzeczne uczucia. Radość, bo potwierdziły się moje podejrzenia co do Bowdly-Smartów. Niecierpliwość, chciałem bowiem już wracać do Londynu. Troska, bo Anna wyglądała na wyczerpaną. I wreszcie odrobina strachu. Przyjechał pociąg. Również był biały, cały z pary i oszronionego żelaza. Wsiadliśmy do zimnego wagonu, a konduktor kręcił głową nad bezsensownością naszej stacji docelowej, zdumiony jeszcze bardziej niż kolejmistrz. Podróż trwała krócej, niż pamiętałem z dzieciństwa – stanęliśmy na resztkach peronu stacji Tatton Hak, pod zniszczoną tablicą, a sapiąca lokomotywa zniknęła w zadymce.

Milcząca ziemia. Niewidzialne góry. Szarpany wiatrem ostrokrzew, czepiające się kolce jeżyn, zbrązowiła trawa nad zamarzniętą rzeczką. Szliśmy pod osłoną lasu, wzdłuż starego muru, aż do zrujnowanej stróżówki przy bramie. Dom się skurczył. Dachy się pozapadały. Nawet lód maszynowy skruszył się i osypał, tworząc lśniące zwały pyłu, którym wiatr sypał nam w twarz. Deszcz dostawał się do środka, korytarze, którymi szła Anna, popychana takimi samymi wspomnieniami, jak ja w Bracebridge, wypełniał gorzki, leśny zapach zgnilizny i pleśni. Miejsce,

gdzie spała, bawiła się, żyła zmieniło się w rumowisko belek i gruzu. Piękny fortepian stał się szkieletem z wyszczerzonymi klawiszami. Wielka szklana kopuła biblioteki zawaliła się, a regały rozsypały zawartość w gąszcz kartek, które wiatr rozmiatał wokół nas jak dym.

W skrzydle, gdzie mieścił się gabinet pani Summerton, był pożar, ale dziecięca skakanka jakimś cudem wisiała na tym samym kołku, co w ów ciepły dzień pod koniec lata. Anna opowiedziała, jak kiedyś, podczas którejś ukradkowej wizyty w miejskim świecie, zobaczyła roztańczoną dziewczynkę skaczącą przez coś rozmazanego, co potem zmieniło się w zwykły kawałek sznurka. Męczyła panią Summerton, żeby jej to kupiła, ale w Redhouse, sama, tylko w towarzystwie starzejącego się odmienia, nigdy nie zdołała rozgryźć tej sztuczki.

Fontanna, obok której wtedy siedzieliśmy, wciąż tryskała w górę białymi, szaleńczymi pióropuszcami. Wspomniałem inną Annę, odchylającą się do tyłu wśród słonecznych rozbłysków, ze zsuwającym się ramiączkiem sukienki. I słowa! Eleganckie, starożytne słowa, których nauczyła się z owych zawilgłych książek w zniszczonej bibliotece; zaklęcia ludzkiej miłości, których obojgu nam nie udało się odtworzyć w dorosłym życiu. Anna obejrzała się na mnie i poprawiła szal pod szyją. Gramoląc się w dół, w dolinę, trzymaliśmy się nieco dalej od siebie.

Dolina była bardziej osłonięta; chatki łatwiej chyliły się ku ziemi niż wielki dom, strząsając z siebie ciężar maszynowego lodu, porastając mchem i chwastami. Lecz rzeka była w dwójnasób zamrożona; syczała i trzaskała jak powykęcany artretyzmem wąż, a wśród nagrobków wciąż lśniła przewrócona iglica kościoła. Tu, jak się domyślałem, leżała matka Anny.

KATE DURRY, 51 – 76.

Niedbale wyryte litery. Gdy kucnęliśmy, by się im przyjrzeć, nie skomentowałem, że to na tej opuszczonej ziemi jedyny kamień, którego nie pokryły uschłe gałązki i liście paproci.

*

Wieczorem w kuchenne drzwi zapukała pani Nutall. Razem z nią do środka wpadł powiew mrozu i dymu.

– Wreszcie jesteście! – Otarła z twarzy płatki śniegu. – Cały dzień zaglądałam przez okna. – Jej wzrok powędrował do saloniku, zasypanego wycinkami, cechowymi książkami i gazetami, ku zasłanej kocem kanapie, na której spałem. – Pomyślałam, żeście...

– Ulotnili się? – podpowiedziała Anna. Czyszn płaciliśmy z dołu; termin był jutro. – Nie, tylko wychodziliśmy.

– Wychodziliście? W taką pogodę?

– Ale jutro naprawdę wyjeżdżamy. Dziękujemy, bardzo nam pani pomogła, prawda, mistrzu Borrows?

– Hm? Tak. – I teraz przez chwilę nie rozumiałem, że mowa o mnie. Pani Nutall, niemal równie szybko jak wpadła, zabrała swą dezaprobata i naszą książeczkę czynszową i zniknęła.

– Powinieneś odwiedzić ojca i Beth – stwierdziła Anna, kiedy rozpaliliśmy ogień i wyjedliśmy resztki ze spiżarni.

– A ty?

Rzuciła mi nieodgadniony uśmiech.

Gdy szedłem nieopodal na Brickyard Row, śnieg zawiewał z wyciem. Może jutro rano tory już będą zasypane, ale – jako miejscowy, miałem nosa na pogodę – wątpiłem w to. Anna i ja dostaniemy się z powrotem do Londynu, a stamtąd... Miałem już niemal pewność, że Stropcock wzbogacił się na „przetwarzaniu” (może bardziej ścisły termin to „pranie”) iluzorycznego bogactwa,

które płynęło z Bracebridge. Już kiedy wielki mistrz Harrat oprowadzał mnie po Pokładzie Środkowym, ze stropu zwisały stalaktyty lodu maszynowego, a przecież nie ja pierwszy je zauważyłem. Wiedziano to już przynajmniej dziesięć lat wcześniej, kiedy po owym zakończonym fiaskiem eksperymencie zmarli rodzice Anny. A potem także moja matka. Stropcock zapewne dowiedział się o tym tą samą drogą, co my, przez swoją głownię, albo robiąc to, w czym był najlepszy – węsząc dookoła. W każdym razie wykorzystał tę wiedzę, by zaszantażować Harrata i w ten sposób załatwił sobie na Boże Narodzenie miejsce przy jego stole dla wyższych sfer. Później, gdy Harrat zmarł, ta sama wiedza stała się dla Stropcocka trampoliną do o wiele większego bogactwa i chwały w Londynie. Lecz tu moja wizja zamazywała się i bladła. Stropcock, by udał mu się ten nadzwyczajny awans na wielkiego mistrza Bowdly-Smarta, musiał nawiązać kontakt z kimś o wiele potężniejszym niż wielki mistrz Harrat. Musiał mieć poparcie samych cechów – ale idąc przez tarasy Brickyard Row, gdzie brzozy trzepotały i wyły na wietrze, czułem, że ta odpowiedź jeszcze mi nie wystarcza. Trzeba było ustalić owego mrocznego cechmistrza, o którym wspominał Harrat, człowieka, którego pustej twarzy szukałem w Bracebridge na wszystkich fotografiach, którego nieznanego nazwiska wypatrywałem na niekończących się listach, który czasem wydawał się bliższy niż mój własny oddech, a jednak pozostawał bardziej odległy niż księżyc.

Wiatr zawył gwałtowniej; zgrzytnął metal o metal. Odwróciłem się w furtce mego dawnego domu, ale otaczała mnie tylko noc w Bracebridge, to nieustanne, puste dudnienie. Stukałem energicznie w drzwi, aż w szczelinie ukazała się twarz ojca.

– Ach, to tylko ty...

Beth gdzieś wyszła, pewnie ze swym przyjacielem nauczycielem – domyśliłem się po tym, że ojciec nic nie powiedział. Siedział na swym krześle w kuchennym cieple i zaduchu, a wiatr szarpał ogniem w palenisku. Kiedy powiedziałem, że jutro z Anną wyjeżdżamy, skinął głową bez zdziwienia. *Z powrotem do Londynu, nie? I te gazety, te marsze uliczne...*

W irytacji zaciągnął się papierosem. Bez wątpienia przez lata całe zabawiał swych kumpli pod „Bacton Arms” opowieściami, jak to jego syn świetnie sobie radzi, jak to pewnego dnia wróci w pełnym cechowym splendorze. Rozczarowałem go i choć obstawałbym przy zdaniu, że nasze normy różnią się diametralnie, jednak było mi przykro. Wstałem z zydła i powiedziałem ojcu, żeby uściskał Beth ode mnie. Na stoliku stało ciasto, które dla mnie upiekła. Położyłem dłoń na ramieniu starego człowieka. Zanim zdążył wstać i zaprotestować, ucałowałem go w szczeciasty policzek.

Kiedy wróciłem z ciastem na Tuttsbury Rise, wiatr wciąż wył. Anna wszystkie grube, praktyczne ubrania, które tu dostała albo kupiła, próbowała wcisnąć do walizki, by zabrać je do Londynu, najwyraźniej się poddała.

– Nie mamy już wiele do zrobienia, prawda? – Westchnęła. Usiadła na łóżku obok otwartej walizy. Już miałem siadać koło niej, gdy z dołu, od frontowych drzwi, dobiegło pukanie. Pomyślałem, że przyszła Beth albo pani Nutall, która chce już dziś zabrać klucze. Kiedy otworzyłem drzwi, przez chwilę widziałem tylko ciemność i śnieg. A potem ujrzałem ciemną, przysadzistą sylwetkę i serce mi podskoczyło.

– Robbie, kto to?

Anna zeszła po schodach z latarnią. Jej wątłe światło, wśród cieni i iskierek, ujawniło, kto to taki.

– Dowiedziałem się, że jesteście tutaj – zaskrzeczał. Oboje cofnęliśmy się zdziwieni.

Pachniał jak Redhouse – zgnilizną i pleśnią, trochę sadzą i ludzkim brudem, a jego skóra, pokryta pęcherzami, poszarzała, poczerwieniała i przekrwiona, wyglądała znacznie gorzej niż lata temu, kiedy ostatni raz go widziałem. Dowłókł się do naszego zasłanego papierzyskami saloniku

i opadł na krzesło – parująca od mrozu sterta szmat. Kiedy odwinął chusty i pełne skrzepów bandaże zasłaniające mu głowę i twarz, aż trudno było nań patrzeć. Jedno oko miał wypalone i martwe. Drugie żarzyło się jak czerwona gwiazda, którą widziałem wiszącą nad Bracebridge podczas ostatnich dni mojej matki.

– Wiecie, kim jestem? – Jego oddech rzeził i bulgotał.

– Widywałem cię, kiedy byłem młody. Moja matka kiedyś... – Urwałem, bo Kartoflarz uniósł swą dłoń w łachmanach i poparzonym palcem wskazał Annę.

– Byłem twoim ojcem – powiedział.

*

Kartoflarz chwycił emaliowany kubek z herbatą, który mu podałem, i hałaśliwie zaciągnął się parą. Kiedy trochę przestygła, zaczął ją chleptać jak pies mleko z miski. Prawie nie miał warg.

– Ty jesteś Edward Durry?

– Nie. Durry nie żyje.

– Ale skoro byłeś tam – powiedziałem – tej nocy, kiedy stanęły maszyny...

– Przeszłość też nie żyje – warknął. – Dziewczyno... – Odstawił kubek i machnął ręką. – Chodź no bliżej. Nie ugryzę. Widzisz przecież, że nie mam zębów...

Anna uniosła się z brzeżku krzesła. Nie wzdrygnęła się, gdy dotknął palcami jej policzka, odwrócił jej twarz w stronę ognia, a później z powrotem.

– Masz w sobie sporo z Kate... – Westchnął bulgotliwie. – Jesteś z tych przeklętych ludzi-skrzatów... – Chwycił ją za nadgarstek i przekręcił tak szybko, że Anna aż się skrzywiła. Zerknął na strup jej znamienia, potem chwycił za pukiel włosów i przyciągnął twarz do swojej, jedynym czerwonym ślepiem patrząc w jej zielone oczy. – Ale muszę ci przyznać, dobrze się z tym kryjesz. – Wykrzywił usta. – Wydaje się, że tak właśnie trzeba było zrobić, zostawić cię w tym wariackim białym domu z tą starą wiedźmą. Cóż za życie byś miała między tymi ludźmi? – Wreszcie puścił jej włosy. Czerwonym spojrzeniem omiótł mnie i mały, oświetlony kominkiem pokoik.

Anna zamrugała i zakołysała się na kolanach.

– Gorzko to brzmi.

Chwycił filiżankę i wyciągnął ją do mnie.

– Gorzka to jest ta herbata. Mówicie, że to jest słodkie? – Wsypałem mu więcej cukru. – W takim domu musicie chyba mieć jakieś jedzenie?

Nic nam już w kuchni nie zostało poza smalcem i czerstwym chlebem. Rzucając nam podejrzliwe, ukradkowe spojrzenia spod przygarbionych ramion, Kartoflarz chciwie ssał kromkę. Coraz bardziej cuchnął. Anna siedziała obok niego, w milczeniu, z rękoma na kolanach. Zrozumieliśmy, że Kartoflarz przyszedł tutaj nie z wielkiego pragnienia zobaczenia dziewczyny, która, jak twierdził, była jego córką, lecz po prostu z nadzieją, że nakarmimy go i ogrzejemy.

– Jaka była moja matka? – zapytała w końcu Anna.

Kartoflarz uniósł strzępy łachmanów, by wylizać z nich wilgotne okruchy.

– Podobna do ciebie.

– Ale... musisz przecież pamiętać...

Wciąż wydziobywał z ubrania resztki chleba.

– Właśnie po to przyjechaliśmy do Bracebridge – powiedziałem. – Żeby dowiedzieć się, co się tu stało. Z naszymi rodzinami. Gdybyś mógł nam pomóc... – kombinowałem gorączkowo i głupio. – Damy ci więcej jedzenia.

Uniósł wzrok. Mogliśmy mu zaproponować skarby, względy i uczucia. Lecz Kartoflarza zbyt długo smagały mroźne wichry Brownheath. Wiatr wył w noc, ziemia dudniła, ciężkie ciasto

owocowe upieczone przez Beth kawałek za kawałkiem znikало w jego paszczy, a on opowiadał nam o człowieku, którym był niegdyś.

Etermistrze z Pokładu Środkowego, mamrotał, to byli dumni ludzie. Jak w starym dowcipie, patrzyli z góry na tych, co pracują ponad nimi. Znakomity angielski eter z Bracebridge, najlepszy na świecie. Jasne, ci południowcy mają wiatraki, Walijcy niechlujne wykopy, a Żabojady i Latysoni za morzem własny eter, przynajmniej tak twierdzą, ale do przewożenia nadaje się on równie kiepsko jak smrody z ich kuchni. Dlatego dla mieszkających tu etermistrzów Bracebridge pod każdym względem było pępkiem świata. Etermistrz Edward Durry – nikomu przez myśl nie przeszłoby nazywać go Ted – radził sobie świetnie, w tak młodym wieku zaszedł tak wysoko. Miał już ładny domek na Park Road i ożenił się z dziewczyną, która wprawdzie nadal pracowała w malarni, ale wszyscy uważali, że jest tam najładniejsza. Marzyło mu się, temu Durry'emu, że zostanie wyższym mistrzem. A może nawet, choćby w myślach, wielkim mistrzem, bo takie rzeczy się zdarzały, choć nie w Bracebridge. Kartoflarz zakasłał, plując kwaśnymi porzeczkowymi kroplami. Edward Durry zawsze myślał o następnym kroku, następnym dniu, następnym uderzeniu maszyn, których doglądał całe życie. Wiecie, nawet kiedy jego żona obwieściła, że jest w ciąży, uznał, że Szkoła Miejska to dla jego chłopaka za niskie progi. Będą prywatni nauczyciele i modne akademie z internatem. Potem Durry'ego przenieśli z nocnych zmian na parę dziennych, a w półdziele po południu był już regularnym brygadzystą. Niektórzy etermistrzowie uważali, że to najgorsza szychta w pracokresie, ale Durry lubił czuć, że poza stale nadzorowaną maszyną na Pokładzie Środkowym wszystkie inne pokłady powyżej są puste. Miał wtedy poczucie celu, czyste, niezakłócone zgiełkiem i rozgardiaszem, myślał pół na pół z niechęcią i litością o pomniejszych cechowych prowadzących na górze swe głupie, pomniejsze życie. No, dumny to on był, a kiedy popracował trochę przy maszynach, kiedy poznał je lepiej niż bicie własnego serca, zauważył jakiś niuans w tym pulsie, jakieś napięcie, niezakłócające samego rytmu, ale wiecie, coś takiego, jakby trochę ścierpły mięsień, niemal przyjemnie stawiający opór.

A pewnego dnia przysłała do niego gruba ryba z gabinetów z dębową boazerią – sam wielki mistrz Thomas Harrat, moi państwo. Durry był rozdarty, jak zawsze w ich obecności, pomiędzy chęcią podlizania się a powiedzenia, że wcale nie są lepsi od niego. Lecz obaj byli w podobnym wieku, ambitni i obaj znali się doskonale na eterze. Harrat nigdy nie był aż tak szczery, by powiedzieć, że w Bracebridge kończą się złoża. To nie w jego stylu. Wspominał coś o trudnościach z wydobyciem, o wymogach produkcji długoterminowej. Kiedyś na koniec zmiany Harrat zaprowadził Durry'ego do żelaznej bramki, którą otworzył jakimś wymyślnym sposobem, i powiódł go w dół przez opuszczone korytarze do pomieszczenia z walącymi się półkami. Tam pokazał mu coś specjalnego, coś dużego, świecącego i ciężkiego. Chalcedon w drewnianej skrzyni wyściełanej gazetami – aż ciężki od magii. Plan był taki: zwiększyć produkcję, uczynić z Bracebridge coś więcej niż tylko małe, skromne miasteczko. Harrat mówił o tym gładko, ale Durry tylko gapił się w ten kamień. Uczniom do głów wbijano przecież jedną nadrzędną regułę: robić wszystko tak, jak się zawsze robiło. Bo eter to magia. Eter jest niebezpieczny. Ale w końcu, myślał sobie Durry, wpatrując się w piękny blask chalcedonu, co te cechy wiedzą? Pomyślmy tylko o Ojcu Założycielu, pracującym mimo wyśmiewających go sąsiadów z Painswick. Albo i sam Chrystus – z niego też się śmiano, prawda? Tego jednak nie powiedział, nie trzeba było. Szybko się dogadali. Urządzi się doświadczenie, eksperyment. Nic nie mówiąc tak zwanym przełożonym.

Roboty mieli sporo. By wprowadzić do procesu produkcyjnego zamknięte w kamieniu zakłęcie, trzeba było włożyć go pomiędzy trzy olbrzymie tłoki i ściskające skałę okowy. Jarzmo – cud techniki, długa na metr kocia kołyska z metalu i maszynowego jedwabiu w najlepszym gatunku,

splecionego jak poczwarka motyla – nie mogło pomieścić chalcedonu. Trzeba było więc wykonać nowe. Tajna procedura była fascynująca, Durry czuł, że wszystkie wielkie cechy pochylają się nad nimi z aprobatą i zachętą. Gdy pewnego dnia z Londynu przyjechał cechmistrz o wiele wyższy od Harrata, uśmiechał się, słuchał, a potem wyciągnął rękę spod ciemnej peleryny i położył na ramieniu Edwarda Durry’ego, wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Zaplanowanie wszystkiego wymagało ogromu pracy. Nawet gdyby umieszczenie kamienia między tłokami chceć wykonać jawnie, nie można by po prostu zatrzymać tłoków jak w pociągu. Nawet przy stopniowym zmniejszaniu ciśnienia eter w jakimś momencie uciekłby z odstożników – a ponowne uzyskanie takiego ciśnienia to kwestia kilku pracokresów. Dlatego kamień należy włożyć w okowy pomiędzy jednym a drugim uderzeniem tłoka.

Do planu, który układali, należało także załatwienie, by tego dnia reszta pracowników zmiany była nieobecna. Robotnicy nie interesowali się poczynaniami Durry’ego, cieszyli się, że spędzą cały dzień na powierzchni ze swymi rodzinami, Durry’emu natomiast podobał się Pokład Środkowy opróżniony z załogi. Maszyna była tylko jego. Rozkoszował się tą myślą, gdy wreszcie Harrat wyłonił się z zapomnianego tunelu wiodącego do owego ukrytego pomieszczenia, wioząc na poskrzypującej taczce świeżo wykonane jarzmo z żarzącym się w środku chalcedonem. To było zgodne z planem, ale Harrat przyprowadził ze sobą jeszcze dwie osoby. Dwie kobiety z malarni. Edward Durry, gdyby żył, przysięgłby na credo swego cechu, że to nie była jego decyzja, tylko Harrata. Przyprowadził żonę Durry’ego, Kate, i jej przyjaciółkę, Mary Borrows, jakby to miał być salonowy pokaz sztuczek. Kate była ostatnią osobą, której Durry powierzyłby swą tajemnicę. Już szybciej zwierzyłby się swemu starszemu mistrzowi. Nie żeby jej nie kochał, ale szczerze mówiąc, swe maszyny kochał znacznie bardziej. Oczywiście wiedział, że jarzmo, świeżo ozdobione wszystkimi niezbędnymi zaklęciami, należy jeszcze pomalować. Prawda, zwykle taką pracą zajmowałyby się dziewczyny z malarni, ale nie wątpił, że sam zrobiłby to co najmniej równie dobrze.

Po zdumionym „Co ty tu robisz?” obaj mężczyźni zaczęli się sprzeczać. Zaraz się uspokoili, bo czuli do siebie może nie sympatię, ale wzajemny szacunek, Durry zauważył, że decyzja Harrata miała sens. W końcu zostało dużo do zrobienia, a dziewczyny miały w malowaniu doświadczenie. Przynajmniej Kate była jedną z najlepszych w malarni, nawet kiedy rozpraszała ją rosnąca w brzuchu bryłka. Zrobią to szybciej i lepiej, więc kogo miał Harrat wybrać? Gdy kobiety stały na podziemnym, dziwnie pustym pokładzie i wymieniały zdziwione spojrzenia, Durry przyszedł do nich i zadbał o to, by stały się, tak jak wszystko, co działo się dotychczas, kolejnym elementem zaklęcia.

Zabrały się do pracy, maczając pędzle w przyniesionych przez Harrata słoiczkach z eterem i pokrywając nowe jarzmo lśniącym ornamentem, który, jak musiał przyznać Durry, rozkręcający śruby i wyciągający zawlecзки mocujące poprzednie jarzmo, był wykonany znacznie lepiej, niżby to on potrafił. Nowa część maszyny, która już przedtem wydawała mu się piękna, teraz stała się cudem, żarząc się od środka blaskiem chalcedonu, a na powierzchni eterowymi zawijasami. Kobiety wciąż malowały, ich cienie tańczyły jak miękkie komety na stropie Pokładu Środkowego.

Harrat wycofał się do sterowni, ceglanej kopuły nazywanej przez robotników igloo. Było to zdecydowanie najbezpieczniejsze miejsce podczas wymiany jarzma, ze stalowymi dźwigarami i wizjerami jak otwory strzelnicze, ale Durry rozumiał, że ktoś musi tam być i patrzeć na wskazania przyrządów. On natomiast stanął pomiędzy ściśniętą okowami skałą a pulsującymi tłokami, trzymając koniec liny, która miała ściągnąć nowe jarzmo z drewnianego korytka umieszczonego ponad starym. Obok niego dwie kobiety wciąż pracowały. To niesamowite, jak szybko blakły ich zaklęcia; jak atrament na bibule, jak plwocina na rozżarzonej kamieniu. Chalcedon, choć już nasycony mocą, wysysał jej coraz więcej i więcej ze swej plecionej kołyski. Kate stała po drugiej stronie

mechanizmu, nachylając się pomimo wypukłego brzucha.

Durry obserwował swój kieszonkowy zegarek. Wskazówka sekundowa zmierzała ku trójce. Popatrzył wzdłuż dudniących rur na ceglane igloo i w jednej ze „strzelnic” ujrzał unoszącego kciuk Harrata. Zacisnął palce. Mary Borrows, wyczuwając, że już, cofnęła się nieco. Kate pracowała dalej. Szum, bum, szum, bum... Idealny moment. Durry pociągnął za linkę.

Podczas drżącej ciszy między uderzeniami nowe jarzmo pięknie opadło, precyzyjnie i pewnie wybijając z mocowań stare, jakby popychane czymś więcej niż tylko ciężarem. Stare jarzmo uderzyło o brudny beton, rozsypując się w kłęb stali, jedwabiu i syczącego dymu. Odłamki zawirowały wokół. Durry usłyszał sapnięcie Mary Borrows. Nowe jarzmo wpasowało się idealnie, chalcedon się rozjarzył. Była to chwila wielkiego triumfu, cisza, która nastąpiła, wydawała się tak na miejscu, że nawet zmysły etermistrza Edwarda Durry’ego na moment dały się ogłupić. Lecz cisza trwała i trwała. Maszyny eterowe, bez zmiany tempa, bez zająknięcia, po prostu przestały pracować.

Potem stało się kilka rzeczy naraz. Trzy doskonałe tłoki, obficie naeteryzowane, mogły zatrzymać się w miejscu łatwiej niż wskazówki zegarka.

Ale cały czas napędzał je potężny wał idący z Pokładu Maszynowego. Zatrzymując się, tłoki przeniosły nań całe naprężenie. Durry słyszał, czuł, że mocny, długi wał wykrzywia się i pęka, wykrzywia i pęka, na całej długości. Ale te pęknięcia to jeszcze nie wszystko. Ciszę rozdarła seria dobiegających z góry, trzęsących ziemią wybuchów.

Blask rozżarzonego chalcedonu się wzmagał. Przez jarzmo przebiły się igły światła, mocne jak polerowana stal. Choć nieruchome, zdawały się wirować, ogniskować, pulsować. Ta scena mogłaby być oszałamiająco piękna, gdyby nie była przerażająca. Wtem blask chalcedonu zamknął się w sobie, jak zwijający się wąż, jak pękający łańcuch, kamień zadygotał od milczącego grzmotu i przeobraził w lśniącą kulę, jakąś nową, nieznaną postać eteru. Kula pofrunęła Pokładem Środkowym i zalała Kate takim dziwoblaskiem, że Durry widział biel kości, wyszczerzoną czaszkę, puls krwi i kształt dziecka w łonie. Potem kula pyknęła, zgasła, zniknęła.

Ciszę na pokładzie zakłócało teraz tylko tykanie osłupiałych przyrządów. Chalcedon stracił niemal cały blask. Kate stała tam gdzie przedtem, wstrząśnięta Mary Borrows ssała skaleczenie na wierzchu dłoni. Wszyscy cofnęli się, wciąż patrząc na nieruchome tłoki, gdy z igloo gramolił się Harrat. Podeszli wpierw do windy, która nie działała, potem znaleźli żelazną klatkę schodów ewakuacyjnych.

W lipcową półdzień, 75 roku Trzeciego Wieku wszyscy mieszkańcy Bracebridge przerwali swe codzienne czynności. Psy zaczęły szczekać, dzieci płakać. Z dachów posypały się dachówki. Stara Wieża Powroźnicza i parę innych co słabszych budowli zawaliły się w kłębach kurzu. Czarnobiałe obłoki uniosły się ponad ruinami Pokładu Maszynowego. Całe miasto popędziło w stronę słynnej bramy z posągami Opatrzności i Miłosierdzia. Koledzy z brygady Durry’ego instynktownie szukali się nawzajem, zaczęła krążyć plotka, że był tam na dole sam. Kiedy pojawiły się pierwsze postaci paromistrzów, pokrwawione, kaszlące od dymu, Edward Durry wrzucił ramionami na wszystkie pytania i zanurkował w czeluść pożaru. Zaprawdę, tego dnia był jak opętany. Uratował sześć, osiem osób. Sam uniósł jedną z zawalonych belek. Poruszał się w ruinach z siłą automatu, choć od żaru skóra mu dymiła i pokrywała się pęcherzami, tak samo jak ofiarom, które ratował. Był niemal bohaterem, mówi się, że na koniec musieli go przytrzymać i przywiązać do noszy, bo krzyki, że nie ma już kogo ratować, nic nie dawały.

Wtedy niewiele już w nim było Durry’ego. Natychmiast, kiedy tylko maszyny przestały bić, zrozumiał, że zdradził swój cech w najgorszy możliwy sposób, że jest skończony. Kiedy obudził się pośród zapachu wiader do mycia podłóg, bielonej pościeli i śliskiego, lepkiego bólu,

w zadziwiającej, bezmaszynowej ciszy szpitala okręgowego, był już Kartoflarzem. Leżał w sali z trzema innymi pacjentami, którzy wrzeszczeli wniebogłosy. Siedząca obok niego oświetlona letnim księżycem postać wydawała się tak mroczna i wszechpotężna, że przez chwilę też chciało mu się krzyczeć. Ale to był tylko wielki mistrz Harrat.

Zalewał się łzami i beładnie przeproszał. Tak jak Kate i Mary Borrowes, udało mu się wygramolić z Pokładu Środkowego przez właz ewakuacyjny i wmieszać w tłum. Ocalał, choć mało brakowało. Interesy cechu to w końcu tylko interesy, a życie to życie, choć życie Durryego, zdawało się, już jest zmarnowane. Na pewno odbędzie się jakieś dochodzenie. Lecz Harrat był już w swym gabinecie i zniszczył pewne dokumenty, a także wykorzystał – musiał wykorzystać, bo ten wścibski mały cwaniaczek coś tymczasem wytropił – pewnego wyższego mistrza z Cechu Ślusarzy, by wrócił na Pokład Środkowy, zniszczył nowe jarzmo i w jakiś sposób pozbył się tego przekłętego chalcedonu. Dowody, które teraz pozostały, były co najmniej sprzeczne, a Harrat wciąż jeszcze miał przyjaciela z południa kraju, owego ciemnego cechmistrza, który położył na ramieniu Durryego swą ciepłą, aprobującą dłoń. Mimo że nie znał jego nazwiska ani statusu, mimo że nie zdołał się z nim skontaktować, wciąż liczył, że wielki cechmistrz przyjdzie mu z pomocą. Wszystko da się jeszcze uładzić. Lecz pewną cenę trzeba zapłacić, jak zwykle. I w tym momencie Harrat znów się rozplakał. Kartoflarz czekał. Zaczął powoli rozumieć, jaki układ zawarł wielki mistrz Harrat.

Życie Durryego było przecież zrujnowane. Wyrzucą go z cechu. Stanie się partaczem, a pewnie także odmieńcem. Wczoraj jednak był również bohaterem, więc ludzie z miasta tak będą o nim myśleć. Może więc pozwolić, by Edward Durry umarł, zabierając ze sobą całą swą winę? Odbędzie się pogrzeb, sprawi mu się porządny nagrobek, będzie przemowa. Dochodzenie szybko się skończy i zostanie zapomniane, a ludzie nie będą słuwać, słysząc jego imię.

Harrat wstał z łóżka. Kończyły mu się słowa, wracały łzy. Kartoflarz ciemną jamą pustego oczodołu poczuł od otwartych drzwi powiew chłodnego powietrza. Z bólem podniósł się z pościeli. Cały szpital był dziwnie cichy, gdy, kulejąc, wychodził z niego w milczącą noc. Harrat już dawno poszedł, był zaledwie sylwetką spieszącą przez Withybrook Road do miasta, do swego życia, swej kariery, swego cechu i swych obaw.

Tu zaś stała Mary Borrowes z bandażem na ręce oraz żona Durry'ego, Kate, pod drzewem obok starej skrzynki pocztowej, piękna jak zawsze, choć włosy jej jakby posiwiały. Kartoflarz, kuśtykając ku nim, wiedział, że musi wyglądać strasznie.

– *Widzicie* – jęknął swym odmienionym głosem. – *Jest okazja, żeby uciec...*

Kate uśmiechnęła się lekko i nie powiedziała nic. Drzewo rzucało koronkowy cień. Ponad nimi Rainharrow błyszczało jak sam księżyc. Oczy Kate lśniły tak samo.

– *Możemy iść...*

Jeszcze raz rzuciła mu uśmiech. Całkiem jakby rozmawiał z duchem. Już wiedział, że nie może zabrać jej ze sobą w życie, które go czeka. Coś jednak było nie tak. Kate stała w cieniu. Świeciła. Poranionymi i brzydkimi od pęcherzy i opatrunków dłońmi szarpała za włosy, które kruszyły się na jaskrawe iskry. Zakłęcie z tego kamienia dopadło ją i odmieniło. Właśnie wtedy naprawdę umarł Edward Durry, nie wtedy gdy patrzył na ciemną plamę, która przysiadła na jego szpitalnym łóżku.

Kartoflarz otarł usta. Ciasto zostało zjedzone do końca, a historia, jeśli sądzić po jego milczeniu, do końca opowiedziana.

– Czyli moja matka zabrała Kate do Redhouse? Chrząknął i wydłubał sobie z ust porzeczkę.

– A ty pojechałeś z nią?

Pokręcił głową, spazmatycznie, przeciągle parsknął, po czym ukrył swą zniszczoną twarz

w zniszczonych dłoniach. Anna próbowała go objąć ramionami, cofnął się z jękiem. Wrócił do swego utraconego życia i twarz Anny, tak podobna do twarzy Kate Durry, która zamieniła się w maszynowy lód podczas porodu, to było dla niego zbyt wiele. Kiedy kulił się i szlochał, zrozumiałem, że Kartoflarz ma rację: Edward Durry umarł naprawdę. Jeśli ktoś chce go odwiedzić, jego grób jest przy kościele Świętego Wilfreda.

*

Chcieliśmy namówić Kartoflarza, by przemocował w ciepłe naszego kominka. Dalibyśmy mu ubrania, żeby mógł zrzucić brudne, skrzepłe szmaty. Dalibyśmy mu też więcej jedzenia, gdybyśmy je mieli. Lecz on już wstał i wychodził.

– Ten łajdak Harrat też umarł, prawda? – mamrotał.

– Tylko że dłużej to trwało, ale kto mówi, że tak jest lepiej? Byłeś u niego w domu, chłopcze. Uważaj, trzymaj się z daleka! – zawył, plując śliną dokoła.

Kominek pociemniał, cały pokój zapulsował, zadudnił od jego tępego, smutnego gniewu. Z trzaskiem otworzyły się drzwi wejściowe, moje starannie pozbierane listy i wycinki rozwiały się burzą po pokoju. Ale ja chciałem wiedzieć coś jeszcze.

– Zaczekaj! Zaczekaj, proszę cię...

Kartoflarz skulił się, przewrócił swym czerwonym okiem.

– Ten człowiek, ten mroczny cechmistrz, o którym mówił Harrat. Mówiłeś, że go widziałeś. Mówiłeś, że położył ci rękę na ramieniu... – Chwyciłem garść wirujących papierów. – Poznałbyś go, jakbym pokazał ci zdjęcie? Powiesz mi, kto to taki?

Kartoflarz wciąż się cofał. Za trzaskającymi drzwiami frontowymi noc z wyciem przebijała się białą chmurą przez szpaler drzew. Rozpaczliwie rozglądając się, co by mu dać, spojrzałem na cukiernicę. Lśniła jak mała kupka maszynowego lodu.

– Proszę. Weź to.

Kartoflarz przytulił cukiernicę do piersi i ciężko dysząc, poczłapał z powrotem wśród kłębow papierów. Jego łachmany trzepotały jak czarne płomienie. Ale co mu pokazać? Od czego zacząć? To wszystko na nic. Wtem on chwycił „Dziennik Cechowy”, który kupowaliśmy z Anną, by śledzić proces George’a.

– To nie... – zacząłem, ale Kartoflarz już obwąchiwał strony.

– On... – Miedzioryty przedstawiające ostatnie podrygi upadającego reżimu. – Zmienił się, ale nie tak znowu. Tacy ludzie się nie zmieniają...

Wydarłem mu gazetę. Rubryka „Zgony i Śluby”, trochę zdjęć. Opuchnięty palec Kartoflarza postukiwał w fotografię jakiejś ceremonii związanej z ostatnimi przygotowaniem do ślubu wielkiej cechmistrzynie Sary Elizabeth Sophiny York Passington, który miał być wydarzeniem sezonu w Walcote House. Sadie, w wymyślnej sukni, stała z półotwartymi ustami, jakby coś mówiła, wyglądała jeszcze sztywniej niż zwykle i mniej przypominała siebie. Ani śladu przyszłego pana młodego. Jediną inną osobą na zdjęciu był jej ojciec, uśmiechnięty z dumą.

– To on – powiedział Kartoflarz, dźgając kciukiem stronę, tak że rozmazała się farba. – To on widywał się z Thomasem Harratem.

– Jesteś pewien?

Lecz on już oddalał się ode mnie, przez wietrzny korytarz, przez otwarte drzwi, prosto w noc.

*

Dom był pusty i ciemny. W latarni dopaliły się resztki nafty, węgle pospadały do popielnika. Uznałem, że pani Nutall może spalić resztę papierów, poza tą jedną bezcenną stronicą „Dziennika Cechowego”. Lecz jej plotki o tym, jak żyjemy, pogawędki przez płot, nawet dudnienie maszyn i wizg

wiatru na Brownheath, wszystko to już zdawało się odległe. Po Kartoflarzu pozostał tylko otępiający smród zgnilizny.

Gdy pozamykaliśmy drzwi i umyliśmy zlew, dom wydał mi się obcy. Patrzył na nas ciemnymi łatami na ścianach, pustymi miejscami po fotografiach, których nawet nie chciało nam się zapełnić.

– Robbie, ja ciągle nie wiem, kim jestem – powiedziała Anna, wstając od kominka. – Tyle lat, a ja wciąż nie mam pojęcia...

Otworzyłem usta, by powiedzieć coś uspokajającego, ale gdy odwróciła się ku mnie od słabego żaru paleniska, ujrzałem, że ma łzy w oczach.

– Nie śpij dzisiaj na dole. Nie chcę być sama.

Powoli, z powagą udaliśmy się na górę i zdjęliśmy z łóżka walizkę Anny. Miała spać po lewej stronie, tak jak zwykle, a ja po prawej. Kiedy patrzyłem na wytartą narzutę, a wilgotne płatki śniegu osiadały na szybie, przypomniałem sobie o dawnych, dalekich rycerzach z Wieku Królów, którzy kładli miecz między sobą a białogłową, której mieli strzec – w sumie całkiem podobna sytuacja.

Anna rozpuściła włosy i wytarła nos. Rozpięła sukienkę, przeciągnęła dłońmi wzdłuż boków, zsunęła pończochy. Jej skóra była bielsza niż halka, która wycięciem i obnażonymi ramionami przypomniła mi tę letnią sukienkę, którą nosiła, kiedy pierwszy raz ją widziałem w pełnym słonecznego blasku Redhouse, tak odmiennym od tego domu, który odwiedziliśmy dzisiaj. Położyła się, przykryła kołdrą. Potem ja się rozebrałem i położyłem z drugiej strony, na zimnej, lekko wilgotnej bawełnie. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że nie zaciągnęliśmy zasłon.

– Nieważne – powiedziała Anna, gdy już miałem się podnieść. – I tak musimy wstać wcześniej rano, żeby zdążyć na pociąg.

Odwróciła się do mnie na szarobiałej poduszce. Płatki śniegu zsuwające się po szybie oświetlały jej twarz delikatnym blaskiem. Drżałem – nie z zimna, ze wszystkich innych powodów.

– Przepraszam, Anno. Nie wiem, co powiedzieć...

– Nie mów nic. Jesteś tutaj. Nie uprzedzałam Missy, że chcemy dowiedzieć się prawdy?

– I chyba się dowiedzieliśmy.

– Ja...

– Co?

– Nic.

Uniosłem rękę, położyłem ją na jej wilgotnym policzku i poczułem, że się uśmiecha.

– Robbie, nic więcej nie mów. Po prostu się cieszę, że jesteś tutaj.

Pochyliłem się bliżej ku niej, poczułem zapach jej włosów, łez i pomyślałem o wilgotnych polach uprawnych. Moje palce napotkały płatek jej ucha. Poczułem ruch, kiedy zamykała oczy, i zmianę w rytmie oddechu, kiedy zasypiała.

– Nie rozumiesz?!

Był siódmek, koniec grudnia, wokół nas ryczało Northcentral rozświetlone zamięcią.

– Nie rozumiesz?! – krzychałem do Anny. – Nie rozumiesz...! – A Anna kręciła głową.

Stołeczne urzędy, przemysł, węgiel i eter, import i eksport, pieniądze i praca tętniły wokół nas na ulicach. Ja jednak wszystko to zobaczyłem w cichą, mroźną noc w Bracebridge, kiedy płatki śniegu topniały na szybach, kiedy położyłem dłoń na jej twarzy. Widziałem to i teraz, w głowach zwieńczonych cylindrami, w spieszących masach biedy i bogactwa. W cmokaniu Anny, która znów szła u mego boku. Przepęłniała mnie nowa świadomość, nowa czułość w stosunku do wszystkiego i wszystkich. A szedłem z panią Borrowss, z Anną Winters, z Annalise, przez nieustanną ludzką powódź Northcentral, czułem zapach londyńskiej mgły i słodki, wilgotny aromat włosów Anny – i chciałem, żeby ona także to wszystko rozumiała. Miała na sobie szary szal, czerwony szkocki beret i płaszcz w jodełkę; szła powolnym, lekko-ciężkim krokiem, ja zaś przepychałem się tyłem przez tłum i nie dbałem o to, że na kogoś wpadam, bo zależało mi tylko na tym, by wreszcie rozumiała...

Chciałem, by rozumiała, że lepszy świat, o którym od dawna marzyłem, stał się bliski jak nigdy. Tego świata dotknąłem, jestem pewien, owej ostatniej nocy w Bracebridge, gdy cienie śniegowych płatków ześlizgiwały się po jej uśmiejącej twarzy. W nowym świecie wszystko z pozoru przypominało nasz obecny, jednak pod spodem wszystko się różniło. Chodziło o coś więcej niż zestaw jakichś żalonych postulatów – w nowym świecie hałas uliczny mieszał się z zachwytem. Żaden obywatel nie głodował, nie w Nowym Wieku. Cechy były bardziej baśnią niż realnym wspomnieniem, ich posągi bardziej starożytne niż druidzkie głazy, ich uczynki bardziej odległe niż królowie Anglii.

Anna jednak znów pokręciła głową. Szliśmy przez kipiące porannym życiem Northcentral. Prawda była drogocenna, bezpieczna i niebezpieczna. I bliska. Wiedziałem, że uda mi się sprawić, by to rozumiała.

Zatrzymaliśmy się na Easterlies, z dala od dawnego mieszkania Anny na Kingsmeet, które odwiedziłem dyskretnie sam, zaraz po naszym przyjeździe. Zastałem tam przybite do drzwi zawiadomienie z Cechu Zbieraczy. Potem ruszyłem na wschód, ku Ashington, gdzie w podwórzu zostałem osaczony. Tak zwana straż obywatelska zastanawiała się nad użyciem nabijanych gwoździami kijów, gdy ktoś wspomniał o obywatelu Saulu. I tak oto wróciłem, nie po prostu na Easterlies, ale na Caris Yard, gdzie mnie zaciągnęli; było to teraz zadymione obozowisko wszelkiej maści obywateli. Gdy prowadzili mnie koło pompy, gdzie pierwszy raz napiłem się londyńskiej wody, ciskano we mnie grudkami błota.

Caris Rookery przeobraziła się teraz z kryjówki przestępców we wrzący ul rewolucji, ale poza tym się nie zmieniła, a Saul zainstalował się w tym samym pokoju na górze, pod przeciekającym dachem, gdzie spędziliśmy nasze pierwsze lato. Nawet widok na Londyn był wciąż taki sam. Wieża Hallam błyskała. Domy cechowe pięły się w górę. Saul zrobił sobie coś w rodzaju biurka, wykorzystując stare drzwi, którymi kiedyś osłanialiśmy się od wiatru. Do dawnego smrodu biedy i zgniętego śledzia dołączył jeszcze zapach fajerwerków. W rogu, złożone niedbale obok pożółkłych resztek jakiegoś jego starego rysunku, leżały chropowate szarosrebrne rury.

– Robbie, co ty tu robisz?!

Pocierałem ręce, w których wracało mi krążenie.

– Mógłbym ciebie zapytać o to samo.

Stracił sporo ciała, którego nabral w dobrych czasach. Kiedy podszedł ze mną do krawędzi, z której kiedyś wesoło sikaliśmy w przepaść, wyglądał jak ostrzejsza, wysuszona wersja siebie samego z czasów młodości. Od wysokości bardziej kręciło się w głowie niż kiedyś, a bocznice Stepney były dziwnie spokojne jak na wczesne popołudnie. Poruszało się tam ledwo parę zabawkowych, cicho posapujących pociągów, a niemal dokładnie pod nami kilka wron kłóciło się nad czymś, co przypominało zwierzęcą padlinę.

– Gdzie jest Blissenhawk?

– Gdzieś na Whitechapel. Nie we wszystkim się zgadzaliśmy. Ale dalej jest obywatelem.

– Czyż nie wszyscy jesteśmy? Saulowi zadrgała szczeka.

– Spójrz, tam... – machnął ręką ku Northcentral – ...jest obóz wroga. Przyjechałeś pociągiem z północy, prawda? Czyli widziałeś żołnierzy, kawalerię. Może czekają, aż przyjdziemy do nich. A może to oni do nas przyjdą. W każdym razie...

– ...ale...

Cierpliwie uniósł dłoń. Wrony szamotały się i krakały.

– Przychodzisz sobie spacerkiem na Easterlies, jakby nic się nie zmieniło. Siła fizyczna czy siła moralna, co? I ta cholerna Złotobiała. – Zmarszczył się w uśmiechu. – A ty zadajesz się z ludźmi, którzy mogą być tylko naszymi wrogami. Ta blondynka. Ta stara trollica z ruin na Krańcu Świata. I wyższy mistrz George... on przynajmniej okazał się na coś przydatny.

Skinąłem głową. To był jeden z najdziwniejszych widoków w odmienionym mieście – nazwisko George'a na ścianach wymazanych napisami do pewnej wysokości, jak do znaku wysokiej wody.

Ale Saul jeszcze nie skończył.

– A nawet ta cholerna wielka cechmistrzyni, co to ma za męża wychodzić, niech mnie kule! Znasz ją, co nie? I potem wyjeżdżasz sobie na północ na jakąś głupią wycieczkę i wracasz z tą blond dziewczyną... jak jej tam?

– Anna... – Zawahałem się.

– Paru dość niesympatycznych typków rozpytywało o ciebie. Domyślają się, że coś knujesz. A ty tu stoisz przede mną jak gdyby nigdy nic. Więc co mam myśleć, jak ci się zdaje?

Tak wiele już wiedziałem, tyle musiałbym opowiedzieć. Lecz od czego zacząć?

– Saul, czy ty już nie wierzysz, że to marzenie się ziści? Westchnął i skinieniem głowy odprawił stojących za nim obywateli.

Schodząc po schodach, wyglądali na rozczarowanych. Ale kiedy odwracał się do mnie, na jego twarzy wciąż widziałem zdumienie.

– Robbie, o czym ty mówisz? Jakie marzenie?

I znów byłem z Anną, idąc z powrotem przez niesamowicie jaskrawe chodniki Threadneedle Street i próbując wyjaśniać. Dla mnie wszystko było oczywiste. Nie chodziło tylko o przeszłość ani nawet o chwilę obecną – próbowałem sprawić, by w tych pięknych zielonych oczach pojawił się błysk zrozumienia, by dostrzegły prawdę. Patrz, tam przed nami, widzisz ten łuk triumfalny Izby Złotników, kamienną tęczę tak wielką, że zmieściłaby się pod nią wieża pobliskiego kościoła Świętego Piotra? Złoto i szkło, Anno, cech na cechu. A pod nimi podziemne sejfy wypełnione majątkiem Anglii. Możesz sobie wyobrazić coś bardziej solidnego? A jednak – widzisz ów zwornik u szczytu, wysoko we mgle? Gdy się go wyciągnie, zawali się cały budynek. Anno, ty mogłabyś to zrobić, ty lepiej niż ktokolwiek inny. Znacznie lepiej niż ja...

Wobec widocznego niedowierzania Saula, które teraz ustąpiło miejsca jakby rozbawionej aprobacie, znalazłem roczne raporty firmy Mawdingly & Clawtson, dostępne dla każdego

w kopulastych, rezonujących echem grotach Czytelni Publicznej. Wielkie i ciężkie jak głazy księgi potwierdzały, że ich jedynym funkcjonującym przedsięwzięciem jest fabryka w Bracebridge i że co miesiąc rzekomo dostarczają na bocznice Stepney taki sam ładunek eteru. Nic dziwnego, że wielki mistrz Bowdly-Smart miał się tak świetnie. Wydzierając kartki, kichnąłem głośno. Spojrzałem za siebie, między kolumny pyłu i światła. Nie było tam nikogo, ale zapuszczając się na Northcentral, starałem się zmieniać trasy. Dziwne, teraz bezpieczniej czułem się na Caris Yard. Lecz dzisiaj musiałem przekonać Annę. Musiałem sprawić, by zrozumiała. Prawda była tak oczywista, że nasza podróż do Bracebridge właściwie okazała się zbędna. Przestało mnie obchodzić, kto na nas patrzy, kiedy gestykulowałem zapamiętałe, omal nie przewracając się o słupek.

Mijający nas żołnierz Cechowej Konnej – taki widok bardzo spowszedniał; przestali też nosić pióra na hełmach – spojrzał na nas z siodła. Już miał ściągnąć wodze i zapytać, co tu robimy, kiedy sprzedawca kasztanów tuż przed nami rozsypał zawartość swej tacy. Gdy po chodniku poturlały się dymiące bryłki, wierzchowiec się cofnął, a my wśliznęliśmy się w cień pod lśniącem łukiem Izby Złotniczej.

Anna także mieszkała na Caris Yard, w miejscu niezbyt odległym i pod wieloma względami podobnym do dawnej ochronki Maud. Pieluchy ociekały, niemowlęta wrzeszczały, nieco większe dzieci hałasowały na podwórzu, zdeklasowane cechmistrzynie pokrzykiwały, kłóciły się i z dnia na dzień jakoś wiązały koniec z końcem. Ja musiałem mieszkać w oddzielnej szopie, wspólnie z kompletem popierdujących i pokaślujących obywateli płci męskiej. Komitety obywatelskie były zdumiewająco surowe, jeśli chodzi o segregację płci. Kobiety oczywiście uwielbiały Annę, a dla mnie wydawała się taka sama jak zawsze, jednak idąc w tłumie pod owym łukiem, gdy światło zmiękczało cień jej podbródka, który wtulałem w dłoń tamtej nocy w Bracebridge, zdałem sobie sprawę, że mijającym nas w pośpiechu, odzianym w eleganckie garnitury i fulary inwestorom, spekulantom, posłańcom i sekretarzom ona coraz bardziej przypomina jakąś pomniejszą cechmistrzynie – a może nawet partaczkę – z Easterlies rodem. I ja coraz bardziej tak wyglądałem, choć nauczyłem się mazią z oleju i sadzą oraz kawałkiem białego kartonu doprowadzać spodnie i koszulę do wystarczającego porządku, by móc spędzać godziny w Czytelni Publicznej. Ale zebrałem już wszystko – prawie wszystko. Potrzebowałem jeszcze tylko jednego: żeby Anna zrozumiała.

Po przyjeździe odwiedziliśmy panią Summerton. Tamiza była niemal cała pokryta lodem. Za parę dni, w święta, które sprzedawcy stroików i sklepy na Oxford Road reklamowali jak zawsze, może by się dało przejść na piechotę, na razie jednak musieliśmy wydać ostatnie pieniądze na prom z eterowym koksownikiem. Szron i lód maszynowy. Białe wzgórza, puste jak Lodowa Kolebka. Zrujnowane ogrody obok wielkich porozbijanych kopuł, gdzie róże kwitły dziko i nie w porę, kłębiąc się krwistoczerwonymi płatkami i kolcami jak strażnicy przedwiecznej klątwy. Niepokojąco długo i głośno waliliśmy do drzwi, aż wysunęła głowę z domku, jak żółw ze skorupy. Od naszego ostatniego spotkania wzrok jej przygasł. Ogień ledwo się palił. Twierdziła, że spała, nawet w to zimne przedpołudnie, mruzczała coś o herbacie i tytoniu, po czym rozsypała jedno i drugie. Nawet pachniała tak samo, kwaśno-słodko, jak to stare kobiety, choć od niej czuło się jeszcze inne aromaty i zioła. Kładła ręce nieruchomo na podolku i zaraz unosiła, kładła i unosiła, kiedy opowiadaliśmy jej o Bracebridge, maszynach eterowych, wielkim mistrzu Harracie i Kartoflarzu.

– Missy, wiedziałaś o tym od zawsze. Ale nigdy mi nie powiedziałaś, musiałam się sama dowiedzieć.

– Edward Durry zmarł dawno temu. Nie powiedział ci tego sam?

– Tak, ale...

Pani Summerton, choć spoglądała na nas, mogła równie dobrze wpatrywać się w pustą

przyszłość, w straconą przeszłość.

– Widzieliście róże? Zupełnie nad nimi nie panuję. Nie wiem, czemu wyobrażałam sobie, że są moje... – Zaśmiała się przeciągle, smutno. – No bo kimże ja jestem.. Od kiedy to miejsce było nowe, minęło już ze sto lat, mniej więcej. Ja mam prawie tyle samo. Gaśniemy sobie razem...

Jej wzrok padł na buty Anny, znoszone i ubłocone, potem na skarpety, w których, jak żartowaliśmy, więcej było dziur niż wełny, na rozdarcia w jej moleskinowej spódnicy i postrzępiony rąbek niegdyś porządnego płaszcza w jodełkę. Westchnęła drżąco i zerknęła na mnie. *Tak urządziłeś moją Annalise...* Niewypowiedziane słowa uleciały z wiatrem szeleszczącym cierniami.

– Nie mam teraz pieniędzy – powiedziała w końcu, nalewając nam chłodną, niedoparzoną herbatę. – Przynajmniej póki nie sprzedam samochodu.

– Nie przyszliśmy do ciebie po pieniądze!

– Może i nie. Ale nic nie opowiem o twoim nieszczęsnym ojcu. Ani o matce. Po tym strasznym wypadku żyła na tyle długo, żeby cię urodzić, i z tego się cieszymy. A twój ojciec nie żyje, praktycznie rzecz biorąc. No ale to zawsze wiedziałaś. Nie musiałaś jechać do Bracebridge. Czy to ci nie wystarcza? Miałam kiedyś nadzieję...

Lecz nigdy nie dopowiedziała, jaką miała kiedyś nadzieję. Naturalnie spodziewała się dla nas czegoś innego, nie że będziemy siedzieć tu z nią w środku zimy, zalatując zapachem Easterlies. Mogłem jej wiele powiedzieć – prawdę o tym, jak odmienić ten Wiek – była jednak stara, zimna, rączki miała jak u wątłego ptaszka, wydawało się więc, że lepiej posłać jej koce, dorzucić do ognia i porozmawiać o szaleńczo kwitnących różach, które porozdzierały nam ubrania, gdy wracaliśmy do promu i szarzejących świateł szykującego się na wojnę miasta.

Dzień Motyla był letnią fikcją. Teraz była zima i warsztaty Easterlies dudniły rytmem, którego nie dyktował żaden cech. Wyrabiały miecze z lemieszki lub piki z ogrodzeń, bomby z nafty i cukru. Nawet coś w rodzaju broni palnej – tandetne, bezeterowe żelastwo, które równie dobrze mogło zatrzymać szarżującego jeźdźca, jak urwać ci dłonie. Niemniej broń palna; cechy znały ją od dawna, jak elektryczność badana przez wielkiego mistrza Harrata, ale zakazywały jej, tylko w święta oddawano salwy honorowe. Wiara Saula w moc jego broni była poruszająca, ale on nie bywał na Northcentral, zapomniał o mocy i potędze tych budowli albo nigdy nie zdawał sobie z niej sprawy. Nie rozumiał, z czym naprawdę walczy – z eterem i pieniędzmi, prawdziwą potęgą cechów przelewającą się z rykiem tymi ulicami, błyskającą w pomrukujących, dziwoczarnych splotach telegrafów przecinających niebo, szum, bum... – bo pieniądz to także magia. Jakże inaczej maszyny eterowe Bracebridge mogłyby wciąż dudnić, skoro nic nie produkowały? Anna sama mi to pokazała, poprzez starą głównię Stropcocka – więc kto, jak nie ona, miałby zrozumieć? Według publicznych raportów firma Mawdingly & Clawtson dawała nieco mniej niż jedną czwartą i nieco więcej niż jedną piątą angielskiej produkcji eteru. Francuzi i Sasowie strzegli własnego przemysłu, własnych cechów i sekretów, a eter z Thule, Afryki i antypodów był jak tamtejsi ludzie: dziki, dziwny i wyjątkowo trudny do okiełznanania.

Anno, nie jestem znawcą firmowych ksiąg, ale wiem, że wszystkie firmy należą do swoich udziałowców – a przeważnie są to cechy. W Mawdingly & Clawtson większość udziałów ma Cech Telegrafistów. Stanowi to znaczną część ich majątku! Telegrafiści udają, że mają wielkie przychody. Stropcock, Bowdly-Smart zajmuje się wydawaniem tych nieistniejących przychodów na wymaginowane ładunki i zawartość pustych magazynów. Prezesem rady nadzorczej, co przeczytałem, Anno, czarno na białym, a jak mi nie wierzysz, mam w kieszeni tę stronę, jest arcycechmistrz Anthony Charles Liddard Seed Passington!

Zawsze kogoś lub czegoś się bałem. Potwora wychodzącego z cieni, z moich koszmarnych

snów. Kiedyś Starzyka Jacka, który zdradził Złotobiałą. Potem – trollowego albo mrocznego cechmistrza od wielkiego mistrza Harrata. Tu w Londynie – nędzy takich miejsc jak ta ulica, gdzie cechmistrzynie noszą białe rękawiczki, by pokazać, że nigdy nie muszą dotykać niczego brudnego. Mroczny cechmistrz to człowiek z krwi i kości, który ponad dwadzieścia lat temu pojechał do Bracebridge z chalcedonem w drewnianej skrzyni, wykorzystał wielkiego mistrza Harrata do przeprowadzenia tego doświadczenia, wykorzystał także moją matkę – oraz twoją matkę i ojca – a w rezultacie wielu ludzi zginęło lub ucierpiało. Anno, to on. Są notatki z jego przemówień. Pojawiał się, wydawał rozkazy i znikał, w ogóle nie ponosząc kary. Nawet wielki mistrz Harrat nie wiedział, kim on jest. Ale to tylko człowiek. Możemy go pokonać. Musisz tylko zrozumieć. Musisz mi pomóc...

Znaleźliśmy mały, zaciszny park, z bladymi, nagimi iwami, przez które miodowo przeświecały kamienne mury Northcentral, jak blask kominka przez gobelin. W zimnym cieniu tych ścian przeszliśmy po nakrapianym marmurowym chodniku i siedliśmy na ławce. Po gałęzi przebiegła ruda wiewiórka. Anna wsunęła dłonie w wystrzępione kieszenie.

- Właśnie mówisz, że możemy jeszcze kogoś skrzywdzić.
- Anno, to *Anthony Passington!* On zabił naszych rodziców.
- Ale ja go znam. Byłam jego gościem. Nie wygląda mi na...
- A jak według ciebie wyglądają tacy ludzie?

Wzruszyła ramionami i zadrżała. Wargi miała spierzchnięte, czubek nosa umazany sadzą.

– Robbie, to jest ojciec Sadie. Chcę wierzyć, że nadal jesteśmy przyjaciółkami. Poza tym... to także jej cech.

– A jak myślisz, dlaczego zmuszają ją do małżeństwa ze starszym mistrzem Porrettem? Cech Pobielaży to jeden z nielicznych niemających udziałów w firmie Mawdingly & Clawtson. Telegrafisci potrzebują ich pieniędzy, żeby przetrwać. Dlatego właśnie wciąga się ich w...

Anna się uśmiechnęła.

– A Sadie zawsze mówiła, że chodzi po prostu o farbę.

– Nie rozumiesz, że to sprowadza się do tego samego? Nie budynki wokół sprawiają, że cechy są właśnie takie. Tylko pieniądź, a pieniądź polega na zaufaniu. W Anglii już panuje chaos, więc wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby wszyscy wiedzieli, że wyczerpało się jedno z głównych źródeł eteru, a Cech Telegrafistów jest bankrutem?

Wypuściła z ust szary obłoczek pary.

– To byłaby katastrofa.

– Anno, Telegrafisci by upadli. I większość pozostałych cechów też. Nie rozumiesz?

– A to byłoby dobrze, tak?

– Latem wyszyłaś transparent. Myślałam, że wierzysz w Nowy Wiek.

– Ale potem stało się wiele złego.

– Widziałaś, co się święci na Easterlies. Obywatele tylko czekają na sygnał, żeby pomaszerować na Northcentral. Tym razem nie będą nieść transparentów. Ale cechy mają zakłęcia, żołnierzy, psotwory i konnicę. Będą przygotowani – bo dlaczego niby czekają? A jak myślisz, dlaczego wszyscy z wyższych sfer wyjeżdżają z Londynu na wesele Sadie? Do Nowego Roku, kiedy wrócą, z ulic już zmyje się cała krew. Saul i pozostali obywatele będą martwi albo uwięzieni, a Telegrafisci znowu staną się bogaci. Wszystko będzie tak samo jak przedtem, tylko jeszcze gorzej.

– Robbie, to brzmi strasznie.

– Ale nie musi tak być. Możemy sprawić, że coś się zmieni. – W myślach miałem proste słowa, ale żeby nabrały mocy, Anna musiała być po mojej stronie. – My razem możemy odmienić ten

Wiek.

Jednak gdy odgarniała włosy, w oczach wciąż miała wątpliwości i strach; wstała, zanim zdążyłem dotknąć tego dołeczka na brodzie, do czego tęskniłem cały ranek.

– Anno, co jeszcze mam ci pokazać?

Niemal się poddałem.

*

Anna zatrzymała się jak wryta, kiedy ujrzała dwa kurki na wieżach, sterczące ponad ośnieżonymi kominami. Przecież całe jej życie było walką z instytucjami w rodzaju Świętego Blate'a. Gdy poprawiła szal pod szyją i ruszyła dalej, chyba zrozumiała, że teraz nikt już nie może być zwykłym człowiekiem. Pociągnąłem za dzwonek. Przedtem nie zauważyłem, że wysoki, długi mur jest cały upstrzony napisami. *Wolność od odpoczynku. Wypuścić demony. Pani (tu jakieś nazwisko) to wstrętny potwór.* Może nawet trollowi poczuli, co się święci, i przestali je zeskrobywać. Małe drzwiczki w bramie zaskrzypiały.

O tej porze roku, przed świętami, o tej porze Wiek nie bywało tu wielu gości, a strażniczka Northover mnie rozpoznała. Pamiętała, że przychodziłem do mistrza Mathera. Oczywiście, że mogę się z nim zobaczyć. Właściwie to dopiero co, parę minut temu wrócił z pracy dla swego dawnego cechu. Wprowadzono nas na zwirowy dziedziniec, gdzie z głównego skrzydła przez błękitny zmierzch napływał morski szum głosów. Stał tu nieoznakowany zielony furgon. Latarnie syczały, z perszerona buchała para. Woźnica zeskoczył z kozła, czapka na głowie, krzywy uśmiech. Uniósł kciuk.

– Dopiero co ześmy wrócili z tej firmy, gdzie pracował, Brandywood, Price i coś tam... Pies obsikał komuś kotarę z czystego złotogłowiu. Robota w sam raz dla mistrza Mathera... – Wyciągnął zza ucha połówkę papierosa, obszedł furgon. Otworzył zasuwę na tylnych drzwiach i wysunął drewnianą pochylnię. – Chodź, kochanieńki. – Cmoknął i zagwizdał. Namacał w cieniu łańcuch i szarpnął. – Jesteśmy w domu. I nawet masz tu miłych gości...

Ukazał się mistrz Mather, strugi łańcuchów i ogromna, miękka biała bryła, jak sterta świeżych prześcieradeł. Odkąd ostatnio go widziałem, nabrał ciała albo jakiejś innej materii. Jego skóra rozděła się, była gładka jak pęcherz, rysy twarzy niemal całkiem zanikły. Tylko jego ręce, przewężone w nadgarstkach jak u niemowlaka albo jakby miał je ściągnięte gumką, tylko one pozostały ludzkie, choć były niezwykle blade. Zaskomlił i przeturlał się jak olbrzymi balon wypełniony ciepłym, chlupocącym mlekiem. Wydzielał żrący zapach rozpuszczalników, mydeł i bielideł. Na napiętych, białych poduszkach skóry wypalono mu piętno w kształcie litery C i krzyża, choć o wiele mniejsze niż u pani Summerton czy nawet u pana Snaitha; istotnie trochę się tu poprawiło, jak to cały czas powtarzała strażniczka Northover.

– Poznajesz starego znajomego, prawda...? – gadał śpiewnie trollowy.

Wtem mistrz Mather rzucił się ku Annie, kłapiąc wiosłowatymi stopami obleczonej w bawełniane kapcie, i chwycił ją za rękaw płaszcza. Nastąpiła krótka szamotanina, Anna w końcu wyrwała mu się, a mistrz Mather kwiknął głośno, usiłując schować się z powrotem w bezpiecznym mroku furgonu. Odmieńcy zamknięci w głównym skrzydle zawodzili bardziej przenikliwie. Lewy rękaw płaszcza w jodełkę nagle stał się czystszy. Strażnik mocno szarpnął łańcuchem. Mistrz Mather zakwilił.

– Czasem mu się to zdarza. Ale my już się zatroszczymy, by wiedział, że nie należy... spokojna głowa.

– Nie – powiedziała Anna. – Proszę.

Trollowy odsunął z czoła czapkę i skinął głową. Coś było takiego w jej tonie.

Wyszliśmy od Świętego Blate'a, nie wchodząc do głównego skrzydła i, ku rozpaczy

strażniczki Northover, nie wpisując się do księgi gości. Było już całkiem ciemno – najciemniejsza pora roku. Obok nas po ulicach Clerkenwell śmigali cykliści jak stado czarnych ptaków.

- Robbie, dużo jeszcze jest takich miejsc?
- Przynajmniej kilka.
- A więc dobrze. Zrobię to.

*

Obywatel Simpson, jak wszyscy obywatele z licznej armii wypełniającej Caris Yard, miał swoją opowieść. Był niegdyś starszym księgowym, ale jego żona zachorowała na gruźlicę i potrzebne były pieniądze. A wtedy... Spuścił wzrok, przysiadając jak gargulec na skosie zamrożonego dachu ponad światłami, rozgardiaszem i smrodem na podwórzu w dole.

– Możecie to zrobić, obywatelu? – zapytał Saul.

Wyciągnął kulkę papieru i rozwinął ją, ukazując mały, skrzący się delikatnie koralik liczykamyka, które gdzieś zdobył. Obywatel Simpson niemal wydarł mu go z ręki i mruknął coś, co sprawiło, że liczykamyk rozświetlił się delikatnym błękitem. Na dole, pod murem, gdzie niegdyś siadywaliśmy z Saulem i Maud, rozbrzmiała jakaś ledwo znajoma piosenka. Wyciągnąłem papiery, Saul przejrzał je, zaśmiał się i przekazał obywatelowi Simpsonowi, który rozprostował je na dachówkach i zaczął mruczeć do siebie, ściskając liczykamyk.

– Saul, ile dni jeszcze mamy? – zapytałem.

Zastanawiał się chwilę. Niebo powlekleło się czernią. Na jego tle prawie nie było widać sylwetek budynków, a błękitnawy smog i ognie w dole, na podwórzu, przypominały gwiazdy.

– Naprawdę wybierasz się do tego wielkiego domu?

– Ilu ludzi tu potrzebujesz? Co za różnica dla ciebie, jeśli nie będzie mnie i Anny? Muszę tylko wiedzieć, kiedy wyruszacie. Tylko tyle i żebyś pozwolił mi iść.

Obywatel Simpson zanucił coś cicho, kamik w jego dłoni zaświecił ciepłym, złotym blaskiem eteru, błysnął, wokół nas zawirowały iskierki i osypały się na plac.

Saul roześmiał się i rozłożył ręce.

– Robbie, patrz! Śnieg pada!

Gdy z trudem człapaliśmy z Anną przez Marine Drive, spośród śniegu wychynęły dwa światła, przewiercając nasze cienie. Złapaliśmy ostatni ze wszystkich pociągów, jakie wyjeżdżały w Wigilię z Londynu. Teraz wreszcie dotarliśmy do Saltfleetby i ciągnęliśmy nasze stare walizy w stronę Walcote House. Zniknęły gdzieś wielkie domy, nawet okalające je mury. Została jedynie wijąca się po szczycie klifu droga i tańczący w powietrzu, siekący twarze śnieg. Światła oddaliły się od siebie, przedzielone błyskiem chromu. Machina była długa, przysadzista i czarna. Wypuszczała kłęby gorzko-słonego dymu. Na przedniej szybie wirowało ramię wycieraczki.

Rozbrzmiał głos Sadie i ścichł. Szofer w błyszczącej czapce z daszkiem, rękawicach i długich butach wysiadł, by otworzyć nam tylne drzwi. Choć pojazd był ogromny, kabinę miał ciaśniejszą i niższą niż porządna karetka. Sadie miała na sobie swój srebrnoczarny płaszcz, pasujący doń szal i kapelusz. Jej włosy nabrały miedzianego poblasku. Uśmiechnęła się do nas spokojnie, usta miała niezwykle czerwone, a na lewej dłoni błyszczący ogromny pierścień z oczkiem z zieleńca. Całkiem jakby rekompensowała sobie wszystkie te czarnobiałe fotografie w gazetach.

– Czyli zdecydowaliście się jednak przyjechać – powiedziała, gdy wsiedliśmy wśród zamieci topniejącego śniegu. – Anno, przecież bym cię zaprosiła, gdybyś tak nagle nie wyprowadziła się ze Stoneleigh Road. I ciebie też, Robbie, tylko że oboje zniknęliście tak niespodziewanie... Tak swoją drogą, jak wam się podoba moja nowa zabawka? To mój główny prezent ślubny – na razie. Szofera też dostałam, chociaż i on, i ta machina nadają się tylko do jazdy po dobrej drodze...

– Wcale nie zapomnieliśmy o tobie – rzekła Anna. – Po prostu... no, widziałaś, co stało się z George'em w tym kościele. I przepraszam, jeśli okłamałam cię, nie mówiąc, kim jestem. Mam jednak nadzieję, że rozumiesz powody.

Sadie przypatrywała się nam, usadowionym w mokrych ubraniach na siedzeniach z błyszczącej skóry. Anna zmieniła się jeszcze bardziej niż ja. Włosy zwisały jej rzadkimi kosmykami, usta wyglądały jak opuchnięte, na szyi miała smugi brudu. A jej Znak – nie mogłem nie zauważyć kierującego się ku niemu wzroku Sadie – był zaledwie drobnym strupkiem.

– Tyle spraw – wtrąciłem – musimy ci wyjaśnić. Sadie opuściła szybę.

– Jakoś nie wydaje mi się, żebyście chcieli to zrobić. – Odwróciła się z powrotem do nas; na rzęsach osiadły jej białe płatki. – Macie papierosa...?

Bramy Walcote House, latem otwarte, teraz były zamknięte i szofer musiał zatrąbić klaksonem. Potem cztery psotwory przyciągnęły swych umundurowanych poganiaczy. Sadie przymknęła szybę, gdy jeden już do niej skakał. Szczęknięcie kłów, krople śliny. Ktoś uniósł latarnię, oświetlając mnie i Annę.

– Na litość boską! – krzyknęła Sadie. – Nie widzą, kto jedzie?! Wolno mi chyba przyjmować gości, prawda?

Olbrzymie wrota z kutego żelaza, teraz zwieńczone jeszcze drutem kolczastym, rozwarły się z dygotem. Znów ujadanie, ogniska, budynki jakby obozu wojskowego, trudno było się jednak przyjrzeć, bo gładka biała droga rozszerzała się, lśniąca, aż przed nami zamajaczyły światła wielkiego domu. Tak wiele się tu zmieniło, a jednak tyle zostało po starym. Podobnie jak w lecie, gości spodziewano się w każdej chwili, a służący nawet nie unieśli brwi, kiedy zostaliśmy im przedstawieni w zalanym blaskiem świec olbrzymim hallu, wypełnionym aż po wysoki strop gigantyczną, pachnącą jodłą. Skrzyła się i migotała bombkami, trzepotały ptaki.

– No, zawsze jakieś stadko tu fruwa – powiedziała Sadie, prawie całkiem wróciwszy do

swego dawnego lekceważącego tonu. Złota papuzka przysiadła na ramie pejzażu. – Byłoby nudno mieć na choince same martwe ozdoby, prawda? Tam na północy, Anno, Robbie, też macie choinki, nie? A może tego też jeszcze nie odkryliście, podobnie jak mydła, szkół i mówienia prawdy o sobie?

Służący pomagali jej zdjąć płaszcz i kapelusz. Karmazynowa suknia nadeła się, rozwijając jak kwiat z pąka.

– Jeśli chcecie, dam wam wspólny pokój. – Sadie rzuciła nam taksujące spojrzenie. – A może nie.

Tym razem wylądowaliśmy na trzecim piętrze wschodniego skrzydła, z oknami od frontu. Mój pokój był czwarty po prawej, Anny – szósty. Mijaliśmy obłoczki cygarowego dymu buchające zza półotwartych drzwi, gdzieś w głębi domu dzieci śpiewały kolędy, Walcote House był dziś jednak prawie całkiem cichy. W końcu jutro jest Boże Narodzenie, a pojutrze wielka cechmistrzynie Sadie Passington wychodzi za mąż, dwa cechy zjednoczą się w przepychu i radości. Kiedy służący wnosili do oddzielnych pokoiw nasze zniszczone wodą bagaże, zerknąłem na Annę. Potem zamknąłem drzwi. Mój pokój był w tonacji błękitu nieba i palonego orzecha. Na ścianach jaskółki, niemal tak żywe i intensywne jak papuzki w hallu, goniły jedwabiste obłoki. Ściągnąłem przemoczone buty i usiadłem na brzegu łóżka, masując przemarznięte palce u nóg. W wielkim palenisku strzelało płonące bierwiono. Dotknąłem czystych prześcieradeł. Z Bracebridge – przez Londyn – tutaj... Tutaj wreszcie poczułem się jak w domu. Takie życie jest tak kuszące. Jednakże na zewnątrz, za płatkami śniegu lepiącymi się do szyby, ludzie głodowali, szykowano się do krwawej rewolucji. Ale dawno już nie było mi tak ciepło jak tutaj, dawno już nie odczułem przyjemności rozebrania się ze wszystkich ubrań. Pokręciłem kurkami w łazience, przechyliłem flasze z olejkiem i perfumami. Urosła góra piany, bielszej niż lód maszynowy, bielszej niż śnieg. Wślizgując się do niej, wydałem przeciągłe westchnienie rozkoszy i niemal natychmiast usnąłem.

Obudziłem się, kaszląc, w zimnej, oślizłej wodzie, świadom, że powinienem gdzieś być, coś zrobić – ale wciąż była wigilia Bożego Narodzenia w Walcote House. Cisnąwszy na podłogę naręcze ręczników, usiadłem przed ogniem, żeby wyschnąć. Z niewiadomego powodu ktoś postawił obok rusztu jeden długi, wielki but. Był ciepły, lekki, mało używany, lecz stary. Najwyraźniej kiedy leżałem w wannie, przyszedł był tu służący; nie tylko przyniósł ten dziwny but, ale na łóżku rozłożył piżamę, a na stoliku zostawił tacę z winem i kanapkami z chleba bez skórki. Nagle, z przerażeniem przypomniałem sobie o walizce. Znalazłem ją na górze szafy, ściągnąłem na podłogę i otworzyłem. Służący, nawet jeśli zajrzał do środka, nie wiedział co począć z jej przemokłą zawartością; niemal natychmiast zacisnąłem palce na zwitku pergaminu. Westchnąłem, usiadłem, serce wciąż mi waliło. Gdy się tu znajdzie, jakże łatwo się usypia – dosłownie i w przenośni. Odwinąłem papierek i dotknąłem liczykamyka. W głowie zawirowały mi zamiecią chłodne cyfry. Czy ktoś jeszcze poza mną też to zobaczył? Zwinąłem papier z powrotem w kulkę i wetknąłem kamyk pod poduszki. Zjadłem kanapki, upiłem trochę wina. W szafie wisiały czarne garnitury i białe koszule. Gniazda frakowych kołnierzyków. Wodospady krawatów i fularów. Włożyłem piżamę, zgasilem lampy i położyłem się.

Cisza. Trzaski osiadającego na palenisku bierwiona. Słaby świst wiatru. Łoże było tak wielkie, tak białe i puste, tak ciepłe i tak chłodne; można było się w nim zgubić na zawsze. Przewróciłem się na drugą stronę. Duch Anny uśmiechnął się do mnie z drugiej strony poduszki, otuliłem dłonią jej policzek, ale dziś samo wyobrażenie mi nie wystarczało. W wannie zasnąłem od razu, tutaj śliski dotyk piżamy, poślizg prześcieradeł – to było dla mnie za dużo. Szum, bum... Serce tłuło się o materac. Jaskółki na ścianach były czarne jak nietoperze. Ciemny but czekał. Rzadko doświadczałem takiego luksusu jak bezsenność, a po takim dniu jak dziś, przed tym co czeka mnie

jutro, to już zupełnie absurdalne...

W ciemności pędziły pociągi. Z kuchni i zza ścian dobiegały głosy. *Robercie, nie śpisz jeszcze...?* Ogień zatrzeszczał iskrami. Wiatr i noc grały mi w głowie. Gdy usłyszałem obracaną klamkę, ta część mnie, która nadal została w Walcote House, zareagowała bardzo powoli. To była Anna. To musiała być ona. Cień się przesunął. Słup światła z korytarza spłoszył jaskółki. Odwróciłem się, zakręciło mi się w głowie od wiru prześcieradeł, a cienie płynęły po lesie toczonego, polerowanego drewna.

– Anno, to ty...? – wymamrotałem.

Odgłos czegoś ciężkiego wleczonego po dywanie. Potem zapach lasu i wody kolońskiej. Wstałbym, lecz byłem odrętwiały i dziwnie oczarowany odgrywaną przede mną sceną. Przed ogniem kucał człowiek ubrany w szeleszczący strój z suchych liści, w dziwnej masce. Oświetlony żarem, grzebał w wysokim bucie. W ruchach miał niemal ptasią nerwowość, a jego oczy, gdy wstał i zerknął na mnie przez otwory po sękach w korze, były czujne. *Czy to...?* Lecz nie była to pora na pytania. Zaszeleścił, zamknął drzwi i spadłem, koziółkując, prosto w sen – jakbym spadał pośród olbrzymich konarów w las o zmierzchu.

*

W świąteczny poranek korytarze Walcote House wypełniły radosne szepty. *Przyszedł do ciebie? Widziałaś go?* Wysypałem na łóżko zawartość buta. Notes ze srebrnym grzbietem. Wieczne pióro w pudełku. Czekoladki. Dzieci, które wstały tak wcześnie, że obsługiwała je już druga zmiana nianiek, biegały wokół, chłopcy w złotych napierśnikach, dziewczynki w srebrnych tiarach. W Brownheath rzadko słyszało się podanie o Królu Głupców, który ma kopyta i drewnianą maskę, w Wigilię schodzi z księżycą i okryty peleryną z liści rozdaje jabłka i orzechy; tu, w Walcote House ta legenda stała się rzeczywistością. Wiele osób znalazło na dywanach zeschnięte liście, czuło zapach dymu lub dojrzało w mroku jego sylwetkę. A na dachach, na nieskazitelnym śniegu pozostały jego półksiężycowate ślady. Wyglądając z okna, domyślałem się, że jakiś służący musiał ryzykować życie, by je tam odcisnąć, ale w Walcote House nigdy nie wiadomo. Goście uśmiechali się, widząc zdumioną twarz nieznanego, gdy wszedłem między nich, wciąż na wpół oszołomiony, ogolony i odziany w świeżutkie ubrania. Tak, u nich też był Król Minionych Zim, jak mówiły o nim dzieci, dorośli zaś wiedzieli, że to nikt inny, tylko sam arcycechmistrz – przybył do nich prosto ze snu, nawet w taki rok jak ten, gdy miał tyle innych spraw na głowie. Orzechy były złote. Jabłka to srebrne puzderka z zapachami. I perfumy dla kobiet i bransoletki wysadzone drobnymi klejnocikami tworzącymi ich imiona. Cygara dla panów. Szczotki do włosów z wytłoczonym dyskretnym monogramem, ale tylko dla tych, którzy nie łysieli. Pamiętałem błysk oczu spoglądających na mnie przez otwory maski ze starego drewna. Te prezenty zostały precyzyjnie przemyślane, nawet mój notatnik i pióro, co było jednocześnie przyjemne i przyprawiało o dreszcze.

– Czemu mnie nie ostrzegłaś? – zapytałem Annę, gdy wreszcie pojawiła się w pięknym niebieskim stroju, równie nowym jak mój.

– Walcote to podobno dom pełen niespodzianek. Poza tym – zerknęła na boki – na pewno nie jesteś taki głupi, żeby zostawiać coś na wierzchu, prawda, Robbie?

Szliśmy pod prąd, fala gości spieszyła ku aromatom bekonu, subtelnych przypraw, cichutkiemu skwierczeniu patelni, my zaś kierowaliśmy się na wyższe piętra.

– Tobie też to pokazała?

Staaliśmy samotnie na końcu korytarza, na ostatnim piętrze środkowego skrzydła, patrząc na pustą wierzbowozieloną ścianę. Anna skinęła głową.

– Byłam tutaj, kiedy pierwszy raz przyjechałam ze Świętego Judy. Zdaje się, że Sadie

przyprowadza tu każdego, na kim chce zrobić wrażenie...

Przesunąłem dłonią po gładkiej powierzchni.

– Byłem pewien, że to właśnie tutaj...

Przykucnęła, by przyjrzeć się boazerii bez śladów łączeń. Włosy miała upięte, ukazywały srebrzysty puszek na jej karku, odcinający się od białego kołnierzyka sukni. Gdy kucnąłem koło niej i zastanawiałem się, jak mogłem być tak głupi, by wyobrazić sobie, że Easterlies jej nie zmienia, poczułem, że pachnie inaczej – świeżą kąpielą. Wtem coś mruknęła. Rozległo się brzęknięcie, jak uderzenie zegara czy dźwięk dzwonka, i na ścianie pojawił się zarys drzwi. Wyciągnąłem rękę, lecz wtedy zniknął. Anna powtórzyła słowa, coś dodając. Drzwi zarysowały się mocniej, ale znów zniknęły. Nie tyle usłyszałem, ile poczułem coś zatraskującego się ze zgrzytem.

Anna wstała i oparła się dłonią o ścianę. Myślałem, że próbuje innej metody, wyglądało jednak, że po prostu się tak opiera.

– Dasz radę to zrobić?

– Nie wiem. – Nabrała powietrza. – Walcote to nie jest zwyczajny dom. Te drzwi strzegą dostępu do sekretu wielkiego cechu. A poza tym jestem głodna. Chodźmy coś zjeść.

*

Jedzenie podano w tej samej sali jadalnej co latem. Goście gawędzili ze sobą, gestykulując widelcami, uśmiechali się i ocierali sos z twarzy białymi serwetkami wielkości prześcieradeł. Ośnieżony ogród za oknem lśnił cały. Do jadalni dostało się parę choinkowych ptaszków. Ich ćwierkanie i trzepot wznagały ogólny gwar.

NastępneneznaleziskoSadie. Nie żeby ktoś to wypowiedział na głos, gdy nakładałem na talerz kopiastą porcję grzybów i jajecznicy z kiełbaskami, ale spojrzenia mówiły to samo. W końcu niedawno, latem, zostałem zaproszony, potraktowany protekcjonalnie, wyszydzony, wytknięty palcami. I odesłany z powrotem. To aż nazbyt urocza psota ze strony Sadie – zaprosić na własne wesele jednego ze swych pomniejszych absztyfikantów.

Wielu młodszych gości było, przynajmniej tak utrzymywali, przed Kaplicą Adwokatów tego wieczoru, gdy wyższy mistrz George zamienił ją zaklęciem w ruinę. *Znałeś go, prawda? Chyba zawsze był taki trochę...* Dla tych ludzi, popijających kawę i szepczących o nocnej wizycie Króla Głupców, wyższy mistrz George Swalecliffe nie był uwięzionym w domowym areszcie bohaterem angielskich zdeklasowanych cechmistrzów – dla nich właściwie już nie żył. Potem skupili uwagę na Annie Winters. Czego się domyślali? Ile wiedzieli? W Kaplicy Adwokatów wydarzyło się coś więcej; chyba niemożliwe, by Sadie nie rzuciła w towarzystwie paru aluzji. Lecz Anna Winters jest tutaj, powstała z martwych w samą porę, by zdążyć na wesele przyjaciółki, jak jakaś postać z bajki. Powoli, acz nieubłagane przyciągnęła ich wszystkich, tak jak zawsze. Gdy dłonie wyciągnęły się ku niej, gdy rozkwitły uśmiechy, pomyślałem, że pani Summerton miała rację. Anna mogła była prowadzić swe życie jak gdyby nigdy nic. Chociaż sama Anna Winters chyba jedyna nie pasowała do tego błogiego świątecznego poranka. Tak, była taka sama, a jednak inna. Zmieniła się i nie zmieniła. Anna, którą widziałem teraz, w dziennym świetle, wydawała się węższa, jak cień. W takich sytuacjach jak teraz zawsze skupiała całkowitą uwagę ludzi na osobie, za którą pragnęli ją uważać. Ale wyczuwałem w niej wahanie.

Goście, zwabieni kolędami, zaczęli wstawać od stołu. Służący zbierali naczynia, marnotrawnie mieszając ze sobą parujące ostatki syropów, śledzi, śmietany i bekonu – mieszkańcy Caris Yard rzuciliby się nawet na takie zmieszane resztki.

– Ej, zostawcie to, dobrze?!

Nie musiałem się odwracać, by wiedzieć, kto się tak spóźnił. Spodziewałem się tu państwa

Bowdly-Smart. W końcu drobne incydenty, jak wtedy we Frederickville, szybko popadają w zapomnienie, a wiedziałem teraz, że sam arcycechmistrz ma powody, by czuć się wobec nich zobowiązany. Udając, że znów zgłódniałem, co było zupełną nieprawdą, wziąłem kolejny talerz i umyślnie podszedłem do wielkiego mistrza Bowdly-Smarta, który zasiadł przy stole. Zerknął w moją stronę i lekko się uśmiechnął. Potem mnie poznał. W tym samym momencie pojawiła się jego żona, wystrojona, połyskująca rubinami. Była zmieszana, co świadczyło o tym, że mąż jej nic o mnie nie mówił, podobnie jak nie wyjawiał jej tajemnic arcycechmistrza Passingtona. Wielki mistrz Bowdly-Smart wiedział o mnie sporo, ale ja o nim wiele więcej. On i jego sługusy może i szukali mnie ostatnio przez parę pracokresów, nie oznacza to jednak, że pragnął mnie znaleźć tutaj, w Walcote House. W każdym razie taką miałem nadzieję, choć przesuając się obok niego wzdłuż stołu z daniami, poczułem, co dziwne, coś w rodzaju wzajemnego szacunku. W końcu i Stropcock, i ja przybyliśmy tu z Bracebridge, pokonaliśmy niebezpieczną i męczącą drogę, zachowywał się więc dokładnie tak, jak postąpiłbym ja na jego miejscu, to znaczy – nie robił nic, po prostu czekał. Oddałem pełny talerz służącemu i zadowolony odszedłem.

*

Śnieg odbijał błękitne niebo, a cały oświetlony dziwoblaskiem świat znaczyły czarne głównie poruszających się sylwetek i migoczące, półprzejrzyste drzewa. Ścieżka została wyrównana i obstawiona płonącymi koksownikami. Większość młodszych gości poszła gdzie indziej – jeździć na łyżwach po zamrożonym jeziorze. Pnie niby lip przede mną przypominały ogromne pionowe maźnięcia pędzlem. Śnieg poskrzypywał jak żywiczne drewno pod podszewkami nowych butów.

Stajnie były płataniną klujących w oczy ciemnoniebieskich cieni, w których – i wokół których – zgromadziło się około setki gości. Wiele twarzy wydawało mi się znajomych, choć nie rozpoznawałem nikogo, nie było tu też Anny. Nagle zza drzew dobiegło gniewne buczenie. Ludzie zaczęli klaskać, bo nadjechały sanie, i to zaczarowane: same się ciągnęły. Siedziała w nich Sadie, w futrach, a obok niej otulony jaskraworudym lisim kołnierzem swej ogromnej szuby, wielki mistrz Porrett, który manewrował kopczą machiną między drzewami. Zahamował z kłopotem. Wsiadając, skłonił się, Sadie zaś po prostu stała i słuchała owacji. Potem ukazał się sam arcycechmistrz Passington i mroźne powietrze zamarło, słychać było tylko osypywanie się śniegu z gałęzi oraz odległe pokrzykiwania łyżwiarzy. Arcycechmistrz był w prostym, czarnym płaszczu.

Głowę miał gołą, włosy równie czarne jak zawsze. Wysoki mężczyzna, pomyślałem, stworzony do tej roli, ludzie go uwielbiają. Naturalnie dziś rano był nieco znużony i blady, z cieniami pod oczyma po nocnym obchodzie, ale przydawało mu to tylko stateczności. Uśmiechy igrające na twarzach kobiet, solenne uwielbienie mężczyzn – coś takiego widziałem tylko u ludzi gromadzących się wokół Anny, jego jednak czczono o wiele bardziej otwarcie. Jakby jednocześnie był i nie był człowiekiem. Osiągnął szczyt, mogłem go teraz zabić, rzucić się naprzód z nożem, wrzeszcząc co siłą. Mogłem mieć, jak George, swoje małe, bezsensowne pięć minut. Na śniegu pojawiłaby się krew. Potem wywieźliby mnie i Wiek trwałby nadal, bez zmian. Ktoś inny wspiałby się na zwolniony szczyt piramidy. Aby zniszczyć go naprawdę, śmierć to za mało. Musiałem go obalić.

– Przyszedł tu do mnie pewien cechmistrz – popłynęły słowa wielkiego mistrza Harrata. – Pewnego wieczoru czekał na mnie w hallu, mimo że pokojówki twierdziły, że go nie wpuszczały. Dlatego od razu wiedziałem, że ma władzę. Wyglądało, że już drzemie w nim ta moc, choć jeszcze nie rzucił zaklęcia. A twarz miał taką, że w ogóle jej nie zapamiętałem, mimo że stał tuż przede mną; czułem nawet, jak jego peleryna pachnie deszczem...

Wsunąłem dłoń do nowiutkiej kieszeni i ująłem w palce liczykami; szliśmy wszyscy na stajenny dziedziniec, gdzie zamiecione ze śniegu jasnoczerwone cegły parowały w porannym słońcu,

otulając mgłą Sadie, która wzięła olbrzymie nożyce i przecięła różową wstęgę przewiazującą wrota jednego z boksów. Wielki mistrz Porrett bardzo się starał udąć zaskoczenie, gdy wyprowadzono stamtąd rdzawego jednorożca, rosłego jak koń pociągowy i płochliwego jak roczny żreback. Za nim wyszedł Gwiazdor, srebrno-czarny wierzchowiec Sadie. Oba zarżały i stanęły dęba jak piękne posągi, gdy wszyscy ustawiliśmy się przed nimi do dymiącego błysku fotografii.

Gdy szliśmy przez lśniący śniegiem plac, podeszła do mnie Sadie. Rosły tu kwiaty o pięknych kształtach i kolorach. Ale dotknij tylko tych zamarzniętych płatków, a rozsypią się.

– Biedny Gwiazdor – powiedziała. – Zaraz jak to się skończy, będę musiała się na nim przejechać, po prostu, żeby go uspokoić. No i wątpię, czy Isumbard kiedykolwiek wsiądzie na tego drugiego, on woli maszyny. – Zdjęła rękawiczki, pogrzebała w kieszeniach, westchnęła. – Odkąd byliśmy tu ostatni raz, wszystko się pozmieniało.

– Mówiłaś, że chcesz, żebym przyjechał zimą?

– Tak mówiłam? Cóż, no to jesteś. Ale gdzie Anna?

– Pewnie poszła na łyżwy.

– Tak, świetnie jeździ... Naprawdę musimy pogadać, wiesz? Na początek, dlaczego w ogóle tu przyjechaliście.

– To nie...

– Robercie, ja jestem już duża. Nauczyłam się zauważać to i owo, więc nie wciskaj mi głupot. Ale chciałabym, żebyś to zobaczył... – Wskazała brodą pomiędzy drzewa, gdzie w niebo pięła się skomplikowana metalowa kopuła czegoś, co przypominało średniej wielkości kościół. – Upierałam się, żeby to się odbyło jutro po ślubie. Nie zapomniałam jeszcze wszystkich rodowych tradycji.

Kopuła była z kutego żelaza i przypominała olbrzymią klatkę dla ptaków. Zwierzę w środku, spłoszone naszą obecnością, z krakaniem przefruwało z grzędy na grzędę, a grzędy były grube jak pnie drzew. Ludzie podchodzili bliżej – co bardziej wrażliwi trzymali się z tyłu – i wszyscy rozprawiali, jak to w tym roku Cech Zwierzmistrzów jeszcze raz przeszedł sam siebie. Smok był jeszcze większy niż jednorożce, ale kiedy rozpościerał skrzydła i skrzeczał, wzbijał z kałuży na dnie klatki powiewy amoniaku, takie same, jak pamiętałem z owego dziesiątka, kiedy z matką staliśmy przed kojcem na króliki na nadrzecznych łąkach. Domyślałem się, że bożonarodzeniowe polowanie na smoka jest w Walcote House wielką imprezą, a Sadie i jej ojciec są jego najbardziej zapamiętanymi amatorami. W idealnym świecie jednorożce przesywałyby stwora rogami, w rzeczywistym jeźdźcy zbroili się w lekkie włócznie. Smok umiał latać, ale przed wypuszczeniem podetnie mu się skrzydła; z rozczarowaniem dowiedziałem się także, że nie potrafi ziać ogniem. Obnażył ostre zęby i wrzasnął ogłuszająco. Z tłukących o pręty klatki koniuszków skrzydeł pryskały krople krwi. Ludzie zaczęli się wycofywać, aż pozostała tylko Sadie, ja i arcycechmistrz, który patrzył na smoka. Stwór przestał wrzeszczeć, znieruchomiał, odwzajemnił jego spojrzenie. W tłumie zapadła dziwna cisza. Z dali wciąż dobiegały okrzyki łyżwiarzy, a ponad nimi ujadanie psotworów. A ponad tym jeszcze... lecz arcycechmistrz odwrócił się i gestem zaprosił gości do wielkiego domu na bożonarodzeniowe przyjęcie.

*

W oświetlonych słońcem hallach podawano gorącą czekoladę. Wyglądała jak błoto, ale smakowała niebiańsko, więc kiedy odnalazłem Annę na jednej z wielkich sof przy zakręcie wschodnich schodów, piłem już trzecią czy czwartą filiżankę. Anna miała powieszona na szyi łyżwy. Kosmyki włosów wyplątały się spod jej hebanowych spinek. Poza dwoma rombami rumieńca na policzkach była bardzo blada.

– Widziałaś się już z Sadie? – zapytałem.

– Poszła pojeździć na Gwiazdorze. Ale przekazali mi, że ona nadal chce, bym była główną druhną. Uwierzyłybyś w to?

– Nie wydaje mi się, żeby nawet ona w to wierzyła. – Przechyliłem do dna parującą, srebrną filiżankę. – Po tym, jak ze mną rozmawiała.

– Ależ my planujemy ją zdradzić!

– Masz wątpliwości? Myślałem...

– Dziwisz mi się? – Odczekaliśmy, aż minie nas dwoje gości. – To dla mnie ostatni dzień takiego życia – dodała spokojniej. – Obojętne co się jutro zdarzy, nic już nie będzie takie samo. Jak ci się zdaje, czemu tu siedzę? Jak ci się zdaje, czemu poszłam na łyżwy?

– Przykro mi. – Westchnąłem i machnąłem na przechodzącego służącego, chcąc kolejną czekoladę. – Ja zawsze... au! – Wykręcił mi palec, wrywając pustą filiżankę, i odszedł. – Co mu się stało?

– Robbie, ty dobrze wiesz. Większość tutejszych pracowników pochodzi z rybackich rodzin, z Folkestone i Saltfleetby, a w wędzarniach był lokaut, jakieś problemy z cechami. Tutaj też źle się dzieje. A może był po prostu zmęczony i zdenerwowany, bo służący, tak jak wszyscy, lubią te dziwne słowa, „proszę”, „dziękuję”, nie zauważyłeś?

*

Świąteczny obiad zaczął się w południe w wielkim hallu, o szóstej miał się zakończyć ceremonią w kaplicy, po której z kolei, około północy, miał rozpocząć się bal. Wydawało mi się, że to absurd – rezerwować sześć godzin na posiłek, ale jak zwykle nie doceniłem rozdętego przepychu Walcote House. Goście wchodzili do sali pomiędzy smukłymi, białymi filarami oplecionymi ostrokrzewem i od razu byli częstowani czymś, co niewydukowanym mogłoby wydać się pełnym posiłkiem. Słodkości i łakocie; orzechy i jagody; wina bursztynowe, rubinowe, różowe i rdzawe. Tym razem siedziałem tuż obok Anny, a przede mną nie stały żadne wielkie kwiatowe dekoracje. Usadzono nas z dala od głównego stołu, pośród gości z ostatniej chwili, którzy najwyraźniej wszyscy chcieli opowiedzieć sążniste historie, tłumaczące, jak się tu znaleźli...

– A pan i pani?

– Ach... – Anna zerknęła na mnie. – My jesteśmy starymi przyjaciółmi z Yorkshire.

Kelner nalał zupy do miseczki, którą postawił przede mną. Wybrałem właściwą łyżkę z zewnętrznego brzegu nakrycia i zwracając od siebie, zanurzyłem w zupie. Nawet nie zrobiłem miny, kiedy zielony płyn okazał się zimny. Pomimo wielu innych zmartwień, w Czytelnicy Publicznej znalazłem czas, by przestudiować książkę o savoir-vivre. Rzuciłem spojrzenie Annie, właściwy kieliszek w niemym toaście za zdrowie wyższego mistrza George’a.

Później podano turbota z wody i łososia w majonezie. Główne dania zaczęły się od kszyków, potem ortolany, potem jarzabki, potem bażanty, potem kaczki, potem słonki, potem gęsi, wszystko przetykane sorbetami, sałatkami, galaretami i truflami. Jednak większość ciepłych dań, zanim do nas dotarła, była zimna, zimnych zaś – letnia. Może wcale nie jest tak zabawnie być bogatym, pomyślałem, spoglądając poprzez labirynt znudzonych twarzy ku głównemu stołowi. Brązowa łysa głowa wielkiego mistrza Porretta podskakiwała, gdy zajadał zajączka w śmietanie i od czasu do czasu rzucał głodne spojrzenia Sadie, choć arcycechmistrz obok niego prawie nie jadł, a jego żona całkiem nie miała apetytu. Teraz zachodzące słońce zalewało blaskiem cały hall. Dzieci dawno już wypuszczono od stołu, biegały po całym domu. Zazdrościłem im, aż tu nagle pojawił się służący, dotknął naszych ramion i wyprowadził z jadalni.

Tak zwana kaplica, do której nas zawiódł, była w istocie olbrzymim kościołem. Tutaj

celebrowało się wszelkie wydarzenia w rodzinie Passingtonów z jej rozległymi koligacjami i przymierzami. Z tego balkonu spadła i zabiła się trzecia żona arcycechmistrza, ten oto fragment posadzki ma krwawe plamy, których nie usunie żadne szorowanie. Kanonik Vilbert, lekko podпиты, był we wspaniałym humorze, oprowadzając mnie i Annę po tej wielkiej, słodko pachnącej bożej posiadłości, którą członkowie Cechu Zielmistrzów na dzisiejszą ceremonię pracowicie dekorowali pędami ostrokrzewu, borówki i żarzącego się ogniście świetlika.

– Oczywiście przed jutrzejszym ślubem wszystko to się zdejmie i założy... ach, oto i ona.

Sadie, ubrana w strój do jazdy konnej, w tłumnym orszaku druhen, paziów i służących, pędziła nawą.

– Panno Sadie, ośmielę się zauważyć, że jutro będzie trzeba iść dużo wolniej. Ale właśnie dlatego tu wszyscy jesteśmy... – Klasnął w dłonie.

Orszak ślubny, w dziwnych pomieszanych strojach, ustawił się według wzrostu. – Ty stań, proszę, tutaj. – Złapał służącego. – A ty stań tutaj.

– Nie powinniśmy zaczekać na arcycechmistrza i družbę? – zaoponowała.

Kanonik Vilbert westchnął.

– A jak myślisz, po co tu jesteś?

W końcu Porrett robił to już trzykrotnie, pomyślałem, gdy Sadie, Anna i ich świta wymaszerowali z kaplicy, by móc wejść do niej jeszcze raz. A przecież arcycechmistrz jednego z najwyższych i najpotężniejszych cechów nie będzie się kłopotał czymś takim jak zwykły, choć niezwykle wystawny ślub.

– Gdzie jest organista? – denerwował się kanonik. – Powinien już tu być. Sprawdźcie w salach bilardowych...

Prawie żałowałem, że nie jestem na uczcie i nie opycham się gruszkami, winogronami i nektarynami. Było to jednak dziwne uczucie, tak stać na miejscu samego arcycechmistrza i oczekiwać na swą córkę, Sadie, która pojawiała się i znikwała wśród jękliwych poleceń kanonika Vilberta – Nie tam, tutaj; nie tak, ale tak – Sadie wreszcie wzięła mnie pod rękę, potem kamerdynera, mrużąc coś, co sprawiło, że uśmiechnął się i zaczerwienił. Funkcje obrączki pełnił olbrzymi pierścień, wielki i ciężki jak gałka od drzwi, zdjęty przez kanonika z własnego tłustego palca. Dzisiaj, gdzieś daleko poza tymi murami, miał się zacząć normalny, cechowy pracokres. Tu jednak trwał dzień Świętego Szczepana. Nawet gdyby nie było ślubu, w Walcote świętowałyby się nadal, gdyby wszystko poszło jak należy, to aż do Nowego Roku i dalej, do dnia Objawienia Pańskiego.

Kanonikowi udało się w końcu – krok i przerwa, krok i przerwa, moja droga – sprawić, by Sadie odpowiednio wolno kroczyła nawą, potem razem z kamerdynerem wygłosili przysięgę. Ksiądz odwrócił się do ołtarza. Otworzył srebrną szafeczkę, wyciągnął kielich, przyklęknął i nalał sobie miarkę hymnicznego wina.

– Może nam też, co? – zapytała Sadie.

Kanonik, uśmiechnięty jak nigdy, już miał coś tłumaczyć, lecz Sadie wyrwała mu kielich, wypła do dna i z tupotem wybiegła z kaplicy.

*

Wanny napełniały się wodą. Ludzie wciskali się w uroczyste stroje przed lustrami, przygotowując się na wieczorny bal.

– Co byłoby gorsze, tak sobie myślę? – mrużała Anna. – Wyjeżdżamy stąd i nic się nie zmienia, czy... – Przesunęła dłonią po wierzbowozielonej ścianie. – Pamiętasz coś z tego, co mówiła Sadie?

– A ty?

– Robbie, ja to słyszałam lata temu. Myślisz, że pamiętam każde zakłęcie?

Czekałem i rozglądałem się po pustym korytarzu. Anna powiedziała coś. Nic się nie stało.

Zagryzła usta.

– Może powinienem rozejrzeć się za kilofem? – zasugerowałem.

– Ta ściana i ta wieża za nią przetrwałyby nawet jakbyś rozbił w pył cały dom...

Pochyliła się, przyciskając ucho do ściany. Kiwnęła głową i cofnęła się, pocierając ramię, krzywiąc się lekko. A potem, całkiem nieswoim, łamiącym się głosem, wymówiła długie zdanie. Cisza. Dom zdawał się wstrzymywać oddech. Potem drgnął, a Anna zatoczyła się i cofnęła, gdy sypiąc tynkiem, przez sufit przepęłzło zygzakiem długie pęknięcie. Lecz ściana wciąż stała. Drzwi pozostały niewidzialne.

– Teraz wie, że tu jesteśmy. Dlatego stawia opór.

– Nie możemy po prostu...?

Urwałem. Szeleszcząc, pojękując, coś wielkiego i białego toczyło się ku nam korytarzem. Była to Sadie w ślubnej sukni. Za nią pędziło kilka krawcowych ze szpilkami w ustach, podszczypując i robiąc zakładki na tkaninie.

– Co wy tu robicie? To moja prywatna część domu! – Zobaczyła pęknięcie na suficie. – Chyba lepiej będzie, jak sobie jednak porozmawiamy. A wy... – gestem odgoniła zbite w gromadkę krawcowe – ...dajcie mi wreszcie spokój! Macie jeszcze całą noc, żeby doprowadzić to cholerstwo do porządku.

Zabrała nas do swego pobliskiego apartamentu, gdzie w nieładzie walały się ubrania i prezenty.

– Zdaje się, że te są ślubne – rzuciła beztrąsko. – A te na Gwiazdkę. Weźcie sobie, jak coś się wam spodoba. – Przeciskając się krynoliną między lśniącymi meblami, wysunęła górną szufladę komody. – Och, dzięki Bogu! – Zamachała paczką papierosów. – Robercie, możesz jednego dla mnie zapalić? W tym czymś nie wolno mi się zbliżać do ognia.

Opadła na olbrzymią sofę obok połyskującej choinki, a suknia, wzdychając i sypiąc iskrami, powoli osiadła wokół niej. W tkaninie znalazł się oślepiający poranny śnieg, tuż obok, jak ze znużeniem nam pokazała, zawijasów cechowych zakłéc Telegrafistów i Pobielaczy. Suknia była imponująca, z obręczami, łukami, naeteryzowana, usztywniona fiszbinami, a Sadie, gdy to wszystko skrzyło się, szeleściło i wiło, wyglądała na zagubioną w tych fałdach, gdy zaciągała się papierosem i w roztargnieniu strzepywała popiół z biustu.

– Słyszeliście? W Dudley była jakaś wielka demonstracja. Dwadzieścia osób zginęło, jest stu rannych. Główna linia telegraficzna na północ została zniszczona.

– Czy to oznacza, że nie można wysyłać wiadomości?

– Robercie, jakże to miło z twojej strony, że przejmujesz się sprawami mojego cechu. Wiadomości nie przestają płynąć, bo wywrócono jeden nędzny słup. Ale cóż to za bezsensowna destrukcja! Chodzi o ten Wiek, tak? Tylko dlatego, że jest rok dziewięćdziesiąty dziewięty, każdy partacz i pomniejszy cechowy uważa, że jest jakaś wielka potrzeba zmian. Ludzie co sto lat spodziewają się czegoś nowego! – Roześmiała się. – Nie do wiary!

Usiedliśmy z Anną i czekaliśmy. Pomyślałem: teraz nas oskarży. Wyrzuci nas. Sadie jednak odpaliła kolejnego papierosa od tamtego i zaczęła mówić o wielkim mistrzu Porretcie. Jak się okazało, dwie jego żony zmarły podczas porodu, urodziwszy martwe dzieci, trzecia nadal żyje, choć niezupełnie jest sobą. Jego życie osobiste było smutne, ale w zachowaniu nadal jest zadziwiająco młody, jeśli przejść do porządku nad trzęsącymi się dłońmi i łysą głową. Twierdzi nawet, że jest płodny. W kontrakcie pomiędzy dwoma cechami zapisane jest, że ona urodzi dzieci. A jeśli się nie

uda – wzruszyła ramionami i zmrużyła oczy od dymu – coś się wymyśli. Podczas ich pierwszego posiłku we dwoje powiedział, że lubi malować, więc Sadie się ucieszyła, zobaczyła w nim miłośnika sztuki. Lecz on miał na myśli inne malowanie – to, co jego cechowi robią z pędzlami na poręczach i balustradach. Jedyne ich wspólne wyjazd spędzili na odnawianiu pokrytych grzybem ścian jednego z jego brzydkich dworców. Sadie знаła teraz zakłęcia spowalniające przenikanie i powstawanie bąbli na tlenku miedzi, którym pokrywa się żeliwo, a pod paznokciami miała – popatrzcie, widzicie? – nieusuwalne błękitne półksiężycy z kobaltu.

– A wy oboje jesteście tu z powrotem – powiedziała w końcu – i wyglądacie niemal jak para. Ale to nie w twoim stylu, prawda, Robbie? Ani twoim, Anno. George siedzi w więzieniu, w Londynie panuje chaos, a ja wychodzę za mąż i jakoś nie wydaje mi się, żebyście przyjechali tu świętować. Próbowałam, a raczej usiłowałam próbować dowiedzieć się, kim jesteś, Anno, i skąd pochodzisz. Ale po co psuć tajemnicę? – Zapaliła kolejnego papierosa i zdusiła poprzedniego w kryształowej popielniczce, którą piastowała wśród fałd sukni na kolanach. Sypnął kilkoma iskierkami odbitymi w jej szeptokamieniach. – Czego tak naprawdę chcecie?

– Sadie, nie ma w tym żadnej tajemnicy – zacząłem. – Jesteśmy tu po prostu dlatego, że...

– Nie! – Głos Anny zabrzmiał szorstko. Suknia Sadie zaszeleściła głośnie. – Nie. – Anna poza dwoma punktami rumieńców na policzkach i sinawym odcieniem ust twarz miała niemal całkiem białą. – Dość już kłamstw. Sadie, należy ci się prawda. Potem sama zdecydujesz, co z nią zrobić...

Anna opowiadała o swoim dzieciństwie u pani Summerton, o nauce małych oszustw, w których w końcu stała się tak biegłą. Potem jej życie u Świętego Judy, tożsamość Anny Winters, w którą uwierzyła jak wszyscy inni. Lecz przeszłość ją wytropiła. Wtedy ja, wyzbywszy się ostrożności, zacząłem własną opowieść, od pierwszej wizyty w Redhouse, spotkania z Anną, wówczas Annalise, i jak nasze historie rozdzielały się i splatały, Redhouse, Londyn, Bracebridge. Nasze losy były związane nawet teraz, gdy siedzieliśmy w oświetlonym kominkiem pokoju, aż doszliśmy w końcu do doświadczenia z chalcedonem, śmierci naszych matek, wielkiego mistrza Harrata i człowieka, który był kiedyś Edwardem Durrym, do państwa Bowdly-Smart, dudniących na pusto maszyn eterowych Bracebridge i końca eteru, wreszcie do decydującej roli, jaką w tym wszystkim odegrał jej ojciec.

Kominek pulsował światłem. W trakcie opowiadania Anny Sadie wypaliła wszystkie pozostałe papierosy.

– Ile z tego potraficie udowodnić? – zapytała. Anna zastanawiała się chwilę.

– Większość.

– Nic dziwnego, że mój ślub jest taki ważny, skoro nasz cech naprawdę jest bankrutem! I wiecie, co się stanie, jeśli to wyjdzie na jaw... ale dlatego tutaj jesteście, prawda, dlatego próbowaliście się dostać do Obrotowej Wieży...

– Sadie, my chcemy stworzyć lepszy Wiek.

– Albo zniszczyć mój cech. Tak też można na to spojrzeć, zgodzisz się, Robbie?

Nie trzeba było już nic mówić. Sadie знаła prawdę. Musi sama zdecydować, co zrobić.

– Wiecie, mój ojciec – powiedziała w końcu – nie jest złym człowiekiem. Jeśli zrobił coś nie tak, przy czym ucierpieli ludzie, musiał mieć ważne powody. A było to tak dawno. Sami powiedzieliście, że eksperyment z chalcedonem się nie udał, co znaczy, że to, co się stało, nie było umyślne. Ty mówisz o nim, Robbie, jakby był diabłem wcielonym. To nieprawda. A podwójna księgowość w fabryce – czy to zbrodnia, że ludzie w waszym mieście są zamożni i zadowoleni? Dla was to wszystko takie proste, bo całe życie przeżyliście poza cechem. Pomyślcie: skąd wzięło się to

zaklęcie w chalcedonie? Naprawdę myślicie, że pokazując tatę palcem, dotarliście na koniec tropu?

Nie powiedziałem nic. Długo tropiłem potwora, mrocznego cechmistrza. I nie zamierzałem pozwolić, by Sadie mnie go pozbawiła.

– A ty, Anno, wyobrażasz sobie, że mogliby cię zamknąć u Świętego Błate’a? Kogoś tak pięknego i utalentowanego jak ty? Co by się stało, gdybym pociągnęła za ten sznur, zadzwoniła po straże domowe? – Sadie pokręciła głową, zmieła pustą paczkę po papierosach i cisnęła ją do kominka. – Anno, co ty byś zrobiła? A ty, Robercie, do czego byś się posunął, żeby mnie zatrzymać? Naprawdę umielibyście kogoś zabić? – Powoli, z wysiłkiem i szelestem, wstała. Trzymała dłoń na szeptokamieniach na szyi. – Jak bardzo tego pragniesz, Robercie, cokolwiek to jest? Bo nie Anny, i na pewno nie mnie, ani nikogo i niczego w tym domu, ani nawet w Londynie... – Powolutku podsuwała się w stronę zdobionego frędzlami sznura dzwonka, lecz nagle, skrzywiwszy gniewnie usta, szarpnęła za naszyjnik z szeptokamieni, który spadł z jej szyi. Jeden kamyk błysnął w jej dłoni, potem ze stukotem przesypała je na niski stolik.

– Sadie, ja...

– Mistrzu Robercie, nie dziękuj mi. Nic nie mów. Nie zrobiłam tego z żadnego powodu, z którego mogłabym być dumna, nie zrobiłam tego dla twoich przeklętych obywateli. Zrobiłam to, bo jestem wielką cechmistrzynią Sarą Passington i jestem samolubna jak cholera.

I ze świstem bieli wyszła z pokoju.

*

Taką sztuczkę zna wielu cechowych. Na skraju jakiejś budowy albo przed zionącymi upałem drzwiami odlewni my, dzieciaki z Coney Mound, zbierałyśmy się wokół tynkarza czy kowala, który znudził się robotą na tyle, by pozabawiać nas przez parę minut, póki brygadzysta nie patrzy. Brał ze słoja czy kielicha parę resztek, potem pół garści suchej ziemi, spluwał w nią, kształtował, lepił swymi wielkimi, szybkimi dłońmi coś małego, twardego i ładnego, mruczając przy tym. Potem pokazywał to nam – patrzcie, chłopcy: piesek, kwiatek, albo – śmieiej – naga kobieta. Czasem nawet pozwalali nam figurki dotknąć – była lekka, gorąca i szorstka. Przeważnie musieli powiedzieć, co to takiego, mnie jednak i tak fascynowały te przedmioty, zaś najciekawsza część pokazu była na końcu, kiedy cechowy zabierał nam ten drobiazg, zamykał go znów w dłoniach i dmuchał lekko między nie, jak na żarzący się węgielek. Puff! Rozkładał ręce i śmiał się, gdy my, smarkacze, staliśmy ogłupiali w chmurze bezpostaciowego pyłu.

Od czegoś do niczego. Dmuchięcie, tchnienie zaklęcia, potem rozpad, zniszczenie. Tym właśnie owego świątecznego wieczoru w Walcote House był dla mnie szeptokamień Sadie i wszystkie cechy Anglii. W Londynie oraz w wielu innych miastach i miasteczkach niebawem zabrzmiał sygnał dla ludzi, by ruszyli do ataku. Tajemnica czy jawność – teraz nie miało to znaczenia. Zamiast nocy świętojańskiej mieliśmy zimę. Ci obywatele wymaszerują zaraz ku tyłom i miękkiemu podbrzuszu Northcentral, ku fabrykom, bramom odgradzającym bocznice, drzwiom maszynowni. Może karabiny Saula coś zmienią. A może żołnierze, strażnicy i policjanci – też członkowie cechów, też ucierpieli w ostatnich czasach – nie przeciwstawią się od razu. Nikt tego nie wiedział. A tymczasem ci, którzy wydawali im rozkazy, przygotowywali się do świątecznego balu, mającego trwać, tak jak krwawa łaźnia, od północy aż poza świt.

Gdy wychodziliśmy z Anną z apartamentu Sadie, korytarze roiły się od ludzi. Teraz niebezpiecznie byłoby otwierać drzwi do Obrotowej Wieży, nawet mając szeptokamień – poza tym jeszcze nie nadeszła godzina, na którą się z Saulem umówiliśmy. Nie mieliśmy więc nic lepszego do roboty, jak wrócić do naszych pokojów i udawać, że szykujemy się na bal. Na kapie łóżka leżał garnitur, rozłożony jak elegancki trup. Usiadłem. Wstałem. Wyrzałem przez okno na ośnieżony

zagajnik. Postanowiłem nie kapać się drugi raz. Dotknąłem jaskółek na ścianach. Rankiem wszystko to, w ten czy inny sposób, zostanie mi odebrane. W nadchodzącym Wieku Walcote House mógł się stać hotelem, przytułkiem, uniwersytetem obywatelskim, ruiną bez dachu porośniętą bluszczem, ale w swym sercu, a także w moim, pozostanie taki, jakim go zapamiętam dzisiaj. Ludzie idący korytarzami na bal mogli być równie pozbawieni uroku, jak najgorsi mieszkańcy osiedli na Easterlies, ale sam budynek miał w sobie piękno i usidlał bogactwem. Smutno byłoby to stracić.

W pełnym wieczorowym rynsztunku, we fraku i białej muszce, chwyciłem szeptokamień Sadie. Usłyszałem oddech Walcote House, szeleszczący zapachem ostrokrzewu i ciemnością. Pomyślałem o tych wiosnach tutaj, których już nigdy nie zobaczę, o rozświetlonych ogniskami jesieniami, dniami i nocach jak ze snu. Teraz dom mienił się barwami i światłami, gdy w sali balowej Mistrz Ceremonii zaczął wyczytywać nazwiska. Ukłony i uśmiechy, zapraszająca muzyka, szelest karmazynowej i zielonej tafty...

Pospieszne pukanie.

– Robbie? Jesteś tam?

Anna również się wystroiła. Zamrugalem, gapiąc się na nią. W czerwonej sukni, z obnażonymi ramionami...

– Wyglądasz...

– Może zrobmy to wreszcie, zanim ktoś się dowie albo oboje zmienimy zdanie.

Lecz nikt nas nie podejrzewał, w każdym razie nie para, którą zauważyłem w lustrach, kiedy przemierzaliśmy puste korytarze: oboje byli elegancy, przystojni i dumni.

To, że sufit nad wierzbowozieloną ścianą wciąż był pęknięty, było dla nas nieomal niespodzianką.

– Masz liczykamyk i szeptokamień Sadie?

Anna wzięła je ode mnie, gdy ja nerwowo obserwowałem pusty korytarz. Ścisnęła szeptokamień w dłoni. Drzwi zarysowały się i zaczęły otwierać, jeszcze zanim skończyła zakłęcie. Wskoczyliśmy do środka, zamknęły się z hukiem, a my pędziliśmy w górę kamiennymi spiralnymi schodami. Przez chwilę, gdy tak biegła przede mną, czułem się, prawie jakbym wrócił do tamtego hotelu w noc świętojańską, kiedy nie szukaliśmy niczego poza kompletem porządnych ubrań; lecz zaraz dotarliśmy na szczyt Walcote House.

Nie było chmur, księżyc stał wysoko, a jego światło zalewało ziemię, rzeźbiąc każdy cień. Lśniło zamarznięte jezioro, a ciemna, oddychająca masa morza czaiła się pod gwiazdami za południowym murem. Tam, kalając śnieg, stał obóz straży z psotworami, a tam, wzdłuż Marine Drive, świeciło Saltfleetby, dziś tak wyraźne, że można było policzyć gonty na dachach, maszty statków cumujących w niewielkiej przystani. Dalej, jeszcze szerzej rozciągało się lśniące Folkestone. Tak samo w głąb lądu; daleko poza olbrzymimi, zawiłymi zwojami ogrodów widać było wioski i zagrody, siedziby ludzkie ciągnące się aż po szarą, żarzącą się masę przypominającą resztki dogasającego ognia – to z pewnością był Londyn...

Spojrzałem na Annę, a ona na mnie. Oddech zamieniał się w parę i zawisał w powietrzu. Oboje dygotaliśmy. Pod nami, w sali balowej, wzbierała muzyka, a blask z okien ostrymi smugami sięgał daleko w śnieżne zasypy ogrodu. Zegary wybiły północ. Zaczął się nowy trzeciak. Jeśli wszystko poszło zgodnie z myślą Saula, praca zaraz zostanie zakłócona przez pierwsze incydenty, gdy obywatele rozpoczną tłumny marsz. Lecz ja więcej od niego wiedziałem o potędzie cechów. W Londynie pierwsza zmiana telegrafistów zastępowała okrojoną załogę opiekującą się Anglią przez senne święta. Już wspięli się na górę Giełdy Dockland i tysiąca pomniejszych stacji nadawczych. Już przestali żartować i kładli dłonie na główniach. Tymczasem na Threadneedle Street posłańcy

dopalali wspólnego papierosa przed wielkimi giełdami towarowymi.

Głównia Obrotowej Wieży w świetle księżycy była smoliście czarna. Anna, błyskając ramionami, szeleszcząc suknią, obesła zamarznąłą balustradę, by się jej przyjrzeć. Głównia nie rzucała cienia.

– Chciałabym, żebyś mi pomógł.

– Co mam zrobić?

– Nie wiem.

Uniosła liczykami. Nasze palce zacisnęły się na nim i jeszcze raz zobaczyłem stronicę, które wyśpiewywał mistrz Simpson. Nic dziwnego, że Saul się wtedy uśmiechnął. Były tak proste, tak oczywiste. Po naszej długiej podróży, po wszystkim, co wydawało mi się, że wiem, problem sprowadził się do dwóch dokumentów, które były do uzyskania dla każdego partacza. Jeden to raport pogodowy z Bracebridge z ostatnich dziesięciu zim, z listą wielu pracokresów, w których tory prowadzące wokół Rainharrow na południe były zasypane śniegiem. Drugi, dotyczący tego samego okresu, to strona z raportu dla akcjonariuszy firmy Mawdingly & Clawtson, z listą dostaw eteru na bocznice Stepney. Dokumenty nie przystawały do siebie; eter przyjeżdżał na Stepney kiedy wcale nie mógł być wyekspediowany. Anna upierała się przy tej prostocie, kiedy postanowiłem rozgłosić wszystko na cały świat. Ludzie, mówiła, mogą naraz łyknąć tylko tyle. Poza tym nie są głupi – mogą wyciągać własne wnioski, dowiadywać się na własną rękę o wiele lepiej niż my. Teraz jednak wydawało się, że to prawie nic – parę nieczytelnych stron i drobna sprzeczność, nawet jeśli nadamy ją z najwyższym priorytetem z najważniejszej główki opatrzonej pieczęcią i zaklęciem Cechu Telegrafistów oraz Walcote House.

Zbliżyliśmy się ku główce, Anna wyciągnęła rękę. Spodziewałem się czegoś potężnego, straszliwego, czegoś, od czego kręci się w głowie, tymczasem w jednej chwili zanurzyłem się w ciepłym śpiewie. Nie było tu barier, nie było przeszkód. Byliśmy znani, byliśmy spodziewani... Telegrafy wiedziały, telegrafy rozumiały, telegrafy śpiewały. Moja świadomość rozplynęła się i połączyła z tysiącem innych – jakżeby mogło być inaczej? Cała Anglia, rudery i pałace, cechowi i cechmistrzynie, a nawet partacze... To było piękne i miało jeden prosty sens, którego nigdy nie dostrzegałem. Nie ma cechów, a właściwie jest jeden wielki cech, a my wszyscy jesteśmy jego akolitami. Śpiewaliśmy hymny na cześć eteru, nawet pływając w łonach matek; nasz ostatni oddech będzie eterowym zaklęciem. Tancerze w sali balowej pod nami – tak, oni też do tego cechu należeli, podobnie jak śpiący rolnicy oraz zmarznięci, gniewni mężczyźni zbierający broń na Caris Yard, a także telegrafiści, żeliwomistrzowie, kapitanowie na swych statkach pośród gór lodowych. Na innych szerokościach, w innych krajach, o innych obyczajach i językach, wśród chłopów pańszczyźnianych, wśród dzikich, wśród jeszcze niepoczętych istnień, wszędzie była ta sama piękna, niewinna pieśń...

Robbie! Musisz mi pomóc...

Ta głównia była także Anną. Łatwo, bez widocznego wysiłku lecieliśmy przez tunel, bramy, śluzy, wzdłuż słupów prowadzących nas przez mroźny wiejski krajobraz w stronę Londynu i sieci oplatającej Northcentral, która nawet teraz buzowała aktywnością. Nasz liczykami był w dotyku mały, twardy i gładki. Przenikaliśmy przez kamienne ściany domów cechowych, przez szkło i gips, papier i atrament. Ciężkie, naeteryzowane kamienie młyńskie w biurach telegrafów miały wiadomości dla kupców, bankierów i inwestorów. Od czasu do czasu jakiś cechowy unosił ze zdumieniem głowę, gdy mijaliśmy go niewidzialnym wiatrem, lecz dla mnie i dla Anny to wszystko sprowadzało się do pozostawienia zawartości liczykami tu i tu, i tu... Izba Złotnicza, skarbcie i sale giełd, złote fale bogactwa spiętrzały się, przepływając przez nas, a słowa i liczby już wyciekały jako wydruk na taśmie z notowaniami, jako stenogram przepisany przez kalkę lub odcisnięty przez

klekocące klawisze maszyn stenograficznych, których operatorzy pracowali zbyt szybko, by cokolwiek przeczytać; oni bowiem też byli częścią tego samego mechanizmu, tej samej pieśni – i nasza wiadomość, w miarę jak się mnożyła, kopiowana raz po raz, przypinana do tablic, wtykana do kopert i wysyłana, też się z nią spłotła.

Znowu zobaczyliśmy ośnieżone dachy Walcote House. Anna nie dotykała już głowni. Pod nami wciąż grała muzyka. Ochłodziło się. Księżyc świecił.

– Udało nam się?

– Nie wiem. – Pokręciła głową.

– A gdzie jest liczykamyk?

– Tutaj. – Uniosła zwęgloną bryłkę.

– To było aż zbyt... – Jak to nazwać? Łatwe?

Anna szczękała zębami, strzepując popiół z rąk na śnieg.

– Schodzimy na dół?

Dom był cichy, lecz w zalanej światłem sali balowej grała orkiestra, goście wirowali w tańcu. Obok nas przechodził służący, wysoko unosząc srebrną tacę. Anna chwyciła dwa kieliszki, potem jeszcze jeden, i opróżniła je, ich szlify błyskały jej na szyi.

– Jesteś pewna, że powinniśmy tu zostać?

– A co mamy teraz do stracenia? – Powstrzymała beknięcie, zupełnie jak nie Anna. Twarz miała bladą. Oczy jej pałały. – Zatańczmy!

Sufit wirował, kręciły się żyrandole, twarze i suknie wpływały w pole widzenia i uciekały, grano lansjera, potem kadryla. Szalony galop i powolne obroty, nogi, ramiona i stopy, wykroki i podskoki – oczywiście kiedy byłem z Anną, potrafiłem wszystko. Przez tkaninę sukni przesiąkał żar jej ciała i jej gorący, pszeniczny zapach. Była blada, twarz jej błyszcziała, na ramionach perlił się pot. Czuję się jak na szalonej karuzeli, zalewanej od góry opalizującym blaskiem kandelabrow. Wreszcie dałem za wygraną, lecz Anna nie przestała tańczyć. Chwyciła za rękę człowieka z dawnej paczki, jedną z twarzy z balu nad rzeką, i przyciągnęła do siebie, zanim zdążył pokręcić głową. Powlokłem się pod ścianę, dysząc ciężko. Nic się tu nie zmieniło i nigdy nie zmieni. Zauważyłem tylko jedno – choć nie od razu, bo byłem rozgrzany tańcem. Znacznie się ochłodziło, jakby ktoś otworzył okno.

Przerwa w tańcach. Orkiestrę zastąpił kwartet smyczkowy, goście ruszyli ku stołom o szponiastych nogach stojących na obrzeżu sali; podawano kolację. Popatrzyłem na zegar z cherubinami. Ich skrzydła minęły już wpół do trzeciej. Anna wzięła sobie talerz i kolejny kieliszek wina. Poszedłem za nią i patrzyłem z niedowierzaniem, jak nakłada sobie kopiasto kotlety i groszek. Dziś miała całkiem obnażone ramiona. Wydawała mi się tak doskonała jak nigdy dotąd – nie zauważyłem nawet, że Znak na jej lewym nadgarstku całkiem zniknął. Pochyliłem się ku niej.

– Nie powinnaś...?

– Ach, to. – Od razu wiedziała, co mam na myśli. Lecz mówiła na tyle głośno, że ludzie po obu stronach spojrzeli na nas. – Jakie teraz znaczenie ma taki drobiazg? – Machnęła łyżką do nakładania, by podkreślić swe słowa. Sos prysnął mi na gors koszuli. – O rany. – Zachichotała i złapała serwetkę. – Spluń tutaj...

Pokręciłem głową, dech mi zaparło.

– Nie to nie. – Goście przyglądali się, jak przyciska serwetkę do mojej piersi. Plama zniknęła. – No to już. – Popatrzyła na nich. – Na co się tak gapicie?

Goście zaszemrali. Plotka się rozeszła. W końcu o Annie Winters od tamtej nocy w Kaplicy Adwokatów różnie się mówiło. Jakie straszne słowa wykrzykiwał do niej nieszczęsny, obłąkany

wyższy mistrz George. A teraz ona... lecz w tej chwili Mistrz Ceremonii obwieścił, że następny taniec poprowadzi sam arcycechmistrz i jego córka, wielka cechmistrzyni. Twarze odwróciły się od nas – przynajmniej na razie – i skupiły na mężczyźnie i kobiecie wychodzących z dwóch przeciwnych stron na pusty, błyszczący parkiet.

Sadie była ubrana w wąską, nieco ponurą suknię w burzowych szarościach i błękitach. Odkąd ją widzieliśmy, niewiele zdążyła zrobić z twarzą i włosami, ale i tak wyglądała świetnie w porównaniu z otaczającymi ją kobietami w zwojach szeleszczących sukien, przesadnie strojnymi w zielsko. Jej ojciec też wyglądał doskonale. Może, pomyślałem, ci ludzie naprawdę są kimś szczególnym – w końcu czyż nie tak należało uważać? Wtem skrzypce jęknęły pierwszą nutą, rozgrywając melodię pełną wdzięku jak wysoka i elegancka para, która zaczęła się obracać. Przypuszczam, że nie byłem jedyną osobą, która obejrzała się na wielkiego mistrza Porretta; trudno było nie pomyśleć, że jest dla niej nieodpowiednią partią. Ten człowiek – ten mroczny cechmistrz i Sadie po prostu byli z jednej gliny. Sposób, w jaki ją obejmował, ściskając w talii rękoma, z twarzą prawie we włosach, byłby skandaliczny, gdyby chodziło o kogokolwiek innego; gdyby nie to, że tak do siebie pasowali. Nic dziwnego, że przekonał wielkiego mistrza Harrata i Edwarda Durry'ego do poniesienia ryzyka. Nic dziwnego, nawet teraz, że wirując po parkiecie, wydaje się płynąć ponad swym własnym, smukłym odbiciem.

Naprawdę robiło się coraz zimniej. Kobiety owijały się etolami, było też widać oddech arcycechmistrza wiszący pośród włosów Sadie, gdy dłonią dotykał szeptokamieni na jej szyi, przesuując je między palcami niby paciorki jakiegoś zmysłowego różańca. Wtem muzyka zmieniła rytm. Melodia, jak nigdy dotąd, zawibrowała bólem. Palce mrocznego cechmistrza pieszczące szyję córki znieruchomiały pomiędzy szeptokamieniami. Zauważył szczelinę po brakującym kamieniu. Tańczono dalej, a on coś mruknął do ucha Sadie, pytanie, czułość, zakłęcie, ona zaś odpowiedziała i dodała coś jeszcze. Nikt poza mną i Anną by się nie domyślił, że nie wymieniają czułych słówek. W zakończeniu ich tańca było jednak coś dziwnego i wstrząsającego. Muzyka urwała się, dwoje tancerzy się rozeszło. Jeden czy dwóch gości zaczęło klaskać, lecz ten dźwięk podkreślał tylko stukot obcasów arcycechmistrza, który wychodził z sali.

Nastąpiła przerwa. Na oknach smugami skraplała się para. Sadie stała samotnie. Jakaś cechmistrzyni zaczęła wrzeszczeć. Stała przy stołach, a wśród zamętu, który wytworzył się wokół niej, zauważyłem coś dziwnego. Pokrywka wielkiej srebrnej wazy sunęła po obrusie, zostawiając za sobą brunatny ślad. W końcu ktoś przyskoczył i ją uniósł. Pod spodem, wymazana sosem, lecz nie do pomylenia, kryła się olbrzymia smoczowesz. Dzielny cechmistrz deptał ją, aż zdeptał, a ponieważ służących nie było w pobliżu, zebrał resztki pokrywką. Kilku gości udało się na stronę z mniej lub bardziej ostentacyjnymi mdłościami.

Muzyka znów zagrała. Teraz było już przesywająco zimno, cóż więc robić, jeśli nie tańczyć? Świece się dopalały. Wałęsałem się gdzieś na obrzeżach towarzystwa, obserwując Annę, która wirowała, kręciła się, klaskała w dłonie. Już czas jakiś nie widziałem żadnego służącego, choć tace z trunkami wciąż były pełne, a ona, z okazji ostatniego tańca w tym Wieku, obficie z nich skorzystała. Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie stało się oczywiste, że to nie tylko nieudany bal, lecz coś więcej. Wielu starszych cechowych zebrało się w grupkach i rozmawiało w poruszeniu. Nigdzie nie widziałem nikogo z Passingtonów ani wielkiego mistrza Porretta. Orkiestra jednak grała; za każdym razem, gdy próbowali przestać, wołano, by grali dalej. Taniec za tańcem mijały godziny, obracały się skrzydła cherubinów w zegarze, muzyka była coraz bardziej piskliwa i nierówna, światła ciemniały i gasły, aż w końcu salę balową oświetlał tylko odbity od śniegu blask zachodzącego księżyca. Na parkiecie zostało już tylko kilka osób. W przerwach pomiędzy utworami, gdy muzycy błagali, by dać

im odpocząć, słyhać było charakterystyczne wycie i skomlenie psotworów. Lecz Anna wciąż tańczyła, nie przestawała.

– Robbie! – Chwyciła mnie za rękę. Oczy miała zapadnięte i pałające, a czoło białe jak kość.

– I wy! Chodźcie!

Ktoś odwrócił się i coś mruknął. Anna, ściskając gwałtownie moją dłoń, przechyliła głowę.

– Co takiego?

– Ja tylko... – Ten człowiek nie dokończył. Coś szarpnęło go w tył, upadł, krztusząc się, na podłogę.

– No, tańczymy! Wszyscy...!

Niechętnie, nieco lękliwie, kilka innych par zaczęło krążyć po parkiecie. Lecz szepty były coraz głośniejsze, a w pewnym momencie ludzie zauważyli pustkę na lewym przegubie Anny. *Annaodmieniec... Annatrollica...* Ale ona wciąż tańczyła, pokrzykując wesoło i zapraszając innych do wspólnej zabawy; nie miało znaczenia, że orkiestra jest wyczerpana. Dom powolnym skrzypieniem i dudnieniem zdawał się wyciskać z siebie własną, smutną melodię. Zegar z cherubinami stanął. Z sufitu sypały się okruchy tynku i pozłoty.

– Czego się boicie?

Anna zawirowała czerwoną suknią. Naprawdę baliśmy się już wszyscy. Okna w całym domu były pootwierane albo puściły, do środka wdzierało się mroźne powietrze. Orientalne gobeliny zaczęły powiewać. Żyrandol zatrzeszczał na rozecie i runął na środek parkietu, rozpryskując szkło i krew. W głównym hallu zajęła się od niepilnowanych świeczek wielka choinka, kilku przedsiębiorczych gości ugasiło ją strumieniami piany z potrząsanych butelek wina. Z drzewa został szkielet ociekający winem, dymiącym i cuchnącym. Papużki uciekły stamtąd i fruwały po sali balowej. Świat na zewnątrz zaczął blednąć i jaśnieć.

Nawet Anna zatrzymała się i rozejrzała. Cienie się zmieniały. Był to świt Nowego Wieku, intensywną bielą skradający się po lśniących trawnikach, przesywający promieniami zniszczoną salę balową. Rozbłyskiwał między drzewami, a kiedy krawędź słońca wyłoniła się zza horyzontu, Walcote House jęknął, szyby okienne, od prawej do lewej, wyleciały z framug, sypiąc lśniącymi odłamkami.

Długa chwila ciszy, szlochy, pokastywania, osypywanie się gruzu. Znowu zerkano na Annę. *Trollica... wiedźma...* Ona jednak była teraz mała, oproszona tynkiem i szkłem; nieszkodliwa, bezradna. Podtrzymałam ją, pomogłam jej stać. Oczy miała jak ciemne tunele, oddech gwałtowny i kwaśny. Była niesamowicie gorąca i lekka. Jak mogli ją za to winić? Lecz ludzie już się odwracali, już powoli szli w naszą stronę z nienawiścią na ustach, z potrzebą, by kogoś oskarżyć. *Trollica... wiedźma...* Zaciągnąłem ją w tył, pomiędzy stoły, ale już nas osaczano, gdy zza wytłuczonych okien dobiegły krzyki „Stajnia! Arcycechmistrz!”. Dziwaczne, lunatyczne postacie zamrugały, odwróciły się i ruszyły do wyjścia, z początku powoli, lawirując między potłuczonym szkłem i śniegiem upstrzonym jaskrawymi trupkami papużek.

Anna i ja poszliśmy za nimi. Ludzie bieгли, w mroźnym powietrzu niosło się dalekie ujadanie psotworów i zapach dymu. Walcote House wciąż wydawał się biały i nienaruszony, tylko okna były zapadnięte i ciemne jak puste oczodoły czaszki. Szedłem dalej, Anna zostawała w tyle, aż wreszcie zatrzymała się w śniegu po kolana, chwyciła się pnia drzewa. Włosy zwisały jej luźnymi pasmami.

– Dobrze się czujesz?

Kaszlnęła i pokręciła głową, ale zaraz potaknęła.

– Idź!

Zawahałem się, lecz zgiełk przede mną narastał. Goście kręcili się przy stajniach.

W powietrzu coś zaświstało. Nade mną przeleciał cień. Śnieg z potrąconej gałęzi osypał mi się po karku. Kobiety wrzeszczały, wszyscy wskazywali w górę. Cień załopotał jeszcze raz i nabral kształtu gigantycznych skrzydeł. Smok przysiadł na wierzchołku nibylipy, która chwiała się i gięła pod jego ciężarem. Rozdziawił paszczę i zakrakał, potem zatrzepotał skrzydłami, podfrunął i usiadł znowu. Z początku wydawało mi się, że to on jest powodem wszystkich tych krzyków, jednak cofając się, zauważyłem, że jeszcze bardziej wzburzony tłum zebrał się wokół jego pustej klatki.

Drzwi miała otwarte. W środku, na zasypanej siarką podłodze klęczała Sadie, głowę miała pochyloną, tuląc coś, co przypominało podłużny kawał mięsa. Ludzie szemrali, gestykulowali, przyciskając twarze do krat. Wielu mężczyzn płakało. Wszedłem do klatki i chwiejnie podszedłem do Sadie. Wtedy zobaczyłem, że to, co trzymała na kolanach, miało twarz. I oddychało, nawet teraz.

– Robercie, możesz mi pomóc? – Sadie gładziła strasznie poranionego ojca po włosach. – To przeze mnie.

– Nie, Sadie. To przeze mnie.

Jej palce błędziły w miejscu, gdzie kiedyś były oczy i nos. Ucałowała poranione wargi.

– Tatusiu, tak mi przykro – szepnęła. – Byłam głupia i samolubna. I wszystko to przez jakieś głupie wesele. A teraz już za późno, za późno...

Kucnąłem obok niej. Próbowałem spojrzeć arcycechmistrzowi w oczy, ale nie zdołałem.

Plując krwią, skonał.

Położyłem dłoń na ramieniu Sadie, lecz ją strząsnęła. Oboje wstaliśmy. Wyglądała, jak wielu mówiło później, imponująco i spokojnie, kiedy tak stała w smoczej klatce, w zakrwawionej sukni, obok ciała swego ojca.

– No... – Otarła dłonie o przód sukni. – On nie żyje. Wszyscy wracajcie do domu.

Goście w całkowitym milczeniu zaczęli odchodzić.

– Gdzie Anna? – zapytała.

– Stoi tam, między drzewami. Ludzie...

– Wiem, Robbie, co ludzie gadali. Ona nie może już tu zostać, prawda? Ani ty. Jesteś pewien, że wszystko z nią w porządku?

Znaleźliśmy Annę siedzącą w kucki pod tym samym drzewem.

– Patrzcie... – Uśmiechnęła się, wskazała dłonią. Obserwowaliśmy smoka, który, mocniej machnąwszy skrzydłami, uniósł się z nibylipy, zawrócił i poszybował, coraz mniejszy i mniejszy, na północ.

Przysiadłem obok Anny, próbując ją podnieść. Ani nie pomagała mi, ani nie stawiała oporu.

– Dałabym wam ten głupi samochód – powiedziała Sadie – tylko że nigdzie nim nie zajedziecie.

– Możemy iść na piechotę. Pokręciła głową.

Stajnie były całkiem puste i spokojne. Sadie prowadziła nas na dziedziniec, gdzie wczoraj, w poprzednim Wieku, ustawialiśmy się do fotografii. Otworzyła drzwi, za którymi stał Gwiazdor. Jednorożec wyszedł, wielki, wspaniały, połyskując mięśniami. Objęła potężną szyję.

– Nie mam dla niego żadnej uprzęży. Jeżdżę na oklep, ale on ciebie zna, Anno. Jak myślisz, uda się?

Anna, która niegdyś umiała wszystko i mogła być wszystkim, stała bez słowa.

– Nie możesz nam go dać – powiedziałem.

– A czemu niby? – Sadie zmierzwiła palcami gęstą czarną grzywę. Jednorożec szturchnął ją pyskiem. – Nie słyszycie tych psotworów? Jak myślicie, jak długo Gwiazdor zdoła tu przetrwać? Ja bym wołała, żebyś go stąd zabrał – i Annę razem z nim – zanim zmienię zdanie.

Otworzyła przyległy boks. Rudy jednorożec, prezent od niej dla wielkiego mistrza Porretta, zarżał i wytupał na dziedziniec.

– To poczciwe stworzenie. A tutaj się zmarnuje... tak czy owak by się zmarnował, nawet gdybym wyszła za męża. Więc jego też możesz wziąć, Robbie. – Sadie, idąc pomiędzy dwoma wielkimi jednorożcami, podprowadziła je do kamiennego podnóżka. – No chodź...

Przytrzymałam zwierzę za grzywę, Sadie zaś” bez słowa uściskała Annę, po czym pomogła jej wsiąść. Potem była moja kolej. Było tu absurdalnie wysoko, ale grzbiet jednorożca był przynajmniej szeroki. Sadie uniosła wzrok na nas – albo raczej na Annę.

– Dokąd pojedziecie? Anna pokręciła głową.

– Nie wiem.

– Musimy się dostać do Londynu – powiedziałem, chwiejąc się i łapiąc grzywę. – A wątpię, czy jeżdżą pociągi. Co ty zrobisz, Sadie?

– Muszę tu zostać. Jestem to winna temu domowi, mojemu ojcu, mojej biednej matce, mojemu cechowi...

– Tu już nic nie będzie jak dotychczas... Sadie nawet nie odpowiedziała.

– Te jednorożce pójda szybciej, jeśli je ścisnąć piętami, wolniej, jeśli pociągnąć za grzywę w tył. Jeśli pociągniesz w lewo lub w prawo, skręca. Robbie, nie tak mocno! Traktuj je z szacunkiem, a przede wszystkim troszcz się o Annę. Bo inaczej znajdę cię i będziesz miał ze mną do czynienia. Weź to... – Wcisnęła mi w dłoń parę zmiętych w kulki banknotów. – Będziesz potrzebować pieniędzy, ale nie wiem, czy są jeszcze coś warte.

Zerknąłem na Annę.

– Jesteś gotowa? Kiwnęła głową.

Już miałem ruszać, gdy Sadie szarpnęła jednorożca za grzywę.

– Mój szeptokamień. Musicie mi go oddać, żebyśmy mogła chronić dom...

W kieszeni poczułem falę światła, zapomnianą muzykę niekończących się tańców. Z wysiłkiem rzuciłem jej kamień, żarzący się dziwoblaskiem. Sadie go złapała. Klepnęła zwierzaki po zadach i ruszyliśmy kłusem.

– Jedźcie do głównej bramy! I na Marine Drive!

Kiedy się obejrzałem, już zniknęła mi z pola widzenia. Miała rację co do tych wspaniałych stworzeń; głupie nie były z pewnością. Wyczuwając mój brak doświadczenia i znużenie Anny, zwolniły do gładkiego stępa, idąc poprzez ośnieżone ogrody o poranku, kiwając rogatymi głowami, owiewając nas swym ciepłym zapachem i oddechem, krusząc ciężkimi kopytami zaskorupiały śnieg.

Marine Drive była pusta, a najgłośniejszy dźwięk w miasteczku Saltfleetby wydawał przyływ wlewający się między filary molo. Sklepy na głównej ulicy, latem pełne pamiątek, pocztówek, wiaderek i łopatek, były zamknięte i zabite dechami. Ale w zimie pewnie zawsze tak wyglądają. Czy świat się zmienił? Czy mamy Nowy Wiek? Zmarzłem, Anna miała sine usta i dygotała. Potrzebowaliśmy cieplejszych ubrań. Znalazłem sklep, nad którym dyndały złote nożyce Cechu Krawców, niezdarnie zsiadłem i długo łomotałem do drzwi, aż zza szybą pojawiła się twarz mężczyzny, zaspana i nieufna.

– Wie pan, która godzina? – Otwierając zasuwę, zadawał uspokajająco proste pytanie. Zerknął na Annę i nasze wierzchowce. – Na waszym miejscu długo bym tutaj nie zostawał. Wiecie, co się teraz dzieje.

– Co się teraz dzieje?

Lecz on już zniknął między wieszakami swego sklepu. Znalazł nam peleryny i ciepłe płaszcze, bryczesy dla Anny i długie buty dla nas obojga. Długo oglądał jeden z dwudziestofuntowych banknotów Sadie.

– Nie macie czegoś innego?

– Proszę zatrzymać resztę.

– Nie? Dobrze, wezmę go. – Zaśmiał się. – Oprawię to cholerstwo w ramki, będę pokazywać dzieciakom...

Wyjeżdżając z miasta, zauważyłem, że telegrafy są czarne, ale nie dziwoczarne; po prostu martwe.

*

Słońce zniknęło. Opadła gęsta biała mgła. Jednorożce były powolnymi, kłopotliwymi wierzchowcami; zaprojektowano je do krótkich, szybkich pogoni. Nogi miałem poobcierane, bolał mnie krzyż i pośladki. Anna zaczęła kłaść się na karku Gwiazdora.

Zza ciemnego żywopłotu wybiegł chłopiec. Jednorożce spłoszyły się, ale były zbyt zmęczone, by stanąć dęba.

– Widzieliście go?! Widzieliście go?!

– Kogo?

– Smoka! Był tam, na polu. – Chłopakowi oczy pałały ze zdumienia. Ale ja widziałem tylko mgłę.

*

Na pierwszą noc naszej podróży do Londynu zatrzymaliśmy się u kowala ze stajnią przy drodze North Downs. Stajenny pokiwał głową nad stanem naszych wierzchowców. Potrzeba nam siodeł. Musi tylko wydłużyć popręgi. I nie, nie chce naszych pieniędzy, teraz nadają się tylko do podarcia tyłka. Możemy się przespać za darmo na strychu stodoły. Choć byłem nieludzko zmęczony, nie zasnąłem od razu. Czuję ten dym, słyszałem okrzyki i wrzaski. A jednorożce i inne zwierzęta w stajni pod nami były niespokojne. Przysunąłem się bliżej do Anny, ale była lekka i nieruchoma, prawie jej nie było. A potem i ja zapadłem się w czerną, choć wciąż słyszałem z dołu parskanie, rzenie, niespokojne sapanie, potem zgrzyt piły... Obudziłem się i zobaczyłem, że oboje jesteśmy pokryci pyłem i szronem.

Na błotnistym dziedzińcu stały nasze osiodłane rumaki. Gwiazdor próbował ugryźć w rękę chłopaka, który go trzymał. Na bokach miał pręgi po uderzeniach. Najwyraźniej próbowano założyć

im uzdy, lecz nie pozwolił na to. Rdzawy prezent dla wielkiego mistrza Porretta drżał. Biła od niego para, jakby galopował pół dnia. Na czole miał krwawiący kikut.

– To tylko konie, wiecie. – Stajenny był równie beznamiętny i swobodny jak wczoraj. – Zdarza się, że to cholerstwo odpadnie.

*

Drugiego dnia mgła była jeszcze gęstsza i niosła zapach spalenizny, widzieliśmy też parę razy płomienie i ruiny. Wciąż jednak nikt nie miał pojęcia, co dzieje się w Londynie, poza tym, że nie kursują pociągi, a telegrafy nie działają. Siodła trochę nam ułatwiły podróż, ale mój wierzchowiec coraz bardziej dygotał, a kikut na czole bez przerwy mu krwawił. Krew skapywała w błoto i ochlapywała mnie. Jednorożec był półślepy z bólu. Zsiadłem i prowadziłem go za grzywę, ale późnym popołudniem zatrzymał się jak wryty, rzygnął strumieniem żółci, potem przewrócił się na grzbiet i zdechł. Zostawiliśmy go; nie była to pierwsza padlina na drodze.

*

Szedłem. Anna jechała. Drugiej nocy obozowaliśmy w ciemności na skraju pola. Nie było widać żadnych świateł, padał śnieg, wokół panowała cisza. Udało mi się rozpiąć skomplikowaną uprzęż Gwiazdora i puściłem go swobodnie. Potem znalazłem parę gałązek, ułożyłem je na paru suchszych kamieniach i próbowałem zapalić od krzesiwa.

– Daj mi. – Anna wychyliła się z fałd peleryny. Powiedziała coś, potem jeszcze raz. Tandetne pudełeczko, prawie nienaeteryzowane, wciąż bezowocnie szczekało. Po półgodzinnym mruczeniu zdołała rozpalić ogień, jednak twarz jej się strasznie zapadła, ciepła było niewiele, a płomienie tańczyły obłąkańczo po gałązkach, mówiąc całemu światu, gdzie jesteśmy. Właściwie prawie się ucieszyłem, kiedy zagasły.

Przytuliłem się do Anny. Oboje byliśmy mokrzy. Czuję, jak szczeka zębami.

– Czy to naprawdę Nowy Wiek?

– Musimy się dostać do Londynu. Zachichotała, potem zakaszła.

– Czemu Londyn miałby być jakiś inny? Po gałązce przeskoczyła ostatnia iskierka.

– Możesz przysunąć się trochę bliżej? – zapytałem. – Żeby było cieplej?

– Już jestem blisko. Ale nie była.

Noc ogarnęła nas, śnieg sypał i topniał; i jestem pewien, że usłyszałem daleki, lecz wyraźny, jak szum pociągu gdzieś za horyzontem, łopot olbrzymich skrzydeł.

*

Robbie, czego ty tak naprawdę chcesz? Sadie miała rację, kiedy mówiła, że tak naprawdę nie chodzi o mnie...

Ależ, Anno, tamtej nocy w Bracebridge pozwoliłaś mi leżeć i dotykać ręką twojego policzka. Spałam wtedy. Nawet tego nie pamiętam. A teraz?

Dalej nie wiem.

Z rana znowu była mgła. Jednak rzadsza, a lód zwisający z gałęzi zakrzepł w piękne klejnoty. Ogromny czarny jednorożec podszedł chyłkiem, zostawiając skrzące się ślady. Róg mu błyszczał. Anna dalej spała, z twarzą ukrytą w dłoniach, spokojna...

Robbie, czego ty tak naprawdę chcesz?

Wciąż słyszałem jej głos wdzierający się w moje sny. Długo jeszcze, gdy świat się mienił, a jednorożec stał na straży, pozwoliłem jej spać.

*

Kolejny ranek. Nasilający się zapach zgnilizny i dymu.

Tamiza nadal była zamarznięta. Otumanieni głodem i zmęczeniem, poszliśmy za daleko na

wschód, ledwo otarłszy się o południowe obrzeża Londynu. Czy naprawdę goniły za nami dzieciaki, śpiewając, że Anna jest Złotobiałą, która powraca na jednorożcu, żeby ocalić miasto? Nie wiem. Gwiazdor cierpiał, pasy popręgu – choć wątpię, czy Anna ujechałaby tak daleko bez siodła – wrzynały mu się w ciało. Pomogłem jej zsiąść. Skarpa nad rzeką była stroma. Lód wyglądał na mocny, miał jednak wodnisty połysk. Nas może udźwignąć, ale pod ciężarem jednorożca się załamane. Poodpinałem klamry i popędziłem Gwiazdora w mgłę.

Londyn, Londyn, miasto wszelkich mych nadziei, był na początku tego Nowego Wieku bardziej niebezpieczny niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy weszliśmy z Anną na zadymione obrzeża Easterlies, widok zaraz przyćmił wszystko, co widzieliśmy po drodze. Na ile można się było domyślić, wielki bożonarodzeniowy szturm na Northcentral udał się, a przynajmniej nie zakończył klęską. Tak, obywatelu, bramy wszystkich cechowych domów są otwarte, jeśli tylko zechcesz, możesz plądrować rezydencje obrzydliwych bogaczy – te, które nie spaliły się do fundamentów. Dzieciaki paradowały w cylindrach i płaszczach z jedwabną podszewką, a nieopodal Caris Yard rozlegał się dziki, skrzekliwy chór wypuszczonych na wolność chowańców, ku irytacji garstki wciąż tam mieszkających obywateli. Welurowe kotary, eleganckie emaliowane tabakierki i wielkie złote potwory morskie ze złupionych mebli mogły być twoje za grosze, tylko że nikt nie chciał ich od ciebie, lecz jedzenia – nawet wody, której brakowało, bo stacje pomp przestały działać, a z kratek kanalizacji wybijały na wpół zamrożone ścieki.

Anna i ja wędrowaliśmy powoli przez mgłę wzdłuż martwych torów tramwajowych pośrodku Doxy Street. Na latarniach wisiały trupy, w rynsztokach leżały szare ochłapy padliny, nad którymi popiskiwały rozzuchwalone wielkoszczury. Drzwi były otwarte na oścież, powybijane okna wypluwały swą zawartość. Wszędzie niósł się, zbyt powszechny, by go zauważać, smród dymu i gówna. I ludzki płacz. Tutaj jeszcze żarzył się telegraf, choć jego linia była przerwana. Stał przed nim chłopiec, boso na śniegu, chwycił jego wijący się, połyskujący koniec i recytował zapomniane hasła swego cechu. Konie biegały luzem, wygłodniałe tak jak próbujący je złapać obywatele. Dobrze, że wypuściliśmy Gwiazdora po tamtej stronie Tamizy. Podobnie jak chowańce z Caris Yard, w miasto uciekło wiele jeszcze dziwniejszych stworów. Zachodnią część Doxy Street przerywała wielka parująca jama i otaczający ją tłum gapiów. Głęboko w dole wkopywał się w ziemię, bądź wykopywał z niej, piłozębny ziemiostrwór – nigdy nie widziałem aż tak wielkiego. No i otwarto Świętego Blate’a – obywatelu, próbowałeś jeździć na trollu? – jednak odmienne już wszystkie zniknęły, uciekły wiele dni temu...

Początek tego bezimiennego Wieku dał wiele okazji do rozrywek i szaleństwa. Smoczowski w kościołach. Kukułcze ziele zarastające opuszczone fabryki. Jakimś dzieciakom szturmującym bocznice na Thrripp udało się uruchomić jedną z wielkich lokomotyw. Nie znały jednak odpowiednich zakłęb i kocioł eksplodował.

Mogłem się domyślać, że historia opowie o tych dniach całkiem co innego. Były zebrania i dyskusje w domach niższych cechów. Mówiło się o wolności. Wielu ludzi się trudziło, by miasto zaczęło funkcjonować. Cechowe wyszkolenie nadal uważało się za przydatną umiejętność, jeśli nie obnosiłeś się z nim i pracowałeś jak inni. A bogactwo... bogactwo było jak ubóstwo: to ciężar, który trzeba zrzucić, by w zamian otrzymać jednakowe dla wszystkich prawa obywatelskie. Dni robocze – może jeszcze się je zmieni. Z rozbawieniem podsłuchiwałem tego typu rozmowy dobiegające z fabryki igieł na Houndsfleet. W owe pierwsze dni wśród obłędu czuło się też ludzką życzliwość. Jednak szaleństwo brało górę. Armie straży obywatelskiej wciąż maszerowały ulicami z pałkami i karabinami.

Uważałem, żeby nie wspomnieć Saula ani Blissenhawka. Londyn najwyraźniej wojował sam ze sobą, a ja nie chciałem zwracać uwagi na siebie i Annę. Barykady przegradzały wiele głównych ulic, pilnowali ich młodzi chłopcy – takie same nicponie jak Saul i ja, kiedy pierwszy raz przyjechałem do tego miasta. To, co nam jeszcze zostało z pieniędzy Sadie, było im na nic, ale i tak

żądali zapłaty za przepuszczenie.

– W jakim cechu byłeś? – zapytali, kiedy oddałem im pelerynę.

– Jakie to ma teraz znaczenie? – Nie podobało mi się, jak patrzyli na Annę. Nawet z naciągniętym kapturem wyglądała dziwnie i krucho.

– Tak tylko pytam. Nie wyglądasz na partacza. Ani ona.

– No właśnie, a i ja byłem partaczem, i ona. A teraz wszyscy jesteśmy obywatelami, prawda?

Tuż za rogiem odkryto właśnie nienaruszoną piwniczkę jakiegoś pubu, pewnie już ostatnią w Londynie i wyciągano z niej pierwszą beczkę. Wtem liny pękły i beczka rozbiła się na klepki, rozlewając piwo po bruku. Jeden z chłopców nagle wybuchł płaczem, trzymając rękę pod dziwnym kątem.

– Słyszałem, że obywatel Saul mieszka gdzieś tam... – mruknąłem, brodą wskazując na Northcentral.

– A, on. – Młody obywatel był roztargniony. – Dokładnie w przeciwną stronę. Musicie pójść na Tidesmeet...

*

Mieliśmy szczęście, bo człowiek, który zatrzymał nas przy bramie doków, był kiedyś sprzedawcą „Nowego Świtu”. Dwóch obywateli, którzy byli razem z nim, usiłowało, płacząc łańcuchy, opanować schwytanego psotwora, jeszcze jeden miał karabin i był bez ręki. Wyglądali komicznie i niebezpiecznie. Poprowadzili nas ku piętrzącemu się w oddali masywowi Giełdy Dockland. Rozmowa się nie kleiła, wszyscy padaliśmy ze zmęczenia.

Mgła, zagęszczona dymem i bliskością rzeki, była tu znacznie cięższa. Z ciemności wyłaniały się i znikwały milczące budynki, pomiędzy którymi ganialiśmy z Saulem w moje pierwsze lato. Ten pachnący herbatą magazyn. Brzydkie zapachy były tu takie same jak wszędzie, ale nasiliły się, gdy wreszcie dotarliśmy do potężnej, okrągłej podstawy Giełdy. Psotwory i inne stworzenia stłoczone w zaimprovizowanych zagrodach wyły i ryczały. Cuchnęło kostnicą, a pod budynkiem kipiał szary, rozwrzeszczany, roztrzepotany rój mew. Stopy ślizgały mi się na szlamie, kości trzaskały pod butem. Potem nieskończone zakręty schodów na górę, bo nikt jeszcze nie uruchomił maszynierii napędzającej windy. Bolały mnie nogi, Anna słabła. Mignęły mi opuszczone gabinety, niepilnowane głównie, znieruchomiałe owadzie paszcze maszyn do pisania, cały zamarty zgiełk wielkiego cechu.

Wreszcie dotarliśmy na wyższe piętra, gdzie architekt, nie mogąc sobie darować ostatniego popisu swych umiejętności, wypełnił całość szkłem, tak że wewnątrz zalewało szare, zimowe światło dzienne. Ostatni bieg schodów, boazerie i gładkie szare dywany zwisające z okien jak macki mgły. Potem do sali, gabinetu, który zajmował teraz Saul. Drzwi balkonowe były otwarte, on stał w nich. W powietrzu wisiała mgiełka. Odwrócił się, kiedy nas zapowiedziano.

– Wróciliście!

Chyba był zadowolony, że nas widzi. Znalazł sobie porządny garnitur, miał pod nim kamizelkę, jeszcze bardziej jaskrawą niż zwykle. Wyglądał prawie jak ten sam Saul.

– Widzę, że jesteście zmęczeni. Siadajcie...

Usiedliśmy. Skórzane fotele były śliskie od skroplonej mgły. Kiedy Saul gratulował nam, że dostaliśmy się tutaj i że zrobiliśmy w Walcote House to, co tam, u licha, zrobiliśmy – jak to ujął. Cały pokój miał zimny, mokry połysk, zdawał się unosić i opadać we mgle, która wlewała się przez drzwi balkonowe. Saul opowiadał nam o świątecznej nocy w Londynie, potrząsając przy tym głową jak staruszek zadziwiony jakimś dawnym wspomnieniem. Było wiele ofiar, nadal jest ciężko, ale w sumie wszystko udało się nadspodziewanie. Stawiali opór, ale karabiny zadziałały, a wielu żołnierzy i strażników przeszło na naszą stronę, stało się obywatelami albo uciekło. Kluczowe

obiekty Northcentral i wielkie domy cechowe padły po zaskakująco krótkiej walce. Jakby pchnęło się otwarte drzwi. Niektórzy bogaci bankierzy z Threadneedle Street nawet popełnili samobójstwa, zanim obywatele do nich podeszli.

– To naprawdę był niezły widok. Byliście już na Northcentral? Pokręciłem głową.

– No to powinniście. A Izba Złotnicza... mówiłeś, że można zburzyć ten budynek, nie uszkadzając ani jednego kamienia? Teraz cała jedna strona jest zawalona. To się stało pierwszego dnia koło południa. Robbie, naprawdę musisz to zobaczyć. Oczywiście Anna też...

Saul objął w posiadanie szerokie biurko z kamiennego cedru – rozłożył na nim parę piór i nabazgrał w notatniku kilka, na oko, drzew, ale rozpierając się za nim, kręcąc na krześle i bez przerwy powtarzając, jaka to idealna kwatery, niezbędna, by wszystkim dowodzić, i łatwa do obrony, wciąż robił wrażenie uczniaka wygłupiającego się za pulpitem nauczyciela. Złapałem się na tym, że zerkam na dwuskrzydłowe drzwi, jakby lada chwila mógł przez nie wejść arcycechmistrz Passington. Podniosłem mosiężną ramkę i przesunąłem dłonią po szkle, by zetrzeć rosę. Sadie na pozowanej fotografii wyglądała zadziwiająco młodo, szczęśliwie i czarująco. Była chyba w tej samej sukience, którą nosiła w tamtą, odległą noc świętojańską.

– Dziwne, że akurat tutaj jesteśmy, prawda? – Saul wskazał olejne portrety. – A wyście pewnie widzieli Passingtona. Zabił się, jak słyszałem. Krzyżyk na drodze. I wszystkim jemu podobnym skurwysynom...

Odstawiłem ramkę i zerknąłem na Annę. Włosy zwisające w pasmach, chude ramiona, oczy wpatrzone w pustkę. Pomyślałem o naszej długiej podróży, o tym, dlaczego właściwie ją tu przywlokłem. Czemu miałem to głupie poczucie straty? Czyż nie marzyłem, by ujrzeć klęskę i śmierć mrocznego cechmistrza? Lecz on, jak powiedziała Sadie, był tylko człowiekiem, nie gorszym i nie lepszym niż wielu innych. Tamtej ostatniej nocy, gdy tańczył z Sadie, jego wzrok prześliznął się po mnie obojętnie. Cała prawda o mrocznym cechmistrzu, cała prawda znów mi umykała. Wstałem, zdjąłem z wieszaka pelerynę i nakładając ją na ramiona, wdychałem zapach wody kolońskiej.

– Co zamierzasz teraz robić? – spytałem, czując, jak peleryna robi się lżejsza i otula mnie.

Saul jeszcze raz zakręcił krzesłem.

– Trzeba, żeby to miasto zaczęło funkcjonować, na początek, no i nawiązać porządną kontakt z resztą Anglii. Na razie znamy tylko plotki. Ale w Preston z pewnością jest republika obywatelska. Podobnie w Bristolu i w większości miast na zachodzie. Mówi się o bitwie pomiędzy recydywistami gdzieś na południu, tam gdzie byliście, wciąż też nie ma pewności co do Francuzów, chociaż pogłoski mówią, że rozruchy i zamieszki wybuchły w większości Europy. Ale w tej chwili nic nie działa. Musimy uruchomić pociągi, tramwaje. Nawet telegrafy... Na najwyższym piętrze jest wielka czarna głownia. Chyba działa dalej. Kazałem ją wypróbować jednemu z moich chłopców, co twierdził, że zna się na tym – teraz jest bełkoczącym wrakiem człowieka. Zdaje się więc, że musimy złapać paru prawdziwych telegrafistów i przyprowadzić ich tutaj, by zdradzili nam podstawowe zakłęcia. Brakuje dosłownie wszystkiego. Nawet cygar nie mogę dostać. I nie ma eteru, a będą go wielkie zapasy.

– Właśnie o to nam chodziło z Anną.

– Tak? A ja myślałem, że o pieniądze. Aha, w waszym mieście na północy... jak mu tam? Broombridge? Bracebridge? Słyszałem, że Fabryka przestała działać.

– Nigdy nie działała. Od lat.

– No właśnie, widzicie, ten stary ustrój. Kłamstwa i złudzenia. A tu mamy nowy.

Za otwartymi drzwiami ciemne linie telegrafu opadały w kłębiącą się mgłę. Reszta Londynu zniknęła.

– Zostaniecie, prawda? – powiedział Saul. – Skoro już tu dotarliście. Przyda mi się paru godnych zaufania obywateli, bo wokół was tylko bezużyteczny motłoch. – Przestał się kręcić na krześle i patrzył na Annę. Bez ruchu, bez słowa, zdawała się niknąć. W spojrzeniu Saula odmalowało się zdziwienie. Na jego ustach zaczęło się kształtować pytanie.

– Gdzie jest Blissenhawk? – odezwałem się.

– Na Northcentral. Próbuje znaleźć odpowiednie zakłęcia, żeby uruchomić prasy „Dziennika Cechowego”. Oczywiście gazecie teraz damy inną nazwę. Zdaje się, że jechaliście przez Kent? – Przyjrzał się mokremu przyciskowi do papierów. – Nie widzieliście przypadkiem gdzieś Maud?

– Saul, przykro mi. Kent jest większy od Londynu. To całe hrabstwo.

– Tylko tak pytam. W sumie... – Ostrożnie odłożył przycisk na polerowany blat. – Tyle mamy do zrobienia. Za dwa dni będzie Nowy Rok, a zdziwiłbyś się, ilu obywateli dyskutuje, czy właśnie wtedy powinien się oficjalnie zacząć Nowy Wiek. Ale to by oznaczało, że nadal jesteśmy w starym, prawda? Niektórzy nawet sądzą, że powinniśmy zacząć Wiek od Dnia Motyla. Dla mnie, szczerze, to tylko cyferki.

– Pewnie, że tak.

– Ale to dziwne, kiedy się nad tym zastanowić. Ludzie w sumie mieli rację. Sto lat, niemal co do dnia, jakby napędzała nas jakaś wyższa siła. Powiedziałbym, że to przeznaczenie, gdybym wierzył w takie rzeczy.

– Ale nie wierzysz...

– Jestem człowiekiem Nowego Wiek, Robbie, obojętnie kiedy się oficjalnie zaczyna i jak się nazywa. Ale przesądów jest pełno. Takich, owakich. Ludzie gadają o smoku, nie jakimś cudaku z odpustu, ale wielkim smoku, na którym można by jeździć. Podobno krąży wokół wieży Hallam. – Zachichotał. – No i jest ten Kraniec Świata. Dziś po południu bardzo wielu obywateli chce się tam zebrać. W końcu tam zaczął się ten stary Wiek...

*

Popatrzcie teraz na mnie, popatrzcie na obywatelkę Annę, jak wychodzimy z budynku Giełdy Dockland. Słońce, mniejsze, bledsze i zimniejsze niż księżyc, po raz pierwszy od wielu dni przebija się przez chmury. Na nabrzeżu panuje świąteczna atmosfera. Promy spaliły się i leżą na burtach wśród strzaskanego lodu. Kominy są jak głazy druidów, maszty jak przewrócone iglice. Na lodzie walają się rupiecie z ostatnich dni. Wspaniała mosiężna rama łóżka, jej kolorowe przykrycie łopocę pięknymi skrzydłami. Dzieci grają w piłkę i ścigają się na sankach. Mnóstwo ludzi idzie w poprzek pełnego kałuż, zdradliwego lodu, prosto na Kraniec Świata. Mają tace do zjeżdżania z białych wzgórz i kosze piknikowe, które wyglądają na podejrzenie lekkie. Mogłyby to być – i pewnie są – te same rodziny, które wiosną widziałem na promie, teraz zatopionym.

Anna i ja przeszliśmy przez rzekę tuż przed tłumem. Mieliśmy cel i znaleźliśmy drogę. Kiedy ludzie jeszcze wciągali na górę ławki i wesoło szczękali kołowrotami przy wyjściu z przystani, my już walczyliśmy z różami i puszkami, zmierzając do małego domku wśród oddalonych ruin Krańca Świata. Na drzwiach wciąż wisiało obwieszczenie Cechu Zbieraczy. Zdarłem je, kiedy pukałem, ale został po nim na drewnie ciemniejszy prostokąt i oskarżycielskie ślady rdzy po gwoździach.

– Dobrze, że żyjecie oboje – rzekła, kiedy w końcu się ukazała.

– Missy, musisz stąd wyjechać – powiedziała Anna.

– Masz rację. Powinam się stąd wynieść już dawno temu. – Odwróciła się do środka i nie mieliśmy wyboru, musieliśmy wejść za nią. Teraz nawet nie płonął tu ogień. – Wyglądacie na zmęczonych. Zrobić wam herbaty?

Cóż, trzeba było usiąść i czekać, aż napompuje paliwa do spirytusowego piecyka i napelni

czajnik. Z zewnątrz dobiegały krzyki i brzęk szkła.

– Czyli Londyn się zmienił, tak? Czy wasze nadzieje się spełniły? Wszyscy źli cechowi zniknęli albo zamienili się w dobrych? – Kiedy podawała mi filiżankę, jej kciuk jak laska wanilii zahaczył o spodek. Może i ona nie potrzebuje ognia, pomyślałem, kiedy rozsiadała się w swym niskim fotelu obok ciemnego, wygasłego paleniska, bo teraz promieniowała ciepłem tak bardzo, jak bardzo Anna zdawała się wydzielać zimno. Białe, zimowe światło wlewało się przez okno, wirowało wśród kurzu i szronu, by paść na stare puszki ustawione na półkach. W innym oświetleniu to miejsce prawie mogłoby uchodzić za pokój w Redhouse, do którego pani Summerton wprowadziła mnie i matkę, gdy byłem tam pierwszy raz. *Ty jesteś Robert, naturalnie... Annalise za chwilę przyjdzie.* Zapaliła fajkę i wypuściła dwie strugi dymu.

– Passington nie żyje, prawda? Co za szkoda, chociaż chyba na każdego przyjdzie kiedyś czas. Dużo wam powiedział?

Dym z fajki opadał warstwami. Na zewnątrz zagrzmiało tłuczone szkło. Mały domeczek cały się zatrzęsł.

– Missy? – Anna pochyliła się. Blask rozświetlił jej twarz. – Co ty mówisz?

– W całej Anglii kończy się eter. Wciąż jeszcze nie pojęliście tego prostego faktu, Robercie? Cechy wyssały z ziemi wszystko. Kończył się już, kiedy ja się urodziłam. Ale w tym gorzkim więzieniu w Oxfordzie snułam marzenia. Marzyłam o świecie, który byłby ponad władzą i mądrością... – Pokój zamigotał i pociemniał. Słońce opadło trochę niżej. – Ale zamiast tego miałam życie pełne obowiązków. Pełne trudu. To eter mnie tak ukształtował i eter też mnie zniszczył, nie dlatego że istniał, lecz dlatego że było go za mało. Plany, rysunki techniczne maszyn do tkania pończoch – na ich reperowaniu miałam strawić życie. Narzędzia, które w zasadzie nie działają. Bezużyteczne fabryki na pokaz. Były jakieś cechowe zakłęcia. Taka była spuścizna eteru. Takie było moje życie. A potem, kiedy miałam już tego dość, przemęczoną i półżywą zabrano mnie wreszcie do Redhouse, gdzie rozklekotana, zdychająca maszyna wydobywała eter. Oczywiście ludzie tam byli tak samo głupi jak wszędzie, ale byli także niespotykanie ufni. Ty, Robercie, wiesz, jacy są etermistrze. Pomyślcie tylko o ojcu Anny. Więc kiedy maszyny zaczęły się psuć, kiedy wydobywanie spadło, musieli próbować wielu sposobów... – Przerwała. – Ale kiedy mnie o to prosili, wciąż byli niepoprawnymi optymistami. Maszyny się psują, ale czy mogłabym opóźnić wyczerpywanie się eteru? Mówiąc uczciwie, okłamałam ich, bo lubiłam majstrować przy ich maszynach i tworzyć swoje zakłęcia. Poza tym wioska była ładna, dom wielki, choć już wtedy wołał o dekarza. I traktowali mnie niemal z szacunkiem. Byli dla mnie prawie mili, to chyba wszystko, co może osiągnąć ktoś taki jak ja. Oczywiście i tak nazywali mnie trollicą...

Zniżające się zimowe słońce spowiło ją ciemnym całunem. Fotel zaskrzypiał. Fajka zabulgotała.

– Missy, zawsze mi powtarzałaś, żeby nigdy nie używać tego słowa.

– A są jakieś inne? Odmieniec, elf, goblin, skrzat czy wiedźma? Ale tobie szczęśliwie się żyło, prawda, moja dumna, kosztowna Annalise? Więc może i nie słyszałaś takich słów. Nie pluli na ciebie przez pręty klatki, nie słyszałaś przekleństw z bocznych naw w fabrykach, gdzie prowadzono cię jak oswojoną małpę. Nie cierpię tego słowa tylko dlatego, że jest pełne złości. Ale przecież jesteśmy dziwadłami, wszyscy, od najbardziej rozdętego potwora u Świętego Blate'a aż po ciebie, Annalise. Zabiera nam się świat miłości i szczęścia, jeszcze zanim mamy okazję go poznać. To nie jest nasz Wiek, Anno, i następny też nie będzie nasz. Wyjrzyj na zewnątrz. Przez ostatnie dni z Londynu załatywało tylko gównem i dymem... Gównem i dymem... Świat się zmienia, ale na gorsze zamiast na lepsze. Tak, to jest mądrość Wieków dla ciebie, Robercie, i dla ciebie, moja Anno. Coś,

co dawno temu powinnam sobie uświadomić. Może wtedy wcale nie trudziłabym się, by stworzyć i rzucić to zaklęcie.

– Missy, o czym ty mówisz? Jakie zaklęcie...? Ja wiedziałem.

– Chalcedon.

– Brawo, Robercie. Może masz jednak jakieś zdolności. Tak, w Redhouse mieliśmy chalcedon, cechowi kupili go ze swych ostatnich zysków. Powierzyli mi go, bo myśleli, że uratuję ich przed śmiercią wioski, chociaż wieża kościoła już bieląca, a prześcieradła zamarzały im na łóżkach. Obrobiłam, ukształtowałam ten kamień ostatnimi podrygami zdychających maszyn i wiedziałam, że tworzę coś doskonałego, co może zmienić ten podły świat, mimo że wioska umrze...

Anna nic teraz nie mówiła, lecz jej twarz załśniła w ostatnim promyku słońca, który wdarł się do środka, zlewając z jej łzami i cieniami róż na zewnątrz.

– A w Redhouse przyszedł do mnie on. Przybywał powoli, jak wir na stawie, jak zmiana pór roku. Był jak przecucie, jak posłaniec. Czasem nawet stawał koło mnie i szeptał wskazówki, tak namacalna stawała się jego obecność. Pilnował mnie z tym zaklęciem, choć nie wiedziałam kim jest. Chalcedon oświecał mnie swym żarem. Czasem wydawał się kwintesencją wszystkiego, co odebrano mi w tym domu-więzieniu...

Pani Summerton gorzko zachichotała.

– Kiedy koło wodne w końcu stanęło, wysokie cechy odebrały mi chalcedon. Redhouse opustoszało, umarło i zbieleło. Wciąż czułam bliskość tego kamienia, chociaż wiedziałam, że opatrzyli go etykietą i schowali w skrzyni w jakimś dalekim magazynie. Mnie zapomniano, przeoczył mnie trollowy – to również sprawiło zaklęcie. Kamień wciąż do mnie przemawiał, wiedziałam, że kiedy nadejdzie jego czas, przemówi też do innych. A różne drobne zdarzenia w ciągu długich, samotnych lat oczekiwania – wizyty twojej matki, Robercie, kiedy była młodą dziewczyną – wszystkie należały do tego samego niezmiernego i niewytłumaczalnego czaru.

Tak więc, gdy usłyszałam, że do Bracebridge przyjechał ważny cechmistrz, niejaki Passington, kiedy samo powietrze wyszeptało mi do ucha, że ten kamień powrócił, wiedziałam, że stanie się coś dziwnego, coś magicznego. Zaczęłam czaić się na obrzeżach miasta. Raz nawet widziałam młodego arcycehmistrza, stał o zmierzchu pomiędzy druidzkimi głazami, w eleganckiej czarnej pelerynie, podobnej do tej, którą masz teraz na sobie. Nawet pomyślałam, że to on kiedyś był mi przewodnikiem, ale gdy podeszłam bliżej, zrozumiałam, że jest tylko zwykłym człowiekiem, podobnie jak ja sługą kamienia. Kiedy maszyny się zakleszczyły, mnie serce stanęło. Spodziewałam się... cóż, byłam zbyt dorosła, by wyobrazić sobie, że drzewa w jednej chwili zaświecą, słońce zatańczy, a chmury się rozpląną. Ale byłam pewna, że coś się stanie. Czekałam cały dzień, aż wreszcie dostrzegłam dwie postacie idące z wysiłkiem w stronę mojego zrujnowanego domu. To była twoja umierająca matka, Anno. Chalcedon prześwietlił ją swym zaklęciem i już zamieniała się w zamarznęty posąg. Matka Roberta szła z nią – lecz twój ojciec, Anno, już był stracony. Kate Durry była w ciąży. Nawet wtedy, gdy gadaliśmy bez sensu o opiekowaniu się nią, wiedziałam, że to ty, a nie ona, jesteś darem zaklęcia.

Przyszłaś na świat, Anno, mniej więcej pracokres po śmierci matki. Ale w twoich oczach, w twoich myślach wreszcie widziałam, że zaklęcie stało się ciałem. Idealny człowiek, a jednocześnie odmieniec, jak w najstarszych legendach. Eter, kończąc się, spiskował, by moimi rękoma i rękoma wielu innych swych sług powołać ciebie do życia. I byłaś cudowna, Annalise. Naprawdę. Kochałam cię wtedy tak, jak kocham cię teraz. Dałabym ci wszystko, wszystko zrobiła, żebyś tylko była szczęśliwa. Wychowałam cię, darzyłam troską i miłością. Poświęciłam wszystko, Annalise. Miałam nadzieję, że odpłacisz mi za moją miłość i nadzieję.

– Nadzieję! Miłość! Missy, to brzmi jak jakaś umowa.

– Czyż nie pozwoliłam ci żyć, jak chcesz? Nie zaufałam zakłębieniu, by rozwijało się swoim tempem? Wydałam wszystkie pieniądze, byś mogła tak żyć. Nawet wróciłam do tego wstrętnego miasta, z powrotem w szpony trollowych... dla ciebie, Annalise. Więc nie mów mi o umowie. Zrobiłam dla ciebie wszystko co w mojej mocy. Tylko że może się myliłam. Zobaczcie, do czego to doprowadziło. Słyszycie te krzyki? Mimo że ta część miasta jest już ruiną, ludzie jeszcze chcą niszczyć. Patrzę na ciebie teraz, Annalise. Jesteś jak ten kamień, jak twoja nieszczęsna matka – jesteś wykończona. I po co to wszystko, powiedzcie? Dla jakiejś polityki? Żeby zmienić Wiek?

Anna zakryła twarz dłońmi. Płakała w milczeniu.

– Missy, ja cię kochałam.

Pani Summerton wystukała fajkę. Krzyki były teraz głośniejsze. Trzaski. Rumor. Śpiewy. Coś uderzyło w dach.

– Nie możemy tu zostać... – powiedziałem.

– Nie możemy! Nie po tym całym chaosie, który żeście rozpętali! – Pani Summerton wstała i wchłonęła w siebie niknące światło wypełniające pokój. – Chodźcie do samochodu...

Ostatnie promienie słońca przebijały chmury, rzucając olbrzymie cienie. Za głębokim korytem rzeki szczyty domów były skąpane w ogniu. Wieża Hallam, dzięki jakiejś świetlnej sztuczce, znów rozbłysła, po niej Giełda Dockland, wieże wszystkich kościołów, żurawie Tidesmeet i mosiężne kopuły domów cechowych. Cały Londyn był pozłocony. Potem, jakby było święto, rozdzwoniły się radośnie wszystkie dzwony. Szliśmy za panią Summerton przez kolczasty labirynt między wspaniałymi różami. Słyszałem okrzyki dzieciaków, tąpnięcia zawałających się budowli. Mieliśmy szczęście – nikt nie zobaczył, jak pędzimy przez wyschnięte jezioro do pływania łódkami, między przewróconymi huśtawkami i strzałkami prowadzącymi do Pawilonów Tropikalnych.

Wybiegliśmy spomiędzy drzew. Pod wiatą z blachy falistej stał samochód. Łaziły po nim dzieciaki. Dwie kobiety w ukwieconych kapeluszach mizdrzyły się i śmiały, udając, że go prowadzą. Sporo blach już z niego zdarto. Nawet gdybyśmy mogli ich stamtąd zgonić – zbyt zajęci radosnym dziełem zniszczenia, nie zauważyli nas – wątpię, czy machina jeszcze by zadziałała. Chwyciłem Annę za rękę i zawróciłem w zagajnik, lecz pani Summerton kroczyła naprzód.

– To moje, łobuzy! – Jej głos był niesamowitym skrzekiem. – Zostawcie to!

Zapadła cisza. Skrzypnęły resory samochodu. Twarze odwróciły się do niej. W oddali wciąż biły londyńskie dzwony.

– W tej chwili to zostawcie! – Szła przez zimową trawę jak zjawa powstała ze zmierzchu.

Kobiety spojrzały po sobie i wysiadły. Chłopak, który skakał po wgiętej masce samochodu, zaczął się zsuwać, ale po drodze zahaczył butem o gumową gruszkę klaksonu. Klakson wydał przeciągłe „paap”. Ludzie się roześmiali. Ich oczy zupełnie zmieniły wyraz.

– I co? To jest twoje, tak? I kto to mówi? – Szyderstwa o tym, że własność, posiadanie jest złem, przychodziły teraz łatwo. – Za kogo ty się masz?

Klakson skrzeknął raz jeszcze. Śmiech znowu rozległ się i ucichł. Dźwięk trąbki i głosy przyciągały tu coraz więcej ludzi. W końcu różne plotki się słyszało o tym, kto mieszka na Krańcu Świata. I te przekłete róże, te cholerne puszki! A czy gdzieś tam nie było też obwieszczenia od trollowego? Zresztą nie trzeba było tym ludziom niczego przypominać, bo pani Summerton, kiedy klęła na nich, z wyłysiałą głową, pomarszczoną twarzą, rękoma jak szpony bezlistnych zimowych drzew, wyglądała dokładnie na tego, kim była.

Wiedźma!...

Trollica!...

Odmieniec!...

Nadal stałem z Annalise pod drzewami, pewny, że pani Summerton zaraz ucieknie przed wściekłym, skandującym, wzbierającym tłumem. Ona jednak zbliżyła się do nich, a ja chwyciłem Annę za ramię, bo chciała zrobić to samo. *Wiedźma! Paap! Trollica! Paap!* Chłopak oderwał klakson od karoserii i trąbił nim do rytmu. Daleko wciąż biły dzwony, a niknące promienie słońca wirowały na niebie jak odłamki wybitego witraża. *Łapać ją! Łapać, bo ucieknie!* Pierwszy dzieciak skoczył na nią z dzikim wrzaskiem. Odrzuciła go wysoko i daleko. Upadł z krzykiem, macając się po żebrach. Niebo ciemniało. Drugi napastnik został odepchnięty równie łatwo jak pierwszy. *Wiedźma! Paap! Trollica! Paap!* Każde wyzwisko dawało jej nową siłę. Lecz ludzi było coraz więcej. Przepychali się wokół mnie i Anny. *Wiedźma! Paap! Trollica! Paap!* Tłum nas zagarnął. Gdzieś daleko przed nami grupka obywateli złapała panią Summerton. Unieśli ją, szamocący się kłębek szmat. Upuścili i znów podnieśli. Skandowanie i trąbienie klaksonu niosło się nadał. Anna szarpała się ze mną, ale tym razem byłem od niej silniejszy. Oboje nie mogliśmy nic zrobić, bezradnie niesieni przez tłum.

Ciało pani Summerton znów powędrowało do góry. Tym razem wyżej. *Wiedźma! Paap! Trollica! Paap!* Ale co zrobić z taką zdobyczą? Odpowiedź była tylko jedna. W końcu tyle opału naokoło. A te pieprzone róże – ich też trzeba było się pozbyć. Nawet gdyby nie znalazła się wiedźma do spalenia, tego wieczoru na Krańcu Świata zamigotałyby ognie. Tłum już wiedział, czego chce. Ruszył naprzód. Najstraszniejsze było to, że z Anną byliśmy wśród tego motłochu, poddaliśmy się naciskowi ciał i łokci, poddaliśmy się własnemu przerażeniu.

Mijaliśmy znaki drogowe. Mijaliśmy lśniące hałdy szkła o zmierzchu. Tłum jak armia mrówek niósł nad głowami belki, deski i wielkie, czepiające się wszystkiego kłęby kolczastych róż. Zapadała noc, ruiny znikały w mroku. Niemal zgubiłem Annę, gdy się potknąłem. Szliśmy pod górę – na wielkie wzgórze maszynowego lodu. Przed nami na białe zbocza wdzierał się pierwszy szereg tłumy. Panią Summerton straciłem z oczu. Szliśmy dalej w ścisku. Zapachniało dymem, rozległo się głośnie i straszne „Aaaaaa!”. W świetle błyskały mi coraz to inne twarze – takich ludzi widywałem przez całe życie. Krzywonożne kobiety taszczące balie z praniem po schodach od podwórza. Mężczyźni, którzy palili i czytali gazety, stojąc w kolejce po pracę przed domami niższych cechów. Dzieciaki, z którymi dzieliłem długi pulpit w Szkole Miejskiej. Starcy przesuwający kamienie domina w półmroku pubów w południe. Wszyscy tu byli, śmiali się, popychali mnie i Annę w stronę zapachu dymu i trzasku płomieni.

Jakimś sposobem znaleźliśmy się niemal na przodzie; scena naprawdę wyglądała jak wzięta z jakiegoś drzeworytu. Pani Summerton, obłożona różami, była przywiązana do drzewca wyrwanego drogowskazu, który wciąż krzywo pokazywał na Pawilony Tropikalne, a wokół piętrzyły się wszelkie przyniesione tutaj śmiecie. Powietrze wibrowało. Ogień tańczył i skakał, w głębi świecąc żarem. Wiatr radośnie unosił snopy iskier, tłum wył. Już było za późno. Pani Summerton przestała się wyrywać, nieodwołalnie ogarniał ją ogień. Poza różami, które wyginały się i strzelały, opał był suchy jak pieprz; przytrzymując Annę, czując fale żaru, powiedziałem do siebie, że pewnie już dawno przestała oddychać, że ogień już dawno wyszał stamtąd wszelkie powietrze...

Wiatr się wzmógł. Podsyczał płomienie, sprawiał, że lód maszynowy syczał wokół naszych stóp. Stos pluł dymem i ogniem aż do nieba. Pani Summerton była teraz poczerniałym, wyginającym się kształtem wśród płomieni. Wydawało mi się, że ten ruch jest złudzeniem wywołanym przez ciepło i wiatr, ale wtedy zaczęła krzyczeć. Krzyk trwał i trwał. Ludzie zakrywali sobie uszy. Nikt, kto był tam i przeżył, nie byłby w stanie opisać tego krzyku; nikt, kto nie był, nie zdoła go sobie wyobrazić. Rozlegał się w naszych głowach. Wdzierał pod skórę. Sprawiał, że jednoczyliśmy się z jej męką.

A parzący wiatr wzmagał się jeszcze bardziej, wyjąc razem z nią, unosząc sypki maszynowy lód, który też wpadał w płomienie, tak że wokół nie było nic, tylko palący żar i przerażający krzyk.

Wiatr teraz dał potężnie, wysysał nam hałdę spod stóp. Ludzie kulili się, próbowali odwracać tyłem, zakrywać naraz oczy i uszy. Wrzask wciąż narastał. Płomienie sięgnęły nieba. Dla tłumów gromadzących się na przeciwległym brzegu Tamizy, by popatrzeć, może wyglądało to pięknie – wirujące połączenie biblijnych słupów dymu i ognia; dla nas jednak było to straszne. Oślepieni, bezradni ludzie potykali się i krzyczeli, próbując uciec przed chaosem ognia i wiatru.

Wtem wiatr uspokoił się, tak samo nagle, jak się zerwał. Razem z nim ucichł wrzask, a płomienie wróciły do normalnego świata. Obywatele, pokaszując, oświetleni blaskiem ognia, popatrywali po sobie i zaczęli się rozchodzić – każdy z powrotem do swojego życia. W znieruchomiałym powietrzu wciąż słychać było cichy syk – to osypywała się pryzma drobnych grudek sadzy i maszynowego lodu. Płomienie wciąż sypały iskrami, a spalony kształt pośrodku żarzył się i skwierczał. Fakt, że hałda lodu maszynowego, na której staliśmy, w dalszym ciągu się zapada, bardzo powoli docierał do ludzi. Dla niektórych było już za późno.

Saul, który obserwował tę scenę ze szczytu Giełdy Dockland, przybył jako jeden z pierwszych. Sprowadził ze sobą liczną straż obywatelską z kijami i karabinami. Nawet przed tym wybuchem szaleństwa on i wielu innych rozumiało, że miasto należy najpierw okiełznać, zanim da się nim rządzić. Wydaje mi się jednak, że on pierwszy w pełni zorientował się, co się dzieje. W końcu pomimo swego dumnie bezcechowego rodowodu, którym tak się przechwalał, był synem swej matki. W domu snów musiał często widywać połysk fiolek ze znacznie mocniejszą esencją niż nędzne olejki i katalizatory, na które los skazał większość cechowych. Znał dziwoblask eteru lepiej niż wielu innych i zobaczył go teraz, mimo że wydobywał się z hałd Krańca Świata, gdzie eter dawno się wyczerpał, pozostały tylko jego popioły.

– Robbie! Robbie! – usłyszałem krzyk Saula.

Znalazł mnie. Dzieci, ale i dorośli, którzy powinni być mądrzejsi, bawili się w świecących strużkach przepływających im pod nogami.

Przysiadali w rozlewających się kałużach eteru, nabierali go w dłonie, przepuszczali między palcami, śmiejąc się dziko, gdy owiewał ich gaz powodujący wizje, mimo że skóra im ropiała i krwawiła.

– Patrz tylko... – Saul chwycił mnie i potrząsnął. – Musimy otoczyć to miejsce kordonem. Musimy ich stąd zabrać. – Umilkł. Przez chwilę też miał w oczach wylewający się z ziemi wokół nas dziwoblask. – Ach, Robbie, rozumiesz, co to znaczy? Rozumiesz, co to nam daje?

Bo eter jest potęgą, nawet bardziej niż magią, a ludzie stłoczeni na rozmarzającej rzece – ci, którzy się nie potopili – zdjęci lękiem patrzyli, jak białe wzgórza Końca Świata rozbłyskują dziwoblaskiem. Tysiące padły na kolana. Miliony odebrały to jako znak. Wszyscy tutaj i wszyscy, którzy usłyszeli wiadomość rozchodzącą się po Anglii, a potem po świecie, wiedzieli, że to wreszcie jest ta chwila, kiedy zaczyna się Wiek Światła.

Odsunąłem się chwiejnie od Saula, od dymu i żaru. Z sykiem zapadała się kolejna połać wzgórza. Kształt pośrodku stosu, wypalona zapalka, wciąż jakimś cudem przypominająca panią Summerton, wreszcie zniknęła w gorącym popiele. W głowie mi huczało, miałem w niej pustkę. Zaabsorbowało mnie głupio to wszystko, potem Saul mnie zagadał. Trwało to parę minut... lecz odwracając się, oczekiwałem, że tuż obok zobaczę Annę.

CZEŚĆ VI

DZIECI WIEKU

Na zrujnowanym moście już dawno zapadł mrok, chociaż niebo ponad nim i rzeka w dole wciąż mają stalowy poblask, który w Londynie nigdy nie znika. I są też światła – teraz zawsze w oddali jest pełno światel.

– Jasne – syczy Niana, a woda bezustannie syczy pod nami. – Pamiętam tę noc, panie. Płomienie, tłum... myślałam, że to ja krzyczę. Oczywiście byłam dzieckiem, dla mnie była to po prostu wycieczka na drugą stronę zamrożonej rzeki, żeby uciec z chaosu miasta w te straszne dni. Pamiętam moją blachę do zjeżdżania z górki, koc do siedzenia i śliski lód na rzece. Pamiętam nawet zapach zgnilizny i dymu, trąbienie tego klaksonu, chociaż dla mnie to była trąbka. Ale ile mogłam mieć lat, żeby to zapamiętać? A co się stało z moimi rodzicami?

– Może spotkał ich ten sam los co ciebie.

– Los? Musi pan to tak nazywać? Musi pan, mistrzu, nazywać nas trollami, odmieńcami, choć wie pan, że jest lepsze słowo?

– Słowa to tylko zaklęcia.

– A zaklęcia się rzuca. – Jest teraz zimniej sza i bardziej szara niż nocne tchnienie rzeki. – A ta smutna istota, którą obywatele spalili... nigdy nie zdałam sobie sprawy, że była całkiem niewinna, a jednocześnie odpowiedzialna za to wszystko. Mistrzu, bez względu na nią proszę myśleć o mnie jako o Dziecku tego Wieku. Wszyscy jesteśmy dziećmi Wieku, nawet tacy jak pan, którzy wrócili z tych wzgórz z pozoru nieodmienieni, a i wielu, którym się to nie udało...

Dzieci Wieku; taka ładna nazwa. Niana ma jednak rację. Ona i jej podobni zostali odmienieni podczas pierwszego, gwałtownego wycieku nowego eteru, odmienieni w sposób, który nigdy nie pasowałby do pani Summerton – czy nawet Annalise. Dziwne, raptownie uświadamiam sobie jak dużo młodsze jest ode mnie to stworzenie. Natychmiast pojawia się wniosek: pewnie się starzeję, wydają się młode skoro nawet tr... – słowo, którego w tym oświeconym Wieku nie mogę ani wymówić ani pomyśleć. Tolerancja jest teraz znacznie większa. Wielu ich powstało owej pierwszej nocy i wielu potem – taka była obfitość nowego eteru. I wydają się inni.

Ładniejsi, bardziej odrealnieni, dziwniejsi, o bledszej skórze; trudniej do nich dotrzeć, zrozumieć ich. Naprawdę są pokoleniem nowego Wieku.

Ale co się zdarzyło w następnych dniach, Niano, w dniach, których pracokres wciąż liczy dwanaście, mimo tego całego gadania? Odkrycie nowych pokładów eteru niemal w sercu miasta, kiedy zaczęła się pierwsza kataliza maszynowego lodu, potem w każdym innym miejscu, gdzie składowano tę substancję, stało się także katalizatorem dla nowego ustroju. Potrzebna była straż obywatelska do pilnowania tego nowego bogactwa oraz obywatele z tajemnymi umiejętnościami spowalniania działania eteru. Obywatele do prowadzenia ziemniostworów, które zrobią wykopy, obywatele do obróbki drewna, do obróbki żelaza i oczywiście obywatele do pilnowania ogrodzeń, które trzeba było wznieść, żeby nie wpuszczać innych obywateli. I obywatele do uruchomienia telegrafów, pociągów i tramwajów.

Z początku nazywali tych robotników sługami narodu. Pamiętasz, Niano? Jak werbowano byłych cechowych, dając im przywilej dodatkowego jedzenia, które otrzymają tylko wtedy, jeśli będą wykonywać niezbędną dla miasta pracę. A organizacje, luźne skupiska dawnych konkurentów i nowych aliantów, tworzone w barach, kuchniach i splądrowanych domach cechowych, nazwaliśmy związkami. To również pamiętam. Jednak gdy chudy szkielet dawnego Londynu zaczął dymić i stukać jak dawniej, słowo „cech” jakoś wkradło się z powrotem. Najpierw były nowe cechy, albo niecechy,

a ich członkowie byli obywatelami cechowymi – ten zwrot wykrzyczano w pierwsze poranki nowej wiosny, zapewne jako żartobliwą aluzję do starych, kiepskich czasów. Lecz słowa to zaklęcia, Niano. Oczywiście czasem w nagłówku listu albo na cechowym godle widzi się słowa „nowy” albo „zjednoczony”. Ściśle biorąc, wszyscy jesteśmy obywatelami, nawet ci nienadający się do niczego partacze, zostało to obwieszczane przez najwyższych sędziów w Newgate, w dniu kiedy nie wieszano.

Świat się zmienił i został po staremu – rozumiem teraz, że w życiu zawsze pojawia się taka prawidłowość. Zbuntowane dzieciaki, przeklinające życie swych rodziców, niebawem pogwizdując, idą do tej samej fabryki, a nowe kamienice czynszowe zbudowane na miejscu dawnych slumsów Ashington i Whitechapel też stały się slumsami. To zaklęcie mamy w głowie, w ziemi, w powietrzu i w eterze – jego nigdy nie da się zdjąć. Popatrz na Bracebridge. Kiedy maszyny stanęły, a wieloletnie oszustwo dyrektorów firmy Mawdingly & Clawtson wyszło na jaw, można by pomyśleć, że nastał koniec miasta. Ale, Niano, gdybyś tam teraz pojechała, zobaczyłabyś, że jest rojne i brzydkie jak zawsze. Odstojniki nadal się żarzą, długie kolumny wyłożonych słomą wagonów turkocą pod tym samym żelaznym mostkiem – pewnie obserwowane przez jakiegoś zbuntowanego chłopaka. Największej zmianie, jaką da się w Bracebridge zauważyć, uległo Rainharrow. Teraz jest wrzącym od pracy kraterem, spowitym szarym pyłem, oplecionym maszyną wydobywającą lód maszynowy, którym przesycona jest skała. Co kwadrans, dniem i nocą, ziemia trzęsie się od nowego wybuchu, odsłaniającego nowy fragment odkrywki. Pracami tymi kieruje się z biur, które znajdują się za łukowatą bramą ozdobioną posągami Opatrzności i Miłosierdzia. Więc rytm życia trwa, mój ojciec uśmiecha się lub krzywi nad piwem, pomagając sprzątać pod „Bacton Arms”, a Beth łaje uczniów, wstrząsa atramentem i uśmiecha się do siebie, myśląc o końcu pracokresu i swoim koledze z Harmanthorpe.

Osada Redhouse zmieniła się bardziej. W tym Wieku, kiedy cechmistrzynie wytrząsają ze szwów ubrań roboczych swych mężów cenne napastrki lśniącego pyłu, by zanieść je do pobliskiego skupu, kiedy destyluje się pył z powietrza większych hal fabrycznych, taki skarb nie mógł pozostać niczyj. Pojedź tam teraz, a zobaczysz, że wielki dom i małe domeczki zostały rozwalone w celu odzyskania lodu maszynowego, choć, co dziwne, na małym placu obok głównego wyrobiska wciąż stoi figura, pod którą siedzieliśmy niegdyś z Annalise. Ale wciąż słychać tam teraz pisk i stukot młotów. Całkiem tłumią szmer rzeki, która i tak zresztą jest zanieczyszczona i odmieniona.

Może więc myślę się, Niano, mówiąc, że wszystko zostało po staremu. I musisz mi wybaczyć, jeśli schodzę z tematu i zdaję się zmieniać zdanie. To prawo uprzywilejowanych, jak całkiem niedawno mówiłem Bowdly-Smartowi. Takie zachowanie wiąże się też z wiekiem człowieka, z jego doświadczeniem. Ronald Bowdly-Smart skromnie zaczynał – od walki o awans na starszego mistrza. Utracił dziecko, zrozumiał, że samą ciężką pracą nic nie wskóra, szantażował wielkiego mistrza Harrata, zajmował się wymagowanymi pieniędzmi Cechu Telegrafistów... jego los jest gotową przypowieścią o dobru i złu poprzedniego Wieku. Ronald żyje teraz statecznie, na emeryturze, od czasu do czasu parając się tą czy inną inwestycją, bo trzeba to robić, jeśli ma się pomnażać majątek, a jego żona kwitnie w towarzyskim wirze. Na każde zaproszenie, które przyjmie, musi odrzucić tuzin innych. Śmialiśmy się nad szklaneczką whisky z wielkim mistrzem Bowdly-Smartem, zastanawiając się, jakimi kryteriami posługuje się przy wyborze, a w ogrodzie adoptowane dziecko, które nazwali Frankie, krzychało szorstkim tonem na swą niańkę. Zauważyłem jedną drobną zmianę: pospolity, szorstki akcent jest teraz mile widziany w towarzystwie. I rzeczywiście, gdy ostatnio odwiedzałem Walcote House, wielu bystrych młodzieńców posługiwało się takimi głosami. Nawet czasami tytułowali się obywatelami, choć tylko w żartach.

Muszę jednak przyznać, że na myśl o mojej przyjaźni z wielkim mistrzem Bowdly-Smartem czasem robi mi się niedobrze, kiedy patrzę na jego posiadłość z okien mojego lśniącego, nowego samochodu, kiedy jadę przez zalane światłem barwne ulice miasta wśród wielkich nowych budowli, błyskających pociągów i tramwajów. Nie nazwałbym tego niepokojem, Niano, bo zawsze czuję, że wyrzekając się starszego mistrza – to znaczy wielkiego mistrza – Bowdly-Smarta, wyrzekłbym się części samego siebie. Chodzi raczej o nieznaczną, lecz przyprawiającą o zawrót głowy utratę równowagi, którą czułbym zapewne, gdybym żył jeszcze wystarczająco długo, by stanąć na szczycie nowej piramidy, którą budują pośrodku Parku Westminsterkiego, która ma przerosnąć wieżę Hallam i największe z domów cechowych. Poczucie zagubienia w obecnym Wieku jest luksusem starego człowieka, trzeba je pielęgnować, gdy wszystko inne ginie.

Niano, może wyda ci się to dziwne, ze względu na jego wysoką pozycję, ale teraz osobą, z którą czuję się najlepiej, jest arcycechmistrz Zreformowanego Cechu Telegrafistów, Architektów i Połączonych Rzemiosł. On, kiedy tylko znajdzie czas na rozmyślanie nad tak abstrakcyjnymi sprawami, przyzna, że ten Wiek nie jest taki, jaki miał być. Mawia, że czasami nie może zasnąć, bo jest zagubiony i przytłoczony przez swe wielkie pokoje i nadzwyczajne warunki życia. Ludzie kochają go nadal, tak samo jak wtedy, gdy uwolniono go z komfortowego aresztu domowego i poniesiono przez ulice Easterlies. Obywatele wiwatowali z radości, że go widzą. Nareszcie jakiś symbol niewinności nowego Wiek, ale także starego. *Nie będziesz już czarami burzył kościołów, co?* – zapytali. Oczywiście George, jak to George, uśmiechnął się speszony. W porównaniu ze mną, w porównaniu z Saulem, w porównaniu... tak, nawet ze starszym mistrzem Stropcockiem, jego awans był najbardziej zawrotny. Ale w końcu przedtem też zajmował najwyższą pozycję. Ożenił się z Sadie – cóż, i tak się przyjaźnili, a ślub był konieczny do połączenia ich obu zreformowanych cechów. Sadie zaś cieszyła się powszechnym szacunkiem od czasu popisowej obrony Walcote House przed motłochem (znowu można tak mówić).

Myślę, że byli ze sobą szczęśliwi. W zeszłym pracokresie stałem z arcycechmistrzem nad jej grobem, nieopodal stajni, gdzie pochowany jest także jej ukochany Gwiazdor. Co? Ach tak, Niano, jednorożec jakimś cudem sam wrócił do Walcote House, choć już nie nadawał się do jazdy. A dla Sadie jazda była największą radością. I tak właśnie zginęła. Tragicznie młodo, naturalnie, lecz zgodziliśmy się z George'em pod szumiącymi niby lipami, że do eleganckiego starzenia się nie miała predyspozycji. George nigdy nie mówi o ich prywatnych sprawach, ale byli sobie szczerze oddani. Pewien jestem, że Sadie miewała kochanków, nowe znaleziska, lecz jestem także pewien, że żaden z nich nie zawłaszczył uczuć, które miała dla męża i dla Anny Winters.

Arcycechmistrz – łysy, z czerwoną twarzą, niepodobny do wysokiego młodzieńca sprzed dwudziestu pięciu lat przypomina teraz nieco bardziej korpulentną kopię wielkiego mistrza Porretta. Wydaje się jednak, że w duszy pozostał tym samym wyższym mistrzem George'em. Ból i cierpienie społecznie nieprzystosowanych wciąż napawają go smutkiem. A przede wszystkim wciąż ma nadzieję. Często myślę, że właśnie dlatego jego ludzie są w tym nowym Wiek tacy tolerancyjni i właśnie dlatego, pomimo nieudanego zamachu bombowego zeszłej zimy, wciąż na ogół go uwielbiają. Wydaje mi się, że wciąż ma do mnie wystarczające zaufanie, by pozwolić mi się ostrzec, że jego hulanki mogą się niebawem stać publicznie znane, bardziej niż teraz. Ludzie mają wyraźny wizerunek swego arcycechmistrza i nie mieści się w nim rola mistrza ceremonii na męskich orgiach.

Ale może Blissenhawk już drukuje tę nowinę. To osobliwe, zaczął jako cechowy i nigdy właściwie nie odszedł od uprawiania swego rzemiosła, on najbardziej pozostał wierny buntowniczości duchowi z końca ubiegłego Wiek. Uwierzysz, Niano? Ludzie naprawdę kolekcjonują stare wydania „Nowego Świtu”, rozmazane, pożółkłe i wypełnione moimi lamentami

półanalfabety. Widziałem je rozłożone w szklanych gablotach. Słyszałem opinie, że to bezcenne historyczne dokumenty i znakomita inwestycja. Cóż, ostatnie publikacje Blissenhawka są nieco inne. Przeglądałem niedawno jeden numer i uznałem go za nieprzyzwoity, zarówno seksualnie, jak i politycznie. Jest oczywiście na indeksie, ale Saul z pewnością nie pozwoliłby, żeby było inaczej.

Przeżył swoje życie najmądrzej z nas wszystkich. W najbardziej ponure dni ostatniej zimy zeszłego Wieku uczynił wiele rzeczy, które zapewne były konieczne. Lecz w miarę jak mijały lata, a dyskusje między konkurencyjnymi grupami obywateli ugrzęzły na nowo wśród bogactwa, umiał się z tego wycofać. W powtórnych zalotach do Maud był równie cierpliwy i zdecydowany jak w planowaniu bożonarodzeniowej Nocnej Rewolty. I tak jednak zdziwiłem się, gdy oznajmił, że wyprowadzają się na wieś. Często ich odwiedzałem. Byłem ojcem cechowym ich pierwszego dziecka, które teraz jest w odpowiednim wieku, by mieć własne dzieci. Wciąż wysyłamy sobie kartki, jak to jest dziś w modzie, na Boże Narodzenie i Dzień Motyla, z paroma zdawkowymi słowami – że musimy się zobaczyć w przyszłym roku. Cieszę się, że dalej jest z Maud, ze swymi końmi, problemami z uprawą roli, długami i artretyzmem. Już nie rysuje, ale w końcu kto w tym Wieku znajduje czas na podobne błahostki?

Co do mnie, Niano, przypuszczam, że poradziłem sobie z tym Wiekiem całkiem dobrze. Jak widzisz, jestem zamożny, choć łatwiej mi rachować liczykami niż odmawiać modlitwę albo zostać należycie obsłużonym w restauracji. Zbyt często wciąga mnie przeszłość. Anthony Passington nawiedza mnie w snach. Szybuje korytarzem niesamowicie ogromnej rezydencji, by położyć mi dłoń na ramieniu; jest tylko mrocznym widmem i nigdy nic nie mówi. Kiedy się budzę, ogarnia mnie ponure rozczarowanie, że nigdy nie udało mi się go poznać. W końcu, kiedy zdał sobie sprawę, że rozwiewa się złudzenie bogactwa jego cechu, zachował się przyzwoicie. Nawet w młodości, kiedy przybył po chalcedon sporządzony przez panią Summerton, już rozumiał, że eter się wyczerpuje. I skąd mógł wiedzieć, że eksperyment, który zorganizował, by odwrócić ten proces, skończy się taką katastrofą? Co byśmy zyskali, gdyby wziął winę na siebie? Więc żył dalej, a w miarę jak maszyny stawały i zawodziły, pojawiała się kłamstwo; w głębi serca musiał wiedzieć, że kłamstwo doprowadzi go do zguby.

W pewnym sensie więc tęsknię za starym arcycehmistrzem, który wypowiedział do mnie zaledwie parę krótkich słów. Nie był potworem, za jakiego chciałem go uważać. Prawdziwy mroczny cechmistrz nigdy nie był po prostu człowiekiem. Teraz to wiem, choć z pewnością Anthony Passington miał go w sobie trochę, podobnie jak wielki mistrz Harrat i Edward Durry, i moja matka, i pani Summerton, i może nawet Anna – a na pewno ja. On też dalej do mnie przychodzi. Widzę go w odbiciach w lustrze, łapanych kątem moich słabnących oczu, w witrynach na Oxford Road, w zapadniętej masce gapiącej się na mnie z wielu okien mego domu w długie, rozświetlone elektrycznością noce. Widzę go także w tobie, Niano, w działalności cechów, we wszystkich przedsięwzięciach Wieku Światła. Bo mroczny cechmistrz był eterem, to eter knuł, splatając nasze losy, by się odtworzyć i na nowo urosnąć w siłę. Zakłęcie tworzące wiele zakłęb. W sumie cóż mogłoby być bardziej naturalne?

Ciemno-jasny dziwoblask eteru czai się wszędzie, Niano. Widzę go w oślepiające południe i w najciemniejsze noce. Błądzi po moich wspomnieniach i najczęściej przybiera postać pani Summerton; kocham ją i nienawidzę tak samo – i za to samo – jak muszę kochać i nienawidzić ciebie.

Wiatr zaczyna dawać mi się we znaki, choć okazuje się, że nie umiem drzeć z zimna, nawet kiedy Niana kładzie mi na twarzy niezwykle chłodną dłoń. Cienie wirują. Wzrok płata mi figle.

– A co się stało z biednym panem Snaithem? Wzruszam ramionami.

– Właściwie nie wiem. Kiedy ostatni raz go szukałem, już wyprowadził się z tego magazynu.

Niektórzy ludzie po prostu znikają w rozpadlinach życia...

– Ach... Teraz nazywa go pan człowiekiem...

– A co, nie był nim?

– Tak i nie, i być może. Sądziłam, że pojawi się później w tej opowieści, w tej jej części, którą ja i pan przeżywamy teraz. Myślałam, że może dostał się do Einfeld.

Einfeld. W jej ustach brzmi to jak tchnienie, jak zakłęcie. Jej palce wycofują się, potem gładzą moje oczy.

– A więc to jest ostatnia rzecz, w którą wierzysz?

– Oczywiście, że wierzę – mówię. – W zeszły czwartek pojechałem tam pociągiem...

Einfell.

Oto słowo, o którym śniłem, wypisane na tablicy stacji w Somerset, wymalowane na wiadrach przeciwpożarowych i ułożone z białych kwiatów na grzędce pod spodem. Einfell. Wciąż obawiałem się, że drewniany peron zaraz się rozpułynie. Był ciepły dzień, Niano; słoneczny dzień, niepodobny do dzisiejszego. Obłożone kamykami domy stały wzdłuż poprzerastanej kępami trawy drogi, zza żywopłotów dochodziły zapachy bydła. Einfell. Ptaki śpiewały.

Do drogowskazu, potem następnego. Z pewnym zakłopotaniem, jakie zdarza się w takich chwilach, zauważyłem, że jedna z nielicznych wysiadających z pociągu pasażerek zmierza dokładnie w tym samym kierunku. Szła tuż przede mną i wydawała się dziwnie znajoma. Człapiący krok, chusta na siwych włosach, wypłowiałe grochy na sukience. Pulchna, zarumieniona, zgrzana, szła nasłonecznioną drogą, w końcu odwzajemniła mój uśmiech.

– Pan też tam idzie?

Resztę drogi przeszliśmy razem, z początku rozmawiając w roztargnieniu o podróży. Miała duży, wsparty na biodrze wiklinowy kosz nakryty kraciastą serwetą. Myślałem, że w środku jest jedzenie, ale gdy serweta zaczęła się o krzak, odsłoniła pudełka i butelki z różnymi firmowymi mydlami i płynami do czyszczenia.

– Jak się pani nazywa? Mam nadzieję, że mogę zapytać...

– Tak, naturalnie. Na nazwisko mam Mather. Mój mąż... jest tam... Podchodząc do bramy Einfell, pani Mather powiedziała mi, że rozeszli się z mężem (tak to ujęła), bo dzień w dzień przesiadywał do późna w firmie Brandywood, Price i Harper; miał obsesję na punkcie pracy. To głupie, prawda, ale tak to bywa w młodym małżeństwie. Wyprowadziła się do Dudley, do siostry i była pewna, że mąż za parę dni przyjedzie po nią, a przynajmniej wyśle telegram. On jednak był nieśmiały i pomyślał, że jej wyjazd znaczył coś naprawdę ważnego. Ona zaś znalazła sobie pracę i po pracokresie czy dwóch zaczęła się obawiać, co powiedzą sąsiedzi, jeśli wróci. Tak sobie sami komplikujemy życie, prawda? A potem, po latach, usłyszała o ośrodku Świętego Blate'a. Ale tutaj... tutaj to co innego, prawda?

– Często przyjeżdża pani do Einfell? – Dziwnie zabrzmiało mi to zdanie we własnych ustach.

– Kiedy tylko mogę. – Doszliśmy do bramy, wiedziała, gdzie jest dzwonek do portiera. – Przeniosłyśmy się z siostrą do Bristolu, żeby mieć bliżej do niego. Nie jest między nami już tak jak kiedyś, ale trzeba sobie z tym radzić, prawda?

Mogłem się tylko zgodzić, że tak, prawda. Później otworzyła się brama, pani Mather pozwolono poczłapać między rododendronami ku słonecznym budynkom o płaskich dachach, mnie zatrzymano.

– Sir, nie wolno tu wnosić nic zawierającego eter. Zapewniałem portiera, że nie mam przy sobie nic ze spisu zamieszczonego na kawałku wyświechtanego kartonu.

– A te wszystkie płyny do czyszczenia? – zapytałem zdziwiony.

– Pani Mather wie, że musi zawsze czytać listę składników na opakowaniu.

Pozbawiony spinki do krawata, wiecznego pióra, scyzoryka i spinek do kołnierzyka – zapewne miałem szczęście, że wolno mi było pozostać w marynarce, butach i z zapachem wody kolońskiej – wreszcie ruszyłem do głównego wejścia. Były tu drzewa i coś w rodzaju parku. Pachniało skoszoną trawą. Spacerujący byli zbyt daleko, bym mógł poznać, czy to Dzieci Wieku. Przeszedłem przez wahadłowe drzwi, przedstawiłem się pielęgniarce w recepcji i okazało się, że

naprawdę jestem oczekiwany. Korytarze miały wiele okien, były jasne, słoneczne. Pachniało tu jak w wyjątkowo czystym hotelu.

Doszliśmy w końcu do drzwi z numerem, jak wszystkie pozostałe. Pielęgniarka odwróciła się do mnie.

– Pan ją znał, prawda? Wzruszyłem ramionami.

– Kiedyś tak.

– Mam na myśli, że znał ją pan w przeszłości – powiedziała tym zabarwionym obrzydzeniem tonem, jakim mówi się teraz o poprzednim Wieku. – Na pana miejscu zbytnio bym się nad tym nie rozwodziła. Jest święta, ale czasem traci cierpliwość. Lubi patrzeć tylko naprzód. – Postukując obcasami, oddaliła się lśniącem korytarzem.

Bez tchu, już zmieszany i z bijącym sercem, zastanowiłem się chwilę, czy zapukać, i po prostu otworzyłem drzwi.

– O, Robbie... – Kiedy obchodziła biurko, światło padało na nią od tyłu. Miała na sobie taki sam strój jak pielęgniarka. Podała mi rękę. W pokoju były szafki na akta, kalendarz, nic zbędnego. Nawet rośliny doniczkowej. – Jesteś trochę wcześniej, niż się spodziewałam. W przeciwnym razie bym...

Jej ręka była w dotyku szorstka, ciepła, obojętna.

– Imponujący ośrodek.

– Wszyscy tak mówią. – W tym świetle od tyłu nie widziałem, czy się uśmiecha ani jak teraz układa włosy. – Usiądź. – Wróciła za biurko. – Z Londynu to dłuższa podróż. Może chcesz herbaty? Da się chyba też zorganizować coś do jedzenia.

– Nie trzeba, dziękuję. Hm... nazwa stacji trochę mną wstrząsnęła...

– Głupie to, prawda? Ale prowadzenie takiego ośrodka dużo kosztuje. Mamy oficjalną nazwę, lecz czasem trzeba wykorzystać ludzkie uprzedzenia, zanim da się je zmienić. Sztuka kompromisu – wprawdzie nie jestem w tym dobra, ale musiałam się trochę przyzwycząić. Czy siostra Walters pokazała ci cały budynek i park?

– Przyprowdziła mnie prosto do ciebie.

– Tak? A, to może później. – Trochę się zdziwiła. Czy pracownicy wyczuli, że jestem kimś więcej niż tylko standardowym odwiedzającym?

– Szczerze mówiąc, Anno, przyjechałem, żeby zobaczyć się z tobą. Tę kobietę spotkałem po drodze ze stacji. To naprawdę niezwykły zbieg okoliczności...

– Mówisz o pani Mather? Zapominasz, Robbie. To ty zabrałeś mnie do Świętego Blate'a. Postarałam się, żeby znowu nawiązali kontakt. I dobrze wyszło.

– Co on tu robi?

– Normalne rzeczy, jak to w życiu – tak jak wszyscy. Na ile da radę. Siostra Walter miała rację co do niej. Wszystkie moje plany, wszystko co miałem powiedzieć, uczynić... Powoli sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni i wyciągnąłem kawałek papieru, który wypisałem wczoraj w jednym z wielkich banków zajmujących odbudowany gmach Izby Złotniczej. Gdy kładłem go na biurku, zadrżała mi ręka. Chwila ciszy. Wzrok przyzwycząił mi się trochę do padającego od tyłu światła dziennego i zobaczyłem, że Anna nie obcięła włosów na krótko, jak pomyślałem. Splotła je w warkocz, który zwinęła w ciasny, niecierpliwy kok. Parę pukli zwisało luzem. Lśniły srebrno; z twarzy przypomniła mi teraz jej matkę, którą widziałem przez chwilę dawno temu, chociaż była teraz znacznie starsza niż Kate Durry w chwili śmierci. Kate tak mogłaby wyglądać, gdyby żyła nadal. Wtedy Anna urodziłaby się normalna, mieszkałaby z rodzicami w swym domku na Park Road. Ale jej ojciec był etermistrem, a mój tylko ślusarzem. Według norm z Bracebridge, dzieliłby nas

dystans nie do pokonania.

– To jest... – Anna przeczytała kwotę na czeku. – Zupełnie niespodziewane. Niezwykle hojny dar.

Wiedziałem, że Anna ma własne pieniądze, coś jakby majątek, choć pewnie jej by się nie spodobało to określenie. Wziął się z długiego zamieszkiwania przez panią Summerton w Redhouse, z przejęcia praw do tej ziemi, która na skutek przełomowej sprawy sądowej, jak wiedziałem, mocno popartej wpływami George'a i Sadie, przeszła na jej własność. Dzieciom Wieku wolno było teraz posiadać nieruchomości. A Anna oficjalnie zawsze była stuprocentowo normalną osobą. Teraz pewnie wróciła myślami do Redhouse, choć sprzedała całą tę ziemię; kiedy oglądała mój czek, zastanawiałem się, czy powinienem wspomnieć, że nasza fontanna ocalała. Ale to była przeszłość. Anna miała zegarek przypięty do bluzki. Tyk, tyk. Tyk, tyk – taki dźwięk wydawał.

– Pomyślałem, że w twoich rękach dadzą więcej pożytku niż w moich. Powoli odłożyła czek na biurko. Dłonie miała spierzchnięte, jakby od zbyt częstego i długiego moczenia w baliach z praniem.

– Może i tak. Zresztą cały czas szukamy wsparcia. Ale to duża suma. Chodzi o to, że... – Tyk, tyk. Tyk, tyk. – Wiem z doświadczenia, że takie niespodziewane prezenty zawsze niosą ze sobą jakieś dodatkowe zobowiązania.

– To większość tego, co mam.

– Naprawdę, to niezwykle hojny datek. Choć podejrzewam, że kiedy rozmawiamy, twoje konta napełniają się z powrotem.

Miała rację, ale przecież nie o to chodziło; tamte pieniądze też bym jej oddał. Za oknami piękne słońce skrzyło się na drzewach i trawnikach. Park był rozległy, w oddali kępy drzew zagęszczały się w las. Nie trzeba dużej wyobraźni, by zobaczyć Annę idącą przez te trawniki o zmierzchu. Albo tymi korytarzami, z lampą w dłoni, prowadzącą za sobą przez rozświetlone sale dziwne i piękne istoty.

– Wiesz, Anno, Złotobiała nie była rzeczywistą postacią. Zapłaciłem osobom znajdującym się na rzeczy, by zbadały wszystkie zapisy. W pierwszym Wieku oczywiście wybuchały wojny i bunty, ale nie było żadnej przywódczyni powstania ani marszu na Londyn. Osmalony kawałek kamienia na tym placu na Clerkenwell może się tam znajdować od co najwyżej dwustu lat. Nie ma też grobu, Złotobiała nigdy nie zebrała swych wojsk na Wzgórzach Latawcowych by zejść z nich do stolicy.

– Dlaczego mi to mówisz? – Zerknęła na czek oczyma jak szmaragdowa mgiełka. Chyba w obawie, że opacznie zrozumieć, czemu go tam zostawiła, przesunęła ku niemu lewą rękę.

W chwili kiedy kładła na nim palce, chwyciłem ją za przedramię.

– Anno, kocham cię!

W powietrzu między nami zawisło milczenie. Wciąż ją trzymałem. Tyk, tyk. Tyk, tyk. Moje palce zagłębiały się w miękkiej, ciepłej skórze, czekałem, aż coś się stanie, aż odtrąci mnie albo wyjdzie naprzeciw, aż zmieni się świat.

– Czy mam zawołać kogoś na pomoc? – zapytała wreszcie.

– Nie. – Puściłem ją, usiadłem z powrotem. Serce mi waliło. W palcach wciąż czułem kontur jej kości.

Westchnęła, potarła przedramię.

– Tak myślałam, że pewnie do tego dojdzie.

Patrzyłem na nią. Kocham cię. Wciąż myślałem te słowa, wciąż wyznawałem je bezgłośnie.

– Robbie, nie jestem już taka jak kiedyś. Popatrz tylko... – Znowu, tym razem ostrożniej, wyciągnęła lewą rękę. Były jeszcze na niej czerwone ślady moich palców, ale poniżej, na nadgarstku

był stygmat, blizna, Znak. – Teraz nie muszę sama tego robić. Taka teraz jestem – on już nie znika. Jestem zwyczajna. Chciałabym powiedzieć: tak jak ty, Robbie, ale nie sędzę, żebyś ty kiedykolwiek był aż tak zwyczajny. To musiało się stać wtedy w nocy w Walcote House, kiedy dotykałam głowni i wysyłałam naszą wiadomość. Wyczerpała to, co we mnie było... A reszta uszła potem. Szczerze mówiąc, cieszę się z tego. Któż by się nie cieszył?

– Ale to znaczy...

– To znaczy tylko tyle, co widzisz. Nie znaczy, że potrafię kochać. Jediną osobą, którą w życiu kochałam, była Missy. Naturalnie, obserwuję czasem pary, które przyjeżdżają na naszą stację w niedziele i spacerują tymi alejkami – myślą, że to romantyczne, przez tę przeklętą nazwę. Ale ja nigdy taka nie byłam. Nie jestem. Przykro mi, jaśniej już nie mogę się wyrazić. Wbrew temu, co zapewne powiedziała ci siostra Walters, ja myślę o przeszłości. Ale staram się jej nie odgrzebywać.

Nie odgrzebywać. Czy Anna z dawnych lat użyłaby tak prozaicznego zwrotu? Ale nie wiedziałem. Nigdy nie wiedziałem tak naprawdę.

– Dzieciaki na Easterlies śpiewają o Missy, kiedy skaczą przez skakankę – powiedziałem. – W piosence są słowa, że „jest tu, tuż obok” i że „wysie im szpik z kości”. Jak myślisz, czy byłoby jej przykro?

Anna, moja Anna, Annalise, stała przede mną rozsloneczniona. Anno, kocham cię. Nie słyszała.

– Chyba nie. Zresztą to nie tak źle, jeśli dzieci o tobie pamiętają. Odwzajemniłem jej uśmiech.

Wymyśliłem, co zrobię, Anno. Planowałem to tak długo, znacznie lepiej i staranniej niż ten głupi gest – oddanie ci moich pieniędzy. Otworzyłem fiolkę z eterem, wlałem do srebrnej miseczki i wpatrywałem się w nią przez długą noc, skupiając całą swoją wolę... Anno, kocham cię. Kocham cię tak, jak nigdy nikogo. Ale może to za mało...

– Nie najgorzej się dzieje – usłyszałem jej głos. – Rozumiesz, popatrz na siebie. Popatrz na ten Wiek. I na to, co się ze mną stało. Utrata moich zdolności to nadzieja na przyszłość. Oznacza, że wiele fizycznych procesów, które powodują, że ludzie się odmieniają, można odwrócić. Badamy tutaj to zjawisko. Dlatego właśnie całkowicie zakazujemy wnoszenia eteru.

Kiedy umrzesz, Anno, postawią ci pomnik za to, czego dokonałaś tutaj w Einfeld, za to, co uczyniłaś, żeby stworzyć ten Wiek. To ci się nie spodoba.

– Czy nowe cechy nie proszą czasami, żeby...?

– Zawsze odmawiamy. Nigdy więcej tych przerażających zielonych furgonów. Ach, wiem, że po świecie chodzą jeszcze widma i włóczędzy. Pewnie zawsze tak będzie.

– Na tym nieukończonym moście na Ropewalk Reach, za wysypiskami na skraju Easterlies, mieszka Dziecko Wiek.

– Grzebie wszędzie za eterem, to najgorsze, co może być. Albo tacy ludzie jak ty przynoszą go jej w zamian za parę sztuczek, które pewnie potrafi.

– Albo za pieniądze.

– To też niedobrze. Wiesz, tu w Einfeld mamy otwarte drzwi. Powiedz to Nianie, kiedy będziesz ją widział. Przyjmujemy każdego, a jak chce odejść, wolno mu. Tak jak... – bardzo nieznaczące zawahanie – Edward Durry. Czasem przychodzi i odchodzi.

– Anno, nazwałaś ją Nianą. Musiałaś...

– Robbie, słyszałam o niej, i tyle. Nie muszę czytać ci w myślach, żeby je znać. Nigdy nie czytałam. Zawsze miałaś je wypisane na twarzy. W Wiekach Światła też są plotki i opowieści, jak zawsze. Słucham, choć często są obrzydliwe, i odsiewam z nich ziarna prawdy.

Odsiewa ziarna... Myśl sprawiła, że koziółkując, poleciałem w przeszłość. Zapach zboża. Śnieżny blask wlewający się przez okno. Moja dłoń wtulona w policzek Anny. Einfell, teraz wiedziałem. To było wtedy, to było tam.

Wstała.

– Przepraszam cię, naprawdę jestem... – Tym razem nie wyciągnęła ręki. Ja również wstałem. Wokół niej rozkwitał blask słońca, przywiedły, całkiem zwyczajny, a jednak piękniejszy niż jakikolwiek czar. – To... do widzenia.

Przede mną znalazły się drzwi. Wydawało się prawie, że same się otworzyły.

– Aha, Robbie...

Odwrociłem się szybko.

– Tak?

– Ten czek... rozumiem, że nadal mogę go zatrzymać? Potrzebujemy pieniędzy.

– Oczywiście, zatrzymaj go.

I już byłem w korytarzu. Drzwi się zamknęły.

Niana wstała, odeszła kilka kroków. Mizdrzy się, przebiera nogami, krzywi usta, warczy, stając się coraz bardziej tym, czym – według niej – chciałbym, żeby była.

– Sławna Anna Winters o mnie usłyszała i nie pochwała mnie. Wsadziłaby mnie do celi w izbie chorych, żebym się uczyła, jak składać zdania i jak nie straszyć ludzi.

– Niano, ona nie jest taka.

Noc na ruinie mostu. Niemal czuję jej ciężar. Niana przynajmniej raz nie wie, co odpowiedzieć.

– Ludzie potrafią być bez serca, prawda? – mruczy w końcu.

– Tak. I potrafią być życzliwi.

– To dopiero jest wielka tajemnica.

I znów milczymy, wstrząśnięci tym, jak wiele nagle mamy wspólnego.

– Cóż, mistrzu. Nie może pan tu siedzieć do końca świata.

– Nie mogę... – Gdy wstaję, bolą mnie kości, a deski tego niechlujnego gniazda kołyszą się i skrzypią, gdy po nich schodzę. Lecz nie chcę jeszcze iść do domu, nawet gdybym w ogóle mógł go mieć.

– Powiem coś panu. – Niana jeszcze raz nachyla się, grzebie w jednej ze skrzynek po herbacie. – Dam panu to. Nie, proszę nie odmawiać. Tylko trochę. Myślę, że kto jak kto, ale pan będzie wiedział, co z tym zrobić.

Pieniądze. Prawdziwe pieniądze. Kilka banknotów, za które można by pewnie kupić fiolkę eteru.

Idę więc z powrotem przez filary i galeryjki tłuste od londyńskiej mgły. Cuchnąca rzeka. Potem wysypiska, noc mętnieje od dochodzącego spod ziemi smrodu. Niebawem docieram pomiędzy słabe światelka Easterlies. Głosy dzieci i psów. Odór śledzia. Caris Yard jest pusty, stara pompa ma teraz tabliczkę ostrzegającą przed piciem wody, ja jednak zanurzam twarz w stęchłym strumieniu i piję, piję, a potem rozglądam się dokoła.

Ale nie ma tu nic i nikogo. Tylko te same stare kamienice, ciężkie od nadziei i beznadziei. Idę dalej. Przez Ashington, wysokie budowle w cielistym kolorze, stworzone kiedyś przez marzenia nowego arcycehmistra, teraz wymazane napisami, cuchnące śmieciami i szczyną. Doxy Street jest pogodniejsza, bardziej ruchliwa, ale w końcu zawsze taka była. Idę Cheapside, za Clerkenwell, gdzie kończą się zgrzytające tory tramwaju. Przemyka nowy tramwaj, płomienne marzenie sypiące iskrami z czułek na dachu. Latarnie gazowe również zniknęły. Powietrze jest inne, ostrzejsze; przystaję i oddech więźnie mi w gardle, gdy widzę przed sobą rosnący cień, ostry i słodkawy jak ból od wyciągniętego noża. Ale to tylko mój cień na chodniku utworzony przez nowe, jaskrawe latarnie. *Elektryczność, Robercie! Do niej należy przyszłość!* Wielki mistrz Harrat się nie mylił. Ale ja wszędzie widzę tylko zjawy.

Wreszcie ostatni zakręt, który prowadzi mnie do miejsca, gdzie chyba zmierzałem od samego początku. Do domu na końcu ślepej ulicy, z ciemnymi chmurami ligustru wołającego o przycięcie, tak samo jak wiele lat temu. Stoi przed nim kilka powozów oraz samochód, choć dom jest prawie nieoświetlony. Mój cień przemyka po drzwiach, do których stukam długo i głośno, zanim ktokolwiek mi odpowie.

– Zamknięte. Jest... – Przez szczelinę w zamkniętych na łańcuch drzwiach zerka młoda twarz. Słucha jednak, kim jestem, i otwiera zasuwę. Ziewając, w zsuwającym się szlafroku, prowadzi mnie

do ostatniego pokoju na samej górze.

– Mistrz Robert... – Mamuśka powolutku podnosi się z kanapy pod oknem i pochyla przede mną. W jej ustach pozbawienie mego tytułu słowa „wielki” napawa ulgą. Wracam w przeszłość, uwielbiam ten kwaśny, maślany zapach jej ciała, ten gorzki posmak dymu. Zaczęła teraz zakrywać resztki swych włosów peruką, a jej dłonie, gdy odsuwam się od niej i siadam w tym samym fotelu co zwykle, są jeszcze bardziej opuchnięte i powykręcane artretyzmem niż dłonie jej syna, który nigdy tu nie bywa. Niemniej wciąż zachowuje coś w rodzaju wdzięku cechmistrzynie, człapiąc po wytartym dywanie, otwierając brązowymi paznokciami zasuwki swej intarsjowanej szafeczki, wyciągając z niej nasiona i pudełeczka. Jesteśmy, ona i ja, jak dwoje podstarzałych aktorów odgrywających role, które kiedyś, w zeszłym Wieku, wychodziły nam znacznie lepiej. To jednak jedyne role, jakie nam zostały.

– Dawno pana nie widziałam. Dziewczyny z dołu pewnie zapomniały, jak się pan nazywa...

Mały tygielek bulgoce, żarzy się błękitny płomyk. Zasiadam między poduchami, jak zwykle uspokojony jej skrzekliwym gadaniem, które nigdy się nie zmienia, którego celem jest przekonać mnie, że przychodzę tu o wiele rzadziej niż naprawdę. Albo rzadziej, niż powinienem. Potem dziwoblask eteru, zawijas nakreślony szpilą. Mógłbym to wszystko sam zrobić, ale po co? Za bardzo lubię bywać tutaj, za bardzo lubię tę starą kobietę, lubię, kiedy ślina w wyczekiwaniu napływa mi do ust, kiedy język sztywnieje po pierwszym podmuchu gorącego dymu. Przynajmniej jej cech się nie zmienił i nigdy się nie zmieni. Wieki rozsypią się w pył, bohaterowie umrą, przeminą największe z miłości, a my możemy na zawsze zostać w tym pokoju. Ale potem, gdy marszczy usta, zaciskając je na ustniku długiej fajki, następuje ostatnia i najważniejsza z wymian. Sięgam do kieszeni. Daję jej pieniądze, Niano. Wszystkie. Mamuśka unosi je do twarzy i wacha pomięty bukiet banknotów, potem wciska je do przeznaczonego na to słoja. I uśmiecha się.

– Bardzo pan dziś hojny, mistrzu Robercie. Zobaczymy, co się da zrobić. Gdzie możemy pana wyprawić na tę szczególną...

– Pani przecież wie.

– Tak. – Przypatruje mi się, twarz jej drży, oczy ma zmętniałe i błyszczące. – Zdaje się, że wiem.

Po czym, wreszcie, nareszcie, przytyka fajkę do ust, wdycha żarzące się zakłęcie, pochyla się naprzód, jedną dygocącą ręką podpierając drugą, aż sięga swymi suchymi ustami do moich. Całuję ją. Wdycham dym. I lecę. I płynę.

Przed oczyma pojawia mi się to miejsce, ten czas, który zawsze będzie dla mnie bardziej rzeczywisty od wszystkich innych. Siedzę w krótkim pociągu wyjeżdżającym jednotorową linią z Bracebridge, matka się do mnie uśmiecha, kołyszemy się w rytm stukotu kół, a za oknami z nierównego szkła widać wielkie wzgórza. Rainharrow, potem Scarside, Fareden i Hallowfell. Wiem, że mamy bilety tylko do jakiejś mało znanej, zapadłej stacyjki, ale w moich myślach opuszczamy Bracebridge na zawsze, jadąc razem na poszukiwanie niewiarygodnych przygód, które zawiodą nas ku głębszej prawdzie, jaką zawsze wyczuwałem gdzieś na krawędzi mego życia.

I wciąż nie wiem, co to za prawda, ale jestem pewien, że kiedy ją poznam, będzie wspaniała.

Spis treści

CZEŚĆ I

WIELKI MISTRZ CECHOWY

CZEŚĆ II

ROBERT BORROWS

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

CZEŚĆ III

ROBBIE

1

2

3

4

CZEŚĆ IV

OBYWATEL

1

2

3

4

5

6

7

8

9

CZEŚĆ V

ANNA BORROWS

1

2

3

4

5

6

7

8

CZEŚĆ VI

DZIECI WIEKU

1

2

3

* Newgate – słynne więzienie w Londynie, działające od średniowiecza do początku XX wieku; Bedlam (zniekształcone Bethlehem, tj. Bedejem) – londyński szpital dla umysłowo chorych p.w. Najświętszej Marii Panny z Betlejem, również istniejący od ok. XIV wieku (przyp. tłum.).

Spis treści

*	
<u>CZEŚĆ I. 3</u>	
<u>WIELKI MISTRZ CECHOWY.. 3</u>	
<u>CZEŚĆ II. 12</u>	
<u>ROBERT BORROWS. 12</u>	
<u>1. 13</u>	
<u>2. 18</u>	
<u>3. 22</u>	
<u>4. 32</u>	
<u>5. 46</u>	
<u>6. 50</u>	
<u>7. 57</u>	
<u>8. 65</u>	
<u>9. 69</u>	
<u>10. 76</u>	
<u>11. 86</u>	
<u>12. 93</u>	
<u>CZEŚĆ III. 97</u>	
<u>ROBBIE.. 97</u>	
<u>1. 98</u>	
<u>2. 103</u>	
<u>3. 107</u>	
<u>4. 120</u>	
<u>CZEŚĆ IV.. 135</u>	
<u>OBYWATEL.. 135</u>	
<u>1. 136</u>	
<u>2. 155</u>	
<u>3. 172</u>	
<u>4. 209</u>	
<u>5. 218</u>	
<u>6. 226</u>	
<u>7. 232</u>	
<u>8. 245</u>	
<u>9. 258</u>	
<u>CZEŚĆ V.. 263</u>	
<u>ANNA BORROWS. 263</u>	
<u>1. 264</u>	
<u>2. 269</u>	
<u>3. 276</u>	
<u>4. 285</u>	
<u>5. 302</u>	
<u>6. 312</u>	

[7. 338](#)

[8. 341](#)

[CZEŚĆ VI. 354](#)

[DZIECI WIEKU.. 354](#)

[1. 355](#)

[2. 362](#)

[3. 368](#)